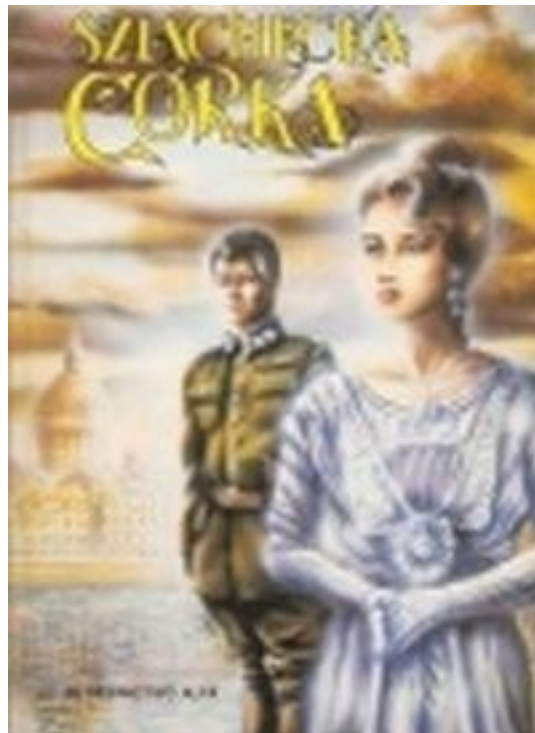


*Borovsky Natasha*

*Szlachecka córka*



*Miała go kochać całe życie...*

*Urodzona w świecie bogatych i uprzywilejowanych, Tatiana Siłomirską, córka rosyjskiego arystokraty, żyła w wiecznej rozterce: pragnęła zachować niezależność, próbując jednocześnie sprostać dynastycznym ambicjom rodu, a do tego była do szaleństwa zakochana w swym pełnym fantazji kuzynie Stefanie.*

*Tatiana, jedyna córka cieszącego się zaufaniem cara doradcy Mikołaja II, należała do nielicznych osób blisko zaprzyjaźnionych z nieszczęsnymi dziećmi władcy Rosji. Jej życie upływało w pałacach Sankt Petersburga, rezydencji Romanowów w Carskim Siole i posiadłościach rodzinnych w Polsce. Ale w młodsze lata konflikty, rozrywkę i marzenia Tatiany wkroczyły wydarzenia historyczne. Pierwsza wojna światowa i rewolucja 1917 roku zniszczyły świat, w którym żyła. Pozbawiona rodziny, przyjaciół i ukochanego, Tatiana ucieka najpierw do Konstantynopola, a potem do Paryża, gdzie walczy o swoje miejsce we współczesnym świecie...*

**Część pierwsza**

**DZIECIŃSTWO**  
1897—1914

Urodziłam się w Petersburgu, w okazałym gmachu z arkadami przy Quai Anglais, tego samego dnia co córka cara, wielka księżniczka Tatiana. Na jej cześć nadano mi to samo imię. W całym mieście rozbrzmiewały dzwony katedralne; narodziny carskiej córki uczczono również salwą z dwudziestu jeden armat Twierdzy Pietropawłowskiej. Działo się to wszystko 28 maja 1897 roku, trzy lata po wstąpieniu Mikołaja II na tron i osiem lat przed, rewolucją 1905 roku, która była początkiem końca obu rodów.

Nasi ojcowie razem się wychowywali i razem służyli w gwardii huzarów. Będąc ulubieńcem Aleksandra III, ojciec mój został przeznaczony na męża księżniczki z rodu Romanowów. Lecz ku niezadowoleniu dworu poślubił polską księżniczkę. Wiele lat później ojciec opowiadał mi, jak to dzięki szczęśliwemu zbiegowi okoliczności, to znaczy jednoczesnym narodzinom córek, doszło do pojednania z carem.

— Pierre, mam nadzieję, że nasze Tatiany połączy przyjaźń podobna do tej, która istnieje między nami — oświadczył wielkodusznie monarcha, gdy ojciec składał mu gratulacje nazajutrz po narodzinach córki.

— Jest to również i moje największe pragnienie, Wasza Wysokość — odparł mój ojciec.

Tego samego dnia ojciec towarzyszył carowi podczas spaceru w parku w Peterhofie, rosyjskim Wersalu pobudowanym nad brzegiem Zatoki Fińskiej. Pod koniec miesiąca ojciec został ponownie zaproszony do Peterhofu, tym razem na podwieczorek do Pałacu Aleksandrowskiego, skromnej lei niej rezydencji Mikołaja i Aleksandry, bardziej odpowia-

dającej ich gustom niż wyniosły pałac nad morzem. Rozmowa prowadzona po angielsku była jak zawsze banalna i konwencjonalna. Ale jedna wypowiedź cara godna jest przytoczenia, ponieważ miała duży wpływ na moje wyobrażenie o osobie naszego władcy.

Cesarzowa skrytykowała zwyczaj ogłaszania amnestii z okazji narodzin dziecka w carskiej rodzinie.

— Ci więźniowie polityczni to hołota, Nicky — oświadczyła. — Pragnę jedynie zniszczyć ciebie i Rosję.

— Bóg okazał się dla nas łaskawy — odparł car. — My też powinniśmy okazać miłosierdzie.

Od chwili wypowiedzenia pierwszego słowa, którym było pa-pa, ubóstwiałam swego ojca. Uważam go za najprzystojniejszego, najdzielniejszego i najlepszego człowieka na całym świecie. On nazywał mnie swoją ślicznotką i pociechą, nosił na barana, zabierał na konne przejażdżki, zanosił do łóżka, kiedy usypiałam podczas wizyt, i czuwał nade mną, gdy byłam chora.

W 1901 roku car mianował go dowódcą gwardii husarskiej.

Obserwowanie, jak ojciec przeprowadza inspekcję swego pułku, należało do najbardziej ekscytujących przeżyć mego wczesnego dzieciństwa; jeszcze zanim nauczyłam się dziecinnych rymowanek, znałam już na pamięć wydawane na placu apelowym komendy.

Kiedy ojciec wyjeżdżał, byłam niepokieszona i wypytywałam wszystkich:

— Gdzie pojechał papa? Kiedy papa wróci?

W jego obecności nie posiadałam się z radości. Ale z chwilą pojawienia się matki, czar pryskał. Bo chociaż ojciec pozostawał równie czuły, jego uwaga nie skupiała się już wyłącznie na mnie. Zauważyłam również, że matka, na ogół powolna i zachowująca się z rezerwą, w jego towarzystwie stawała się ożywiona i dziwnie podniecona. Zdawałam sobie sprawę z ogromnego uczucia, łączącego moich rodziców. Złościło mnie ono i niepokoiło. Pragnęłam przylapać ich

kiedyś sam na sam, by poznać źródło tej zagadkowej więzi, ale nie było to takie proste.

Zimą mogłam przebywać tylko w swoich pokojach na drugim piętrze naszego *osobniaka*, pałacyku wzniesionego nad Newą. Opiekowały się mną panna Bailey — sympatyczna, młoda Szkotka — oraz niania — czarnowłosa, czarnooka, mała i gibka. Od urodzenia należała do poddanych naszej rodziny. Jako młoda dziewczyna była mamką ojca. Zawsze nosiła *kokosznik* — ludowe nakrycie głowy — oraz *sarafan* — rodzaj sukni — zwykle niebieski dla podkreślenia sprawowanej przez nią funkcji. Grupka wiejskich dziewczyn w czerwonych fartuszkach i haftowanych bluzkach z szerokimi rękawami pomagała niani i uczestniczyła w mojej toalecie.

Miałam również swojego lokaja, Fiodora — olbrzyma o płowych włosach i zadartym nosie, którego uważałam za *bogatyra*, niezłomnego rycerza przybyłego wprost ze świata bajek. Przy swej wielkiej posturze odznaczał się umysłem dziecka i łagodnym charakterem. Grywał dla mnie na bałajce, woził sankami i wynosił z miejsc, w których nie wolno mi było przebywać, to znaczy ze stajni, piwnic i kuchni. W czasie codziennych spacerów wzdłuż bulwaru udaremniał moje zamiary wdrapania się na kamienne lwy, wznoszące się u szczytu schodów prowadzących ku zamarzniętej rzece.

Moim innym nie spełnionym marzeniem była zabawa śnieżkami z synami naszego stróża. Zamiast tego zabierano mnie do Pałacu Marmurowego, siedziby wielkiego księcia Konstantego, lub do Pałacu Zimowego. Do tego ostatniego uczęszczałam też na wspólne lekcje tańca z Olgą i Tatianą, starszymi córkami cara — po narodzinach mojej imienniczki w rodzinie imperatora przyszły na świat jeszcze dwie dziewczynki.

Podczas pierwszej lekcji tańca, która odbyła się, kiedy obie miałyśmy po cztery latka, złapałam wielką księżniczkę Tatianę Nikołajewnę nie za rękę, jak mi polecono, lecz za szyję i zaczęłam ją dusić. W odpowiedzi na to Tatiana

Nikołajewna również chwyciła mnie za szyję. Szamotałyśmy się w milczeniu, póki nas nie rozdzielono.

— Moja Tania to potwór — powiedziała moja matka do Ich Wysokości. Car roześmiał się i odparł:

— *Elle sera une mattresse-femme, cette petite!* Wyrośnie na kobietę, z którą nie będzie żartów!

Ojciec również się śmiał, ale moja babka wcale nie uznała tego wydarzenia za zabawne.

Księżna-wdowa Siłomirska — dla przyjaciół Anna Wła-dimirowna, dla mnie Grandmaman — była wysoką, energiczną i dumną kobietą, o głosie niskim niemal jak u mężczyzny, bezpośrednim sposobie bycia i typowo rosyjskich, brązowych, wyrazistych oczach. W przeciwieństwie do ojca, który lubił nosić biżuterię, futra i otaczać się *objets d'art*, była zwolenniczką spartańskiej prostoty. Od czasu śmierci mojego dziadka, który poległ podczas wojny rosyjsko-tureckiej w 1877 roku, nosiła żałobę — z wyjątkiem dni spędzanych na dworze, gdzie noszenie czarnych strojów było zabronione. Zazwyczaj kręcił się koło niej czarny francuski pudelek. Nigdy nie rozstawiała się z hebanową laską. Wodziła rej wśród petersburskiej arystokracji, podobnie jak rządziła wszystkimi Siłomirskimi, i była jedyną osobą, przed którą czułam respekt.

Wydarzyło się to owej zimy, kiedy miałam pięć lat, w dniu Balu Palmowego, wydawanego w Pałacu Zimowym. Bawiłam się po podwieczorku w swoim pokoju, gdy weszła pokojówka i powiedziała, bym zachowywała się cicho, bo mama odpoczywa. Nadąsana podeszłam do okna i zaczęłam chuchać na pokrytą szronem szybę. Na bulwarze ujrzałam dwóch husarów, jadących szybkim kłusem. Eskortowali małe sianie, w których siedział ojciec ubrany w białe palto z kołnierzem z norek i krótką pelerynką, powiewającą na wietrze. Towarzyszył mu kozak-ordynans w czarnej futrzanej czapie.

Sanie i eskorta zniknęły pod arkadami podjazdu. Wiedziałam, że za chwilę ojciec pójdzie do matki. Może dziś uda mi się ich zaskoczyć sam na sam? Wybiegłam z pokoju, pognałam schodami w dół, minęłam zdumionego polskiego pazia matki, przemknęłam przez pusty salon i gabinet. Drzwi do buduaru były lekko uchylone. Pchnęłam je i stanęłam cicho w progu.

Matka, w białym szlafroku ozdobionym falbanami, leżała na szezlongu; gęste, kasztanowe włosy miała rozpuszczone.

Ojciec siedział przy niej, obejmując jej wąską kibić. Uderzył mnie wyraz twarzy matki (ojciec odwrócony był do mnie tyłem). Kiedy pochylił się nad nią, opuściła ciężkie powieki i objęła szczupłymi dłońmi jego jasną głowę. Widocznie wydałam okrzyk zdumienia, bo otworzyła oczy.

— Pierre, twoja córka jest tutaj — powiedziała. Ojciec gwałtownie się odwrócił. Twarz miał czerwoną i jakąś dziwną, straszną minę. Uciekłam. Cały wieczór przeżywałam zdradę ojca. Nie zjadłam kolacji. Po kąpieli nie zasłaniałam sobie twarzy ręcznikiem, jak to zwykle robiłam, udając mużułmańską księżniczkę. Nie piszczałam, kiedy niania rozczesywała mi włosy, by je następnie zakręcić ściśle na papiloty. Niania zawsze tym mocniej ciągnęła mnie za włosy, im bardziej była czymś zaniepokojona. W porze wieczornej modlitwy do pokoju wszedł ojciec ubrany w biały galowy mundur ze złotymi pagonami. Do jednego ramienia przypięty miał czerwony aksamitny men-tyk — krótka pelerynka — ozdobiony lamówką z norek.

Spojrzałam na niego, jakbym zobaczyła Boga. Mówiąc szczerze, zupełnie mi przypominał jego wizerunek, który widziałam w Biblii Grandmaman z ilustracjami Gustawa Dore.

Po wysłuchaniu narzekań niani, że zachowuję się dziś całkiem inaczej niż zwykle, odprawił ją i odezwał się do mnie po angielsku:

Taniuszka, wiesz, że jeśli chcesz się zobaczyć z matką, musisz najpierw poprosić o pozwolenie, prawda?



— Mama nigdy nie chce mnie widzieć. Ojciec milczał przez chwilę, a potem zapytał:

— Nie poczuwasz się do żadnej winy?

— Przepraszam, tatusiu. — Zwiesiłam głowę.

— W porządku. A teraz przebaczysz mi, że cię przestraszyłem?

— Najpierw musisz ponieść karę.

— Ale nie każ mi czołgać się pod łóżkiem ani pod krzesłem. Wystroiłem się już na bal.

Wyciągnęłam rękę.

— Pocałuj! Nie tak — powiedziałam, gdy ujął ją ceremonialnie. — Jestem Katarzyną Wielką. Przyklęknij.

Ojciec zgiął kolano i z uszanowaniem ucałował moją rączkę. Wciąż klęcząc ujął mnie w pasie i zapytał: — Co jeszcze rozkaże moja imperatorka?

Ulitowałam się nad nim i nie skazałam na tortury. Kładąc mu władcym gestem ręce na głowie, rozkazałam:

— Zanieś mnie do łóżka i opowiedz bajkę.

Jaką bajkę chcę dziś usłyszeć? O carze Sałtanie? O Babie-Jadze? O Królowej Śniegu?

— Wiesz, jaką — oświadczyłam.

— Ach tak, o małej syrence!

Spędziłam już wiele bezsennych nocy, czując ból w nogach, wyobrażając sobie, że jestem małą, niemą syrenką, zakochaną bez pamięci w całkowicie obojętnym księciu.

— Tatusiu, powiedz mi, kogo kochasz najbardziej na całym świecie? — spytałam, gdy skończył już opowiadać baśń swym pięknym, głębokim głosem.

— Ciebie — pocałował mnie w policzek — i twoją mamę — pocałował mnie w drugi.

— Ale kogo kochasz bardziej? — upierałam się.

— Ciebie i twoją mamę. — Znów pocałował mnie, łaskocząc miękką, pachnącą brodą. — Każdą z was inaczej, ale obie równie mocno.

— Tatusiu... a ja ze wszystkich ludzi na całym świecie najbardziej kocham ciebie.

Ojciec popatrzył na mnie zamyślony.

— A co byś powiedziała, gdyby mama przyszła cię pocałować na dobranoc?

— Mama nie zechce!

— Przekonamy się? — Posłał po księżnę Helenę. Ulubiona pokojówka matki, Polka, zameldowała, że jej książęca mość jest gotowa i czeka na Jego Wysokość na dole.

— Powtórz jaśnie pani, że proszę ją, by przyszła na górę. Usiadł. Ręką ozdobioną cennymi pierścieniami nerwowo uderzał o oparcie krzesła.

Czy mama przyjdzie? Czy będzie zła na tatę? — zastanawiałam się, czując niepokój i zarazem radość.

W drzwiach pojawiła się matka.

Przyglądałam się jej oniemiała. Miała na sobie suknię galową z białego brokatu, z przodu zapinaną na drogocenne guzy. Z ramion spływał jej tren ze szkarłatnego aksamitu, obramowany sobolim futrem. Szczupłą szyję ozdabiał brylantowy naszyjnik z rubinem, a sznury pereł sięgały kolan. Na głowie miała nabijany perłami *kokosznik* z czerwonego aksamitu z welonem do samej ziemi, naszywanym klejnotami. Przez jej pierś biegła błękitna wstęga polskiego orderu Orła Białego. Była prawdziwą królową z bajki, ale królową zimną, królową śniegu, królową nocy.

— Mój książę, przyzywasz mnie jak jakąś służącą — oświadczyła wyniośle.

Ojciec wstał. Jeśli ona była królową śniegu, to on przemienił się nagle w króla lodu.

— Czy za dużo żądam, prosząc, by matka przyszła pocałować na dobranoc swą jedynaczkę?

Obserwowałam szeroko otwartymi oczami zderzenie dwóch indywidualności. Matka ustąpiła pierwsza.

— Pierre, nie gniewaj się — powiedziała ze śpiewnym polskim akcentem. — Trudno mi chodzić po schodach. Ten tren jest taki ciężki.

- Trud no ci chodzić? — Ojciec przyjrzał się jej uważnie. Źle się czujesz?

— To... to nie choroba. — Rzuciła mu słodkie i dwuznaczne spojrzenie. Miała identyczną minę, jak wtedy, kiedy ojciec ją całował. Wyciągnęła rękę ruchem pełnym gracji.

Ujął ją w obie dłonie.

— Heleno, moja najdroższa, naprawdę? Jesteś zupełnie pewna?

— Absolutnie. Miałam ci o tym powiedzieć dzisiaj, ale Tania nam przeszkodziła.

— Najdroższa, najukochańsza, jestem taki szczęśliwy

— kilkakrotnie ucałował jej dłoń. — Wybacz mi. A może wolałabyś, żebyśmy zostali w domu?

— Nie, powinniśmy pójść. Ale od jutra... — matka podeszła do mojego łóżka — ... będę więcej przebywała w domu... razem z naszą córką.

Spojrzała na mnie z taką czułością, że pomyślałam, iż może mnie jednak choć troszeczkę kocha. Ojciec odgadł moje myśli.

— Widzisz, Tanieczko, mama tak bardzo cię kocha, że podaruje ci najpiękniejszy prezent, jaki tylko można sobie zamarzyć — braciszka lub siostrzyczkę, żebyś już nigdy nie czuła się samotna.

Kiedy byłam z ojcem, wcale nie dokuczała mi samotność. Nie byłam więc pewna, czy pragnę właśnie takiego prezentu. Ale jeśli to sprawiło, że matka patrzy na mnie w taki sposób...

— Czy otrzymam go na urodziny?

— Nie, nie tak prędko. Latem. Dobranoc, mój skarbie.

— Matka pochyliła się nade mną.

Czyżby naprawdę zamierzała mnie pocałować? Zamknęłam oczy.

Policzek delikatniejszy niż można to sobie wyobrazić dotknął mojej buzi.

Leżałam z zaciśniętymi powiekami, dopóki słyszałam szelest brokatowej sukni i cichy dźwięk pereł. Otworzyłam oczy, kiedy już wychodziła, jej ręka spoczywała na dłoni ojca, jak w polonezie. Żadna para książęca ze znanych mi bajek nic była tak wspaniała i majestatyczna jak oni moi rodzice.

Po tym balu znacznie częściej widywałam matkę. Zabierała mnie na przejażdżki, kazała przyprawiać do swego pokoju, by mnie ucałować przed snem, a czasami nawet po południu, kiedy odpoczywała. Siedziałam na podłodze obok szeszlona i szczebiotałam, budując domki z kart i kostek domina. Od czasu do czasu pytałam ją: „Prawda mamusiu?”, a ona odpowiadała mi melodyjnym: „Mmm—hmm”. Spojrzałam na nią podejrzliwie. Nie ulegało wątpliwości, że nie słyszała ani jednego mojego słowa. Opuściła czytana książkę na kolana. Zauważyłam, że wcale nie myśli o mnie ani nawet o ojcu. O czym więc tak śniła na jawie? Spostrzegłam, że nie jest już tak szczupła w pasie jak dawniej. Jej ręce często wędrowały do zaokrąglonego brzucha i w takich chwilach jej spojrzenie stawało się czule i rozmarzone. Zaczęłam sobie wsuwać jasek pod sukienkę, próbując naśladować wyraz twarzy matki.

— A cóż ty tam masz, moja duszko? — pytała mnie niania.

— Braciszka — odpowiadałam.

Ciekawa byłam, skąd w brzuchu matki wziął się braciszek.

Panna Bailey, gdy ją o to pytałam, oblewała się rumieńcem i bąkała coś niewyraźnie.

Niania wyjaśniała, że stało się to za sprawą Pana Boga. Ale kiedy chciałam się dowiedzieć, jak to zrobił, zbywała mnie krótkim: — Tak jak to zawsze zwykł czynić.

W końcu spytałam Grandmaman, która powiedziała swym niskim głosem:

— Zrobił to twój tata i myślę, że już był najwyższy czas.

— Ale jak tatuś to zrobił? — nie ustępowałam.

— Tak, jak nakazuje Bóg — odparła i znów zostałam zdana na własne domysły.

Wypychałam gałgankami sukienki lalek, rysowałam kobiety z wydatnymi brzuchami i bawiłam się z córkami cara

w dom. Zaczęłam nawet okazywać macierzyńskie uczucia pulchniutkiej i niezdarnej wielkiej księżniczce Marii, której starsze siostry Olga i Tatiana wyznaczyły rolę lokaja. Anastazja — czwarta, najmłodsza z licznych i — jak mawiała moja babcia — całkowicie zbędnych z dynastycznego punktu widzenia córek, była jeszcze niemowlęciem i chwilowo Maria nie miała sprzymierzeńca.

Mała Maria podobnie jak ja nie widziała świata poza swym ojcem. Car był równie cierpliwy i czuły wobec niej jak w stosunku do pozostałych dziewczynek. Ale większym uczuciem darzył swą piękną, wątłą żonę, księżniczkę Alicję heską, wychowaną na dworze królowej Wiktorii i przeniesioną na tak egzotyczny, obcy grunt.

W miarę zbliżania się dnia rozwiązania u matki, zaczęłam — podobnie jak ona — poruszać się wolniej, z jakimś dostojeństwem. Udało mi się nawet wysiedzieć spokojnie podczas wspólnego z matką pozowania do portretu malowanego przez ojca. Wykonany lekkimi pociągnięciami pędzla, techniką zainspirowaną przez przyjaciela, a zarazem nauczyciela ojca, Walentina Serowa, portret należał do najlepszych prac papy.

Skłoniło to nawet Gradmaman do wygłoszenia następującej opinii: — Pierre, cóż człowiek o takiej wrażliwości artystycznej jak ty znajduje w tych ponurych bohomazach? — Nie pochwałała fowistycznych i ekspresjonistycznych nabytków ojca.

W czerwcu 1903 roku, po moich szóstych urodzinach, nie wyjechaliśmy jak zwykle na Krym. Oczekując rychłego rozwiązania u matki, przenieśliśmy się do naszej podmiejskiej daczy nad Zatoką Fińską.

Przebywaliśmy tam zazwyczaj wtedy, gdy dwór rezydował w Peterhofie. Okolice były bagniste, porośnięte lasami obfitującymi w tchórze i dzikie kaczkę, pełne ukrytych zatoczek i ścieżek wzdłuż morskiego brzegu, nadających się do konnej jazdy. Główny budynek, osłonięty drzewami iglastymi, wznosił się tuż nad Zatoką.

Park, ozdobiony fontannami niemal równie wspaniałymi jak te, które znajdowały się w Peterhofie, opadał tarasami ku granitowemu nabrzeżu, przy którym przycumowany był nasz jacht „Helena”. Miałam własną żaglówkę, łódź wiosłową, sforę psów i powozik, do którego zaprzęgano kucyka. Wyprawiałam się nim na przejażdżki pod czujnym okiem parobka towarzyszącego mi na koniu. Posiłki spożywałam na górnym tarasie z panną Bailey i znów rzadko widywałam matkę.

Bardzo się zmieniła. Nie tylko się zaokrągliła, ale również spuchła. Palce miała obrzęknięte, a jej niegdyś zgrabna figura była zniekształcona.

Kazano jej leżeć w łóżku. Opiekowali się nią angielski doktor i pielęgniarka. Dom zrobił się dziwnie cichy. Wciąż mi powtarzano, bym nie hałasowała. Ojciec nigdy nie podnosił na mnie głosu, ale w jego pięknych, szarych oczach dostrzec można było, że cierpi katusze.

Grandmaman była bardziej surowa niż zwykle, a niania zakręcając mi papiloty, ciągnęła mnie za włosy, zatroskana, jak nigdy.

Pewnego ranka, gdzieś w połowie lipca, kiedy jadłam śniadanie, do mojego pokoju weszła matka. Ubrana była w kimono z biało-złotego jedwabiu. Włosy splotła w gruby warkocz. Twarz miała opuchniętą. Oczy błyszczały jej jak w gorączce.

Odprawiła pannę Bailey i usiadła przy stole naprzeciwko mnie. Wyraźnie roztargniona spytała, co porabiałam poprzedniego dnia, lecz nie czekając, aż skończę relację, powiedziała:

— Taniu, gdy dorośniesz, nie oceniaj mnie zbyt surowo. Kiedy wychodziłam za mąż, miałam zaledwie osiemnaście lat, byłam niemądra i rozpieszczona. Jeśli przeżyję tę... tę straszną chorobę, obiecuję, że będę dla ciebie lepszą matką. Jeśli nie... bądź dobra dla ojca. Obiecuj mi, że nigdy go nie opuścisz.

Jej słowa wydały mi się dziwne. Czemu miałabym kiedykolwiek opuścić tatę?

— Obiecay mi. Przysięgnij na krzyż — mówiła matka, coraz bardziej podniecona. — Krzyż, przynieś krzyż — zwróciła się do niani.

— W tej minutce, moja najmilsza.

Niania wróciła nie tylko z krzyżem, ale również w towarzystwie kilku pokojówek i pielęgniarce. Otoczyły matkę i zaczęły ją prosić, by wróciła do łóżka.

— Tatiano, przysięgnij, że póki ojciec będzie żył, nie opuścisz go — powtórzyła matka.

Nie rozumiałam, o co jej chodzi. Ale złożyłam uroczystą przysięgę, robiąc znak krzyża i całując trzymany przez nią krucyfiks.

— Ma gorączkę, majaczy. Sprowadźcie doktora. Błagam, jaśnie pani, w łóżku poczuje się pani lepiej — przekrzykiwały się kobiety.

— Zaraz pójdę. Zostawcie mnie. — Matka podniosła się z wysiłkiem i uniosła dłoń do czoła. — Matko Boska — szepnęła po polsku i ciężko osunęła się na podłogę.

Przez chwilę widziałam jej ciało wstrząsane gwałtownymi konwulsjami. Wtem do pokoju wpadł ojciec z doktorem. Przyklękli przy niej, zasłaniając ją przed moim wzrokiem. Niania wzięła mnie na ręce, przycisnęła moją głowę do swej piersi i wyniosła mnie z pokoju. Dwa dni później po raz ostatni widziałam matkę. Leżała w kaplicy między wysokimi gromnicami. Ręce miała skrzyżowane na piersi, ciężkie powieki zamknięte. Opuchlizna zniknęła. Po śmierci znów była piękna i szczupła tak jak kiedyś. Na jej twarzy błąkał się zagadkowy uśmiech, jakby była świadkiem jakiegoś tajemniczego, lecz cudownego wydarzenia.

Niania wzięła mnie na ręce, bym mogła ucałować białe czoło matki, gładkie i zimne jak marmur. Zastanawiałam się, czemu jest takie zimne i jak to się dzieje, że matka tego nie czuje i że jest jej to obojętne.

Spostrzegłam, że wszystko szło jej obojętne, ale że jest jej dobrze.

Nie czułam zalu, lecz

ponieważ wszyscy wkoło sprawiali wrażenie smutnych, więc mnie też zrobiło się przykro. Wybuchnęłam płaczem i niania wyprowadziła mnie z kaplicy.

Tego wieczora, podobnie jak poprzedniego, na próżno czekałam na przyjście ojca. Zamiast niego pojawiła się wysoka, jasnowłosa, piękna kobieta w czarnej sukni z bufiastymi rękawami. Była to starsza siostra mojej matki, Zofia Zasławska.

— Tanieczko — powiedziała z polskim akcentem, podobnie jak mówiła matka — Bóg zabrał twoją mamusię do siebie. Poszła do nieba razem ze swym synkiem. Będziemy się za nich co wieczór modlić.

— Mama nie żyje? — spytałam obojętnie. Ciotka Zofia zwiesiła głowę. Pomyślałam, że teraz będę miała ojca wyłącznie dla siebie. Ale ze zdziwieniem stwierdziłam, że nie sprawiło mi to radości.

— A kto będzie teraz moją mamusią?

— Ja, jeśli pozwolisz. Widzisz, Pan Bóg pobłogosławił mnie synem. To twój kuzyn Stefek. Ale nigdy już nie będę miała więcej dzieci. Czy chcesz być moją córeczką, Taniu?

Przyjrzałam się ciotce uważnie. Jej miła twarz nie była tak piękna jak matki, ale przepełniona miłością, współczuciem i mądrością. Wdrapałam się ciotce na kolana, jedną rączką objęłam za szyję, a drugą zaczęłam gładzić jej jedwabną bluzkę. Sama nie wiedząc kiedy, nie zmówiwszy nawet pacierza za zmarłą, usnęłam w jej ramionach.

Po uroczystościach żałobnych, które odbyły się w katedrze św. Izaaka oraz w kościele katolickim św. Stanisława, niemowlę pochowano w krypcie klasztoru Aleksandra Newskiego, a ciało matki uroczystie przewieziono do Polski, by je złożyć razem z innymi Radowiłłami. Ojciec nie pojechał do Polski. Zamknął się w swoich pokojach, nie pozwalając zbliżyć się do siebie nikomu, poza swym ordynansem Siemionem. Kręciłam się niepoczyszona w pobliżu drzwi jego pokoju.



Minął tydzień. Pewnego ranka, kiedy mnie ubierano, zjawił się ojciec. Miał na sobie szaroniebieski mundur carskiego adiutanta, w rękę trzymał czapkę i rękawiczki. Zmizerniał. Ledwo wierzyłam własnym oczom — zupełnie osiwiiał. W jego oczach pojawiły się zaczątki nieuleczalnej melancholii.

Patrzyłam na niego ze ściśniętym sercem.

Ojciec wziął mnie na ręce i przytulił mocno.

— Tanieczko, car, nasz władca, wysyła mnie z misją na Daleki Wschód. Ty pojedziesz do Zaslavic, do cioci Zofii i wuja Stacha, i zostaniesz tam, póki po ciebie nie przyjadę.

— Nie chcę jechać do Zaslavic! Chcę być z tobą!

— Pewnego dnia wybierzemy się razem w długą podróż. Ale teraz każde z nas musi podążyć własną drogą. Niech Bóg cię ma w swojej opiece.

Bądź dzielna. — Pocałował mnie i przekazał w ramiona niani.

— Mamusia powiedziała, że nigdy nie wolno mi ciebie opuścić.

Obiecałam jej. Złożyłam przysięgę na krzyż! — Uderzałam piąstkami w chudą pierś niani i próbowałam się wyswobodzić z jej rąk.

Twarz ojca stała się obca i straszna. Prędko mnie pobłogosławił, włożył czapkę i wyszedł.

Nie pozwoliłam się ubrać. Pomaszerowałam do swego pokoju zabaw, gdzie wzdłuż ścian poustawiane były lalki, prezenty od zagranicznych książąt i ambasadorów. Porozciągałam je po całym pokoju. Kopałam je i deptałam. Potem rzuciłam się na podłogę i zaczęłam w nią walić nogami i rękami, krzycząc:

— Tata, tata! Chcę do mego taty!

Nagle rozległy się czyjeś energiczne kroki i do pokoju weszła babka.

— Wynoście się! — powiedziała, wskazując laską na moje bezradne pokojówki.

Dygając, pospiesznie wycofały się ze próg.

— A ty? — zwróciła się do niani. — Nie słyszałaś?

— Najjaśniejsza pani, Anno Władimirowna, moja najdroższa, miej litość nad sierotą. Proszę mi oddać laskę

— odezwała się niania, zbliżając się do mej srogiej babki.

— Stój — powstrzymała ją Grandmaman, wyciągając rękę przed siebie.

— A ty, Tatiano Pietrowno — stuknęła dwa razy laską w podłogę — bądź tak dobra i wstań.

Grandmaman wyciągnęła z rękawa chusteczkę i wytarła mi nos, niezbyt zresztą delikatnie.

— Nie życzę sobie, moja panienko, takich scen w tym domu ani w żadnym innym, w którym się znajdziesz, nieważne, czy będzie to pałac, czy chłopska chata. — Dla nadania większej wagi swym słowom mówiła po rosyjsku.

— Jesteś żołnierską córką. Jeśli już musisz płakać, rób to pod kołdrą, aby nikt cię nie słyszał.

— Tak, Grandmaman.

— Teraz posprzątaj ten bałagan, a potem możesz przyjść i zjeść ze mną śniadanie. — Wyciągnęła rękę do pocałowania.

— No i jak tam, nianiu? Czy twój kurczaczek jeszcze żyje? Niania się rozpromieniła.

— Wiedziałam, że ma pani dobre serce, moja najdroższa. Tylko czasem traci pani cierpliwość...

— Uważaj, bym nie straciła jej przez ciebie. — Na twarzy Grandmaman pojawił się rzadko na niej goszczący uśmiech.

Tego samego dnia odwieziono mnie do Petersburga na Dworzec Warszawski. Eskortował mnie adiutant ojca. Fiodorowi, temu dziecku Rosji, nie można było zaufać, że poza granicami kraju odpowiednio się zachowa. Razem z panną Bailey, nianią i Bobikiem, mym seterem, udałam się w wagonie sypialnym ekspresu warszawskiego do Polski.

Miasteczko Zasław leży na prawym brzegu Wisły, w połowie drogi między Warszawą a Lublinem. Przybyłam tam wraz z moim małym orszakiem wczesnym popołudniem, wzbudzając sensację wśród gości dworcowej jadłodajni, popijających kawę ze śmietanką.

Na peronie powitał mnie pan Kazimierz Paszek, imponującej postury zarządca majątku Zasławskich. Na placyku przed budynkiem stacji czekały dwa czarne powozy ozdobione herbem zasławskich oraz forysie na koniach.

Uparłam się, by siedzieć na koźle, obok Tomasza, woźnicy. Ruszyliśmy z kopyta, wzbudzając popłoch wśród ciekawskich gapiów. Jadąc główną aleją Zasławia, wysadzaną po obu stronach lipami, minęliśmy kamienny mur otaczający rosyjski garnizon. (W okresie niepodległej Polski mieściły się tu koszary ułanów Zasławskich). Przemknęliśmy jak burza przez zabytkowy rynecek, który zachwycił mnie renesansowymi arkadami, barokowymi fasadami z pięknymi freskami o motywach roślinnych i zwierzęcych, wygiętymi liniami attyk oraz białym kościołem św. Stanisława z wysmukłą złotą kopułą.

Rosyjska artyleria zniszczyła rynek w 1830 roku, kiedy Zasławscy stanęli na czele powstania przeciwko Mikołajowi I, despotycznemu carowi, który zawiesił konstytucję obowiązującą w Królestwie Polskim od czasów Aleksandra I. Ponownie miasteczko było ostrzelane podczas powstania 1863 roku, którym próbowali dowodzić ze swojej siedziby w Paryżu zmuszeni do emigracji Zasławscy. W 1864 roku rodzinę Zasławskich objęła amnestia ogłoszona przez Alek-

sandra II. Po powrocie z wygnania księżę Leon, mój wujeczny dziadek, odbudował rynek.

Przez jakiś czas jechaliśmy wzdłuż Wisły na północ, a potem skręciliśmy w piaszczysty, obsadzony topolami dukt, który prowadził prosto do ozdobionej herbami bramy Zasławic. Droga do pałacu pięła się pod górę przez las; była kręta, wąska, pełna kałuż, z głębokimi koleinami. Mój wujeczny dziadek rozmyślnie zostawił ją w tym oplakany stan, by utrudnić rosyjskim oddziałom wycofywanie się w dniu odzyskania przez Polskę niepodległości, w co niezłomnie wierzył.

W końcu powozy znalazły się na równym podjeździe wiodącym przez park francuski. W głębi, za podłużnym stawem, ukazała się siedziba Zasławskich. Jej zachodnie wieże pochodziły jeszcze ze średniowiecza, ale główną bryłę budynku i skrzydło wschodnie ozdabiały już renesansowe krużganki.

Ciotka, wuj oraz kuzyn Stefan czekali na ganku, by mnie powitać. Wuj Stach był niezwykle wysoki i szczupły; poważną, szczupłą twarz ozdabiały obwisłe, brązowe wąsy. Miał na sobie białe, letnie ubranie. Jego zachowanie cechowało typowe dla Anglików znużenie — sprawiało wrażenie, że zarówno ubieranie się, jak i prowadzenie rozmowy, wymagają sporego wysiłku i stanowią narzucony obowiązek. Choć byłam zabłocona i potargana, zdjął mnie z kozła, potrzymał w górze, by mogła mnie pocałować ciotka Zofia, a następnie postawił na ziemi tuż przed Stefkiem.

— No, Stefku, przywitaj się z kuzynką Tanią — zwrócił się po angielsku do chłopca.

— Cześć, Taniu — bez entuzjazmu powiedział Stefek. Ośmioipółletni Stefan był wyrośniętym, szczerbatym chłopakiem o sterczących kolanach całych w strupach. Ale największe w tym dużym chłopcu były uszy, które na dodatek śmiesznie odstawały. Przyjrzał mi się swymi jasnobrązowymi oczami, wyraźnie naburmuszony.

Nic rozumiem, czemu kazano mi się na twój przyjazd umyć stwierdził, kiedy wchodziliśmy po schodach.

Po doprowadzeniu się po podróży do porządku zesłam na kolację, którą miałam zjeść w towarzystwie Stefka i Kazka, wiernego druha i niewolniczego naśladowcy mego kuzyna. Mały Kazik, syn pana Kazimierza Paszka, był miłym, zielonookim chłopcem, rówieśnikiem Stefka. Od czasu, kiedy matka Kazika uciekła z jakimś Francuzem, wychowywał się razem ze Stefkiem i chłopcy byli zżyci niemal jak bracia. Pod nieobecność szwajcarskiego nauczyciela chłopców, który wyjechał na wakacje, do stołu zasiadła z nami angielska guwernantka, panna Poole. Chłopcy przezywali ją Pingwin ze względu na jej uderzające podobieństwo do tego ptaka. Panna Poole w chwilach zdenerwowania gwałtownie się czerwieniła i zanim posiłek dobiegł końca, zachowanie panicza Stefana wywołało u niej kilkakrotnie paśowe rumieńce. Wykorzystując moment nieuwagi panny Poole, panicz Stefan pociągnął mnie za włosy. Nie pozostałam mu dłużna i boleśnie szarpnęłam go za odstające ucho. Kopnął mnie pod stołem w nogę. Oddałam mu. Jego spojrzenie zapowiadało okrutny odwet. Z ulgą przyjął polecenie, żeby bezpośrednio po kolacji udać się do Sali Koronacyjnej, by powiedzieć dorosłym dobranoc.

Przed olbrzymim kominkiem, nad którym wisiał herb Zasławskich, stał wysoki, chudy starzec o srogiej minie. Biała grzywa włosów sięgała mu do ramion. U jego stóp leżała para chartów, a na ramieniu siedział oswojony sokół. Był to mój wujeczny dziadek Leon, despotyczny patriarcha rodu Zasławskich.

Książę Leon miał dziewięćdziesiąt jeden lat i chociaż formalnie był głową rodziny, z radością przekazał zarządzanie majątkiem w ręce syna. Ten był powstaniec dopiero gdy przekroczył czterdziestkę, uznał konieczność zapewnienia ciągłości rodu. Między jedną a drugą ucieczką z Polski udało mu się zdobyć serce hrabianki Katarzyny, ponad dwukrotnie od siebie młodszej, i poślubić ją. Od samego początku traktował ją źle. Skoro nie potrafił żyć bez kobiet, udawał, że je lekceważy. Mieli już trzy córki, gdy w końcu w Paryżu

urodził się im syn Stach. Książę Leon odebrał matce siedmioletniego chłopca i wysłał do angielskiej szkoły prywatnej. Oświadczył, że nie pozwoli, by uczyniono z jego syna mazgaja.

Księżna Katarzyna nazywała męża „swym aniołkiem,” co wieczór przygotowywała mu napar z lipy, który według słów księcia Leona miał go doprowadzić do rychłej śmierci. Z anielską cierpliwością znosiła jego lekceważący stosunek do siebie i liczne zdrady. Jej twarz, nosząca ślady dawnej urody, otaczała aureola starannie ułożonych, siwych włosów.

Ubierała się zawsze na lila lub lilaróż.

— Tanieczko, moje biedactwo — odezwała się po polsku lekko drżącym głosem, kiedy robiłam przed nią ukłon. — Twoja kochana matka, taka młoda, taka piękna!

Z dziecięcym okrucieństwem oceniłam, że jest śmieszna. Następnie przechodziłam z rąk do rąk licznie zebranych gości. Niektóre damy wyrażały ubolewanie, że nie jestem podobna do swej zmarłej matki. Ale sprawiedliwie dodawały, że mam wyjątkowe oczy, śliczne włosy, no a poza tym, że o wiele ważniejsze od urody jest dobre wychowanie. Ich słowa sprawiły mi oczywiście przykrość.

Wuj Stach zauważył moją posępną minę. Ujął mnie pod brodę i oświadczył:

— A ja myślę, że Tania jest bardzo ładna. Wygląda zupełnie tak samo jak jej ciocia Zofia, kiedy była w jej wieku.

Wieczorem do mego pokoju przyszli wujostwo, by mnie pocałować na dobranoc, potem zajrzała niania, by mnie opatulić, ale zanim usnęłam, miałam jeszcze jednego niespodziewanego gościa. W oknie balkonowym pojawił się kuzyn Stefek; był już w piżamie, bose stopy skrzyżował nonszalancko, jedno oko przesłonił mu brązowy lok.

Popatrzył na mnie przeciągle, po czym oświadczył:

— Tata uważa, że jesteś bardzo ładna... ale ja nie podzielam jego opinii.

— Powiedziawszy to, uciekł.

Wybuchnęłam płaczem. Poczułam się brzydka, niechciana, opuszczona i zupełnie samotna. Pamiętając słowa babci, ukryłam głowę w poduszkę i szlochając usnęłam.

Przez dwa tygodnie chodziłam nadszana. Ale podczas uroczystości dożynkowych cały mój smutek pierchnął.

Rano przez dziedziniec przemaszerowali w barwnym pochodzie chłopci z całego majątku. Najpierw kroczył chór chłopięcy, niosący obrazy świętych. Za nimi szły dziewczęta w samodziałowych spódnicach w czarno-pomarańczowe pasy, ze sznurami kolorowych paciorków wokół szyi. Obok na białych koniach w odświętnych uprzężach jechali mężczyźni w długich sukmanach i kapeluszach z piórami. Dziewczęta włożyły ciotce Zofii koronę, uplecioną z kłosów i polnych kwiatów, a członkowie poszczególnych rodzin kładli przed księciem Stanisławem, swym panem, po snopie pszenicy.

Potem odbyła się zabawa na świeżym powietrzu. Równy z zachodem słońca niewyraźny dźwięk bębnow oznajmił zbliżanie się kapeli.

Wszystkie dzieciaki wybiegły na spotkanie muzykantów. Za doboszem kroczyli żydowscy skrzypkowie w długich, czarnych chałatach, z rozwianymi brodami i kręconymi pejsami. Podskakując i kręcąc się wokół grajków niczym rój motyli wokół czarnych żuków, gromadka dzieciaków w barwnych strojach doprowadziła zespół na łąkę, gdzie już wcześniej wzniesiono dla tancerzy podium z desek.

Przy świetle japońskich lampionów, porozwieszanych na gałęziach olbrzymich lip, najlepiej pracującą podczas żniw parę jednogłośnie okrzyknięto królem i królową balu. Po uroczystej koronacji, której dokonał książę Stanisław, król z królową odtańczyli oberka. Potem wuj Stach poprosił do tańca królową, a król odważnie podszedł do ciotki Zofii i porwał ją w tan. Wkrótce na estradzie zakotłowało się od pasiastych spódnic i rozwianych pół sukman; dźwięk bębna, przytupywanie, klaskanie i okrzyki „oj dana” podkreślały jeszcze szalony rytm melodii. Niektóre tańce wykonywano czwórkami, inne — trójkami. Od czasu do czasu tańczono ulubionego przez wszystkich mazura; zaczynał się dumnie, zawiadacko, wesoło, by po chwili stać się poważny, ale zawsze kończył się szybkimi obrotami jak w oberku.

Tańczyłam do utraty tchu ze Stefkiem, Kazikiem i wiejskimi chłopakami. Wreszcie, kompletnie wyczerpana, usiadłam na kolanach wujecznemu dziadkowi Leonowi. Dzieciaki pokładły się na stratowanej murawie. Starzy chłopi siedzieli, kiwając się przy zastawionych stołach. Gdzieniegdzie rozlegało się chrapanie mężczyzn, których zmogła śliwowica czy wódka. Przypatrywałam się robaczkom świętojańskim, dającym jakieś tajemne znaki gwiazdom migoczącym nad pałacowymi wieżami, i nagle ogarnęła mnie senność. Obudziłam się, kiedy brał mnie na rękę wuj Stach.

Stefek stał obok cioci Zofii, przyglądając mi się.

— To jeszcze straszny dzieciak, prawda, mamusiu? — powiedział zabawnym tonem.

Wydawał mi się niezwykle atrakcyjny w czapce z piórkiem, więc zacisnąwszy powieki, zapragnęłam gorąco, by kiedyś nazwał mnie piękną.

Po dożynkach chłopi powrócili do swych wiosek, a wuj Stach i ciocia Zofia — do swych obowiązków. Oprócz sprawowania pieczy nad olbrzymim gospodarstwem domowym, uspokajania swego teścia-tyrana i wydawania licznych przyjęć, ciocia Zofia dbała też o zdrowie okolicznych mieszkańców. Kazała przebudować pawilon gościnny, znajdujący się we wschodniej części pałacowego ogrodu, na szpital o czterdziestu łózkach, z oddziałem położniczym i przychodnią lekarską. Towarzyszyłam jej w codziennych wizytacjach szpitala i byłam nim zafascynowana. Lubiłam panujące tu spokój, prostotę i czystość. Podobały mi się lśniące pojemniki i narzędzia lekarskie, zwykle wywołujące u dzieci niesmak lub przerażenie. Dla mnie miejsce to było bardziej oazą nadziei i spokoju niż cierpienia.

Pacjenci zawsze byli skorzy do rozmów, nawet z sześciolatnim dzieckiem. Pytałam, gdzie ich boli, a potem próbowałam się dowiedzieć od cioci, czemu. Wstrząsem było dla mnie odkrycie, że nic zawsze można im pomóc. Ciocia Zofia nauczyła mnie bandażować rany. Przez całe dni



łam się w nowej umiejętności na lalkach i Bobiku, mým cierpliwym seterze. Choć bardzo lubił brykać i dokazywać, widocznie rozumiał, jaką wagę przywiązuję do zabawy w doktora. Wolałabym mieć prawdziwego pacjenta, ale Stefek i Kazik na ogół ignorowali mnie nawet podczas tych krótkich chwil, gdy nie byli pochłonięci swoimi tajemniczymi wyprawami, w których tak pragnęłam im towarzyszyć.

Zaraz pierwszego popołudnia, kiedy pod nieobecność wujostwa zostawiono mnie bez opieki, wymknęłam się kuchennym wyjściem z pałacu. Bobik z radością przyjął perspektywę wyprawy w nieznane i pobiegł za mną. Minęłam park, pawilon szpitalny, stajnie i wyszłam przez wschodnią bramę, która w okresie pokoju nigdy nie była zamykana. Droga na prawo prowadziła na cmentarz usytuowany na skraju wiślanej skarpy, skąd rozciągał się widok na dolinę i rzekę. Na lewo odchodziła droga do wsi. Kilka starszych kobiet w białych chustach na głowie siedziało na przyzbach, pod wąskimi okienkami czystych, pobielonych chat.

Widząc mnie wstawały i kłaniały się.

— Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus, najjaśniejsza panienko — mówiły, a ja odpowiadałam im, korzystając z kilku poznanych już polskich słów:

— Na wieki wieków.

Minęłam wyludnioną wioskę — większość chłopów udała się na targ — i znalazłam się na pastwisku, które służyło Stefanowi za plac defilad i miejsce ćwiczeń oddziału, w którego skład wchodziłi wiejscy chłopcy. Jego podkomendni byli w miasteczku, więc „pan porucznik” został sam. Fakt braku ludzi wcale go nie trapił. Odezwał się do wyimaginowanego dobosza: „Oficerowie do mnie”. Po chwili, przeistaczając się w dobosza, wezwał oficerów. Następnie, już jako pułkownik ułanów zasławs-kich, wydał rozkazy. W końcu dosiadł konia i wzniósłszy szablę, z takim impetem natarł na wroga, że kiedy padł, śmiertelnie ranny, podbiegłam do niego, krzycząc:

— Stefku, Stefku, jesteś ranny?

Lanca przebiła mu brzuch; jęcząc wił się z bólu, póki jej nie wyciągnęłam. Zaproponowałam zabawę w szpital polowy. Znosiliśmy rannych z pola bitwy do namiotu zbudowanego z przeżartego przez mole koca. Służył nam za punkt opatrunkowy. Stefek na zmianę był sanitariuszem i rannym, a ja — chirurgiem i pielęgniarką.

Byliśmy tak pochłonięci zabawą, że nawet nie zauważyliśmy, kiedy pojawiła się mała Wanda, najmłodsza córka wiejskiego sołtysa. Była mniej więcej w moim wieku, ale drobniejsza, ładniejsza i znacznie bardziej umorusana. Przyglądała się nam z niezwykle zainteresowaniem, gryząc kosmyk jasnych włosów. Wkrótce zabawa nam się znudziła. Znużeni poszliśmy do starej, opuszczonej stajni stojącej na skraju pastwiska. Na zardzewiałych gwoździach wisiały zniszczone upręże, szyby w oknach były popękane, w pustych żłobach brzęczały osy. Doszłam do wniosku, że to miejsce znacznie lepiej nadaje się na szpital niż namiot i że zabawa będzie o wiele ciekawsza, kiedy naszą pacjentką zostanie Wanda.

— To jest szpital, ty jesteś pacjentem, ja lekarzem, a panicz Stefan ordynansem — wyjaśniłam.

— Czemu mam być ordynansem? Dlaczego nie mogę być lekarzem? — chciał wiedzieć panicz Stefan.

— Zawsze chcesz być najważniejszy.

— Albo będę doktorem, albo się nie bawię.

— No dobrze, on jest doktorem, a ja jestem pielęgniarką. Zaraz położę cię do łóżka — rozłożyłam na podłodze trochę siana — i dam ci szpitalny szlafrok. Ale najpierw musisz się rozebrać — powiedziałam do Wandy wolno i dobitnie po angielsku, trzymając ją za rękę i zbliżywszy twarz do jej buzi.

Stefek wydał swe okrągłe policzki, a potem od niechcienia przetłumaczył moje polecenie.

Wanda, chichocząc, zaczęła ściągać ubranie. Nagusieńka położyła się na sianie, wciąż żując kosmyk włosów i spoglądając na nas spod oka. Stefek przyglądał się jej nerwowo.

To niemądra zabawa. Czuję, że źle się dla mnie skończy.

Byłam zbyt zajęta pacjentką, by zwracać uwagę na jego słowa. Dotknęłam czoła Wandy i włożyłam jej do ust kawałek słomki, która miała udawać termometr. Nie wiem, czemu wywołało to we mnie całkiem nowe skojarzenia.

Usiadłam na piętach i wskazując na słomkę, powiedziałam:

— Stefku, spójrz, masz. To parowiec.

— Parowiec? — powtórzył Stefek. — Parowiec! — Oboje wybuchnęliśmy śmiechem.

Wanda-parowiec uklękła, nie przestając przygryzać włosów.

Właśnie w tym momencie drzwi się otworzyły z przeraźliwym skrzypieniem i jakaś kobieta wsunęła głowę do środka.

— Wanda, gdzie jesteś? Poczekaj, niech no tylko cię znajdę! — Nagle, spostrzegłszy skuloną ze strachu córkę, wydała głośny okrzyk i zaczęła okładać ją kuksańcami.

— Oj, ty niecnoto, a więc to tak się zabawiasz z jaśnie paniczem i panienką! Poczekaj tylko, zobaczysz, jak oberwiesz od ojca. Niech no tylko wróci do domu z jarmarku. A ty, paniczu — zwróciła się do Stefka — żebyś tak się zabawiał z małymi dziewczynkami! Co na to powie twoja świątobliwa matka i szlachetny ojciec, zawsze tacy sprawiedliwi dla swych ludzi? Niech mi Bóg świadkiem, nie ujdzie ci to na sucho. W twoim wieku robić takie rzeczy z dziewczynkami! — wyrzucała z siebie jednym tchem, ubierając płaczącą córkę.

— Matka Wandy narobi straszego rabanu. Czuję, że tym razem nie ujdzie mi to płazem — powiedział Stefek, kiedy już zostaliśmy sami. Zaproponowałam, żebyśmy uciekli z domu, ale Stefek oświadczył, że nas złapią. Ujeliśmy się za ręce, gotowi wspólnie ponieść czekającą nas karę, i wyszliśmy na oślepiający blask dnia. Chłopi wracali z targu. Wandę i jej matkę otaczała grupka kobiet. Zaczęły wskazywać na nas palcami chłopców, którzy odważyli się podbiec do swego „pana porucznika”, ostro przywoływano z powrotem.

Stefek nie mógł znieść spojrzeń wieśniaków i zaprowadził mnie do pałacu przez boczną furtkę. Na dziedzińcu — oprócz czarnego, ozdobionego herbem powozu, którym wuj Stach i ciocia Zofia wrócili do domu — stało kilka chłopskich bryczek. Mieszkańcy wsi uprzedzili nas i już zameldowali o naszym przestępstwie. Zaprowadzono nas do gabinetu wuja Stacha.

Wuj Stach popatrzył na nas zza biurka z kamienną twarzą, gładząc wąsy wskazującym palcem prawej ręki. Upewniwszy się, że złożone przez sołtysową doniesienie jest prawdziwe, zwrócił się do Stefka lodowatym tonem:

— Czy zdajesz sobie sprawę z tego, co zrobiłeś?

— Dopuściłem się wykroczenia wobec naszych ludzi.

— Tak. A to, jak wiesz, jest czynem najbardziej karygodnym. Nasza władza i przywileje nie są już tak wielkie jak niegdyś, ale wystarczająco duże, by nie wolno nam było ich nadużywać. Próbowaliśmy ci to wpoić od chwili, gdy byłeś już na tyle duży, by się czegoś nauczyć. Jak widać, nic nie pojąłeś. Otrzymasz nauczkę, którą popamiętasz na zawsze.

Następnie wuj Stach dał znak sołtysowi i jego żonie by mu towarzyszyli do zbrojowni jako świadkowie ukarania jego syna. Do mnie powiedział:

— Ty również pójdziesz, panienko, bo to ty namówiłaś do wszystkiego Stefka.

Ciocia Zofia, która podczas całej tej sceny stała w milczeniu pod oknem, spytała męża, czy może z nim zamienić słówko na osobności. Wuj spojrział na nią tak, jakby była zwykłą petentką, i odparł chłodno:

— Porozmawiamy, jak tylko będę wolny. A teraz proszę nas zostawić samych.

Zanim doszliśmy do drzwi gabinetu, w progu pojawiła się wujeczna babka Katarzyna. Złożyła swe szczupłe dłonie i zaczęła błagać po polsku: Synku... miej litość... w imię Ojca i Syna... Stefan jest jeszcze taki mały...

Wuj Stach spojrział na matkę identycznie jak przed chwilą na żonę. Chciała przed nim paść na kolana, ale ujął ją pod ręce i delikatnie posadził na kanapie.

— Zofio, zajmij się matką — powiedział i wyszedł. W holu przyłączył się do nas, sapiąc głośno z przejęcia, księżę Leon i wszyscy podążyliśmy do zbrojowni, gdzie zebrali się już sołtys z żoną i córką oraz kilkunastu chłopów. Obok klęcznika stał stajenny. W ręku trzymał bat.

Stefek podszedł do klęcznika jakby w transie, zdjął koszulę i podał ją lokajowi ojca, Józefowi. Uklęknął, skrzyżował ręce i ukrył w nich twarz. Józef podał mu twardy, gumowy munsztuk, by chłopiec mógł na nim zacisnąć zęby. Wuj położył mi dłonie na ramionach i skinął stajennemu głową.

Zapanowała głucha cisza, przerywana jedynie rytmicznymi uderzeniami bata. Chciałam jęczeć, kopać i gryźć, ale wuj trzymał mnie w żelaznym uścisku, więc mogłam wyłącznie mrużyć oczy i wzdrygać się przy każdym kolejnym świszczącym odgłosie bicia. Na plecach Stefka pojawiły się czerwone pręgi.

Mała Wanda powoli wychyliła głowę, którą początkowo ukryła w spódnicy matki.

— Patrz, matka, on nie płacze — szepnęła.

— A co, myślisz, że to jaki prosty chłop? — dumnie odparła jej matka. Na czerwonych, napiętych twarzach zgromadzonych wieśniaków malowała się duma pomieszana ze współczuciem.

Wydawało mi się, że minęła cała wieczność, nim wuj Stach puścił moje bolące ramiona i dał znak, by przerwano chłostę. Zrobił to w chwili, gdy z pleców Stefka zaczęła płynąć krew. Stajenny się cofnął, a Józef starł krew i zajodynował rany na plecach Stefka. Potem wytarł mu twarz gąbką i pomógł wstać.

Błądą twarz wuja Stacha pokryły drobne kropelki potu, ale odezwał się swym zwykłym, spokojnym głosem: Czekamy na twoje przeprosiny, paniczu.

Wydawało się, że Stefek nic nie widzi i nie słyszy. Wuj powtórzył polecenie.

— Proszę o przebaczenie za mój czyn... Nigdy już... się to nie powtórzy...  
— powiedział Stefek bezbarwnym głosem.

Chłopi się rozpromienili i kłaniając się, opuścili pomieszczenie.

Wuj Stach polecił, by zaprowadzono nas do lochu i zamknięto w osobnych celach.

Zastukałam w ścianę swojej celi. Nie usłyszawszy odpowiedzi, zaczęłam walić i kopać w żelazne drzwi. W zakratowanym okienku ukazała się miła, gładko ogolona twarz Józefa.

— Józefie, pozwól mi zobaczyć się z paniczem Stefanem, proszę, Józefie, proszę!

Józef przekręcił klucz w zamku, zaprowadził mnie do celi Stefka i zamknął nas tam razem.

Stefek leżał na brzuchu, wspierając głowę na rękach. Przykucnęłam obok niego i szepnęłam:

— Stefku, Stefku, źle się czujesz?

Odwrócił do mnie twarz i popatrzył mętnym wzrokiem.

— Napilem się wody, ale wszystko zwymiotowałam. Strasznie dokucza mi pragnienie.

Nalałam wody do cynowego kubka i przytknęłam mu go do ust. Nie miałam chusteczki, więc zwilżyłam spódniczkę i wytarłam mu twarz.

— Lepiej ci teraz, Stefku? — spytałam. — Bardzo cię boli?

— Cieszę się, że mnie bolą plecy, bo wtedy nie czuję takiego bólu w środku — odpowiedział i ukrywając twarz w dłoniach, wybuchnął szlochem.

Nie rozumiałam, czego Stefek miałby się wstydzić. W moim dziecięcym świecie nie zetknęłam się jeszcze — podobnie jak moje towarzyszki zabaw z cesarskiego dworu — z pojęciem „nasi ludzie” i ciągle nie uważałam, byśmy zrobili Wandzie coś złego.

-- Stefku, uspokój się. Wszystko będzie dobrze. Nikt już nie ma do ciebie pretensji. Wszyscy bardzo cię lubią, Stefku, naprawdę. Nic płacz już — prosiłam go.

Przestał łkać. Poglądziłam go po głowie.

— Lubię cię, Stefku. Bardzo cię lubię. Przykro mi, że tyle przeze mnie wycierpiałeś. Okropnie mi przykro.

Przechylił głowę i ukazał w szerokim uśmiechu swoje nieliczne zęby.

— Ja też cię strasznie lubię, Taniu. Przepraszam, że ci powiedziałem, że jesteś brzydka. Masz piękne włosy, zupełnie jak moja matka. — Poglądził je delikatnie.

Zbliżyłam twarz do jego twarzy.

— Stefku, czy moglibyśmy zostać prawdziwymi przyjaciółmi, mieć wspólne tajemnice i w razie potrzeby umrzeć jedno za drugie? Stać się braćmi jak ty z Kazikiem?

— Głuptasie, jesteś dziewczynką, więc nie możesz zostać moim bratem.

— Ale mogę być twoją siostrą, co, Stefku? Mogę?

— Musielibyśmy zmieszać naszą krew, a jestem teraz zbyt zmęczony.

— Ja to zrobię, Stefku. Powiedz mi tylko jak. Zgodnie z instrukcjami wyciągnęłam mu zza pasa finkę,

z wprawą godną chirurga nacięłam nią swoje przedramię, a potem — już nie tak spokojnie — ramię mego kuzyna. Wyssaliśmy sobie nawzajem nieco krwi, a następnie przytknęliśmy rany, by porządnie wymieszać naszą krew, przy okazji brudząc nią siennik i ubrania. Przypominając sobie nauki udzielone przez ciocię Zofię, oddarłam kawałek spódniczki, po czym mocno obwiązaliśmy skaleczenia, które wkrótce przestały krwawić.

Następnie Stefek powiedział uroczystym tonem:

— Ja, Stefan Stanisław Leon August, książę Zasławski, przysięgam przed Panem Bogiem pomagać mej siostrze Tatianie zawsze i wszędzie, nie mieć przed nią żadnych tajemnic, znosić dla niej najstraszniejsze tortury i umrzeć dla niej, co poręczam słowem Zasławskiego. Amen.

Powtórzyłam słowa przysięgi, dodając od siebie:

Jeśli będziesz cierpiał, ja będę cierpiała z tobą, jeśli zostaniesz ukarany, ja będę dzieliła karę z tobą, jeśli wyru-

szysz na wojnę, ja wyruszę razem z tobą, i wszystko będziemy robić wspólnie, bo się kochamy i nigdy nic przestaniemy się kochać.

Nie byłam pewna, jak Stefek przyjmie tę deklarację, ale popatrzył tylko na mnie uważnie, jak owego pamiętnego wieczora po dożynkach. Jego spojrzenie dodało mi odwagi; wyciągnęłam się obok niego i objęłam go za szyję. Była zdumiewająco gorąca i delikatna. Położył mi rękę na ramionach. Rozległ się grzmot i pierwsze krople deszczu spadły na dziedziniec, a potem zaczęły wlatywać przez zakratowane okienko celi. Po brudnej podłodze wędrowały uciekające przed ulewą mrówki. W lochu zrobiło się ciemno i zimno. Przysunęłam się do Stefka, a on objął mnie mocniej ramieniem. Usnęliśmy przytuleni do siebie i tak zastali nas o zmroku ciocia Zofia i wuj Stach. I nawet mój zasadniczy wuj wzruszył się i odstąpił od wymierzania dalszych kar.

Po ceremonii braterstwa krwi staliśmy się ze Stefkiem nierozłączni. Kiedy już wyzdrowiał, z samego rana pojawiał się w moim pokoju razem ze swym owczarkiem niemieckim. Potem biegliśmy przez galerię do błękitnej sypialni cioci Zofii, gdzie pod czujnym okiem wuja Stacha dokazywaliśmy razem z psem.

— Nie brykaj tak, mój chłopcze — zwracał mu od czasu do czasu uwagę ojciec lub pytał ciocię Zofię: — Nie uważasz, że jest już trochę za duży na takie zabawy?

— Nie bądź taki zasadniczy, Stachu. Wkrótce z tego wyrośnie — odpowiadała ciotka z uśmiechem.

Wuj, choć tego nie okazywał, bardzo kochał ciocię. Wobec syna jednak czuł nieświadomioną urazę, wynikającą z faktu, że jego narodziny niemal spowodowały śmierć ciotki. Niechęć ojca często prowokowała Stefka do nieposłuszeństwa wobec niego. Ciotka bardzo z tego powodu cierpiała. Nigdy nie czyniła mężowi wymówek, ale odsunęła się od niego, a ponieważ wuj nie potrafił otwarcie okazywać swych uczuć, ich harmonijne małżeństwo zakłócały niekiedy okresy wzajemnego ochłodzenia stosunków.



Jeden z takich okresów nastąpił po wyjątkowo surowym ukaraniu Stefka po naszej zabawie w doktora. Czas, który ciotka Zofia spędzała zwykle z wujem, teraz całkowicie poświęciła nam. Zakładała czarny kapelusz, przypominający czapkę pocztyliona, osłaniała twarz szyfonową woalką i wyruszała z nami na konne przejażdżki. Chodziliśmy też z nią do lasu na grzyby. Kiedy rozlegał się dźwięk dzwonu, oznajmiający zbliżanie się burzy, szliśmy wszyscy do kapliczki wyrzeźbionej wewnątrz pnia olbrzymiego dębu, by wspólnie z chłopami modlić się o oszczędzenie plonów.

Płomyki świec stojących przed wizerunkiem św. Stanisława i św. Kazimierza chwiały się na wietrze. Słowa modlitwy zagłuszał huk grzmotów. Gdy spadały pierwsze, wielkie krople deszczu, chłopci biegli w stronę wsi, a my, trzymając ciotkę Zofię za ręce, pędziliśmy do pałacu, wrzeszcząc przeraźliwie. Błyskawice rozświetlały galerię i porośnięte bluszczem szczyty pałacu. Nad żwirowymi alejkami unosiły się liście i tumany kurzu. Gładką zwykle powierzchnię stawu pokrywały zmarszczki, łabędzie stroszyły pióra. Lokaj wychodził nam naprzeciw z wielkim, zielonym parasolem. Ledwie zdążyliśmy dobiec do domu, a ulewa rozpoczynała się na dobre. Przytykaliśmy wtedy nosy do szyby i udawaliśmy, że się boimy.

Po beztróskim lecie w Polsce nadeszła petersburska zima, podczas której bardzo ograniczono swobodę moją i Bobika. Grandmaman z największą powagą zajęła się moim wychowaniem i cały czas wypełniały mi lekcje, zajęcia sportowe i praktyki religijne. Znów spacerowałam wzdłuż zamrożonej Newy pod czujnym okiem Fiodora i chodziłam do Pałacu Zimowego na lekcje tańca.

Aleksandra, ponownie przy nadziei, była dla mnie, sieroty, wyjątkowo miła.

Chcąc dorównać mojej imienniczce, próbowałam walczyć ze swym buntowniczym charakterem i okazywać miłość oraz posłuszeństwo rodzinie cesarskiej. Nie przychodziło mi to łatwo; pod tym względem czułam wyraźną przewagę mojej imienniczki.

Natomiast Tatiana Nikołajewna nigdy nie miała dosyć opowieści o moich wakacyjnych szaleństwach w Zaslavicach.

— Taniu, opowiedz nam o nocy w lochu — prosiła. — Opowiedz nam raz jeszcze o zabawie w doktora.

Moja niezależność fascynowała ją. W oczach jej i Olgi byłam niczym jakaś bohaterka książki przygodowej.

Współczucie cesarzowej rozciągało się również na mego ojca, wciąż opłakującego śmierć matki i unikającego towarzystwa. Dawniej uważał, że wiktoriański tryb życia monarchów cechuje sztywność i prowincjonalizm. Ale teraz, w stanie przygnębienia, w którym się znajdował, chętnie przebywał w ciepłej atmosferze rodzinnej, którą tak dobrze potrafiła kreować para władców i w której sama czuła się

najlepiej. Dla ojca była to ostatnia okazja, by wykorzystując zaufanie, jakim darzył go car, skłonić go do wprowadzenia monarchii konstytucyjnej.

Mikołaj mimo całej swej łagodności był rozmiłowany w sprawach wojskowych. Misja ojca na Dalekim Wschodzie ukazała szokujące nieprzygotowanie armii, i to w okresie, gdy zarówno Rosja, jak i Japonia zaczęły wysuwać roszczenia o Mandzurię, co mogło doprowadzić do rychłego konfliktu zbrojnego. Przy okazji zjednywania sobie Mikołaja dla idei modernizacji dowództwa wojskowego na Dalekim Wschodzie ojciec taktownie napomknął carowi o konieczności zliberalizowania władzy.

— Jaka szkoda — zauważył później w rozmowie z babcią

— że Mikołaj, który byłby idealnym monarchą konstytucyjnym typu króla brytyjskiego, uparcie obstaje przy władzy absolutnej!

Ojciec apelował również do cara o położenie kresu krwawym pogromom, szkodzącym opinii łaskawego despoty, tak drogiej władcy Rosji.

Namawiał cesarza, by rozprawił się z ultranacjonalistami i polecił lokalnym garnizonom chronić ludność żydowską. W tej kwestii ojciec natrafił na dziwną obojętność Mikołaja.

— Doprawdy, całe nasze dzieje naznaczone są jakąś barbarzyńską głupotą! - wykrzykiwał ojciec podczas rozmów z babcią. — I nie jest tu bez winy nasz władca, pod wieloma względami dżentelmen w całym tego słowa znaczeniu. Nie mieści mi się w głowie, jak można aż tak lekceważyć całe grupy ludności. Czemu pogromy nie wywołują oburzenia cara? Jak może określać Japończyków mianem „żółtych małp”? Czemu pozostaje głuchy na żądania Polaków o przyznanie im autonomii?

W lutym 1904 roku — zgodnie z przewidywaniami ojca

— wybuchła wojna rosyjsko-japońska. Rosjanie pewni byli łatwego zwycięstwa. Ojciec zyskał szansę sprawdzenia swych umiejętności dowódczych na polu walki, o czym zawsze marzył. Zrezygnował ze stanowiska w Gwardii Husarskiej, by poprowadzić do Mandżurii dywizję kawalerii.

Podczas drugiej nieobecności ojca Grandmaman chciała mnie zatrzymać przy sobie. Jednak tak zmizerniałam, wychudłam i stałam się apatyczna, że ostatecznie postanowiła mnie zawieść do Zasławic. Nastąpiła tam tak gwałtowna poprawa mego stanu, że babcia wyraziła zgodę, bym pozostała w Zasławicach przez cały okres trwania wojny.

Tym razem Stefek nie posiadał się z radości na mój widok. Kręcił młynki na mą cześć, stawał na głowie, chodził po wąskich murkach, huśtał się niby małpa na gałęziach drzew i drabinkach, jeździł na rowerze bez trzymania i na koniu nie tykając cugli, zdrapywał strupy, by mu leciała krew, wkładał ręce w płomień świecy, poruszał uszami: a wszystko po to, by dowieść swej męskości i wyjątkowych zalet.

Gdy ze swej strony okazałam całkowity stoicyzm, zostałam przyjęta do Stepowego oddziału jako chirurg wojskowy. Włączyłam się z chłopakami po mokradłach i zaroślach, przechodziłam przez lodowate strumyki, wracałam do pałacu podrapana i posiniaczona, w rozdartej sukience, z rzepami i gałązkami we włosach. Ani pełne zgrozy okrzyki panny Bailey, ani nianine „Ach, ty!”, ani delikatne upomnienia cioci Zofii, ani chłodne uwagi wuja Stacha, ani w ogóle żadne formy łagodnej perswazji czy też wymyślne kary nie były w stanie oderwać mnie od Stefka i jego zabaw w wojnę.

Brałam również udział w psotach mego kuzyna, od których nie odstręczały go żadne tłumaczenia ani cięgi. Przebrani za duchy, trzymając pomalowane fosforem gałązki wiśni, ukazywaliśmy się w środku nocy żydowskim stróżom, którzy pilnowali sadu, wywołując ich paniczną ucieczkę. Innym razem uczepteni resorów powozu jechaliśmy do Zasławia i myszkowaliśmy po terenach przystani rzecznej.

Wiele nocy spędziliśmy zamknięci w oddzielnych celach w podziemiach pałacu. Dopiero ogłoszenie stanu wojennego ograniczyło pole naszego działania. W miejscach potencjalnych niepokojów pojawili się kozacy uzbrojeni w długie

nahajki zakończone stalowymi kulkami. Brama wschodnia, od strony wioski, została zamknięta i zabroniono nam opuszczać teren majątku bez opieki dorosłych.

Rozгромienie armii rosyjskiej pod Mukdenem u schyłku zimy 1905 roku, a wiosną zatopienie okrętów w Cieśninie Cuszimskiej w pobliżu Korei, gdzie rosyjska niemrawa flota bałtycka dotarła po wielomiesięcznym rejsie dookoła świata, stanowiło punkt zwrotny wojny. Bunty i zamieszki ogarnęły całe cesarstwo. Wśród klasy robotniczej i chłopstwa szerzyło się podsycane jeszcze przez rewolucjonistów niezadowolenie, wywołane przez rażącą nieudolność autokratycznej władzy.

Preludium do rewolucji była „krwawa niedziela” w Petersburgu, kiedy tłum robotników wraz z rodzinami podążył pod Pałac Zimowy. Pod nieobecność cara na ich petycję w sprawie poprawy warunków pracy odpowiedziano ogniem karabinowym. Oficjalnie przyznano się do ponad stu ofiar śmiertelnych. W rzeczywistości zginęło znacznie więcej ludzi.

„Wiadomość o masakrze niewypowiedzianie mną wstrząsnęła — napisał ojciec w liście do babki. — Cóż to za fatum ciąży nad Mikołajem II, poczynając od tragedii w czasie koronacji, kiedy to nie wiadomo, ile tysięcy ludzi zostało stratowanych na śmierć i zginęło przywalonych pośpiesznie wzniesioną trybuną, aż po tę „krwawą niedzielę”! To prawda, że tłum nie usłuchał rozkazu, wzywającego do rozejścia się, prawda, że to nie car wydał polecenie otwarcia ognia. Ale czemu Mikołaj nie wrócił do Petersburga natychmiast po otrzymaniu wiadomości o panujących nastrojach i nie pokazał się ludności? Czemu ukrył się w Carskim Siole? Czemu nie zakazał użycia siły wobec pokojowo nastawionych demonstrantów, niosących jego portrety i sztandary kościelne? Ten brak stanowczości naszego władcy, jego pasywność w obliczu kryzysu, chowanie głowy w piasek daje naszym prawicowym zapaleńcom wolną rękę. Bóg jeden wie, jakie mogą być konsekwencje ostatnich wydarzeń!

- Na gwałt dokonany przez władze petersburskie odpowiedziano w Moskwie równie gwałtownie: zabójstwem stryja cara, wielkiego księcia Sergiusza. W stolicy i innych ośrodkach przemysłowych rady delegatów robotniczych podzegały do masowych marszów, strajków i zamieszek. Na wsi zapanował na niespotykaną wcześniej skalę „czerwony kur” — szerzyły się podpalenia i mordy.

Jednocześnie liberalna burżuazja wraz z bardziej konserwatywną częścią arystokracji domagali się udziału we władzach. Ogłoszenie przez cara dekretu o Dumie — zgromadzeniu ustawodawczym o bardzo ograniczonej reprezentacji społecznej — nie wpłynęło na uspokojenie sytuacji. Dopiero październikowy manifest cara, zapowiadający swobody obywatelskie i rozszerzenie praw wyborczych, rozładował antyrządowe nastroje. Pod koniec 1905 roku rewolucja ucichła. Ale rozdźwięk, który powstał między narodem i jego władcą pozostał.

Zamieszki w Rosji wpłynęły na ożywienie patriotycznego ducha wśród Polaków, zapalczywych, lecz bardzo podzielonych. Jeszcze raz w Zaslaviu rozłokowano oddziały rosyjskie, by przeszkodzić ewentualnemu wybuchowi powstania.

Wuj Stach był zbyt przezorny, by stanąć na czele rachuj me mającego szans powodzenia. Poleciał schować sztuczną szczękę księcia Leona, by powstrzymać ojca przed wygłaszaniem podzeglających do walki przemówień. Wuj zaangażował cały swój autorytet i wpływy, by ostudzić polskie szalone głowy. Jednocześnie naciskał na władze rosyjskie, by zaniechały znieawidzonego przez jego rodaków nadzoru. Stał się jeszcze bardziej powściągliwy, a zarazem bardziej niecierpliwy wobec syna.

Stefek, nie dając się prześcignąć dziadkowi, jeśli chodzi o okazywanie nastrojów patriotycznych, założył wraz z Kazikiem tajną organizację, którą nazwał: Rojaliści Republikańscy. Jej celem było wyzwolenie Polski spod panowania Rosji, Niemiec i Austro-Węgier oraz doprowadzenie do

wyboru Stefka na króla. Mój kuzyn wydawał opatrzone literami S.R.P. (czyli Stefan Rex Poloniae) instrukcje dla swych zwolenników w całym kraju. Podcinać popręgi u siodeł rosyjskich oficerów kawalerii.

Organizować zasadzki na powozy. Przebijać opony samochodowe.

Wprowadzać zamieszanie podczas uroczystości oficjalnych przez puszczenie w tłum indyka lub gęsi. I tak dalej, i tak dalej.

Gubernator w Warszawie nie mógł trafić na źródło tych dokuczliwych wybryków. Wuj Stach również nie podejrzewał, że rodzą się one pod dachem jego własnego pałacu. Książę Leon, członek Rojalistów Republikańskich, znajdował niewysłowioną przyjemność w pomaganiu chłopcom w wynajdywaniu sposobów naprzykrzania się Rosjanom, na przekór swemu rozważnemu synowi. Mój wujeczny dziadek poradził, by nie wtajemniczać mnie w spisek z obawy, że mogę się wygadać przed moimi towarzyszkami zabaw z cesarskiego dworu.

Czułam, że Stefek coś przede mną ukrywa i bardzo mnie to bolało.

Ponieważ jednocześnie skończyły się czasy niczym nie skrepowanej swobody, więc kiedy wielkie lipy w pałacowym parku zaczęły tracić liście, coraz częściej wyglądałam tęsknie przez okno, wypatrując sań i konnej eskorty oraz ojca, który zabierze mnie do domu.

We wrześniu 1905 roku dzięki pośrednictwu prezydenta Teodora Roosevelta Rosja i Japonia podpisały w Portsmouth w New Hampshire traktat pokojowy, zrzekając się praw do Mandżurii. Pewnego deszczowego, październikowego dnia, kiedy schodziłam razem z panną Bailey na podwieczorek, ujrzałam w holu na dole wysokiego, przystojnego oficera w mundurze rosyjskim. Zbiegłam po schodach i rzuciłam się ojcu na szyję.

Całkowicie otrząsnął się już po śmierci matki. Przedwczesna siwizna, jedyny widoczny ślad po tym ciężkim przeżyciu, dodawała mu jedynie uroku w połączeniu z dumną urodą i młodzieńczą, rumianą twarzą.

Ale ci, którzy go znali lepiej, dostrzegali w pięknych, szarych oczach, od dzieciństwa skłonnych do melancholii,

nieuleczalną, w pełni rozwiniętą depresję. Ton jego głosu i żywe, wesołe zachowanie były tylko pozą, podobnie jak powściągliwość u wuja Stacha. Czasami ojciec wydawał się zmęczony rolą beztroskiego lekkoducha, wtedy spojrzenie jego żywych oczu stawało się nieobecne, jakby ich właściciel przeniósł się w jakąś odległą krainę, gdzie nikt nie może mu towarzyszyć. Całym swym jestestwem doświadczałam wówczas niezmiernego cierpienia, dotkliwego jak ból przeżywany przez małą syrenkę, bohaterkę mojej ulubionej baśni. Znów czułam się opuszczona i wątpiłam w jego miłość. Jego duchowa nieobecność wywoływała w moim sercu strach, podobnie jak w sercach wielu kobiet, które wyobrażały sobie, że potrafią wyleczyć ojca z melancholii i na nowo rozpalić w nim isierkę życia.

Po dwóch radosnych tygodniach w Zaslavicach ojciec zabrał mnie do Petersburga. Chcąc pełniej poświęcić się dziełu reorganizacji armii, która nie zdała egzaminu w warunkach wojennych, zrezygnował z czynnej służby. Od 1904 roku był członkiem Cesarskiej Rady Obrony, obecnie zasiadał również w Radzie Państwa. Jako przewodniczący komisji zagranicznej, często wyjeżdżał z kraju. Wiosną 1906 roku popłynęliśmy naszym jachtem „Helena” z Krymu do Southampton.

Moja pierwsza wizyta na Wyspach Brytyjskich pozostała mi w pamięci ze względu na osobę mojej nowej guwernantki Diany Yates, młodej kobiety, zatrudnionej na miejsce panny Bailey. Diana, córka walijskiego chirurga, była ładna i zgrabna, miała jasną cerę, pokrytą gdzieś piegamami, rude włosy i zielone oczy. Odznaczała się miłym głosem, dyskretnym poczuciem humoru i niezwykłym zrównoważeniem. Studiowała w Cambridge i była sufrażystką. Miałam niewielu przyjaciół, ale tych, których miałam, obdarzałam gorącym uczuciem; bardzo szybko szczerze polubiłam swoją guwernantkę.

Ze Szkocji pożeglowaliśmy do Francji. W Paryżu znaleźliśmy się akurat w porze kwitnienia kasztanów. Naszej



oficjalnej wizycie w prezydenckim Pałacu Elizejskim towarzyszyła większa pompa niż wizytom w Pałacu Buckingham czy na zamku Windsor, w wyniku czego nabrałam przekonania, że *president de la republiqae* to więcej niż król, choć mniej niż cesarz.

Chętnie grywałam w serso w alejkach ogrodu Tuileries. Mniej chętnie zwiedzałam liczne muzea, do których wyprawy organizowane były według słów ojca dla mojego dobra, ale w rzeczywistości znacznie bardziej interesowały pannę Yates. Natomiast ochoczo odwiedzałam antykwiariaty, gdzie ojciec wynajdywał skarby, które chciał zabrać do domu; własnoręcznie czyścił je miksturą z żółtek, podwinawszy uprzednio rękawy koszuli i zdjąwszy z palców pierścienie.

Ale najbardziej pokochałam Włochy, a one odpląciły nam tym samym uczuciem. Z Nicei popłynęliśmy do Neapolu, ale czy to na południu, czy na północy, na Ischii, w Lago Maggiore, Florencji, Rzymie czy Wenecji *U signor principe russo e la suafigliola* przyjmowani byli niezwykle serdecznie. Zapragnęłam poznać włoski, ulubiony język ojca po ojczystym, i ojciec natychmiast zaczął udzielać lekcji mnie i guwernantce. Okazałam się pojętniejszą uczennicą od niej; sprawiło to, że jeszcze bardziej ją polubiłam.

Żeglowaliśmy wzdłuż wybrzeży Grecji, kierując się do domu; ojciec siedział na rufie, w zamyśleniu postukując ręką o poręcz leżaka, ze wzrokiem utkwionym w ślad zostawiany na wodzie przez nasz jacht. Podbiegłam do niego.

— Tatusiu, mogę zwracać się do panny Yates po imieniu, prawda? — zawołałam (do tej pory zwracałyśmy się do siebie „panno Yates” i „panienko Tatiano”).

Ojciec podniósł się i spojrzał na Dianę spod na wpółprzy-mkniętych powiek, tak jak patrzy się na krajobraz, który ma się zamiar namalować. „Chcąc wiedzieć, jaki wybrać kolor, trzeba nieco zmrużyć oczy, aby objąć całość, a nie poszczególne detale” — pouczał mnie, kiedy po przybiciu do brzegu jakiejś idyllicznej zatoczki Morza Egejskiego utworzyliśmy na plaży akademię sztuk pięknych.

— Jeśli o mnie chodzi, nie mam nic przeciwko temu — odpowiedział. — Sam chętnie tak bym się do niej zwracał. Diana to takie piękne imię.

— Może mi pan mówić po imieniu, książę — oświadczyła guwernantka, rumieniając się lekko.

Od tej pory była dla nas Dianą i nie widziałam nic podejrzanego w pewnej nieśmiałości, którą okazywała wobec ojca. Byłyśmy bardziej jak siostry niż jak uczennica i nauczycielka.

W naszej petersburskiej siedzibie Diana otrzymała pokój naprzeciwko mojego. Często, gdy niania opatulila mnie już kołdrą na noc, przekradałam się do sypialni guwernantki i mówiłam:

— Diano, moja najdroższa, wcale nie chce mi się spać. Porozmawiajmy!

— No cóż, dobrze... ale nie za długo — zgadzała się Diana.

Przytulałam się do niej, a ona opowiadała mi o swym ojcu, wybitnym chirurgu, i o tym, jak osiągnął swoją pozycję, albo o innych wielkich ludziach medycyny — sir Oslerze i lordzie Listerze, Pasteurze, Zimmelweissie i Kochu. Ukończyła kurs pielęgniarstwa i przyjęła posadę guwernantki, by zarobić pieniądze na studia medyczne i kupno praktyki.

^ Uważałam to za szczególnie podniecające, że obie chciałyśmy zostać lekarkami. Po tych wieczornych rozmowach, leżąc już w swym łóżku, wyobrażałam sobie, że jestem bohaterską lekarką zwalczającą epidemię, przeprowadzającą operacje w szpitalach polowych, w ogniu bitew, udzielającą pomocy ofiarom wypadków drogowych. Były to wszystko krwawe wizje, w których dziecięcy sadyzm mieszał się z humanitaryzmem. W następujących po takich nocach dniach ze zdwojoną energią przykładałam się do nauki, szczególnie do arytmetyki, do której nie miałam takich zdolności jak kuzyn Stefek. A wszystko dlatego, że Diana, uśmiechając się łagodnie, stwierdziła, że jeśli ktoś chce zostać lekarzem, musi porządnie poznać matematykę.

Czasami naszym lekcjom przysłuchiwał się ojciec. Często przestawał nagle stukać w stół i wstając, proponował niespodziewanie, byśmy udali się na przejażdżkę. Zaprzęgano trojkę i wyruszyliśmy przez płaskie, lesiste okolice. Usadawiałam się między ojcem i Dianą, spoglądając w zachwycie raz na nią, raz na ojca, szczęśliwa, że jestem tak blisko dwóch najbardziej kochanych osób — w dzieciństwie ostatnia miłość jest zawsze największa — zachwycona pędem, białymi przestrzeniami, chłodem, skrzypieniem płóz, pobrzękiwaniem dzwoneczków u sań, okrzykami woźnicy, a przede wszystkim bliskością mego cudownego ojca. Ubrany w palto z pelerynką i kołnierzem z norek, wyciągał ramię wzdłuż oparcia, swobodny, odprężony, a kiedy sanie podskakiwały na nierównej drodze, przytrzymywał lekko Dianę. Zrazu natychmiast cofał dłoń, ale wkrótce zaczął przytrzymywać ją przez całą drogę, co wydało mi się całkiem naturalne.

Na początku 1907 roku ojciec pod wpływem jakiegoś chwilowego impulsu, którym zwykle się kierował, postanowił spędzić parę dni w naszej podmiejskiej daczce. Główny budynek zamykano na zimę, ale domek myśliwski, w którym mieszkał gajowy z żoną, był zawsze gotów na przyjęcie gości. Była to duża, piętrowa chata z bali wzniesiona pośrodku lasu jodłowego, kilkaset metrów od brzegu zatoki. Choć wyposażona była w nowoczesne instalacje, miała wystarczająco siermiężny wygląd, by służyć ojcu za miejsce do urządzania „rosyjskich” przyjęć dla zagranicznych gości.

Dotarliśmy na miejsce o zmroku — ojciec, jego ordynans Siemion, Diana, niania i ja. W dużej izbie było przyjemne ciepło od wielkiego, kafłowego pieca. Na stole ustawiono *zakuski*, rosyjskie przekąski. W samowarze kipiał już wrzątek. Było ciepło, miło i przytulnie. Podłoga z sosnowych desek pomalowana była na czerwono. Drewniane stoły i skrzynie miały barwne dekoracje. Wysoko w rogu, tam, gdzie wisiały ikony, paliła się *lampada* — mała, czerwona lampka. Wzdłuż całej jednej ściany stała ława.

Po kolacji ojciec wyciągnął się na ławie, wspierając się na barwnych poduszkach, i przytuliwszy mnie do piersi, po-

prosił, by coś zagrano. Gajowy wyciągnął harmonię. Siemion bałałajkę i wszyscy — oprócz Diany — zaczęliśmy śpiewać. Diana siedziała przy stole, uśmiechając się lekko. Było jej wyjątkowo do twarzy w kostiumie z ciemnozielonego aksamitu, obszytego bobrowym futrem.

Kiedy skończyliśmy śpiewać, ojciec poprosił nianię, by zatańczyła. Po odegraniu roli nieśmiałego niewiniątka wystąpiła na środek izby i ująwszy się pod boki, zaczęła okręzać pokój, z początku wolno i majestatycznie, a potem, w miarę jak rosło tempo melodii, coraz prędzej i prędzej.

— Brawo, nianiu! — Ojciec przyciągnął ją ku sobie i zaczął całować.

— Jak ci nie wstyd, księżę, w moim wieku! Proszę mnie puścić! A cóż to wszystko ma znaczyć! — protestowała i opierała się, zachwycona.

— Ja też, ja też chcę cię pocałować, nianiu! — wykrzyknęłam, zazdrosna o ojca i jego pocałunki; niezbyt delikatnie zaczęłam ją obsypywać całusami.

W końcu wyrwała się nam, udając urażoną godność, a ojciec zawołał: — Diano, czemu siedzisz tam sama? Chodź do nas.

— Tak, tak, Diano, usiądź koło mnie — przyłączyłam się do nawoływań ojca.

Diana z uśmiechem usłuchała. Ojciec kazał podać szampana.

— Panno Yates, czy nastrój jest wystarczająco rosyjski? Czy też mam posłać po tańczącego niedźwiedzia i Cyganów? — spytał, podając Dianie kieliszek.

Też poprosiłam o szampana i otrzymałam odrobinę. Wypiliśmy za nasze zdrowie, po czym ojciec rozbił pusty kieliszek o piec — były to nasze najpiękniejsze kryształły z monogramem.

— Rosjanie po wypiciu rzucają puste kieliszki za siebie, panno Yates — powiedział. — No, dalej, proszę zrobić tak samo.

Diana uniosła kielich.

— Szkoda niszczyć taki piękny kryształ — zauważyła i rzuciła nim o piec.

— Prawdziwie po rosyjsku! — zakrzyknął ojciec i z podziwem przechylił głowę.

Wypiłam szampana i również cisnęłam kieliszkiem o podłogę, a następnie, jakby ogarnięta jakimś szałem, podbiegłam do stołu i zaczęłam tłuc wszystko, co mi wpadło w ręce.

Słowa ojca: „Taniu, wystarczy” sprawiły, że oprzytomniałam. Podczas gdy żona gajowego szybko zamiatała podłogę miotłą z gałązek, podeszłam ze spuszczoną głową do ojca. Ale kiedy uniosłam oczy, spostrzegłam, że na jego twarzy nie maluje się niezadowolenie, jedynie bezbrzeżna melancholia.

Ta nagła zmiana w ojcu wywołała ogólne zwarzenie nastroju.

Diana wstała.

— Myślę, że Tania trochę się rozochociła. Lepiej zaprowadzę ją na górę, do łóżka.

Nie ruszając się z miejsca, ojciec ujął ją za rękę.

— Może to zrobić niania. Chyba mnie nie zostawisz tu samego?

Diana zaczerwieniła się i powoli usiadła.

Zupełnie o mnie zapomnieli. Ojciec chciał być teraz z Dianą.

Przeszkadzałam im. Niania zabrała mnie na górę. Na próżno czekałam, by ojciec przyszedł pocałować mnie na dobranoc. Nie mogłam usnąć jeszcze długo po tym, jak ucichły dźwięki harmonii i bałajki. A moim ostatnim życzeniem przed snem było: „Boże, spraw, by Diana obudziła się garbata i zezowata. Spraw, by ojciec znienawidził ją tak, jak ja jej nie cierpię”.

Rano ojciec znów był wesoły i pogodny, a w stosunku do Diany wyjątkowo miły i uważający, całkiem jakby chciał jej wynagrodzić jakąś krzywdę. Nie unikała już jego wzroku. Twarz miała dziwnie ściągniętą i spoglądała na ojca bezradnie, z pokorą i ufnością. Nasza niedawna przyjaźń zniknęła.

Okazywałam swej guwernantce chłodne posłuszeństwo. Ona była sztywna i skrepowana.

Nie uszło to uwadze Grandmaman, kiedy już wróciliśmy do Petersburga, i zażądała wyjaśnień. Ale jej awantura z ojcem zakończyła się zupełnie inaczej, niż to sobie babcia zakładała.

Kiedy wieczorem ojciec przyszedł mnie pocałować na dobranoc, usiadł na brzegu łóżka i powiedział:

— Tanieczko, masz prawie dziesięć lat, jesteś więc już wystarczająco duża, bym powiedział ci o czymś bardzo istotnym dla nas obojga. Od śmierci twojej matki upłynęły cztery lata. Już nigdy nie pokocham żadnej kobiety tak, jak ją kochałem. Ale mężczyzna potrzebuje towarzyszkę, kogoś, z kim mógłby dzielić radości i smutki...

— Ze mną możesz dzielić swoje smutki, tatusiu.

— Wiem, skarbie, ale to niezupełnie to samo. Poza tym muszę też myśleć o tobie. Samotnemu mężczyźnie trudno wychowywać córkę.

Dziewczynka potrzebuje matki, z której może brać przykład, która będzie ją kochała i uczyła życia.

— Nie potrzebuję matki. Nie chcę matki. Chcę tylko ciebie!

— Nawet gdyby był to ktoś, kogo już poznałaś i pokochałaś? Ktoś, z kim się mocno zaprzyjaźniłaś, jak na przykład Diana?

— Diana nie jest moją przyjaciółką. Wcale jej nie kocham, tylko nienawidzę! Jest... jest prostytutką! — Użyłam najbardziej obraźliwego określenia, jakie znałam.

— Diana wcale nie jest prostytutką. Jest bardzo dobrze wychowana i wykształcona. Jest większą damą niż inne kobiety, które znam.

— Nie jest damą, nie urodziła się damą jak mama czy ciocia Zofia.

Ojciec spojrzał na mnie poważnie.

— Mówisz głupstwa. Szlachetność wypływa z serca, a nie z noszonego nazwiska. I nie wahałbym się uczynić z Diany księżnej Silomirskicj.

Wstyd mi za ciebie, księżniczko Tatia-

no, i za twoje słowa. Nie będziemy już o tym mówili. Diana przeprowadzi się do osobnego mieszkania. Za parę dni złożymy jej wizytę i jestem przekonany, że wkrótce będziesz ją kochała tak jak dawniej.

Zrozumiałam z całej wypowiedzi ojca głównie to, że kocha Dianę bardziej niż mnie.

— Nie pójdę do niej z wizytą. Nigdy. A jeśli się z nią ożenisz — krzyknęłam — nigdy nie odezwę się do niej nawet jednym słowem!

Zbyt późno zauważyłam stojącą w drzwiach Dianę. Na jej twarzy malowało się niedowierzanie i cierpienie. Zaczerwieniłam się i poczułam wyrzuty sumienia. Ale spoglądałam na nią uparcie, aż odwróciła wzrok. Ojciec podszedł do niej i ujął jej dłoń.

— Diano, najdroższa moja, nie zwracaj uwagi na słowa Tani. Jest zdenerwowana. Musimy dać jej trochę czasu.

Diana rzuciła mu przeciągłe spojrzenie, a po chwili powiedziała cicho:

— Piotrze, na co to wszystko? Wyszli razem z pokoju.

Następnego dnia Diana wyprowadziła się i wkrótce dowiedziałam się, że wróciła do Anglii. Ojciec też tam pojechał. Byłam pewna, że są razem, że się pobiorą i będą mieli syna, którego ojciec pokocha bardziej niż mnie. Nienawidziłam jej, że zabrała mi ojca. A jednocześnie było mi jej brak i wspominałam dni, kiedy całej naszej trójce było tak dobrze, póki sama wszystkiego nie popsułam.

Po wyjeździe Diany Grandmaman wyznaczyła na moją *educatrice* — do czasu, kiedy można będzie wynająć inną angielską guwernantkę — swą niezamężną krewną, ubogą, ale zajmującą wysoką pozycję w towarzystwie, hrabinę Wierę Kiryłównę Lilinę.

Wiera Kiryłowna miała wówczas niespełna pięćdziesiąt lat i była wciąż przystojną kobietą. Przez wzgląd na dworską etykietę starała się panować nad swoim wybujałym tempera-

mentem. Miała gęste, bursztynowe włosy i upodobanie do brązów i beżów. Ta potomkini szesnasto wiecznych bojarów była damą dworu matki cara, cesarzowej-wdowy Marii Fiodorowny. Chodziła z dumnie wypiętą piersią, jakby wciąż nosiła na niej medalion z podobizną Jej Cesarskiej Mości, przywilej, którym cieszyła się jako *dame d' honneur a portrait*.

Nauczyła mnie, jak stać, siedzieć i chodzić, jak jeść (w tym celu wsuwała mi pod pachy zwinięte gazety), jak się kłaniać i komu. W kółko przypominała mi, że bliska znajomość z córkami naszego władcy to rzadki, a nawet niespotykany przywilej — księżniczki niemal nie utrzymywały stosunków z krewnymi z rodu Romanowów, nie mówiąc już o dzieciach dworskiej kamaryli.

Ta wyjątkowa przyjaźń stała się po wyjeździe ojca jedyną okazją ucieczki przed dyscypliną i sztywnymi formami towarzyskimi, które Grandmaman i *educatrice* narzucały mi w zwiększonych dawkach.

Bardziej zazdrościłam wielkim księżniczkom ich spokojnego, przepojonego miłością życia rodzinnego niż ich cesarskich tytułów, z których znaczenia niezbyt zdawały sobie sprawę.

— Ale jesteś zarozumiała, zupełnie, jakbyś była baronową — strofowała Olga Nikołajewna swą siostrę Tatianę.

To, że tak idealną, burżuazyjną egzystencję można było wieść dzięki całkowitej izolacji od panującej rzeczywistości społecznej i politycznej, że cesarzowa, czująca się niepewnie wśród równych jej urodzeniem, otaczała się miernotami, przeciwko czemu nieśmiały car nie oponował, że imperatorska para decydowała o sprawach wagi państwowej jak o prywatnych problemach rodzinnych, rozstrzygała zagadnienia kraju podobnie, jak rozstrzyga się sprawy domu, przy śniadaniu lub podwieczorku — to wszystko i wiele innych rzeczy umykało mej uwadze. Bezkrytycznie kochałam wszystkie córki cara. Uwielbiałam błazeństwa Anastazji — Schwibzika, najmłodszej z nich. Opanowanie Marii sprawiało, że wstydziłam się



swej porywczosci. Podziwiałam bystrość umysłu i cięte odpowiedzi Olgi. Ubóstwiałam moją śliczną imienniczkę. Podzielałam zachwyty wielkich księżniczek dla długo oczekiwanego małego braciszka, uroczego, choć chorowitego Aleksego Nikołajewicza. Jego narodziny uczczono salwą ze stu jeden dział! Niespełna sześć tygodni później przeżył pierwszy ciężki krwotok.

Nie miałam wtedy pojęcia, jak poważnie chory jest carewicz. Nie wiedziałam nic o hemofilii, o której szeptano w kręgach dworskich, a poza dworem w ogóle o niej nie wspomiano. Nie zdawałam sobie sprawy, że cienie pod pięknymi oczami Aleksandry były rezultatem bezsennych nocy spędzanych przy łóżeczku następcy tronu. Nie mogłam też przypuszczać, że „święty starzec” z Syberii, pół-analfabeta, będzie miał aż tak zgubny wpływ na naiwną, wrażliwą, skłoną do mistycyzmu cesarzową.

Wczesną wiosną — nie ukończyłam jeszcze dziesięciu lat — zostałam zaproszona do Carskiego Sioła na weekend. Tu, na przedmieściach Petersburga, od czasu haniebnej „krwawej niedzieli” 1905 roku przebywał cały dwór, mający ciągle w pamięci sceny rzezi na Placu Pałacowym.

Powóz z woźnicą i lokajami w czerwonych liberjach przewiózł mnie i Wierę Kiryłownę ze stacji Aleksandrowskiej do pałacu. Był to przyjemny, biały budynek z zielonym dachem; frontową kolumnadę zaprojektował Rastrelli. Na tyłach pałacu rozciągał się angielski park z kilkoma stawami

i wyspami. Hrabina Lilie i ja otrzymałyśmy pokoje naprzeciwko skrzydła z apartamentami cesarskimi. Wieczorem Trina — mademoiselle Schneider, lektorka carowej, najszlachetniejsza osoba pod słońcem — przeczytała nam opowiadania Kiplinga, lecz zanim Aleksandra ułożyła córki do snu, udało mi się umówić ze swoją imienniczką na spotkanie. Wielka księżniczka zgodziła się zobaczyć ze mną o północy w sali audiencyjnej, byśmy mogły sobie wreszcie spokojnie porozmawiać.

Żeby nie usnąć, zaczęłam czytać „Wyspę skarbów”, postawiwszy lampę na podłodze, jak to czyniałam w domu, kiedy nie chciało mi się spać. Równo z wybiciem dwunastej narzuciłam szlafrok, wsunęłam na nogi ranne pantofle i zbiegłam po dębowych schodach. Wydawało mi się, że skrzypią równie głośno jak frachtowiec „Hisponiola” podczas sztormu. Pałac był ciemny i cichy, władcy bowiem wprowadzili zwyczaj wczesnego kładzenia się do łóżek. Pod drzwiami stał na straży tylko jeden żołnierz — car nie znosił nadzoru i gardził tajną policją, której funkcjonariusze łazili za nim w rozmaitych śmiesznych przebraniach. W sali audiencyjnej zastałam już przyjaciółkę, objęłyśmy się, zdjęte nagłym strachem. Trzymając się za ręce, usiadłyśmy za ciężką, aksamitną storą.

— Taniu, moja siostrzyczko! — Także ślubowałyśmy sobie dożgonną przyjaźń, opuszczając jedynie ceremonię mieszania krwi, lecz obiecując, że w razie potrzeby zniesiemy nawet najstraszliwsze tortury. — Kocham cię równie mocno jak Stefka, będę twoją damą dworu, nigdy nie wyjdę za mąż i wszędzie za tobą podążę. — Całe wcześniejsze uczucie do Diany przelałam na mą imienniczkę.

— Kocham cię, Taniusza, kocham cię równie mocno jak rodzone siostry, i jeśli nie wyjdiesz za mąż, ja również zostanę starą panną — szepnęła wielka księżniczka. Po chwili jednak jako osoba wyjątkowo rozsądna (siostry przezywały ją „guwernantka”) spytała: — Ale jak chcesz zostać moją damą dworu, skoro zamierzasz być lekarką?

— Mogę być damą dworu i lekarzem nadwornym. Wielka księżniczka uznała to za kapitalny pomysł. „Kapitalny” było ulubionym słowem w jej rodzinie.

Chcąc sprawdzić siłę siostrzanego uczucia, zgadywałyśmy nasze myśli, opowiadałyśmy sobie sny, wymieniałyśmy kabalistyczne znaki i wymierzałyśmy sobie nawzajem kary za grzechy.

- Zastanawiam się czasem, czy człowiek nie powinien porzucić domu, wszystkich zabawek i w ogóle wszystkich

swoich rzeczy i iść zebrać na ulicę — powiedziałam. Ostatnio pomysł ten mocno mnie pociągał. — Przecież Jezus też prosił swych uczniów, by porzucili ojców i matki oraz wszystko, co posiadają, i przyłączyli się do niego.

— Złapałoby nas — odpowiedziała moja rozważna przyjaciółka — a ludzie mogliby źle zrozumieć nasze intencje. Tata i mama strasznie by się zdenerwowali, a przecież Bóg nie pochwała dzieci, które przysparzają trosk rodzicom, prawda?

Chwilowo porzuciłam więc ten pomysł i zaczęłyśmy cytować fragmenty „Alicji w krainie czarów”, od czasu do czasu wybuchając przytłumionym śmiechem. O świcie, zziębnięte, zdrtwiałe, niepewnie trzymając się na nogach, rozstałyśmy się, długo najpierw żegnając.

Parę godzin później lokaj znalazł w sali audiencyjnej pasek od szlafroka wielkiej księżniczki. Nie ulegało wątpliwości, że pasek należał do Tatiany Nikołajewny, bo nosiła szlafrok w barwach lansjerów wozniesińskich, których była honorowym kapitanem. Nastąpiła konfrontacja z Ich Cesarskimi Wysokościami w buduarze Aleksandry pod portretem Marii Antoniny, po czym, okryta niełaską, zostałam odesłana do domu.

Grandmaman wydała *dejeuner intime*, zapraszając mą chrzestną, wielką księżną Marię Pawłownę.

Maria Pawiowna, żona stryja cesarza, wielkiego księcia Włodzimierza, zajmowała wysoką pozycję na cesarskim dworze. Ta dowcipna i inteligentna księżniczka niemiecka, przeciwieństwo byłej Alicji heskiej, mecenas sztuki i ulubienica zagranicznych ambasadorów, posiadała takt i przenikliwość, którymi to cechami nie mogła się poszczycić jej panująca rodaczka. Marii Pawłownie przypadło niewdzięczne zadanie wprowadzenia młodej cesarzowej w tajniki etykiety obowiązującej na rosyjskim dworze. Od tamtej pory została znienawidzona przez cesarzową i wzbudzała w niej lęk. Maria Pawłowna stała się z czasem centralną postacią, skupiającą wokół siebie opozycję wobec Aleksandry.

Maria Pawłowna, również matka pięciorga dzieci, nie była wysoka i smukła ani nie odznaczała się posagową figurą jak cesarzowa. Ale jej sposób bycia i pewność siebie, podobnie jak cesarzowej-wdowy Marii Fiodorowny, matki cara, przypominały o wielkości poprzedniego władcy i uwydatniały miernotę obecnego. Osobiście uważałam ją za kobietę skromną i miłą. Po usłyszeniu relacji Wiery Kiryłowny o naszej nocnej eskapadzie przygarnęła mnie do siebie.

— Niesforne pannice! Nie bałyście się, że ktoś was przyłapie?

— Jeszcze jak się bałyśmy!

— Lecz to jedynie dodawało dreszczyku emocji. — Maria Pawłowna doskonale nas rozumiała. — To czarująca historia — powiedziała z uśmiechem.

— Waszej Cesarskiej Wysokości może się to podoba, ale nie mnie — odrzekła Grandmaman z właściwą sobie bezpośredniością i sarkazmem.

— Jeśli Jej Wysokość chce wychowywać córki według własnej woli, *riimporte comment*, ale ja nie pozwolę, by moja wnuczka biegała w środku nocy po pałacu w *deshabille*.

— Ależ moja droga przyjaciółko, nie bądź taka zasadnicza — odrzekła Maria Pawłowna. — Tania może wyrzucić zbawienny wpływ na moje kuzynki. Prowadzą takie nudne życie!

— Ich Cesarskie Moście prowadzą życie przyzwoite i bogobojne — odparła moja babka. — Wszyscy powinniśmy brać z nich przykład.

— Racja! — Maria Pawłowna uniosła dłoń do ust, by powstrzymać ziewnięcie.

Po wyjściu wielkiej księżnej Grandmaman wygłosiła kazanie na temat odpowiedzialności. Na zakończenie zostałam poinformowana, że do powrotu ojca nie będę się widywała z wielką księżniczką Tatianą Nikołajewną.

Pozbawiono mnie jedynej przyjemności. Codziennie pisałam do mej imienniczki, ale moje listy pozostawały bez odpowiedzi. Zaczęłam wierzyć, że naprawdę jestem niedobra

i grzeszna. Czy dla odkupienia swoich win nie powinnam uczynić czegoś niezwykłego, oddać wszystkie zabawki i wyruszyć boso w świat? Może zostanę świętą, nową Joanną d'Arc? (Wtedy nie musiałabym przynajmniej rezygnować z jazdy konnej). W oczekiwaniu na objawienie pościłam i całe godziny spędzałam na klęczkach. Na próżno. Zaczęłam podejrzewać, że *osobniak* Siłomirskich nie jest odpowiednim miejscem dla zdobycia miana świętej i tylko czyhałam na okazję, by uciec z domu. Jakiś czas po Wielkanocy Grandmaman wydawała przyjęcie.

Poczekalam, aż zaczęli się pojawiać goście, po czym wstałam i ubrałam się bez pomocy mych nadgorliwych pokojówek. Do poduszki przypięłam karteczkę z następującym tekstem: „Wybacz mi, babciu. Nikomu nie jestem tu potrzebna, więc postanowiłam żyć wśród ubogich”.

Fiodor nie sypiał już pod moimi drzwiami. W towarzystwie Bobika, mego nieustraszonego setera, ukradkiem zeszałam kuchennymi schodami do piwnic i przeszłam wzdłuż całego budynku. W stajni otworzyłam boks i wypuściłam narowistego ogiera. Podczas gdy stajenni próbowali go złapać, przez nikogo nie zauważona wymknęłam się furką dla służby. Przeszałam spiesznym krokiem, ukrywając się między kolumnami podjazdu dla powozów, by nie zobaczył mnie stróż, i ruszyłam przed siebie.

Minęłam gazownię i znalazłam się w nie znanej mi dzielnicy niskich, drewnianych domków. Tutaj muszą mieszkać szukani przeze mnie „biedacy”. Pozbawiona chodnika, błotnista i nie oświetlona ulica zdawała się nie mieć końca. Jedynymi pojazdami były toczące się ospale beczkowozy. Z pobliskiej karczmy wyszło trzech zataczających się mężczyzn. Słyszając ich głośny śpiew, Bobik zaczął warczeć. Mężczyźni wzięli mnie chyba za pijackie przywidzenie. Ruszyli chwiejnym krokiem prosto w moją stronę. Zaczęłam się modlić w duchu o jakiegoś oficera ochrony, który wybawiłby mnie z opresji. I właśnie wtedy zatrzymała się obok mnie pusta dorożka.

Wóznica zszedł z kozła i zdejmując czapkę, pokłonił mi się nisko.

— O tej godzinie niebezpiecznie chodzić samotnie po mieście. Proszę pozwolić, że odwiozę panienkę do domu.

Na niebieski płaszcz opadała nastroszona broda, a krzaczaste, rude brwi niemal przesłaniały oczy mężczyzny. Ale jego szeroka twarz wyglądała dosyć sympatycznie.

Postanowiłam mu zaufać.

— Nie mam domu, ale jeśli zawieziecie mnie na wieś, znajdę sobie jakąś dobrą, chłopską rodzinę, która mnie przygarnie.

Przypatrywał mi się przez dłuższą chwilę, drapiąc się w pierś, a potem odezwał się do swego konia: — Zabierzemy panienkę do nas. Może moja żona zrozumie, o co w tym wszystkim chodzi.

Zatrzymaliśmy się przed skupiskiem chałup. Na pukanie wóznicy w drzwiach pojawiła się kobieta o ziemistej cerze, owinięta w zniszczoną, brązową chustę.

Przyjrzała mi się uważnie w niewyraźnym świetle lampy naftowej, a potem krzyknęła do mojego wybawcy:

— Zwariowałeś? Co ci strzeliło do głowy, by przywozić tu tę panienkę?

— Spotkałem ją na ulicy. Nie chciała powiedzieć, gdzie mieszka.

— Widać, że pochodzi z bogatej rodziny. Powiedz nam, panienko, gdzie jest twój dom? — spytała podchwytliwie obłudnie słodkim głosem. —

Twoi rodzice na pewno umierają z niepokoju.

— Nie mam rodziców. Czy pozwolicie mi zamieszkać z wami?

— Boże, zmiłuj się nade mną, jakbym nie miała dosyć własnego drobiazgu, którego nie ma za co nakarmić ani przyodziać. — Moja gospodyni uniosła w górę prymitywną lampę, oświetlając niską izbę z małymi okienkami do połowy zabitymi deskami. Na środku stał stół i stołki, a w rogu duże żelazne łóżko. Siedziała na nim czwórka dzieci, z których

najstarsze — dziewczynka — było w moim wieku. Przyglądały mi się w milczeniu. Na ławie spało pod kocami odwrócone twarzą do ściany niemowlę. Z tego kąta dochodził nieprzyjemny, kwaśny zapach.

— Czy nie powinniśmy zawiadomić policji? — zapytał dorożkarz, cały czas drapiąc się w głowę.

— Głupi, powiedzą, że porwałeś dziewczynkę i bez sądu ześlą cię na Sybir. Nie martw się, bardzo szybko nam powie, gdzie mieszka.

Gospodyni nalala mi na wyszczerbiony spodeczek trochę herbaty.

Mężowi podała miskę kapuśniaku z kaszą. Potem wmusiła we mnie suszonego śledzia z kromką czarnego chleba. Po śledziu zaczęło mi dokuczać pragnienie, ale za nic nie napiłabym się herbaty ze spodeczka, jak jakaś chłopka, więc poprosiłam o szklanekę wody. Nawet mi przez myśl nie przeszło, że może być nie przegotowana.

W tym czasie czwórka dzieciaków podeszła bliżej. Ukradkiem dotykały moich włosów, sobolowego kołnierza przy płaszczyku, bucików z angielskiej skóry. Ku memu przerażeniu matka, krzycząc i poszturchując je, zapędziła z powrotem do łóżka.

Spytałam, gdzie mogłabym umyć zęby i dowiedziałam się, że w chałupie nie ma bieżącej wody ani ubikacji.

— Jak mamy pieniądze, chodzimy do łaźni publicznej — wyjaśniła moja gospodyni.

Pokazała mi ustęp na nie oświetlonym i zabłoconym podwórzu. Nie odważyłam się z niego skorzystać. Potem przeniosła śpiące niemowlę z ławy na łóżko, żebym mogła się na niej położyć. Rozogniona twarzyczka dziewczynki i jej płytki oddech zwróciły moją uwagę.

— Jest chora — powiedziałam. — Musicie wezwać lekarza.

— Niby po co? Doktor przepisze lekarstwa, na które i tak nas nic stać. To tylko gorączka. U dzieci to się często zdarza.

- Babcia przyśle doktora i da pieniądze na lekarstwa powiedziałam bez zastanowienia.

— A gdzie mieszka twoja babcia? — spytała chytrze kobieta.

— W *osobniaku* Siłomirskich na Bulwarze Angielskim. —

Postanowiłam, że muszę zameldować Grandmaman o chorym dziecku. Najchętniej przyznałabym, że to właśnie było głównym powodem, dla którego zdecydowałam się wrócić do domu, ale jeśli mam być zupełnie szczerą, bardziej skłonił mnie do tego brak ubikacji.

Dorożkarz odwiózł mnie do naszego *osobniaka*. Obudził stróża, który z kolei postawił na nogi cały dom. Myślałam, że pokojówki nigdy nie przestaną się przekrzykiwać, a niania gderać. Ku memu zdumieniu i uldze Grandmaman uważnie wysłuchała relacji o chorym dziecku i nie powiedziała mi ani jednego złego słowa. Następnie wręczyła dorożkarzowi sporą sumę pieniędzy i wymusiła na nim obietnicę, że w razie potrzeby przyprowadzi dziecko do szpitala, nad którym sprawowała patronat. Po odprawieniu dorożkarza kazała mnie wykapać i położyć do łóżka. Rano doktor Botkin, który wkrótce miał zostać lekarzem nadwornym, zbadał mnie i nie stwierdził nic poza lekkim przeziębieniem. Ale tydzień później pochorowałam się na tyfus.

Wezwano ojca z Anglii. Kiedy przyjechał, majaczyłam w gorączce i nie byłam pewna, czy pochylona nade mną twarz mężczyzny z siwą brodą to jawa czy sen; czy te piękne, szare oczy, przepelnione niepokojem i miłością, należą naprawdę do mego ojca; czy wrócił do mnie i nigdy więcej już mnie nie opuści; czy był tu koło mnie, swojej ubóstwianej Tanieczki, jedynaczki kochanej bardziej niż ktokolwiek na świecie. Więc swym głębokim, dźwięcznym głosem zapewniał mnie raz za razem, że to naprawdę on.

Gdy gorączka minęła, moim pierwszym pytaniem było:

— Tatusiu, kiedy wracasz do Anglii, do Diany? Ojciec odparł, że póki nie wyzdrowieję, nigdzie nie wyjedzie i abym nic myślała więcej o Dianie. Ale nie mogłam



przestać o niej myśleć ani zapomnieć tego straszego spojrzenia, którym mnie obrzuciła, kiedy wykrzykiwałam swoją złość i nienawiść. Oprócz winy wobec Diany czułam wyrzuty sumienia w stosunku do dzieci dorożkarza, których rodziców nie stać było na lekarstwa, które nie miały się gdzie umyć, które tak nieśmiało dotykały mego miękkiego futerka i skórzanych bucików.

— Grandmaman — zapytałam, gdy babcia zmieniła ojca przy moim łóżku — czemu niektórzy ludzie żyją jak ta rodzina dorożkarza, jak... jak zwierzęta?

Babka westchnęła. Świat jest pełen niesprawiedliwości i nieszczęść, powiedziała, a już szczególnie Rosja, bo w Rosji zawsze wszystkiego jest więcej, zarówno dobrego, jak i złego.

Nie zrozumiałam jej słów, więc pytałam dalej:

— Babciu, czy to sprawiedliwe, że my jesteśmy tak bardzo bogaci, podczas gdy innym ludziom nie starcza nawet na jedzenie ani nie mają gdzie się myć? — To wydawało mi się najistotniejszymi sprawami w życiu.

— Z punktu widzenia religii chrześcijańskiej to niesłuszne — zgodziła się babka. — Ale nawet jeśli oddamy wszystko, co mamy, nie wpłynie to na zmniejszenie liczby ludzi głodnych i brudnych. Nawet jeśli wszyscy możni tego świata oddadzą swój majątek, bardzo szybko na ziemi znów pojawią się biedni i bogaci, bo tak już urządzony jest ten świat. Gdyby dzieci, których tak ci żal, miały to, co my, a ty znalazłabyś się na ich miejscu, wcale by ci nie współczuły. My zakładamy szpitale i szkoły dla biednych oraz pomagamy wszystkim, którzy się do nas zwracają w potrzebie. Ale gdyby połowa biedaków Rosji nagle się wzbogaciła, nie zaopiekowałiby się pozostałymi biedakami, tylko by ich wykorzystywali. Ludzie najpierw muszą zdobyć wykształcenie, a później nauczyć się odpowiedzialności. Ufam, że po tej przygodzie ty również zaczniesz się jej uczyć.

Długo rozmyślałam nad tym, co mi powiedziała babka. Zrozumiałam, że między światem boskim a rzeczywistym istnieje przepaść, zrozumiałam, że prawa boskie nic są

w stanie naprawić świata ludzi. Ziemia wydała mi się krainą pełną niesprawiedliwości i nieszczęść, gdzie nie sposób być dobrym. Im mniej pociągający był świat doczesny, tym bardziej nęcił mnie ten drugi. Poprosiłam ojca, by przeczytał mi Nowy Testament. Szczególnie nie dawała mi spokoju przypowieść o Marii i Marcie. Wyobrażałam sobie, że jestem Matką Boską siedzącą u stóp Zbawiciela. W snach ukazywał mi się Bóg, po obu jego stronach stali aniołowie o twarzach mojej matki, która w chwili śmierci poznała jakąś budzącą grozę, lecz cudowną, tajemnicę.

Moje pragnienie śmierci stało się tak gorące, że po przebudzeniu się, chciałam znów usnąć i nigdy już się nie obudzić. Śmierć wydawała mi się idealnym rozwiązaniem wszystkich moich problemów. Ojciec mógłby poślubić Dianę. Wszystkim byłoby przykro z powodu mojego zgonu i zawsze wspominaliby mnie z miłością. Jeśli tylko będę tego pragnęła wystarczająco mocno, moje życzenie się spełni! Skoncentrowałam się na nim. Proces zdrowienia uległ zahamowaniu, utrzymywała się podwyższona temperatura ciała, stawałam się coraz słabsza.

Pewnego ranka tak się zezłościłam na nianię, że wmusza we mnie gorącą czekoladę, aż wybuchnęłam:

— Nie chcę. Nie potrzebuję. Tylko mi przeszkadzasz. Tak mocno go pragnęłam i wreszcie czuję, że... że nadchodzi.

— Kto nadchodzi, moja duszko?

— Chrystus... by wziąć mnie do siebie.

— Mój Boże, a czymże ty sobie znów nabiłaś głowę! — wykrzyknęła niania i wymaszerowała z pokoju, by po chwili wrócić z ojcem.

Usiadł na łóżku, ubrany w szlafrok z bucharskiego jedwabiu, uniósł łyżeczkę czekolady do moich ust (nie mogłam nie zjeść z jego ręki) i zapytał, czemu chcę, by zabrał mnie Chrystus.

Powiedziałam ojcu wszystko, nie wyłączając tego, że kiedy już nic będę mu stała na przeszkodzie, będzie mógł żyć szczęśliwie z Dianą.

Przyglądał mi się z dziwnym napięciem i smutkiem. Po chwili uśmiechnął się i powiedział dźwięcznym głosem:

— Zamiast wyprawiać się do nieba, co byś powiedziała na wyjazd do Zasławic?

— A pojedziesz razem ze mną?

— Oczywiście.

Mający między wysokimi lipami fronton pałacu Zasławskich był bardziej pociągającą perspektywą niż Dzień Sądu Ostatecznego.

— Och, tatusiu! — wykrzyknęłam i obiecałam, że będę jadła, aby jak najprędzej nabrać sił do podróży.

#### 4

W dniu moich dziesiątych urodzin zdecydowano, że jestem już wystarczająco silna, by znieść trudy podróży, i tydzień później razem z ojcem i całym orszakiem znaleźliśmy się w Zasławiu. Tym razem wyjechano po nas samochodami, a nie powozami.

Wuj Stach, chcąc powstrzymać swego niepoprawnego ojca przed wzniecaniem nastrojów antyrosyjskich, a tym samym niweczenie cierpliwie czynionych wysiłków, mających na celu odzyskanie niepodległości, kupił księciu Leonowi samochód marki Clement-Bayard, a dla siebie i cioci Zofii kabriolet Belville.

Dziewięćdziesięciosiedmioletni staruszek nabrał takiego zamiłowania do motoryzacji, że zażądał, by do Zasławic wybudowano „porządną” drogę.

Wuj Stach z największą radością kazał wybrukować trakt do miasta.

Wprowadzenie samochodów, poza zapewnieniem chwilowego wytchnienia od ojcowskiego nacjonalizmu, położyło również kres wybrykom Tomasza, ulubionego woźnicy księcia Leona. Tomasz potrafił tak zgrabnie prowadzić konie, że koła powozu niemal dotykały skraju chałatów stojących na poboczu Żydów. Otrzymywał za to w nagrodę klepięcie laską od księcia Leona i ostrą reprimendę od wuja Stacha (wuj — przyjaciel Rothschildów i wielbiciel Disraeliego — szczycił się brakiem tego typu uprzedzeń). Odkąd Tomasza zaangażowano do obwożenia wuja — marszałka miejscowej szlachty — po okolicznych sejmikach, nie śmiał się już więcej w ten sposób popisywać.

Samochody nie stanowiły dla mnie żadnej atrakcji. Może gdybym była zupełnie zdrowa, brakowałoby mi bezczelnego

małego woźnicy i jego kawaleryjskiej jazdy oraz forysiów dmących w rogi z takim zapamię, jakby Polska lada moment miała odzyskać niepodległość. Jednak w stanie, w jakim się znajdowałam, nawet się cieszyłam, że po długiej podróży mogę się zdrzemnąć wsparta na ramieniu ojca. Wreszcie droga stała się równa, a w oddali ukazał się piękny pałac, tak dobrze mi znany, lecz zawsze zaskakujący swą urodą. Ojciec wyniósł mnie z samochodu. Na ganku stał Stefek z rodzicami. Choć był upalny dzień czerwcowy, owinięto mnie w pled.

Dwunastoipółletni Stefek był wciąż tym samym rosłym i zdrowo wyglądającym chłopakiem, z opadającym na jasnobrązowe oczy puklem brązowych włosów i zabawnie odstającymi uszami. Uważałam, że jest piękny.

— Cześć, Taniu — powiedział wzruszonym głosem, a ja wysunęłam palec wskazujący lewej ręki w geście tajnego powitania.

Następnego ranka już od samego świtu, jeszcze zanim siostra zmierzyła mi temperaturę, stałam w oknie balkonowym, czekając na pojawienie się Stefka. Rzeczywiście, przyszedł ze swoim owczarkiem niemieckim, Krakiem.

Wpadł do pokoju, usiadł na podłodze, by w razie wejścia pielęgniarki móc szybciej schować się pod łóżkiem, i oświadczył:

— Strasznie się cieszę, że żyjesz, chudzielcu. Okropnie nas przestraszyłaś. W jaki sposób zaraziłaś się tyfusem?

Opowiedziałam mu całą historię.

— Uciekanie z domu to dziecinada, moja droga — zauważył wyniośle. — Powinnaś już o tym wiedzieć.

— Wiem. Stefku, a czy ty wiedziałeś, że ludzie żyją jak ten dorożkarz, jak... jak zwierzęta?

— Pokazywano mi dzielnicę ubogich. To stanowi część mojej edukacji.

— I nie sądzisz, że los tych ludzi jest okropny?

— To rezultat niewłaściwych rządów. Kiedy zostanę S.R.P., nic będzie biednych.

S.R.P.?

— Stefan Rex Poloniae — wyjaśnił, a kiedy w dalszym ciągu patrzyłam na niego, nic nie rozumiejąc, dodał: — Królem Polski, ty głuptasie. Nie znasz łaciny?

Nie znałam łaciny, ale wiedziałam, że królem Polski jest car. Wtedy Stefek wyjawiał mi tajemnicę Rojalistów Republikańskich.

— A ja, kiedy dorosnę, zostanę nadwornym lekarzem Tatiany Nikołajewny — powiedziałam z dumą. Może nie odznaczałam się aż tak rozwiniętymi uczuciami patriotycznymi jak Stefek, ale nie mogłam sympatyzować z organizacją antyrosyjską.

— Lekarzem nadwornym! — skrzywił się Stefan Rex Poloniae. — To lizusostwo!

— Doktor Botkin wcale nie jest lizusem. A w ten sposób mogę wykorzystać posiadane wpływy, by zajęto się losem biednych, chyba że Bóg postanowi wezwać mnie do siebie wcześniej.

Tym razem Stefek spojrział na mnie ze zdumieniem, a ja podzieliłam się z nim swymi skrytymi pragnieniami opuszczenia ziemskiego padoku, pełnego niesprawiedliwości i nieszczęść.

Stefek popatrzył na mnie zaniepokojony, a potem spytał:

— Czy wciąż jeszcze chcesz po przebudzeniu ponownie zasnąć i nigdy więcej się nie obudzić?

Zwiesiłam głowę z łóżka w taki sposób, by moje włosy opadły na ramiona Stefka. Próba ich obcięcia w związku z chorobą spotkała się z tak gwałtownym sprzeciwem z mojej strony, że ostatecznie zrezygnowano z tego zamiaru.

— Byłoby ci smutno, gdybym umarła?

— No pewnie! — Ujął moje włosy w obie ręce. — Chciałbym, żebyś skończyła już z tymi bredniami o śmierci!

— Najpierw puść moje włosy.

Usłuchał, a ja znów położyłam głowę na poduszce.

— Wydaje mi się, że moja śmierć zmartwiłaby bardzo wiele osób -- stwierdziłam zadumana. — Nianię, Tatianę

Nikolajewnę i ciocię Zofię, i babcię, i wiele innych. A najsmutniejszy byłby tatuś. Wiesz, Stefku, przez jakiś czas myślałam, że mnie nie kocha, ale teraz wiem, że to nieprawda. Kocha mnie więcej niż kogokolwiek na świecie. Więc chyba nie chcę już umierać. Stefku... — odezwałam się, kiedy wstał — jak już wyzdrowieję... zrobmy coś okropnego. Śmiejąc się wybiegł z pokoju akurat wtedy, gdy drugimi drzwiami wchodziła pielęgniarzka.

Powracałam do zdrowia tak szybko, że pod koniec czerwca 1907 roku ojciec doszedł do wniosku, iż może mnie spokojnie zostawić pod troskliwą opieką ciotki Zofii. Pamiętałam jego słowa o potrzebie dzielenia z kimś kłopotów i posiadania kogoś, kto by się nim opiekował podczas choroby, więc powiedziałam:

— Tatusiu... jeśli zechcesz się ponownie ożenić, nie będę miała nic przeciwko temu... zrozumieć cię. — Gdy nic nie odpowiedział, dodałam:

— Ja nigdy nie wyjdę za mąż, tatusiu. Na zawsze zostanę z tobą! Ojciec uśmiechnął się smutno.

— Jeszcze za wcześnie, byś sobie tym zaprzętała głowę. Baw się dobrze i bądź grzeczna. — Pocałował mnie na pożegnanie.

Wyrzuty sumienia wobec Diany miały mnie dręczyć jeszcze nieraz, ale tamtego lata udało mi się je uciszyć.

Dni upływały mi na zabawach z Bobikiem, Stefką i Kazikiem, jego nieodłącznym jak cień towarzyszem. Wędrowaliśmy miedzami przez pola, w południe jedliśmy śniadanie w cieniu stogów siana, galopowaliśmy przez wrzosowiska, wypłaszając głuszce, polowaliśmy, chodziliśmy na ryby i siedząc z tyłu beczkowsu na lśniących, mosiężnych zbiornikach, pędziliśmy wyboistymi drogami do pożaru. Prześcignęłam Kazika w okazywaniu uwielbienia Stefkowi. Nigdy nie opuszczałam jego lekcji fechtunku, podczas zajęć hipicznych mierzyłam mu czas stoperem i odprowadzałam konia, gdy zbyt go sforsował, szczotkowałam psa, czyściłam strzel-

bę, rozplątywałam żyłkę u wędki i karmiłam jego oswojone gady. Chętnie okazałabym swoje uczucie i uwielbienie bardziej bezpośrednio, tak jak to czyniłam, kiedy byliśmy mali, ale coś mi mówiło, że teraz byłoby to niewłaściwe. Musiałam się zadowolić zabawą sznurowadłami Stefka lub guzikami jego kurtki. Jego z kolei bardziej niż kiedyś intrygowały moje długie, jasne włosy. Bez przerwy dotykał ich i bawił się nimi, ale zupełnie niewinnie. Traktował je na przykład jako lejce albo przywiązywał mnie nimi do krzesła.

Kiedy mnie już tak unieruchomił, wówczas podchodził z nożyczkami i proponował:

— Chodź, pomogę ci zostać chłopcem. Obetnę ci włosy.

— Nie chcę być chłopcem! Chłopcy są wstrętnei przeok-ropni. A ty jesteś najgorszy ze wszystkich. Potwór!

Kiedy indziej Stefek pytał, czemu Bóg, skoro może uczynić wszystko, nie sprawił, bym miała kręcone włosy. To pytanie dotykało jednocześnie moich dwóch najbardziej czułych punktów — próżności i religijności.

Chociaż Stefek często stroił sobie żarty z Boga, katolicyzm stanowił nieodłączną część jego edukacji jako księcia Zasławskiego. Nie kwestionował tego, podczas gdy ja ani nie akceptowałam, ani w pełni nie rozumiałam mego wychowania na księżniczkę Siłomirską.

W środku lata Stefek zachorował na odrę i wreszcie miałam okazję zrobić coś niezwykłego, by otwarcie zmanifestować swoje uczucia do niego. Pewnego ranka, kiedy pielęgniarki nie było w pokoju, pojawiłam się koło jego łóżka.

— Stefku, pozwól mi poleżeć z tobą, żeby też dostała odry — zaczęłam go prosić.

— Odra to nic przyjemnego — powiedział, robiąc mi miejsce obok siebie.

Przytuliłam się do jego rozpalonego ciała. - Stefanie-pacanie, ośle kłapouchy, co ma w nosie muchy, kocham cię prawie tak mocno jak tatusia.



— Taniuszeko-chudeuszeko, piegowaty nosie i piskliwy głosie, kiedy wybiorą mnie na R.S.P., uczynię cię królową

— odpowiedział.

— Jeśli zostanę królową Polski, obiecasz, że nie będziesz walczył z Rosją?

— Nie.

— W takim razie nie wyjdę za ciebie. I tak wolę być lekarzem. Stefku, czy nie chciałbyś też zostać lekarzem? Robilibyśmy razem operacje.

— Lekarz, też mi coś! — odparł przyszły Rex Poloniae, obejmując mnie. Leżeliśmy obok siebie w przepoconej pościeli, podobnie jak cztery lata temu na pryczy w piwnicznej celi.

Kiedy wkrótce potem do pokoju zajrzała pielęgniarzka, złapała się za głowę, wybiegła na korytarz i po chwili wróciła z ciocią Zofią.

— Nie robimy nic złego, mamusiu — z przekonaniem stwierdził Stefek do stojącej koło łóżka matki, nie okazującej gniewu, a jedynie zatroskanie.

— Może nic złego, ale na pewno coś niemądrego

— powiedziała. — Taniu, proszę natychmiast iść do swego pokoju.

Oczywiście również zachorowałam na odrę. Przechodziłam ją lżej niż Stefek, więc podczas rekonwalescencji pozwolono nam większość czasu spędzać razem.

Kazik przynosił Stefkowi nowiny dotyczące Rojalistów Republikańskich i dowody przywiązania w postaci dziwnych robaków w brudnych słoikach. Panna Poole czytała nam „Co Alicja ujrzała po drugiej stronie lustra”, a kiedy panicz łaskawie stwierdzał, że *Pingwin* pięknie czyta, kraśniała z zadowolenia po sam czubek perkatego nosa.

Podziwiałam umiejętność mego kuzyna owijania sobie ludzi wokół małego palca, podziwiałam także jego jazdę konno na oklep i zdolności do arytmetyki. Umiał również śpiewać jak anioł, podczas gdy moje talenty muzyczne dorównywały mojej wiedzy matematycznej. Czuję się przy

Stefku niewiele warta, tak samo jak wydawałam się sobie nieatrakcyjna i nieokrzesa przy wielkiej księżniczce Tatianie Nikołajewnie. Ale to tylko umacniało mnie w przekonaniu, że kiedy dorosnę, muszę dokonać czegoś niezwykłego, czegoś, do czego tylko ja będę zdolna.

Na jesieni Stefka i Kazika zapisano do szkoły w Eton, do której uczęszczał wuj Stach. Razem z ojcem towarzyszyliśmy Zasławskim w podróży do Anglii. Ojciec jako członek Rady Państwa podjął się misji dobrej woli. Stosunki angielsko-rosyjskie, dosyć napięte już w chwili wybuchu wojny rosyjsko-japońskiej, pogorszyły się jeszcze po bezsensownym incydencie na Dogger Bank: rosyjskie okręty, ostrzeliwując się nawzajem w gęstej mgle na Morzu Północnym w przekonaniu, że zostały zaatakowane przez wroga, nieumyślnie zatopiły brytyjski kuter, powodując śmierć osiemnastu osób.

Podczas gdy ojciec z powodzeniem wykorzystywał w Londynie swoje umiejętności dyplomatyczne, ja spędziłam z wujostwem dwa beztrudne miesiące w Kencie, na zamku diuka Lansdale, szwagra wuja Stacha.

Panna Poole — *Pingwin*, łatwo wzruszająca się guwernantka Stefka, znalazła pracę jako nauczycielka jego angielskich kuzynów i z miejsca zaczęła stawiać im panicza Stefka za wzór dżentelmena.

Życie w Lansdale kręciło się wokół koni i psów, co mi wtedy — miałam jedenaście lat — bardzo odpowiadało. Lubiłam urwiste, rude klify, krakanie gawronów we mgle, białe parkany i zielone żywopłoty, tworzące wspaniałą tor przeszkód podczas polowań. Sądząc po wyglądzie, mowie i manierach, można mnie było wziąć za córkę angielskiego para i często popełniano taką pomyłkę. Ale byłam o wiele bardziej uczuciowa od mych gospodarzy, głęboko religijna, podczas gdy oni chodzili do kościoła z obowiązku — diuk przeszedł na katolicyzm, by móc poślubić księżniczkę Marię Zasławską. Znacznie więcej od nich czytałam. Pochłaniałam „Dziwne losy Janc Eyre”, „Targowisko próżności” i „Dawida Copperfielda”.

— Phi, Dickens! — krzywił się szkolny kolega Stefka, lord Beresford, najstarszy syn i dziedzic, który był również

długi jak Stefek rosły. — Co za nudziarstwo! — A po chwili dodawał: — Taniu, gdyby nie to, że jesteś taką świetną amazonką, to byłabyś strasznie nudna!

Dzieci odnosiły się krytycznie również do moich rozmów ze stajennymi, kucharkami, pomywaczkami, dzierżawcami folwarku oraz listonoszami, z którymi kiedy nauczyłam się rozumieć ich specyficzny język, zaprzyjaźniłam się nie mniej niż z ich rosyjskimi i polskimi odpowiednikami. Służba w Lansdale nie odpowiadała tak impertynencko, jak się to zdarzało Polakom czy Rosjanom. Była grzeczna i sprawna. Jednak trudno było sobie wyobrazić diuka Lansdale trzymającego pannę Poole na kolanach, jak to robił ojciec z nianią. Różnice międzyklasowe mogły nie być tak widoczne, ale przepaść między ludźmi różnych stanów była większa. Nie przejmowałam się tym, że nie pochwalano moich ciągo-tek egalitarystycznych. Ale nie wiedziałam, co odpowiedzieć, gdy pewnego razu lord Beresford z niezwykłym jak na Anglika brakiem taktu zapytał mnie:

— Jak to wyjaśnisz, że Japończycy, te karzełki, tak łatwo pobili Rosjan, takich dryblasów?

Każdy Rosjanin zadawał sobie to pytanie.

— Bardzo trudno było zapewnić sprawne zaopatrzenie odległego frontu — odezwał się Stefek. Jego wystąpienie w obronie Rosji bardzo mnie zdumiało, ponieważ wiedziałam, że utworzył on wśród swych antyrosyjsko nastawionych szkolnych kolegów komitet popierający Rójalistów Republikańskich.

— A rosyjska flota okazała się przestarzała — szydził lord Beresford, którego ojciec służył w marynarce. — Że nie wspomnę już o tym, iż dowodziły nią szczury lądowe. — Incydent na Dogger Bank nie został w tej rodzinie zapomniany.

— A co to ma wspólnego z Tanią? — spytał Stefek. — Jej ojciec jest kawalerzystą.

Lord Beresford obdarzył mnie łaskawym uśmiechem i na tym zakończyła się dyskusja.

Podobne ataki nie groziły mi ze strony jego dwóch sióstr i Andrzeja — młodszego brata. Byli tak ograniczeni i apolityczni jak moja imienniczka i jej rodzeństwo.

Ojciec przyjechał po mnie, gdy już zaczynałam mieć dosyć pluchy i zateęskniłam za śniegiem. Na miejsce Diany (z pomocą ojca zrealizowała swoje wcześniejsze zamiary studiowania medycyny) ojciec zatrudnił Nancy Radford.

„*Radfie*” była gorącą zwolenniczką zasad nowoczesnej higieny i od momentu naszego pojawienia się w Petersburgu krytykowała zamiłowanie Rosjan do przegrzewania się, przejadania i szalonej jazdy. Hrabina Liline pozostała moją nauczycielką dobrych manier i towarzyszyła podczas wizyt do Carskiego Sioła.

Przez następne pięć lat przyjeżdżałam do Zasławic na letnie wakacje, ale moja dziecięca zażyłość ze Stefką zniknęła. W miarę uświadamiania sobie naszej odmienności, wynikającej z różnicy płci, zaczęliśmy się od siebie oddalać. Mój podziw dla dzielności Stefki musiał być od tej pory tłumiony przez uzmysłowienie sobie mej dojrzewającej kobiecości.

Mimo poczucia niższości cieszyłam się, że jestem dziewczynką. Syn nie miałby tak silnego wpływu na ojca. Dzięki mej oświeconej ciotce byłam przygotowana na czekający mnie okres dojrzewania. Nie potrafiłam sobie wyobrazić siebie jako matki, ponieważ to oznaczało małżeństwo i ograniczenie wolności. Ale czułam, że sama możliwość posiadania dzieci dawała mi władzę, której nie miał żaden mężczyzna. Chciałam być zaradna i wysportowana jak chłopak. Biorąc pod uwagę mój wiek, byłam jeszcze trzpiotką. Ale mimowolnie zaczęłam naśladować spokojną grację ciotki. Kiedy stopniowo zaczęłam powracać do dziecięcej kokieterii, pierwsza miłość okazała się silniejsza od drugiej i moje uczucie do ojca powróciło z całą bolesną intensywnością.

Pogodziłam się już z faktem, że nie mogę mieć ojca wyłącznie dla siebie, i akceptowałam jego przyjaciółki, podobnie jak czyniła to babcia, uważając je za mniejsze zło. Od

przygody ojca z Dianą Grandmaman żyła w ciągłym strachu, że ojciec popełni mezalians. Jeśli chodzi o Radfie, nie widziała ona w amorach ojca nic interesującego, ponieważ nie dotyczyły spraw związanych z higieną. Tak więc podczas naszych corocznych rejsów na pokładzie jachtu zawsze znajdowała się jakaś kobieta. A kiedy ojciec stawał się wobec niej szczególnie miły i troskliwy, jakby jej współczuł, wiedziałam, że wkrótce porzuci ją dla innej. Sprawiało mi przyjemność, gdy te biedaczki starały się mi przypochlebiać. Im perfidniejsze było moje zachowanie, tym żarliwsze stawały się modlitwy, tym poważniejsze wyznaczałam sobie pokuty, tym mocniejsze stawało się moje postanowienie czynienia dobra, skoro sama nie potrafiłam być dobra, tym większa gotowość poświęcenia swego życia staremu, schorowanemu ojcu.

Latem 1910 roku, w wieku stu lat, umarł książę Leon, mój wujeczny dziadek. Tuż przed śmiercią zdążył się jeszcze poskarżyć, że to jego żona wpędziła go do grobu w tak młodym wieku. Pochowano go z królewską pompą i złożono na wieczny odpoczynek zgodnie z jego wolą nie w grobowcu rodzinnym, lecz na cmentarzu z widokiem na dolinę ukochanej przez księcia Wisły. Tam, między brzozą i osiką, wzniesiono marmurowy nagrobek i tam wdowa po nim, milutka Katarzyna, tak źle przez niego traktowana i wiecznie oszukiwana, przez resztę swego życia przychodziła codziennie, by kłaść świeże kwiaty na grobie „swego aniołka”.

We wrześniu 1911 roku umarł kolejny fanatyczny patriota — premier Rosji, Stołypin. Owego fatalnego wieczoru, kiedy postrzelono premiera, ojciec towarzyszył carowi w Operze Kijowskiej. Obecne były też Olga i Tatiana Nikołajewne.

— To był okropny wstrząs dla księżniczek — opowiadał nam ojciec, kiedy bezpośrednio z Kijowa przyjechał po mnie do Zaslawic. — Tatiana Nikołajewna skamieniała. Olga chciała biec na pomoc córce Stołypina, która została poważnie raniona, i cesarzowa musiała jej ostro zwrócić uwagę.

Jej Wysokość również była mocno przejęta tym wydarzeniem. Tylko car zachował całkowite opanowanie.

— To musiało być straszne! — wykrzyknęłam. Wyobraziłam sobie tę scenę: strzały, krzyki, tłoczący się agenci ochrony. Przecież ofiarą mógł zostać nasz władca, a ranioną dziewczynką Tatiana Nikolajewna lub Olga!

— Czyż to nie ironia, że zabójca był opłacany przez *ochranę*? Ta zbrodnia jest równie nikczemna jak tragiczna — ciągnął ojciec.

— Jak to możliwe, by rewolucjonista był podwójnym agentem? — nie mogła zrozumieć ciotka.

— W Rosji to raczej normalne, prawda, Piotrze? — powiedział wuj.

— Tak — przyznał ojciec. — Między terrorystami, kryminalistami i policją istnieją zastanawiająco bliskie powiązania. Przywodzi to na myśl Dostojewskiego i bohaterów jego „*Idioty*”: ludzi tak wypaczonych przez zamiłowanie do terroru, że ich czyny są dla nas zagadką.

— Stołypin był despotą i nacjonalistą. Nie można go nazwać przyjacielem Polski — zauważył wuj.

— Masz rację — zgodził się ojciec. — Niemniej jednak to zabójstwo jest zamachem na władzę parlamentarną. Powiedz mi, gdzie znajdziemy teraz przywódcę podobnego kalibru i tak prawego jak on?

— Następca Stołypina, Kokowcow, też nie liberał, okazał się zdolnym ministrem finansów. Czemu nie miałby być dobry jako premier? — spytał wuj.

— To za mało. — Choć głos ojca pozostał spokojny, czułam, że jest przejęty. — Z jednej strony mamy rozgoryczoną Dumę, ciągle rozwiązywaną, z drugiej władcę, który uczepił się autokratycznych przywilejów. Kto ich pogodzi? Kto zapanuje nad ekstremistami na lewicy?

— I prawicy — wtrącił wuj.

— Właśnie. Kto powstrzyma Ich Wysokości przed rosnącym uzależnieniem od zgubnych wpływów okultystycznych? Kto zreformuje armię w obliczu pruskiej zaborczości? Kto, na miły Bóg, uratuje Rosję?

Wtedy po raz pierwszy usłyszałam ojca mówiącego o swych obawach. Byłam teraz poważną czternastoletnią panienką, której przeszkadzało zbyt rozwinięte ciało, zdającą sobie sprawę z przepaści istniejącej między chrześcijańskimi ideałami a rzeczywistością. Nie interesowały mnie sprawy tego świata. Wiedziałam już, że jest skorumpowany. Postanowiłam, że nie dam mu się skalać. Natomiast do tej pory nie docierało do mnie, że coś mu zagraża. Nagle ujrzałam jego kruchość. Spostrzegłam również, że ojciec był z tego powodu nieszczęśliwy, i cierpiałam razem z nim. Jednak kilka dni później świadomość tego faktu została zepchnięta gdzieś w zakamarki umysłu, gdzie przechowuje się myśli niezrozumiałe i wzbudzające przerażenie. I znów nie było nic ważniejszego i bardziej absorbującego niż moja własna osoba. Z pomocą ciotki Zofii namówiłam ojca, by pozwolił mi pójść do szkoły. Owej jesieni, po powrocie do Petersburga, zostałam uczennicą Instytutu Smolnego dla szlachetnie urodzonych panien.

## 5

Dni zimowe w północnej Rosji są krótkie i o ósmej rano dziedziniec naszego *osobniaka* tonął jeszcze w ciemnościach, gdy wsiadałam do sań po śniadaniu spożytym w towarzystwie ojca, by udać się do Instytutu Smolnego. Para czarnych koni, rzucając łbami i zamiatając ogonami śnieg, biegła szybkim kłusem wzdłuż Newy. Z przodu osłaniała nas sylwetka barczystego Gierasima, woźnicy, a z tyłu — potężnego Fiodora. Radfie wtulała swą szczupłą twarz w kołnierz z foczego futra, wyrażając milczeniem dezaprobatę wobec barbarzyńskich rosyjskich zim i jeszcze bardziej barbarzyńskiemu sposobowi powożenia przez rosyjskich woźniców. W gronostajowej pelerynce, zarzuconej na szkolny mundurek, w gronostajowej czapce, nasuniętej na uszy, z przyjemnością spoglądałam na okazałe bulwary, na oświetlone przęsło mostu Nikołajewskiego, na długi, prosty, rozjarzony światłami most Aleksandrowski i na połyskującą w ciemnościach złotą iglicę katedry w Twierdzy Pietropawłowskiej.

W spokojne dni miasto wydawało mi się nieskończenie rozległe, majestatyczne i tajemnicze. Przy wietrznej pogodzie wichur hulał nad zamarznąłą rzeką, unosząc w górę tumany drobnego śniegu, rozwiewając grzywy włochatych kuców ciągnących przez oblodzone ulice niskie sanie i targając białe brody weteranów pełniących straż przy kolumnie Aleksandrowskiej na Placu Pałacowym. Ozdobione filarami fasady stojących wzdłuż nabrzeży budynków sprawiały wtedy wrażenie zimnych i odpychających, podobnie jak domy mieszkalne i gmachy urzędów przy prostych jak strzała, ginących w oddali alejach. Mróz tamował oddech i po-



wodował nieprzyjemny ból w nozdrzach, więc po minięciu szerokiego zakola rzeki odczuwaliśmy prawdziwą ulgę na widok trzech błękitnych kopuł katedry wznoszących się ponad Smolnym.

W milczeniu szłyśmy parami za damą klasową przez rzęsiście oświetlone i ciepłe sale instytutu: najpierw do kaplicy, a potem do klasy. Byłam pilną uczennicą i podczas przerw siedziałam na parapecie okna ucząc się lub czytając. Koleżanki szkolne szeptały po kątach, że jaśnie panienka jest za dumna, by zadawać się z kimkolwiek poza wielkimi księżniczkami.

Ignorowałam zarówno ich początkowe próby ośmieszania mnie, jak i późniejsze zamiary przypochlebiania. Postanowiłam, że będę najlepsza w klasie; sądząc po stosunku do mnie pedagogów — w jednakowym stopniu radowałam ich serca i zaspokajałam ich snobizm.

O trzeciej po południu przysyłano po mnie sanie, w których — jeżeli była ładna pogoda — siedziała zamiast Radfie hrabina Liline. Moja ładna *educatrice* wyglądała w białym lisim kołnierzu niczym jak okazały północny kwiat, czując się tak swobodnie w futrze jak Radfie w swojej pelisce. Zimą o tej porze było już na ulicach ciemno i paliły się latarnie. Służby miejskie posypywały chodniki żłocistym piaskiem. Wysokie, żółte tramwaje, zatłoczone do granic możliwości, przejeżdżały z hałasem. Uliczni sprzedawcy zachwalali swój towar. Szczególnym powodzeniem cieszyły się budki z herbatą. Odziane w futra damy robiły zakupy w towarzystwie lokajów. Kozacy na koniach przemykali dwójkami. Bardziej od ożywionego ruchu na Newskim Prospekcie lubiłam spektakl rozgrywający się w słoneczne dni na rzece. Poczynając od nabrzeży z różowego granitu okalających ją na południu aż po wyspy spięte arkadami mostów, zamarznęta Newa, rozległa niczym jezioro, pełna była mknących we wszystkie strony sań. Zarówno sanie, jak i woźnice sprawiali na tle bezmiaru łądu i nieba, nadającego monumentalnej architekturze grodu Piotra włoskiej gracji, wrażenie kruchych i delikatnych.

Różowe i żółte fasady pałaców cesarskich i rezydencji arystokracji wyglądały w taki dzień szczególnie pięknie. Ulicami przewalał się tłum przechodniów. Błyszczące mundury gwardzistów, szkarłatne liberie dworzan, niebieskie pikowane fufajki chłopek, czapki z norek, bobrów, fok i astrachanu, świadczyły o bogactwie i różnorodności, obfitości i zbytku, przesłaniając niedolę i monotonię życia większości mieszkańców Petersburga — tych, którzy zarabiali na życie, usługując nielicznym szczęśliwcom, zamieszkującym pałace i *osobniaki*.

Co drugi dzień zabierano mnie do szkoły jeździeckiej na lekcje hipiki; w pozostałe popołudnia chodziłam na ślizgawkę do ogrodu Pałacu Taurydzkiego. Pochylona do przodu jak chłopak, z rękami założonymi do tyłu, ściagałam się z uczniami szkoły guriwskiej i z kadetami.

Ubólstwałam hamować gwałtownie przed jakimś wystraszonego malcem uczeptionym ramienia oficera gwardii. Na próżno moja *educatrice* strofowała mnie, gdy z udawaną skruchą wracałam do jej boku.

*Princesse, ce ne sont pas des façons.* To nie wypada.

Mniej zabawne były lekcje tańca i gry na pianinie, a także cotygodniowe wizyty z babcią w instytucjach dobroczynnych, nad którymi

Grandmaman sprawowała patronat. Do moich obowiązków należało również stanie za jej krzesłem w dni, kiedy przyjmowała gości, i przez całe popołudnie proponowanie przybyłym po angielsku lub francusku:

„Wasza Wysokość, Wasza Ekscelencjo, czy życzą sobie państwo cytrynę do herbaty? A może mleko?” Zyskałam sobie tym w ich oczach opinię niezwykle inteligentnej panienci.

W okresie tym szczególnie ostro zarysowała się sprzeczność między moimi planami na przyszłość a nadziejami, jakie we mnie pokładała rodzina. Kontynuowałam edukację, jaka przystała paniencie z dobrego domu. Jednak nie wyrzekłam się swych skrytych pragnień, by zostać chirurgiem. Moje ambitne dążenia gorąco popierał, służąc mi cenną pomocą,

słynny naukowiec, Aleksander Holweg, który również dodawał mi otuchy, bym wytrzymała w tym postanowieniu.

Pierwszą osobą, która zwróciła moją uwagę na profesora Holwega, był Igor Konstantynowicz, syn bliskiego przyjaciela naszej rodziny, wielkiego księcia Konstantego, i mój towarzysz zabaw od najwcześniejszych wizyt w Pałacu Marmurowym.

Aleksander Holweg, już wtedy profesor chemii na Uniwersytecie Petersburskim, spędził dwa sezony letnie w rezydencji wielkiego księcia w Pawłowsku jako nauczyciel księcia Igora i jego brata Kostii. Nawet kiedy Igor zaczął już uczęszczać do szkoły kadetów, profesor Holweg pozostał w bliskich stosunkach z rodziną swych uczniów. Wielka księżna lubiła go, bo podobnie jak ona był luteraninem, a wielki książę jako przewodniczący akademii nauk pilnie śledził jego prace związane z badaniami dopiero co odkrytego radu, i zdobywane tytuły naukowe — w wieku dwudziestu ośmiu lat Aleksander Holweg był już członkiem Akademii Nauk i przewodniczącym cieszącego się uznaniem Towarzystwa Chemiczno-Fizycznego.

Książę Igor nie był intelektualistą. Pasjonował się głównie końmi. Był za to wyjątkowo sympatycznym i bezpretensjonalnym młodzieńcem, przy tym pewnym siebie, co wśród książąt krwi — ze względu na sposób ich wychowania — nie zdarzało się zbyt często. Bracia nauczyli go śmiałości i przypominali, by panował nad swym donośnym głosem. Bardzo lubił profesora Holwega i nigdy nie omieszkał powtórzyć najnowszego powiedzonka swego zgryźliwego mistrza. Właśnie od Igora dowiedziałam się, że z osobą naukowca wiązała się pewna tajemnica. — Jego matka jest Żydówką — wyznał mi — ale ojciec był księciem. *On dit qu'il est fils naturel d'un grand-duc allemand.*

Odbywaliśmy właśnie w prywatnym teatrze w Pałacu Marmurowym próbę sztuki religijnej napisanej przez wielkiego księcia Konstantego i akurat ten moment wybrał Igor, by poinformować mnie o rzekomym pochodzeniu z nie-

prawego łoża jego nauczyciela. Powiedział to szeptem, który było słyhać na całej scenie.

Bracia obrzucili Igora straszliwymi spojrzzeniami i musiałam powściągnąć swą ciekawość. Podczas przerwy chwyciłam Igora za rękaw i zapytałam kategorycznym tonem:

— Który niemiecki książę jest naturalnym ojcem profesora Holwega? I co to za historia z tą żydowską matką?

— Och, to był prawdziwy skandal — Igor przybrał teatralną pozę. — Ale ty jesteś jeszcze młoda i niewinna. *Ce genre d'histoire*, tego typu historyjki nie są dla ciebie.

Chętnie kopnęłabym Igora w kostkę. Znow wezwano nas na scenę i moja ciekawość nie została zaspokojona.

Bardzo się ucieszyłam, kiedy nazajutrz po obiedzie ojciec powiedział babci, że chciałby zaprosić Aleksandra Holwega do nas na najbliższy wieczór muzyki kameralnej.

— Ciekaw jestem opinii profesora Holwega po zaaranżowanej przeze mnie audiencji u Jego Wysokości — dodał ojciec. — Wiesz, że zawsze uważałem, iż zamiast zwalczać inteligencję, nasze władze powinny wykorzystywać jej próżność, która według mnie jest większa niż u innych warstw społeczeństwa. Najlepszym sposobem uczynienia monarchisty z republikanina jest obdarowanie go królewskim odznaczeniem. Młody Flolweg cieszy się w kołach uniwersyteckich olbrzymim autorytetem. Wywarł korzystne wrażenie na Jego Wysokości i myślę, Maman, że tobie też się spodoba, jeśli, oczywiście, pozwolisz mi go zaprosić.

— Mówisz tak, jakbyś zawsze prosił mnie o pozwolenie, na przykład kiedy sprowadzałeś do domu tę całą cyganerię i zapoznanych artystów — powiedziała babcia, robiąc aluzję do opieki, którą ojciec otaczał biednych artystów. — Oczywiście, możesz zaprosić swego młodego żydowskiego protegowanego. Mój syn miał zawsze słabość do uciskanych mniejszości narodowych. — Ta ostatnia uwaga, wypowiedziana po francusku, skierowana była do Zinajdy Michajłowny, nieśmiałej, grubiotkiej babcinej damy do towarzystwa, która najwyraźniej nie wiedziała, jak na nią zareagować.

Zaraz potem dało się słyszeć wydany po rosyjsku okrzyk: — Do diabła! Znów nie wyszedł! — Odnosił się on do stawianego właśnie przez Grandmaman pasjansa.

Ojciec wymienił ze mną uśmiech i potasował karty. — Spróbuj jeszcze raz, Maman. A jeśli chodzi o mojego żydowskiego protegowanego, to jest on jednym z najbardziej obiecujących naukowców, mniej więcej klasy Mendelejewa. Poza tym jest tylko pół-Żydem, luteraninem, a ze strony ojca nie tylko dobrze, ale nawet wysoko urodzony. — I opowiedział ze swadą prawdziwego gawędziarza niezwykłą historię Aleksandra Holwega.

Słuchałam chciwie i uważałam, że wielka księżna Małgorzata Allensee, obeszła się okrutnie ze swym pierworodnym, wypierając się go, ponieważ potajemnie poślubił piękną Żydówkę z pobliskiego polskiego miasta Biała. Ogromnie zapragnęłam poznać profesora Holwega i poprosiłam ojca, by go do nas zaprosił.

Po koncercie ojciec dał mi znak ręką, bym podeszła do mego. Stał w rogu pokoju, górując nad młodym mężczyzną w okularach, z małą, kruczoczną, kozią bródką.

— Moja córka, Tatiana Pietrowna, bardzo chciała pana poznać, profesorze. Ogromnie się interesuje naukami ścisłymi — powiedział ojciec takim samym tonem, jak wtedy, gdy nazywał mnie Florence Nightingale.

— Miło mi to słyszeć. — Profesor Holweg obrzucił mnie spojrzeniem swych czarnych oczu, które wydało mi się dosyć śmiałe, i potrząsnął moją dłoń, którą wolałabym, by pocałował.

Ojciec powrócił do przerwanej rozmowy.

Cieszę się, że odwzajemnia pan prawdziwą sympatię Jego Wysokości, profesorze. Mam nadzieję, że spotkanie to wpłynęło na zmianę pańskich poglądów politycznych.

— W najmniejszym stopniu nie — zaprzeczył profesor Holweg. — Przyznaję, że Mikołaj II okazał się skromnym i sympatycznym człowiekiem. Ale nic mogę zapomnieć, że jest tyranem.

— Czy naprawdę nim jest? — wtrącił ojciec. — Mamy przecież parlament i liczne partie polityczne. Mamy właściwie niezależną prasę. Och, wiem, że działa cenzura — powiedział ojciec, uprzedzając sprzeciw profesora — ale nikt nie zwraca na nią uwagi. Wydawcy gazet płacą grzywnę i dalej bezpardonowo krytykują rząd. Teatr i sztuka kwitną. Wszelkie formy życia religijnego, nie wyłączając okultyzmu, mogą być otwarcie praktykowane. Jeśli chodzi o upodobania seksualne... — ojciec spojrzał na mnie — ... to lepiej o tym nie mówić.

— A dyskryminacja mniejszości narodowych? — przerwał mu profesor Holweg, zresztą ku memu niezadowoleniu. „Upodobania seksualne”, jak to wytwornie określił mój ojciec, interesowały mnie o wiele bardziej niż prawa mniejszości narodowych. — Czyż nie ustalono dla Żydów limitów przyjęć do szkół średnich i na uniwersytety, nie mówiąc już o innych podobnych przepisach, pozbawiających tę grupę ludności pełni praw obywatelskich? Czy Ukraińcy nie są uważani za obywateli drugiej kategorii? Czy można zaprzeczyć, że ludy bałtyckie, na przykład Finowie, a także Polacy, pozostają pod władzą Rosji?

— Zgadza się i boleję nad tym. Ale przyczyną tego jest rosyjski nacjonalizm sięgający czasów okupacji mongolskiej, która trwała — proszę o tym nie zapominać, profesorze — przez dwa wieki. Nacjonalizm odgrywa tu większą rolę niż różnice poglądów politycznych. Nie można całej winy zrzucić wyłącznie na *samodzierzawie*.

— Może ma pan rację. — Profesor Holweg utkwiał wzrok w twarzy ojca, jakby próbował zrozumieć i odpowiedzieć na wszystkie pytania jednocześnie. — Nacjonalizm to zjawisko ogólnoświatowe, dla uczonego równie odrażające, co zagadkowe. Ale nie może to rozgrzeszać cara-tyrana Wszechrosji. W dwudziestym wieku nie ma miejsca na absolutyzm, książę.

— Zgadza się. — Ojciec uśmiechnął się lekko, słysząc takie niezłomne poglądy, przy tym tak gorąco wyrażane.

— Ja również nie jestem obrońcą absolutyzmu, profesorze. Ale w przeciwieństwie do pańskich rozkrzyczanych liberałów wolałbym widzieć naszą monarchię zreformowaną, funkcjonującą zgodnie z konstytucją, a nie zlikwidowaną. Liberałowie, zdaje się, nie uświadamiają sobie, że lewica zagraża im znacznie bardziej niż prawica, będąc przy tym bardziej od niej skrajna.

— Jeśli chodzi o ścisłość, nie należę do lewicy — odparł profesor Holweg, jakby czuł się zmuszony do złożenia tego oczywistego oświadczenia. — Nie jestem sympatykiem Karola Marksa. Ale nic na to nie poradzę, że sądzę — chyba jak każdy wykształcony człowiek — iż monarchia to choroba wieku dziecięcego, z którego ludzkość już dawno wyrosła, podobnie jak dzieci wyrastają ze świata baśni. W nowoczesnym społeczeństwie nie ma miejsca na władzę dziedziczną, opartą na kryterium urodzenia.

— A jakie kryterium chciałby pan zastosować, panie profesorze? Inteligencji? W jaki sposób można ją zmierzyć? Jak zauważył Puszkina, „wymagano by niezwykłych umiejętności od naszych biednych łokai, gdyby kazano im podawać obiad według posiadanej przez gości wiedzy, a nie zajmowanej w społeczeństwie pozycji”. — Ojciec poprosił mnie, bym dopilnowała, aby profesorowi podano herbatę, i przeprosiwszy nas, przyłączył się do innych gości.

Zaprowadziłam profesora do stołu, przy którym siedziała Grandmaman. Stał na nim srebrny samowar ozdobiony orłem i naszym monogramem. Kiedy babcia, mierząc Holwega swym bezpośrednim i wywołującym niepokój wzrokiem, nalewała mu herbatę, przyszła mi do głowy pewna myśl.

— Panie profesorze — zwróciłam się do niego, kiedy stanęliśmy obok obrazu Tiepola, który wyraźnie zwrócił uwagę profesora — uczęszczał pan na uniwersytet niemiecki. Czyli musi pan bardzo dobrze znać niemiecki.

— Tak, władam biegle tym językiem.

-- Czy mógłby mi pan udzielać lekcji niemieckiego?

— Zrobiłbym to z największą przyjemnością, ale filologia to nie moja specjalność. Jestem pewien, że znajdzie panią kogoś odpowiedniejszego do takiej roli.

— Pani profesorze... — Rozejrzałam się wokół, by się upewnić, że nikt nas nie podsłuchuje. — Wcale nie chodzi mi o naukę niemieckiego. To byłby tylko pretekst, by mógł mi pan udzielać korepetycji z fizyki, chemii i biologii. W Smolnym bardzo mało czasu poświęca się tym przedmiotom, a dla mnie są one bardzo istotne.

Badawczy wzrok profesora Holwega był niemal tak przenikliwy jak spojrzenie Grandmaman.

— A czemuż to przedmioty te są tak dla pani ważne, Tatiano Pietrowno?

— Ponieważ... — jeszcze bardziej ściszyłam głos — ...chcę zostać lekarzem.

— Pani... lekarzem, Tatiano Pietrowno?

— Profesorze, proszę nie mówić tak głośno. Nikt nie może się o tym dowiedzieć, nawet tatuś. Nie zrozumieliby mnie.

— Proszę mi wybaczyć, Tatiano Pietrowno, ale ja również nie rozumiem. Dla osoby z pani sfer, zajmującej taką pozycję i posiadającą taki majątek, kariera medyczna w ogóle nie wchodzi w grę.

— Nie dbam o moją pozycję ani urodzenie. Nie uważam, by właśnie to liczyło się najbardziej w życiu. Ale uratować ludzkie istnienie, wyleczyć chore dziecko, pomóc przy narodzinach człowieka — to uważam za istotne... i naprawdę ważne... i wielka księżniczka Tatiana Nikołajewna sądzi tak samo!

— Czyżby? Czy Jej Cesarska Wysokość zamierza zostać pani asystentką? Wzburzyła mnie ironia w głosie profesora.

— Och, pan również nie traktuje mnie poważnie! Nikt nie traktuje mnie poważnie, bo mam dopiero czternaście lat. A ja postanowiłam zostać lekarzem już wtedy, kiedy miałam zaledwie sześć lat. I nikt ani nic nie jest w stanie przeszkodzić mi w osiągnięciu tego celu.



Profesor Holweg przyglądał mi się z wyraźnym zainteresowaniem.

— Już jako sześćioletni chłopiec wiedziałem, że zostanę naukowcem i że nikt ani nic mi w tym nie przeszkodzi. Zdaje się, że panią rozumiem, Tatiano Pietrowno.

— Czy to znaczy, że pomoże mi pan? Pod pozorem lekcji niemieckiego? W tajemnicy przed wszystkimi?

— Tatiano Pietrowno, muszę panią uprzedzić, że nie jestem biologiem ani nawet biochemikiem. Głównym obiektem moich zainteresowań są pierwiastki promieniotwórcze i ich właściwości. A medycyna na obecnym, niskim poziomie rozwoju właściwie nie zasługuje na miano gałęzi nauki, szczególnie medycyna kliniczna, która interesuje panią.

— Tak, ale to się przecież kiedyś zmieni. A ja i tak najpierw muszę posiadać pewną wiedzę z dziedziny... z dziedziny...

— Nauk podstawowych?

— Właśnie. — Uśmiechnęłam się, a profesor odwzajemnił uśmiech, ukazując wyjątkowo białe, równe zęby. — Pomoże mi pan, profesorze?

— Zastanowię się jeszcze, Tatiano Pietrowno — powiedział swym oschłym tonem. Właśnie wtedy podeszła do nas Wiera Kiryłowna, zwracając mi uwagę, że już najwyższa pora, bym udała się na spoczynek. Pół godziny później, gdy niania szczotkowała mi włosy, oświadczyłam:

— Profesor Holweg ma drobne, ładne dłonie, piękne zęby, szczery, miły uśmiech, a oczy... takie mądre... i jak nimi patrzy! Przy tym jest taki zabawny i drażliwy, nianiu, zupełnie przypomina kłującego jeża, ale nie wątpię, że w głębi duszy jest wyjątkowo łagodny. Na pewno nie potrafiłby nikogo skrzywdzić. Pomyśl tylko, nianiu, poznałam geniusza! Bo tatuś powiedział, że to geniusz. I jestem pewna, że mnie rozumie.

— Naprawdę trzeba być geniuszem, by cię zrozumieć, duszko.

Zignorowałam jej sarkastyczną uwagę.

— Nianiu, jak myślisz, czy tatuś zatrudni go jako mego nauczyciela matematyki i nauk ścisłych, tak jak niegdyś zrobił wielki ksiązę Konstantyn, angażując go, by uczył Igora Konstantynowicza i Kostię?

— A na co ci matematyka i nauki ścisłe, moja duszko? Bóg nie obdarzył kobiet takim rozumem, by mogły pojąć taką wiedzę, i wiedział, co czyni. Twoje dzieci nie będą potrzebowały matki ze znajomością matematyki ani nauk ścisłych. Mąż również nie będzie cię więcej kochał za posiadanie takich wiadomości.

To tradycyjne pojmowanie roli kobiety rozzłościło mnie.

— Nie zamierzam wychodzić za męża! Nie zamierzam mieć dzieci! Będę mieszkała z ojcem i zostanę lekarzem.

— Już to widzę, księżniczka Siłomirska lekarzem! Lepiej nie wspominać o tym ojcu, moja duszko. Choć to święty człowiek, jednak słysząc coś podobnego, może stracić cierpliwość.

Byłam tego samego zdania. Poprosiłam jedynie ojca, by zatrudnił profesora Holwega jako mego nauczyciela niemieckiego, oczywiście jeśli profesor się zgodzi. Ku zdumieniu ojca profesor Holweg wyraził zgodę. Od połowy września do końca maja, przez wszystkie gimnazjalne lata aż do matury w 1914 roku, majordomus przyprowadzał profesora do mojego gabinetu, znajdującego się na drugim piętrze w skrzydle z pokojami prywatnymi, wychodzącymi na Newę. Częstowałam swego gościa filiżanką herbaty, po czym zasiadaliśmy po obu stronach stojącego pod oknem masywnego biurka z kreolskiej brzozy. Bobik, który z biegiem lat się ustatkował, drzemał u mych stóp. Radfie siadała w kącie. Ale kiedy pod pretekstem, że profesor Holweg bardzo łatwo się przeziębiał, zamykałam lufcik, mojej guwernantce szybko zaczynało doskwierać ciepło, buchające pod wyłożonego holenderskimi kafelkami pieca, i przenosiła się do przyległego pokoju, zostawiając wolne pole naukom ścisłym.

Robiłam szybkie postępy w niemieckim. Niestety nie mogę tego powiedzieć o fizyce.

— Panie profesorze — spytałam pod koniec pierwszej zimy naszych potajemnych korepetycji — czy sądzi pan, że kiedykolwiek przyswoję sobie wiedzę niezbędną, by zostać lekarzem? Nie jestem tak zdolna jak pan czy jak mój kuzyn Stefan Zasławski. Jemu wszystko samo wchodzi do głowy.

— Jest pani wystarczająco inteligentna, Tatiano Pietrow-no. Szybko przyswaja sobie pani wiadomości, ma wyjątkową pamięć, a pani wytrwałość w dążeniu do obranego celu jest... jest godna podziwu. Wierzę, że osiągnie pani wszystko, co sobie pani założy. — Profesor gładził swoją bródkę, spoglądając na mnie zza okularów, i chociaż nie byłam pewna, czy traktuje mnie absolutnie poważnie, jego słowa dodały mi jednak otuchy.

Wkrótce profesor Holweg stał się naszym ulubionym gościem. Jego szczerość i sarkazm zachwyciły moją równie szczerą i sarkastyczną babkę. Zauważyłam, że nauczyciel odrzucał poglądy przez większość ludzi przyjmowane za oczywiste, a które ja uważałam za słuszne dopóty, dopóki nie kolidowały z moimi ambicjami. Profesor Holweg twierdził, że nic nie jest nieuchronne ani stałe, że każdy pogląd trzeba na nowo weryfikować. Nie można przyjąć za pewnik nawet prawa naukowego, póki uczeń osobiście nie dowiedzie jego słuszności, przeprowadzając doświadczenie. Ale kiedy pytałam profesora o lekarstwo na krzywdy społeczne, które go tak bolały, twierdził, że to nie jego specjalność.

— Już przekraczam swoje kompetencje, pomagając pani w rozwiązywaniu drobnych problemów naukowych - mawiał. —

Pragnąłbym, by przyjęła pani postawę zdrowego sceptycyzmu, ale nie chciałbym, by uznała to pani za naczelną zasadę filozofii życiowej. Nie zamierzam budzić w pani niezadowolenia w związku z zajmowaną przez nią pozycją społeczną.

— Przecież ja wiem, że w naszym życiu społecznym panuje wiele zła, profesorze. Na własne oczy widziałam, jak mieszka biedota. Kiedy dorosnę, pragnę to zmienić.

Ale wydaje mi się, że społeczeństwo tylko wtedy się zmieni, gdy zmieniają się sami ludzie, kiedy staną się prawdziwymi chrześcijanami. — Umilkłam, obserwując profesora Holwega nerwowo szarpiącego bródkę. Niespodziewanie spytałam:

— Profesorze, czy wierzy pan w Boga?

— Tatiano Pietrowno, to jeszcze jeden temat, którego wolałbym nie poruszać. Mam nadzieję, że będzie pani potrafiła pogodzić dociekliwość naukową z przekonaniami religijnymi. Jestem ostatnią osobą, która pragnęłaby wywołać u pani konflikt w tej materii.

— Profesorze, według mnie nie może tu być mowy o żadnym konflikcie. Bo nauka to coś, co trzeba poznać, pojąć rozumem. A wiara to coś, co się czuje, co płynie gdzieś z głębi duszy

— przycisnęłam dłonie do piersi. — Bardzo dobrze rozumiem istotę ewolucji. Wiem, że Pisma świętego nie można brać dosłownie. Wiem, że człowiek powstał w wyniku ewolucji organizmu jednokomórkowego, która doprowadziła do wykształcenia się istoty myślącej, charakteryzującej się bardzo złożoną strukturą, zbudowanej z milionów komórek. Tylko istota rozumna, potrafiąca myśleć może ogarnąć umysłem niekwestionowaną rolę Boga. I to właśnie było celem ewolucji

— zamilkłam wyczerpana skomplikowanym wywodem filozoficznym.

— Nie jestem pewny, czy celem ewolucji było powstanie człowieka ani czy ewolucja w ogóle miała jakiś cel — stukając ołówkiem w blat biurka, profesor poprosił mnie, bym jeszcze raz podała definicję ciśnienia osmotycznego.

Kiedy indziej wprawiłam swego nauczyciela w jeszcze większe zakłopotanie, zadając mu pytanie:

— Profesorze, jak pan sądzi, co ojciec miał na myśli, mówiąc o upodobaniach seksualnych? Było to podczas naszego pierwszego spotkania. Pamięta pan?

— Jak mógłbym zapomnieć? Ale pani pytanie, Tatiano Pietrowno, jest... jest...

— Wykracza poza pańskie kompetencje?

.....- Jak dobrze pamięta pani każde moje słowo! Chciałem powiedzieć, że wykracza poza moją dziedzinę wiedzy.

— Ale przecież ja muszę poznać te zagadnienia, jeśli mam być lekarzem!

— Na wszystko przyjdzie czas. Dowie się pani więcej, niż chciałyby pani wiedzieć. A na razie czemu nie spyta pani o to ojca?

Zrobiłam to pewnego razu podczas śniadania spożywanego tylko we dwójkę z ojcem.

Ojciec nie był ani zdziwiony, ani zakłopotany. Zastanowił się przez moment, stukając palcami w blat stołu, a potem powiedział:

— Widzisz, Taniu, satysfakcja seksualna to największa przyjemność znana człowiekowi. Dla osoby wrażliwej, kiedy satysfakcji tej towarzyszy miłość, stanowi źródło szczęścia. Natomiast kiedy osiąga się ją bez miłości — wywołuje obrzydzenie do siebie. — Spojrzał na swe pierścienie, jakby chciał uniknąć mojego wzroku, a ja pomyślałam: Biedny tata! Mówi o sobie. Jaki musi być nieszczęśliwy!

— Małżeństwo zawarte z miłości — ciągnął ojciec — jest najdoskonalszą formą związku osób przeciwnej płci. — W jego głosie brzmiała tęsknota. Wspomina matkę, pomyślałam. Czemu wywołałam ten temat?

— Ale istnieją również inne rodzaje miłości — mówił. — Na przykład cudzołóstwo — czytałaś przecież „Annę Kareninę”? — albo miłość wolna, czyli nie zalegalizowana...

— O tym też wiem — wtrąciłam. Wcale nie wydawało mi się to takie straszne. Bardzo mi się podobała „Wojna i pokój”, natomiast niezbyt rozumiałam, o co właściwie chodziło w „Annie Kareninie”.

— Miłość, którą się handluje...

— Prostytycja — powiedziałam. To uważałam za coś wstrętnego.

— Tak. Gdy kupuje się ją za małe pieniądze, wtedy nazywa się to prostytucją. Kiedy płaci się za nią dużo, czasami nazywa się to nawet małżeństwem. Mamy jeszcze miłość zdobywaną siłą — ojciec urwał, czekając na moją reakcję.

Skinęłam milcząco głową. Gwałt był nie tylko ohydny, była to jedyna rzecz, która budziła we mnie paniczny strach.

— Wiesz już teraz dosyć, by się wystrzegać złego — powiedział ojciec, uśmiechając się. Widząc, że czekam na dalszy ciąg, dodał: — Spotykamy również homoseksualistów. To ludzie — zarówno kobiety, jak i mężczyźni — którzy potrafią znajdować przyjemność tylko w związku z partnerem tej samej płci. Zjawisko to jest tak stare jak Sodomia i Gomora. W wielkich miastach, takich jak Paryż, Londyn czy Petersburg, można się dosyć często na nie natknąć.

Jak większość wyjaśnień udzielanych przez dorosłych sam mechanizm pozostał nie wyjaśniony, dając mi pole do popisu wyobraźni. Nie byłam już tak naiwna jak wtedy, kiedy chciałam się dowiedzieć, w jaki sposób tatuś umieścił dzidziusia w brzuszku mamusi.

— Wystarczy na dzisiaj? — spytał ojciec.

Pod koniec posiłku, pochyliwszy się nad ojcem, by go pocałować na pożegnanie, spytałam:

— Tatusiu, a czy to nie grzech?

— Miłość homoseksualna? Tak. Ale to sprawia, że dla niektórych staje się tym bardziej pociągająca. Trzeba się zawsze pilnować, Taniuszek, by nie osądzać ludzi i nie potępiać ich. — Ojciec obrócił się na krześle i objął mnie. —

Osądzanie innych to większy grzech niż ułomności ducha. Nie patrz na mnie tak surowo. Nie do twarzy ci z tym spojrzeniem. Jesteś jeszcze za młoda i zbyt niedoświadczona, by zrozumieć. I o wiele za młoda, by móc osądzać.

Delikatne upomnienie ze strony ojca wystarczyło.

— Spróbuję tego nie robić — obiecałam.

Powstrzymałam naturalny odruch podzielenia się zdobytymi wiadomościami ze swą imienniczką. Podejrzewałam, że gdyby Tatiana Nikołajewna powtórzyła je swoim rodzicom, zabroniono by mi się z nią widywać. Poza tym lubiłam myśleć o niej jak o kimś czystym i niewinnym w przeciwieństwie do mnie. Chciałam, by pozostała dla mnie ideałem dziewczęcej dobroci podobnie jak była wzorem urody i królewskiej gracji.

Zaspokoiwszy na jakiś czas ciekawość na temat upodobań seksualnych, zaczęłam się interesować życiem studenckim. Wyobrażałam je sobie jako radosne i niczym nie skrepowane. Ale profesor, gdy go zagadnęłam w tej sprawie, odrzekł, że w carskiej Rosji życie studenta dalekie jest od moich wyobrażeń. Studenci w większości byli biedni, brakowało profesorów, a sale wykładowe były tak przepełnione, że z ledwością wytrzymał na wykładach, nie mdlejąc od panującej w auli duchoty. Mimo to ogromnie pragnęłam zwiedzić dzielnicę uniwersytecką i tuż przed odwilżą otrzymałam pozwolenie odwiezienia mego profesora do jego mieszkania na wyspie Wasiliewskiej.

Podczas tej niezwykłej wyprawy towarzyszyła mi moja *educatrice*. Pozwoliła mi przejść się z profesorem wzdłuż bulwaru nad Wielką Newą, podczas gdy sama podążała za nami w otwartym powozie. Minęliśmy grupkę studentów w długich paltach lub uniformach wojskowego kroju. Szyje omotane mieli barwnymi szalikami, a na potargane głowy wsunięte czapki z daszkiem w kolorze odpowiadającym wydziałowi, na który uczęszczali. Z uszanowaniem kłaniali się profesorowi Holwegowi, ale na mnie spoglądali z nie ukrywaną wrogością.

Podczas wizyt składanych w instytucjach dobroczynnych babki przyzwyczaiałam się do ukłonów i uśmiechów.

— Panie profesorze — spytałam — czemu studenci tak na mnie patrzą?

— Bo jest pani księżniczką Siłomirską i najbliższą przyjaciółką córek cara, który nie jest tu zbyt lubiany. Bo jest pani ogromnie bogata, podczas gdy większość tych młodzieńców to biedacy.

— Ale czemu to ma takie znaczenie, czy człowiek jest biedny, czy bogaty?

Okrążyliśmy cypel na wyspie Wasiliewskiej i gdy zatrzymaliśmy się naprzeciwko doryckiego frontonu Giełdy, by upajać się widokiem, tak odpowiedział na moje naiwne pytanie:

— Dla pani, Tatiano Pietrowno, nie ma to znaczenia, bo nigdy nie była pani biedna. Dla pani walka o codzienny byt to coś abstrakcyjnego. Dla większości jednak ludzi jest to główny aspekt życia, poza narodzinami i śmiercią. Głód i chłód, *cholod i golod, Kalt und Hunger, le froid et la faim* — powtórzył po rosyjsku, niemiecku i francusku — zaprzatają myśli tysięcy mieszkańców tego miasta rozciągającego się majestatycznie przed naszymi oczami. Osobiście zetknąłem się z nimi podczas pierwszych dwudziestu lat życia i nigdy o tym nie zapomnę.

Przypomniały mi się romantyczne i smutne dzieje mego nauczyciela.

— Och, to takie niesprawiedliwe. Ale czemu pański ojciec nie uczynił nic dla pana i pańskiej matki?

— Nigdy nie miałem przyjemności poznać swego książęcego ojca — sucho odparł profesor. — Małgorzata Al-lensee skazała go na zesłanie do Japonii za odmowę rozstania się z żydowską oblubienicą. W stopniu oficera armii japońskiej zginął podczas wojny z Rosją. Mojej matce zaproponowano dożywotnią wysoką rentę, jeśli się zgodzi nie używać nazwiska męża — Holweg to nazwisko naszych szwedzkich przodków. Woląла raczej wychować mnie jako biedaka niż bękarta... Proszę o wybaczenie, Tatiano Pietrowno, zapomniałem się.

Milczałam, czując, że zachowałam się nietaktownie. Doszliśmy bulwarem do Małej Newy i minęliśmy grupkę rozbawionych dziewcząt z Kursów — szkoły wyższej dla kobiet. Krótka ostrzyżone, zachowujące się wyzywająco, wydawały się jeszcze bardziej niesympatyczne niż mężczyźni.

— Widzi tu pani kilku przyszłych doktorów, Tatiano Pietrowno — powiedział profesor (młode Rosjanki już wtedy licznie garnęły się do zajęć medycznych) — i prawdopodobnie parę terrorystek.

Wiedziałam, że kobiety brały udział w zamachach terrorystycznych od czasów zabójstwa Aleksandra II, dobroczyńcy chłopów pańszczyźnianych. Jedną z uczestniczek zamachu na ministra spraw wewnętrznych, von Plehwe, dokonanego



w 1904 roku, była młoda dziewczyna. Wydawało mi się, że jestem równie buntowniczo nastawiona jak inne kobiety. Bez zmrżenia oka mogłabym zabić w obronie własnej lub swych najbliższych, ale nigdy nie mogłabym rzucić bomby.

— Kto zostaje terrorystką? — zapytałam.

— Córki inteligencji i burżuazji. Ta sama kombinacja złości i idealizmu popycha do działania wszystkich rewolucjonistów bez względu na płeć. Są wśród nich nawet ziemianie, jak na przykład Włodzimierz Lenin, przebywający obecnie na wygnaniu w Szwajcarii przywódca bolszewików. I, oczywiście, Żydzi. Oni najwięcej wycierpieli pod rządami carów.

— Odczuwa pan gorycz w związku z tym, jak traktowani są Żydzi, prawda, profesorze?

— Antysemityzm, Tatiano Pietrowno, jest przejawem głupoty i ignorancji. Wszędzie na świecie istnieją jakieś uprzedzenia. W Ameryce Północnej dokonuje się samosądów na Murzynach. W Indiach żyją miliony pariasów. A kobiety wszędzie traktowane są jak istoty niepełnowartościowe.

— I to właśnie doprowadza mnie do furii! — Spojrzałam innymi oczami na zaniedbane studentki. — Jeśli nie będę mogła wstąpić na uniwersytet w Rosji, wyjadę do Anglii lub Szwajcarii. A kiedy odziedziczę swoją część majątku po matce, znajdę sobie jakąś uczelnię medyczną dla szlacheckich córek. Panie profesorze, czy w przyszłym roku zabierze mnie pan do Muzeum Zoologii i Anatomii?

— Tatiano Pietrowno, bardzo panią proszę. Nie mogę się angażować w pani spisek w większym stopniu, niż czynię to obecnie. Poza tym wszystko to jest wysoce hipotetyczne.

— W takim razie nie może również nikomu zaszkodzić — powiedziałam i wybuchnęłam śmiechem.

Natychmiast zatrzymał się obok nas powóz, wiozący mą *éducatrice* w kołnierzu z lisów. Wiera Kiryłowna zgromiła mnie wzrokiem, mówiącym, że taka otwarta wesołość na ulicy nic jest *comme U faut*. Mój krótki spacer z profesorem Ilolwgcicm dobiegł końca.

Zima również zbliżała się do końca. Lód na Newie się pokruszył jak bruk na ulicy podczas trzęsienia ziemi, tworząc szczerbate załomy spychane przez lodołamacze do morza. W drodze do Smolnego mijałam rozpalane na rogach ulic ogniska, które miały przyspieszyć topnienie brudnego, zlodowaciałego śniegu. Ze zwieszających się z rynien sopli skapywała woda. Płachty śniegu zsuwały się z czerwonych, metalowych dachów, które błyszcząły, jakby zostały świeżo pomalowane. Wkrótce admirał portu i gubernator Twierdzy Pietropawłowskiej spotkali się w swych łodziach na środku rzeki: Nawa znów była otwarta dla żeglugi.

Rzeka, jeszcze niedawno skuta lodem, zaroiła się parowcami, łodziami wiosłowymi i patrolowymi, holownikami, barkami i jachtami. Sanie ustępowały miejsca powozom i automobilom. Przy kapeluszach dam pojawiały się strusie pióra, wokół szyi zamiast futer zwiewne boa, a w dłoniach parasolki. Letni Ogród i wiązy wzdłuż Newy obsypywały się kwieciem, powietrze stawało się ożywcze i balsamiczne, żółty sztandar cesarski powiewał dumnie nad czerwonym dachem Pałacu Zimowego. Wiosna na północy przychodzi gwałtownie i równie szybko mija. Lato sprowadza do Petersburga upały i zaduch. Wody Newy, zazwyczaj koloru morskiej zieleni, stają się ciemne jak ołów. Z malowniczych kanałów unosi się smród. Flagi nad pałacami cesarskimi zostają opuszczone. W niedziele biedota ciągnie na liczne wysepki na Newie lub do podmiejskich lasów. Bogaci wyjeżdżają na całe lato do swych letnich posiadłości, panienki z dobrych domów spędzają wakacje nad morzem lub na wsi. Po uroczystych obchodach moich piętnastych urodzin ojciec wyjechał do Florencji, by malować i rozkoszować się swoją nową przyjaciółką. Babcia przeniosła się do naszej nadmorskiej daczki na północ od Petersburga, a ja wsiałam do prywatnej salonki, która miała mnie zabrać do Zaslavia.

Tak się akurat złożyło, że tym samym pociągiem jechał w odwiedziny do swej mieszkającej w Warszawie matki profesor Holweg. Zaprosiłam go do naszego przedziału i mimo towarzystwa naburmuszonej Radfie bardzo przyjemnie spędziliśmy czas.

## 6

Witający mnie na ganku pałacu Zasławskich w lipcu 1912 roku kuzyn był wysokim, barczystym siedemnastolatkiem o głębokim, dźwięcznym głosie. Z dziecięcego przyzwyczajenia pozdrowiliśmy się gestem palców wskazujących lewej ręki. Ale staliśmy się sobie obcy.

Stefek i Kazik albo się stroili, albo ćwiczyli zapasy, albo jeździli po okolicach kabrioletem, albo zbierali się w lesie na tajne spotkania Rojalistów Republikańskich. Mieli również, jak się przekonałam, inne zajęcia. Przejeżdżając pewnego dnia obok altanki, zobaczyłam Stefka całującego wiejską dziewczynę.

Zatrzymałam konia i zaczerwieniłam się; sama nie wiem, czemu ogarnął mnie gniew. Stefek patrzył na mnie drwiąco. Kiedy pogalopowałam dalej, usłyszałam za sobą chichot obłąpianej przez Stefka Wandy.

Prawdziwym utrapieniem były dla mnie cotygodniowe sobotnie przyjęcia z tańcami wydawane w pałacu.

„Ale tyczka!" lub „Cóż za beztalencie!" — dobiegały mnie rzucane podczas kadryla uwagi Stefka.

Kazik próbował mnie pocieszać.

— Nie przejmuj się tym, co mówi Stefek. Czemu nie wytkniesz mu jego ćwiczeń wokalnych? Podczas pobytu w Eton był strasznie drażliwy na punkcie swego głosu.

Zrobiłam tak i rzeczywiście osiągnęłam niezły rezultat. Mimo to czułam się pozbawiona oglądy i wdzięku.

— To na nic, Kaziku — zwierzałam się sympatycznemu Kazimierzowi, który już przestał być wyłącznie ślepym naśladowcą Stefana. — Wiem, że nie jestem ładna ani

atrakcyjna. Ale przynajmniej zrobię w życiu coś pożytecznego. Postanowiłam, że zdobędę podziw całego świata jako chirurg. Kazik gotów był podziwiać mnie już teraz. Podobnie jak ja gardził dziewczynami, których jedynym celem w życiu było zdobycie możliwie najbogatszego męża. Przysięgał, że on nigdy nie da się takiej złapać. Chcąc skompensować sobie jakoś własne braki, niestrudzenie wprawiałam się w strzelaniu z 6,5 milimetrowego karabinka sportowego Mannlicera, podarowanego mi przez ojca na piętnaste urodziny, pokonywałam coraz trudniejsze przeszkody na konnym torze, a podczas polowań byłam gotowa współzawodniczyć z każdym młodzieńcem, choć nie potrafiłam dorównać im umiejętnościami na sali balowej. Tamtego lata bardzo dużo czytałam, korzystając z francuskiego księgozbioru biblioteki pałacowej. Znowu szczególnie interesowały mnie problemy upodobań seksualnych. Angielscy powieściopisarze niezbyt często zajmowali się tymi zagadnieniami, a rosyjscy — o tyle o ile. Moja wiedza na temat prostytucji pochodziła z dzieł Tołstoja i Dostojewskiego. „Nana” Emila Zoli ogromnie poszerzyła moje wiadomości nie tylko na ten temat, ale w ogóle w dziedzinie dewiacji seksualnych. Czy społeczeństwo Europy rzeczywiście roi się od zбочeńców, a jeśli tak, to jak ich można odróżnić od normalnych ludzi? Zdobyłam się na odwagę, by kiedyś mimochodem spytać Stefka, czy „takie rzeczy, no wiesz” zdarzają się w Eton. — Oczywiście, do pewnego stopnia tak — powiedział. — Ale nikt się tym nie przejmuje. Czytasz za dużo książek. — Nie więcej niż ty. — Zgoda, ale ja nie biorę sobie tak wszystkiego do serca. Nie potrafiłam inaczej traktować ani literatury, ani życia. Byłam skłonna wierzyć, że literatura jest prawdziwsza i godniejsza zaufania niż życie. Uporządkowana, wytworna i błoga egzystencja przedstawicieli mojego środowiska to była

jedynie gra pozorów. Rozmaitego rodzaju żądze posiadały tajemną władzę nad moźnymi tego świata. Zapomniałam o złożonej ojcu obietnicy, by nie potępiać tego, czego nie rozumiem.

We wrześniu Stefek i Kazik byli gotowi do wyjazdu do Oksfordu — zostali przyjęci do college'u Magdalen. Ja szykowałam się do powrotu do Smolnego. Ale ojciec, zamiast zabrać mnie do Petersburga, pojechał ze mną do Białowieży, gdzie przebywał na wakacjach car z rodziną.

Puszcza Białowieska, rozległa, dzika knieja niedaleko dóbr podlaskich należących do rodziny mojej matki, była niegdyś terenami łowieckimi polskich królów. Wuj Stach, na ogół opanowany i powściągliwy, nie potrafił ukryć wzburzenia na myśl, że rosyjski car zabawia się w lasach zastrzeżonych niegdyś dla królewskich przodków Zasławskich. Nie przyjął zaproszenia Mikołaja II do udziału w cesarskim polowaniu.

Ucieszyłam się na widok wielkich księżniczek oraz ich żywego i radosnego w tym okresie brata. Carewicz Aleksy był ósmioletnim chłopcem o kasztanowych włosach, ładnym, uroczym i rozpieszczonym. Czułam do niego szczególną sympatię, wiedząc, że jest chorowity. Odwzajemniał moje uczucia, z którymi zresztą starałam mu się nie narzucać. Kiedy czuł się dobrze, jego matka była bardzo uprzejma i ukrywała niechęć do ojca. Ale ani przyjazne nastawienie Aleksandry, ani pozornie dobre zdrowie Aleksego nie trwały długo.

Puszcza Białowieska to nie tylko ostatni rezerwat żubrów w Europie, ale również ostoja innej zwierzyny, dużej i małej. Rzeź, dokonywana podczas polowań, była wprost niewyobrażalna.

Byłam równie zapaloną miłośniczką myślistwa co Stefek. Polowanie z nagonką na lisa w Anglii, jelenia we Francji, rysia, wilka czy niedźwiedzia w Polsce czy Rosji wywoływało we mnie zawsze niezapomniane emocje. Ale strzelanie z bez-

piecznej platformy do spędzonych przez naganiaczy zwierząt nie zgadzało się z moim pojmowaniem tego sportu. Zasmucał mnie widok wdzięcznych bażantów, głuszców, gołębi i innego ptactwa zwałonego na stosy na tarasie pałacu, a odgłosy rogów myśliwskich, na których w blasku pochodni grano pod koniec dnia na cześć cara, bardziej przypominały mi pieśń pogrzebową niż fanfary. Płynąca w moich żyłach polska krew burzyła się na to.

Uważałam, że wuj Stach ma rację: rosyjski cesarz nie ma prawa polować na terenach zastrzeżonych niegdyś dla królewskich przodków Polaków. Rosyjski zwyczaj całowania rąk monarchów, do którego nie stosowały się polskie damy, również wydawał mi się poniżający. Co gorsze ściągnęłam na siebie niezadowolenie Aleksandry!

Ojciec pomyślał, że car — sam zagorzały myśliwy — ucieszy się, widząc, jakim jestem świetnym strzelcem. Zawołał mnie (stałam na podwyższeniu z cesarzową i dwoma starszymi wielkimi księżniczkami, grzecznie okazując myśliwym uznanie) i wręczył swój dopiero co naładowany sztucer. Był większego kalibru niż moja strzelba i choć używałam też czasami karabinu Stefka, odrzut po wystrzale był większy, niż się spodziewałam. Niemniej jednak udało mi się trafić łosia w samo serce. Tym razem panowie wydali okrzyk podziwu, a car pogłaskał mnie po głowie i nazwał amazonką. Olga i Tatiana Nikołajewne nie ukrywały zachwytu.

— Oleńko, chciałabyś tak strzelać jak Tania? — szepnęła do siostry moja imienniczka, kiedy wracałyśmy za cesarzową do pałacu.

— Nie pociąga mnie tego typu sport — odparła Olga. — Ale ty możesz ćwiczyć strzelanie z Tanią, ile tylko dusza zapagnie.

— Mówisz tak, jakbym mogła cokolwiek robić sama, tylko z Tanią!

— No, ja ci na pewno nie będę bronila. — Olga wydłużyła krok.

— Nie mówię o tobie, głuptasie! — Tania uchwyciła się ramienia siostry.

— Ale musisz przyznać, że to takie nudne cały czas okazywać przed światem obraz zgodnej rodziny.

— Szczęśliwej, zżytej ze sobą rodziny — dodała dobrodusznie Olga. — *A qui le dis-tu?*

— Obie jesteście tego wzorem — powiedziałam.

O ile wielkie księżniczki cieszyły się z odniesionego przeze mnie sukcesu, o tyle cesarzowa Aleksandra nie mogła znieść, że uwaga obecnych została odwrócona od jej córek. Dziewczynki miały zaprezentować podczas pobytu w Polsce kilka scen z *'lŕ Bourgeois Gentilhomme*.

Wieczorem po moim wyczynie, kiedy pomagałam im próbować tekst, cesarzowa odezwała się chłodno do ojca:

— Księżę, czy już nie pora, by Tatiana wróciła do szkoły? Dotknięta do żywego byłam gotowa wynieść się choćby natychmiast. Ale kiedy Aleksy się skaleczył, nie kto inny, a właśnie Aleksandra zatrzymała mnie na jeszcze jeden tydzień.

Wypadek zdarzył się w przeddzień mego wyjazdu. Razem z carewiczem pływaliśmy łódką po jednym z dwóch jezior, utworzonych przez przepływającą przez puszcę rzekę Narewkę. Wsiadając z łodzi, Aleksy Nikołajewicz uderzył się w nogę. Rana zaczęła krwawić i carewicza natychmiast położono do łóżka.

Przy chłopcu trzeba było czuwać przez okrągłą dobę. Na prośbę syna cesarzowa zwróciła się do mnie, bym została; przez pięć następnych dni wiele godzin spędziłam w pokoju carewicza. Chcąc utrzymać chłopca w łóżku, co przy jego żywej naturze nie było wcale takie łatwe, czytałam mu, recytowałam śmieszne wierszyki i wymyślałam różne historyjki: o biednym rekinku, schwytanym przez okrutnego rybaka, albo o krokodylątku, które zgubiło mamusię i tak rozpaczało, aż Amazonka wystąpiła z brzegów. Moje pełne fantazji opowiadania i straszne miny zawsze wywoływały uśmiech na bladej twarzyczce cierpiącego Aleksego. Uważał również, że lepiej niż ktokolwiek inny potrafię ułożyć mu poduszki. Nie chciał jeść, jeśli nie było mnie obok niego. Rozpłakał się na wiadomość, że muszę wracać do szkoły. Sam car musiał mu zwrócić uwagę, by nie zachowywał się jak rozpieszczony maminsynek.



Na szczęście stan zdrowia chłopca był na tyle dobry, że wyniesiono Aleksego na pałacowy taras, by mógł się ze mną pożegnać.

Ojciec został z carem — od wczesnego dzieciństwa był jego ulubionym towarzyszem polowań — a ja z Radfie wróciłam do Petersburga. Zanim wyjechałam, ojciec ponownie przypomniał mi, bym zachowała dyskrecję na temat choroby Aleksego. Wiedziałam, że hemofilia to temat tabu. Jeśli coraz częściej mówiono o niej w rodzinie cesarskiej i w kręgach towarzyskich, to na pewno nie przeze mnie. Nie minął bowiem jeszcze miesiąc, a choroba carewicza stała się tajemnicą poliszynela.

Z Białowieży cesarski orszak udał się do Spały, jeszcze jednego terenu łowieckiego polskich królów. Tam stan carewicza uległ nagłemu pogorszeniu. Chłopiec bardzo cierpiał. Utworzyły się skrzepy, wdało zakażenie. Kiedy gorączka niepokojąco wzrosła, marszałek dworu, hrabia Friedrichs, wspólnie z ojcem przekonali cara, że należy wydać biuletyn o stanie zdrowia carewicza.

Tymczasem Aleksandra wysłała depeszę do „świętego starca”, który roztropnie wrócił na Syberię, by nie kłuć w oczy swoją obecnością licznych wrogów pałających do niego nienawiścią. W odpowiedzi, przytaczanej później w różnych wersjach, Rasputin zapewniał cesarzową, iż Bóg wysłuchał jej modlitw i wkrótce carewicz wyzdrowieje. I rzeczywiście, następnego dnia gorączka spadła, bóle ustały. Orzeciono, że niebezpieczeństwo minęło.

— Biorąc pod uwagę wiarę w przesady naszego rozegzaltowanego społeczeństwa, nawet w obecnych czasach triumfu nauki — relacjonował ojciec babce po powrocie ze Spały — nie dziwię się, że Jej Cesarska Wysokość tłumaczy sobie, iż poprawa stanu zdrowia carewicza nastąpiła dzięki ingerencji sił nadprzyrodzonych, a nie zabiegom lekarzy.

Odważyłem się zwrócić uwagę, że nawet cuda w Lourdes czynione są na miejscu, a nie telegraficznie, z odległości kilku tysięcy kilometrów.

Podczas kolejnego spotkania Aleksandra Fiodoro-

wna zrobiła się na mój widok czerwona jak burak i ledwo mogła wymówić słowo. Najwidoczniej uprzejmie doniesiono jej o moim niewinnym stwierdzeniu. Już wcześniej nie cieszyłem się sympatią cesarzowej ze względu na moje poglądy dotyczące parlamentaryzmu. Poza tym dobrze wiesz, Ma-man, że nigdy nie wybaczyła mi, iż odrzuciłem rękę jednej z jej dam dworu — dodał ojciec z uśmiechem. — Twoje życie prywatne przynosi nam wstyd, Pierre — odezwała się babka swym grubym głosem, w którym jednak słychać było żartobliwy ton. Zignorowała ostrzegawcze spojrzenie ojca, stwierdzając: — Możemy mówić o tym przy Tatianie. Jest *au courant*. Jej Cesarska Wysokość, wzorowa matka i żona, ma całkowitą rację, że nie pochwała twego zachowania.

Słowa te sprawiły, że poczułam się nieswojo. Gdy w grę wchodziło życie intymne mego ojca, byłam równie pury-tańska jak Aleksandra. Jego *libertinage*, o którym tak lekko mówiono w kręgach towarzyskich, sprawiał mi ból. Tylko powtórne małżeństwo ojca mogłoby mi sprawić większe cierpienie.

Temat ten wypłynął ponownie sześć tygodni później w Paryżu, gdzie zaproszono nas, byśmy wspólnie z Zasławskimi, Stefkiem i Kazikiem spędzili święta Bożego Narodzenia.

Od czasu naszego pierwszego pobytu w stolicy Francji z Dianą kolejne wyprawy do Paryża wywoływały we mnie mieszane uczucia, a to ze względu na obecność coraz to nowych kochanek ojca. Tym razem byliśmy gośćmi Zasławskich i nawet jeśli na ojca czekała gdzieś jakaś dama jego serca, nie afiszował się nią przed swymi krewnymi. Zatrzymaliśmy się w siedemnastowiecznej rezydencji miejskiej w Faubourg St. Germain, służącej w ubiegłym wieku powstańcom za kwaterę główną, a teraz zamieszkiwanej przez francuską gałąź rodziny — średnią siostrę wuja Stacha, która poślubiła francuskiego para. Tu dołączyli do nas z Anglii Stefek i Kazik.

— A tak poważnie, stary, kiedy masz zamiar się ustatkować? — zapytał ojca wuj Stach swym flegmatycznym tonem, kiedy nadarzyła się pierwsza okazja, sprzyjająca intymnej rozmowie. Święta minęły i nasi francuscy gospodarze taktownie wyjechali, zostawiając nas samych. — Te krążące wciąż plotki o twych zamierzonych małżeństwach są dosyć irytujące.

Siedzieliśmy wokół kominka w zawieszonym arrasami *petit salon*, pijąc kawę. Za oknem rozciągał się deszczowy krajobraz. Kiedy byłam w Paryżu, zazwyczaj zawsze padało.

Ojciec spojrział na ciotkę Zofię w ten pieścizotliwy i miły sposób, zarezerwowany wyłącznie dla atrakcyjnych kobiet, i powiedział:

— Kiedy spotkam kobietę piękną, pełną wdzięku, mądrą i dobrą, wtedy się ożenię. Ale jak na razie jedyna znana mi osoba, która posiada wszystkie te zalety, jest już zamężna z moim szwagrem.

Ciocia uśmiechnęła się łagodnie do mojego zazdrosnego wuja, a po chwili zapytała, czy opowieści o wzrastającym wpływie na cesarzową Aleksandrę Rasputina — tego prostego, syberyjskiego mnicha — są prawdziwe.

— Niestety tak — odpowiedział ojciec — szczególnie po tym proroczym telegramie wysłanym jesienią do Spały. — Opowiedział całe wydarzenie, którego był naocznym świadkiem (w licznie krążących relacjach zostało ono poważnie zniekształcone). — Aleksandra nie tylko jest przekonana, że starzec — a propos, to nie mnich, lecz wiejski jasnowidz — może wstawić się do Boga za jej chorym synem, ale również, że przemawia przez niego naród rosyjski.

— A car? — spytał wuj Stach. — Czy również wierzy w tego szarlatana? — Trudno powiedzieć. Jedno jest pewne. Każdy, kto krytykuje Aleksandrę, naraża się na niezadowolenie i utratę zaufania Jego Cesarskiej Wysokości. I podobnie każdy, kto krytykuje „świętego starca”, naraża się na niezadowolenie i utratę zaufania cesarzowej. Na przykład mademoiselle

Tiuczewa, guwernantka wielkich księżniczek, która nalegała, by Rasputinowi zabroniono wstępu do pokojów dziewczynek w Carskim Siole, została zmuszona do odejścia z dworu.

— Wyobraź sobie, że pozwala się temu rozpustnikowi na odwiedzanie cesarskich dzieci! Zastanawiam się, Pierre

— odezwała się ciocia Zofia, spoglądając na mnie — czy to rozsądne pozwalać Tani na kontynuowanie znajomości z córkami cara.

— Nigdy go nie widziałam — wtrąciłam pospiesznie, bo nie chciałam, by mnie rozdzielono z moimi przyjaciółkami.

— Nigdy nawet nie słyszałam, by o nim wspomiano w ich obecności. Nie sądzę, by przychodził do pałacu.

— Tania ma rację — potwierdził ojciec. — Aleksandra musiała tu ustąpić. Porozumiewa się z nim przez swą zaufaną przyjaciółkę i powierniczkę, była damą dworu, Anię Wyrubową, która ma mały domek w Carskim Siole, w pobliżu Pałacu Aleksandrowskiego. Cesarzowa odwiedza ją codziennie. Czasami spotyka się tam z Rasputinem. Częściej Ania przekazuje jej ustne instrukcje Grigorija — ten człowiek ledwie umie pisać.

— Wyrubowa jest głupia — powiedziałam. Nie lubiłam jej lękliwości i nadmiernego sentymentalizmu oraz zaślepienia wobec cesarskich dzieci, co szczególnie krępowało Aleksego Nikolajewicza. — Wszyscy się z niej wyśmiewamy

— miałam na myśli wielkie księżniczki i siebie.

— Wprost trudno w to uwierzyć! — Ciotka Zofia pokiwała głową.

— Czemu? — spytał wuj Stach. — Mówią, że królową Wiktorią po śmierci księcia Alberta rządził jej szkocki lokaj. Monarchowie często stają się ofiarą swych nisko urodzonych poddanych.

— To jeszcze jeden powód, żeby ich władzę ograniczono konstytucyjnie — stwierdził ojciec.

Zamilkł i utkwiał pełen melancholii wzrok w jakiś niewidoczny punkt za płonącymi na kominku polanami. Poczułam ukłucie w sercu i podeszłam do fotela, by objąć ojca za szyję.

— Tak czy inaczej, bez względu na to, co się stanie, ty będziesz moją pociechą na stare lata — uśmiechnął się i poklepał mnie po ręku. Zauważyłam, że Stefek przypatruje mi się badawczo. Czemu tak na mnie patrzy?, zastanawiałam się. Wiem, że uważa mnie za brzydką i nudną dziewczynę, ale co to mnie obchodzi! Kiedy nasze spojrzenia się spotkały, poczułam się jednak nieswojo. Po chwili wyraz jego oczu zmienił się i znów było między nami tak jak dawniej. A jednak zupełnie inaczej.

Z Paryża pojechaliśmy do Anglii, a do kraju wróciliśmy przez Skandynawię. Po sześciotygodniowych wakacjach trudno mi było przestawić się na pełne rygorów życie w Petersburgu, więc z radością uciekałam do bardziej swobodnej atmosfery panującej w Carskim Siole. Olga i Tatiana obstały mnie.

— Opowiedz nam wszystko od samego początku, Taniu. Przekazałam im swoje impresje z Paryża, Londynu i Sztokholmu, nie dzieląc się jednak poważniejszymi refleksjami. W Sztokholmie widziałam „Dom lalek” oraz „Pannę Julię” i doszłam do wniosku, że również w Skandynawii hipokryzja idzie w parze z moralnością.

— A jak było w Oksfordzie? — zapytała moja imienniczka, kiedy nieco przesadnie opisałam im wspólną z Zasławskimi i ich kuzynami w Lansdale wizytę w tym zarezerwowanym wyłącznie dla mężczyzn bastionie nauki, tak różniącym się od uniwersytetu petersburskiego — siedziska rewolucyjnych idei. — Czy spotkałeś tam jakichś interesujących młodzieńców?

— Nie wiesz, że Tania to intelektualistka? — Olga roześmiała się, widząc moją zakłopotaną minę. — Nie interesuje się mężczyznami.

— Oni nie interesują się mną — odparłam — więc czemu ja mam interesować się nimi?

- To dlatego, że zachowujesz się jak mężczyzna. Olga zaczęła naśladować mój dumny chód.

— Nie pozwalałam ci wyśmiewać się z Tani! — powiedziała wyniośle Tatiana Nikołajewna. — Jest najwspanialsza właśnie taka, jaka jest! Kochana Tania! Prawdę mówiąc, jeszcze bardziej niż przez chłopców byłam nielubiana przez dziewczyny. Tym większą poczułam wdzięczność dla swej imienniczki.

Choć zapraszano mnie do Pałacu Aleksandrowskiego, a monarchowie traktowali mnie uprzejmie, Aleksandra nie wybaczyła memu ojcu złośliwej uwagi na temat Rasputina.

Ale car lubił go jak dawniej. Mianował go generałem *a la suite* i wyznaczył na przewodniczącego specjalnej komisji powołanej w celu przeprowadzenia modernizacji armii. Lecz wpływ ojca na cara słabł. Przez następne dwa lata ograniczono działalność ojca wyłącznie do zagadnień wojskowych; na tym polu też wkrótce doszło do tarć między nim a innym faworytem cara, niekompetentnym generałem Suchomlinowem, ministrem wojny.

Obchody trzechsetlecia dynastii Romanowów w marcu 1913 roku przebiegały w atmosferze braku zaufania do rządu, zniechęcenia wśród członków Dumy, niezadowolenia w kołach arystokracji i apatii społeczeństwa. Nielicznie zgromadzone tłumy wznosiły sporadycznie okrzyki. Podczas ceremonii na Kremlu ze ściśniętym sercem patrzono na dziedzica domu Romanowów noszonego na rękach przez kozaka gwardii. Byłam obecna na uroczystościach i mszach zarówno w Moskwie, jak i w Petersburgu.

W kremłowskiej katedrze Wniebowzięcia — Soborze Uspienskim — po prawej stronie cara ustawiono fotel dla cesarzowej. Aleksandra nigdy nie mogła ustać podczas ciągnących się w nieskończoność rosyjskich mszy, a szczególnie, gdy była ubrana w ciężkie szaty galowe. Kiedy usiadła, tym bardziej rzucały się w oczy dumne, nieruchome postacie matki cara i jego ciotki, Marii Fiodorowny i Marii Pawłowny. Nie przeoczono tego również w licznych komentarzach.

Zbyt mocno przeżywałam uroczystości, by zwracać uwagę na to pogwałcenie wielowiekowej tradycji. Kler obecny był *en masse*, poczynając od patriarchy, przez biskupów, księży, aż do tłumu diakonów; wszyscy wysocy i postawni, z długimi brodami i basowymi głosami. Gdy księża i diakoni w odpowiedzi na głos prałatów zaintonowali unisono „Boże, miej litość”, potężna kopuła, będąca od pięciu wieków świadkiem koronacji carów, zadrżała od ich gregoriańskich pień. Zrozumiałam wtedy, czemu w kościele prawosławnym uważa się głos ludzki za jedyny instrument, który jest godny głosić chwałę Najwyższego.

Złote ornaty, wysadzone kamieniami infuły i krucyfiksy połyskiwały w świetle tysięcy świec. Przez mgiełkę kadzideł spoglądały tajemniczo ze złożonych ram brązowe bizantyjskie twarze świętej rodziny, apostołów i świętych. Wydawało się, że niegdysiejsza wielkość świętej Rusi, dziedzica Bizancjum, wciąż trwa.

Po powrocie do Petersburga wydano w Sali Szlacheckiej wielki bal na cześć monarchów. Gwiazdą wieczoru była Olga Nikołajewna, my z Tatianą byłyśmy za młode, by wziąć w nim udział. Ale za to towarzyszyłam Grandmaman na galowym przedstawieniu opery Glinki „Życie za cara”, które odbyło się w Teatrze Maryjskim.

Na wstępie chór operowy odśpiewał trzy razy hymn narodowy „Boże, chroń cara”. Wykonał go na klęczkach — była to pozostałość po tradycji mongolskiej, którą uważałam za wstrętą. Podczas hymnu Aleksandra stała wyprostowana, ale gdy tylko chór umilkł — ukłoniła się sztywno i zniknęła za kurtyną łoży cesarskiej, wzbudzając tym powszechną krytykę zebranych.

W naszej łoży, usytuowanej obok łóż cesarskich, naprzeciwko miejsc zarezerwowanych dla korpusu dyplomatycznego i emira Buchary, Wiera Kiriłowna powtarzała opinie, które dobiegały ze wszystkich stron.

----- Cóż za brak wychowania! Cóż za prowincjonał/m! Jaki kontrast z cesarzową-wdową! Maria Fiodorowna to

prawdziwa władczyń. — Wiera Kiriłowna z czcią wyrażała się o swej cesarskiej protektorce. — Nic dziwnego, że Aleksandra jest zazdrosna o matkę cara i nie utrzymuje z nią stosunków. Odizolowałyby naszego władcę od całej rodziny, nie mówiąc już o nas, przedstawicielach starej rosyjskiej arystokracji. Aleksandra ma słabe serce? — skrzywiła się, słysząc nieśmiało słowa wypowiedziane w obronie cesarzowej przez damę do towarzystwa Grandmaman. — *Chere Zinajdo*, to tylko histeria. Doktor C, który opiekował się Jej Wysokością -w Baden Baden, powiedział mi to osobiście. Zresztą, to u nich rodzinne. Wielki książe Hesji, jej brat, jest również prawdziwym dziwakiem.

— Mimo wszystko można sobie wytłumaczyć stan nerwów Jej Wysokości, wiedząc, że ma chorego syna, który w dodatku odziedziczył tę straszliwą chorobę właśnie przez nią — powiedziała Zinajda Michajłowna, sama zaślepiona miłością do swego jedynaka.

— A odkąd to władcy mają łatwy los? — nie dawała za wygraną Wiera Kiriłowna. — Jeśli królowa, że nie wspomnę już o cesarzowej, nie daje przykładu odwagi i opanowania, to któż ma to za nią zrobić?

— Wiero Kiriłowno — zwróciła się Grandmaman po rosyjsku to swej gadatliwej krewniaczki — bądź tak dobra i zamknij się.

Krytykowanie władców należało do przywileju babki; jeśli czyniły to osoby z niższych sfer, było to *lese majeste*.

Chcąc ukryć swoje rozbawienie, spojrzała na parter wypełniony urzędnikami dworskimi w szkarłatnych surdutach i oficerami gwardii w jasnych mundurach ze srebrnymi galonami.

Wszyscy się dziś tak wystroili, piersi obwiesili orderami i medalami, ale czy odznaczenia czynią ludzi naprawdę szczęśliwymi? — zastanawiałam się.

Rozglądając się po wspinałym wnętrzu teatru, utrzymanym w tonacji niebiesko-srebrnej, z żółtymi tarczami herbowymi Romanowów nad cesarskimi łóżkami, pomyślałam:



A jednak, *dans l'ensemble*, nawet ładnie to wygląda. Choć straszliwie tu gorąco, a biedna Aleksandra Fiodorowna podobnie jak Radfie z trudem znosi te nasze rosyjskie, przegrzane pomieszczenia. Ciekawa jestem, dlaczego dostaje takich plackowatych wypieków? To na pewno efekt jakiejś reakcji chemicznej, ale co sprawia, że w wyniku zdenerwowania jej organizm akurat tak reaguje? Muszę o to zapytać profesora Holwega, choć tak odżegnuje się od medycyny klinicznej. Uśmiechnęłam się, przypominając sobie zamiłowanie profesora do używania długich wyrazów.

W odpowiedzi na mój uśmiech siedzący z braćmi w łoży wielkiego Księcia Konstantego Igor Konstantynowicz uśmiechnął się do mnie znacząco, jakbyśmy dzielili wspólnie jakąś zabawną tajemnicę.

Czy Igor też myśli o profesorze Holwegu?, — przemknęło mi przez głowę. Czyżbym była świadkiem telepatii? Profesor powiedziałby, że to nienaukowe myślenie. Gdyby tu dziś był, wszystko wydałoby mu się śmieszne. Nie lubi opery, uważa, że jest sztuczna i napszona. Ale Najdanowa śpiewa prześlicznie. Muszę zamknąć oczy, by w pełni móc upajać się jej głosem.

Opuściłam powieki i poczułam na sobie czyjś wzrok. Otworzyłam oczy. To znów Igor Konstantynowicz. Czemu Igor patrzy na mnie tak, jakbym była ładnym podlotkiem? Ciekawa byłam, o czym myśli Tatiana Nikołajewna. Wcale nie wyglądała na szczęśliwą. Jakaż ona piękna, jaka dostojna! Czy ją też to wszystko trochę śmieszy, czy tylko mnie?

Prawdopodobnie kiedy się zestarzeję, to, co teraz wydaje mi się śmieszne, stanie się zupełnie naturalne. To znaczy, kiedy skończę dwadzieścia lat. Profesor Holweg zawsze wszystko i wszystkich krytykuje. A mimo to jest naprawdę szczęśliwym człowiekiem.

Znów się uśmiechnęłam i mimo woli odwróciłam głowę w stronę łoży wielkiego księcia Konstantego. Bracia Igora wymienili rozbawione spojrzenia, a on się zaczerwienił i zrobił naburmuszoną minę. W naszej łoży też wszyscy zaczęli się uśmiechać, nawet Grandmaman, która uśmiechała się nie-

zwykle rzadko. Wiera Kiryłowna zrobiła szczególnie znaczącą minę. Nie podobało mi się, że stałam się obiektem powszechnego zainteresowania i odwróciłam wzrok ku scenie, nie spuszczać go z niej aż do antraktu. Podczas przerwy ojciec, należący do orszaku cara, zaprowadził mnie przed parę monarszą, bym się jej pokłoniła.

W saloniku na tyłach łoża cesarskiej Mikołaj w białym mundurze kawalerii z niebieską wstęgą orderu świętego Andrzeja, trzymając w lewej ręce cygarniczkę z drewna wiśniowego, przyjmował nieoficjalnych gości. W przeciwieństwie do sztywnych, obwieszonych medalami urzędników zachowywał się naturalnie i uprzejmie. Podawano herbatę w srebrnym serwisie z cesarskim monogramem.

Aleksandra w tiarze na głowie wachlowała się olbrzymim wachlarzem z białych, orlich piór. Oddychała z trudem, aż unosił się na jej piersi naszyjnik z turkusów i brylantów. Przepyszne klejnoty i srebrny haft na *sarafanie* z białego aksamitu uwydatniał jeszcze posepny i znękany wyraz jej cyzelowanej twarzy — bardziej przypominającej twarz ofiary niż cesarzowej.

Pod koniec antraktu powiedziała, że jest zmęczona i poprosiła cara, by sam pełnił obowiązki gospodarza, a ona dołączy do niego podczas finału. Mikołaj ucałował czule dłoń żony i przeszedł do łoża z Olgą i cesarzową-wdową, Marią Fiodorowną.

Tatiana Nikołajewna została przy matce i zaniepokojona spytała:

— Jesteś chora, mameczko? Może posłać po Botkina?

— Nie, nie, nie trzeba. Nie jestem chora, jedynie *ramolie*. Poczuję się lepiej, gdy nieco odpocznę. Jestem pewna, że nikomu nie będzie mnie brakowało — dodała Aleksandra z gorzkim uśmiechem. — *Tout Petersbourg me deteste* — powiedziała i spojrzała na ojca tak, jakby uosabiał cały Petersburg.

Ojciec nie zareagował. Skinął lekko głową i poprosił o pozwolenie oddalenia się w celu sprawdzenia środków bezpieczeństwa w foyer. Aleksandra sztywnym kiwnięciem głowy wyraziła zgodę.

Również ja zwróciłam się o zgodę na odejście, ale moja imienniczka zrobiła taką żalostną minę, że cesarzowa powiedziała:

— Tatiano, może byś trochę pospacerowała z Tanią na korytarzu? Wiem, że przez ostatnie dni bardzo się nudziłaś. Chciałabym zostać sama. — A kiedy jej damy dworu zrobiły zdumione miny, powtórzyła: — Tak, zupełnie sama. Czy wymagam zbyt wiele?

Wszystkie wyszłyśmy za Tatianą Nikołajewną do holu, który na rozkaz ojca został zamknięty dla pozostałych gości opery.

— Nie rozumiem, czemu ludzie mają przeze mnie pozostawać zamknięci w łóżach — zauważyła moja przyjaciółka, gdy przechadzałyśmy się wolno między szeregami stojących nieruchomo na baczność kawalerów gwardii w srebrnych hełmach z orłami.

— Tańczą Krzesińska i Pawłowa. Nikt nie chce opuścić ich występu — powiedziałam i przestraszyłam się, że popełniłam *faux pas*: Krzesińska była kochanką cara przed ślubem monarchy.

Takie rodzinne tajemnice starano się na ogół ukrywać przed wielkimi księżniczkami. Ale moja imienniczka przybrała wyniosłą, kwaśną minę — co utwierdziło mnie w podejrzaniach, że wie o wszystkim — i zmusiła mnie do milczenia.

— Biedna mateczka, jest taka przemęczona — powiedziała cicho Tatiana Nikołajewną. — Przyjęcie w Pałacu Zimowym nie miało końca, poza tym Maman nie lubi chodzić do opery od czasu, gdy w Kijowie zastrzelono na naszych oczach Stołypina, pamiętasz chyba to wydarzenie?

— Opowiadał mi o nim papa — powiedziałam. Wspomnienie zamordowanego premiera i jego córki,

która do końca pozostała na skutek wybuchu bomby kaleką, wszechobecna straż, największe środki ostrożności przewidziane w związku z obecnością władców w teatrze — wszystko to wstrząsnęło mną, rzucając złowrogi cień na otaczający nas splendor. Kiedy spoglądałam z uwielbieniem na

przyjaciółkę, taką wysoką i zwiewną w tradycyjnym dworskim stroju z białego aksamitu, cień ten przybrał kształt sępa atakującego księżniczkę-łabędzia jak w baśni Puszkina. Tatiana jako dziecko grała rolę księżniczki podczas przedstawienia zorganizowanego w Pawłowsku.

Próbując otrząsnąć się z tych strasznych wizji, powiedziałam:

— Wasza Cesarska Wysokość wygląda dziś jak prawdziwa księżniczka-łabędź.

— Obiecałaś, że kiedy będziemy same, nigdy nie będziesz mnie tytułować cesarską wysokością. — Ciemne oczy Tatiany Nikołajewny spoczęły na mnie łagodnie. — To raczej ty jesteś dziś księżniczką-łabędziem — powiedziała, a po chwili dodała z tajemniczym uśmiechem: — Znam jeszcze kogoś, kto uważa cię za piękną.

— Mnie? Taniu, znów sobie ze mnie żartujesz. Czy ty nigdy nie możesz być poważna?

— Ależ jestem najzupełniej poważna. Nie zauważyłaś, że Igor przez cały pierwszy akt nie spuścił z ciebie wzroku? Wszyscy to spostrzegli.

Ja również to zauważyłam, ale odparłam obojętnie:

— Najprawdopodobniej założył się o coś z braćmi, bo nie widzę innego powodu, dla którego Igor Konstantynowicz miałby patrzeć akurat na mnie?

— Nie domyślasz się?

— Czego znów? Taniu, czemu jesteś taka tajemnicza?

— Tego, że Igor jest w tobie zakochany. Wie już o tym cała rodzina, nawet babka. I całkowicie to aprobuje.

Udawałam, że nie rozumiem, co aprobuje cesarzo-wa-wdowa, ale nagle pojęłam te znaczące uśmieшки w łóżach wielkiego księcia Konstantego i naszej.

— Co aprobuje Jej Cesarska Wysokość? — spytałam.

— Twój związek z członkiem naszej rodziny. Ostatecznie siostra Igora poślubiła księcia Bagrationa, a twój ród jest starszy i bardziej zasłużony. Papa uważa, że to będzie cudownie i jestem pewna, że tego samego zdania będzie książę Silomirski. Zdaje się, że nic powinnam tego mówić, ale

przecież obiecałyśmy sobie, że nie będziemy miały przed sobą żadnych tajemnic. No, a jak ty się czujesz, Taniu? — Tatiana Nikołajewna zatrzymała się i spojrzała na mnie zaciekawiona i rozradowana.

— To bardzo szlachetne ze strony Jego Wysokości. Wiem, że ślub z księciem krwi, kuzynem drugiego stopnia Jego Wysokości, to niezwykle zaszczyt — szepnęłam podniecona.

— Ale wiesz, że zawsze marzyłam, by studiować medycynę. Nie chcę jedynie być kimś, chcę też zrobić w życiu coś ważnego, coś pożytecznego, coś... Taniu, powiedz, że mnie rozumiesz.

— Wydaje mi się, że tak. — Wielka księżniczka podjęła przerwany spacer. — Czasami też się zastanawiam, czy nasze życie naprawdę ma sens. Jesteśmy takie dziecinne, odgrrodzone od rzeczywistości. Nigdy nie czytamy gazet. W naszej obecności nie rozmawia się o polityce. Tak, to prawda, że przed Gwiazdką dziergamy odzież dla biednych dzieci i odwiedzamy chorych, ale i tak nie wiemy, co się dzieje poza naszym małym światkiem. To tak, jakbyś pomyślała sobie jakieś słowo, zupełnie zwykłe, dobrze ci znane, i nagle wydało ci się ono niedorzeczne i nawet nie wiesz, jak się je pisze. Czasami odnoszę takie wrażenie wobec całego tego zamieszania czynionego wokół nas i przez chwilę wydaje mi się wszystko niedorzeczne, ale wkrótce uczucie to mija. Czy rozumiesz mnie, Taniu?

— Tak, bo czuję się identycznie! — Spojrzałam rozpromieniona na przyjaciółkę. Nie doceniałam jej. — Taniu, pomożesz mi? Jeśli porozmawiasz ze swoim ojcem, to jestem pewna, że Jego Wysokość będzie w stanie uzyskać zgodę taty na to, bym studiowała medycynę...

— Zrobię jeszcze lepiej, jeżeli porozmawiam z matką

— oświadczyła Tatiana Nikołajewna. — Chociaż wcale nie jestem pewna, czy twój pomysł jest taki dobry — dodała z tajemniczym uśmiechem.

Rozstałyśmy się u wejścia do loży cesarskiej i ojciec zabrał mnie z powrotem na nasze miejsca, ostrzegając, bym ani słówkiem nic pisnęła na temat niedyspozycji Aleksandry.

Spektakl zakończył się o północy. Chór znów trzykrotnie odśpiewał hymn. Ich cesarskie moście ukłoniły się i opuściły gmach. Teatr zaczął powoli pustoszeć, wkrótce i my udaliśmy się do domu.

— Jego Wysokość książę Igor Konstantynowicz jest bardzo przystojny, *ne trouvez-vous pas, chere enfant!* — zapytała Wiera Kiryłowna, kiedy odprowadzała mnie na górę.

— Nie zastanawiałam się nad tym — odparłam sennie.

— Dobranoc, Wiero Kiryłowno.

Kiedy byłam już w łóżku, jak zwykle przyszedł ojciec, by mnie pocałować i pobłogosławić. Objąłam go za szyję i spytałam:

— Tatusiu, czy kiedykolwiek zmusisz mnie do poślubienia kogoś, kogo nie będę kochała?

— Moja najdroższa córeczko, jak mogę cię zmusić do czegokolwiek wbrew twojej woli?

— A jeśli to będzie ktoś, kogo wybierze dla mnie Jego Cesarska Wysokość, ktoś z jego rodu?

— Kochanie, wiesz, że nasz dobroduszny władca nawet od swoich córek nie zażądałby, by poślubiły kogoś wbrew swej woli

— odpowiedział ojciec, a po krótkiej przerwie dodał: — Ale uważam, że jeśli będzie tego wymagało dobro Rosji, jego córki przedłożą wolę ojca przed własną... i podobnie postąpisz ty.

Ciekawa byłam, jaki wpływ na losy Rosji może mieć moje małżeństwo z księciem krwi.

— Przyniesie to zaszczyt starej arystokracji, którą reprezentujesz — cierpliwie tłumaczył ojciec. — I do pewnego stopnia pomoże powstrzymać pogarszanie się jej stosunków z dworem. Widzisz, moje dziecko, nasi władcy nie są tak blisko rosyjskiego ludu, jak im się to wydaje. Jeśli odgródzą się również od arystokracji, nie będą mieli nikogo, kto w razie jakiegoś kryzysu stanąłby po ich stronie. Właśnie temu chcę za wszelką cenę zapobiec. Zawsze miałem nadzieję, że kiedy przyjdzie pora, pomożesz mi w tym dziele.

— A jeśli... jeśli będę miała własne plany? — nie dawałam za wygraną. Jeśli na przykład będę chciała studiować medycynę?

Ojciec ujął mnie pod brodę.

— Moja mała dziewczynka wciąż jeszcze chce się bawić w doktora, tak?

— Papo, proszę. Nie jestem już dzieckiem. Mówię poważnie.

— Wiem o tym, kochanie, i też mówię poważnie. Radzę ci, byś jak najszybciej wybiła sobie z głowy te głupie myśli, bo mogą ci tylko przynieść rozczarowanie. A wszelkie rozczarowania, które spotykają moją kochaną córeczkę, bez względu na to, jak niedorzeczne przyczyny je wywołały, sprawiają jej biednemu ojcu ból.

Nie chciałam sprawić ojcu bólu. Ale wciąż nie wierzyłam, że traktuje poważnie moje plany zostania lekarzem i byłam przekonana, że kiedy to pojmie, nie będzie mi stawiał przeszkód.

Podczas pobytu w Pałacu Zimowym w związku z uroczystościami trzechsetlecia dynastii Tatiana Nikołajewna zaraziła się tyfusem, podobnie jak ja sześć lat wcześniej. Każdą wolną chwilę spędzałam przy jej łóżku, a Aleksandra, zawsze oddana pielęgniarzka, również mnie otoczyła macierzyńską czułością.

Pewnego razu cesarzowa, widząc, że jestem zajęta robótką, postanowiła sprawdzić moje postępy w hafcie. Nieco zmieszana wręczyłam jej swoją wyszywankę. Aleksandra zrobiła zdumioną minę, a ja wyznałam, że ćwiczyłam szwy chirurgiczne.

— Ach, tak — zareagowała spokojnie, a Tania zaczęła chichotać. —

Tatiana powiedziała mi o twym zamiłowaniu do medycyny.

Odniosłam wrażenie, że wcale nie wyśmiewa się z mojej pasji, więc postanowiłam otworzyć przed nią serce.

— Wasza Wysokość, medycyna to takie szlachetne powołanie. Nie mogę uwierzyć, że moje pragnienie, aby zostać lekarzem, jest godne potępienia.

— Ja uważam, że to coś wspaniałego, a ty, mateczko? spytała Tatiana Nikołajewna. Cesarzowa milczała przez

chwilę, a potem obrzuciła mnie spojrzeniem, z którego zrozumiałam, że rzeczywiście jest to wspaniałe, nawet jeśli niezupełnie sensowne.

W końcu Aleksandra oświadczyła:

— Również uważam, że medycyna to szlachetne powołanie. I wiem, że masz odpowiednie podejście do chorych. To wyjątkowy dar. — Znów chwilę pomyślała, po czym dodała: — Jeśli moje wpływy mogą być pomocne w osiągnięciu przez ciebie wymarzonego celu, z przyjemnością udzielię ci swego poparcia.

Nie mogłam przestać myśleć, jak ojciec zareaguje na wstawiennictwo Aleksandry.

— Wasza Wysokość! — ucałowałam jej dłoń, kiedy zwracała mi moje chirurgiczne wprawki. — Jeśli kiedyś ufunduję uczelnię medyczną dla szlachetnie urodzonych dziewcząt, chciałabym nazwać ją imieniem Waszej Wysokości.

— Cóż, zobaczymy. Porozmawiamy o tym mniej więcej za rok. A na razie powinnaś nauczyć się porządnie haftować — powiedziała Aleksandra, uśmiechając się czarująco i łaskawie; poza ścisłym gronem rodzinnym nawet się nie domyślano, że cesarzowa potrafi się tak uśmiechać.

— Mateczko, jesteś wspaniała! — krzyknęła księżniczka, patrząc to na mnie, to na cesarzową, jakby chciała mi powiedzieć: — Widzisz, a nie mówiłam!

Nie muszę chyba dodawać, że myślałam tak samo.

Stan zdrowia Tatiany Nikołajewny znacznie się poprawił przed jej szesnastymi urodzinami, które minęły niemal niezauważone przez opinię publiczną. Natomiast na przyjęcie w ogrodzie naszej podmiejskiej daczy, wydane kilka dni później przez ojca na moją cześć, dziennikarze wdarli się siłą i musiałam wiele godzin pozować fotografom do zdjęć.

W sukni z białej organdy, z jasnoniebieską szarfą oraz w organdyowym kapeluszu z szerokim rondem, ozdobionym niebieskimi wstążkami jeszcze dłużej przyjmowałam życzenia od licznie przybyłych gości, wśród których nie



zabrakło też profesora Holwega, wyglądającego w cylindrze i surducie sztywno i nieswojo. Nieco ironicznie spoglądał na mnie swymi czarnymi oczami.

W wieku szesnastu lat zaczęłam w końcu zdobywać ogładę, której oczekiwano po mnie jako szlacheckiej córce. Najważniejszą umiejętnością było wystawanie godzinami w najnudniejszych sytuacjach. Władalam biegle sześcioma językami. Potrafiłam dość dobrze odegrać sonatę Beethovena i zupełnie poprawnie nokturn Chopina. Zdobywałam niebieskie wstęgi podczas zawodów hipicznych. Chcąc zadowolić cesarzową, nauczyłam się nawet trochę haftować. Z pozoru byłam pierwszorzędnym produktem właściwego wychowania, a przy tym odpowiednio urodzona. Byłam gotowa do wzięcia udziału razem z innymi panienkami w wyścigu do ołtarza i spodziewano się, że zwyciężę, zdobywając księcia krwi.

Latem 1913 roku zamiast jechać do Zaslawic, towarzyszyłam Grandmaman podczas corocznego objazdu naszych majątków i fabryk. Ujrzałam ojczystą Ruś z jej monotonnymi przestrzeniami i jej różnorodnością, majestatycznością i biedą, barwnością i surowością. W prowincjonalnych miasteczkach nad drewnianymi domami, pomalowanymi na zielono lub murowanymi budynkami ozdobionymi różowymi i żółtymi stiukami górowały cerkwie z niebieskimi, pękatymi kopułami. Szerokie, proste ulice pokrywała gruba warstwa kurzu, wszędzie latały roje much, a upał był nieznośny.

Grandmaman ani słówkiem nie poskarżyła się na muchy ani na skwar. W czarnej, jedwabnej sukni zapiętej pod samą szyją, w czarnym kapeluszu i rękawiczkach, dzierżąc w dłoni hebanową laskę, przemierzała pola i wsie, wizytowała szpitale i szkoły na terenie naszych majątków, w kuchniach próbowała jedzenie, przysłuchiwała się uczniom popisującym się znajomością czytania i liczenia, zapoznawała się z raportami zarządców i wioskowych sołtysów, dyrektorów fabryk i majstrów. Natychmiast wyławiała ich wykręty i próby wybielenia się.

— Nigdy nie wierz nikomu na słowo. Wszystko sprawdzaj osobiście — pouczała mnie. — Lud rosyjski jest okropny, to najbardziej uparci, przewrotni, leniwi, niezorganizowani i niezdiscyplinowani ludzie na świecie. Uważają, że prawo jest po to, by je omijać. Obcokrajowcy opisują ich jako potulnych, uciskanych i gnębionych przez tyranów nieszczęśników. Chciałabym ujrzeć ich miny, gdyby zobaczy-

li, jak lud rosyjski pracuje! „Wszystko będzie dobrze, Wasza Wysokość, proszę się nie denerwować”, obiecują. Cóż, już ja dopilnuję, żeby było dobrze. Zaprowadzę tu porządek — odgrażała się Grandmaman.

— A najlepiej rozumieją jej władzę, moc i siłę — ciągnęła, potrząsając laską. — Jeśli nasz obecny rząd zostanie obalony, to nie dlatego że ponoć jest tyrański, ale ze względu na jego słabość i głupotę. Ludzie z chęcią ulegają rządowi silnej ręki i respektują go, ale nigdy nie ufają ludziom słabym i niedołężnym. Zapamiętaj to sobie. Bądź silna, bądź pewna tego, co czynisz. Jeśli Bóg da, wszystko, co mamy, zostanie pewnego dnia twoją własnością — twoją, a nie twojego męża. Rosyjscy mężczyźni to mięczaki — albo są pijakami, albo marzycielami jak twój ojciec. To ja uratowałam nasz majątek dla niego, dla ciebie i dla twoich dzieci.

— Babciu, czy koniecznie musimy... muszę... aż tyle posiadać? — odważyłam się naiwnie zapytać.

— Czy ko-nie-cznie musimy? Nie, niekoniecznie. Możemy żyć, dysponując ułamkiem naszego majątku. Poczynając od 1905 roku rozdaliśmy chłopom przeszło połowę ziemi i będziemy kontynuowali tę akcję. Ale nie chodzi tu tylko o nasze potrzeby. To kwestia od-po-wie-dzial-noś-ci, odpowiedzialności, która spoczywa na naszym rodzie od dziesięciu stuleci, odkąd nasi przodkowie założyli państwo ruskie.

Gdybyśmy sprzedali wszystkie nasze fabryki, czy mielibyśmy pewność, że zatrudnieni tam ludzie znajdą pracę u nowego właściciela? Jeśli rozdaliśmy ziemię, nie zachowując nad nią żadnej kontroli, skąd byśmy wiedzieli, czy jest właściwie wykorzystywana?

Komuniści zatruwają ludziom umysły swoją gadaniną, nawet niektórzy ziemianie uwierzyli w ich słowa. Czy to sprawiedliwe aż tyle posiadać?

— zaczynają się zastanawiać tak jak ty, ale jeśli ziemia nie będzie należała do nas, to do kogo? Do chłopów? Nie, moja droga. Do państwa. I co na tym skorzysta prosty lud?

Wyraziłam opinię, że może ani państwo, ani arystokracja nie powinni być właścicielami większości ziemi, ale ludzie, którzy ją uprawiają.

Grandmaman odrzekła, że w Rosji by się to nie udało, ponieważ takie rozwiązanie oznaczałoby zwycięstwo ładu i rozsądku, a w Rosji nigdy nie zapanuje ład i rozsądek.

— Pewnego dnia, kiedy przekonasz się, że wszystkie twoje wysiłki, wszystkie starania nie zdały się na nic, zrozumiesz, co miałam na myśli. Bo za rok wszystko znów będzie przedstawiało prawdziwy obraz nędzy i rozpaczy. Gdybym nie przyjeżdżała tu, by ich trochę pobudzić do działania, to niech dobry Bóg ma nas w swej opiece! — powiedziała Grandmaman i uśmiechnęła się, a uśmiech jej wyrażał całą macierzyńską miłość do tego leniwego, niezdyscyplinowanego, krnąbrnego i nieznośnego dziecka — do rosyjskiego ludu.

Moja edukacja jako przyszłej dziedziczki postępowała szybko. Był to już ostatni rok nauki w Smolnym. Oprócz przyjmowania z Grandmaman wizyt i uczestniczenia w wentach dobroczynnych stałam teraz również za jej krzesłem podczas posiedzeń zarządu oraz kiedy przyjmowała petentów, którzy ściągali tłumnie, znając jej hojność. Opowiadane przez nich żalosne historie łamały moje szesnastoletnie serce. Byłam gotowa wręczać proszącym olbrzymie sumy, podobnie jak nie potrafiłam obojętnie przejść obok żebraka, ale Grandmaman mówiła: „Nigdy nie dawaj pieniędzy ot tak sobie i nie Ucz na wdzięczność obdarowanego. Dawaj ludziom środki, dzięki którym będą mogli sami sobie pomóc, a potem sprawdzaj, jak je wykorzystali”.

Jednym ze sposobów pomocy było fundowanie stypendiów dla uzdolnionej młodzieży. Właśnie jedna z takich stypendystek, prymuska z matematyki, zaczęła nagle opuszczać zajęcia. Grandmaman wysłała mnie do domu dziewczyny, bym zbadała tego przyczynę.

Kiedy się u niej znalazłam, poczułam się tak, jakbym dostała się na karty powieści Dostojewskiego: nędzne, ciasne

mieszkanko, ojciec pijak, blada, zgorzkniała, wiecznie niedomagająca matka, gburowaty młodszy brat. Przyczyna zaniedbania się dziewczyny w nauce była prozaiczna: ciąża. Rodzice wymyślali córce od najgorszych za zaprzepaszczenie takiej szansy w życiu. Dziewczyna miała osiemnaście lat i obydwie odczuwałyśmy zażenowanie. Cieszyłam się, że towarzyszy mi trzeźwa Radfie. Oświadczyłam z wahaniem, że sprawa stypendium zostanie ponownie rozpatrzona po przyjściu na świat dziecka. Na razie przyszła matka otrzyma czek na pięćset rubli na niezbędne wydatki. Chciałam powiedzieć dziewczynie, by nie wychodziła za męża i nie niszczyła swej kariery, ale uścisnęłam tylko jej dłoń, życząc wszystkiego dobrego, i szybko uciekłam ścigana wylewnymi podziękowaniami rodziców.

Opuściłam ich dom zniechęcona. Dopóki życiem kobiet będzie rządzić seks, nie będzie dla nich nadziei na lepszą przyszłość.

Dzięki tej i innym wizytom — w domu robotnika-kaleki, u niezwykle muzycznego chłopca, mającego ośmioro rodzeństwa i niewidomego ojca, u byłego więźnia politycznego, który wrócił z Syberii — przekonałam się, że dobroczynność nie jest łatwa w praktyce. Nie wolno mieć złudzeń co do ludzi, tak jak nie miała ich Grandmaman, a mimo to zachować zdolność do współczucia. Wymagało to jednak zrozumienia tego, co się wokół działo. Tymczasem im więcej stykałam się ze światem, w którym rządziły głównie głód i chłód, a raczej seks, głód i chłód, tym bardziej czułam, że nie mam z nim nic wspólnego. Jednocześnie odnosiłam wrażenie, że tu, wśród tych pokornych, gromadzących się wokół mnie ludzi, tak bliskich i jednocześnie tak obcych, właśnie tu jest życie.

Zwierzylam się ze swych przemyśleń profesorowi Holwegowi. Radfie, odziedziczywszy wczesną wiosną 1914 roku majątek, wyjechała do swego domu w Sussex, by wieść higieniczne i zdrowe życie. Na jej miejsce wyznaczono mi za

przyzwoitkę podczas korepetycji Zinajdę Michajłownę, Drzemała właśnie równie słodko jak mój Bobik (systematycznie dolewałam jej do herbaty rumu), więc zupełnie swobodnie mogłam rozmawiać z profesorem.

— Widzi pani, Tatiano Pietrowno — odezwał się profesor Holweg — należy pani do kręgu społecznego przypominającego ekskluzywny klub, zamknięty i odcięty od reszty ludzi. Jego członkowie zachowują się zgodnie z regułami panującymi w ich klubie i zależy im wyłącznie na aprobacie pozostałych członków ich sfery. Ponad tym klubem arystokracji rosyjskiej istnieje inny, jeszcze bardziej zamknięty i ekskluzywny, jeszcze bardziej odcięty od reszty społeczeństwa — krąg rodziny cesarskiej. Społeczeństwo Rosji można sobie wyobrazić jako kilka koncentrycznych kręgów, z których najmniejszy, w samym środku, to rodzina cara, następnie to arystokracja, potem urzędnicy, dalej burżuazja i wreszcie ostatni — to olbrzymia masa chłopów i robotników. Te kręgi nie zachodzą jeden na drugi. Póki społeczeństwo pozostaje statyczne, koła się obracają, każde w swoim tempie, przy czym największe, zewnętrzne — najwolniej z nich wszystkich. Ale ostatnio, w wyniku uprzemysłowienia, zewnętrzne koło znacznie przyspieszyło. — Zaczął mieszać herbatę w filiżance. — Kiedy nabierze wystarczającego impetu, utworzy wir, który porwie wszystkie kręgi. Wtedy te, które są najbliżej środka, znajdą się na dnie. — Zamieszał herbatę gwałtownie i ujrzałam, jak płyn utworzył w środku filiżanki wgłębienie. Wstrząsnął mną jakiś nieokreślony lęk.

— Czy wtedy ja też znajdę się na dnie? — spytałam.

— Mam nadzieję, że nie. Byłaby to wielka strata — odpowiedział i skierował moją uwagę ponownie na zagadnienia optyki.

Po głębszym zastanowieniu się nad tą rozmową postanowiłam wyrwać się z dwóch kręgów położonych najbliżej środka — kręgu arystokracji i rodziny cesarskiej. Zwierzyłam się profesorowi Holwegowi, że Aleksandra rozumie moje powołanie lekarskie i obiecała pomoc w realizacji

moich marzeń. Bez względu na wątpliwości, które targały mym znakomitym profesorem, nie tylko zabrał mnie do muzeum zoologii i anatomii oraz przedstawił swoim kolegom z wydziału medycyny (nie wyłączając wielkiego Pawłowa), ale również przeschmuglował do domu mikroskop, odczynniki, preparaty mikroskopowe, podręczny zestaw chirurgiczny, za pomocą którego przeprowadzałam sekcje na zdechłych myszach znalezionych na strychu, stos podręczników medycznych i w końcu ludzki szkielet w wielkim pudle, który ukryłam, korzystając z pomocy Fiodora, w kącie swojej garderoby. Nocami wyciągałam go, by studiować szczegóły anatomiczne budowy człowieka. Gdyby mnie przyłapano, mogłam zawsze powiedzieć, że uczę się anatomii, by udoskonalić swój warsztat malarski. Ojciec z pewnością by mnie zrozumiał. Gdy pewnego majowego popołudnia wróciłam do domu po partii tenisa, zostałam od razu wezwana do pokoju Grandmaman. Obok jej krzesła stał mój szkielet.

— Moja panno — odezwała się babka swym grubym głosem — cóż to za żarty stroisz sobie ze służących, i to w twoim wieku?

— Przepraszam, babciu, ale... ale to nie żarty. To mi służy do nauki. — Kłamstwo o udoskonalaniu warsztatu malarskiego nie przeszło mi przez gardło.

— Do nauki? Flmmm, teraz zaczynam rozumieć. Czy przypadkiem nie ukryłaś również gdzieś w domu trupa?

— To by było niepraktyczne, Grandmaman.

— Dosyc tych kpin, panienko! Czego się jeszcze uczysz? Proszę mi natychmiast powiedzieć!

Przyznałam się do laboratorium na strychu. Grandmaman poszła je obejrzeć.

— Kto przyniósł ten mikroskop? — spytała, strącając laską probówki i odczynniki. — Oczywiście ten mały Żydek, protegowany twego ojca.

Nigdy mu nie ufałam. Co ci jeszcze przyniósł profesor Holweg?

Pokazałam przechowywany w sypialni księgozbiór.

— Proszę to wszystko odesłać — poleciła Grandmaman Wierze Kiryłownie, która aż zaniemówiła na widok mych skarbów. — A to dopiero oszust, szalbierz, żeby nabijać dziewczynie głowę takimi głupstwami. Tak, tak, głupstwami — powtórzyła, gdy się gwałtownie zerwałam. — Jeśli choć przez chwilę wyobrażałaś sobie, że wolno ci będzie zostać konowalem — użyła najbardziej pogardliwego określenia — to chyba sama potrzebujesz specjalisty, moja panno! — I Grandmaman stuknęła mnie rączką swojej laski w czoło, po czym wyszła.

Uderzenie to wyzwoliło we mnie atak furii.

— Nienawidzę cię, Grandmaman! — Miotalam się po pokoju jak tygrysica. — Nienawidzę Wiery Kiryłowny! Nienawidzę ich wszystkich! Nie pozwalają mi zostać tym, kim chcę być, nie interesuje ich, nawet tatusia, jaka jestem naprawdę. Wciąż uważają mnie za małą dziewczynkę, swoją pieszczoszkę i zabawkę, ale jeszcze mnie nie znają, nie wiedzą, do czego jestem zdolna. Uważają, że dla dobra Rosji powinnam poślubić księcia Igora, ale w jaki sposób mogę pomóc Rosji, żyjąc w pałacu, wydając przyjęcia i podróżując za granicę? Czyż nie mamy dosyć księżniczek, które już to robią, i to znacznie lepiej ode mnie? I jaki pożytek ma z nich Rosja? Nawet życie Tatiany Nikołajewny jest puste, jeszcze bardziej jałowe i hermetyczne niż moje. Sama zdaje sobie z tego sprawę. Nic jednak nie może na to poradzić, ona, carska córka, podobnie jak nic nie mogę na to poradzić ja. Och, chcę umrzeć, chcę umrzeć, chcę umrzeć!

Kiedy moja bezsilna złość osiągnęła apogeum, nagle się uspokoiłam. Zadzwoiłam na pokojówkę Dunię, która wraz ze swymi pomocnicami nasłuchiwała w przedpokoju, i kazałam przygotować sobie kąpiel. Wezwałam Fiodora. Miał mnie poinformować, kiedy przyjdzie do ojca profesor Holweg — byłam bowiem pewna, że niedługo się pojawi. Ubrałam się starannie; wkrótce Fiodor zameldował, że profesor jest w gabinecie ojca. Zeszłam do holu i ukryłam się za jednym z filarów.



Niebawem ujrzałam profesora, idącego szybko drobnymi kroczkami niczym królik Alicji.

— Panie profesorze — zawołałam cicho. Zatrzymał się i spojrzał na mnie tak, jakby mnie nie poznawał. Zamiast szkolnego mundurka miałam na sobie sukienkę z białej koronki i sznur pereł. — Panie profesorze, proszę mi wybaczyć te wszystkie przykrości, których stałam się powodem. Czy ojciec był bardzo zagniewany?

— No cóż, księżę nie był zadowolony. Zwrócił mi uwagę zresztą zupełnie słusznie, że ciężą na pani obowiązki wobec kraju, które nie dadzą się pogodzić z karierą lekarza. Oskarżył mnie również o nakłanianie pani do oszustwa, z czym nie mogłem się zgodzić. Wprost przeciwnie, próbowałem pani wpoić zasady naukowej rzetelności, umożliwić poznanie jednej z najcenniejszych przyjemności w życiu, jaką daje dążenie do osiągnięcia doskonałości intelektualnej. Chciałbym, żeby pani zawsze o tym pamiętała, Tatiano Pietrowno, nawet, gdy zapomni pani już o mnie.

— Nigdy nie zapomnę pana, profesorze, ani tego, czego mnie pan nauczył. Dziękuję panu za wszystko. *Adieu*.

Podaliśmy mu rękę, którą tym razem ucałował szybko, lecz elegancko. Obrzucił mnie spojrzeniem nie tylko wyjątkowo mądrym, ale również pełnym uczucia, i pospieszył schodami w dół. Wydawało mi się, że na zawsze już zniknął z mojego życia.

Nastąpiło drugie przesłuchanie w pokoju Grandmaman, tym razem w obecności ojca. Będąc niezwykle pobłażliwym rodzicem, skłonny był przypisać moje nieodpowiednie zachowanie złemu wpływowi, w tym wypadku profesora Holwega.

Ale kiedy ojciec dowiedział się, że mój zamiar studiowania medycyny popiera również Aleksandra Fiodorowna, wybuchnął gniewem.

— O nie, tego już za wiele! Przykro zostać wystrychniętym na dudka przez tego profesorkę, z którym się zaprzyjaźniłem. Ale żeby mój autorytet był podrywany przez

Aleksandrę, by robiła sobie ze mnie pośmiewisko ona oraz ten opój i rozpustnik, który przynosi wstyd naszemu tronowi... Boże, cóż za upokorzenie! A wszystko przez ciebie, przez moją córkę, z której byłem dumny, tak dumny! — Popatrzył na mnie długo, gorzko, aż padłam na kolana.

— Ojczy... — zaczęłam błagalnie — nie wiedziałam... nie rozumiałam...

— Nie rozumiałaś! Czy to możliwe, byś była aż tak naiwna? Nie wiesz, że nic nie sprawi Jej Wysokości większej satysfakcji niż przeszkodzenie w twych zaręczynach z członkiem rodziny cesarskiej, zniszczenie wszelkich prób pojednania cara z arystokracją? Dając jej wolną rękę do wtrącania się w twoje życie, stworzyłaś jej ku temu wyborną okazję!

— Tatusiu, nie pomyślałam o tym! — Rzeczywiście, gdy Aleksandra tak ochoczo poparła moje zamiary, nie pomyślałam, że może kierować się niskimi pobudkami.

— Nikt i nic się dla ciebie nie liczy — ani twój ojciec, ani twoja ojczyzna. Myślisz tylko o sobie! Nie chcę cię więcej znać — powiedział ojciec i wyszedł.

Grandmaman kazała mi wstać. Udałam się do swego pokoju, ogłuszona strasznymi słowami ojca.

— Co się stało, moja duszko, czemu tak rozpaczasz? — spytała niania, kiedy zajrzawszy w nocy do sypialni ujrzała mnie zalaną łzami.

— Nianiu, byłam niedobra, kłamałam, oszukiwałam, byłam nielojalna w stosunku do ojca i teraz on nie chce mnie już więcej znać!

— To byłoby coś naprawdę niespotykanego, gdyby ojcowie nie chcieli znać swych jedynaczek, a przy tym tacy kochający ojcowie jak twój — odparła niania. — Spróbuj teraz usnąć, a jutro wszystko będzie dobrze. Jednak nic potrafiłam usnąć bez błogosławieństwa ojca i jego pocałunku na dobranoc. O pierwszej w nocy niania znów zajrzała do pokoju i zastała mnie leżącą z szeroko otwartymi oczami. Wymaszcrowała z sypialni, a po chwili wróciła z ojcem.

Biedny tatuś! Wyobrażam sobie, jak się musiał czuć, gdy dowiedział się o mojej dziwnej pasji! Człowiekowi takiemu jak on mój pociąg do medycyny musiał się wydawać przykry i niezrozumiały, a przy tym poniżający. Nie potrafił zrozumieć moich wąskich i egoistycznych ambicji, podobnie jak ja nie potrafiłam pojąć jego ogromnej i bezinteresownej troski o ojczyznę.

Z drugiej strony nie umiał się złościć na mnie, tak jak ja na niego. Wytarł mi oczy pachnącą, batystową chusteczką i powiedział czule:

— Wybacz mi, moja najdroższa córeczko, że byłem taki niedobry. To wszystko moja wina. Uważałem, że ojciec nie jest w stanie pojąć, czego potrzebuje dziewczynka. Pozostawiłem twoje wykształcenie Grandmaman, cioci Zofii, Wierze Kiryłownie, pannie Radfie. Otrzymałaś pierwszorzędną edukację, lepszą od tej, które otrzymują twoje przyjaciółki-księżniczki, lecz przekonałem się, że nie przygotowano cię mimo wszystko do właściwej roli w życiu. Profesor Holweg powiedział mi dziś, że próbuję cię wtłoczyć w ramy ginącej klasy społecznej. Może ma rację. Ale, widzisz, właśnie dlatego że nasze społeczeństwo znalazło się w niebezpieczeństwie, my, jego przywódcy, musimy poważniej traktować ciężącą na nas odpowiedzialność, niż robiliśmy to dotychczas. Byłam gotowa zgodzić się na wszystko, byle tylko nie stracić miłości ojca.

— Wyjdę za księcia Igora, tatusiu! Zrobię wszystko, co mi każesz.

— Nie pora teraz o tym mówić. Będzie jeszcze dosyć czasu, byś podjęła decyzję. W przyszłym miesiącu przyjedzie na twój bal maturalny ciocia Zofia ze Stefkim. Latem może będą nam towarzyszyli w rejsie „*Helena*” do Włoch. Wydarzy się jeszcze dużo interesujących rzeczy, nim nadejdzie dzień debiutu mojej małej córeczki, która do tego czasu zapomni o szkieletach i zdechłych myszach. — Pocałował mnie, pobłogosławił i wrócił do swych gości.

Szkołę ukończyłam ze złotym medalem jako pierwsza uczennica w klasie i miałam zaszczyt wygłosić mowę pożegnalną. Była odpowiednio wzniosła i patetyczna, pozbawiona oryginalności i polotu; oryginalność i polot zostałyby uznane za niewłaściwe u szlacheckiej córki. Przybyli licznie członkowie rodzin absolwentek, a nasze nauczycielki okazywały wzruszenie niemal jak matki w dniu ślubu swych córek. Moje koleżanki klasowe wpisywały sobie nawzajem do pamiętników wiersze i złote myśli, ale ja ledwie raczyłam umieszczać swój podpis. Przechadzałam się milcząca i wyniosła między paplającymi dziewczętami niczym nieme łąbodziątko wśród przekrzykującego się ptactwa, tak jakby wkrótce czekała mnie klasztorna cela, a nie ślub z członkiem cesarskiego rodu. Perspektywa balu maturalnego też mnie nie radowała. Tak niechętnie znosiłam przymiarki nowej sukni, że Grandmaman poleciła, by kłaść mi na głowie ciężką książkę; za każdym jej upadkiem miałam za karę wyznaczony kwadrans dodatkowego stania. Po jedno- czy dwukrotnym upadku książki zaczęłam zachowywać się znacznie spokojniej. Jednak nawet czułość i skrucha ojca nie potrafiły przełamać apatii, w którą popadłam w ten upalny czerwiec 1914 roku.

Wkrótce ojciec zaczął mieć więcej zmartwień niż tylko moje humory. 28 czerwca wrócił z wyścigów oficerów, organizowanych w Krasnoje, gdzie jak zwykle towarzyszył cesarzowi, przynosząc wiadomość o zamachu w Sarajewie na arcyksięcia Ferdynanda austriackiego. Ten tragiczny incydent okazał się *casus belli*; cesarz Wilhelm II zwołał na 5 lipca do Poczdamu radę wojenną.

W tych okolicznościach car znów całą nadzieję zaczął pokładać w ojcu. Ze względu na urodzenie i charakter ojciec był ponad rozgrywki, które dzieliły członków rządu, i oportunizm, który ich deprecjonował w oczach narodu. Chociaż odmówił przyjęcia oficjalnej nominacji, został *de facto* ministrem bez teki. Pozostawał w bliskich i częstych kontaktach z rezydującym w Pctcrhofie carem, z naczelnym dowódcą,

carskim stryjem, wielkim księciem Mikołajem Nikołajewiczem, przebywającym w letniej kwaterze głównej w Krasnoje, z generałami, ministrem wojny, ministrem spraw zagranicznych Sazonowem, z ambasadorami Francji i Wielkiej Brytanii, Paleologuem i Buchananem. Nie docierało do mnie znaczenie kryzysu austriacko-serbskiego. Pod tym względem nie różniłam się od większości mieszkańców Petersburga, Paryża czy Londynu. Panienki z dobrych domów rozprawiły o przystojnych oficerach marynarki brytyjskiej obecnych na balu wydanym na pokładzie okrętu admirała Beatty; o odmowie, jaką podczas wizyty rodziny cesarskiej w Rumunii otrzymał od Olgi Nikołajewny książę Karol, o niewygodnych, rurkowatych spódnicach oraz śmiesznych turbanach i żakietach *d la turque*, inspirowanych wojnami bałkańskimi, o moim zbliżającym się *bal blanc*, na którym miały być obecne wielkie księżniczki Olga i Tatiana Nikołajewne.

W przeddzień balu, kiedy akurat stałam w swym pokoju podczas ostatniej przymiarki (według słów niani — z miną chrześcijanki szykującej się na męczeńską śmierć), dobiegł mnie słodki i śpiewny głos ciotki Zofii, mieszający się z głębszym i afektowanym — Wiery Kiriłowny.

— Ciocia, ciocia Zofia, cioteczka! — Wybiegłam jej na spotkanie i rzuciłam na szyję, podczas gdy krawcowa błagała:

— Wasza Wysokość, najdroższa Tatiano Pietrowno, proszę nie pognieść sukni.

Nie zwracałam uwagi na jej słowa. Ciocia uniosła dłoń do kapelusika, ozdobionego białymi, strusimi piórami, i przechyliła głowę.

— Ależ z ciebie głuptasek, Taniusiu, choć tak wyrosłaś! Byłam już wyższa od ciotki. Obejmując ją za szyję, spojrzałam na nią z zachwytem. W wieku czterdziestu lat ciotka Zofia wciąż była szczupła i pełna gracji, a jej piękna twarz była jeszcze mądrzejsza i delikatniejsza niż kiedyś.

Ciocia miała na sobie paryski kostium z irlandzkiego lnu, a jasne włosy upięła w wysoki kok, w którym było jej bardzo do twarzy.

— Och, cioteczko, tak się cieszę, że cię widzę. Nie wiesz, jak bardzo za tobą tęskniłam — wykrzyknęłam. — Jak się czuje księżna Katarzyna i wuj Stach, i Stefek? Chcę się wszystkiego dowiedzieć!

— Matka nic się nie zmieniła, hoduje róże i codziennie odwiedza grób ojca. Stach poszedł z twoim ojcem na obiad do jachtklubu. Wkrótce powinni tu być. Stefek wyrósł na prawdziwego olbrzyma, ma tak jak twój ojciec metr dziewięćdziesiąt osiem wzrostu i jest niemal równie barczysty jak on. Biega teraz po fabryce Sikorskiego i ogląda samoloty. Obawiam się, że konie i samochody nie są już dla niego wystarczająco szybkie i niebezpieczne.

— Samoloty! — Roześmiałam się, wyobraziwszy sobie Stefka w skórzanej pilotce i goglach. Ale wtem przypomniałam sobie swoje zmartwienie i cała radość przysła. — Och, cioteczko, byłam taka niedobra...

— Porozmawiamy jeszcze o tym — przerwała mi ciocia. — A teraz może lepiej skończ tę przymiarę, dobrze?

Usiadła pod oknem, prosto, ale swobodnie, przechyliła głowę lekko na bok, czubkiem parasolki postukując w spiczasty nosek bucika.

Wiera Kiryłowna nadzorowała przymiarę, rzucając od czasu do czasu uwagi po rosyjsku z wytwornym akcentem i gardłowym francuskim „r”. Moja *educatrice* zareagowała na nasz spisek z profesorem Holwegiem tuż pod jej nosem tak, jakbyśmy co najmniej mieli romans. Ale nikt, widząc jej wytworne maniery i dumną postawę, nie domyśliłby się strapienia, które ją gnębiło.

Wreszcie orzekła, że wszystko w porządku. Zaczęłam zsuwać suknię z ramion, ale krawcowa złapała ją, mówiąc:

— Wasza Wysokość, moja gołąbeczko, suknię zawsze zdejmuję się przez głowę. — W końcu, po wielu uśmiechach, ukłonach i wyrazach szacunku poczciwa kobieta i jej pomocnice wyszły.

Moja *educatrice* nie zdradzała zamiaru opuszczenia pokoju, lecz ciocia Zofia powiedziała swym słodkim głosem:

— Droga hrabino, zobaczymy się przy kolacji. Wiera Kiryłowna zrozumiała aluzję i wyszła.

— Och, cóż to za wścibski babsztyl! Myślałam, że już nigdy nie zostaniemy same — wykrzyknęłam. — Cioteczko, tak za tobą tęskniłam!

— Upadłam do jej stóp i przytuliłam głowę do kolan ciotki.

— No, opowiedz mi teraz wszystko — poprosiła ciocia Zofia, gładząc mnie po włosach koniuszkami swych długich palców.

Zaczęłam snuć opowieść o nie spełnionych ambicjach. Kiedy skończyłam, powiedziała:

— Taniu, rozmawiałam już z twoim ojcem. Przyznał, że jesteś jeszcze za młoda, by myśleć o małżeństwie. Za moją namową zgodził się, abyś przez dwa lata uczęszczała do Instytutu dla Pielęgniarek w Warszawie, w którym uczą się szlacheckie córki. Tam nauczysz się tego, co umiem ja — administrowania szpitalem, opieki nad dzieckiem, położnictwa. Wierzę, że w znacznym stopniu zaspokoi to twoje zainteresowania z dziedziny medycyny, które wcale nie są czymś nienormalnym, jak sądzi twój ojciec, lecz bardzo kobiecym. Zaspokoisz je jeszcze lepiej, gdy będziesz miała własne dzieci. Widzisz, moja droga, największą radość kobiecie przynosi dawanie siebie. A władzę i autorytet zdobywa dzięki posiadaniu dzieci. Ale ja chciałam zawdzięczać władzę i autorytet tylko sobie, więc niezbyt to do mnie przemówiło. Niemniej jednak patrzyłam na ciocię z miłością, bo była w moich oczach uosobieniem ideału kobiety.

— Gdybym tylko potrafiła być taka jak ty, cioteczko, mądra i poważna, wyrozumiała i dobra, silna, lecz nie szorstka, łagodna, a ciesząca się autorytetem. Ale nigdy taka nie będę, nigdy!

— Bo nic jest to łatwe, moja droga. Od kobiety wymaga się ustawicznego poświęcania i zdyscyplinowania. Mężowie

rzadko kiedy są tak dobrzy i wyrozumiali jak mój Stach, a przecież nawet między nami istnieją różnice zdań. Dzieci dorastają i opuszczają dom. Kiedy są małe — albo chorują, albo psocą. Przeciwstawiają się nam, gdy chcemy nimi kierować i im pomagać. Chłopcy, gdy dorosną, wyruszają na wojnę, na której mogą polec lub powrócić kalekami. Ciocia umilkła, a ja pomyślałam, że musi się trapić niepokojącymi wieściami ze świata. Po chwili, ujmując mnie pod brodę, powiedziała czule:

— Bardzo trudno jest być matką, Taniu, i bardzo trudno jest też być nastolatką, dobrze o tym wiem. Całe nasze życie jest trudne od momentu, gdy potrafimy świadomie rozumować. Niesie z sobą wiele bólu, ale również wiele radości. A prawie wszystko jest jeszcze przed tobą: pierwsze dziecko, pierwsza miłość... i pierwszy bal.

Ujrzałam w wyobraźni to swoje przyszłe życie — trudne, bolesne i radosne. Nie przyziemne, ograniczone i pełne obowiązków, lecz bogate i wzniosłe, piękne i nieogarnione.

— Och, cioteczko, byłam taka ślepa i okazałam taką niewdzięczność za wszystko, co mam, i czym mnie los obdarzył — wykrzyknęłam, całując dłonie cioci. — Ale teraz wszystko zrozumiałam, wszystko zobaczyłam wyraźnie!

Wcale nie widziałam wyraźnie tej wizji przyszłego życia. Przesłaniała ją złocista mgiełka, która w każdej chwili mogła zniknąć, ukazując obraz niezrównanej urody.

Ciocia Zofia uśmiechnęła się, pocałowała mnie w czubek nosa i poprosiła, bym poszła się uczesać.

Razem zeszyliśmy na dół do Grandmaman. Babka obrzuciła mnie uważnym spojrzeniem, ale widocznie zadowolona była z tego, co ujrzała, bo nie powiedziała ani słowa na temat mojego niegodnego zachowania. Kolację podano na wewnętrznym dziedzińcu, obok fontanny, wśród kwiatnych klombów oddzielonych ścieżkami z marmurowych mozaik. Potem pojechaliśmy powozem na spacer. Zatoka Fińska połyskiwała w złotej poświacie zachodzącego słońca. Oficerowie gwardii ze swymi eleganckimi



towarzyszkami przechadzali się wolno wzdłuż esplanady. Pachnące słono morskie powietrze przyniosło z przepływającego statku wycieczkowego żywe dźwięki akordeonu. Na odległym brzegu delty Newy wznosiły się z włoską gracją różowe i żółte pałace. Na szczycie złotej iglicy sterczącej ponad niskimi, białymi murami twierdzy szybował anioł. Wszystko na tym boskim świecie ma swoje miejsce i zadanie, pomyślałam, szczególnie tu, w stolicy Imperium Rosyjskiego. Tylko ja, w moim ograniczonym egoizmie, nie potrafiłam dotychczas tego zrozumieć. Do końca dnia pozostawałam w tym poważnym nastroju. Wieczorem wuj Stach zawiózł ciocię do domu swej starszej siostry, żony rosyjskiego dyplomaty. Nie chcąc zmącić wzniesłego nastroju, rozbieierałam się wolno, rozmarzona i uduchowiona.

— A cóż ty sobie znów roisz? — spytała niania, szczotkując mi włosy tak energicznie, aż się naelektryzowały i zaczęły sterczeć wokół głowy. — Rano gotowa byłaś umrzeć jak męczennica, a wieczorem bujasz wśród aniołów...

— Nie kpij sobie ze mnie. Szczotkuj dokładniej... o, tak. — A gdy już byłam w łóżku, powiedziałam, obejmując ją za szyję: — Nianiu, odnoszę wrażenie, że jutro wydarzy się coś niezwykłego.

— Znając ciebie, zdziwiłabym się, gdyby nie stało się nic specjalnego — odparła zgryźliwie.

Ale jej uwaga nie zmąciła mego nastroju; usnęłam przekonana, że następnego dnia będę świadkiem jakiegoś nadzwyczajnego wydarzenia.

**Część druga**

**MIŁOŚĆ i WOJNA**  
1914—1916

## 8

Parę dni przed balem kilkanaście kobiet w dużych, filcowych łapciach wywoskowało parkiety w wielkiej sali balowej i pokojach gościnnych w naszym petersburskim *osobniaku*. Okna i żyrandole, weneckie lustra i kryształowe kinkiety na ścianach polerowano, dopóki nie zaczęły lśnić, odkurzano złocone ramy w galerii portretów, trzepano perskie dywany, prasowano błękitne liberie lokai. W dniu samego balu zamieciono dziedziniec, a na stopniach pod arkadowymi podcieniami dla powozów rozwinięto różowy chodnik; przy wjeździe na bulwar stanęli policjanci. Grandmaman chodziła po całym domu, postukując laską. Godziła Anatola, naszego polskiego szefa kuchni, i Agafię, rosyjską kucharkę, między którymi wciąż dochodziło do gwałtownych spięć na tle narodowościowym, co groziło tym, że goście będą pozbawieni kolacji. Osuszała łzy Zinajdzie Michajłownie, swej bojaźliwej damie do towarzystwa, której ukochanego jedynaka Koleńkę aresztowano za udział w pijackiej burdzie. Ustalała drażliwe punkty protokołu z major-domusem. A oprócz tego rozstrzygała codzienne problemy związane z prowadzeniem domu w Rosji, które doprowadziłyby do szaleństwa każdą kobietę na świecie z wyjątkiem Rosjanki. Mój niezwykle nastrój z poprzedniego wieczora oczywiście zniknął i byłam od rana wyjątkowo drażliwa. O wpół do dziesiątej francuska fryzjerka Grandmaman upięła mi włosy na czubku głowy *a la grecque*. Stałam senna i zła pośrodku swej garderoby w białej balowej sukni otoczona przez krawcową i pokojówki. Przypudrowały moje obnażone

ramiona, nastroszyły tiulową halkę, zapięły na guziczki białe, sięgające łokci rękawiczki, a w dłoń wsunęły mi wachlarz.

— Zagryź nieco usta, *chere enfant*, to nabiorą trochę koloru — poradziła Wiera Kiryłowna.

Zaczęłam tak zawzięcie przygryzać wargi, aż moja *educatrice* załamała ręce. Lecz gdy zapowiedziano przybycie ojca, od razu się ożywiłam. Pojawił się ubrany w biało-złoty mundur oficera gwardii i szkarłatny mentyk obsyty norkami. Nigdy jeszcze jego świeża, zaróżowiona twarz, na której malowały się szlachetność, dobroć i opanowanie, nie wydała mi się tak piękna jak w tej chwili.

— No, księżę, i co pan powie o swej córce?

— spytała niania.

Ojciec z niedowierzaniem potrząsnął głową.

— Wprost nie mogę wyjść z podziwu. Nasze brzydkie kaczątko wyrosło na pięknego łabędzia.

Włożył mi na głowę diadem z brylantów i pereł, który obstalował u Faberge. Następnie podał mi ramię i wyszliśmy, by zająć miejsca u szczytu reprezentacyjnych schodów.

Na stopniach prężyli się lokaje w przypudrowanych perukach, w trzymany przez nich świecznikach płonęły świece. Stojący na samej górze czarnoskóry kamerdyner Grandmaman anonsował stentorowym głosem kolejnych gości. Dziewczęta przybyły z przyzwoitkami, młodzieńcy

— parami lub w towarzystwie starszych. Witałam ich z ojcem w holu.

Następnie, po dokonaniu ostatnich poprawek przed lustrem, goście przechodzili do sali balowej, gdzie ich przedstawiano Grandmaman i jej drogiej przyjaciółce wielkiej księżnie Marii Pawłownie, owej błyskotliwej i uszczypliwej damie tak znienawidzonej przez Aleksandrę. Wielka dama dworu Zizi Maryszkina poinformowała, że cesarzowa zamierza osobiście towarzyszyć swym córkom. Ale ku uldze wszystkich okazała się jak zwykle niedysponowana i księżniczki przyszły z damą dworu. Odniosłam wrażenie, że Tatiana Nikołajewna w sukni z różowego szyfonu, z różową *bandeau* w ciemnych włosach jest jeszcze

ładniejsza niż zwykle. Jej siostra Olga wyglądała przy niej zupełnie pospolicie. Ale jeśli nawet okrągłej twarzy Olgi Nikołajewny brakowało urody, księżniczka nadrabiała to żywą inteligencją i w rezultacie sprawiała o wiele korzystniejsze wrażenie niż jej wyniosła siostra. Jednak gdy ukloniłam się nisko przed Tatianą Nikołajewną, wykrzyknęła bez cienia dumy:

— Taniu, wyglądasz prześlicznie!

— O nie, to ty wyglądasz prześlicznie, Wasza Cesarska Mość — zaprzeczyłam gwałtownie.

Ojciec zaprowadził wielkie księżniczki do sali balowej. Po chwili wrócił i znów stanął u mego boku. Dość nieuważnie przysłuchiwałam się kolejnym zapowiedziom kamerdynera, póki nie usłyszałam: „Książę Stefan Zaslowski i pan Kazimierz Paszek”. Oto zaraz wejdzie, pomyślałam, Stefek z odstającymi uszami oraz jego cień, Kazik, i ledwo powstrzymałam uśmiech. Kiedy jednak ujrzałam zmierzającego w moim kierunku sprężystym krokiem młodzieńca w czarnym surducie, doznałam jakiegoś całkiem mi nowego i trudnego do opisanie uczucia. Z wrażenia nie widziałam swego kuzyna zbyt wyraźnie. Wiedziałam jedynie, że jest niezwykle wysoki, barczysty i nadzwyczajny oraz że jego obecność mnie przytłacza. Bojąc się, że ulegnę jego sile, zamiast wyciągnąć rękę na powitanie, przycisnęłam ją do serca w obronnym geście.

Stefek spojrzał na mnie i przez moment jego wzrok spoczął na mej piersi. Zaczerwienił się po same korzonki włosów i stał przede mną bez słowa.

— No, dzieci — powiedział ojciec, bo ja również milczałam — cóż to, zapomnieliście, że się znacie?

— Cześć, Stefku — bąknęłam, podając mu rękę.

— Cześć, Taniu — odpowiedział równie sztywno. Jak wytwornie ucałował moją dłoń, pomyślałam, kiedy już zaczęłam go wyraźniej widzieć. Cerę ma świeżą i lekko zaróżowioną, zupełnie jakby dopiero co wyszedł z kąpieli. Włosy... wcale już nie są takie kręcone, ale proste i ładnie

podstrzyżone. Oczy... tak, są wciąż bursztynowobrazowe, identycznego koloru jak oczy Bobika, i nie ma już w nich dawnej złośliwości, tylko coś... coś niezwykłego. I jaki ma prosty, klasyczny nos, prawie tak ładny jak ojca. Ale uszy... no tak, uszy mu wciąż odstają.

Moje onieśmienie gdzieś zniknęło. Nagle spostrzegłam coś nowego.

— Zapuściłeś wąsy — zauważyłam rozbawiona. Stefek uniósł rękę do twarzy gestem charakterystycznym

dla swego ojca.

— Nie podobają ci się?

— Wprost przeciwnie! O, ty też, Kaziku. Kazimierz miał wąsik niemal identyczny jak Stefek, lekko

zakręcony na końcach. Jego ciemne włosy były prawie tak proste jak u przyjaciela. Ubrany był w taki sam gładki, czarny surdut. Również dotknął palcami wąsów i spojrzał pytająco na Stefka, jakby oczekiwał od niego odpowiedzi, czy przypadkiem nie pokpiwam sobie z ich atrybutów męskości.

Ojciec uśmiechnął się lekko, ściskając dłonie zmieszanym młodzieńcom.

— Obaj wyglądacie wspaniale, cieszę się, że was widzę. Stefan i Kazimierz przeszli do sali balowej; wkrótce my też do nich dołączyliśmy.

Wzdłuż jednej ściany, między kolumnami z różowego marmuru, ustawiono małe, połączone krzeselka z plecionymi siedzeniami. Dla opiekunek przeznaczone były krzesła empiryczne, obite tkaniną w różowo-srebrne paski. Obok Grandmaman, w fotelu pokrytym aksamitem, siedziała wielka księżna Maria Pawłowna. Girlandy świeżych róż zwieszały się ze żłobkowanej balustrady galerii. Ozdobiona freskami kopuła sali balowej była oświetlona dwoma olbrzymimi żyrandolami, których kryształowe sople rzucały refleksy we wszystkich kolorach tęczy. Członkowie orkiestry stroili już instrumenty; stali na marmurowym podium w niszy z aksamitnymi drapcriami, nad którą znajdowały się herby

naszego rodu. Gdy weszliśmy, zespół zagrał obowiązkowego poloneza z opery Glinki „Życie za cara”. W pierwszej parze ojciec prowadził Marię Pawłównę, za nimi postępowała ja z wielkim księciem Konstantym. Po polonezie starsi zasiedli na krzesłach, by obserwować, jak będzie się bawiła młodzież. Dziewczęta zajęły miejsca na małych, złożonych krzeselkach, twarzami do partnerów. Zagrano kadryla. Ponieważ wielkie księżniczki tańczyły, ich przyzwoitki nie śmiały usiąść, póki Grandmaman nie oświadczyła, że nie muszą przestrzegać etykiety dworskiej i mogą spocząć. Stefek był moim partnerem vis-a-vis.

— *Avcmezl* — zakrzyknął wodzirej.

Kiedy Stefek ruszył przez salę, znów ogarnęło mnie to dziwne uczucie paraliżującego strachu.

— *Balancel* — rozległ się głos wodzireja. Zakołysaliśmy się w przód i w tył.

— *Chassez a droite... a gauche!*

Pogalopowaliśmy po śliskim parkiecie, a ja niemal pofrunęłam w powietrzu. Nastąpiła zmiana partnerów, ale nie spuszczałam wzroku ze Stefka. Wszystkie twarze, światła, dźwięki i zapachy zlały się w jedno rozmazane tło, z którego wyłaniała się jego postać.

W czasie pierwszej przerwy między kadrylami odszukałam swą imienniczkę. Tatiana Nikołajewna chyba też pragnęła zamienić ze mną kilka słów. Ukryłyśmy się za filarem. Ściskając się za ręce i przytulając do siebie, dawałyśmy wyraz naszemu podekscytowaniu i radości, wywołanych pierwszym wielkim balem.

— No i co o nim sądzisz? — spytałam niecierpliwie. Niepotrzebne były długie wyjaśnienia.

— Uważam, że jest wyjątkowy — powiedziała Tatiana Nikołajewna.

Według mnie określenie to było niewystarczające. I czyżbym dostrzegła w łagodnych oczach mej przyjaciółki ironię?

— Tak, ale czy nie myślisz, że... że...

— Że jest fantastyczny?

— Że... — zrobiło mi się gorąco. — Że jest wspaniałym tancerzem?  
— *Il sait danser* — potwierdziła moja przyjaciółka. — A zauważyłaś, jak całuje dłoń? Przytrzymuje ją na moment w górze, o tak — spróbowałam jej zademonstrować.  
— *Son baise-main est remarquable* — zgodziła się Tatiana Nikołajewna i opierając głowę o filar, zaczęła się głośno śmiać.  
Po chwili podeszła do nas Olga Nikołajewna i spytała:  
— Co was tak rozbawiło?  
— Nie wiem, co rozśmieszyło twoją siostrę — odparłam wściekła. — Wasza Cesarska Wysokość pozwoli, że ją opuszczę...  
Moja imienniczka złapała mnie za rękę. — Nie, nie. Już się nie śmieję. Zobacz, Taniu, jestem zupełnie poważna. Czy spytamy Olę, co sądzi o...?  
— O kim? — przerwała Olga Nikołajewna. — Niech zgadnę. O polskim księciu, kuzynie Tani. *Tout le monde en parle*. Wszyscy mówią tylko o nim — stwierdziła i dodała znacząco: — A zanim jeszcze się pojawił poprzedziła go pewna opinia...  
— Jaka... jaka opinia? — spytałam drżącym głosem. Protekcyjnie, jak tylko potrafi to dziesiętnastolatka,  
Olga Nikołajewna stuknęła mnie wachlarzem w ramię.  
— Opinia, o której nie powinna wiedzieć taka młoda dziewczyna jak ty. Tatiana Nikołajewna zamiast przyjść mi na odsiecz oświadczyła:  
— Skoro księżę Zasławski jest taki czarujący, poproszę, by zatańczył ze mną następnego walca.  
— A potem ja — powiedziała Olga Nikołajewna.  
— Nie damy mu spocząć przez cały wieczór — oznajmiła moja imienniczka.  
Stać się obiektem żartów obu wielkich księżniczek — tego było już za wiele!  
— Dziś nie obowiązuje dworska etykieta. Wasze Cesarskie Wysokości będą musiały zostać poproszone do tańca tak



samo jak inne dziewczęta. Och, tańczcie sobie ze Stefką, jeśli chcecie, nie zależy mi na nim — dodałam w odruchu rozpaczy.

Właśnie wtedy orkiestra zaczęła grać wiedeńskiego walca — co było odstępstwem od tradycji *bal blanc* uczynionym na specjalne życzenie Olgi i Tatiany Nikołajewnych: wodzirej poprosił kawalerów, by dokonali wyboru partnerek. Wielkie księżniczki i ja zostałyśmy natychmiast otoczone przez kilkunastu młodzieńców. Wśród nich był też Stefek. Ale zamiast pokłonić się mnie, tak jak tego oczekiwałam, skłonił się przed Tatianą Nikołajewną. Przedkładając go nad swych dwóch cesarskich kuzynów, położyła mu dłoń na ramieniu, obrzucając mnie przeciągłym spojrzeniem. Chcąc zrobić im na złość, przyjął zaproszenie księcia Igora, mego przyszłego narzeczonego.

Igor Konstantynowicz został dopiero co mianowany kornetem gwardii. Wyglądał oszłamiająco w galowym mundurze ze szkarłatnym mentykiem przewieszonym przez jedno ramię. Myślę, że był prawie tak olśniewający jak mój kuzyn. W rzeczywistości niezbyt różnił się od Stefana czy od któregośkolwiek z pełnych życia, młodych książąt, lubiących konie i szybkie auta, żadnych wojennej sławy i miłosnych podbojów. Jednakże w Stefanie było coś takiego — nie potrafiłam tego dokładnie określić — co w moich oczach wyróżniało go spośród innych. Przyglądając się swemu kuzynowi walczącemu z Tatianą Nikołajewną, pomyślałam: Jak świetnie do siebie pasują. Jak górują nad resztą zgromadzonego tu towarzystwa. Na pewno się w sobie zakochają. Kiedy tak obserwowałam Stefka, próbując dostrzec u niego objawy oczarowania wielką księżniczką, zauważyłam, że on również uważnie mi się przygląda.

Czy zaniepokoiło go to, że tańczę z Igorem? — zastanawiałam się podczas następnego kadryla. Czy to możliwe, by zależało mu właśnie na mnie? Wystawiłam go na próbę, przybierając najbardziej lekceważące miny, kiedy spotykaliśmy się w figurach. Natychmiast zrobił pokorną

minkę, zupełnie jak mój seter, gdy go za coś karciałam. Jak ktoś taki mógłby mieć jakąś tam „reputację”? Nagle przypomniałam go sobie całującego Wandę. Przy następnej figurze nawet na niego nie spojrzałam. Przybrał minę już nie skarconego, ale całkowicie odtrąconego psiaka. Zrobiło mi się go żal i uśmiechnęłam się. Natychmiast się rozpromienił. Zależy mu, tak, na pewno mu na mnie zależy.

Podczas najbliższej przerwy, kiedy odprowadzał mnie do bufetu, spytałam go, by zyskać zupełną pewność:

— Czy Tatiana Nikołajewna nie jest wspaniała?

— To cudowna dziewczyna. Ubóstwia cię. — No tak, to rzeczywiście czyniło z wielkiej księżniczki wyjątkową osobę.

— Przez cały czas rozmawialiśmy tylko o tobie.

— Czy nie chciałbyś jej poślubić?

— Poślubić wielką księżniczkę Tatianę?

— Tak, i zostać królem Polski koronowanym przez cara.

— A ja zostałabym damą dworu Tatiany Nikołajewny i przyglądałabym się ich szczęściu, czując w sercu okropny ból, taki jak syrenka z baśni Andersena.

— Jeśli kiedykolwiek zostanę królem Polski, stanie się to za sprawą woli mego narodu, a nie w wyniku łaski cara

— odparł zapalczywie Stefek.

Nie, nie kocha jej, pomyślałam. A jaki jest dumny i gwałtowny! Jaki wspaniały byłby z niego król i z jaką radością bym się przed nim kłaniała! Byłam tak pochłonięta tymi myślami, że Stefek musiał ponowić zaproszenie do kolejnego walca. A chociaż dopiero co wyobrażałam sobie, jak to nisko będę mu się kłaniała, powiedziałam:

— Obiecałam już ten taniec księciu Igorowi.

— Powiedz, że mnie obiecałaś wcześniej.

— Nie mogę. A poza tym czemu miałabym to robić?

— No właśnie, czemu? Przez cały wieczór tylko się mną zabawiałaś — odparł z gniewem w oczach, po czym odwrócił się na pięcie i wyszedł. Odszukałam ojca.

— Tato, Stefek nie jest w humorze. Boję się, że zrobi jakieś głupstwo.

Znaleźliśmy mojego kuzyna w holu. Stał razem z Igorem Konstantynowiczem obok balustrady z kutego żelaza. Obaj mieli dumne i gniewne miny.

— Zaczęli grać walca. Lepiej idźcie i wybierzcie sobie partnerki, bo w przeciwnym razie zostaniecie na lodzie — powiedział ojciec.

— Muszę najpierw coś wyjaśnić z Jego Wysokością, wuju Piotrze — odparł Stefek.

— Gdy tylko otrzymam zgodę Jego Cesarskiej Mości, moi sekundanci skontaktują się z panem, księżę — powiedział zdenerwowany Igor do swego rywala.

— Jego Cesarska Mość nie zajmuje się pojedynkami. Bez względu na przyczynę nie czas teraz na zabawy w bohaterów. Już wkrótce może się okazać, że obaj będziecie musieli użyć swych szabel przeciwko wspólnemu wrogowi. Podajcie sobie ręce i powiedzcie przepraszam.

— Romanow nie przeprasza Zasławskich.

— Zasławski nie przeprasza Romanowów.

— Obaj macie przeprosić mnie, gospodarza domu, za wszczynanie awantur pod moim dachem — powiedział ojciec tonem nie znoszącym sprzeciwu.

Młodzieńcy wypowiedzieli słowa przeprosin, ale nie chcieli uścisnąć sobie dłoni. Ujęłam ich za ręce i połączyłam je.

— Uściśnijcie sobie dłonie! — rozkazałam, a oni posłuchali. Po chwili jednocześnie zapytali:

— Czy mogę panią prosić do tańca?

— Nie zatańczę z żadnym z was — odrzekłam. Odwróciłam się w stronę ojca i położyłam mu dłoń na ramieniu.

— *DesoM, Messieurs* — powiedział ojciec. — Ale widzę jeszcze dwie wolne panny. — Wskazał na dwie dziewczyny siedzące sztywno obok siebie w długim szeregu pustych, połączonych krzesełek. Były to bliźniaczki, baronówny Norden, niezwykle bogate i okropnie brzydkie. Kiedy Igor i Stefek posłusznie skierowali się w ich stronę, ze spojrzeń, które wymieniły siostry, zrozumiałam, że pojawienie się kawalerów zapobiegło kolejnej awanturze.

— Lepiej będzie, jeśli jak najszybciej umieścimy cię w tej szkole dla pielęgniarek, nim znowu staniesz się powodem jakichś kłopotów — zauważył ojciec podczas tańca. — Pojedynek między Zasławskim a Romanowem mógłby mieć niemal tak poważne następstwa jak zabójstwo arcyksięcia Ferdynanda. Jeśli w wieku siedemnastu lat masz taki wpływ na mężczyzn, to co będzie później?

— Przecież to tylko Stefek, papo — powiedziałam z siostrzaną dumą. — Jest gwałtowny jak zwykle. Nic a nic się nie zmienił. To jeszcze taki dzieciak.

— Taaak. Ładny mi dzieciak.

Przypomniałam sobie rozmowę na temat tajemniczej reputacji mego kuzyna.

— Tato, co słyszałeś na temat Stefka?

— To samo, co o innych młodzieńcach w jego wieku, moja droga — odpowiedział, a widząc moją minę, dodał: — Taniu, nigdy nie powinnaś mieć brzydkich myśli. Nie do twarzy ci z tym. I trudno wtedy z tobą tańczyć. No, *un peu de souplesse*, głowa do góry, uśmiech na twarz. Posłuchałam. Ojciec był pierwszorzędnym danserem. Aż do tego wieczoru wolałam tańczyć z nim niż z kimkolwiek innym. Ale dziś był na drugim miejscu.

Po kolejnym kadrylu zapowiedziano mazurka, którego panowie mieli zatańczyć ze swoimi partnerkami siedzącymi vis-a-vis. Oficerowie gwardii i junkrzy ruszyli szeregiem ku siedzącym dziewczętom i pokłonili się im. Wstałam rozmarzona i wsparłam się na potężnym ramieniu mego kuzyna. Mimo swej postury Stefek był zwinny jak kot i było go łatwo prowadzić, jak kucyka. Byłam o wiele lepszą amazonką niż tancerką, lecz tej nocy czułam się równie lekka i gibka jak mniej kanciaste i drobniejsze ode mnie dziewczyny.

Stefek zawsze skory do popisywania się, tak mną pokierował w tańcu, że znaleźliśmy się tuż obok orkiestry.

— Przyjaciele, a może byście zagrali mazura? — zakrzyknął. W zespole nie było żydowskich muzykantów, bo normalnie Żydom nic wolno się było osiedlać w stolicy. Ale

pierwszy skrzypek, o czarnych lokach i białych zębach Cygana, skinął głową. Melodia stała się szybsza i bardziej ognista. Stefek zaczął ze mną wirować jak szalony. Reszta tancerzy zeszła z parkietu. Zostaliśmy sami na środku sali. W tańcu widziałam nie marmurowe kolumny i kryształowe żyrandole, lecz wysokie lipy obwieszane japońskimi lampionami, nie panienki z dobrych domów i oficerów gwardii, lecz wiejskie dziewczęta w pasiastych spódnicach i chłopaków w sukmanach. Pod stopami nie czułam lustrzanej posadzki, ale surowe deski naprędce skleconej estrady, a w uszach brzmiały mi szalone akordy wygrywane jedenaście lat temu przez żydowską kapele.

Kiedy muzyka umilkła, skłoniliśmy się sobie, a potem złożyliśmy ukłon przed Marią Pawłowną.

Moja chrzestna uśmiechnęła się do nas uprzejmie.

— *Charmant, mes enfants, charmant.*

Natomiast Grandmaman obrzuciła nas uważnym spojrzeniem, w którym brak było aprobaty.

Olga i Tatiana podeszły do swej „ciotki Miechen”, by ukłonić się i podziękować Grandmaman za wspaniały wieczór.

— *Deja, mes petites, quel dommagel* — Maria Pawłowna wyraziła powszechny żal obecnych, że wielkie księżniczki opuszczają nas przed kotylionem.

Olga Nikołajewna, zawsze niezależna, gotowa była zostać dłużej, ale jej rozsądna siostra przypomniała, że ich matka źle się czuje, i poprosiła Olgę, by nie stroiła fochów.

— Taniu, to był cudowny bal — powiedziała tuż przed odjazdem, kiedy zostałyśmy na moment same. — I tak się cieszę, że już nie rozpaczasz. Wiesz, tak naprawdę nigdy nie wierzyłam, że coś wyjdzie z twojego pomysłu ze studiami medycznymi.

Zupełnie zapomniałam o niedawnej determinacji.

— I jak zwykle miałaś rację... Taniu, tak się niepokoję... Jak myślisz, czy on też czuje to co ja?

— Może nawet coś więcej... ale, Taniu najdroższa, przecież Stefek jest twoim kuzynem, i do tego Polakiem. Oba-

wiam się, że tatce się to nie spodoba. To by było okropnie skomplikowane. Nie daj się znowu ponieść uczuciom. Wiesz, jaka jesteś impulsywna.

Moja przyjaciółka była jak zawsze rozsądna. Ja jednak pomyślałam jedynie, że jest cudowna, ale jeszcze taka dziecinna. Jak może mi dawać rady, skoro nie przeżyła tego co ja dzisiaj, czegoś, co było najważniejszym, najprawdziwszym uczuciem, jakiego kiedykolwiek doznałam? Nie wie jeszcze, co to znaczy żyć.

Tatiana Nikołajewna spostrzegła, że nie docierają do mnie żadne argumenty.

— Ponieważ cię lubię, mam nadzieję, że coś z tego wyjdzie. Jest kapitalny — powiedziała i przyłączyła się do siostry.

Po wyjściu wielkich księżniczek bal rozkręcił się na dobre. Dziewczęce nosy zaczęły się błyszczeć, fryzury rozsypywać, treny u sukien odpruwać. Po zakończeniu kotyliona tancerze przeszli pod girlandą z fiołków, róż i goździków do przyległych pokoi gościnnych, gdzie porostawiano małe stoliki.

Stefek zajął miejsce przy moim stole. Słuchałam oczarowana jego słownych fajerwerków. Sypał jak z rękawa wierszami, cytatami, anegdotami i powiedzonkami w kilku językach. Wiedziałam, że urządza ten popis elokwencji wyłącznie na moją cześć, podobnie jak kilka lat temu, by dowieść swych męskich cnót, tylko dla mnie obracał koła wozów, zrywał strupy z kolan i wkładał rękę w płomień świecy. Byłam pod nie mniejszym wrażeniem jego popisów teraz, mając siedemnaście lat, niż wtedy, kiedy miałam ich siedem. Erudycja Stefka przyćmiła jeszcze jego wygląd zewnętrzny, którym tak mnie oszołomił. Na dodatek ten najwspanialszy ze wszystkich młodzieńców pragnął oczarować mnie — dziewczynę o przeciętnej urodzie, średnim intelekcie i w ogóle pospolitą w porównaniu z nim. Bałam się w to uwierzyć. I wierzyłam. O świcie bal się wreszcie skończył. Znow stałam z ojcem w holu, tym razem żegnając gości. Dziewczęta schodziły po

stopniach, niosąc w rękach zwiędnięte bukieciki, podtrzymując naderwane treny sukien, sennie przysłuchując się strofującym je matkom i przyzwoitkom. Stefek i Kazik wyszli prawie ostatni. Znów zachwyciłam się sposobem, w jaki mój kuzyn ucałował moją dłoń, i jedwabistością jego włosów. Był piękny, silny niczym nieustraszony myśliwy i z pewnością przyjemnie by było pogłaskać jego włosy.

Z chwilą gdy wyszedł, poczułam się osamotniona. Hol i sień opustoszały. Pozostali tylko muzycy, dla których przygotowano kolację.

— Czy nasza mała dziewczynka była dzisiaj szczęśliwa? — zapytał ojciec.

— Och, tak... dziękuję! — Rzuciłam mu się na szyję. Następnie, bardziej oficjalnie, ucałowałam dłoń Grandmaman i rozmarzona udałam się na górę.

Pokojówki, rozbierając mnie z wytwornej sukni, wypytywały jedna przez drugą, póki niania nie krzyknęła ostro:

— Ech, wy, nie widzicie, że biedactwo pada z nóg! A jeszcze ją dręczycie swoimi głupimi pytaniami! Już mi się stąd wynosić!

— Nianiu — szepnęłam, gdy po zmówieniu krótkiej modlitwy wślizgnęłam się pod kołdrę — widziałaś go?

— Niby kogo? — chytrze spytała niania.

— Mego brata, mego jedynego, mego Stefana, mego najdroższego księcia.

— A cóż ja bym miała robić na balu, wśród tych wszystkich wielkich książąt i księżniczek? Nie, nie widziałam księcia Stefana. Ale poznałam go dość dobrze wówczas, gdy przyjechał z rodzicami po twoich narodzinach... i muszę powiedzieć, że w wieku dwóch lat niezły był z niego gagatek, chyba jeszcze większy niż twój ojciec, moja duszko.

— Nianiu, przyznaj, czyż nie jest przystojny? — spytałam, zachwycona jej porównaniem.

— Przystojny? Nie powiedziałabym, z tymi wielkimi, odstającymi uszami.

— Ale jest niezwykle silny!

— No tak, to mu trzeba przyznać, zbudowany jest jak średniowieczny rycerz. Nie wątpię, że będzie miał wspaniałych synów. Przypomniały mi się słowa ciotki Zofii o najbardziej wzniosłym posłannictwie w życiu kobiety. — Nianiu, chciałabym urodzić mu syna.

— Syna? Polakowi? Żeby walczył z Rosjanami, może nawet z twoim rodzonym ojcem? — wykrzyknęła niania.

— Lepiej o tym zapomnij, moja duszko. To wykluczone.

— Czemu? Jeśli car mianuje wujka Stacha wicekrólem autonomicznej Polski, Polacy staną się naszymi przyjaciółmi. Może kiedyś, gdy ojciec Stefka będzie już stary i na tronie zasiądzie Stefan, nasze dwa kraje połączy przymierze, a ja dam swemu królowi dziedzica.

— A więc tak to sobie obmyśliłaś? — powiedziała niania.

— Cóż za dziwne z ciebie dziecko, zawsze taka poważna, zawsze z nosem w książkach, a nagle wymyślasz jakieś bajeczki. Cóż, przez jedną noc możesz sobie pomarzyć

— westchnęła, opatulając mnie kołdrą. — Marz o swym księciu, moja duszko, marz o nim, dopóki jeszcze możesz.

Śniłam na jawie, wpatrując się szeroko otwartymi oczami w szarą poświatę petersburskiej białej nocy. Życie, o którym tak pięknie opowiadała ciocia Zofia, rozwijało się przede mną niby jakaś piękna, stara legenda, niezgłębiona i tajemnicza. A w samym centrum mego marzenia był on — mój waleczny książę, mój pan i władca.



Następnego dnia obudziłam się po dwunastej. Ale nie wyskoczyłam z łóżka, tylko leżałam pogrążona w błogich marzeniach. Pierwszą moją myślą było: co też porabia teraz on? Czy naprawdę już się goli? I co robi, by jego z natury kręcone włosy leżały na głowie tak płasko, tworząc jedwabisty kask.

Do pokoju weszła niania w niebieskim fartuszk i czepeczku, szerokie rękawy bluzki miała podwinięte.

— No i jak spałaś, moja duszko? Nie kazano mi cię budzić, chociaż twoja zacna babka, Anna Władmirowna, już o ósmej rano, jak co dzień, była w kaplicy. No, ale teraz pora wstawać.

— Nianiu, chcę się napić czekolady w łóżku — oświadczyłam.

— Czekolada w łóżku? I co jeszcze? Gdzie się nauczyłaś takich manier, moja księżniczko? Czyżbyś była jakąś rozpuszczoną córką kupca albo baleriną?

— No już dobrze, dobrze, tylko przestań gderać. — Opuściłam nogi z łóżka. Ale kiedy stanęłam, aż jęknęłam.

— Och, moje stopy... ależ mnie bolą. Nie mogę chodzić!

— No proszę, jak to się skarży z powodu jakiegoś głupstwa. Dobrze słyszałam! Co sobie pomyśli służba? — zapytała niania.

Było mi wszystko jedno, co sobie pomyślą inni. Nawet kiedy już się ubrałam, pozostałam w rannych pantoflach.

— Jak się dzisiaj ma nasza dziecinka? — spytała Wiera Kiryłowna, wchodząc do mojego pokoju, gdy już zabrano tacę ze śniadaniem.

— Nikt za nią nie trafi, Wielmożna Pani. W jednej chwili wzdycha, w następnej śmieje się, a jest taka rozleniwiona i płocha, że nikt by nie uwierzył, że instytut ukończyła z wyróżnieniem — odpowiedziała niania. Moja *educatrice* uśmiechnęła się pobłaźliwie. A potem, siadając obok mnie, powiedziała znacząco tonem czułym, a zarazem podnieconym: — Moja droga, odniosłaś prawdziwy sukces. Przez cały ranek przesyłają ci bukiety i słodycze od Jelisiejewa. Kilku kawalerów zostawiło swoje bilety wizytowe. Między innymi ten...

To od niego pomyślałam. Lecz kiedy Wiera Kiriłowna wręczyła mi wizytówkę Igora Konstantynowicza z dwugłowym lwem Romanowów, popatrzyłam na nią obojętnie.

— Kto jeszcze zostawił bilety wizytowe, Wiero Kiriłowno?

Wszyscy, prócz niego.

A może przysłał kwiaty, bombonierkę, cokolwiek? Nie, nic. Może coś mu się stało, o, mój Boże, z pewnością tak, jest chory lub ranny! Nie, powiedziała Wiera Kiriłowna, ojciec wybrał się z wujem Stachem na przejażdżkę i nie słyszała, by cokolwiek mówili o księciu Stefanie.

— Więc co on może teraz robić, jak myślisz, Wiero Kiriłowno? — nie ustępowałam.

— Może leci sobie swym nowym samolotem albo... albo robi co innego. Co innego, no tak, nie na darmo cieszy się tą swoją „reputacją”, pomyślałam. Spojrzałam na *educatrice*.

— Wiero Kiriłowno, jeśli przyjdzie książe Zasławski, proszę powiedzieć, że nie ma mnie w domu.

Poleciłam, by kwiaty i słodycze odesłano do szpitala Maryjskiego, a potem poprosiłam, by zostawiono mnie samą w gabinecie.

Lecz zamiast się uczyć, pokręciłam się trochę po pokoju, po chwili z ciężkim westchnieniem opadłam na krzesło, wzięłam jakąś książkę, by ją za moment odłożyć, podeszłam

do okna, popatrzyłam na uwijające się na rzece statki. Wszystko wydawało mi się irytujące i błahe.

— Jaki to wszystko ma sens? — zwróciłam się do Bobika, którego wyraźnie zmęczyło obserwowanie mych bezcelowych wędrówek z kąta w kąt i pragnął, bym wreszcie usiadła. — Czyż jest sens żyć, jeśli w jego życiu nie ma dla mnie miejsca? Kiedy być może właśnie w tej chwili leci swym nowym samolotem z jakąś dziewczyną, by ją porządnie nastraszyć i uczynić uległą... by mógł z nią zrobić to, co będzie chciał? Nie zniosę tego!

Ogarnął mnie gniew. Pomyślałam, że dobrze by było, gdyby ich samolot się rozbił. A jeśli naprawdę się rozbił, i Stefan jest ranny, może nawet zginął! Cierpiałam prawdziwe katusze. Muszę zadzwonić i dowiedzieć się... Nie, na pewno nic mu nie jest, po prostu nie ma czasu o mnie myśleć, wszystko to sobie uroiłam podczas balu. Przygnębiona usiadłam za biurkiem.

Kiedy tak siedziałam, podpierając brodę rękami, z Bobikiem u mych stóp, weszła niania i powiedziała kwaśno:

— Na dole jest książę Stefan.

— Stefek? Tutaj? — Podbiegłam do drzwi, ale przypomniałam sobie, że mam na nogach ranne pantofle. — Moje buciki! Podaj mi je, gdzie one są? Ale się guzdrzesz! Bobik, zostań! O, mój Boże, nie zdążę, pójdzie sobie! — Wyleciałam z pokoju i popędziłam w dół krętymi schodami.

— A tak ją bolały nogi, wcale nie mogła chodzić! — powiedziała niania do pokojówek, które słysząc moje kroki, wybiegły na podest.

— To pewnie jej narzeczony, to pewnie książę Romanow, jej narzeczony, ach, cóż to za wielki dzień, nasza kochana księżniczka, taka jeszcze młoda, jaka szkoda, jakie szczęście! — wykrzykiwały pokojówki jedna przez drugą.

— Narzeczony! Książę Romanow! Rzeczywiście! Oj, wy głupie! — dobiegły mnie słowa niani.

Przebiegłam przez pokój muzyczny i galerię portretów. Zatrzymałam się dopiero na widok statecznej Wiery Kiryłowny, która oświadczyła:

— Powiedziałam księciu, kuzynowi panienki, że jesteś po balu zbyt zmęczona, by go przyjąć, drogie dziecko.

— Wiero Kiryłowno, nie, jak mogłaś! Och, poproś go, by wrócił! Pobieglabym dalej, ale moja *éducatrice* zastąpiła mi drogę.

— Księżniczko, opanuj się. — Zawołała na lokaja i poleciła, by sprawdził, czy księżę Zasławski już wyszedł. — Jeśli jeszcze jest, poproś go do błękitnego saloniku.

Po jakimś czasie, który wydawał mi się wiecznością, lokaj wrócił, by oznajmić, że księżę Zasławski czeka na nas.

— Zobaczmy się z księciem Stefanem, jeśli obiecasz, że będziesz się odpowiednio zachowywała, mademoiselle — ostrzegła mnie Wiera Kiryłowna.

Minęłyśmy pokój rokokowy i empirowy i weszłyśmy do małego, obitego błękitnym adamaszkiem salonu urządzonego w stylu Ludwika XIV. Stefek sprawiał wrażenie świeżego i wypoczętego; prezentował się niezwykle elegancko w płóciennym garniturze z kamizelką oraz jedwabnym krawacie w biało-niebieskie groszki, w którym błyszcząca spinka z perłą. Wydawał mi się jeszcze wspanialszy niż poprzedniego wieczoru. Podałam mu rękę i powiedziałam:

— Dzień dobry, Stefku!

Zapanowało niezręczne milczenie. Mimo całej swej elokwencji mój kuzyn również sprawiał wrażenie onieśmiałego.

— Do samego rana nie spaliśmy z Kazikiem, bo rozmawialiśmy... o tobie — wyjaśnił. — Dopiero co się obudziliśmy. Natychmiast przyszedłem. Kiedy dowiedziałem się, że nikogo nie przyjmujesz, zostawiłem kwiaty szwajcarowi.

Zaspał! Jakie to wzruszające!

— Myślałam, że... że wybrałeś się gdzieś swym samolotem.

— Eh! Samolot! — odparł takim tonem, jakby chciał mi dać do zrozumienia, że w jego życiu pojawiło się coś znacznie bardziej podniecającego.

Przyniesiono w wazonie róże.

— Och, jakie śliczne! — wykrzyknęłam. Były białe i żółte, idealnie pasowały do mojej białej, szyfonowej sukienki przewiązanej żółtą szarfą z tafty. — To moje ulubione. — Rzeczywiście, od tej chwili stały się moimi ulubionymi.

Widząc, jak gapię się na mego kuzyna w niemym zachwycie, Wiera Kiryłowna zauważyła:

— Nie poprosisz księcia, swego kuzyna, by usiadł?

— Och, tak! Proszę, usiądź.

Stefek usiadł, podciągając nieco spodnie, by ich kanty nie straciły nic ze swej ostrości. Zająłam miejsce w rogu kanapy naprzeciwko niego.

— O, nie masz już ich — powiedziałam niespodziewanie.

— Czego?

— Wąsów.

Uniósł dłoń do gładko ogolonej górnej wargi.

— Odniosłem wrażenie, że... że ci się nie spodobały.

— Ależ nie! Choć tak też mi się podobasz — dodałam szybko, widząc jego minę. — Nawet bardziej niż z wąsami.

Wiera Kiryłowna lekko dotknęła przypiętej do dekoltu atlasowej róży, by okazać dezaprobatę dla tak poufalej rozmowy.

— Czy nie zaproponujesz księciu herbaty, mademoiselle?

— Nie, nie herbaty, tylko kawy. Polacy wolą kawę. Stefek sprawiał wrażenie wzruszonego.

Moja *educatrice* zadzwoniła, by podano kawę.

— Możesz zapalić, jeśli masz ochotę — odezwałam się. Chciałam go zobaczyć z papierosem.

Nie będzie zatruwał powietrza, którym oddycham.

Rozmowa ponownie utknęła w martwym punkcie.

I znów na pomoc przyszła nam Wiera Kiryłowna, wypytując Stefka swobodnie o jego uniwersyteckich przyjaciół, wśród których są też ponoć królewscy synowie. W najmniejszym stopniu nie interesował mnie książę Walii. Siedziałam bez słowa, przyglądając się memu kuzynowi. Kiedy podano kawę, pomyślałam: Jak ładnie trzyma filiżankę, jakie ma

eleganckie ruchy, prawie tak eleganckie jak tatuś. A jakie ma kształtne i różowe paznokcie. Musi je chyba polerować. Z rozmarzeniem podziwiałam jego paznokcie.

— No co tak patrzysz? — spytał nerwowo.

— Na twoje paznokcie... są takie czyste. — Nagle w tym eleganckim młodzieńcu, siedzącym w petersburskim salonie tak statecznie i zachowującym się tak poprawnie, ujrzałam umorusanego, podrapanego, wrzeszczącego, aroganckiego chłopaka, który podcinał popręgi u siodeł i wkładał pająki do łóżek zaproszonym gościom. Stefek odstawił filiżankę i spojrzał na swoje paznokcie, a potem na mnie. Musiał się zorientować, o czym myślałam. Wydał swe okrągłe policzki i zrobił tak komiczną minę, że nie byłam w stanie nad sobą zapanować. Jednocześnie wybuchnęliśmy głośnym, dziecięcym śmiechem.

Wiera Kiryłowna wyprostowała się, wyrażając swoją dezaprobatę. Ponieważ nie zwróciliśmy na to uwagi, wstała i znacząco złożyła dłonie. Stefek natychmiast spoważniał i zerwał się na równe nogi. Ja nie musiałam wstawać dla zwykłej hrabiny.

— Proszę jeszcze spocząć na minutkę, Wiero Kiryłowno — powiedziałam, patrząc na nią lodowato. — Księżę, mój kuzyn, nie skończył jeszcze pić kawy.

Wiera Kiryłowna usiadła.

W milczeniu popijaliśmy kawę, nie uchybiając najsurowszym zasadom dobrego wychowania. Tak byliśmy sobą pochłonięci, że aż wzdrygnęliśmy się na dźwięk śpiewnego głosu ciotki Zofii.

— *Comme cest gentil*. Jak ślicznie — powiedziała, stojąc w progu. Wstaliśmy zmieszani. Do pokoju weszli Zasławscy oraz ojciec z Grandmaman.

— Widzę, że nie dokucza ci już ból w nogach — zauważyła babka. Zaczęto delikatnie wyśmiewać się z mojego zmęczenia po pierwszym w życiu balu, co mnie ogromnie mieszało. Nic chciałam, by w obecności kuzyna traktowano mnie jak małe

dziecko. Chciałam uchodzić za osobę bywałą i uświadomioną, czyli taką, która z pewnością oczaruje młodego człowieka cieszącego się już jakąś tam „opinią”.

Wiera Kiryłowna opuściła rodzinne zgromadzenie. Grandmaman i ciocia Zofia usiadły. Wuj i Stefek stali. Ojciec zajął miejsce obok mnie i objął mnie ramieniem.

— No i co myślicie o naszym brzydkim kaczątku?

— spytał Zasławskich po angielsku. — Czy uwierzycie, że szwajcar nie może nadażyć z przyjmowaniem biletów wizytowych od jej wielbicieli? Pytam was, co mam z nią zrobić?

— Wydaj ją za męża i będziesz miał kłopot z głowy

— oświadczyła babcia.

— Książę Igor Konstantynowicz zwrócił się do mnie, bym mu zezwolił ubiegać się o rękę mej córki — ciągnął ojciec. Ujął mnie pod brodę i skierował moją twarz w swoją stronę. — Czy dasz temu młodzieńcowi jakąś nadzieję?

Powiedziałam, że nie.

— Co takiego? Nic a nic ci na nim nie zależy? Potrząsnęłam przecząco głową.

— W ogóle na nikim ci nie zależy? Poczułam, że się czerwienię.

— Oho! Widzę, że znów coś ukrywasz przed swoim ojcem. A więc któż to taki?

Spojrzałam na swego kuzyna, a potem znów na ojca.

— No tak, obawiałem się tego — powiedział w zadumie.

— Obawiałeś się? Czemu się obawiałeś, wuju Piotrze?

— wykrzyknął Stefek. — Mnie również zależy wyłącznie na Tani. Nigdy nie zależało mi na nikim innym.

— Masz bardzo krótką pamięć, mój chłopcze — flegmatycznie zauważył wuj Stach, szarpiąc wąsa.

— To wysoce niesprawiedliwe z ojca strony — odparł Stefek gwałtownie. — Moje uczucia wobec Tani są... są zupełnie innego rodzaju... są święte... tak jak ojca w stosunku do matki!

— Skąd możesz wiedzieć, jakie są twoje uczucia do Tani, skoro ujrzałeś ją zaledwie wczoraj po dwóch latach przerwy?

— Owszem, ojczy, ale to nie stało się ostatniego wieczoru. Czuję to od dawna, kiedy byłem jeszcze ósmioletnim brzdącem, tylko nie uświadamiałem sobie tego. Chciałem powiedzieć, że... że nie zdawałem sobie sprawy z tego, że to... że to to samo, co czuję obecnie.

Zrozumiałam, że nie mógł w ich obecności wymówić słowa „miłość”.

Spojrzał na matkę, by mu przysłała na pomoc.

Ciocia Zofia w odpowiedzi na jego nieme błaganie skinęła głową.

— Widziałam to i rozumiałam, zanim sami sobie zdaliście z tego sprawę. I muszę wyznać, że się ucieszyłam, bo zawsze miałam nadzieję, że Tania zostanie moją córką.

— Cioteczko! — wykrzyknęłam. Podbiegłam do ciotki, padłam na kolana, objęłam ją i spojrzałam w jej twarz niby w święty obrazek. Ciocia Zofia uśmiechnęła się lekko.

— Ciągle jeszcze mam nadzieję, że zostaniesz naszą córką, Taniu. Ale takiej decyzji nie wolno podejmować pochopnie. Przede wszystkim obawiam się, że nie spotka się to z aprobatą Jego Cesarskiej Wysokości. Czy nie mam racji, Pierre?

— Niewątpliwie, będzie to oznaczało koniec wpływów, które udało mi się zdobyć na dworze — odpowiedział ojciec. — Ale kto wie, jak długo by one jeszcze trwały? Poza tym ja też poślubiłem polską księżniczkę. Skoro moja córka zakochała się w Polaku, czy mogę się sprzeciwić jej wyborowi? Powiedz mi tylko, Stanisławie, jak ty oceniasz wpływ ewentualnego niezadowolenia Jego Wysokości na kwestię przyznania Polsce autonomii?

— To pewne, że jej nie przyśpieszy. — Ton głosu wuja Stanisława zmroził mnie. — Tak czy inaczej, Stefan, zanim mu będzie wolno zacząć myśleć o ożenku, musi odbyć służbę wojskową.

— Ależ ojczy, to oznacza jeszcze całe dwa lata! Przez ten czas może wybuchnąć wojna, mogę zginąć, może się zdarzyć



tyle rzeczy... Matko! — Stefek znów zwrócił się do jedynej osoby, która go zawsze rozumiała.

— Ojciec ma rację, Stefku. — Ciocia Zofia położyła dłoń na jego rękę. — Musisz jeszcze trochę poczekać. Jeśli twoje uczucia są prawdziwe i silne, to staną się jeszcze silniejsze. Jesteście jeszcze bardzo młodzi. Obydwoje musicie nieco dojrzeć.

— Zaczekamy, prawda, Stefku? — spytałam błagalnym tonem.

— Jestem gotów czekać, jeśli odbędą się oficjalne zaręczyny — oświadczył Stefek.

— Nie masz prawa stawiać żadnych warunków — zauważył lodowatym tonem jego ojciec.

— Wuju Stachu — zwróciłam się do wuja — nie bądź zły na Stefka. Zaczeka, podobnie jak ja, tak długo, jak będziecie sobie życzyli. Proszę... udzielcie nam swego błogosławieństwa.

Wuj Stach popatrzył przeciągle na mnie, a później na ciocię Zofię. Potem, kładąc jedną rękę na moim ramieniu a drugą na ramieniu ciotki, powiedział:

— Taniu, jeśli wyrośniesz na kobietę o takim sercu i rozumie jak twoja ciocia Zofia, tak jak już teraz przypominasz ją z wyglądu, to nie mógłbym sobie życzyć dla mojego syna lepszej żony.

Spojrzałam na niego rozpromieniona. Ojciec sprawiał wrażenie wzruszonego i nieco posmutniał. Moja mądra ciocia pierwsza zwróciła uwagę na Grandmaman, obserwującą niecierpliwie scenę, w której ani na moment nie wzięto pod uwagę jej osoby.

— Anno Władimirownno, czy apróbujesz te plany?

— A czemu mnie w ogóle pytacie? — odparła babka. — Odkąd to ktokolwiek przejmuje się moim zdaniem? — Te słowa, podobnie jak zwrot: „Wiesz, że nigdy nie wtrącam się w cudze sprawy”, były dwoma ulubionymi stwierdzeniami mojej autokratycznej babki, w prawdziwość których szczerze wierzyła. Miałam nadzieję, że moja wnuczka przejmie

olbrzymią odpowiedzialność, która spoczywa na moich barkach — ciągnęła. — Jest ostatnią z rodu, jednego z najstarszych i najbardziej szanowanych na Rusi. Ale ona nigdy nie przywiązywała do tego wagi. Wołała poświęcić się chorym... lub Polakowi. Życzę jej szczęścia w nowej rodzinie — dokończyła z furją i wstała. — Proszę mi wybaczyć. Zasławscy i ojciec pobiegli za babcią, by ją udobruchać i przyprowadzić z powrotem.

Wciąż siedziałam na podłodze. Stefek podał mi rękę, by pomóc mi wstać. Ale wołałam siedzieć u jego stóp.

— Jeśli się nie podniesiesz, to zaraz uklęknę — powiedział komicznym tonem i padł na jedno kolano.

Jaki z niego jeszcze dzieciak, pomyślałam, i jak to dobrze móc znów, jak za dawnych lat, bawić się na podłodze.

Poczułam przyływ dziecięcej czułości i pochyliłam się ku Stefkowi. Powstrzymał mnie z dziwnym wyrazem twarzy. A kiedy tak trzymał mnie mocno za rękę, aż poczułam ból, moje uczucia stały się również jakies gwałtowne, i bolesne, i wcale nie dziecinne. Opuściłam głowę. Unikając mego wzroku, wstał i pociągnął mnie za sobą. Właśnie wtedy wrócili Zasławscy z ojcem i Grandmaman. Jej żywe, brązowe oczy spoczęły na mnie badawczo.

Ciocia również spostrzegła moje zmieszanie i skrępowanie.

— Wydaje mi się, że za dużo tych emocji dla Tani — powiedziała. — Potrzebuje parę dni spokoju i odpoczynku.

Ustalono, że powinnam jechać do naszej dachy nad brzegiem zatoki, po czym Zasławscy pożegnali się i wyszli.

Na wsi jeździłam konno w towarzystwie ulubionego adiutanta ojca, pułkownika Borysa Majskiego, grałam w tenisa, uczyłam się na pamięć fragmentów „Pana Tadeusza” — utworu tak drogiego sercom Polaków jak „Eugeniusz Oniegin” jest dla Rosjan — i wykonywałam na pianinie wyłącznie utwory Chopina.

Panował upał i czułam dziwne rozleniwienie. Nocami leżałam, wsłuchując się w monotonne pluskanie wód zatoki o granitowe nabrzeże u stóp tarasowato opadającego ogrodu; usypiałam myśląc o nim. W snach widziałam tylko jego

i ojca, często jeden zamieniał się w drugiego. Dlatego wcale się nie przestraszyłam, gdy pewnej nocy otworzywszy oczy, ujrzałam go w szarym świetle letniej nocy, wpadającym przez otwarte okno balkonowe. Jak wyraźnie go widzę, jest jak żywy, pomyślałam. Lecz czemu jest w mundurze marynarskim? I czemu trzyma pelerynę?

Usiadłam na łóżku i podciągnęłam kołdrę pod samą brodę.

— Stefek! — Bo był to on, we własnej osobie. — Co ty tu robisz?

Bobik nawet nie zaszczekał, przyzwyczajony do niespodziewanych wizyt Stefka składanych mi w przeszłości. Stał z przekrzywionym łebkiem. Był równie zdumiony jak ja.

Stefek usiadł na brzegu łóżka i głaszcząc mego setera, powiedział:

— Przyszedłem po ciebie. Mój kuzyn Beresford wraz z kilkoma angielskimi kolegami czeka na nas na jachcie. Kapitan udzieli nam ślubu.

— Kapitan? Ślub? — Przeskok od fantazji do rzeczywistości był zbyt gwałtowny.

— To zupełnie legalne. Później, kiedy sprawa przycichnie, przejdiesz na katolicyzm i pobierzemy się w kaplicy naszego pałacu.

— A co będzie, jeśli sprawa nie przycichnie?

— Nie martw się, wszystko dobrze się skończy. Ojciec będzie się trochę wściekał, ale matka go udobrucha. Wuj Piotr nas zrozumie.

— Jak długo będziemy musieli... pozostać na jachcie?

— Dopóki będą tego wymagały okoliczności. To będzie nasz miodowy miesiąc.

Splotłam ręce wokół podkurczonych nóg i spróbowałam wyobrazić sobie miesiąc miodowy na jachcie; jak po kolacji siedzimy na rufie, trzymając się za ręce, i obserwujemy świetlisty ślad na wodzie, tak jak to często robiłam z ojcem na „Helenie”; jak idziemy na noc do naszej kajuty i... Wzięłam głęboki oddech.

— Nic z tego nie będzie, Stefku.

— Czemu?

— Bo złoży cię choroba morska. — Przyszła mi na pomoc proza życia. Stefek najwidoczniej nie był w nastroju do żartów.

— Taniu, tu chodzi o naszą przyszłość, a ty wynajdujesz jakieś dziecinne argumenty!

Wyobraziłam sobie, co odpowiedziałaby w takiej sytuacji moja imienniczka i zebrałam całą odwagę.

— To ty jesteś dziecinny, mój kochany, głupiotki Stefku. Nie możemy wyłazić nocą oknem i uciekać, jak to robiliśmy kiedyś. Nie jesteś już małym chłopczykiem.

— Racja, jestem mężczyzną. I mężczyzna nie może czekać dwa czy trzy lata na kobietę, którą kocha i której pragnie.

Poczułam rozkoszny dreszcz. Co będzie, jeśli mnie porwie?

Ale w porę odzyskałam zdrowy rozsądek.

— Nie wolno ci tak mówić. W ogóle nie powinno cię tu być. Nie powinieneś siedzieć na moim łóżku!

Wstał i polecił mi:

— Ubierz się i idziemy.

— Ubrania są w garderobie, a w pokoju obok śpi niania. W przedpokoju czuwa uzbrojony Fiodor. Jeśli cię tu znajdzie, toś już trup.

Niebezpieczeństwo nie powstrzymuje Zasławskich przed czynem.

— Przyniosłem pelerynę. Wystarczy, że włożysz szlafrok. Podał mi wiszący na krześle obok łóżka szlafrok. Pomyślałam, że lepiej będzie, jeśli wyjdę z pościeli.

— Odwróć się.

Kiedy posłusznie odwrócił się, wstałam, zarzuciłam na siebie szlafrok i uciekłam w najdalszy kąt sypialni. Stefek podszedł do mnie i podał mi pelerynę.

Cofnęłam się, wyciągając ręce przed siebie.

— Stefku, bądź rozsądny, przecież nie możemy tego zrobić! Pomyśl o swej matce, o ojcu, nie zapominaj, kim jesteś. Po czymś takim nigdy nie mógłbyś zostać królem Polski. To nie byłoby prawdziwe małżeństwo, a Jego Wysokość po prostu by wpadł w furję! Mógłby cię zesłać na Syberię... — mówiłam gorączkowym szeptem, podczas gdy coś w środku szeptało mi: Daj spokój! Zachowuj się cicho i pozwól mu zrobić to, czego chce.

— Nigdy! — zakrzyknął Stefek. — Polacy jak jeden mąż powstaną przeciwko rosyjskiej tyranii. Proszę cię, chodź ze mną. Jest to bowiem jedyny sposób, żebyśmy byli razem. Mam przeczucie, że jeśli nie zostaniesz moją żoną teraz, nie nastąpi to już nigdy. Nie uciekaj przede mną, moja najdroższa, nie skrzywdzę cię i nie pozwolę, by ktokolwiek inny cię skrzywdził — błagał, chodząc za mną po pokoju. Potknęłam się o fotel i na moment zamarłam ze strachu; nie bałam się porwania, ale tego, że mój kuzyn zostanie przyłapany w mojej sypialni. Stefek w jednej chwili znalazł się przy mnie. Spojrzał na mnie czule, błagalnie, a jednocześnie zdecydowanie.

— Nie bój się, moja prześliczna. — Okrył mi ramiona peleryną. — Jak ci w niej ładnie! Chodźmy, w łódce czeka na nas Kazik.

Nie byłam w stanie zrobić najmniejszego kroku.

— Jeśli w tej chwili nie wyjdiesz, zawołam służbę i będzie po tobie — skłamałam.

Mój kuzyn nie patrzył już na mnie czule i błagalnie.

— Wiedziałem, że nie pójdziesz ze mną dobrowolnie

— powiedział.

Z kocią zwinnością obrócił mnie w koło, jedną jedwabną chustką zawiązał mi usta, a drugą unieruchomił ręce na plecach, po czym z łatwością podniósł mnie do góry.

A więc porwie mnie, pomyślałam z ulgą.

Czułam się całkiem bezpiecznie w jego silnych ramionach.

Zrezygnowana zamknęłam oczy.

Nagle posadził mnie na krzesło i rozwiązał, a następnie padł na kolana i zaczął całować moje dłonie.

— Najdroższa, wybacz mi. Chyba straciłem rozum, że użyłem wobec ciebie siły! Czy sprawiłem ból tym ślicznym rączkom? Zawołaj na służbę, zasłużyłem na śmierć! — powiedział i przytulił swą wielką głowę do mych kolan.

Choć policzki mi płonęły, było mi zimno.

— Wszystko w porządku — wyszeptałam. Och, czemu mnie nie porwał?, spytałam w duchu, choć wzdrygałam się na samą myśl o tym. Mój słodki głupty, niby taki doświadczony, a tak łatwo dał się wyprowadzić w pole. Jak strasznie wyglądałeś przed chwilą, a jak niewinnie teraz, pomyślałam. Jaki jesteś romantyczny i nieobliczalny, jaki gwałtowny, a zarazem czuły! I ten twój głos, jest równie piękny co głos ojca.

Pogładziłam spoczywającą na mych kolanach głowę, z której zsunęła się śmieszna marynarska czapka. Miał jeszcze bardziej miękkie i jedwabiste włosy, niż to sobie wyobrażałam.

— Wciąż się kręca? — spytałam.

— Tak. Tracę okropnie dużo czasu, by je wyprostować

— uniósł komicznie wykrzywioną twarz. — Każdego ranka zwilżam je i nakładam na głowę siatkę.

Głaskałam go po włosach, po czole, po pełnych, gładkich policzkach. Potem położyłam dłonie na jego uszach. Były zimne, choć twarz miał gorącą. Mocno ujęłam go za głowę. Chciałam obsypać ją pocałunkami. Wtem usłyszałam jakiś ruch w pokoju obok.

— Idź już—powiedziałam. —Zdaje się, że wstała niania.

— Nie gniewasz się na mnie? — spytał. Potrząsnęłam przecząco głową.

— Czy poślubisz mnie, kiedy będzie to już możliwe? Skinęłam mu twierdząco.

— A teraz idź — powtórzyłam i odepchnęłam go lekko. Wstał i komicznie nasunął czapkę marynarską na jedno ucho. Następnie uroczyście zdjął mi z ramion pelerynę. Ceremonialnie podałam mu dłoń. Lecz nim zdążył ją pocałować, do pokoju wpadła niania.

Staneła jak wryta i ze zdumienia otworzyła usta. Rzuciłam się w jej stronę.

— Cicho... na miłość boską... nic się nie stało... zupełnie nic... daję ci słowo... nianiu... uwierz mi.

Piastunka odsunęła mnie i przechyliła głowę w białym, koronkowym, nocnym czepeczku.

— Ładne rzeczy, mój książę, odwiedzać narzeczoną o takiej porze, w takim miejscu, i do tego jeszcze w takim stroju. — Zmierzyła go od stóp do głów ironicznym spojrzeniem.

— Wiem, zrobiłem z siebie błazna, nianiu... przysięgam, że to się już nigdy nie powtórzy... błagam, byś o tym zapomniała, nie ze względu na mnie, tylko na księżniczkę — wyjąkał.

— Cóż, zobaczymy... to zależy. — Od twego zachowania w przyszłości, ostrzegał jej groźny wzrok.

Pod oknem rozległo się gwizdanie.

— To na mnie... czas już... do widzenia — powiedział Stefek, wybiegł na balkon i zeskoczył na ziemię.

Przycisnęłam ręce do piersi i wstrzymałam oddech, dopóki nie usłyszałam cichego plusku wioseł o wodę.

— Już jest bezpieczny. — Rozpięłam szlafrok i podałam go niani. — Jutro chcę wrócić do Petersburga. Powiedz Duni, by spakowała rzeczy. A teraz do łóżka, kochana nianiu.

Ale niania nie wyszłaby, nie zbesztawszy mnie uprzednio za moje zachowanie.

— Przestań — przerwałam jej. — Niepotrzebnie mi to mówisz. Sama wiem, co wypada, a co nie.

Leżałam z otwartymi oczami, przeżywając na nowo całą scenę, czując jego silne ramiona, którymi uniósł mnie niczym lalkę, jedwabistość jego miękkich włosów i ciepło różowej twarzy. W jego ramionach nie czułam wstydu. W tym niewinnym dziewczątku kryła się dzika Cyganka, nieobliczalna Tania, która zniszczyła szczęście swego ojca, która gotowa była zabić swą rywalkę Dianę. Żadne pokuty ani dobre uczynki nie uwolnią mnie od jej obecności. Jeśli nie będę trzymała swej Cyganki w szachu, pewnego dnia zwycięży. Kim wtedy będę? Jeszcze jedną uległą kobietą, zdaną na łaskę mężczyzny. Nawet Stefek przestałby mnie wtedy kochać. Nie mogę do tego dopuścić. Przygotowałam się na długą walkę. Podczas gdy ja pochłonięta byłam swą pierwszą miłością, nieubłaganie nadciągała wojna, której nikt nie chciał. System przymierzy — z jednej strony między Austro-Węgrami i Niemcami, a z drugiej między Serbią, Rosją i Francją — z chwilą zaangażowania w całą sprawę „honoru narodu” prowadził do nieuchronnej katastrofy. Jeszcze większą pułapkę stanowiła doktryna „obrony” — żaden kraj nie przyznałby się do chęci dokonania agresji.

Ojciec, który z autopsji znał słabe punkty Rosji, radził uzbroić się w cierpliwość i dążyć do pojednania ze zdecydowaną na wszystko Austrią, podjudzaną jeszcze przez Niemcy do przykładowego ukarania Serbii, sojusznika Rosji, za zabójstwo arcyksięcia Ferdynanda. 25 lipca 1914 roku odbyło się nadzwyczajne posiedzenie rady, na którym omawiano obraz-



liwe ultimatum Austrii wystosowane do Serbów. Podczas tego zebrania, któremu przewodniczył sam car, ojciec nie poparł decyzji skierowania ośmiu rosyjskich korpusów wojska nad granicę austriacką.

— Austria zamierza zaanektować Serbię i wcale się z tym nie kryje — powiedziała Grandmaman, kiedy ojciec skończył opisywać nam przebieg sesji. — Rosja się na coś takiego nie zgodzi. I całkiem słusznie. — Grandmaman podkreśliła swe słowa stuknięciem laski w podłogę. Siedzieliśmy *en familie* z Zasławskimi i Stefką w tym samym błękitnym saloniku, który stał się dla mnie pamiętny jako miejsce zadeklarowania uczuć przez mego kuzyna. Obecni byli również Wiera Kiriłowna i Kazik. Rozmawiano wyłącznie o polityce. Miłość, przepełniająca całą moją duszę, wydawała się uczuciem zupełnie zapomnianym przez resztę świata.

— Maman, Rosja nie jest w stanie odgrywać roli obrońcy braci-Słowian — powiedział ojciec. — Nie możemy walczyć jednocześnie z Austriakami, Niemcami i do tego najprawdopodobniej jeszcze z Turkami. Możemy tylko pertraktować i modlić się, by Austriacy ochłonęli z gniewu.

— Ale cóż takiego wstąpiło nagle w starego cesarza Franciszka Józefa? — spytała Wiera Kiriłowna tym specyficznym tonem, w którym zażyłość mieszała się z szacunkiem, a który zawsze przybierała, mówiąc o członkach królewskich rodów. — Przecież nawet nie kochał swego bratanka arcyksięcia Ferdynanda. Nigdy mu nie wybaczył morganatycznego małżeństwa z czeską hrabianką.

— Ani jego ciagotek liberalnych — dodał ojciec. — Jeden Bóg wie, czemu tym starym umysłem owładnęła jakaś utopijna idea odbudowania Cesarstwa Rzymskiego Narodu Niemieckiego! Natomiast nie ulega wątpliwości, że wokół Franciszka Józefa zgromadzili się podżegacze. A Prusy jeszcze ich podbechtują.

— To tylko szczerzenie zębów — zauważył flegmatycznie wuj Stach. — Austro-Węgry, ten kolos na glinianych

nogach, chce przykładowo ukarać Serbię ze względu na inne buntujące się mniejszości narodowe. To kryzys bałkański, a nie europejski, i nie należy się do niego wtrącać.

— Całkowicie się z tobą zgadzam, Stachu — powiedział ojciec. — Ale wśród naszych generałów jest wielu raptusów, którzy chcą się odegrać za klęskę, poniesioną w wojnie z Japończykami.

— Mam nadzieję, że car ich nie popiera — zauważyła ciocia Zofia. Mówiła jak zwykle z rozwagą, ale w jej głosie wyczułam niepokój.

— Jeśli Jego Wysokość zdoła przeforsować swoją wolę, za wszelką cenę będzie dążył do uniknięcia wojny. A czy wiecie — ojciec nieznacznie ściszył głos — że Griszka depeszował z Syberii, iż ta wojna byłaby dla Rosji zgubna? Tym razem jestem skłonny mu uwierzyć.

Zdumiało nas to napomknięcie ojca o Rasputinie.

— Bzdury! — oświadczyła Grandmaman. — Zawsze byłeś pesymistą, Pierre. Jeśli Rosja zostanie zmuszona do wojny, może się wreszcie opamięta. Skończą się te rewolucyjne nonsensy. Naszym robotnikom nigdy jeszcze nie powiodło się tak dobrze, a patrzcie tylko — strajkują! Wojna nas zjednoczy. Wojna wzmocni kręgosłup naszego społeczeństwa. — Pod warunkiem że będzie krótka i zwycięska. Lecz by tak się stało, nasi przywódcy musieliby odznaczać się twoją siłą i stanowczością, Maman. — Ojciec nieznacznie się uśmiechnął.

— Nie mówmy już o wojnie — poprosiła ciocia Zofia i poczułam, jak się wewnętrznie wzdrygnęła. — To zbyt straszne, Pierre, czy Anglia nie może nic zrobić, by zapobiec katastrofie?

— Może natychmiast dać światu do zrozumienia, że stanie po stronie Rosji i Francji — odparł ojciec. — Próbujemy wymóc to na sir George'u Buchananie — Sazonow, Paleoloque i ja.

— Ja też porozmawiam z sir George'em — obiecał wuj Stach. — Ale obawiam się, że Anglia nie zrobi nic, póki nic są zagrożone jej interesy państwowe.

— Wtedy może już być za późno! — zachnął się ojciec.

— No cóż, jeśli wojna jest nieunikniona, co stoi na przeszkodzie, by Rosja wzięła się w garść? — zapytał wuj Stach.

Jak łatwo mężczyznom rozprawiać o rzeczach niewyobrażalnych, pomyślałam. A Stefek? Popatrzyłam na jego zawziętą twarz, a potem na niemal identycznie zawziętą twarz Kazika. Tak, są gotowi. Wprost palą się, by okazać męstwo.

— Poczynając od 1905 roku, Anglia i Francja wpompowały miliony w gospodarkę Rosji — ciągnął wuj Stach. — Nastąpił gwałtowny rozwój przemysłu. Rosjanie są wspaniałymi inżynierami. Fabryka Sikorskiego wywarła na mnie głębokie wrażenie.

— Jest rzeczywiście imponująca — powiedział Stefek.

— Zgadza się — szybko przyznał mu rację Kazik i zaczerwienił się. Jacy obaj są gwałtowni i śmieszni, pomyślałam z czułością. Muszę namówić Stefka, by nauczył mnie latać. Ojciec znów zabrał głos i wszyscy z uwagą słuchaliśmy jego słów.

— Rosja — mówił ojciec — mogłaby być bogata i silna, mogłaby zostać pierwszą potęgą świata. Posiada surowce! Ma zdolnych ludzi. Ma serce. Ale nic z tego wszystkiego nie wychodzi. Tkwi w niej jakaś mroczna siła, siła samozagłady. Nie potrafię tego jaśniej wyrazić.

— Ja to rozumiem — powiedziałam. We mnie również tkwiła taka mroczna siła. Może tkwi ona we wszystkich istotach ludzkich i zostaje wyzwolona podczas wojen? Nagle poczułam, że wojna jest nieunikniona. I kiedy tak patrzyliśmy na siebie, zrozumiałam, że wszyscy myślimy to samo.

Nazajutrz na budynkach urzędowych zostały wywieszane obwieszczenia o częściowej mobilizacji. Przed redakcjami gazet „Nowyje Wrcmia” i „Gazette” gromadziły się tłumy ludzi.

Serbia pokornie przyjęła postawione przez Austrię warunki, prócz najbardziej bezczelnego; zaproponowała, by sprawę rozstrzygnął Trybunał Międzynarodowy w Hadze. Jej wniosek został odrzucony i 28 lipca Austro-Węgry wypowiedziały Serbii wojnę. Następnego dnia zbombardowano Belgrad, stolicę Serbii.

Ojciec powiedział, że car z własnej inicjatywy wystosował osobistą prośbę do „kuzyna Willie'ego” — cesarza Wilhelma — by powstrzymał swego austriackiego sojusznika, cesarza Franciszka Józefa. W odpowiedzi kajzer zaapelował do „kuzyna Nicky'ego”, by przerwał mobilizację w Rosji. Obaj kuzyni wspólnie polowali podczas oficjalnych wizyt państwowych i prowadzili ożywioną korespondencję na temat takich błahostek, jak krój mundurów żołnierskich, wzory odznaczeń i tym podobnych drogich im obu zagadnień. Żaden nie wierzył, że ten drugi wyruszy na wojnę.

Car, mając poparcie ojca, odwołał dekret o powszechnej mobilizacji. Ale minister spraw zagranicznych Sazonow, minister wojny generał Suchomlinow i szef sztabu Janusz-kiewicz wymogli na chwiejnym władcy uchylenie decyzji odwołującej mobilizację.

1 sierpnia ambasador Niemiec, hrabia Pourtales, przedłożył Sazonowowi dokumenty wypowiadające wojnę, i zalał się łzami. Rozpoczęła się I wojna światowa.

2 sierpnia Mikołaj i Aleksander uczestniczyli w uroczystym „Te Deum” w Pałacu Zimowym. Car powtórzył przysięgę złożoną przez jego przodka Aleksandra I podczas najazdu wojsk napoleońskich, że nie zawrze pokoju, dopóki na rosyjskiej ziemi zostanie choćby jeden obcy żołnierz. Po udzieleniu błogosławieństwa wielkiemu księciu Mikołajowi Mikołajewiczowi, nowo mianowanemu naczelnemu wodzowi armii, cesarz i cesarzowa wraz z dziećmi przeszli wzdłuż galerii św. Jerzego. Zgromadziła się tu licznie arystokracja w strojach galowych, pragnąca dać wyraz lojalności wobec władców, którzy od tak dawna byli im niechętni.

Aleksandra zatrzymała się przed moją imponującą babką, wodzącą rej wśród pogardzających cesarżową wyższych sfer. Tym razem w ognistym spojrzeniu Grandmaman nie było krytyki, lecz pełna lojalność.

Aleksandra przeszła dalej w swej sztywnej brokatowej sukni, obwieszona klejnotami. Jej wyniosła i cierpiętnicza mina nie wywoływała odruchu niechęci; odzwierciedlała raczej powszechnie panujący niepokój.

Powaga i spokój, malujące się na dobrodusznym obliczu cara, wiara, bijąca z jego łagodnych oczu, poruszyły nawet jego najbardziej zagorzałych przeciwników. Nikt nie pozostał obojętny podczas przejścia Ich Wysokości. Skłoniłam się przed moim władcą i ojcem chrzestnym z czcią i miłością, bo również mnie udzielił się podniosły nastrój.

Unosząc wzrok, napotkałam spojrzenie mej imienniczki, która popatrzyła na mnie długo i wymownie.

Za Boga, za Ojczyznę, za Cara — powtarzałam w duchu słowa żołnierskiej przysięgi. *Za Boga, za Rodinu, za Caria*. Za to wszystko gotowa jestem oddać życie, moja najdroższa Taniu, mówiło moje spojrzenie.

Wiem, odpowiedział mi jej wzrok.

Gdy tłum ruszył w ślad za monarchami — mistrzowie ceremonii z trudnością powstrzymywali ludzką falę — Tatianie Nikołajewnie udało się uścisnąć moją dłoń. Jej szczupłe palce były tak samo zimne jak moje. Nigdy jeszcze nie przeżywałyśmy tak silnie niewypowiedzianych emocji. Jak nigdy dotąd czułam, że stanowiłyśmy jedność.

Po przejściu wzdłuż zatłoczonej galerii władcy dotarli do balkonu wychodzącego na rozległy Plac Pałacowy, czarny od tłumów trzymających flagi i kościelne chorągwie. Ludzie zebrali się tu spontanicznie. Wśród nich byli ci sami robotnicy, którzy przed ogłoszeniem dekretu o mobilizacji strajkowali. Na widok monarchy dziesięć tysięcy ludzi padło na kolana i zaśpiewało „Boże, chroń cara”. Ten potężny głos ludu, który słychać było również w pałacu, zwiększył jeszcze powagę chwili. Rosja stanowiła jedność: władca, arystokra-

cja i lud zjednoczyli się we wspólnej walce Słowian przeciw Teutonom. Imperium Rosyjskie osiągnęło swoje apogeum.

Doborowe pułki gwardii maszerowały wzdłuż prostych jak strzała perspektyw Sankt Petersburga — nazywanego teraz z rosyjska Piotrogradem — witane okrzykami tłumów, błogosławieństwami starszych kobiet, całusami młodych i łzami wszystkich. Pociągi przewoziły je do Wschodnich Prus, do zdradzieckich trzęsawisk Tannenberg i Soldau. Drogi prowadzące na zachód drżały podczas całodziennych przemarszów żołnierzy w płaskich czapkach, w długich bluzach wypuszczonych na wierzch spodni, ze zrolowanymi niczym dętki płaszczami wokół ramion. Za nimi z turkotem jechały działa artyleryjskie, pociągi towarowe i sanitarne, kuchnie polowe, pojazdy kwatermistrzowskie, angielskie i francuskie ciężarówki oraz zaprzęgnięte w konie wozy wszelkiego typu.

Podczas gdy armia maszerowała na zachód, przez stolicę przeciągały dzień w dzień procesje z obrazami świętych, portretami cara, flagami francuskimi, angielskimi i rosyjskimi. Tłumy splądrowały ambasadę Niemiec. Rozwój uczuć patriotycznych wywołał podejrzliwość wobec wszystkich osób pochodzenia niemieckiego i nasilenie prześladowań Żydów, których *ipso facto* uważano za szpiegów. Zastępowano nawet niemiecko brzmiące nazwy ich odpowiednikami rosyjskimi. Cesarskim dekretem zabroniono sprzedaży napojów alkoholowych.

Arystokracja, wciąż pod wrażeniem sceny w Pałacu Zimowym, zamieniała pałace w szpitale. Szlacheckie córki zapisywały się na kursy dla sanitariuszek. Grandmaman natychmiast zarządziła prace adaptacyjne w naszym *osobniaku*. Wspierała również swym talentem organizatorskim Czerwony Krzyż. Tutaj, jak zresztą wszędzie, wzniosłe intencje współzawodniczyły z niespotykanym chaosem. Kupcy wywieszali flagi i podnosili ceny. Do głosu dochodziły uczucia najwznioślejsze i najniższe, najbardziej egoistyczne i najbardziej altruistyczne. Ale na razie na ogół przeważały te pozytywne.

Ojciec ubłagał cara, by zwolnił go ze stanowiska ministra bez teki, na którym czuł się teraz ubezwłasnowolniony. Naczelnym wódz powierzył mu dowództwo kawalerii. W pierwszym tygodniu sierpnia ojciec wyruszył wraz ze swymi oddziałami do Galicji.

Kilka dni później wyjechali również Zasławscy. Car powiedział wujowi Stachowi, że przygotowany jest manifest wielkiego księcia Mikołaja Mikołajewicza, z którego Polacy dowiedzą się, iż po zwycięstwie nad wspólnym wrogiem ich kraj uzyska autonomię. Wuj osobiście zobowiązał się do utworzenia oddziałów ochotników spośród ziemian i chłopów zamieszkujących okolice Zasławia. Car wyraził zgodę na reaktywowanie pułku ułanów zasławskich, którym dowodzić miał wuj Stach. Stefan i Kazimierz zaczęli szykować się do służby w pułku; rozpoczęli ćwiczenia w koszarach garnizonowych z Zasławiu, oddanych na kwatery pułku. Ciocia Zofia zamawiała sprzęt niezbędny do przekształcenia pałacu Zasławskich w szpital. Miałam do niej wyjechać po ukończeniu osiemnastu lat.

Ponieważ szpital Grandmaman mógł być gotowy nie wcześniej niż za kilka miesięcy, zaczęłam praktykę jako siostra Czerwonego Krzyża w Szpitalu Maryjskim.

Pod koniec sierpnia 1914 roku młodzieńcy z pułków gwardii, którzy tak niedawno maszerowali ulicami Piotrogradu, zaczęli wracać pociągami sanitarnymi. Dziewczyny, które tak radośnie ich żegnały, ubrane w sukienki z organdy i kapelusze ozdobione kwiatami, czekały teraz na peronach w szarych fartuchach i białych czepeczkach pielęgniarek-ochotniczek

Nim nastał wrzesień, entuzjazm ustąpił miejsca smutkowi i zwątpieniu. Zdobyć Lwowa 2 września 1914 roku nie mogło zrównoważyć klęski pod Soldau i Tannenbergiem, gdzie rozbita została dumna gwardia cesarska, kwiat armii rosyjskiej i arystokracji. Wielu z tych, którzy przeżyli, zginęło później w bitwie mazurskiej. Utalentowany brat Igora, Oleg Konstantynowicz, został śmiertelnie ranny. Sam Igor ledwo uszedł z życiem, próbując wyciągnąć z grzęzawiska konia.

Cała rodzina cesarska zapomniała o waśniach, by opłakiwać młodego księcia-poetę. Grandmaman pogrzyżała się wspólnie z wielkim księciem Konstantym w takim smutku, jakby Oleg był jej krewnym. Dla mnie samotna śmierć mojego towarzysza zabaw z czasów dzieciństwa, która dosięgnęła go w drodze do domu, była pierwszą stratą, dotyczącą mnie osobiście podczas tej wojny.

Jak zmieniona, jak dojrzała i pełna melancholii była twarz mojej imienniczki w blasku świecy trzymanej podczas długich uroczystości żałobnych. Czy rozpaczała jedynie nad miłym kuzynem, którego mniej знаła ode mnie, czy też opłakiwała swoje dziewczęce lata, które minęły, nic dając jej



okazji poznania własnego księcia-żołnierza, o którego mogłaby się martwić i o którym mogłaby śnić?

Pod koniec września Turcy zamknęli Dardanele, jedyną drogę całorocznych dostaw dla armii francuskiej i brytyjskiej. W listopadzie Turcja wypowiedziała wojnę i Rosja stanęła przed koniecznością walki na dwa fronty. Już wtedy zaczęły się problemy z bronią i amunicją. Pod koniec roku załamała się nasza ofensywa w Galicji. Niemcy odzyskali Prusy Wschodnie. Dowódcy oddziałów frontowych otrzymali rozkaz, by oszczędzać amunicję. Nowi rekruci ćwiczyli na Placach Marsowym i Pałacowym z kijami zamiast karabinów. Pogłoski o zdrajcach, zajmujących wysokie stanowiska, i łapownictwie w Ministerstwie Wojny wzmogły społeczne niezadowolenie wywołane brakami w zaopatrzeniu armii. Związek narodu z panującym okazał się krótkotrwały.

Dla mnie był to okres całkowitego przeobrażenia. Wyzwoliliłam się z głębokiego egocentryzmu i wydorosłałam. Całe moje dotychczasowe życie aż do dnia wybuchu wojny wydało mi się nagle dziecinną zabawą. Teraz nikt nie miał prawa do życia osobistego. Nawet moja miłość, to zaborcze, pełne zazdrości uczucie, które najpierw żywiłam do ojca, a potem do Stefana, zmieniła się w obliczu powszechnego cierpienia. Nie chcę powiedzieć, że kochałam Stefka mniej; kochałam go głębiej i nie tak egoistycznie. Ale okazało się, że potrzebne jest teraz również inne uczucie: miłość do wszystkich cierpiących, bez względu na to, czy byli to Rosjanie, Niemcy, Austriacy czy Żydzi. Nie odczuwałam tej miłości, ale zastąpiłam ją poświęceniem. Od tej chwili nie służyłam przede wszystkim Rosji czy memu władcy, mej klasie czy nawet rodzinie. Służyłam przede wszystkim tym, którzy mnie najbardziej potrzebowali. Oszczędzono mi jako wnuczce protektorki i przewodniczącej zarządu Szpitala Maryjskiego przyziemnych posług zleczanych na ogół praktykantkom — czynności uważane za

zbyt pospolite dla dobrze urodzonych kobiet wykonywali pomocnicy medyczni — sanitariusze. Ale zarówno babcia, jak i ja nalegałyśmy, by traktowano mnie jak innych.

Słałam łóżka zgodnie ze szpitalnymi przepisami, kąpałam pacjentów i podawałam im baseny. Ciało i jego funkcje nie wywoływały we mnie wstrętu. Mój sprzeciw budził gwałt zadawany człowiekowi przez narzędzia wojny. W każdym rannym młodym oficerze, którym się opiekowałam, widziałam Stefka, i całą duszą oraz sercem buntowałam się przeciw wojnie.

Ponieważ byłam zdolna i niewrażliwa na widok krwi, wkrótce zaczęłam pomagać przy opatrunkach. Kiedy po raz pierwszy przecinałam przesiąknięty dziesięciodniową ropą bandaż na plecach młodego kawalerzysty, nie dostałam mdłości jak inne nowicjuszki, czując odór gazów gnilnych. Przypatrywałam się. Zadawałam pytania. Szybko nauczyłam się zakładać dreny i robić zastrzyki.

Wkrótce mogłam zastępować siostrę przełożoną i lekarza. Dzięki otrzymanemu wychowaniu przygotowana byłam do panującej w szpitalu hierarchii i dyscypliny, a dzięki znajomości stosunków w armii — do nieudolności i przesadnego przywiązywania wagi do rzeczy nieistotnych. Posłusznie wykonywałam niepotrzebne polecenia, dopóki nikomu nie wyrządzały szkody, i skrupulatnie przestrzegałam nieistotnych zarządzeń. Przy pacjentach zachowywałam pogodę ducha, choć serce pękało mi z bólu. Byłam miła nawet wobec najbardziej niesympatycznych członków personelu. Dzięki swej postawie zyskałam uznanie jeszcze szybciej niż dzięki umiejętnościom i tylko niespełna dwa miesiące zajmowałam podrzędną pozycję.

Kiedy siostra przełożona zachorowała na gripę, przejęłam jej obowiązki. Sporządzałam karty chorych, wydawałam lekarstwa z zamykanej na klucz szafki i wydawałam polecenia starszym od siebie pielęgniarce. Przebywanie od najwcześniejszego dzieciństwa w otoczeniu służby okazało się teraz bardzo cenne. Nauczyło mnie wydawania poleceń tak, jakby to nic były polecenia, i zdobywania posłuchu u innych.

Mimo że byłam bardzo potrzebna w szpitalu, otrzymałam tydzień urlopu na Boże Narodzenie. Właśnie wracałam z naszej daczki, którą przekształcono w ośrodek rekonwalescencyjny dla żołnierzy, kiedy ujrzałam dżentelmena z czarną kowadką, idącego drobnymi, szybkimi kroczkami nadbrzeżem wzdłuż Wielkiej Newy na Wyspie Wasilewskiej. Poleciłam, by zatrzymano sanie i zawołałam na niego. Profesor Holweg odwrócił się niechętnie, lecz kiedy mnie zobaczył, na jego twarzy pojawił się nadspodziewanie sympatyczny uśmiech.

— Panie profesorze, co u pana słyszeć? — spytałam, gdy mój były nauczyciel usadowił się już obok mnie w saniach i okrył niedźwiedzim futrem.

— A cóż może być słyszeć, Tatiano Pietrowno? Czy istnieje coś, z czego człowiek inteligentny i myślący może czerpać satysfakcję w tych czasach zbiorowego lunatyzmu i głupoty?

— Wiem, że bardzo ciężko pan pracował. Jego Wysokość niezwykle pochlebnie wyrażał się o pańskich osiągnięciach.

— Tak, mam swój wkład w tę rzeź. Jako poddany cara, nie miałem wyboru.

— Myślałam, że po audiencji u Jego Wysokości czuje pan sympatię do naszego władcy.

— Przyznaję, że miło odebrałem skromność i brak wyniosłości cara. Ale nie potrafię pogodzić obrazu tego sympatycznego, choć może niezbyt inteligentnego człowieka, z ohydny traktowaniem ludności żydowskiej na terenach objętych działaniami wojennymi: tysiące deportowanych w bydłych wagonach w ciągu dwudziestu czterech godzin od powiadomienia o wysiedleniu, zbiorowe egzekucje tak zwanych szpiegów, wyrzucanie ze szpitali żydowskich rannych...

— Profesorze, co też pan mówi!

— Wiem, co mówię, Tatiano Pietrowno! Jestem przewodniczącym komitetu pomocy dla Żydów, chociaż nie znoszę żadnych komitetów... Doskonale wiem, co mówię.

— Ależ to okropne! Poinformuję o tym w Carskim Siole. Jestem pewna, że Jego Wysokość nic nie wie. To jedynie ciemni funkcjonariusze policji i wojska dopuszczają się tak strasznych rzeczy.

— Przykro mi, Tatiano Pietrowno, ale Mikołaj II jako car-samowładca odpowiada za wszystkie zbrodnie popełniane w Rosji.

— Papa mówi, że Rosją rządzą biurokraci, a nie car.

— Sam dobiera sobie ludzi. Wygląda na to, że preferuje najbardziej skorumpowanych i niekompetentnych.

Słyszałam podobne opinie we własnym środowisku.

— Jego Wysokość wierzy, że jest jedynowładcą z woli Boga — powiedziała bez przekonania. Wątpiłam, by Bóg zawracał sobie głowę formami rządów.

Jedynowładztwo w dwudziestym wieku to anachronizm. Car, który nie potrafi tego zrozumieć, nie ma prawa rządzić nowoczesnym państwem. Nie przeszkadzało mi, że nazwał mego władcę i ojca chrzestnego głupcem.

— Widzę, że dopuściłem się *lese majeste* — zauważył profesor Holweg i pochylił się, chcąc dać znak Gierasimowi, by zatrzymał sanie.

— Nie, profesorze. — Położyłam mu dłoń na ramieniu. — Wiem, że wcale nie jest pan taki, jak można by sądzić po pańskich słowach. Wydaje mi się jednak, że stał się pan zwolennikiem rewolucji.

— To nieprawda, Tatiano Pietrowno. Po prostu wyciągam logiczne konkluzje z obserwacji rzeczywistości. I doszedłem do wniosku, że rządy carskie muszą upaść.

— Lecz czym można je zastąpić, profesorze?

— No właśnie, Tatiano Pietrowno. Alternatywą jest chaos lub komunizm. Ale to jedynie świadczy o ciemnocie ludzi, których ukształtowała carska władza.

Często słyszałam, jak lud rosyjski nazywano ciemnym. Dla mnie ten lud to była niania, Fiodor, Gierasim i inni im podobni, których znałam od dzieciństwa. I chociaż nic umieli

czytać, potrafili robić uwagi równie sarkastyczne i trafne jak te, które wypowiadał profesor Holweg. Profesor nie znał ani nie kochał rosyjskiego ludu. Czy kochał rodaków swej matki?

— Nie darzę Żydów większym uczuciem niż przedstawiciele innych narodów — odparł. — Ale oni też mają prawo do sprawiedliwości i równouprawnienia. Jeśli im się tego odmawia, ich zemsta może się okazać straszna. Być może na tym świecie nie istnieje coś takiego jak sprawiedliwość, Tatiano Pietrowno, ale na pewno istnieje okrutna i niezachwiana żądza odwetu.

— Wierzę, że tak jest — zgodziłam się. — Ale wierzę również w sprawiedliwość.

— Mam nadzieję, że nigdy nie będzie miała pani powodu, by w to zwątpić. — Uśmiechnął się i zaczął mnie wypytywać po niemiecku o pracę w szpitalu.

— Lubię to, co robię. Dzięki pracy czuję się naprawdę kimś, a nie wyłącznie jakąś malowaną szlachecką córką. Dużo się uczę, choć nie tyle, ile bym chciała. Pielęgnowanie chorych to dość nieskomplikowane zajęcie.

— Podobnie jak cała medycyna, chociaż w chirurgii powinien nastąpić teraz znaczny postęp. Wojna stanowi ogromny bodziec do rozwoju nauki i techniki. — Profesor maskował sarkazmem swe oburzenie. Lecz jego gniew był tylko wytworem umysłu. Nie był świadkiem tak jak ja agonii rannych, ich obaw przed operacją, strachu przed śmiercią.

— Uważam, że to wstrętne! — odparłam. — Nie widzę żadnego usprawiedliwienia dla tego powszechnego znęcania się i rzezi. — Z przerażeniem spojrzałam na swego byłego nauczyciela.

— Ani ja, Tatiano Pietrowno — powiedział innym tonem. — *Es ist ein Unsinn.* To bezsens.

Jaki dobry z niego przyjaciel! Jak swobodnie możemy sobie rozmawiać!, pomyślałam.

— Nie boi się pan mówić w miejscach publicznych po niemiecku, *Herr Professor!* — spytałam go. — *Es ist doch verboten.*

— To śmieszne! Jeszcze trochę, a cesarski ukaz zabroni słuchania Bacha i Beethovena, podobnie jak zakazał pić wódkę. Nacjonalizm jest równie absurdalny, jak i auto-kratyzm, lecz jeszcze bardziej niebezpieczny. Póki on istnieje, wojny są nieuniknione. Napawa mnie to pesymizmem. Ale ogromnie się cieszę, że znów panią ujrzałem.

Skręciliśmy w Quai Anglais i mój towarzysz wysiadł.

— Było mi bardzo miło pana spotkać — powiedziałam, gdy na pożegnanie uchylił swą czapkę z astrachanu. — Niech Bóg ma pana w swej opiece.

Za zgodą Grandmaman nasz zarządca wysłał do komitetu pomocy dla Żydów profesora Holwega czek na pokaźną kwotę. A przy okazji mojej następnej wizyty w Carskim Siole powtórzyłam Tatianie Nikołajewnie i Oldze to, o czym opowiedział mi mój były nauczyciel.

— To niedopuszczalne! — Oczy Olgi błyszczały. — Natychmiast powiem o tym papie!

— Nie, Oleńko, poczekaj. — Tatiana Nikołajewna powstrzymała swą impulsywną siostrę. — Porozmawiajmy najpierw z mateczką. Papa... tatko ma teraz na głowie tyle spraw.

Czy w tym niezdecydowaniu Tani kryła się aluzja do sposobu zachowania się jej ojca, który nie chciał widzieć najwstrętniejszych aspektów imperialnej Rosji? Mój ojciec wspominał często o dziwnej obojętności naszego władcy w obliczu katastrofy — na przykład podczas nieszczęsnej koronacji, po klęsce w Port Arthur i Cuszimie, „krwawej niedzieli” — oraz jego fatalistycznej rezygnacji w obliczu cierpień poddanych. Stało to w takiej sprzeczności z dobrotliwą postacią cara, jaką znały jego dzieci, aż wydawało się nieprawdopodobne. Jednak Tania widocznie się czegoś domyślała. I dlatego uznała, że prędzej matka zareaguje z głębi serca.

Cesarzowa ostro potępiała prześladowania mniejszości narodowych, które jeszcze się nasiliły podczas wojny. Nawet Fricdrichsy — sędziwy i oddany marszałek dworu pochodze-

nia niemieckiego — nie uchronił się przed złośliwymi atakami. Aleksandra obiecała, że osobiście zbada sprawę traktowania Żydów na terenach objętych wojną, a inne problemy przedstawi Jego Wysokości. — Mateczko, jesteś wspaniała! — zawołała Olga i ucałowała ją, a potem Tanię.

Jeszcze raz musiałam z całym sercem się z tym zgodzić.

Na początku 1915 roku mogłam się przenieść do naszego własnego szpitala. Tutaj nie można było odmówić memu życzeniu (Grandmaman nazwała je fanaberią), by pozwolono mi spróbować swych sił na sali operacyjnej. Lubiłam tę asceptyczną czystość i ciszę. Lubiłam dotykać lśniących instrumentów, tak precyzyjnych, tak dobrze układających się w dłoni; instrumentów, które miały nieść ulgę, a nie wywoływać ból. Kiedy podawałam je chirurgowi, przyglądałam się uważnie i zadawałam pytania. Moje studia anatomiczne okazały się bardzo przydatne. Odkryłam, że nie tylko sprawdzam swoje podstawowe wiadomości, ale gromadzę wiedzę, która przyda mi się w przyszłości, gdy zostanę chirurgiem.

(Nie byłam pewna, jak przyszły Rex Poloniae zareaguje na fakt posiadania żony-chirurga, i nie wspominałam o swych planach w listach do Stefka. Uważałam, że problem ten sam się rozwiąże, kiedy nadejdzie właściwa pora.)

Dzięki pracy na sali operacyjnej przekonałam się, jak duże znaczenie ma anestezja. Uświadomiłam sobie, że najwięcej dobrego mogę zdziałać, pracując jako pielęgniarzka-anestezjolog w szpitalu polowym.

Postanowiłam, że gdy tylko Stefek ukończy przyśpieszone szkolenie oficerskie, dołączę do niego na froncie. Zainteresował się moją pasją do medycyny główny anestezjolog, profesor uniwersytetu, dobry znajomy Aleksandra Holwega. Zgodził się udzielić mi kilku wskazówek z tej dziedziny. Asystując mu przy mniej skomplikowanych operacjach, nauczyłam się podawać pacjentom podtlenek azotu, a następnie któryś z anestetyków — chlo-

rek etylu, chloroform lub eter. Nauczyłam się, kiedy i ile podawać tlenu. Moi pacjenci nie stawiali oporu podczas pierwszej fazy znieczulania, więc chirurdzy lubili ze mną pracować.

W szpitalnej hierarchii pielęgniarce operacyjne zajmowały najwyższą pozycję. Powierzenie młodej dziewczynie takich obowiązków i okazywanie jej większego uznania niż starszym pracownikom doprowadziłoby w normalnych warunkach do otwartego konfliktu i rozłamów. Dopiero dzięki pewnemu wydarzeniu zdałam sobie sprawę z tego, że jestem traktowana inaczej niż reszta personelu.

Podczas *debridement* rany na biodrze ze znieczuleniem miejscowym pacjent poprosił o wodę. Moim obowiązkiem było obserwowanie chorego i uspokajanie go. Zauważyłam jego niepokój i poprosiłam, by dano mu łyk wody. Ale młody chirurg ze Szwecji (wszyscy rosyjscy specjaliści w jego wieku zostali zmobilizowani) stwierdził, że pacjent może poczekać, bo za kilka minut kończymy zabieg.

Spojrzałam na rannego. Powtórzył „Wody!”, a w jego spojrzeniu malowało się cierpienie. Pomyślałam, że dla niego „kilka minut” może oznaczać bardzo długi czas. „Za pozwoleniem, panie doktorze” — powiedziałam i podałam pacjentowi wodę.

Po oczyszczeniu i zaszyciu rany, chorego zabrano na salę. Sprzątałam gabinet, kiedy dobiegły mnie słowa chirurga wypowiedziane po angielsku do lekarza dyżurnego.

— Chcę, by ukarano tę zuchwałą dziewczynę o wielkich oczach! Wiecie, jak się nazywa?

— To Tatiana Pietrowna, księżniczka Siłomirska, mój druha. Jej babka wypłaca nam pensje.

— Och! — powiedział służbista. Nigdy już go nie widziałam ani o nim nie słyszałam.

— Była siostra tak dobra i dała mi wody — powiedział mój pacjent, gdy zajrzałam do niego jakiś czas później. — Mam nadzieję, że nie miała siostra przeze mnie nieprzyjemności.



Pacjenci znali mnie jako siostrę Tatianę.

— Najmniejszych — uśmiechnęłam się.

Czułam, że zachowałam się właściwie i drugi raz w podobnej sytuacji postąpiłabym identycznie. Jednak zdałam sobie sprawę ze swej wyjątkowej pozycji i tym goręcej zapragnęłam zakosztować prawdziwej pracy na froncie.

Kiedy nie pełniłam dyżurów, chodziłam razem z personelem medycznym na wykłady i filmy dotyczące leczenia ran, studiowałam *materia medica*, pisałam listy do Stefka i ojca oraz z nowym zapalem oddawałam się grze na pianinie — w ten sposób dawałam upust swoim buntowniczym nastrojom i uczuciom. Innym potrzebnym ujściem dla rozpiekającej mnie energii okazały się ćwiczenia fizyczne. Zadziwiłam personel szpitala i domowników, skacząc na dziedzińcu przez skakankę. Zrealizowałam też swoje dziecięce marzenie: bawiłam się w śnieżki z Mitką, synem stróża, który nie osiągnął jeszcze wieku poborowego. Korzystałam z każdej okazji, by wymknąć się z Fiodorem do lasów otaczających naszą daczę, gdzie mogłam pojeździć konno i postrzelać. Fiodor nie nadawał się do wojska, bo był za wysoki. W związku ze zmobilizowaniem większości służby, stał się dla Grandmaman niezastąpiony.

Choć była pora karnawału, rzadko wychodziłam, z wyjątkiem wypraw na koncerty. Przyjęcia na drugim piętrze naszej rezydencji, które pozostawiono na nasz prywatny użytek, ograniczały się teraz do wąskiego kręgu znajomych. Moja obecność nie była już teraz potrzebna podczas dni, gdy Grandmaman przyjmowała wizyty, ale od czasu do czasu razem z Wierą Kiryłowną i Zinajdą Michajłowną zasiadałyśmy do partyjki brydża.

Moja była *educatrice* nie traktowała mnie już jak dziecko, choć każdym gestem i spojrzeniem dawała wyraz swej dezaprobaty w przypadku mego niestosownego zachowania. Nosila teraz szarości zamiast brązów i beżów i ukrywała swój wybujały temperament pod maską odpowiedniej w tych okolicznościach powagi. Bez przerwy mówiła o „rycerskiej

brawurze" i „poświęceniu walczących" za czasów poprzedniej cesarzowej Marii Fiodorowny, dając nam do zrozumienia, że tamta brawura i poświęcenie znacznie przewyższały te, które okazywane są za panowania obecnej cesarzowej.

Zinajda wszystkie myśli poświęcała swojemu synowi-szaławile, przebywającemu na froncie. Podskakiwała za każdym razem, gdy dzwonił telefon, i ilekroć lokaj przynosił Grandmaman jakieś depesze, bała się, że dostanie telegram zawiadamiający o śmierci Koleńki. Nie sprzeciwiała się już podstępny atakom Wiery Kiryłowny na Aleksandrę.

Grandmaman w zależności od nastroju albo nie zwracała na nią uwagi, albo dodawała jakąś sarkastyczną uwagę od siebie, albo mówiła Wierze Kiryłownie, by zamilkła.

— Spójrzcie tylko na nas, prawdziwe „pietrogrodzkie brydżystki" — Wiera Kiryłowna zacytowała dokładnie zwrot używany przez Aleksandrę (zastanawiałam się, jakim cudem wiedziała, co się mówi i robi w dalekim Carskim Siole). — Do tego dwie z nas — miała na myśli Grandmaman i siebie — to moskwianki! Czyli jesteśmy zarazem częścią *clique de Moscou* — przytoczyła drugi ulubiony zwrot cesarzowej. — Nie obawiasz się, droga Anno Władimirownno, że „ten człowiek" — zrobiła znaczącą pauzę — wbija szpilki w nasze podobizny i rzuca na nas urok? — Hmmm — mruknęła Grandmaman, bijąc asa Wiery Kiryłowny. Trudno było powiedzieć, czy jest zła, czy rozbawiona.

— Nie wiem, kogo masz na myśli — powiedziała Zinajda Michajłowna, z roztargnieniem spoglądając w stronę drzwi.

— Tego syberyjskiego czarownika. Jak można być tak nieorientowaną? Uważaj, jak grasz, Zinajdo. Przykro mi, twoje pas na nic się zdało. — Wiera Kiryłowna przykryła i zabrała moją kartę. — Tatiana Pietrowna woli udawać, że „ten człowiek" nie istnieje. Musiałam odwrócić jej uwagę od gry — powiedziała do Grandmaman.

— Zamilknij i graj, Wiero Kiryłowno — burknęła babcia po rosyjsku. Innym razem, po wstępnych uwagach o tej „prawdziwej rosyjskiej patriotce” i „szczerzej przyjaciółce naszych dzielnych żołnierzy”, Jej Wysokości Marii Fiodorownie, Wiera Kiryłowna oświadczyła:

— Teraz, kiedy Kokowcow został zdymisjonowany za to, że odważył się prosto w twarz Jego Wysokości wypowiadać przeciw „temu człowiekowi” — miała na myśli odwołanie premiera — można się spodziewać dymisji naszego ukochanego naczelnego wodza. Wielki książę Mikołaj Mi-kołajewicz nigdy nie krył swej pogardy dla „tego człowieka”. Pewna „wysoko postawiona dama” — domyśliłyśmy się, że chodzi o Aleksandrę — zaczęła go ostatnio jeszcze bardziej nienawidzić niż naszą drogą Marię Pawłownę. Tak żałuję, że nie mogłam być podczas jej dzisiejszej wizyty w naszym szpitalu. Czy powitałaś Jej Cesarską Wysokość, Tatiano Pietrowno?

— Byłam zajęta na sali operacyjnej — powiedziałam, nie unosząc wzroku. Nawet lubiłam Marię Pawłownę. Ale wizyty składane przez różne osobistości wprawiały mnie w zakłopotanie. Podejrzywałam, że czynią to raczej dla podniesienia własnej wartości niż dla dodania otuchy rannym.

— No tak, rzeczywiście pracujesz bardzo ciężko. Wszyscy cię podziwiamy. Wybacz starej damie dworu zamięłowanie do plotek, moja droga. — Wiera Kiryłowna uśmiechnęła się przymilnie.

— Naczelny wódz miałby zostać odwołany! — Zinajda Michajłowna właśnie wszczęła kampanię, mającą na celu przeniesienie syna do sztabu generalnego. Ta niepozorna kobieta potrafiła przenosić góry dla swego Koleńki.

— Mikołaj Mikołajewicz może nie jest zdolnym taktykiem — „może generalissimus nie jest zbyt mądry”, miała na myśli babka — ale jest ogromnie popularny. Mojemu synowi nic spodobałaby się ta nowina. Pierre bardzo się

obruszył na aferę z Kokowcowem. Wyobraźcie sobie tylko, w czasie wojny mianować premierem osiemdziesięcioletniego starca. A do tego antykonserwatystę, wroga Dumy!

— No tak, ale monsieur Goremykin, który jest bardzo chytrym staruszką, pozostaje w najlepszych stosunkach z „tym człowiekiem”

— prychnęła Wiera Kiryłowna. — Czy może istnieć lepsza rekomendacja na to stanowisko?

Przypomniałam sobie przepowiednię ojca, że wkrótce ministrowie będą mianowani w zależności od stopnia zażyłości z jasnowidzem Aleksandry.

— Czy jesteś pewna, Wiero Kiryłowna, że Jego Cesarska Wysokość Mikołaj Mikołajewicz zostanie odwołany? — zaniepokoiła się Zinajda Michajłowna.

— Jego Wysokość wciąż mu ufa. Ale Mikołaj Mikołajewicz ma wpływowych wrogów, i to nie tylko na dworze. Minister wojny do tego stopnia nienawidzi naszego ukochanego wodza naczelnego, aż złośliwi twierdzą, iż celowo wstrzymuje dostawy na front zachodni, by okryć generała niesławą.

— Mój dobry Boże, jak to możliwe? — wykrzyknęła Zinajda Michajłowna po rosyjsku.

Obie z Grandmaman odłożyłyśmy karty i spojrzałyśmy na Wierę Kiryłownę.

— Słuchaj no, Wiero Kiryłowno — odezwała się Grandmaman — nie wolno rzucać takich strasznych oskarżeń ot, tak sobie.

— Powtarzam tylko to, co mówią inni. — Wiera Kiryłowna dumnie uniosła czoło. — Ale musisz przyznać, moja droga Anno Władimirowni, że niedostateczne zaopatrzenie frontu to skandal. Nic dziwnego, że wywołuje najśmielsze podejrzenia.

— Suchomlinowa należałoby powiesić. — Grandmaman była oburzona.

— Pierre zrobił wszystko, by odwołano tego karciarza i rozpustnika. Na niewiele się to zdało. Kto teraz wychodzi?

— Ja, Grandmaman. — Bałam się, by nie podniosło się jej za bardzo ciśnienie krwi, i z ulgą spostrzegłam, że się uspokoiła.

— Ale ludzie zastanawiają się, co też sobie myśli Jego Wysokość, trzymając takiego niekompetentnego ministra wojny — mruknęła Zinajda Michajłowna.

— Konstantynopol, *chere* Zinajdo. Jego Wysokość marzy o przyłączeniu do cesarskiej korony Konstantynopola — miała gotową odpowiedź Wiera Kiryłowna. — Podczas gdy naszym dzielnym chłopcom brakuje karabinów i amunicji, nasz władca snuje imponujące plany dotyczące przyszłego pokoju, który zapanuje w Europie dzięki Rosji. Maria Pawłowna wie o tym od monsieur Paleologue'a. Francuski ambasador powtórzył Jej Cesarskiej Wysokości wszystko, o czym mówiono podczas ostatniej audiencji u Jego Wysokości.

— Starczy tego gadania, Wiero Kiryłowno. Graj! Zauważyłam, że mętne wody intryg, w których moja była *educatrice* poruszała się jak ryba, były zatrute w większym stopniu, niż podejrzewałam. Poczułam jeszcze większą pogardę do porządku społecznego, który zezwalał na taką wojnę, na gloryfikację cierpienia, na okłamywanie społeczeństwa, zatajanie całego plugastwa i bezsensu wojny. Byłam gotowa sympatyzować z rewolucjonistami, gdyby oni też nie byli zwolennikami przemocy i innego rodzaju zakłamania. Tak, fałsz krył się w każdym słowie wypowiedzanym tak za, jak i przeciwko wojnie. Fałsz stanowił podstawę rzeczywistości. Lepiej opatrywać ropiejące rany, lepiej zakładać sączi lub trzymać basen przy ustach wymiotujących pacjentów, niż krążyć wśród kłamców, tak jak robiła to pachnąca i uśmiechnięta Wiera Kiryłowna.

Bez względu na to, w jakim stopniu zdawałam sobie sprawę z poważnych błędów popełnianych przez rząd i najwyższe władze, nie mogłam oprzeć się urokowi cesarskiej rodziny przy okazji kolejnych wizyt w Carskim Siole.

W przeciwieństwie do przerażenia i niezadowolenia, powszechnie panującego w Piotrogradzie, mieszkańcy Pałacu Aleksandrowskiego znajdowali się tamtej zimy w dosko-

nalym nastroju. Aleksy Nikołajewicz kończył dziesiąty rok życia, rok uważany za krytyczny dla chorych na hemofilię, bo większość z nich nie przeżywała więcej niż dziesięć lat. Chłopiec sprawiał wrażenie zupełnie zdrowego, był jak zawsze żywy i wesoły. Lubił swojego śmiesznego osiołka, cocer-spaniela i kotka. Pozwolono mu się bawić z synami Dereweńki, jednego z jego pielęgniarzy. Stanowili oni poza siostrami jedyne towarzystwo chłopca. Odseparowanie go od kuzynów — mieszkających niedaleko synów siostry cara, wielkiej księżnej Kseni — poczytywano za dowód braku zaufania Aleksandry do carskiej rodziny. Wzmacniało to jeszcze niechęć, by nie powiedzieć nienawiść, członków rodu Romanowów do carowej Aleksandry.

Aleksandra, uwolniona od obsesyjnego lęku o zdrowie carewicza, tryskała nową energią. Podczas gdy młodsze dzieci miały lekcje z nauczycielami, cesarzowa ze starszymi córkami każdego przedpołudnia udzielała się w miejskim szpitalu. Jej determinacja wywoływała respekt wśród personelu, choć nie wśród szerszej opinii publicznej, ponieważ słuszenie uważano, że przed cesarzową stoją poważniejsze obowiązki do spełnienia.

Olga i Tatiana również były pochłonięte obowiązkami w swoich komitetach pomocy dla uchodźców. Bohaterowie ich dziewczęcych amorów — partnerzy do tańca podczas balów wydawanych na cesarskim jachcie — należeli już do odległej, przedwojennej przeszłości. Książę Karol rumuński nie zdołał zdobyć ręki Olgi. Potrzebna była silniejsza osobowość, by rozluźnić więzy miłości i oddania, istniejące między nią i jej rodzeństwem a rodzicami. Tkwili w zamkniętym świecie, w którym zależeli nawzajem od siebie w zaspokajaniu potrzeb emocjonalnych. Jednak czasem rozmyślałam nad życiem mojej imienniczki.

Jeden odrzucony konkurent nie mógł stanowić powodu do dumy dla cesarskiej rodziny. Jedynym balem, w którym uczestniczyła Tatiana, był mój bal maturalny. Nic zwierzała mi się ze swych tęsknot za miłości;;. Obecne czasy wymagały

poświęceń i bezinteresowności. Byłam wykwalifikowaną pielęgniarką, ona i jej siostra tylko ochotniczkami. Wszystkie poznałyśmy, co to jest cierpienie i śmierć. W naszych rozmowach nie było miejsca dla chłopców. Jednak moja miłość do Stefana była czymś wyjątkowym. Tajemnicza, najeżona przeszkodami. Była naszą wspólną tajemnicą, prawdopodobnie jedyną, której siostry nie wyjawily nawet przed swymi rodzicami. „Czy miałaś wiadomości od Stefana?“, takie było zawsze ich pierwsze pytanie, zadawane szeptem, kiedy zostawałyśmy same. Ton Olgi był złośliwy i ciekawski, ale Tania z największym przejęciem śledziła moje miłosne perypetie.

Zostałam damą dworu Tatiany Nikołajewny. Była to dla mnie raczej funkcja honorowa, ponieważ miałam ważniejsze obowiązki niż służenie carskiej córce. Zresztą obie traktowałyśmy ją jako żart. Na plus rodziny, przynajmniej w moich oczach, należało zapisać, że nikt nie przejmował się etykietą.

Jeziro w parku wokół pałacu zamarzło, więc zamiast pływać łódką — jeździłyśmy na łyżwach. Wkrótce ścigałam się jak za dawnych czasów, korzystając z nieobecności Wiery Kiriłowny, która stała się w Carskim Siole *persona non grata* przez ostentacyjnie okazywaną lojalność wobec Marii Fiodorowny. Czternastoletnia Anastazja próbowała rywalizować ze mną i ciągle się wywracała. Aleksy obserwował nas z zazdrością, stojąc na brzegu pod opieką Dereweńki lub Nagornego. Jeżdżenie na łyżwach było dla niego zbyt niebezpieczne.

— Ojej, Taniu, jesteś niesamowita — powiedział rumieniąc się, kiedy zdejmowałam łyżwy.

Wzięłam go za rękę i całą szóstką pobiegłyśmy na herbatę do fiołkowego buduaru Aleksandry z portretem Marii Antoniny. Wypełniające go bibeloty odzwierciedlały gust dawnej księżniczki Alicji heskiej, wychowywanej na dworze królowej Wiktorii, a ikony świadczyły o nadgorliwości religijnej Aleksandry. Zebrałyśmy się wokół szezlongu, na

którym zgodnie z zaleceniami lekarza codziennie odpoczywała po południu, i popijaliśmy herbatę. Próbowaliśmy nie zwracać uwagi na Anię Wyrubową; po wypadku kolejowym, kiedy została kaleką, jeszcze mocniej przylgnęła do cesarskiej rodziny. To, że w ogóle przeżyła, przypisywano cudownej interwencji Rasputina. Była tak okropnie nudna, że trudno mi było wyobrazić sobie jej bliskie związki z „tym człowiekiem” cieszącym się ponurą sławą. Lepiej było, jak stwierdziła Wiera Kiryłowna, udawać, że on wcale nie istnieje. Przebywając z tą kochającą się i zżytą rodziną łatwo było zapomnieć, że atmosfera pogody i serdeczności, którą wokół siebie roztaczała, była równie nieprawdziwa jak różowe policzki Aleksego i bardziej fałszywa niż jakikolwiek inny obrazek z życia wyższych sfer.

Pod koniec maja wspólnie z moją imienniczką uczciłyśmy w Carskim Siole nasze osiemnaste urodziny; skończyły się już wiosenne dni w Liwadii, carskim pałacu na Krymie, upalne lata w Peterhofie, po którym następował rejs przez fiordy Zatoki Fińskiej, jesienne polowania w Białowieży i Spale. Tatiana Nikołajewna próbowała odwieść mnie od zamiaru wyjazdu do Polski.

Po skromnych uroczystościach z okazji naszych urodzin wzięła mnie na stronę i powiedziała podczas spaceru po chińskim ogrodzie:

— Taniu, pomimo optymistycznych komunikatów, że „nasze mężne i zwycięskie armie prą do przodu”, tatko przyznał, że nasza sytuacja w Polsce centralnej nie jest dobra. Zasław — specjalnie sprawdziłam to na mapie sztabowej — znalazł się bezpośrednio na linii austriacko-niemieckiego natarcia. Wkrótce może się dostać w ręce wroga. To strasznie niebezpieczne.

— Taniu, i to ty mówisz o niebezpieczeństwie? — Spojrzałam ze zdziwieniem na swą imienniczkę, tak smukłą w białej, koronkowej sukience, którą włożyła specjalnie do zdjęć, tak nieustraszoną i jednocześnie kobiecą. — Zdumiewasz mnie.

— Masz rację. — Uśmiechnęła się. — Nie potrafię przed tobą udawać. Prawdziwym powodem... nic jest mi łatwo



o tym mówić... nie chciałabym cię urazić, Taniu... wiem, jaka jesteś zakochana... — urwała i spojrzała na mnie. Zachwiałam się.

— Czy Jego Wysokość coś podejrzewa? Czy jest zły?

— Nie, nie, tatko niczego się nie domyśla. Jednak od samego początku ostrzegałam cię, Taniu. Księżę Stefan jest Polakiem, do tego z rodu Zasławskich. Jego rodzina stała na czele dwóch powstań przeciwko Rosji. Jak możemy wierzyć w ich lojalność? Sytuacja Polski jest tak bardzo zagmatwana.

Autonomia Polski jest zagrożona, pomyślałam.

— Taniu, co dokładnie wiesz? Co słyszałaś?

— Nic nie słyszałam i nic dokładnie nie wiem. Olga jest bardziej *au courant* niż ja, ale nawet ona nie potrafi tego jasno wytłumaczyć. Jednak obie jesteśmy zgodne, że zaszła jakaś zmiana, zapanował inny nastrój niż ten, którego byłaś świadkiem ostatniego lata w pałacu Zimowym, pamiętasz?

Jak mogłam zapomnieć tę wzniosłą chwilę, kiedy czułam się zjednoczona z moimi monarchami, moim narodem i przyjaciółkami? Tatiana tak jak wtedy wyciągnęła dłoń i mocno ścisnęła mnie za rękę.

— Zawsze będę pamiętać, Taniu. — Bez względu na to, co się stanie, jak gwałtownie czy nieodwołalnie zostanie rozerwany mistyczny związek między władcą i narodem, nic i nikt, nawet Stefan, nie rozdzieli mnie z moją imienniczką. — I na zawsze zostanę wierna tobie i Rosji — dodałam żarliwie.

— Nigdy w to nie wątpiłam. — Jeszcze jeden uśmiech pojawił się na jej twarzy ocienionej szerokim rondem kapelusza. — Po prostu nie chcę, byś była nieszczęśliwa.

Dołączyliśmy do carskiej rodziny i jej świty oraz garstki zaproszonych oficerów-rekonwalescentów ze Szpitala Aleksandrowskiego. Nie wspomniano o wycofywaniu się armii, brakach w zaopatrzeniu, bliskiej reorganizacji najwyższego dowództwa, zmianie nastrojów, o której napomknęła Tatiana Nikołajewna i która tak źle wróżyła mej miłości. Jeszcze silniej zdałam sobie sprawę z iluzorycznego życia władców Rosji, ograniczającego się do kręgu własnych spraw.

Mój zamiar wyjazdu na tereny objęte działaniami wojennymi spotkał się ze sprzeciwem ze strony Grandmaman. Ale widząc moją determinację, Tania —moja prawdziwa przyjaciółka — porzuciła rolę rozsądnego doradcy i przyłączyła się do mych próśb skierowanych do Jego Cesarskiej Wysokości. Zaapelowałam również do wielkiej księżnej Marii Pawłowny. Grandmaman, taktownie nakłaniana przez mych rodziców chrzestnych, niechętnie wyraziła zgodę.

Na początku czerwca spakowałam torbę podręczną: zabrałam zmianę bielizny, gumową miskę i rękawiczki, przybory toaletowe, Nowy Testament w zamszowej oprawie ze złotą klamrą i wytłoczonym herbem, подарowany mi przez Grandmaman na pierwszą komunię, „Zapiski myśliwego” Turgieniewa, pudełko nabojów i rewolwer z rękojeścią z macicy perłowej z wyrytymi moimi inicjałami oraz herbem, prezent na osiemnaste urodziny od ojca. Pożegnałam się z Bobikiem — wiernym towarzyszem zabaw podczas mych polskich wakacji — i z pochlipującą nianią. W towarzystwie starszej pielęgniarki wyruszyłam z dworca Warszawskiego w skromnym przedziale wagonu sypialnego, ponieważ nasza prywatna salonka została tymczasowo oddana do dyspozycji Ministerstwa Wojny.

Zasław znalazł się na północ od linii niemieckiej ofensywy przez Wisłę z listopada ubiegłego roku. Niemiecka armia zatrzymała się dziesięć wiorst od Lublina. Ale kiedy wiosną 1915 roku jechałam ze stacji przez rynek i główną aleją wysadzaną okazałymi lipami, nie dostrzegłam śladów wojny. Jak bliskie i znajome były barokowe fasady kamieniczek! Polska krew popłynęła raźniej w moich żyłach podczas jazdy do siedziby mego ukochanego, tak dobrze zapamiętanej z lat dzieciństwa! Ale zaraz przypomniałam sobie czule ostrzeżenie mej imienniczki: „Książę Stefan jest Polakiem, z rodu Zasławskich... sytuacja Polski jest taka zagnatwana... Po prostu nie chcę, byś była nieszczęśliwa.”

„Zostanę zawsze lojalna wobec Rosji!” przysięgłam żarliwie pod wpływem nastroju chwili. Ale co zrobię, jeśli będę zmuszona do wyboru między Rosją i Stefanem?

Mimo ciepłego uniformu poczułam chłód. Była to niewyobrażalna sytuacja. Przepędziłam tę myśl do odległego zakątka umysłu, zarezerwowanego dla faktów niezgodnych i niepojętych, sąsiadującego ze znacznie większym, pełnym myśli niezrozumiałych i strasznych. Po pokonaniu stromej drogi wiodącej na płaskowyż samochód potoczył się piaszczystym duktem i wkrótce ujrzałam staw, a za nim pałac z zakończoną blankami wieżą i porośniętymi bluszczem krużgankami. Mężczyźni w szarych szlafrokach siedzieli na kamiennych, parkowych ławkach lub kuśtykali alejkami w towarzystwie pielęgniarek w białych wclonikach. Na dziedzińcu stały ambulanse oznakowane dużymi, czerwonymi krzyżami.

Powitała mnie cioteczna babka Katarzyna, wysoka i smukła w swych fioletach oraz ciocia Zofia w stroju pielęgniarce.

— Nasza Tania siostrą miłosierdzia! Jaki dumny byłby mój anioleczek!  
— wykrzyknęła starsza pani.

Po kąpeli przebrałam się w świeży uniform, który przygotowano dla mnie w dawnym pomieszczeniu dla pokojówek na drugim piętrze, zajmowanym obecnie przez pięćdziesięcioosobowy szwajcarski personel szpitala. Następnie ciocia Zofia oprowadziła mnie po salach pierwszej kondygnacji. Z wyjątkiem małej jadalni i bawialni cały parter został zaadaptowany na szpitalne oddziały, z których każdy miał własną aptekę i łazienkę. Były lepiej wyposażone od naszego szpitala uważanego za najnowocześniejszy w całym Piotrogradzie. Białe łóżka na kółkach można było w razie potrzeby przemieszczać do sali zabiegowej, oszczędzając pacjentom bólu przy przenoszeniu na nosze. Moje fachowe oko doceniło doskonale oświetlenie i dojrzało w sali operacyjnej, byłej spiżarni, szereg butli z różnymi gazami. W gabinecie rentgenowskim stały najnowocześniejsze urządzenia. Wszędzie panował porządek, spokój i czystość — ta ostatnia była jak na razie naszą jedyną bronią przed zakażeniami. Poczulałam się w swoim żywiole.

W dawnej izbie szkolnej, obok biblioteki, czekał na mnie jednak szok. Leżało tu kilku chłopców z amputowanymi kończynami, na szlafrokach wyszyty mieli herb Zasławskich.

— Czy umyje nas siostra? Czy siostra też jest księżniczką? Czy potrafi grać w domino? Jakiego koloru włosy ma siostra? — zasypali mnie gradem pytań.

Obiecałam, że wrócę bez czepeczka i będę im opowiadała historyjki. Ale gdy tylko znalazłam się na zewnątrz, spojrzałam na ciotkę z bolesnym niedowierzaniem.

— W Sandomierzu zbombardowano szkołę — wyjaśniła. — Opieka nad dziećmi sprawia pielęgniarce największy ból. Z czasem do tego przywykniesz.

Nie wydawało mi się, bym kiedykolwiek mogła się oswoić z widokiem małych chłopców bez rąk i nóg. Ale rano tym

bardziej ochoczo przystąpiłam do swych obowiązków. Robienie czegoś konkretnego i pożytecznego było jedynym sposobem, by wytrzymać ten koszmar.

Przez cały czerwiec i lipiec siły austriackie i niemieckie pod dowództwem von Mackensena, wspierane ogniem artyleryjskim, który niszczył rosyjskie okopy, kontynuowały ofensywę na północ, wzdłuż Wisły, Bugu i Sanu. W połowie lipca słychać już było daleki grzmot armat, a po zmroku z pałacowych wież można było dostrzec na horyzoncie wybuchy bomb.

Pewnego popołudnia, w trzecim tygodniu lipca, odgłos nadciągającego oddziału kawalerii spowodował, że każdy, kto mógł chodzić, wyległ na krząganki.

Do sali operacyjnej, gdzie ciocia Zofia asystowała przy udzielaniu pomocy dopiero co przywiezionym z frontu rannym, wbiegła pielęgniarzka.

— Przyjechał ksiązę, Jaśnie Wielmożna Pani!

Ciocia zdjęła maseczkę oraz rękawiczki i poprosiła chirurga, by pozwolił nam wyjść. Właśnie skończyliśmy operację. Pośpieszyliśmy do głównego holu. Wuj Stach wszedł chwiejnym krokiem, a za nim weszli trzej ledwo trzymający się na nogach oficerowie sztabowi. Całą czwórkę pokrywał czerwony kurz.

— Jak to się stało, że tu jeszcze jesteście, Zofio? — zapytał wuj z rozdrażnieniem. — Niemcy dotarli już do Józefowa. W każdej chwili mogą się tutaj pojawić.

— Jak widzisz, jesteśmy bezpieczne. — Położyła mu dłoń na ramieniu i spojrzała zaniepokojona w jego ściągniętą twarz. — Wejdz i odpocznij.

— Nie mogę... Daj mi kawy... muszę wszystko zorganizować.

Ale pozwolił się ciotce wyprowadzić, skinąwszy mi przedtem głową na powitanie i rzuciwszy lakonicznie:

— Stefek został z ludźmi przed domem.

Wyszłam na ganek i ujrzałam dziwną scenę. Na całym dziedzińcu oraz na trawnikach otaczających staw stały konie

i leżeli mężczyźni; wyglądali, jakby ktoś rzucił na nich urok. Zwierzęta wyciągały szyje, rozstawiały przednie nogi, gwałtownie wstrząsały całym ciałem i zginały kolana, by wytarzać się, nie zważając na siodła i pełny ekwipunek. Inne szarpały za uzdy i próbowały pić wodę ze stawu. Mężczyźni leżeli rozwaleni na trawie lub opierali się o swe wierzchowce. Wielu miało wokół ust przewiązane chusteczki jako ochronę przed pyłem. Niektórzy mieli obandażowane głowy lub ręce. Między tymi odrętwiąłymi postaciami uwijało się kilku oficerów. Skierowałam się do najbardziej energicznego, bardzo wysokiego, barczystego młodego porucznika, który właśnie podnosił sierżanta za kołnierz i krzychał mu prosto do ucha:

— Panie sierżancie, jeśli nie wyprowadzi pan swych ludzi do wsi i natychmiast nie rozbije na pastwisku obozu, zostanie pan zdegradowany, damę na to panu słowo Zasławskiego.

— Tak jest, panie poruczniku. — Sierżant zaczął zwoływać swój oddział.

— Panie poruczniku... — odezwałam się nieśmiało. Stefek odwrócił się i spojrzał na mnie identycznie, jak przed chwilą jego ojciec spojrzał na ciotkę.

— Ty... tutaj? — spytał, nie kryjąc niezadowolenia. Zbił mnie tym z tropu.

— Czy mogę ci w czymś pomóc, Stefku?

— Owszem. Przynieś wiadro wody, by zbudzić tych leni! — wykrzyknął i przestał na mnie zwracać uwagę.

W końcu szwadrony wymaszerowały na obozowisko. O zmierzchu wokół pałacowych gruntów zapłonęły wesoło liczne ogniska. Kwaterę główną urządzono w pałacowych piwnicach i wieczorem kapitanowie oddziałów przyjechali, by złożyć raport swemu pułkownikowi. Stefek został odkomenderowany do służby w sztabie i kiedy przyszedł złożyć meldunek, było już ciemno. Razem z ciotką Zofią spotkałyśmy go w sieni. Ciotka rozwarła ramiona w macierzyńskim geście, ale nie podszedł do niej.

Zrozumiała przyczynę jego powściągliwości.

— Widziałam cię już brudniejszego.

Opuścił głowę i brązowy lok opadł mu na czoło zupełnie jak dawniej, kiedy był małym chłopcem. Przytuliła jego głowę do piersi, ucałowała nie ogolone policzki i wyszeptała pieśczętliwe słowa powitania.

Trzymał ją za ramiona i powtarzał po angielsku i po polsku:

— *Mother*. Matko. *Mummy*. Mamusiu.

Dzielny wojak znów stał się dzieckiem. Byłam wzruszona i trochę zazdrosna. Czy kiedykolwiek pokocha mnie tak, jak kocha swą matkę? — zastanawiałam się. I przypomniałam sobie jego powitanie na dziedzińcu.

— Posprzeczaliście się? — spytała moja spostrzegawcza ciocia.

— Zachowałem się wobec Tani okropnie.

— Nie, nie, po prostu byłeś zajęty.

Znów wszystko było dobrze. Stefek odpowiedział uśmiechem na mój uśmiech. Potem zachwiał się jak pijany i ziewnął.

— Chodź, Stefku, do łóżka. — Ciocia Zofia ujęła go pod ramię.

— Muszę złożyć raport pułkownikowi.

— Ojciec już śpi. Taniu, weź go z drugiej strony. Adamie! — zawołała na rudego ordynansa, chrapiącego na torbach swego porucznika.

Adam poderwał się wystraszony, myśląc, że wciąż jest lokajem.

— Jaśnie Wielmożna Pani życzy sobie?

Ale wnet przypomniał sobie o swych nowych obowiązkach i chwycił za torby.

Zaprowadziłyśmy Stefka na górę. Ciotka położyła go do łóżka, a potem zajrzała do mnie.

— Usnął? — spytałam.

— Śpi jak dziecko. Musiałam nawet zmówić za niego pacierz.

— Cioteczko, zauważyłaś, że znów kręcą mu się włosy?

— Tak. Biedny Stefek, tak tego nie znosi. — Uśmiechnęła się, ale zaraz spoważniała. Wiedziała, że myśli o tym silnym, młodym mężczyźnie, który w każdej chwili może zostać kaleką.

— Cioteczko, co to wszystko znaczy? Czemu muszą być wojny?

— Nie wiem, dziecko. Kobiety nie znają się na wojnach. Wojny są straszne, ale trzeba się z tym pogodzić. Przypuszczam, że na tym polega życie: jest próbą sił i odwagi. No, śpij już. Pojutrze musimy się ewakuować.

— Ciociu, nie wydaje ci się to okropne, że zostawiasz Zasławice wrogowi?

— Nawet bardzo. Ale tak już bywa na wojnie. Dziś mój Stach jest w domu i nic nie wydaje mi się straszne.

Czyli na tym polega życie, myślałam leżąc w ciemnościach, kiedy ciocia Zofia pocałowała mnie i wyszła. Jest próbą sił i odwagi.

Stefek wypróbuje swych sił na polu bitewnym. Mój czas próby jeszcze nie nadszedł. Ale już wkrótce, w przyfrontowym szpitalu, ja też zostanę wystawiona na próbę.

A po wojnie, kiedy zostaniemy małżeństwem? On będzie walczył o dobrobyt swego ludu, któremu car już obiecał wolność. Ojciec Tani nie może złamać danego słowa!

Ja będę dalej walczyła z bólem i śmiercią. Oboje nas czeka dużo pracy. Oczywiście będziemy mieli dzieci — nie zabraknie pomocników do ich wychowywania. Przeżyjemy życie wraz z jego radościami i smutkami.

Staniemy się w pełni ludźmi. Będziemy prawdziwi, a nie malowani.

Będziemy równi sobie. Staniemy się ludźmi dwudziestego wieku.

Szaleństwo wojny będzie należało do przeszłości. Koszmar, na który teraz patrzemy, na zawsze zniknie z powierzchni Ziemi. To będzie najlepsze stulecie w historii ludzkości.

A na razie mamy rannych chłopców, których jutro należy ewakuować. Zasławice trzeba zostawić wrogowi. Było to



pozbawione sensu, jednak trzeba się było z tym pogodzić. Przy boku ukochanego mężczyzny wszystko wydaje się prostsze.

Wczesnym rankiem do wszystkich okolicznych wiosek wyruszyli posłańcy, by na następny dzień zwołać do pałacu starszyznę. Wysłano wozy po furaz, oporzędzono konie, ludziom dano przepustki, by mogli się pożegnać z bliskimi. Ewakuowano pacjentów, a nowych rannych wnoszono bezpośrednio do stojącego na stacji w Zasławiu pociągu sanitarnego, który miał ich przewieźć do szpitala katolickiego w Mińsku. Ciocia Zofia i ja miałyśmy tam przybyć później.

Jadąc ambulansem z ciężej rannymi przez ulice, na których cicho stali mieszkańcy miasta, ułożyłam sobie plan. W ostatniej chwili powiem, by ciocia Zofia udała się sama do Mińska, a ja dołączę do oddziału sanitarnego ułanów zasławskich. Z komunikatów otrzymanych ostatniej nocy przez wuję, których treść częściowo wyjawiał nam podczas śniadania, dowiedziałam się, że następnego popołudnia razem z adiutantami miał wziąć udział w spotkaniu sztabu generalnego w kwaterze głównej korpusu. Choć wuj nie zdradził dokładnie miejsca postoju sztabu, wywnioskowałam, że to nie więcej niż godzinę drogi na południe.

W zakończeniu swego komunikatu ojciec dodał: „Całą ludność cywilną uprasza się o zachowanie spokoju. Przeciwwstawię się taktyce spalonej ziemi, wydumanej przez naszych specjalistów z naczelnego dowództwa. Nie mamy prawa niszczyć polskiej ziemi. Nie przyniesie nam to żadnych korzyści. Drogi zatłoczone uciekinierami dezorganizują odwrót armii. Tłumy uchodźców stwarzają zagrożenie dla zdrowia, obniżają morale i wywołują groźbę niepokojów społecznych. Niemcy zachowują się na okupowanych terytoriach poprawnie. Opowieści o rzekomych okrucieństwach są nieprawdziwe. Stachu, wykorzystaj swój prestiż i wpływy, by przynajmniej swoim ludziom, a szczególnie Żydom, oszczędzić cierpień, których nic jestem w stanie zapobiec gdzie indziej.

W południe na rynku odczytano proklamację wuja Stacha. Wzywał w niej ludność do zachowania spokoju, do pozostania w domach, przygotowania na czas bombardowania schronów w piwnicach lub w ogrodach, zapasów żywności i wody. Sklepiarzom zabroniono windowania cen, w mieście rozlokowano ułanów, by zapobiec grabieżom. Mieszkańcy ukrywali drogocenne przedmioty i wydawali ostatnie pieniądze.

Po południu wszyscy wylegli na ulice, by popatrzeć na niezwykle widok. Na niebie pojawiły się samoloty. Były to dwa niemieckie fokkery, jednopłatowce, używane do tej pory podczas rekonesansów; szykowały się do zbombardowania stacji kolejowej. Każdy pilot wyrzucił z kabiny po jednym ładunku wybuchowym. Bomby upadły daleko od celu i nikt nie ucierpiał. Na dachu budynku dworcowego umieszczono karabin maszynowy, ale samoloty nie pojawiły się już więcej. Dzieciaki pozbierały odłamki bomb na pamiątkę. Rodzice nie pilnowali ich zbyt, więc rozbiegły się po przedmieściach, prawie jak podczas wakacji. Było parno i gorąco.

W pałacu trwało gorączkowe pakowanie cennych przedmiotów — większość ukryto w tajnych, podziemnych kryptach. Ciotka Zofia wywołała konsternację u majordomusa, prosząc go o ponowne rozpakowanie sreber i porcelany, które będą potrzebne na wieczornym bankiecie pożegnalnym. Poleciała przynieść z piwnicy najlepsze wina. Na menu składały się następujące potrawy: chłodnik, karp, kuropatwy, rostbef, sery i świeże jagody. Ciotka włożyła suknię z jasnego brokatu i diadem, noszony przez księżne Zasławskie tylko podczas uroczystości państwowych. Pożyczyła mi jedną ze swych paryskich kreacji *a la grecque* z białego szyfonu.

— Jesteś wspaniałą pielęgniarką, Taniu, ale pamiętaj, że przede wszystkim jesteś kobietą — powiedziała ciocia. — A kobieta musi być piękna dla swego mężczyzny.

Nie sądziłam, by paryska suknia mogła uczynić mnie piękną, i nie chciałam być przede wszystkim kobietą. Ale nie była to odpowiednia chwila na sprzeczkę z ciocią Zofią.

W pożyczonej sukni, w pożyczonych perłach, które wplotłam we włosy, zeszłam razem z ciotką do sieni, gdzie czekał już wyelegantowany Stefek. Do bluzy koloru khaki przypięte miał krzyże św. Anny i św. Stanisława, które zdobył po zaledwie sześciu miesiącach walk. Buty mu lśniły, włosy leżały przylizane, a ogolone policzki były gładkie jak u niemowlęcia. Podał mi ramię i poprowadził przez amfiladę pokoi — pozbawionych gobelinów, portretów i żyrandoli — w których przygotowywano do transportu ostatnie łóżka.

W małej jadalni przylegającej do sali bankietowej zastawiono stół talerzami ze złotą obwódką; w srebrnych świecznikach zapalono świece. Ze ścian zniknęły obrazy Canaletta, ale róże w ogrodzie rosły jak zawsze. Odgłos kanonady można było wziąć za odległe grzmoty, a błyski ognia na horyzoncie — za zachodzące słońce.

U szczytu stołu zasiadła ciotka Zofia w sukni z brokatu i w diademie, zabawiając rozmową oficerów ze sztabu wuja Stacha. Siedzący naprzeciw niej wuj opowiadał dowcipy polityczne swym zwykłym, opanowanym głosem. W innym miejscu rozprawiano po francusku o teatrze, który wciąż przyciągał w Warszawie tłumy widzów, o ostatniej francuskiej powieści i najnowszym włoskim filmie. Potem dyskusja zeszła na ostatnie plotki z Petersburga o oskarżeniach wysuwanych przeciwko ministrowi wojny, generałowi Suchomlinowowi. Ten temat interesował wszystkich zebranych.

— Zarzuca mu się niedbalstwo i niekompetencję, ale grożą mu znacznie poważniejsze oskarżenia — powiedział ojciec Kazika, pan Peszek. — Tylko protekcja cara chroni Suchomlinowa przed sądem.

— Tak, wiadomo, że minister wojny jest człowiekiem drogim sercu Jego Wysokości. — Wuj Stach traktował ten niezwykle temat równie lekko jak pozostałe. — Osobiście nie wierzę, by był winien zdrady. Ale to, że brał łapówki, dla nikogo nie stanowi niespodzianki. Stary lubieżnik potrzebuje dużo pieniędzy, by zadowolić młodą, piękną żonkę.

Znowu sprawujący władzę w szponach pożądania, pomyślałam. I przez takiego starego rozpustnika nasi żołnierze nie mają amunicji i karabinów. Jak car może bronić takiego człowieka? Przecież tacy jak oni zasługują na rozstrzelanie. Nachmurzyłam się. Po chwili przypominałam sobie, że brzydkie myśli szpecą twarz, a także przestrozę ojca, by nie osądzać nikogo zbyt pochopnie. Może Suchomlinow jest niewinny? Nie miałam nic do powiedzenia na ten temat, podobnie jak na inne poruszane problemy. Stefek jest takim świetnym partnerem do rozmowy. Czy uważa mnie za pozbawioną ogłady prowincjuszkę? Spojrzałam na niego przez stół. Nie, sprawia wrażenie szczęśliwego, że z nim tu jestem. Kiedy podano owoce i sery, wuj Stach wstał, a za nim wszyscy mężczyźni. Uniósł kieliszek w stronę cioci i powiedział tym razem po polsku:

— Dziękujemy Jej Księżęcej Mości, Mojej umiłowanej małżonce, za ten wyjątkowy wieczór w środku wojny. Może upłynąć kilka lat, nim znów będziemy mogli się zebrać pod tym dachem w równie doborowym towarzystwie. Niektórzy z nas już nigdy mogą nie być świadkami podobnej uroczystości. Ale nie mam wątpliwości, że kiedyś większość z tu obecnych znów się spotka. Nasz pałac przetrwał najazd Turków, Szwedów i Prusaków, przetrwał rosyjskie represje po dwóch powstaniach. Oprze się również obecnej inwazji. Podobnie jak przetrwała nasza rodzina i ludzie, którzy nam zaufali.

Jego Cesarska Mość ustami naszego wodza naczelnego, wielkiego księcia Mikołaja, obiecał nam po zwycięskiej wojnie pełną autonomię w granicach imperium rosyjskiego. Dopóki na zachodzie zagrażają nam Teutonowie, musimy trwać przy swych braciach-Słowianach. Prosiliśmy jedynie, by traktowano nas jak braci, a nie jak przybłędy, które trzeba trzymać pod policyjnym nadzorem. Rok temu Jego Cesarska Mość dał mi na to swoje słowo. Teraz z kolei ja ślubuję wam i wszystkim oficerom, którzy przyłączyli się do

mnie, ale dziś nie mogli być z nami: nie złożymy broni, póki nie odzyskamy wolności. Nie wrócę tu, nie wypełniwszy tego ślubowania. A jeśli przeszkodzi mi śmierć, wypełni je mój syn Stefan.

— Przysięgam! — krzyknął Stefek.

— A zatem za zwycięstwo, za wolność i zjednoczenie naszej ojczyzny — powiedział wuj Stach i wychylił kielich.

Kobiety również wstały, by spełnić toast. Była to poważna i podniosła chwila.

Następnie wuj podszedł do cioci i ucałował jej dłoń. Za nim uczynili to wszyscy członkowie służby domowej według ważności pełnionej funkcji i każdy oficer według posiadanej rangi. Po tym rytuale ciocia Zofia zaproponowała, by cioteczna babka Katarzyna wyszła razem z Tanią i Stefkiem do ogrodu.

Po krótkiej przechadzce staruszka usiadła na kamiennej ławce w różanej altance, by odpocząć.

— Pospacerujcie sobie jeszcze, moje dzieci, pospacerujcie. Stefek ujął mnie za rękę i pociągnął w stronę tarasowato opadających ogrodów, rozciągających się po drugiej stronie szpaleru lip rosnących wzdłuż murawy.

— Nie powinniśmy zostawiać ciotecznej babki Katarzyny samej — zaprotestowałam.

— Ty głuptasie, jak myślisz, czemu mama kazała nam iść właśnie z nią? Babka ma bardziej romantyczną duszę od ciebie. — Po chwili wciągając powietrze, zauważył: — Chociaż raz perfumy, a nie chloroform. Ale prawdę mówiąc, pewnego dnia mogę czuć wdzięczność do tego ohydztwa.

— Proszę, nie mów tak! — zawołałam.

— Czemu? Czyżbyś martwiła się, widząc mnie bez ręki albo bez nogi? Czy przeraziłby cię widok mojego obnażonego mózgu lub wyprutych wnętrzności? Spotkałem raz żołnierza na polu bitwy, niosącego w rękach swe trzewia. — I zaczął snuć przerażające opisy identyczne jak w latach dzieciństwa, gdy opisywał mi rozmaite tortury, obserwując jednocześnie, jakie wrażenie wywołują jego opowieści.

To było okropne.

— Przestań, nie zniosę tego! — Zakryłam uszy dłońmi.

— O, myślałam, że należysz do osób, które potrafią z zimną krwią kroić ludzi! Czy naprawdę będziesz płakała, jeśli mnie zabiją? Będziesz codziennie przynosiła na mój grób świeże kwiaty, tak jak to robi babcia? Z jękiem opadłam na najwyższy stopień schodów, łączących tarasy.

Stefek usiadł parę stopni niżej i spojrzał na mnie, niezmiernie z siebie zadowolony. W tym gładko przylizanym młodzieńcu wciąż był chłopak o kędzierzawych lokach, który lubił się ze mną drażnić i dokuczać mi.

— Jesteś okropny — powiedziałam. — Jesteś przebrzydły — użyłam przezwiska z lat dzieciństwa.

— Naprawdę? I nienawidzisz mnie z całego serca, moja Taniu? — spytał swym głębokim, pięknym głosem.

— No, powiedz.

— Nienawidzę cię z całego serca.

— Powtórz to jeszcze raz.

Splotłam ręce na kolanach i spojrzałam w jego twarz jeszcze przed chwilą tak pełną chłopięcej złośliwości, a teraz czułą i pokorną.

— Czy mogę pocałować twoje śliczne stopki? — Chwycił mnie za kostki.

— Moje stopy wcale nie są małe, są wielkie i nie ma w nich nic pięknego.

— Na próżno usiłowałam uwolnić się z jego uścisku.

— Wszystko w tobie jest śliczne i kochane, Taniu.

— Obsypał moje nogi pocałunkami. — Masz suknię mamusi. Czuję to po zapachu. Ale na tobie pachnie jeszcze słodziej.

— Stefku, przestań! — Klepnęłam go w głowę. Kiedy nie odniosło to skutku, pociągnęłam za włosy.

— Możesz mnie ciągnąć, ile chcesz. Ból zadany twoją ręką sprawia mi przyjemność.

Natychmiast cofnęłam ręce, ale Stefek zdążył je chwycić.

— Czy mogę przynajmniej ucałować twoje dłonie?

Chciałam je wyrwać, przywierając plecami do kamiennej balustrady.

— Nie wyrwiesz mi się tak łatwo, proszę mi je ładnie podać, o, tak, nie tak sztywno, teraz lepiej — przemawiał tak czule i sugestywnie, że nie potrafiłam mu odmówić.

Oparłam się o balustradę. Jak łatwo pozbawił mnie własnej woli! Byłam gotowa na wszystko...

Ku memu rozczarowaniu ucałował jedynie moje dłonie, po czym wstał i pociągnął mnie za sobą. Objął mnie za ramiona, ja ujęłam go w pasie i ruszyliśmy wolno skrajem najwyższego tarasu. Nasze kroki słychać było wyraźnie na wysypanej żwirem alejce. W powietrzu unosiła się mocna woń róż i lip. Na niebie pokazały się pierwsze gwiazdy, a w trawie robaczki świętojańskie. Koniki polne i żaby, nie zważając na toczącą się wojnę, szykowały się do wieczornego koncertu. Cisza i chłód zmierzchu zatarł gorące i omdlewające uczucie, które mną owładnęło na schodach tarasu. Położyłam głowę na ramieniu Stefka, a on powiedział cicho:

— Dobrze ci, Taniu?

— Tak, cudownie.

— Taniu, kochasz Zaslawice?

— Bardziej niż cokolwiek na świecie.

— Wrócimy tu, jak tylko ta głupia wojna się skończy, i pobierzemy się bez względu na to, czy car wyrazi zgodę, czy nie. I nigdy już nie opuścimy Zaslawic.

— Nie chcesz się już bawić w wojnę, Stefku?

— To wcale nie jest zabawne.

— Opowiedz mi o niej.

— To wielogodzinne czekanie nie wiadomo na co, na kogo i po co, to życie w brudzie, taplanie się w błocie po pas, to odmrożone palce i dyzenteria, maszerowanie przez cały dzień, by nocą się wycofywać, kopanie rowów, które po chwili się porzuca.

— A sama bitwa?

— Można znaleźć się w jej środku, nawet o tym, nie wiedząc. Kiedy rozlega się głos trąbki, sygnał do ataku,

w pierwszym momencie ogarnia człowieka euforia. Po chwili zaczynają terkotać karabiny maszynowe. Jeśli uda ci się cało przedrzeć przez zasieki — ładujesz na grzbiecie przeciwnika, którego tniesz szablą na oślep. I nawet sprawia ci to pewną satysfakcję, póki nie spojrzysz w twarz swego wroga, lecz wszystko rozgrywa się tak szybko... wokół ciebie rozgrywa się krwawa jatka i nagle zaczynasz się zastanawiać, jaki to wszystko ma sens.

— A czy odczuwasz strach?

— Przed bitwą nie. Dopiero potem ogarniają mnie mdłości. Jeśli kiedykolwiek zostałem kaleką, chyba bym się zabił. — Chwycił mnie za ramiona i obrócił ku sobie.

— Chcę być dla ciebie cały.

— Będiesz — odrzekłam słabo. Ileż miał siły w rękach!

— I będziemy mieć wspaniałych synów.

— Ilu sobie życzysz? — spytał z uśmiechem.

— Piotra, Stefana, Stanisława i Aleksego. I cztery dziewczynki — Zofię, Tatianę, Annę i Katarzynę... Nie chcesz mieć aż tyle dzieci? — spytałam widząc jego zdumioną minę.

— Bardzo chcę. Ale jak ty sobie dasz radę? Moja matka, wydając mnie jednego na świat, mało nie umarła.

— Bo byłeś strasznie wielki.

— Racja, byłem prawdziwym olbrzymem. A więc nie boisz się mieć dzieci?

Uważałam rodzenie dzieci za rzecz zupełnie naturalną.

— Wiesz, Stefku, kiedyś nie chciałam mieć dzieci, ale ostatnio zmieniłam zdanie.

— Podobnie jak ja — powiedział.

Nie zdradziłam mu reszty swych planów: o tym, że będziemy oboje pracować niczym równi sobie i tak dalej. Będzie jeszcze czas, by mu o tym powiedzieć, poza tym teraz nie wydawało mi się to takie pilne, a nawet realne, gdy tak kroczyliśmy o zmierzchu przez różany ogród wokół pięknego pałacu, w którym bawiliśmy się, będąc dziećmi, a teraz wyobrażaliśmy sobie nasze dzieci, bawiące się tak jak niegdyś my. Znów stała mi przed oczami przedwojenna wizja



szlachetnego i pięknego życia, znów usłyszałam wzruszającą melodię wygrywaną na fujarce i skrzypkach oraz triumfalne dźwięki dzwonów. Stefek uniósł rękę jak do poloneza i położył moją dłoń na swojej.

Dostojnie, powoli, trzymając się za ręce, wróciliśmy do altanki, gdzie siedziała cioteczna babka Katarzyna. Filigranowa staruszka trzymała w dłoni białą różę.

— Biała, czysta i promienna jak ty — powiedziała wręczając mi kwiat. — Zerwałam ją specjalnie dla ciebie.

— Dziękuję, ciociu Katarzyno, jest prześliczna! — Wetknęłam ją we włosy. Usiedliśmy po obu stronach starszej pani.

— Moje róże, kto się teraz będzie nimi opiekował?

— zadała sobie pytanie. — I kto będzie kładł kwiaty na grobie mego aniołeczka? Nie, nie mogę.

— Czego nie możesz, babciu?

— Opuścić Zaslavic. Muszę zostać.

— Ciociu Katarzyno! — krzyknęłam, a Stefek oświadczył:

— Ojciec nigdy się na to nie zgodzi.

— Matka nie pyta o zgodę syna. Proszę, nie zdradźcie mnie. Sama o wszystkim powiem w odpowiednim momencie.

— Położyła na naszych rękach przezroczyście dłonie z prześwitującymi niebiesko żyłkami. — Moi najukochańsi, mam osiemdziesiąt pięć lat.

Może nigdy was już nie ujrzę. Wiem jednak, że będziecie ze sobą szczęśliwi, tak jak ja byłam szczęśliwa ze swym aniołeczkiem. —

Wymieniliśmy ze Stefkiem porozumiewawcze spojrzenia, słysząc to wzruszające, choć zupełnie nieprawdziwe oświadczenie. — I nawet jeśli sama nie doczekam tej chwili, wy dożyjecie czasów spełnienia jego marzeń o niepodległej ojczyźnie.

Wstała i ruszyła w stronę tarasu, wspierając się na nas, jakby chcąc poczuć naszą młodzieńczą siłę. Na szczycie wielkich schodów zatrzymaliśmy się na moment, by spojrzeć na murawę przypominającą aksamitny kobierzec pod obsypanymi białym kwieciem lipami.

Cioteczna babka wspomniała o wieczorze dożynkowym, na którym usnęłam na kolanach ciotecznego dziadka.

— Bardzo cię kochał — powiedziała. — W tym roku po raz pierwszy od naszego powrotu z wygnania nie będzie dożynek. Nasi biedni ludzie, jakie czekają ich cierpienia?

Pokiwała smutno głową, a potem odwróciła się w stronę pałacu. Wielkie okna balkonowe wzdłuż całej ogrodowej fasady miały zamknięte okiennice. Kiedy mijaliśmy marmurową sień, obdartą z gobelinów, pozbawioną rycerskich zbroi, poczułam posepną ciszę i pustkę tego miejsca. Po kolacji wszyscy domownicy wraz ze służbą uczestniczyli we mszy odprawionej w pałacowej kaplicy. Potem kapelan wyspowiadał Zasławskich i zanim udaliśmy się na spoczynek, spędziliśmy pół godziny tylko w gronie rodzinnym w saloniku cioci Zofii.

Następnego ranka zaczęła się pojawiać starszyzna wioskowa wezwana przez wuja Stacha; niektórzy sołtysi musieli wyruszyć w środku nocy, by stawić się na czas. Gdy ich drabiniaste wozy zajeżdżały na dziedziniec, mijały ich plutony ułanów zasławskich, ciągnące na południe, na front. Najpierw wuj rozmawiał w swym gabinecie z każdym sołtysem kilka minut na osobności. W południe wszyscy zostali zaproszeni do wspólnego z dzieżicami posiłku, który podano w jadalni dla służby. Potrawy przygotowano w kuchni polowej. Ciotka Zofia w szarej sukni oraz białym czepeczku i fartuchu z wyhaftowanym czerwonym krzyżem z równą powagą zasiadła przy długiej ławie przykrytej ceratą i zastawionej cynowymi talerzami jak poprzedniego wieczoru przy stole bankietowym.

Pod koniec poczęstunku wuj Stach wstał, by powiedzieć kilka słów pożegnania; obiecał zwycięski powrót ułanów i rozdzielenie ziemi między chłopów. W odpowiedzi na to najstarszy z sołtysów powtórzył przysięgę wierności dla rodu Zasławskich.

Kiedy ucichły wznoszone przez starszyznę okrzyki, cioteczna babka Katarzyna uniosła dłoń, prosząc o uwagę, i powiedziała swym cichym, drżącym ze starości głosem:

— Panowie starszyzna, w imieniu mego męża, świętej pamięci księcia Leona, dziękuję wam za waszą przysięgę wierności dla mego syna i dla mnie. Obowiązki księcia Stanisława jako żołnierza uniemożliwiają mi pozostanie ze swym ludem w ten czas próby. Jestem jedynie kobietą, i do tego mocno posuniętą w latach, więc nie jestem w stanie was zastąpić. Ale wracajcie i powiedzcie swoim ludziom, że zostaję tu, w tym pałacu, i że będę broniła ich interesów, najlepiej jak tylko będę potrafiła, z pomocą pana naszego, Jezusa Chrystusa.

Wśród starszyzny zapanowało poruszenie. Następnie ich rzecznik pokłonił się nisko przed starszą panią.

— Niech Bóg błogosławi Wielmożną Panią, w imię Ojca, i Syna, i Ducha Świętego — powiedział, a pozostali powtarzając jego słowa, też się nisko pokłonili.

— Mamo, to, co oświadczyłaś, jest absolutnie niemożliwe — powiedział cicho po angielsku wuj Stach.

— Panowie starszyzna... — zaczął, ale cioteczna babka Katarzyna przerwała mu:

— Stachu, rozkazuję ci zamilknąć.

— Niech Bóg ma was w swej opiece — dokończył wuj Stach po polsku.

Sołtysi zaczęli się rozchodzić. — Zofio — zwrócił się wuj do żony, widząc, że jego własny autorytet okazał się w tej chwili niewystarczający

— czy byłabyś tak dobra i wytłumaczyła matce, że jej decyzja jest absurdalna?

— Wcale nie uważam, by była absurdalna — odrzekła ciotka Zofia i stanęła obok księżny Katarzyny. — Myślę, że na miejscu matki, postąpiłabym tak samo.

— I ja też! — Stałam u drugiego boku ciotecznej babki; wszystkie zaprezentowałyśmy wspólny front przeciwko wujowi.

Kapłan, lekarz pałacowy, majordomus, mistrz ceremonii i kilku innych członków służby wyraziło wolę pozostania z księżną-wdową. Wuj Stach patrzył na nich chwilę, szarpiąc swe obwisłe wąsy, a potem, z gestem bezsilności, wyraził zgodę. Wszyscy odprowadziliśmy go na ganek.

Na dziedzińcu stał poczet sztandarowy ułanów, sanitarka z płócienną białą budą z wymalowanym czerwonym krzyżem i otwarty powóz; na koźle obok woźnicy Tomasza siedział uzbrojony żołnierz. Uściskałyśmy księżną Katarzynę i zajęłyśmy miejsca w powozie, naciągając szare, bawełniane rękawiczki — ja pośpiesznie, ciotka Zofia tak spokojnie, jak byśmy wyruszały w zwykłą podróż.

— No, synku, już czas — powiedziała księżna Katarzyna.

Wuj Stach pochylił głowę przed matką, która ucałowała go w czoło, a następnie uczyniła znak krzyża.

Wuj Stach odwrócił się do kapłana, przyjął jego błogosławieństwo, przykleknąwszy na jedno kolano, potem lekko zbiegł po stopniach i równie lekko dosiadł przytrzymywanego przez ordynansa gniadego wierzchowca. Następnie dosiedli koni oficerowie sztabowi, a przydzielony ciotce Zofii adiutant zajął miejsce w powozie naprzeciwko nas. Kapłan uczynił w powietrzu duży znak krzyża i wuj Stach dał rozkaz do odjazdu.

Najpierw ruszył poczet sztandarowy, za nim jechał wuj Stach między Stefkiem i majorem sztabu, dalej — powóz wiozący ciotkę Zofię i mnie, potem ułani trójkami, a na samym końcu — wóz sanitarny z białą płócienną budą. Wieśniacy stali wzdłuż trawnika rozciągającego się wokół stawu; kobiety unosiły do twarzy zapaski, starsi mężczyźni kłaniali się, przyciskali czapki do piersi, dzieciaki podskakiwały i wymachiwały rękami. Wszyscy zdolni do służby wojskowej mężczyźni wstąpili do pułku. Ciotka z powagą i gracją pochyliła głowę i pozdrawiała mijanych chłopów, a ja starałam się ją naśladować. Kiedy procesja z pocztem sztandarowym na czele okrążyła staw i skierowała się do lasu, obejrzałam się na otoczony wysokimi drzewami pałac. Na ganku mogłam jeszcze dostrzec grupkę ludzi, a wśród nich drobną postać księżny Katarzyny w liliowej sukni i kapelana w czarnej sutannie. Wkrótce ich obraz się rozmazał, a do oczu napłynęły mi łzy.

Kiedy dotarliśmy do miasta, rynek był pełen ludzi. Miałyśmy się tu z ciotką przesiąść do czekającego obok krytej studni samochodu. Wuj Stach, nie zsiadając z konia, wygłosił krótką przemowę do zebranych mieszkańców. Poinformował, że jego matka została na miejscu i ponownie zaapelował, by wszyscy zrobili tak samo.

Kiedy zsiadł z konia, by pomóc ciotce Zofii wsiąść do samochodu, przez tłum przecisnął się siwobrody Żyd w czarnym chałacie i przypadł do nóg wuja Stacha.

— Jaśnie Wielmożny Panie, obrońco naszego ludu, podobno żołnierze rosyjscy każą naszym ludziom wyjeżdżać na wschód w wagonach, które nie nadają się nawet dla bydła. Wielu z nich umiera w drodze. O innych wszelki słuch zaginął. O, potężny panie, w imię Jehowy ratuj nas i nasze dzieci.

— Nie będzie żadnej przymusowej ewakuacji naszych ludzi — w głosie wuja Stacha wyraźnie słyhać było angielski akcent, jak zawsze, gdy był czymś wzburzony. — Mam na to słowo rosyjskiego dowódcy korpusu, generała księcia Siłomirskiego. Księżna, moja matka, zostaje, by troszczyć się o was, tak o Żydów, jak i o wszystkich innych. Zrobi wszystko, co w jej mocy, by ulżyć waszej niedoli. Musicie teraz, w tych ciężkich czasach, pomagać sobie nawzajem. Jeśli przetrwamy, będziemy wolni! Do widzenia. Niech Bóg cię ma w swojej opiece, Ibrahimie. — Wuj Stach wyciągnął rękę.

Ibrahim ujął ją w obie dłonie, a potem ucałował, zalewając się łzami. Pokłonił się głęboko ciotce i chciał pocałować rąbek jej sukni, ale cofnęła się z gracją, uśmiechając się i wypowiadając uprzejme słowa pożegnania. Ciocia Zofia ucałowała Stefana i podała dłoń mężowi. Tylko wyjątkowa bladość zdradzała jej wzruszenie. Wyprężony na baczność żołnierz przytrzymał drzwiczki samochodu i ciotka zajęła miejsce w głębi wozu. Teraz ja powinnam się pożegnać ze wszystkimi, lecz nie miałam zamiaru jechać z ciotką na tyły frontu.

— Wuju Stachu — zaczęłam zdecydowanym tonem

— nie pojedę z ciocią Zofią. Przyłączę się do ojca i będę pracowała w szpitalu polowym jako pielęgniarka.

— Nie pora teraz na dziecinne fanaberie, moja panienko. Front to nie miejsce dla osiemnastoletnich dziewcząt — powiedział lodowatym tonem.

— Jeśli osiemdziesięciopięcioletnia księżna Katarzyna może zostać na obszarach objętych walkami, to równie dobrze wolno to uczynić osiemnastoletniej dziewczynie.

Wuj, wyraźnie wstrząśnięty, spojrział na żonę, jak to czynił zawsze w obliczu jakichś nieprzewidzianych problemów rodzinnych.

— Księżniczko, każesz wszystkim na siebie czekać — powiedziała chłodno ciotka Zofia.

— Wybacz mi, ciociu, ale nie pojedę z tobą — oświadczyłam i odsunęłam się od samochodu.

Nagle ogarnęło mnie przerażenie na myśl o tym, co uczyniłam, lecz ciotka Zofia bez słowa skinęła na adiutanta, by usiadł obok niej. Tłum się rozstał, robiąc miejsce dla przejazdu samochodu. Z gracją pochylając głowę raz w prawo, raz w lewo, ciotka Zofia odjechała na wschód.

Podobnie jak moja cioteczna babka, dobrze wybrałam moment. Nikt bowiem z książąt Zasławskich nie dopuściłby do sceny w publicznym miejscu, choćby nawet zależało od tego życie.

— Zobaczmy, co na to powie generał książę Siłomirski

— powiedział chłodno wuj i polecił Stefkowi: — Zaprowadź Tanię do ambulansu i wyznacz dwóch ludzi z pocztu sztandarowego, by odeskortowali ją do kwatery głównej korpusu. Znasz drogę. Zamelduj się u mnie przed posiedzeniem sztabu. Wykonać rozkaz.

Stefek zsalutował, ujął mnie mocno pod ramię i torując sobie drogę przez tłum, zaprowadził do wozu.

— Wskakuj, skarbie — powiedział i pomógł mi usiąść obok woźnicy. Kolumna ułanów ruszyła. Stefek dosiadł przytrzymywanego przez Adama kasztanka. Jechaliśmy wysadzonym drze-

wami bulwarem, pełnym płaczących i pozdrawiających nas mieszkańców. Niebo pociemniało, gwałtowny podmuch wiatru strącił na ziemię płatki lipowych kwiatów; ludzie pośpieszyli do domów, by zdążyć pozamykać okna przed burzą.

Pierwsze wielkie krople deszczu spadły, gdy dotarliśmy na obrzeża miasta, do miejsca, w którym kończyła się brukowana ulica, a zaczynała piaszczysta droga. Wisła nie przypominała już połyskującej w słońcu srebrnej wstęgi; zrobiła się szara i spieniona. Letnia ulewa szybko zatopiła piaszczyste łąchy.

Płócienny daszek sanitarki częściowo mnie osłaniał, nie skorzystałam więc z propozycji woźnicy, by przesiąść się do środka. Podał mi zatem czarny, skórzany fartuch, bym się nim okryła oraz kawałek nieprzemakalnego płótna do osłonięcia głowy.

Stefek tyle uwagi zwracał na deszcz co jego koń, ale zsiadł na chwilę, by nałożyć płaszcz przeciwdeszczowy koloru khaki. W tym przypominającym pelerynę odzieniu, w kapturze nasuniętym na czapkę wyglądał jak jakiś legendarny książę-rycerz.

— Fajnie, Stefku, co? — zawołałam, gdy się do mnie uśmiechnął.

— Strasznie fajnie — odpowiedział.

Ale kiedy droga zmieniła się w błoto i wóz musiał zwolnić, Stefek oświadczył:

— Pułkownik mnie zdegraduje, jeśli się spóźnię na posiedzenie sztabu.

Zobaczymy się w kwaterze korpusu.

Robiąc komiczną minę, zasalutował i wraz z Adamem ruszył stępą. Gdy był już wystarczająco daleko, by błoto spod końskich kopyt nie leciało mi prosto w twarz, zmusił swego kasztanka do galopu i wkrótce razem z Adamem zniknęli mi z oczu między szeregi rozkołysanych topoli rosnących wzdłuż rzeki.

Jadąc tak w deszcz błotnistą drogą, poczułam, że moja odwaga gdzieś zniknęła i ogarnęły mnie wątpliwości, czy

słusznie postąpiłam. Ale wkrótce przestało padać, mokre liście topoli zaczęły lśnić niczym polakierowane w promieniach zachodzącego słońca, które rzucało złotą poświatę na rzekę i świeże kałuże na drodze. Powietrze było rześkie, przesycone wonią grzybów i leśnego dymu. Wstąpił we mnie nowy duch. Wyruszałam na wojnę, by brać w niej udział u boku ojca i ukochanego mężczyzny, zgodnie ze swymi dziecięcymi przysięgami złożonymi matce tuż przed jej śmiercią i memu kuzynowi w mrocznej, pałacowej celi.



## 13

W miarę jak ambulans zbliżał się do Unii frontu, spotykaliśmy po drodze coraz więcej oddziałów i transportów wojskowych. Konie ciągle musiały zwalniać kroku i wtedy woźnica zaczynał siarczyście przeklinać; jednak po każdym takim wybuchu gorąco mnie przepraszał. Minęła nas kolumna austriackich jeńców w niebieskich mundurach. Na twarzach zarówno jeńców, jak i nielicznych strażników nie widać było ani wrogości, ani złości, tylko po prostu znużenie marszem w błocie. Później napotkaliśmy rosyjską piechotę w mundurach koloru khaki; szerokie, brodate twarze żołnierzy były szare ze zmęczenia.

Na mój widok uśmiechali się i wołali:

— Witaj siostrzyczko!

Jakiś żołnierz uniósł rękę, z której zsunął się brudny bandaż.

— Sostro, pomóż! — krzyknął.

Ambulans właśnie utknął w korku. Poprosiłam żołnierza do środka i nałożyłam mu na rękę świeży opatrunek; niedawno amputowano mu trzy palce.

— I walczyłeś w takim stanie? — zdumiałam się.

— A czemu nie? Jestem mańkutom.

— Jak tam jest? — spytałam patrząc w kierunku, z którego słychać było kanonadę artyleryjską.

— Kasza — odpowiedział beztrosko. — Najmocniej dziękuję, kochana siostrzyczko! — wykrzyknął i pobiegł truchcikiem za swoją kolumną.

Wkrótce na własne oczy ujrzałam, jak wygląda przyfrontowy krajobraz.

Nasz ambulans natknął się na posterunek

żandarmerii wojskowej; cały ruch kierowali dalej od rzeki, której brzeg bombardowali stojący po drugiej stronie wody Austriacy i Niemcy. Droga prowadząca na wschód była węższa i bardziej wyboista od stosunkowo szerokiego i równego traktu biegnącego wzdłuż rzeki. Wiodła przez las i po raz pierwszy ujrzałam drzewa огоłocone z liści przez ogień artyleryjski. Wyglądały niczym osmalone i poczerniałe kikuty po pożarze. Gdzieś leżały jodły powalone w poprzek duktów lub maskujące okopy. Minawszy ten pokiereszowany, podmokły las, dotarliśmy do wioski; jej szeroka, główna ulica zatłoczona była oddziałami i taborem. Chłopki w białych chustach spokojnie obserwowały z progów chałup ruch na drodze. W drewnianym, piętrowym domu o dachu krytym łupkiem — był to symbol zamożności — mieścił się sztab korpusu ojca.

Przydzieleni do eskorty ułani zostawili mnie przed drzwiami domu. Wartownik pozwolił mi wejść do środka. Główną izbę wypełniał stukot maszyn do pisania i telegrafu, dzwonki telefonów i odgłosy kroków biegających w tę i z powrotem adiutantów. Jeden z nich poinformował mnie, że Miłościwy Książę prowadzi odprawę i że muszę poczekać. Usiadłam na ławie pod ścianą. Byłam przemoczona i nagle zorientowałam się, że zostawiłam swoją torbę podróżną w samochodzie, którym pojechała ciotka Zofia. Nie miałam nawet zmiany ubrania. Jesteś szalona, beształam siebie. Zawsze byłaś i taka już zostaniesz. Nikomu tu nie jesteś potrzebna, nawet Stefkowi. A tata będzie wściekły i z miejsca odeśle cię do Grandmaman. I należy ci się to, ty głuptasie. Z sąsiedniego pokoju wyszło kilku dowódców dywizji i pułków ze swymi adiutantami. Dostrzegłam insygnia piechoty, artylerii, wojsk inżynieryjnych oraz kawalerii. Ojciec sprawnie zorganizował odwrót swych oddziałów, a jego kawalczysci dokonali kilku świetnych wypadów na tyły wroga; w uznaniu jego zasług powierzono mu dowództwo nad trzema dywizjami.

Minęło jeszcze trochę czasu, nim poproszono mnie do pokoju obok. Ojciec i wuj Stach stali pod oknem wiejskiego pokoju stołowego, przypatrując mi się w milczeniu. Stefek zbierał ze stołu jakieś papiery i upychał je w skórzanej torbie, całkowicie pochłonięty tym zajęciem. Wyraźnie dawał do zrozumienia, że nie poczuwa się do żadnej odpowiedzialności za moją decyzję.

Ojciec podniósł palec i skinął na mnie.

— Chodź no tu — powiedział po rosyjsku tonem, którym przemawiał do mnie, gdy jako mała dziewczynka coś zbroiłam. Wówczas rzucałam mu się w ramiona i mówiłam: „Tatusiu, przytul mnie mocno!”.

Teraz zachowałam się podobnie. Przebiegłam przez izbę, przywarłam do jego szerokiej piersi i wykrzyknęłam:

— Tatusiu, obejmij mnie, przytul mnie z całych sił! Objął mnie i trzymał mocno i długo, a potem powiedział:

— No cóż, dobrze cię widzieć, moja malutka, nawet jeśli tylko po to, by ci powiedzieć do widzenia.

— Papo, nie możesz mnie odesłać. Obiecałam matce, że nigdy cię nie opuszczę. Jestem pielęgniarką, mogę się bardziej przydać w szpitalu polowym niż na tyłach. Chcę razem z tobą i Stefanem brać udział w tej wojnie. — Spojrzałam na chmurnego i zazdrosnego Stefka, a potem znów na piękną, szeroką twarz ojca. — Błagam cię, ojcze, pozwól mi zostać.

— To szaleństwo. Nie masz pojęcia, co to jest front... Ale obawiam się, że uwierzysz mi dopiero wtedy, gdy zobaczysz wszystko na własne oczy.

Znów przytuliłam się do jego piersi, ale musiałam się na chwilę odwrócić, by powstrzymać kichnięcie. Ojciec wyciągnął piękną chusteczkę z monogramem i podsunął mi ją pod nos.

— Nie masz chusteczki? — Pokiwał głową. — I suchego ubrania też nie?

— Zostawiłam torbę razem z bagażami cioci Zofii.

— Rozumiem. I ty chcesz być frontową pielęgniarką! — Ojciec spojrzał na wuja, który nie należał do tak pobłażliwych rodziców.

— Wuju Stachu — zwróciłam się do niego — wciąż jesteś na mnie zły?  
— Teraz nie jestem już za ciebie odpowiedzialny — oświadczył wuj i powiedział do Stefka: — Poruczniku, te rozkazy należy dostarczyć razem z pozostałymi komunikatami.

— Tak jest. — Stefek ładnie zasalutował i wyszedł. Ojciec zawołał swą gospodynię i poprosił, by się mną zaopiekowała oraz znalazła dla mnie miejsce na nocleg. Poszłam za nią na górę. Tam pomogła mi się przebrać w odświętny strój córki. W wełnianej pasiastej spódnicy, w haftowanej bluzce, w koralach i jedwabnej chusteczce na wilgotnych włosach zesłam za kolację, którą zjadłam w towarzystwie ojca i oficerów sztabowych. Odzyskałam swą zwykłą śmiałość i dobry humor. Kiedy leżałam już w łóżku w pokoiku na poddaszu, pod pierzyną z gęsiego puchu, stanowiącą nieodzowną część posagu wiejskich dziewczyn, przyszedł ojciec, by pocałować mnie na dobranoc. Usiadł na brzegu łóżka i zaczął odpowiadać na moje pytania dotyczące głównie waleczności porucznika Stefana Zasławskiego. Nagle uderzyła mnie nienaturalna cisza. Odgłos kanonady, do którego w ciągu kilku godzin już tak przywykłam, że przestałam w ogóle na niego zwracać uwagę, ustał.

— Czy w nocy przerywają ogień? — spytałam.

— Zawsze o tej porze robią przerwę. Wkrótce jednak znów rozpoczną swój koncert. Będziemy musieli tu siedzieć i słuchać go aż do rana.

— Tatusiu, czemu im nie odpowiadamy? Czyżbyśmy nie mieli armat?

— Mamy działa, ale brakuje amunicji. Widzisz, córeczko, wycofujemy się, bo rosyjskiemu, nie uzbrojonemu żołnierzowi przyszło się zmierzyć z niemieckim wrogiem uzbrojonym po zęby. Nawet rosyjski lud nie jest w stanie wyjść cało z takiego pojedynku.

— Papo, a dlaczego brakuje nam amunicji? Czy zawinił generał Suchomlinow?

— Tak, choć nie tylko on. Temu grubemu głupcowi można zarzucić karygodne niedbalstwo, lecz przyczyną braków jest nieodpowiedni transport i dystrybucja. Braki są wynikiem stanu całego państwa, wielkiej Rosji. Możesz zapytać, jak dopuszczono, by ten człowiek — czy inni jemu podobni — doprowadził do takiego bałaganu? Stało się tak, bo nasi wielcy patrioci z lekceważeniem traktują sprawność i właściwą organizację. Uważają je za niemieckie wymysły sprzeczne z rosyjskim charakterem. Wierzą, że jakoś to będzie. Najważniejsze, by kuzyn Maszy z Tam-bowa został przeniesiony z frontu do bezpiecznych koszar na tyłach frontu, a wuj Miszy z Saratowa otrzymał zamówienie na dostawy dla armii — takimi sprawami zajmuje się nasze Ministerstwo Wojny! Małostkowy nepotyzm panuje od najniższych szczebli władzy po najwyższe, gdzie wyrządza najwięcej szkód. Wykorzystują do swych celów Anię Wyrubowę i... wiesz, kogo mam na myśli. — Ojcu nie przechodziło już przez usta nazwisko Rasputina. — A jeśli chodzi o los Rosji, to czuwa nad nim wielki Bóg. — Zamilkł i zaczął uderzać w kolano dłonią ozdobioną tylko sygnetem rodowym.

— Papo — spojrzałam na niego zaniepokojona — chyba nie myślisz, że przegramy tę wojnę?

— Nie, oczywiście, że nie. Następca Suchomlinowa, generał Poliwanow, to dobry człowiek. Wycofujemy się, ale nie poddajemy. A teraz śpij już.

— Pobłogosławił mnie i ucałował.

— Tatusiu... — odezwałam się — ... czy jutro pokażesz mi bitwę?

— Bitwę? — powtórzył, jakbym nie powiedziała „bitwę”, lecz „rzeź”.

— Tak, żebyś wiedziała, jak to wygląda. Bym mogła wszystko dzielić z tobą i Stefką.

— Dobrze, pokażę ci — powiedział, jakby ustępował rozkapryszonemu dziecku. — Skoro chcesz zostać frontową pielęgniarką, powinnaś zobaczyć, jak wygląda bitwa.

Wstałam o świcie i ubrałam się w swój uniform, który przez noc zdażył już wyschnąć. Kiedy zawołano mnie do kuchni na śniadanie, stała tam już moja torba wraz z całą zawartością. Ojciec wysłał po nią kuriera sztabowego na motorze.

— Karygodne marnotrawstwo paliwa — powiedział uśmiechając się lekko, gdy zaczęłam mu dziękować.

Po śniadaniu spożytym w towarzystwie oficerów sztabowych wyruszyłam z ojcem i dwoma jego adiutantami na inspekcję odcinka frontu.

Dzień był skwarny i drogi wyschły, choć największe kałuże połyskiwały jeszcze w słońcu. Front ciągnął się od brzegu Wisły prawie prosto na północ, do Lublina i Chełma. Po przejechaniu wiorsty czy dwóch przez pagórkowate, zalesione okolice Podkarpacia, nasz gazik skręcił w pole i skierował się w dół zbocza.

U stóp wzgórza wznosiła się ściana czerwonego dymu, gdzieniegdzie pojawiały się języki płomieni oraz białe, czarne i żółte kłęby. W połowie stoku samochód jeszcze raz skręcił w lewo i podskakując na nierównościach, ruszył w poprzek zbocza. Zatrzymaliśmy się w leśniczówce na skraju lasu, gdzie ulokował się sztab dywizji. Las był zniszczony i osmalony ogniem artyleryjskim. We frontowej ścianie niskiego, murowanego domku ziała wielka dziura. Za chatą, pod zamaskowanym gałęziami występem, przy długim, wiejskim stole, na którym stały telefony, siedzieli dowódcy dywizji.

Byłam zaszokowana, widząc leżących na ziemi żołnierzy, ale ojciec stwierdził:

— To nie plac defilad. Na froncie żołnierze starają się jak najmniej stać. Ale kiedy wysiadł z samochodu, mężczyźni natychmiast zerwali się na nogi. Oficerowie sztabowi również wstali i zasalutowali.

— Spocznij — wydał komendę ojciec i zwracając się do małego oraz wyraźnie rozzłoszczonego dowódcy dywizji, powiedział: — Moja córka, Tatiana Pietrowna, chciałaby

zobaczyć bitwę. To, co ujrzała do tej pory, nie wywarło na niej większego wrażenia.

— Obawiam się, że niezbyt dobrze rozumiem, co się tu właściwie dzieje — powiedziałam.

Generał dowodzący dywizją rozpostarł na stole mapę sztabową i wskazał ołówkiem miejsce, gdzie się znajdowaliśmy.

— To bardzo proste. Pułk X jest z lewej strony, w lesie, przez który pani przejeżdżała, pułk N — pośrodku, a Y — z prawej strony. W odwodzie stoi pułk M. Nasza dywizja odpowiedzialna jest za ośmiowiorstwowo odcinek frontu. Kawaleria i brygada strzelców bronią drugiej linii.

Kiedy skończył mówić, siedzący przy telefonie oficer podniósł głowę i zameldował:

— Wasza Ekscelencjo, straciliśmy łączność z Y. Zapanowała cisza.

Wszyscy utkwili wzrok w małym

dowódcy. Ten rozejrzał się wkoło, stuknął ołówkiem w mapę, rzucił pełne wściekłości spojrzenie na ojca, zaczerwienił się i polecił:

— Wezwać odwody.

Rozkaz przekazano telefonicznie stojącemu w odwodzie pułkownikowi M, a jeden z oficerów pojechał nadzorować jego wykonanie. Drugi oficer został wysłany na pozycje pułku Y, którego telefon nie odpowiadał.

Czyli prawdziwą bitwę stoczy pułk M, pomyślałam i spojrzałam błagalnie na ojca. Pomógł mi wsiąść do samochodu i ruszyliśmy skrajem lasu, podążając za jadącym na motorze oficerem sztabowym.

Po przebyciu dwóch wiorst dotarliśmy do pułku odwodowego; cztery tysiące mężczyzn w mundurach koloru khaki stało po trzech stronach pola. Obok ikony na ołtarzu utworzonym na środku placu ze skrzyżowanych bagnetów odprawiał mszę brodaty rosyjski pop w sztywnym, złotym ornacie. Spojrzałam na mężczyzn i ujrzałam blade, ściągnięte twarze i szklany wzrok ludzi zdjętych strachem. Przybyły przed nami oficer sztabowy rozmawiał z pułkownikiem.

Rozległ się okrzyk „Odwody naprzód!” i mężczyźni zaczęli się pośpiesznie ustawiać.

Pop lewą ręką uniósł ikonę, a prawą, w której trzymał wysadzany drogimi kamieniami krucyfiks, pobłogosławił ludzi. Żołnierze, których karabiny tworzyły ołtarz, łapali swoją broń.

Razem z ojcem ruszyliśmy za pułkownikiem ku chacie na skraju lasu, osłoniętej workami z piaskiem i zamaskowanej gałęziami. Tutaj znów ujrzałam oficerów sztabowych ze słuchawkami aparatów telefonicznych przy uszach, chociaż tym razem wszyscy siedzieli na ziemi. Zamiast pułków meldowały się kolejno bataliony; rozstawiano je przez telefon, to je odsyłając na tyły, to rzucając do ataku. Czyli prawdziwa bitwa toczyła się jeszcze dalej, tam, gdzie stały bataliony.

— Wciąż nie dosyć ekscytujące? — zapytał ojciec. — Chodź, może uda nam się przyjrzeć akcji. Poszukamy sobie punktu obserwacyjnego. — I biorąc mnie pod ramię, ruszył szybko w dół zbocza.

Adiutanci wymienili między sobą spojrzenia i pośpieszyli za nami.

Huk artylerii sprawiał ból w uszach, a gryzący swąd dymu i prochu szczypał w oczy. W pewnej chwili nad naszymi głowami rozległ się świst. Ojciec odciągnął mnie na bok i osłonił własnym ciałem.

150-milimetrowy pocisk upadł na lewo od drzewa, obsypując nas ziemią. Podmuch wybuchu zwałił z nóg adiutantów. Po chwili wstali nie draśnięci i zaczęli otrzepywać swe nieskazitelne mundury.

— To zbląkana bomba, ale wkrótce wróg skoryguje ustawienie dział — powiedział ojciec do adiutantów z ledwo wyczuwalną ironią w głosie, po czym zwrócił się do mnie: — No, teraz, kiedy już przeszłaś chrzest bojowy, możemy wracać.

— Tatusiu, obiecałeś, że zobaczymy akcję!

— Tak, hmmm. Nie spodziewałem się, że to będzie tak blisko. Jednak...

— Znów objął mnie swym stalowym



ramieniem i zaczęliśmy zsuwać się w dół stoku, a adiutanci za nami. Jakies pięćset metrów niżej zagroził nam drogę szereg brzoź i wierzb, rosnących wzdłuż krętego strumyka. Jedną ręką przytrzymałam brzeg spódnicy, a drugą podałam ojcu, by przeskoczyć przez potok, który po wczorajszym deszczu wyraźnie przybrał.

W ziemiance obok strumienia siedział dowódca batalionu, major, i bez przerwy podnosił jedną po drugiej słuchawki telefonów jakby się bawił. Ojciec przystanął i spojrzał przez lornetkę. Potem podał ją mnie i po raz pierwszy w życiu ujrzałam idącą do ataku piechotę.

Nierówny szereg mężczyzn postępował do przodu, posuwając się niby zielony wąż. Niektórzy żołnierze czołgali się, inni skradali na kolanach. Tylko oficerowie szli wyprostowani. Białe, czarne i żółte wybuchy znaczyły pole bitwy, chwilami dym zupełnie przesłaniał widok. Zielona linia przyspieszyła swój węzowy ruch. Dobięło mnie przeciągłe „raaaaa” pojedynczego „hura”. W pewnej chwili kanonada ustała i rozległ się trzask karabinów i terkot broni maszynowej. Znow dym przesłonił całe pole. Kiedy się uniósł, ujrzałam biegnących w różne strony sanitariuszy w białych fartuchach. Sam okop, tam, gdzie wrzała bitwa, osłaniał dym ścielący się w całym wąwozie u stóp wzgórza.

— Czy akcja przebiega zgodnie z planem? — zapytał ojciec majora, który wciąż bawił się telefonami.

— Zdobyliśmy okop, Wasza Ekscelencjo.

— Jakie są straty?

— Nie mam łączności z dwoma kompaniami. Ojciec i dowódca batalionu zamilkli.

A więc już po bitwie, pomyślałam. Czy to możliwe, by scena, której byłam świadkiem — taka spokojna, niemal zainsecznizowana na wzór jakiegoś stylizowanego obrazu batalistycznego — była powodem śmierci i kalectwa, była przyczyną agonii ciał i umysłów?

Jakby w odpowiedzi na moje myśli ujrzeliśmy młodego szeregowca, który biegł jak oszalały w górę zbocza. Potężna postać ojca zagroziła mu drogę.

— Żołnierzu, a dokąd to?

Szeregowiec wyprężył się na baczność i patrzył przed siebie, nic nie mówiąc.

— Za porzucenie broni i ucieczkę z pola bitwy grozi sąd wojenny. Czy nie lepiej stanąć twarzą w twarz z wrogiem niż z plutonem egzekucyjnym?

— Nie przydzielono mi karabinu, Wasza Ekscelencjo. Ojciec zbladł. Po chwili powiedział tym samym, pełnym autorytetu głosem:

— Podnieś jakiś z ziemi, żołnierzu. No, ruszaj w dół wzgórza i licz kroki, póki nie dojdiesz do swych towarzyszy. Odmaszerować!

Młody szeregowiec zaszalował, zrobił w tył zwrot i pomaszerował sztywno w dół zbocza.

Z okrywającego stok dymu zaczęli się wyłaniać ranni; niektórych podtrzymywali zdrowi towarzysze, niektórzy utykali, niektórzy szli z ręką zwisającą w nienaturalnej pozycji, niektórzy mieli zakrwawione twarze, roztrzaskane nosy i szczęki. Na mój widok przystawali i patrzyli z nadzieją.

— Nie mam bandaży ani lekarstw. — Poczulałam się winna i nieszczęśliwa. — Musicie iść do punktu opatrunkowego.

— Ach, tam nie mają czasu — odpowiedział bez pretensji w głosie jeden z mężczyzn i poszedł dalej.

Spojrzałam z wyrzutem na ojca.

— Papo, czemu nie można od razu opatrzeć tych ludzi?

— A czemu musimy wysyłać żołnierzy w bój bez karabinów? — odpowiedział pytaniem na pytanie.

— To straszne! — wykrzyknęłam. — To okropne!

A więc tak wygląda bitwa — pozbawiony sensu koszmar i szaleństwo.

Wiedzieli o tym generałowie. Wiedzieli o tym żołnierze. A mimo to ruszali do boju i tylko jeden na cztery tysiące uciekał. Cóż w takim razie kazało im tam iść? Nie

mogła to być nienawiść do wroga, którego nawet nie widzieli przez dym, ani miłość do odległej ojczyzny i cara.

— Szkolenie i dyscyplina, dyscyplina i szkolenie — odpowiedział mi ojciec.

Pogratulował dowódcy batalionu za wspaniałą akcję jego ludzi i obiecał wspomnieć o niej naczelnemu wodzowi. Tą samą drogą ruszyliśmy w górę zbocza. Ojciec znów pomógł mi przejść przez strumień między brzoza i wierzbami; na brzegu leżał twarzą w dół żołnierz, jakby chciał się napić wody. Ale zobaczywszy jego bezwładną pozycję, wiedziałam, że już nigdy nie dołączy do swych towarzyszy, którzy nas minęli.

Przypomniałam sobie pierwsze martwe zwierzę (był to wilk), które ujrzałam na polowaniu, gdy byłam jeszcze małą dziewczynką, i jak się zastanawiałam, dokąd uleciała jego dusza. Teraz, patrząc na ciało żołnierza, zadałam sobie to samo pytanie. Uczyniłam znak krzyża.

— *Straszno*"? — zapytał ojciec po rosyjsku.

— *Niet, nie straszno. Naprasno.* Niepotrzebnie. — odparłam.

Ojciec w milczeniu skinął głową.

Wspinaliśmy się w górę stoku, mijając rannych. W końcu dotarliśmy do punktu dowodzenia pułkiem, gdzie czekał nasz samochód. Ojciec pogratulował pułkownikowi i uściśnął mu dłoń. Wyboistą drogą wróciliśmy do kwatery głównej dywizji.

Podczas jazdy ojciec rozpostarł na kolanach mapę i wskazał adiutantom jakieś miejsce.

— Sądzę, że tu jest luka w linii nieprzyjacielskiej, którą może wykorzystać nasza kawaleria. Chcę, by wysłano tam nocny patrol.

Przekazawszy rozkaz i pogratulowawszy dowódcy dywizji, ojciec wsiadł do samochodu.

— A teraz z powrotem do kwatery głównej — rzucił do kierowcy. — Czeka mnie dużo roboty.

Przypomniałam mu, że miał mnie zawieźć do szpitala polowego.

— Jak to, nie masz jeszcze dosyć frontu? Zrobiłam upartą minę. Poleciał kierowcy jechać do szpitala.

Tuż za kwaterą główną dywizji natknęliśmy się na małą kolumnę, maszerującą w górę wzgórza, z poczem sztandarowym na czele. To było wszystko, co pozostało z pułku którego telefon nie odpowiadał. Ojciec polecił szoferowi, by zatrzymał auto, i kiedy kolumna się zbliżyła, wstał i zsalutował. Mężczyźni maszerowali sprężystym krokiem, głowy zwrócili w prawo jak na defiladzie. Gdy minął nas ostatni szereg, ojciec opadł ciężko na siedzenie; w jego oczach dostrzegłam gorycz i złość. Po przejechaniu jeszcze pięciuset metrów znaleźliśmy się w szpitalu polowym.

## 14

Szpital polowy mieścił się w sześciu wozach stojących półkolem na poboczu drogi. Na ziemi ustawiono rzędami nosze z rannymi o szarzielonych twarzach, identycznego koloru co okrywające ich płaszcze. Z osmalonego i pozbawionego liści lasu przyprowadzano kolejnych poszkodowanych. Lżej ranni siedzieli pod drzewami albo leżeli, podpierając się na łokciach, i palili machorkę lub żuli ziarna słonecznika. Sanitariusze w długich, białych fartuchach wnosili nosze po schodkach do wozów. Ze środka dobiegał od czasu do czasu krzyk protestu lub bolesne „ach-ach-ach”, którym odpowiadały jęki rannych leżących na ziemi.

Było prawie południe i panował okropny skwar. Wkoło unosił się słodkawy zapach zakrzepłej krwi.

Ojciec wzrokiem pełnym udreki przyglądał się posępnej scenie.

— Taniu, nie mogę na to pozwolić — powiedział w końcu słabym głosem. — Gdzie indziej też możesz być równie użyteczna. To wszystko nie ma sensu... to niemożliwe!

— Tatku najdroższy, nie martw się. Ja muszę! — Położyłam rękę na drzwiczkach samochodu. Chciałam jak najszybciej wysiąść, zanim opuści mnie odwaga.

Stojący obok kierowcy Kozak obszedł wóz i otworzył mi drzwiczki.

Adiutanci, nie patrząc na mnie, wysiedli, po czym pomogli mi wydostać się z samochodu. Ojciec pozostał w aucie.

Między rzędami rannych pojawiła się korpulentna pielęgniarka w średnim wieku, w brudnym, poplamionym krwią kitlu; na okrągłej, wiejskiej twarzy malował się pogodny

uśmiech, w spojrzeniu widać było fachowość. Przypatrywała mi się badawczo, podczas gdy ojciec mnie przedstawiał.

— Mam dziewięć miesięcy praktyki — dodałam pospiesznie — z tego sześć pod okiem profesora Sobolewa, specjalisty od anestezjologii na Uniwersytecie Piotrogrodzkim.

Ojciec modlił się w duchu, by przełożona pielęgniarka nie zgodziła się na zatrudnienie mnie w szpitalu.

— Ma zaledwie osiemnaście lat, jest jedynaczką, ulubienicą naszego władcy. To niepotrzebne... niemożliwe...

— Wasza Ekscelencjo, proszę się nie martwić o swoją córeczkę. Nic złego jej się nie stanie. — Doszła do wniosku, że nadaję się do pracy w ich szpitalu.

— Jefim! — zawołał ojciec na Kozaka. — Zostaniesz tu i będziesz pilnował młodej księżniczki. Odpowiadasz głową za jej bezpieczeństwo. Polecę, by przysłano ci twego konia i rzeczy osobiste.

— Tak jest, Wasza Ekscelencjo! — Czarnobrewy Kozak wyprężył się jak struna, zsalutował, chwycił swą długą strzelbę i moją torbę podręczną, po czym zrobił krok do tyłu.

— Niech Bóg ma cię w swej opiece. — Ojciec uczynił nade mną znak krzyża, a ja wspierałam się na palce, by pocałować go w policzek. — Zawiadom mnie przez Jefima, kiedy już będziesz miała dosyć. Proszę pilnować mojej córki — powiedział do przełożonej pielęgniarki. — Zostanie pani odpowiednio wynagrodzona. — Dał znak adiutantom, by wrócili do samochodu. Po chwili odjechali w chmurze czerwonego pyłu. Ruszyłam z siostrą Marfą Antonowną między rzędami nosz. Jęki rannych stawały się coraz głośniejsze.

— Siostrzyczki, na miłość boską, miejcie litość! — rozlegały się zewsząd okrzyki.

— Już niedługo, już niedługo. Bądźcie jeszcze trochę cierpliwi, moi kochani — wesoło odpowiadała im siostra Marfa. A kiedy zwolniłam nieco kroku, powiedziała: — To nic pani sprawa, Wasza Wysokość. Proszę tędy.

W wozie przeznaczonym dla personelu, za kotarą z koca gnieździło się osiem pielęgniarek. Jefim postawił moją torbę na pryczy zwolnionej przez dziewczynę, która poległa podczas ostatniego odwrotu.

Marfa Antonowną zakończyła swoją lakoniczną relację o smutnym końcu mojej poprzedniczki słowami:

— Proszę się nigdzie nie oddalać, to nic się pani nie stanie. W trzecim wozie, na prawo od środka, jest sala operacyjna. Latryny są za wozem personelu. Proszę się zameldować, gdy tylko się panienka przebierze. Jej Wysokość umie sama się ubrać?

— Jakoś sobie dam radę, dziękuję.

Przebranie się to pestka. Prawdziwego samozaparcia wymagało korzystanie z latryny. Nie minęło dziesięć minut, a już szorowałam ręce w sali operacyjnej pod strumieniem gorącej wody, lanym z imbryka przez sanitariusza. Na opalanych drewnem piecykach przygotowywano wrzątek do sterylizowania narzędzi. Nie dysponowaliśmy jałowymi prześcieradłami, żaden z chirurgów pracujących przy jednym z czterech stołów operacyjnych nie nosił maski. Wszyscy byli nieprawdopodobnie brudni i umazani krwią. Operowali w zdumiewającym tempie, traktując rannych bezdusznie, żeby nie powiedzieć brutalnie, choć fachowo.

Brak higieny, którą tak rygorystycznie we mnie wpajano, brak aparatury rentgenowskiej i laboratorium, jedna butla z tlenem dla wszystkich anestezjologów i ani śladu pojemnika z gazami usypiającymi, pośpiech i zakrzepła krew — wszystko to podziałało na mnie paraliżująco, tak było sprzeczne z moimi dotychczasowymi wyobrażeniami i doświadczeniami.

— Na co Wasza Wysokość czeka? — siostra Marfa stanęła obok mnie. — Nie mamy czasu zwracać uwagi na drobiazgi. Będzie panienka obsługiwała stół numer jeden. Właśnie go szykują. — Dała mi swoją maseczkę do ochrony przed oparami gazów, na szyi zawiesiła mi stetoskop. — Wie panienka, jak podawać eter?

Skinęłam głową, wyciągając drżącymi dłońmi gumowe rękawiczki ze swojej podręcznej torby.

Wskazała mi taboret dla anestezjologa, wręczyła aparat Blaire'a i butelkę z eterem.

— No, Bóg z tobą — powiedziała. Od tej chwili byłam zdana na własne siły.

Eter, najprostszy i najbezpieczniejszy w użyciu, był jedynym dostępnym anestetykiem. Należał również do najmniej przyjemnych dla chorego.

Ale nawet nie podawano podtlenku azotu, nie było też czasu na przygotowanie i uspokojenie pacjenta. Przekonałam się, że właściwie nie było to potrzebne. Przerażeni i oszołomieni wpatrywali się w twarze pielęgniarek i sanitariuszy, którzy obchodzili się z nimi jak z pakunkami. Czy to możliwe, bym ja również stała się takim bezdusznym, sprawnym, pozbawionym współczucia automatem?, pomyślałam, umieszczając aparat na twarzy mego pierwszego pacjenta i prosząc go, by oddychał głęboko i spokojnie. Czy wytrzymam w tym piekle? Czy potrafię stanąć twarzą w twarz z najgorszym, nie mając odpowiedniego wyposażenia?

Dopiero teraz zrozumiałam, że sterylne warunki, lśniąca czystość i idealny porządek, nawet hierarchia i pedantyczność panujące w dobrze prowadzonym szpitalu, chroniły mnie przed okrutną rzeczywistością cierpienia tak, jak wojskowa parada i piękne mundury miały ukryć przed żołnierzami okrucieństwo wojny. Teraz odsłonięto przede mną całą ohydę. Brodziłam we krwi i ekstrementach. Bałam się, że w nich utonę! To bezsensowne, niemożliwe. Tata miał rację, pomyślałam, sącząc eter na aparat i przemawiając spokojnie do pacjenta, by zmniejszyć jego strach przed uduszeniem się.

Czyż sama tego nie chciałaś, Taniu?, odezwał się we mnie jakiś inny głos. Właśnie tak wygląda życie. Nie ma w nim miejsca na fałsz i udawanie. To jest próba sił i odwagi. I jeśli żołnierz może siedzieć w okopie, czego ty za niego nic zrobisz, jeśli on potrafi znieść ból i strach, których ty



jesteś tylko świadkiem, czemu nie stać cię na wypełnienie swoich obowiązków, tak jak to czynią inni? Czemu chcesz się teraz od nich wykręcić, kiedy nie jest już tak czysto i przyjemnie? Do tej pory, Taniu, tylko bawiłaś się w pielęgniarkę. Otaczali cię dorośli, którzy się tobą opiekowali, pilnowali, byś się nie przepracowała i nie popełniła błędu. Teraz, jeśli przedawkujesz eter, twój pacjent umrze. Uważaj, co robisz, Taniu. Obserwuj jego źrenice, kolor skóry, oddech, napięcie mięśni. Sprawdzaj rytm uderzeń serca. Bądź gotowa, by podać mu tlen, kiedy zacznie sinieć. Całą uwagę skupiałam na tym, co robiłam.

Gdy przestałam rozmyślać nad panującymi, trudnymi do wyobrażenia warunkami pracy, a skoncentrowałam się na tym, co do mnie należało, moja bezradność i przerażenie zniknęły.

O zmierzchu opuściłam swoje stanowisko, by choć trochę odpocząć. Na polanie, w słabym blasku lampek, leżeli tak jak rano ranni. Białe fartuchy noszowych migotały wśród czarnych pni, z lasu wynoszono kolejnych żołnierzy.

Zajrzałam do jednego z wozów oświetlonego lampami naftowymi; między leżącymi na słomie mężczyznami chodzili sanitariusze w białych czepkach. Dyżurna pielęgniarka, siedząca obok szafki z lekami, sprawowała nadzór nad oddziałem. W wozach umieszczano tylko najcięższe przypadki. Pozostałych pacjentów układano na polanie i przykrywano czystymi, szarozielonymi kocami; tu czekali na transport na tyły.

Znów ogarnęły mnie bezsilność i przerażenie. Nie, to nie do zniesienia, pomyślałam. Nie wytrzymam tu ani chwili dłużej. Jak na zawołanie stanął przede mną Jefim.

— Czy Wasza Wysokość czegoś sobie życzy? „Odwieź mnie do ojca!” — coś wołało we mnie w środku, ale powiedziałam jedynie:

— Przynieś mi coś gorącego do picia.

Wrócił z miską kapuśniaku, kromką czarnego chleba i kubkiem herbaty. Kiedy usiadłam na stopniu wozu i za-

brałam się do jedzenia, do Jefima podeszła gniada klacz o pięknym łbie i zaczęła go poszturchiwać.

— Nie przywiązujesz jej? — spytałam zdziwiona.

— Wychowałem ją od źrebięcia. Dotrzymuje mi towarzystwa. —

Opadające brwi i wąsy Jefima uniosły się w uśmiechu, a jego twarz wydała mi się niezwykle sympatyczna.

— Tęsknisz za swoimi towarzyszami? — zapytałam.

— Mam tu łatwą służbę, tylko nie wolno za dużo myśleć. — Rozejrzał się wkoło i wyciągnął organki. — To też pomaga. Czy Wasza Wysokość pozwoli?

Skinęłam głową. — Proszę bardzo.

Przytknął instrument do ust i zaczął wygrywać smętną melodię, pełną tęsknoty za bezkresnymi przestrzeniami, swobodą i dzikością stepów.

Klacz nastawiła uszu. Wszyscy zamilkli.

Wyobraziłam sobie, że pędzę przez step ze Stefkiem. Nagle trafił go pocisk... Otrząsnęłam się z przerażeniem, poklepałam klacz po szyi i wróciłam na salę operacyjną.

Lekarze pracowali całą noc bez przerwy. Zabiegi trwały przeciętnie nie dłużej niż kwadrans, jak w czasach, kiedy nie znano jeszcze środków znieczulających, gdy pośpiech był niezbędny. Naczelnym chirurg, doktor Korniew, szpakowaty mężczyzna po pięćdziesiątce, był profesorem chirurgii na uniwersytecie moskiewskim. Operował znakomicie.

Przechodził od jednego stołu do drugiego, zajmując się najcięższymi przypadkami. Podczas gdy ja obserwowałam go niemal tak uważnie jak moich pacjentów, siostra Marfa kątem oka przypatrywała się młodej księżniczce, która przyjechała na front w poszukiwaniu emocji. Między północą a świtem część personelu odpoczywała; obsługa podzielona była na dwie grupy w taki sposób, by każdy miał cztery godziny snu. Gdy przyszła moja kolej, poprosiłam Marfę Antonownę, by zamiast mnie wyznaczyła kogoś innego, bardziej zmęczonego ode mnie.

— Jutro przez cały dzień i noc będzie tak samo — ostrzegła mnie. — Niech Wasza Wysokość lepiej się prześpi.

— Dziękuję, ale na razie nie jestem jeszcze zmęczona.

— Cóż, dobrze. Ale proszę uważać! Nie życzę sobie, by w środku dnia padła nam Wasza Wysokość z wyczerpania.

Nigdy dotychczas nie zemdlałam i byłam pewna, że nie spotka mnie to również w przyszłości.

O świcie ślaniałam się z wyczerpania; zataczając się wyszłam na dwór. Ale kubek gorącej kawy i miska kaszy oraz cicha modlitwa sprawiły, że znów odzyskałam siły.

Zbliżało się południe. Właśnie skończyłam zabieg i przecierałam twarz odrobiną wody — jej również zaczynało brakować — gdy dobiegł nas jakiś tumult.

Siostra Marfa podeszła do drzwi.

— Jakiś Polak się awanturuje — zameldował sanitariusz. Chce, byśmy natychmiast zajęli się jego księciem.

— Znam polski — powiedziałam. Serce mi zamarło. — Może będę mogła pomóc.

Przed wejściem do wozu stał Adam, ordynans Stefka, i płynną ruszczyzną wygłaszał do zagradzających mu drogę sanitariuszy opinie na temat rosyjskich szpitali polowych i w ogóle wszystkiego co rosyjskie.

Przebiegł mnie zimny dreszcz. Oparłam się o wóz.

Adam zauważył mnie i zawołał po polsku:

— Jaśnie panienko, proszę im kazać zająć się mym księciem!

— Gdzie został trafiony? — spytałam.

— W udo. Krwawi i jest bardzo słaby, zupełnie jak dziecko.

Poleciałam sanitariuszom, by poszli z Adamem po rannego, sprawdziłam, czy stół jest już przygotowany dla kolejnego pacjenta i odważyłam się poprosić doktora Kor-niewa, by zajął się następnym rannym, mym krewnym. Wkrótce sanitariusze wnieśli Stefka. Adam przytrzymał mu głowę, która wystawała poza nosze.

Stefek był bardzo blady, leżał spokojnie, przerażony jak wszyscy, których przynoszono do tego miejsca wzbudzającego trwogę i nadzieję. Ze strachem w oczach obserwował błyskawiczne ruchy rąk, uzbrojonych w narzędzia chirurgiczne, nad bezwładnym żołnierzem leżącym na stole obok i sanitariusza wynoszącego pojemnik z zakrwawionymi opatrunkami i strzępami ciała.

Pochyliłam się nad nim, by go osłonić przed tym wzbudzającym grozę widokiem. Położyłam mu dłoń na policzku i przemówiłam głosem opanowanym, starając się dodać mu otuchy:

— Nie bój się, Stefku. Nie będziesz czuł żadnego bólu.

— Tym razem oberwałem — powiedział i dodał swym zwykłym, nieco kpiącym tonem: — Będziesz mnie wciąż kochała, kiedy utną mi nogę?

— Nie utną jej. Zamknij oczy i spróbuj się odprężyć. Wkrótce będzie po wszystkim.

Odsunęłam się na bok, by sanitariusze mogli go umyć i posmarować jodyną. Ale kiedy nad raną pochylił się chirurg w kitlu poplamionym niczym u rzeźnika, Stefek zawołał:

— Taniu!

— Jestem tutaj — odezwałam się, nakładając mu aparat na twarz.

— Nie pozwól im jej uciąć, nie pozwól, nie... — krzyczał, podczas gdy ja powtarzałam, by zrobił głęboki wdech, i jeszcze jeden, póki jego krzyki nie ustały.

Przeniosłam wzrok z otwartych, nic nie widzących oczu Stefka na twarz chirurga badającego ranę.

— No tak, no tak — mruczał do siebie bardzo zadowolony. — Bardzo blisko pachwiny — odpowiedział na moje nieme pytanie. — Lepiej by było amputować. Jeśli wywiąże się zakażenie... — wymownie potrząsnął głową.

Tak, pomyślałam, jeśli zakażenie dotrze do gruczołów limfatycznych w pachwinie, nie będzie już ratunku. A głośno powiedziałam:

— Sądzę, doktorze, że wolałby umrzeć, niż zostać kaleką.

— Hmmmm. — Chirurg całą uwagę poświęcił ranie. Zrobił nacięcie i znów głosem osoby niezwykle zadowolonej z siebie powtórzył: — No tak, no tak.

Nie amputował nogi.

Jakim wspaniałym człowiekiem jest doktor Korniew, pomyślałam. Jak mogłam kiedyś pomyśleć, że zachowuje się niczym bezduszny automat? Stefek będzie cały i zdrowy. Mnie jest i tak wszystko jedno. Kochałabym go tak samo, nawet gdyby został kaleką. On jednak czułby się jak ptak z podciętymi skrzydłami. Wolałby nie żyć. I dalej sączyłam eter na aparat umieszczony na twarzy mego ukochanego, teraz tak bezbronnego, zdanego na moją łaskę i niełaskę.

Kiedy rana została zaszyta, a noga unieruchomiona w łupkach, kiedy usłyszałam, że serce bije mu mocno i miarowo, zsunęłam maseczkę z ust i odłożyłam stetoskop. Zostałam sama przy stole, na którym leżał mój nieprzytomny kuzyn. Włosy miał zmierzwiłone, wilgotny kosmyk opadał mu na jedno oko. Pełne usta były lekko rozchylone. Zawsze różowe policzki były teraz blade, a pod oczami leżały głębokie cienie. Wyglądał niezwykle młodo, jakby miał nie więcej niż osiemnaście lat. Poczulałam się silna i ogarnęła mnie czułość.

To zazwyczaj mnie opanowywało omdlenie, gdy Stefek spoglądał na mnie lub odzywał się w pewien sposób. A oto teraz on jest bezradny i zdany na moją łaskę, pomyślałam i ręce same wyciągnęły mi się do jego głowy. Przytrzymałam ją; była ciężka i bezwładna. Przekreśliłam ją na bok.

— Mogę teraz zrobić z tobą wszystko, co chcę, Stefku, nawet cię pocałować — szepnęłam i pochyliłam się nad nim.

Pocałowałam go w usta mocno i namiętnie, rozgniatając je, dotykając jego języka, czując jego oddech. Zamknęłam oczy i objęłam go za głowę; nie wiedziałam ani gdzie jestem, ani kim jestem, ani co robię.

Kiedy się ocknęłam, leżałam na swej pryczy.

Marfa Antonowna podtykała mi pod nos sole trzeźwiące.

— Ostrzegałam Waszą Wysokość, że tak się to skończy, jeśli nie będzie panienka odpoczywała. Mam doświadczenie w tej pracy. Wiem, co mówię. No, nie ma się czego wstydzic — dodała, kiedy spojrzałam na nią skruszona. — Nawet naszym doktorom się to czasem przytrafia. Jest z panienki dzielna dziewczyna i wspaniała siostra miłosierdzia. Jak się panienka nieco prześpi i trochę zje, poczuje się jak nowo narodzona. — Podciągnęła mi szorstki koc pod samą brodę.

— Marfo Antonowno, proszę pozwolić mi wstać. Siostra Marfa klepnęła mnie szeroką dłonią.

— Doktor Korniew życzy sobie, by panienka odpoczęła. To rozkaz. Niech Wasza Wysokość będzie taka dobra i się prześpi.

— Muszę zobaczyć, jak się czuje mój ostatni pacjent. Miał słaby oddech... Musiałam... musiałam mu zrobić sztuczne oddychanie... To mój bliski kuzyn, Stefan Zasławski. Muszę go zobaczyć.

Ustąpiła.

— No cóż, dobrze, moja gołąbeczko. Ale przynajmniej napij się herbaty i zjedz biskopt.

Stojąc obok piecyka zjadłam biskopt i popiłam go herbatą. Potem pobiegłam do wozu dla oficerów.

Na samym końcu wozu, w którym po obu stronach przejścia leżeli ranni, ujrzałam Stefka. Był tak wysoki, że swym długim ciałem wypełniał również przejście. Poruszył się. Przykucnęłam obok niego. Wykrzywił usta i wymiotował do podsuniętego basenu. Wytarłam mu twarz wilgotną ściereczką. Opadł bezwładnie na posłanie i zamknął oczy. Wyglądał jak ośmioletni chłopczyk leżący na pryczy w pałacowym lochu po pamiętnej chłości.

— Chce mi się pić — poskarżył się tym samym, chłopięcym głosem. Wsunęłam mu do ust szklaną rurkę.

— Tylko jeden łyk, bo inaczej znowu dostaniesz torsji. Napił się trochę przez rurkę, a potem spojrzał na mnie uważnie.

— Ciagle ją mam?

— Tak, obydwie. — Wiedziałam, że pyta o nogę. Uśmiechnął się radośnie i z ulgą.

— Szczęściarz ze mnie! Gdyby Kazik nie wciągnął mnie w porę do leja po bombie, już by było po mnie. A ja zagroziłam mu sądem polowym za nieusłuchanie mojego rozkazu, by jechał dalej.

Zmówiłam w duchu dziękczynną modlitwę. Niech Kazik będzie błogosławiony. Potem, widząc grymas na twarzy Stefka, powiedziałam:

— Zaraz przyniosę ci jakiś środek przeciwbólowy... Zanim doliczysz wolno do dwudziestu, już będę z powrotem.

Przeszłam na drugi koniec wozu, starając się zachować spokój. Siostra dyżurna oświadczyła, że brakuje morfiny. Zostawia się ją dla najcięższych przypadków.

— Siostro, jeśli nie da mi siostra morfiny dla tego oficera, to narobi takiego harmideru, że będzie go słycać aż w okopach wroga — powiedziałam. — Ma głos jak dzwon. Znam go.

Krzyki jednego pacjenta mogą doprowadzić do tego, że zaczną jęczeć wszyscy ranni na sali, i wtedy powstaje prawdziwe piekło. Dostałam morfinę.

— Jesteś dzielnym chłopcem, Stefku. Po tym od razu poczujesz się lepiej.

— Przetarłam mu ramię spirytusem i wbiłam igłę. Wysunęłam nieco tłoczek, by upewnić się, że nie trafiłam w żyłę, a potem wstrzyknęłam morfinę. Stefek przyglądał mi się trochę nieufnie, ale kiedy lekarstwo zaczęło działać, jego twarz się odprężyła.

— Widzisz, już przeszło. — Poglądziłam go po głowie. — A teraz spróbuj usnąć. Zajrzę do ciebie, jak tylko będę miała chwilkę czasu.

— Ciagle chce mi się pić.

Znów dałam mu przez rurkę trochę wody.

— Chyba zaraz wszystko zwrócę. Podstawiłam mu basen do ust.

— Jeśli będziesz czegoś potrzebował, zawołaj sanitariusza. — Chciałam wstać, ale chwycił mnie za rękę. Mimo że był osłabiony, trzymał mnie mocno. — Stefku, puść mnie.

— Czy nie pocałujesz ранego nieszczęśnika? Wspomnienie pocałunku, o którym nic nie wiedział, wywołało rumieniec na mych policzkach. Jego widok sprawił mi prawdziwą przyjemność.

— Najpierw puść moją rękę. — Zwolnił uścisk, a ja musnęłam lekko jego usta. Czuć je było wymiocinami i eterem, ale były tak delikatne, że znów zaczęło mnie ogarniać rozkoszne omdlenie. — Cześć, Stefku — powiedziałam i wyrwałam mu się.

U wejścia do wozu wpadłam na Adama. Poleciałam mu, by poszedł do swego pana.

W drodze do wozu operacyjnego zatrzymał mnie przystojny, młody chorąży z insygniami ułanów zasławskich.

— Taniu, jak się czuje Stefek? — spytał płynną angielszczyzną.

— Na razie dobrze, Kaziku. — Bo był to Kazimierz, który przyszedł się dowiedzieć o zdrowie swego najlepszego druha. — Możesz się teraz z nim zobaczyć.

Kazimierz rozejrzał się po polance i zrobił identyczną minę jak Stefek.

— Niezbyt tu zabawnie, prawda?

— Tak. Ale operacja się udała. Powtórz to wujowi Stachowi. Powiedz mu również, by natychmiast przysłał ambulans. Jeśli Stefek nie ucieknie od tego brudu, może się wdać zakażenie... i wtedy grozi mu śmierć — dokończyłam z trudem.

— Zajrzę na chwilę do Stefka i natychmiast wyruszam z meldunkiem do pułkownika. Ma szczęście, że tu jesteś! — Kazimierz uścisnął mi dłoń.

— Kaziku, zaczekaj chwileczkę — poprosiłam go. — Powiedz mi, jak do tego doszło.

— Taniu, to był prawdziwy pech! Nocny patrol potwierdził, że w linii nieprzyjaciela jest luka. — Mówił mi o tej, którą poprzedniego dnia dostrzegł ojciec swym doświad-



czonym okiem. — Otrzymaliśmy rozkaz dokonania wypadu; jednocześnie wroga miała zaatakować piechota, by odwrócić jego uwagę. Akcja się udała. Napotkaliśmy bardzo mały opór. Znaleźliśmy się przy działach nieprzyjaciela, zanim Austriacy zorientowali się, co się dzieje. Doszło do prawdziwej rzezi. W drodze powrotnej, kiedy byliśmy już między naszymi liniami, zaczęły spadać bomby. Nie mogliśmy uwierzyć, że Stefek został trafiony. Mimo ostrzału cały pluton się zatrzymał. Stefek zaklinał nas, byśmy... byśmy uciekali...

— Wiem, że nie posłuchałeś rozkazu, by ratować mu życie.

— Eee tam. Zaczerwienił się. — Każdy postąpiłby na moim miejscu tak samo. Za dzisiejszą akcję Stefek dostanie order św. Jerzego — powiedział, a po chwili dodał zaniepokojony: — Źle wyglądasz.

— Nic mi nie będzie. — Zmusiłam się do uśmiechu i wróciłam do pracy. Mniej więcej co pół godziny zaglądałam do swego kuzyna. Nie czuł się najlepiej; pierwsza dawka morfiny przestała działać, a o drugiej nie było co marzyć. Wiedział jednak, że inni znajdują się w cięższym stanie i że grymaszenie byłoby ujmą dla honoru oficera.

Jeszcze przed zachodem słońca przyjechał po niego ambulans z lekarzem i pielęgniarką. Pokazałam noszowym, gdzie leży Stefek. Kiedy mu przyniosłam dobrą nowinę, oświadczył:

— Nie życzę sobie żadnego specjalnego traktowania.

— Przyszły Rex Poloniae to osoba wyjątkowa. Stefek zrobił nadąsaną minę.

— Pojedziesz ze mną? Pokręciłam przecząco głową.

— Przecież cię potrzebuję!

— Będiesz otoczony doskonałą opieką. Inni bardziej mnie potrzebują. Próbował złapać mnie za rękę, ale nie udało mu się. Przypasano go do wyjątkowo długich noszy i wyniesiono. Kiedy zobaczył leżących na polanie rannych, czekających na transport, zażądał, by ambulans zabrał tylu chorych, ilu się tylko pomieści.

Poleciałam sanitariuszom, by zanieśli do karetki jeszcze trzech rannych. Słyszając sprzeciw niebieskookiej angielskiej pielęgniarce, odparłam: — Księżna Zasławska na pewno nie będzie miała nic przeciwko temu. — Od razu poczułam do niej antypatię. Potem opisałam szwajcarskiemu lekarzowi *debndement* rany Stefka i przekazałam zalecenia pooperacyjne. — Bardzo nam pani pomogła, siostró — powiedział doktor z kamienną twarzą. — Ufam, że damy sobie radę. Byłam zbyt zmęczona, by zareagować na jego ironiczną uwagę. Uczyniłam nad Stefkiem znak krzyża i położyłam dłoń na jego bladym, nie ogolonym policzku. — Ucałuj ode mnie cioteczkę. Poproś, by wybaczyła mi moje zachowanie w Zasławiu. Bądź dobrym pacjentem. Niech Bóg cię ma w swej opiece. — Odwróciłam się, by nie zobaczył moich łez. Czemu płaczę? — zastanawiałam się, spoglądając za niknącym w chmurze czerwonego pyłu ambulansem. Słone łzy spływały mi na spierzchnięte wargi. Powinnam się przecież cieszyć, że Stefek odjechał. Teraz nic mu już nie będzie groziło, będzie cały i zdrow. Odwróciłam się w stronę polanki i znów ujrzałam ten sam ponury obraz: osmalone, bezlistne drzewa, umazani krwią sanitariusze, krzątający się między zakrwawionymi mężczyznami leżącymi na przesiąkniętej krwią ziemi. Z prawej strony płonął stos zużytych bandaży; unoszący się tam dym szczypał w oczy, a swąd przyprawiał o mdłości. Na lewo stały konie; machały ogonami i podrzucały łby, opędzając się przed muchami. Było wciąż parno i gorąco. Każdy przejeżdżający pojazd unosił tuman kurzu, który osiadał na drzewach i dachach wozów, na rannych oraz na ziemi. Wczoraj, kiedy tu przyjechałam, wszystko wyglądało tak samo. I tak samo będzie jutro i pojutrze... nie było widać końca.

Po zmroku na polance zapłonęły lampy.

W nocy wóz, w którym spałam na pryczy, drżał od przeciągłego dudnienia. Rozpoczął się odwrót. Przez całą noc artyleria, pociągi transportowe, kuchnie polowe, konne oddziały karabinów maszynowych, ambulanse, pułki kawalerii i kolumny piechoty mijały nasz szpital, kierując się na północny-wschód.

O świcie, ledwie zdążyłam się ubrać i nieco pokrzepić przed całodzienną pracą, na polance zatrzymał się odkryty wóz z rosyjską flagą.

— Generał książę Siłomirski chce się zobaczyć z Jej Wysokością — zameldował Jefim.

Pobiegłam do samochodu, a zziajana siostra Marfa za mną. Rzuciłam się ojcu na szyję.

— No, moja mała, masz już dosyć? — Ujął mnie pod brodę. —

Pojedziesz ze mną i dołączysz do Stefana? — A kiedy przecząco pokiwałam głową, zwrócił się do mnie i do Marfy Antonowny: — Niebezpiecznie tu zostawać. Wasz szpital będzie ewakuowany w ostatniej kolejności. Między wami a wrogiem są tylko dwa pułki piechoty, batalion saperów, oddział Kozaków i ułani zasławscy. To doborowe jednostki. Wiedzą, że odpowiadają za bezpieczeństwo wycofującego się wojska. Ale podczas wojny nie wszystko da się przewidzieć. Możecie dostać się do niewoli. Możecie znaleźć się w strefie silnego ostrzału. Jak mogę pozwolić, by moja córka narażała się na niepotrzebne ryzyko?

— Decyzja należy do Waszej Ekscelencji — powiedziała Marfa Antonowna. — Ale będzie nam brakowało Tatiany Piel równy.

— Papo, przecież sam mnie uczyłeś, bym się nie bała niebezpieczeństw i podejmowania ryzyka. Pochodzę z rodu Ruryka i jestem chrześnicą cara. Gdyby Tatiana Nikołajewna była na moim miejscu, czy nie pozostałaby? I co by sobie o mnie pomyślała, gdybym uciekła? Poza tym — dodałam — osłaniają nas ułani zasławscy. Będziemy bezpieczni.

Wszechwładny dowódca korpusu był bezsilny wobec swej córki.

— Młody Łomatow-Moskowski, nasz krewny, dowodzi batalionem saperów. Polecę was jego szczególnej tropce. Cóż, Taniu — ojciec pochylił się, by mnie pocałować — niech cię Bóg ma w swej opiece. — Pobłogosławił mnie i odjechał.

Dzień przyniósł kolejną falę rannych i nieludzkie zmęczenie. Brakowało wody i lekarstw. Pracowaliśmy, stając się coraz bardziej nieczuli, obojętni i zacięci w obliczu tego morza nieszczęść, któremu miał stawić czoło nasz szpital polowy. Chirurdzy byli opryskliwi wobec pielęgniarek, pielęgniarki wobec sanitariuszy, a sanitariusze wobec rannych.

Staralam się nie tracić panowania nad sobą. Ponieważ byłam młoda i bardzo krótko jeszcze pracowałam, przychodziło mi to łatwiej niż innym. Zamieniłam się obowiązkami z korpulentną siostrą przełożoną, Marfą Antonowną. Ona usiadła na moim stołku anestezjologa przy stole numer jeden, a ja przejęłam jej funkcje, to znaczy odpowiadałam za salę operacyjną. Wyznaczałam kolejność zabiegów, uwzględniając stan rannych, wydawałam polecenia pielęgniarkom i sanitariuszom, rozdzielałam leki, prowadziłam książkę zabiegów. Mówiłam chirurgom, kiedy i jak długo mogą odpoczywać.

Kiedy w pewnej chwili doktor Korniew usiadł na taborecie, ukrył twarz w dłoniach i zaczął łkać, położyłam mu dłoń na ramieniu i tak długo do niego przemawiałam, aż się wreszcie uspokoił. Potem poleciłam mu, by poszedł odpocząć. Podporządkował się memu poleceniu, podobnie jak czynili to inni.

W chwilach wolnych od zajęć administracyjnych, gdy chirurgom brakowało asystentów, trzymałam rozwieracze,

wycierałam krew i zszywałam zewnętrzne warstwy ran. Przydały się teraz moje wyszywanki ściegami chirurgicznymi.

W tych dniach wyteżonej pracy przypominałam sobie wszystko, czego kiedykolwiek się nauczyłam. Jeszcze bardziej użyteczne od mojej dziewięciomiesięcznej praktyki okazały się: umiejętność wielogodzinnego wystawiania, nabyta podczas mszy i uroczystości dworskich, w których uczestniczyłam od najmłodszych lat, surowe wychowanie pod okiem Grandmaman oraz nauki Wiery Kiryłowny, dotyczące samodyscypliny, zabawy w wojnę i nauczanie się przy Stefku stoicyzmu, potajemne studia anatomiczne, branie przykładu z hartu ducha Tani i jej zdolności do wyrzeczeń, a przede wszystkim słowa ciotki Zofii: „Wojna jest nie do zniesienia, jednak trzeba ją znieść. Myślę, że takie jest całe życie, to próba sił i odwagi”.

— Boże, dodaj mi sił — powtarzałam jak zakłęcie i wraz ze wzrostem obowiązków przybywało mi energii.

Minęły dwa kolejne dni. Każdy przejeżdżający wóz zabierał po kilku rannych. Umieszczano ich w pojazdach z zaopatrzeniem, na platformach z karabinami maszynowymi, na pozbawionych resorów chłopskich furach, na każdym skrawku wolnego miejsca. Ranni żołnierze opanowani panicznym strachem przed dostaniem się w ręce wroga gotowi byli za wszelką cenę opuścić szpital, mimo że często później, nie mogąc znieść trudów podróży, błagali, by ich zostawić na poboczu drogi i pozwolić umrzeć. Wszyscy to rozumieli i robili miejsce dla innych. Gdyby nawet któryś woźnica próbował zignorować wezwanie pielęgniarki do zatrzymania się, i tak pojazdy znajdujące się z przodu tarasowały drogę. Na nieużytego woźnicę sypał się zewsząd grad przekleństw. Zabierał więc rannych i cieszył się, że tylko na przekleństwach się skończyło. Rankiem trzeciego dnia odwrotu, kiedy z pomocą Jefima kierowałam ewakuacją rannych, na szosie pojawił się zamknięty powóz. Gdy na nasze żądanie woźnica zatrzymał

pojazd, jakaś elegancka dama wychyliła przez okno swą śliczną główkę w olbrzymim kapeluszu ozdobionym strusimi piórami i spytała o powód postoj. Odmówiła zabrania rannych i pokazała specjalną przepustkę podpisaną przez dowódcę korpusu.

W normalnych warunkach na widok takiego zaświadczenia pozwolono jej jechać dalej. Podeszłam do powozu i odezwałam się po francusku:

— Jestem pewna, że madame będzie tak dobra i użyczy swego komfortowego pojazdu tym paru nieszczęśnikom.

— Użyczyć swego powozu! Widzę, mademoiselle, że pochodzisz z dobrej rodziny, ale, niestety, nie nauczono cię dobrych manier. Uważam twoje żądanie za zuchwałość.

— Skoro nie chce pani, madame, jechać razem z rannymi, proszę usiąść na koźle obok woźnicy. Chyba że woli pani iść pieszo? — powiedziałam i poleciłam Jefimowi, by opróżnił pojazd.

— Generał książę Siłomirski jest moim bliskim przyjacielem — oświadczyła kobieta, wysiadając razem z wystraszoną pokojówką. — Osobiście zamelduję mu o tej zniewadze.

— Bardzo proszę, madame. — Na myśl, że ta kobieta może być kochanką ojca, jeszcze bardziej się zirytowałam. — I proszę nie zapomnieć mi powiedzieć, że winę za to ponosi jego córka.

Widocznie moje słowa wywarły na niej wrażenie, bo szybko usiadła obok woźnicy. Za nią mniej zgrabnie wdrapała się na kozioł pokojówka. W powozie ulokowano rannych i elegancki ekwipaż odjechał.

Jakiś żołnierz zatrzymał się przede mną.

— No, siostrzyczko, niezłą dałaś nauczkę tej zarozumialej paniusi w kapeluszu z piórkiem — zakrzyknął do mnie.

Jcfim ściągnął brwi, podskoczył do zuchwałego żołnierza i chwycił go za bluzę.

— Uważaj na słowa! Mówisz do najjaśniejszej księżniczki Siłomirskicj!

— Jefim, zostaw go. Wszystko w porządku — zwróciłam się do speszzonego żołnierza, który truchcikiem pobiegł za swoim oddziałem. Cały ten incydent sprawił mi przykrość. Stwierdziłam, że nie zawsze potrafię zachować zimną krew i ograniczyłam się do pracy na sali operacyjnej.

Operowaliśmy do ostatniej chwili. Trzy wozy pojechały przodem, między innymi wóz mieszkalny personelu, w którym też umieściliśmy rannych. Wreszcie, po długim czekaniu, pozwolono także nam szykować się do drogi. Cały sprzęt spakowaliśmy w ciągu niespełna dziesięciu minut.

— Chwała ci, Boże! — wykrzyknęła Marfa Antonowna, robiąc znak krzyża.

Wszyscy się przeżegnaliśmy, nawet główny chirurg, który był niewierzący. Woźnica wsunął głowę do środka wozu i spytał, czy można zaprzęgać konie.

— Oczywiście, i to szybko, na co jeszcze czekasz? — krzyknęła siostra Marfa, wyrażając to, co czuliśmy wszyscy — że ten budzący grozę koszmar musi się natychmiast skończyć, bo inaczej nie skończy się nigdy. Pociski zaczęły padać tak blisko, że ziemia zasypywała dach wozu. Poszycie lasu płonęło. Przyprawdzono rżące ze strachu konie. W końcu wóz znalazł się na drodze. Kiedy ruszyliśmy, cały szesnastoosobowy personel szpitala — chirurdzy, pielęgniarki, sanitariusze — ułożył się potem na płaszczech rozciągniętych na podłodze, z której dopiero co zmyto krew. I natychmiast wszyscy zapadli w kamienny sen, ukołysani bujaniem pojazdu.

Nagle poczułam odrazę do tego cuchnącego wnętrza. Przecisnęłam się przez wąskie przejście i usiadłam między woźnicą i Jefimem. Zdjęłam czepeczek i położyłam go na poplamionym krwią fartuchu. Zapadał zmrok. Horyzont czerwienił się w promieniach zachodzącego słońca i blasku płonących pól. Między kłębami czarnego dymu i warstwą równie czarnych chmur widoczny był pas nieba. Wokół płonęły lasy — sztab generalny przyjął taktykę spalonej

ziemi i nawet ojciec nie był w stanie dłużej opóźnić jej wprowadzenia w życie. Po upalnym dniu nastąpił gorący wieczór. Na skutek wyczerpania nerwowego oraz zmęczenia chwyciły mnie dreszcze. Opatuliłam się peleryną i oparłam głowę na ramieniu Jefima.

Obudził mnie przyjemny chłód. Zaczęło padać. Jefim okrył mnie płaszczem przeciwdeszczowym. Zapadła noc. Przed sobą widzieliśmy kołyszące się lampy jadącego wozu. Nasze konie przeszły w trucht, uprząż skrzypiała i dzwoniła. Obok lekko biegła osiodłana i objuczona klacz Jefima. Wiedziałam, że wokół mnie w mroku idą setki osób, słyszałam ich ciężkie kroki, odgłosy kopyt końskich, ale nie potrafiłam się skupić, by pomyśleć, co jest przyczyną tego exodusu. Było mi to właściwie obojętne. Ramię Jefima było silne i szerokie jak ramiona ojca i Stefka. Czułam się bezpieczna. Ponownie obudziłam się, kiedy wóz przejeżdżał przez wieś, w której zaledwie tydzień temu spędziłam noc. Teraz tylko paru Żydów przypominających w swych czarnych chałatach kruki spoglądało zza kominów, sterczących nad rozpadającymi się ścianami chałup. Rozejrzałam się nic nie rozumiejącym wzrokiem i znów usnęłam.

28 czerwca 1915 roku nasz szpital polowy dotarł do Lublina, wyprzedzając o dwa dni drogi siły niemiecko-austriackie generała von Mackensena. Tutaj utknęliśmy, a przyczyną była paniczna ucieczka ludności z tego kilkuset-tysięcznego miasta.

Panował nieopisany chaos. Na wozy pośpiesznie ładowano pościel i naczynia kuchenne, ulicami miasta przepędzono krowy, świnie, kozy i gęsi, szabrownicy wyciągali z płonących magazynów i spichlerzy worki pełne towarów. Uciekający zbyt się bali, by zwracać uwagę na złodziei, ci ostatni zaś byli zbyt chciwi, by odczuwać strach.

Bałagan zmniejszał się w miarę, gdy uciekinierzy przyłączali się do ciągnącego na wschód wojska. Niczym górskie potoki, wpadające do szerokiej rzeki, ludzka fala traciła swój impet, zaczynała płynąć wolno, nic uskarżając się, posuwając



się jakby w odrętwieniu. Można tu było spotkać żołnierzy obok cywilów, chłopów w maciejówkach i butach z cholewami, poganiających swoje zwierzęta, wozy z piętrzącą się pościelą, obwieszone garnkami, kobiety w białych chustach z tobołkami na kijach, elegantki w słomkowych kapeluszach, kryjące się pod parasolkami przed promieniami słońca. Jechałam skrajem drogi na klaczy Jefima, a on szedł obok mnie. Ustąpiliśmy naszych miejsc obok woźnicy dwóm nauczycielkom w średnim wieku. Jadący w wozie ranni, bezlitośnie potrąceni, jęczeli i błagali o wodę. Młody, postrzelony w brzuch rekrut, płakał żałośnie. Zsiadłam z konia, by wstrzyknąć mu morfinę.

— Wybacz, siostrzyczko, ale tak mnie strasznie boli

— tłumaczył się.

— Zaraz przestaniesz. I już niedługo będziesz w domu. — W domu — powtórzył. — Ale będzie święto! Matka

przyrządzi pierogi z kapustą. Lubisz pieróg z kapustą, siostrzyczko?

— Bardzo — skłamałam. — Wkrótce wszyscy wrócimy do domów i będziemy jedli pierogi z kapustą.

Znów dosiadłam konia. Bardzo wysoki, niezwykle wyczerpany młody oficer na okrytym kurzem wierzchowcu utorował sobie drogę między maszerującymi i zbliżył się do mnie.

— Jak się czujesz, Taniu! — powitał mnie wyborną angielszczyzną. — Ledwo udało mi się przedostać przez te tłumy!

— Ł-M! — Był to mój daleki kuzyn, książę Łoma-tow-Moskowski, z linii Rurykowiczów, którego nazywaliśmy po prostu Ł-M. — Ojciec mówił mi, że jesteś w tylnej straży.

— Tak, my saperzy mamy ten wątpliwy zaszczyt kroczyć na samym końcu cofających się wojsk. Z ulgą dostrzegam, że trzymasz się dzielnie, choć jesteś trochę przemęczona.

— Ł-M przyjrzał mi się uważnie swymi ciemnymi, bizantyjskimi oczami, a potem się uśmiechnął. — Kiedy widziałem cię ostatni raz, miałaś na sobie suknię z różowego atlasu. Było

to w galerii św. Jerzego w Pałacu Zimowym, na samym początku wojny. Sprawiałaś wrażenie... uduchowionej.

— Tak się czułam. Cóż za kontrast! — Spojrzałam na żalną scenę wokół nas.

— *C'est la guerre* — stwierdził mój towarzysz. — Uważaj!

Słyszając wołanie „Z drogi! Z drogi!” i dźwięk trąbki, ludzka rzeka się rozstąpiła, by przepuścić samochód sztabowy. Powstało zamieszanie. Krowa nastąpiła jakiemuś dziecku na nogę. Koń wyrwał się z zaprzęgu i pognał przez pola. Wzburzona rzeka zawirowała, zakotłowała się, a potem znów zaczęła płynąć spokojnie.

Mój krewny wyciągnął notatnik.

— Cóż, przynajmniej oszczędzono ci widoku Żydów wieszanych na gałęziach drzew — zauważył, notując coś. — Twój ojciec nie pozwala na takie „patriotyczne” akcje.

— To przechodzi ludzkie pojęcie — powiedziałam z gniewem i niedowierzaniem. — Czy widząc coś takiego też mówisz „*c'est la guerre*”!

— Na początku wojny nie. Ale to zdumiewające, jak szybko można przywyknąć do rzeczy, które początkowo nie mieszczą się człowiekowi w głowie. Podejrzewam, że stanowi to element wojny totalnej. Ciekaw jestem, co powiedziałby na to Tołstojowski książę Andrzej, zagorzały przeciwnik wojny dżentelmeńskiej.

— Książę Andrzej uważał, że wojen nie będzie dopiero wtedy, gdy wszyscy w takim samym stopniu uznają je za odrażające.

— Wątpię, by to kiedykolwiek nastąpiło. Ludzie są nadzwyczaj wytrzymali na wszelkie okropności, może nawet odczuwają niezaspokojony apetyt na nie.

Czy Ł-M był aż takim cynikiem, czy to jedynie poza? Z uwagą przyjrzałam się swemu rosyjskiemu krewnemu. Był parę lat starszy od Stefka; studiował historię na Oxfordzie i wrócił do Piotrogradu tuż przed wybuchem wojny, ale zdążył jeszcze niejednej panience z dobrego domu zawrócić

w głowie. Był wyniosły i niezwykle opanowany; uważałam go za wyjątkowo próżnego. Teraz, wciąż elegancki, mimo że jego szary mundur był zakurzony, sprawiał wrażenie człowieka, który dobrze poznał życie. Walczył w okopach. Widział przerażające rzeczy, z których istnienia ja nie zdawałam sobie nawet sprawy, podobnie jak moja imienniczka nie miała pojęcia, jak wygląda odwrót.

— Cóż, przynajmniej ta wojna przyniesie wolność Polakom. —

Próbowałam znaleźć coś pocieszającego w tym wszystkim.

— Będą musieli sami ją sobie wywalczyć.

— A gwarancja autonomii dana przez cara, a manifest wielkiego księcia Mikołaja?

— Polityczny wybieg, by zyskać sobie poparcie Polaków.

— Nie wierzę! Jego Wysokości nie można zarzucić takiej dwulicowości!

Ł-M spojrzał na mnie spod oka.

— Przepraszam za swój nietakt. Zapomniałem, że niemal należysz do rodziny Romanowów. — Zaproponował mi trochę wody ze swej manierki.

Uświadomiłam sobie, jak bardzo chce mi się pić oraz że marzę, by znaleźć się w Carskim Siole, otoczona spokojną, rodzinną atmosferą.

Z zadumy wyrwał mnie Ł-M.

— Trudno mi sobie wyobrazić, że jesteś aż tak zżyta z córkami cara.

Jesteś niezwykłą dziewczyną, podczas gdy one, mówiąc szczerze, sprawiają wrażenie niezwykle konwencjonalnych.

— Nie dano im szansy, by były inne. Są nadzwyczaj szczerze i... dobre!

— To dla nich prawdziwe szczęście, że mają ciebie za przyjaciółkę. —

Dojrzałam w oczach Ł-M łagodny uśmiech, przypominający nieco wyraz oczu ojca.

Również się uśmiechnęłam.

Przed każdym wąskim mostem na licznych rzeczках Wyżyny Lubelskiej ludzki strumień kipiał gniewem. Kierowcy wojskowych ciężarówek pokrzykiwali na cywilów, by

zeszli z drogi, a potem zaczęli się spierać między sobą o pierwszeństwo przejazdu. Na most wjechały jednocześnie kuchnia polowa i platforma z karabinami maszynowymi. Kuchnia się przewróciła. Rozległy się gniewne okrzyki skierowane przeciwko obsłudze karabinów maszynowych.

— Po co nam one? Przecież i tak nie ma amunicji. A musimy czymś napełnić nasze żołądki!

Ł-M wysforował się do przodu; wywijając nahajką wydał kilka suchych rozkazów i przywrócił porządek. Postawiono wywróconą kuchnię polową. Ludzka rzeka popłynęła dalej.

Ł-M znów coś zapisał w swym notesie.

— Bunt i dezercja wiszą w powietrzu — zauważył obojętnym tonem. — Rosyjski żołnierz stał się podatny na rewolucyjną propagandę. Jeśli zostaniemy pokonani, znów powtórzy się rok 1905, ale na znacznie większą skalę.

Wyobraziłam sobie smukłą Tanię w białej koronkowej sukni, stojącą w chińskim ogrodzie w Carskim Siole, i nadciągający niczym chmura rozzłoszczony tłum. Czy oddział Kozaków, pilnujący dzień i noc Pałacu Aleksandrowskiego, da radę obronić ją i jej bliskich?

— Nie zostaniemy pokonani! — powiedziałam. — To wykluczone!

Wraz z upływem dni, maszerujących coraz częściej zawodziły nerwy.

Zarówno cywilom, jak i żołnierzom jednakowo doskwierał upał.

Rannych, którzy nie dojechali do domów, gdzie czekały na nich matki i pieróg z kapustą, chowano na skraju drogi; ksiądz odprawiał nad grobem krótką modlitwę, w ziemię wtykano nie heblowany, drewniany krzyż.

Padłe zwierzęta zostawiano na polach. Ich toczone przez robaki trupy, porzucony ludzki dobytek, połamane fury i powozy znaczyły wśród płonących zbóż drogę ucieczki przed nadciągającymi Austriakami i Niemcami.

O świcie Ł-M opuścił mnie, by przyłączyć się do swego oddziału, a my rozbiliśmy obóz w lesie. Sceneria przypominająca cygański tabor przywodziła mi na myśl wigilię dożynek, a nie ucieczkę przed najeźdźcą. Ten obraz spokojnych,

a nawet radosnych zajęć, prowadzonych w samym środku wojny i zniszczenia, nie uderzał mnie już jako coś absurdalnego. Zrozumiałam, że Ł-M miał rację: ludzie rzeczywiście odznaczyli się niezwykleymi zdolnościami przystosowawczymi. I to zmaganie się z prozą życia chroniło mnie przed załamaniem, które mógł wywołać tragizm toczącej się wojny. Moją główną troską była walka z brudem, jedynym pragnieniem — gorąca kąpiel.

Miało się ono wkrótce spełnić. Jeszcze nie skończono wypręgać koni, gdy pojawili się trzej oficerowie, jeden z nich siwowłosy i majestatyczny. Twarz ojca nie była już taka świeża i zaróżowiona, ale jego dumna uroda nigdy jeszcze nie wywarła na mnie takiego wrażenia.

Domyślił się mego pierwszego pytania. — Stefan jest bezpieczny, znajduje się pod opieką matki w szpitalu katolickim w Mińsku. Kazimierz zostanie awansowany na porucznika. Ułani zasławscy przeszli samych siebie. Twoja bliska obecność dodawała im skrzydeł. Ojciec przyjrzał mi się drwiąco, ale z wyraźną dumą. — Ach, mam też dla ciebie list z Carskiego Sioła.

Pojechałam pożyczonym wozem do kwatery ojca, znajdującej się w namiocie. Mocząc się w gorącej wodzie, którą wypełniono przenośną wanną, przeczytałam dostarczony przez carskiego kuriera dwustronicowy list od swojej imienniczki.

Dołączona była do niego pocztówka własnej roboty. Z jednej strony był rysunek, wykonany przez Olgę, przedstawiający mnie w stroju pielęgniarki wysiadającej z ambulansu. Na odwrocie Tatiana Nikołajewna napisała: „Podziwiamy cię. Zazdrościmy ci. Tęsknimy za tobą.” Maria i Anastazja dopisały po jednej linijce, a Aleksy wyrysował rządka pocałunków. Na samym dole było kilka słów skreślonych ręką samego cara. „Modlimy się za ciebie i za naszych dzielnych żołnierzy. Niech Bóg cię ma w swej opiece, moja chrześnico”. Od Aleksandry nie było ani słówka. Brak aprobaty z jej strony popsuł mi nieco radosny nastrój.

Po kąpieli nałożyłam czystą koszulę ojca i zanim położyłam się spać, napisałam do Stefka i do przyjaciółek z Carskiego Sioła. W liście do mej imienniczki nie wspomniałam o kuzynie, bo wiedziałam, że list zostanie pokazany innym i będzie drobiazgowo analizowany.

Zanim zatrąbiono na pobudkę, Siemion, wierny ordynans ojca, podał nam śniadanie, które zjedliśmy *a deux*, jak za czasów mej nauki w Instytucie Smolnym. Ojciec podyktował rozkaz dzienny jeszcze przed świtem, więc mieliśmy pół godziny tylko dla siebie.

— Opowiedz mi, jak jest w tym szpitalu polowym — poprosił. — Ale najpierw muszę ci przekazać słowa przeprosin od pani Antoinette za jej samolubną postawę wobec rannych. Nie ma do ciebie pretensji.

— To ładnie z jej strony — powiedziałam. Ojciec spojrzał na mnie spod oka.

— Pani Antoinette oddała nam do dyspozycji swój dom. Przez całą zimę mieścił się w nim mój sztab. Miałem wobec niej dług wdzięczności.

Czyli, że była kochanką ojca, pomyślałam.

Wyraz jego twarzy jasno mówił: „Nigdy nie powinnaś mieć brzydkich myśli. Nie dodają uroku twojej ślicznej buzi”. Nie mogłam się powstrzymać, by nie zapytać:

— Czy powtórzyła ci, że jakiś żołnierz nazwał ją „zarozumiałą paniusią”?

— A gdy ojciec zmarszczył brwi, dodałam: — Ł-M mówi, że w powietrzu wisi bunt. — Opowiedziałam o wyścigu między kuchnią polową i platformą z karabinami maszynowymi, a także przekazałam mu refleksje naszego krewnego.

— Na froncie zawsze w powietrzu wisi bunt — stwierdził ojciec.

— Właśnie dlatego tak ważna jest dyscyplina. Jeśli zaś chodzi o rewolucję, to zagraża nam od dnia twych narodzin. Najlepszym sposobem uniknięcia jej jest wygranie wojny. I to jest naszym celem. — Zmrużył oczy w uśmiechu pełnym czułości i dumy. — A teraz opowiedz mi w skrócie o swoich innych przygodach.

Zdałam mu szczegółową relację.

— Zauważyłam coś dziwnego, papo — stwierdziłam, kończąc swą opowieść. — Początkowo wszystko na froncie wydawało mi się bezsensownym koszmarem. Nie mogłam się doczekać, kiedy się to wreszcie skończy. A teraz tęsknię za szpitalem polowym. Czuję, że do niego należę, mimo że praca w nim jest taka straszna.

— Właśnie to samo odczuwa żołnierz wobec swych towarzyszy broni. Wiesz, że brzydzę się wojną, lecz kiedy tylko mam możliwość dowodzenia, czuję się przydatny.

Ojciec rozmawiał ze mną jak równy z równym. Po raz pierwszy nie byłam wyłącznie jego małą córeczką. Zdobyłam podziw i uznanie osoby na opinii, której mi zależało. Była to chwila triumfu.

— A więc ciągnie cię z powrotem do szpitala? — spytał ojciec. — A co ze Stefanem? Obawiam się, że mu się to nie spodoba.

Ojciec uśmiechnął się lekko i zrozumiałam, że ani trochę nie przeszkadza mu to, iż Stefek będzie niezadowolony. A więc tata jest też zazdrosny, pomyślałam i uśmiechnęłam się w duchu. A potem przypomniałam sobie swój potajemny pocałunek, miękkość warg Stefka, jego mocny uścisk. Nie oczekiwałam od Stefka aprobaty, pragnęłam go. Przy tym pożądaniu blakła nawet moja radość z uznania i podziwu ojca. Stoczyłam ze sobą wewnętrzną walkę. Być w pobliżu Stefka to nie to samo, co być z nim, pomyślałam. To teraz niemożliwe. Przebywanie w pobliżu ukochanego sprawi, że będzie mi jeszcze trudniej zapanować nad sobą. Natomiast na froncie nie ma czasu na jałowe rozmyślania. Na froncie mogę być kobietą silną i użyteczną, a nie wyłącznie zakochaną dziewczyną.

— Napisałam do Stefka, tatusiu — powiedziałam. — Spróbowałam mu wyjaśnić, że jeśli nie amputowano mu nogi, a rana się goi, to jedynie dlatego, że pracowałam w szpitalu polowym i pomagałam doktorowi Korniewowi. Ilu podobnych jemu żołnierzy może zostać kalekami, jeśli mnie zabraknie? On to zrozumie.

— Z czasem tak — odrzekł ojciec. — Z czasem zrozumie. Wyślę oba twoje listy razem z moimi raportami do sztabu głównego.

Ojciec odwiózł mnie do mojej jednostki. Na polance spotkaliśmy głównego chirurga i przełożoną pielęgniarek.

— Pańska córka podbiła nasze serca — powiedziała do ojca Marfa Antonowna.

— Tatiana Pietrowna to niezwykle zdolna pielęgniarka, księżę. Odznacza się wyjątkowym talentem chirurgicznym — stwierdził doktor Korniew.

— Kiedy ukończy studia medyczne, z największą przyjemnością dam jej rekomendację.

— Rzeczywiście, rozważała kiedyś ewentualność studiów na wydziale lekarskim — odrzekł ojciec — ale teraz, o ile się nie mylę, zmieniła plany. — Spojrzał na mnie trochę niepewnie.

— Chcę zostać chirurgiem i mieć ośmioro dzieci — rzuciłam niebacznie. Mój nieustraszony ojciec sprawiał wrażenie kompletnie zaskoczonego planami na przyszłość swojej córki.

— Ośmioro dzieci i kariera chirurga? — wykrzyknął doktor Korniew. — No, no, to niezwykle ambitne założenie! Ale wierzę, księżę, że Tatiana Pietrowna je zrealizuje — dodał, spoglądając na mnie z ojcowską dumą.

— Też mam córkę, nieco starszą od pańskiej. Ale jej w głowie tylko stroje i zabawy. To matka tak ją wychowała. No jak tam, księżę, podejrzewam, że znów przysporzy nam pan dużo pracy?

— Obawiam się że tak, doktorze.

Wozy szpitala polowego znów ustawiono półkolem na polanie obok strumienia. Znów wyczerpały się uzupełnione w Lublinie zapasy. Znów brakowało lekarstw, wody, czasu na odpoczynek. Jednak nie pozostawało nic innego, tylko wytrwać. Nocami dźwięki organków Jefima przywodziły na myśl rozległe stepy. Zawsze, kiedy byłam już u kresu sił, pojawiał się ojciec ze swymi adiutantami i zabierał mnie do siebie, bym mogła się wykąpać, porządnie wyspać i po-



gawędzić z nim przy śniadaniu. Za każdym razem kreśliłam kilka słów do Stefana, raz napisałam do Tani. Świadomość, że ojciec zabezpiecza odwrót i cały czas nad nami czuwa, dodawała mi sił i sprawiała, że czułam się bezpiecznie.

Przez cały sierpień szpital pracował na pełnych obrotach. Zwijaliśmy się do dalszej drogi tuż przed pojawieniem się saperów Ł-M, którzy wysadzali ostatnie mosty i węzły kolejowe. 5 sierpnia Niemcy wkroczyli do Warszawy. Razem z Austriakami kontynuowali ofensywę na północy, w centrum, na południu, na próżno próbując otoczyć ustępującą armię rosyjską i odciąć jej drogę odwrotu. Spokojnie, nie skarżąc się, straż tylna zajmowały rowy wykopane pospiesznie po forsownym marszu; uparcie, w jakimś sennym odrętwieniu, główne siły ciągnęły na wschód. Uciekinierzy spowalniali ich pochód, ale go nie tamowały. W czasie przejazdu z jednego miejsca postoju na drugie mogłam zawsze liczyć na pokrzepiające towarzystwo Ł-M. Według niego cierpliwość Rosjan dorównywała chaosowi i nieudolności władz, które doprowadziły do powstania takich nieludzkich warunków.

Pod koniec sierpnia nasz szpital minął wciąż dymiące ruiny Brześcia Litewskiego. Załadowaliśmy rannych do ostatniego pociągu, który wyjechał przed wysadzeniem torów w powietrze. Kolejny obóz rozbiliśmy na skraju rozlewisk Prypeci, gdzie trzciny osiągały wysokość drzew. Groblami przecinającymi zdradzieckie bagna, drogami biegnącymi przez dziewicze lasy, wzbudzające większy lęk niż niemieckie karabiny, trzema liniami kolejowymi nieprzerwanie płynął na wschód ludzki strumień, zwalniając przed większymi przeszkodami, ale ani na chwilę się nie zatrzymując.

Pod koniec września padły wszystkie twierdze — Łuck, Grodno, Brześć Litewski, Kowno i Wilno. Cała Polska znalazła się w rękach mocarstw centralnych. Po obu stronach frontu zginęło ponad milion ludzi.

Ofensywa drogo kosztowała Austriaków i Niemców. Odwrót Rosjan nie przekształcił się jednak w paniczną ucieczkę.

Naczelny wódz, wielki książę Mikołaj Mikołajewicz, ostatni cel wrogości Aleksandry, stał się kozłem ofiarnym, na którego zrzucano winę za sytuację na froncie. Przeniesiono go na stanowisko namiestnika Kaukazu. Za namową Aleksandry cesarz osobiście objął funkcję naczelnego wodza armii.

Ojciec uważał to posunięcie za grożące Rosji poważniejszymi konsekwencjami niż fakt utraty Polski. Chociaż faktyczne dowództwo spoczywało w rękach zdolnego szefa sztabu, generała Aleksiejewa, ojciec przewidział, że z chwilą, gdy cesarz zacznie urzędować w Stawce — kwaterze głównej wodza naczelnego przeniesionej z Baranowicz do Mohylewa — pozostająca w Carskim Siole Aleksandra będzie miała wolną rękę, by rządzić całym imperium.

W pierwszym tygodniu października mój szpital polowy dotarł do Mińska, gdzie został zlikwidowany; personelowi udzielono pierwszych od roku urlopów. Jefim dołączył do swego dawnego oddziału.

Powiedział, że wszystko mu jedno, gdzie jest przydzielony, byleby miał swą klacz i organki. Pożegnałam się ze swymi kolegami głęboko przekonana, że ich słowa uznania wypowiedane były nie tylko ze względu na moją pozycję społeczną. Pożegnawszy się z nimi, udałam się do katolickiego szpitala administrowanego przez ciotkę Zofię.

## 16

Gdy tylko się odświeżyłam po podróży, ciotka zaprowadziła mnie do Stefka. Jego pokój z widokiem na park przylegał do apartamentu cioci na tyłach szpitala. Słyszając pukanie do drzwi, Stefek odpowiedział znudzonym głosem:

— Proszę.

Gdy weszłyśmy, szybko odłożył czytana książkę i bez słowa utkwiał we mnie badawczy wzrok. Wolno zbliżyłam się do fotela pod oknem; Stefek siedział w szlafroku, ranną nogę wyciągnawszy na podnóżku, obok leżała laska.

— Spójrz, kogo ci przyprowadziłam, Stefku — powiedziała ciocia Zofia. A kiedy spojrzałam na nią, stwierdziła: — Wygląda bojowo ten nasz Stefcio, ale ciągle jest jeszcze bardzo osłabiony. — Ciocia uśmiechnęła się łagodnie i wyszła.

Stałam mu się obca, przestałam mu się podobać, już mnie nie kocha — oto, jak wytłumaczyłam sobie milczenie mego kuzyna.

Usiadłam obok niego. Nie przypominał już różowego niemowlęcia prosto po kąpieli ani gładkiego królewicza. Był mizerny, blady i drażliwy jak chłopczyk, który zbyt dużo czasu spędził w łóżku.

— Co czytasz? — spytałam, by usłyszeć jego głos.

— „Zmierzch i upadek Cesarstwa Rzymskiego” Gibbona. To bardzo pouczająca książka. Nie potrafię już czytać powieści.

— Ja też nie. — Brutalność rzeczywistości prześcignęła najbardziej fantastyczne pomysły powieściopisarzy. A miłość? Czy z nią stało się to samo, co z literaturą piękną?

— Mam mnóstwo czasu na lekturę — powiedział Stefek tonem, którego nigdy przedtem u niego nie słyszałam. — Tym bardziej, że twoje listy były takie krótkie.

— Stefku! Jak mogłam pisać długie listy? Nie miałam czasu!

— Oczywiście! Znajdowałaś czas dla najnędniejszego szeregowca armii rosyjskiej, ale brakowało ci go dla twego przyszłego męża.

— To nieprawda! — Ale nie mogłam z ręką na sercu powiedzieć, że zawsze o nim myślałam, ponieważ niewyobrażalnie wyczerpana obowiązkami w szpitalu polowym często po prostu czułam pustkę w głowie i nie byłam zdolna myśleć o niczym ani o nikim.

Jeśli chodzi o chwile spędzone z Ł-M, chwile, które bez niego byłyby tak przygnębiające, to lepiej było o nich teraz nie wspominać. Stefek był już i tak wystarczająco zazdrosny!

— Mam nadzieję — ciągnął tym samym tonem — że odgrywanie roli wielkiej heroiny sprawiło ci przyjemność.

— Jaka tam ze mnie heroina. Co innego Kazimierz i ty.

— Ja?

— Tata mówił, że zdobycie przez ciebie austriackiej baterii było niezwykle śmiałym czynem. Dostaniesz za to order św. Jerzego.

— To mojemu koniowi należy się medal, a nie mnie. Szedł jak burza i zanim się zorientowałem, już byliśmy obok baterii. Mówienie o bohaterstwie to czczy gadanina!

— Więc czemu mnie nazywasz heroiną?

— Bo tak piszą o tobie w gazetach. Podobno car ma cię odznaczyć.

— O nie, to by było niesprawiedliwe wobec reszty personelu naszego szpitala! Robiłam to samo co oni!

— A co cię w ogóle napadło, by tam pracować? Właśnie, co? Ze smutkiem zdałam sobie sprawę, że właściwie nie mogę podzielić się ze Stefką tym, co przeżywałam w ciągu ostatnich miesięcy. Nie tylko ominęła mnie wojna, ta prawdziwa, toczona przez mężczyzn, ale całe moje

przedsięwzięcie, mające na celu przybliżyć mnie do ukochanego, skończyło się tym, że staliśmy się sobie obcy.

— Szkoda, że siebie nie widzisz! — bezlitośnie ciągnął Stefek. — Chuda jak szczapa, z ziemistą cerą, i jeszcze te oczy, błyszczące jak u fanatyka!

— Wiem, że nie jestem piękna. Prawdę mówiąc, nigdy nie byłam, a ostatnio nie miałam czasu, by się zajmować swym wyglądem. Ale jeśli uroda to wszystko, co kiedykolwiek we mnie dostrzegłeś, jestem pewna, że znajdziesz sobie masę dziewcząt, które będą ci bardziej odpowiadały — powiedziałam i skierowałam się do wyjścia.

W drzwiach minęłam się z angielską pielęgniarką mego kuzyna, która nie była chuda jak szczapa, a w jej niebieskich oczach nie było nic poza błękitem. Pozdrowiłam ją bardzo chłodno i przeszedłszy wzdłuż korytarza, zapukałam do drzwi gabinetu ciotki. Ciotka Zofia odesłała sekretarkę.

— To koniec, cioteczko — oświadczyłam. — Stefek już mnie nie kocha. Nazwał mnie wielką heroiną. Powiedział, że jestem chuda jak szczapa i że mam okropną cerę... — ledwo mogłam powstrzymać łzy.

— A to niegrzeczne chłopaczysko! — wykrzyknęła ciotka. — Ale jak okropnie musi się teraz czuć. Chodź tu do mnie, moje dziecko. — Ujęła mnie za rękę i powiedziała: — Stefek jest zazdrosny o każdego rannego, którym się opiekowałaś, o twego ojca, o wielką księżniczkę Tatianę, o każdą twoją myśl i uczucie, którego obiektem nie jest on. Miał dwa miesiące, by pielęgnować w sobie tę zazdrość. — Ciotka Zofia zaakcentowała słowa „dwa miesiące”, a ja pomyślałam: Biedny Stefek, nie miał nic do roboty, mógł tylko czytać książki i rozmyślać. Och, jaka okazałam się okrutna!

— Mój Stach jest taki sam — ciągnęła ciotka. — Im bardziej pragnie mnie znów ujrzeć po okresie rozłąki, tym bardziej jest przykry i niemiły, gdy się wreszcie spotkamy.

— I jak wtedy ciotka postępuje?

Przymilam mu się. Mężczyźni są ogromnie spragnieni pochlebstw, Taniusza, a już szczególnie Zaslawscy. Są tacy

dumni, ale można z nimi zrobić wszystko, okazując im uległość. Czy jesteś zbyt dumna, by tak postępować, moje dziecko?

Poczułam, że już stałam się uległa.

Weszła angielska pielęgniarka, by zameldować, że jego książęca mość jest rozdrażniony, że ma nieco podwyższoną temperaturę i że nie chce jeść kolacji. Czy Jaśnie Pani byłaby taka dobra i osobiście zaniósła Jego Książęcej Mości tacę z jedzeniem?

— Ja to zrobię, jeśli wolno — zaoferowałam się. Ciocia z uśmiechem skinęła głową. Pielęgniarka wyszła.

— Cioteczko — spytałam stojąc w progu — czy uważasz, że postąpiłam niewłaściwie, zostając w szpitalu polowym po tym, jak Stefek został ranny?

— Muszę wyznać, że początkowo uważałam to za egoizm z twojej strony. Patrząc jednak na to obiektywnie, stwierdziłam, że lepiej będzie, jeśli teraz nacieszysz się swobodą — zanim zostaniesz mężatką — niż żebyś później żałowała, że nie wykorzystałaś okazji, kiedy jeszcze mogłaś.

— A czy nie można być mężatką i jednocześnie cieszyć się swobodą?

— Niezupełnie, moje dziecko, niezupełnie. Już wcześniej to podejrzewałam.

Kiedy weszłam, Stefek nie odwrócił głowy, tylko dalej wpatrywał się w pożółkłe buki i lipy za oknem.

Postawiłam tacę na niskim stolyczku obok krzesła i powiedziałam:

— Stefku, przyniosłam ci kolację.

— Nie jestem głodny — burknął.

Zrozumiałam, że spragniony jest czułości. Usiadłam naprzeciw niego, zatknęłam mu za kołnierz szlafroka lnianą serwetkę z monogramem Zasławskich i nabrałam łyżką zupy. Zjadł ją, potem następną, i jeszcze jedną, ani na moment nie spuszczał ze mnie wzroku. Wkrótce nadąsane niemowlę zmieniło się w nakarmione niemowlę, syte i zadowolone.

Kiedy przyszła pora na kurczaka po kijowsku, wziął ode mnie widelec i skierował go do mych ust.

— Najpierw ty. Jesteś stanowczo za chuda.

— Wyglądam jak szczapa? — spytałam, biorąc do ust smakowity kąsek. Z jego ręki wydawał mi się dwakroć smaczniejszy.

— Kto śmiał powiedzieć, że jesteś chuda jak szczapa? — spytał, przełknąwszy swój kawałek. — Tylko mi powiedz, któż to taki, a posiekam go swą szablą na drobne kawałeczki.

— Och nie, nie pozwolę ci tego zrobić.

— A niby czemu nie, skoro to taki grubianin i nędznik?

— Bo on... on zostanie moim mężem.

Skończyliśmy jedzenie w milczeniu. Po posiłku odsunęłam stolik i usiadłam na podłodze, pozwalając Stefkowi trzymać się za rękę.

Zamglone światło późnojesiennego popołudnia przygasło. Jeszcze tylko na białych ścianach i szpitalnych sprzętach pozostała słaba poświata.

Zwróciłam oczy na wiszący nad łóżkiem krucyfiks i zmówiłam cichą modlitwę, dziękując za to, że Stefek jest zdrow i cały.

Stefek, przypatrując mi się, głaskał moje włosy i twarz.

— Nie czujesz wewnętrznego oporu przeciw przejściu na katolicyzm?

— Nie. — Kochałam bogaty rytuał kościoła prawosławnego, ale katolicyzm wydawał mi się religią bardziej uniwersalną.

— Taniu, czy kiedykolwiek myślałaś o złożeniu ślubów zakonnych?

— Ja i śluby zakonne? — zdumiałam się. Ja, taka uparta, mściwa, zazdrosna, dumna i zmysłowa? — Jestem zbyt grzeszna.

— I właśnie za to cię kocham — powiedział. — Pamiętaj, że zakochałem się w małej dziewczynce, która lubiła się bawić w doktora, a nie w bohaterskiej pielęgniarce.

Czy mógłbyś przestać nazywać mnie bohaterką?

— W zasadzie nie mam nic przeciwko bohaterkom. Wśród księżnych Zasławskich też było kilka bohaterek. Ale przede wszystkim były żonami Zasławskich — powiedział trzymając mnie za rękę.

Jego słowa wywarły na mnie głębokie wrażenie.

Jaki jest poważny i nieugięty, pomyślałam. Skoro nie można jednocześnie być zamezną i niezależną, to z prawdziwą radością poświęcę swą niezależność dla Stefana Zasławskiego. Przytuliłam swój rozpalony policzek do jego dłoni.

— Gdy zostaniesz moją żoną — ciągnął — kto będzie dla ciebie ważniejszy, ojciec czy ja?

— Oczywiście, że ty! — powiedziałam bez chwili wahania.

— Najnudniejszy ranny szeregowiec czy ja?

— Ty, mój panie. — Pocałowałam jego dłoń. Poznałam już smak niezależności i teraz rozkoszowałam się rezygnacją z niej.

— Tatiana, moja najdroższa, moja jedyna. — Miał tak jak ojciec niski głos, a polski akcent sprawiał, że moje imię brzmiało wyjątkowo pięknie.

— Moja cnotliwa mniszko, moja dzielna pielęgniarzko, moja słodka siostrzyczko, moja psotna towarzyszko zabaw, moja pokorna pani, moja dumna księżniczko! Będę cię kochał i szanował jeszcze bardziej, niż ojciec kocha i szanuje matkę. Uczynię cię najszczęśliwszą z kobiet! — Patrzył gdzieś w dal, jakby spoglądał w przyszłość, i ja również spróbowałam wyobrazić sobie nasze szczęście.

Ale zamiast baśniowej wizji ujrzałam to, o czym zawsze marzyłam. Oto idealny moment — może druga taka okazja już się nie trafi — by powiedzieć Stefkowi o swych planach.

— Stefku, po wojnie nie wracajmy od razu do Zasławic. Zamieszkajmy w Warszawie albo w Londynie. Ty będziesz mógł ukończyć studia uniwersyteckie, a ja poszłabym do szkoły medycznej.

— Do szkoły medycznej? — Ujął mnie pod brodę.



— Stefku, wiesz, że zawsze pragnęłam zostać chirurgiem. Wydaje mi się, że byłabym bardzo dobrym specjalistą. Potwierdził to też doktor Korniew, ordynator naszego szpitala polowego. — Poczulałam, że zabrzmiało to nieprzekonywająco.

Stefek cofnął rękę.

— Nie wątpię. A wiesz, kim ja pragnęłam zostać? Śpiewakiem operowym. Mówię poważnie. Mam głos i zdolności aktorskie. Potwierdził to mój nauczyciel śpiewu. I gdybym nie był Stefanem Zasławskim, rozwijałbym swój talent wokalny. Ale jestem Stefanem Zasławskim i nic tego nie zmieni.

Choć stwierdzenie to sformułowane zostało dość kategorycznie, nie poddawałam się.

\_Przypuśćmy, że po wojnie nastąpią w świecie zmiany, iż tytuł księcia Zasławskiego nie będzie już oznaczał tego co teraz.

\_Póki będzie istniała Polska, póty nazwisko Zasławski będzie znaczyło tyle samo. A Polska istnieje od dziesięciu wieków. Natomiast jeśli chodzi o zachodzące w świecie zmiany \_ spojrzal na „Zmierzch i upadek Cesarstwa Rzymskiego” — to również nic nowego. Przystosujemy się i przetrwamy. I może właśnie w świecie gwałtownych zmian ci, którzy przetrwali dziesięć wieków, zdobędą większe znaczenie, niż mają obecnie.

Nie potrafiłam się sprzeczać ze Stefkiem. Czulałam się zdominowana jego wiedzą i polityczną dojrzałością. Łatwiej było się poddać. I dziwnie mnie to pociągało.

\_No i co? — zapytał komicznym tonem.

— Nic.

Pochylił się, by mnie pocałować. Zesztywniałam.

— O co znów chodzi? — spytał.

— Stefku, myślę, że...

— Boisz się? Ty? Ach, rozumiem. — Uśmiechnął się pobłaźliwie. — To raczej ja powinienem się bać ciebie, mojej cnotliwej łowczyni, mojej okrutnej Artemidy. Jeszcze mnie przemienisz w drzewo laurowe.

— Nie, źle mnie zrozumiałeś! Nie boję się tego — nie byłam w stanie wypowiedzieć słowa „seks”. — Z tobą nie. Boję się tylko, że gdy już raz zaczniemy, nie będziemy się mogli pohamować.

— Uważasz, że nie potrafię nad sobą zapanować? Nie jestem już tym nieokiełznanym młodzieńcem, który chciał cię porwać. Wojna sprawia, że człowiek dojrzewa w przyśpieszonym tempie. Zbyt dużo dla mnie znaczysz, bym dla chwilowej satysfakcji narażał na niebezpieczeństwo całą naszą przyszłość. Będziemy jeszcze mieli dosyć czasu. Teraz zaufasz mi?

Zamknęłam oczy. Tym razem moja głowa spoczywała bezwładnie w jego rękach, moje usta były posłuszne jego. Znów czas stanął w miejscu. Przeszłość i przyszłość, wojna, pokój, wszystko straciło znaczenie. W chwili gdy zabrakło mi tchu, Stefek puścił mnie. Opadł wyczerpany na krzesło, twarz mu pobladła.

— Stefku, dobrze się czujesz? — Zerwałam się na równe nogi.

Otworzył oczy.

— Coś mi się wydaje, że nie będzie to takie proste — mruknął pod nosem.

— Daj spokój — dodał, kiedy chciałam zmierzyć mu puls. — Zostaw mnie teraz samego.

Wzięłam tacę i wyszłam.

— Widzę, że Stefkowi wrócił apetyt — zauważyła ciocia Zofia, kiedy mijaliśmy się w holu. Nie przyznałam się, że również przyczyniłam się do opróżnienia talerza.

Nazajutrz Stefek poprosił, by go przeniesiono do sali dla oficerów-rekonwalescentów. Ciotka Zofia wyraziła zgodę, gdy obiecał, że nie zamieni sali w miejsce rozpusty ani nie zrujnuje współtowarzyszy grą w karty. Zrozumiałam, że wolał uniknąć ryzyka ponownego spotkania ze mną sam na sam.

Ja również pragnęłam jak najszybciej podjąć pracę. Było to jedyne zabezpieczenie przed czyhającymi na mnie pokusa-

mi. Miński szpital był stary i daleko mu było do naszej kliniki w Piotrogradzie czy ciocinej w Zasławicach. W salach stały żelazne łóżka z cienkimi materacami wypchanymi sianem. Wyposażenie nie było ani nowe, ani lśniące. Jednak po pracy w szpitalu polowym cudownie było znów znaleźć się w warunkach aseptycznych, móc wyszorować ręce, nałożyć maseczkę i czysty fartuch, używać wysterylizowanych narzędzi i jałowych prześcieradeł. Nabrałam również większego respektu dla zawodu pielęgniarki. Dawniej, zaślepiona ambicją dostania się na medyczne wyżyny, uważałam pielęgniarki niemal za służące lekarzy. Teraz przekonałam się, że fachowa siostra była równie ceniona jak lekarz, że proces zdrowienia pacjenta w takim samym, jeśli nie w większym stopniu, zależy od jej opieki i intuicji. Pragnienie, by zostać chirurgiem, było najwyraźniej nie do pogodzenia z przyszłą rolą księżnej Zasławskiej. Ale mogłam dalej rozwijać swoje umiejętności jako pielęgniarka czy administratorka szpitala.

Zadziwiająco łatwo godziłam się na taki kompromis, póki codziennie widywałam Stefka. Jego obecność stawiała tamę wszelkim wątpliwościom i pytaniom. Mój kuzyn odzyskał dawny, dobry humor. Szybko kuśtykał, opierając się na lasce, choć wołał wspierać się na moim ramieniu i udawać, że bardziej kuleje niż w rzeczywistości. Odkryłam, że w świetlicy stoi fortepian. Wkrótce przykuśtykał Stefek, by posłuchać mojej gry. Pewnego wieczoru przyniósł nuty. Akompaniowałam mu do arii operowych oraz pieśni Faurego i Rachmaninowa. Kiedy Stefek zaczynał śpiewać, w świetlicy zbierał się tłum słuchaczy. Wydawało się, że cały szpital ulegał jakiemuś urokowi. I życie, które stało się postrzępione i kanciaste, niczym na obrazie kubistycznym, znów odzyskiwało na krótko kształty i łagodne, świetliste barwy.

\*

W polowie października 1915 roku przez Mińsk przejeżdżał car z carewiczem. Mieściła się tu kwatera główna

frontu zachodniego. Na cześć cara zorganizowano wielką defiladę. Słońce przedarło się przez chmury, by stało się zadość tradycji, zgodnie z którą słońce zawsze świeci podczas inspekcji oddziałów przez cesarza. Ojciec przyjechał z frontu południowo-wschodniego na naradę szefów sztabów i był w orszaku Jego Wysokości. Na tle rozległej równiny, w otoczeniu tłumu ludzi, car sprawiał wrażenie szczuplejszego, starszego i niższego, niż go pamiętałam. W jego spojrzeniu była niepewność, w ruchach wahanie. Pomyślałam, jak bardzo różni się od ojca, którego czynna służba wojskowa wyleczyła z melancholii. Nie dla ojca spokojne życie rodzinne, w którym pławił się car. Po raz pierwszy wówczas odkryłam, że władca Rosji nie nadaje się do rządzenia. Lecz kiedy padła nazwa mego szpitala polowego i pochwalono odwagę jego personelu, gdy car, patrząc mi tak jak kiedyś prosto w oczy, przypinał do mej piersi krzyż św. Anny, nie mogłam powstrzymać szybszego bicia serca. Poczułam przypływ lojalności wobec swego monarchy i miłości do jedenastoletniego, wyprężonego jak struna Aleksego w długim, żołnierskim szynelu. Piękne niebieskoszare oczy chłopca utkwione były we mnie, a jego jasną buzię pokrył rumieniec.

Stefek również otrzymał odznaczenie, od którego tak się odzegnował. Za obopólną milczącą zgodą nie złożyliśmy sobie gratulacji. W porównaniu z magnesem, który nas do siebie przyciągał, jakie znaczenie mogła mieć mała, kolorowa blaszka na wstążce?

Pod koniec miesiąca cesarzowa wraz z dwiema starszymi córkami odwiedziła cara w Stawce, a potem przyjechała do Mińska obejrzeć szpital katolicki. Podczas gdy ciocia oprowadzała Aleksandrę i Olgę Nikołajewną po szpitalnych salach, ja zostałam ze swą imienniczką w małym saloniku tuż obok holu wejściowego.

— Najdroższa Taniu, jesteś z ciebie takie dumne! Po proslu pochłaniałyśmy twe listy! Tatko uważa, że jesteś wspaniała, a Aleksy rumieni się za każdym razem, gdy

o tobie mówimy. — Tatiana Nikolajewna przyciągnęła mnie bliżej siebie i nie wypuszczała moich dłoni.

— Czemu jesteście ze mnie dumne? — Popatrzyłam czule na przyjaciółkę. Wydawała mi się jak zwykle czarująca, nawet w mało twarzowym, okrągłym toczku z szarej wełny.

— Wszyscy mówią o twoim Komitecie pomocy uchodźcom.

— Ach, to. — Tatiana Nikolajewna się roześmiała.

— Ponoć funkcjonuje nadzwyczaj sprawnie. Ale właściwie osiągnęliśmy niewiele — dodała z niezwykłą u niej szczerością. — Razem z mateczką odwiedziliśmy paru tych nieszczęśników. Jakie to żalosne!

— Wiem. — Przez chwilę milczałyśmy, myśląc o tak niedawno poznanych ciemnych stronach życia. Po bliższym przyjrzeniu się przyjaciółce zauważyłam, że rysy się jej wyostrzyły i zrobiła się bardzo podobna do matki. Podejrzewałam, że pod maską pełną rezerwy ukrywała się żywa natura odziedziczona po matce. Jeśli nie znajdzie sobie ujścia, sprawi, że Tatiana Nikolajewna stanie się przedwcześnie podstarzałą starą panną. Podobnie jak nie wykorzystywana inteligencja Olgi z czasem przemieni się w zgryźli wość. A jaka stałabym się ja, gdyby nie Stefek?

— Opowiedz mi, Taniu, o szpitalu polowym i o odwrocie. Czy to nie było okropne? — odezwała się wielka księżniczka.

— I tak, i nie. Trudno opisać front. — Zwłaszcza gdy ma się przed sobą osobę, która cały czas przebywa na tyłach. Ale jednak spróbowałam. Zanim się zorientowałam, co mówię, opowiedziałam jej o ranie Stefka, o anestezji... o pocałunku...

— Taniu, jak mogłaś! — Moja przyjaciółka patrzyła na mnie szeroko otwartymi oczami. Czy ktoś widział, jak go całowałaś?

— Myślę, że nie. Nawet Stefek nic o tym nie wie. Jesteś jedyną osobą, Taniu, której o tym powiedziałam.

— Nie powtórzę nikomu, nawet Oldze. — Tatiana Nikolajewna zrozumiała mnie. — A całowaliście się jeszcze potem?

— Tylko raz. I tak jest lepiej. Inaczej... to niemal nie do zniesienia. — Czy Tania wiedziała, co miałam na myśli, ona, która nigdy nawet nie trzymała się z żadnym mężczyzną za rękę?

— Tak, domyślałam się.

A więc wiedziała! Stała mi się nagle bliższa i droższa niż kiedykolwiek!

— Pocałowaliśmy się po naszej pierwszej sprzeczce.

— Znajdowałam taką samą przyjemność w zwierzeniach, jak ona w słuchaniu. — Stefek nazwał mnie wielką heroiną i powiedział, że jestem chuda jak szczapa.

— No cóż, rzeczywiście jesteś bardzo szczupła. Ale dopóki Stefek cię kocha... — Moja przyjaciółka spojrzała na mnie z boku.

— Tylko że dręczy mnie taka niepewność, Taniu. Nie opuszcza mnie ani na chwilę. Ciągle się zastanawiam, czemu właśnie Stefek miałby mnie kochać. Nie jestem taka piękna jak ty ani taka mądra jak Olga, ani taka dobra jak Maria.

— W oczach ludzi chciałambym sprawiać wrażenie doświadczonej, a w oczach Boga — dobrej. Ale te dwa sprzeczne dążenia, tak naturalnie i bez wysiłku realizowane przez ciotkę Zofię, wydawały mi się zupełnie niemożliwe do osiągnięcia. — Kiedy jesteśmy razem, Stefek i ja, nie wiemy, co sobie powiedzieć, a kiedy przebywamy z dala od siebie, jesteśmy okropnie nieszczęśliwi.

— A więc być zakochanym, to znaczy być nieszczęśliwym? —

Uśmiechając się wielka księżniczka położyła mi dłoń na rękę.

— Tak. Czujesz jakiś ból, o tu. — Przycisnęłam jej dłoń do swej piersi. — Taniu... boję się przyszłości.

— Ja czasami też. — Tatiana Nikołajewna w zamyśleniu złożyła rękę, a jej łagodna twarz przybrała wyraz przesadnie afektowany i przedwcześnie zgorzkniały. — A mateczka ciągle ma przeczucia. Uważa, że prześladowuje ją pech. I wiesz, że on — moja imienniczka była zbyt taktowna, by przy córce księcia Silomirskiego, uważanego przez jej matkę za naj-

większego wroga, wymieniać imię przyjaciela carowej Aleksandry — przepowiedział nasz koniec. Ale tatko zawsze powtarza, że na nic zdadzą się obawy. „Będzie tak, jak zechce Bóg” — zacytowała po rosyjsku ulubione powiedzenie cara.

Przypomniałam sobie ogarniające ojca zniecierpliwienie na cesarską pasywność i zdawanie się na wolę niebios. Jeszcze bardziej niepokojące było zdawanie się Jego Wysokości na tę wolę zawsze wtedy, gdy jego własne decyzje były kwestionowane. Ale nie powiedziałam tego swej przyjaciółce, tylko zapytałam:

— Tęsknisz za ojcem, Taniu, kiedy Jego Wysokość jest w Stawce?

— Okropnie, a już szczególnie tęskni mateczka. Píše do niego rano i po południu, a poza tym wysyła telegramy. Jeśli choć przez jeden dzień nie ma od niego listu, po prostu szaleje z niepokoju. Trochę jej z tego powodu dogadujemy. Biedna mateczka, tak się źle czuje! Ma powiększone serce i cierpi na duszności. Trzeba ją wnosić na górę po schodach. Ale wciąż upiera się, by rękami pracować w szpitalu, chociaż ma na głowie teraz tyle innych rzeczy. Teraz, kiedy tatko z Aleksym jest w Stawce, wszystkim tęskno za tym małym psotnikiem. Schwibzik czuje się bez niego zupełnie bezradna.

Między carewiczem i figlarnym Schwibzikiem — wielką księżniczką Anastazją — była najmniejsza różnica wieku. Uśmiechnęłam się na wspomnienie ich sprzeczek. Zaczęłyśmy rozmawiać o dawnych dobrych czasach w Carskim Siole i dopiero pojawienie się Aleksandry i wielkiej księżniczki Olgi Nikołajewny oraz ciotki Zofii przerwało te wspomnienia. Olga Nikołajewna miała na sobie prosty kostium z szarej wełny, a cesarzowa równie niegustowną garsonkę oraz słomkowy kapelusz o sztywnym rondku, w którym wyglądała jak guwernantka.

— Księżna Zaslawska powiedziała mi, że stałaś się doświadczoną pielęgniarką, Taniu — zwróciła się do mnie

po angielsku Jej Wysokość. — Mam tylko nadzieję, że w przyszłości będziesz wykonywała swoje obowiązki, nie zwracając na siebie uwagi wszystkich.

Zaczerwieniłam się i skinęłam głową. Tatiana Nikołajew-na próbowała ukryć zakłopotanie, przybierając wyniosłą minę. Niebieskie oczy Olgi płonęły. Podeszła do mnie i objęła serdecznie.

— Uważam, że byłaś bardzo dzielna, Taniu. Uważam, że byłaś wspaniała!

Na twarzy Aleksandry pojawiły się czerwone plamy.

— Być dzielnym to nic trudnego. Jeśli jest się dobrze urodzonym, *ęa va de soi*, to nawet zupełnie naturalne. O wiele trudniej wykonywać swoje obowiązki bez rozgłosu, mając za sędziego jedynie Boga. Już jako dziecko, Taniu, miałaś skłonności do popadania w przesadę. Ufam, że teraz zaczniesz się uczyć nie tylko pielęgniarstwa, ale również umiaru i skromności.

— Spróbuję, Wasza Wysokość. — Stałam z opuszczoną głową. To, co powiedziała cesarzowa, było prawdą, i właśnie tym bardziej ją za to w tym momencie nienawidziłam.

Ciocia, której zachowanie wobec rosyjskiej cesarzowej wyrażało raczej dystans niż uległość, uśmiechnęła się do mnie zachęcająco i powiedziała:

— Z wiekiem samo jej to przyjdzie, madame. Czy napije się Wasza Wysokość filiżankę herbaty przed wyruszeniem w dalszą podróż? Aleksandra odmówiła.

— Dziękuję, księżno, ale musimy już jechać. Odprowadziłyśmy gości do holu, gdzie zebrał się personel

szpitala. W ich zachowaniu wyczuwało się napięcie, które cesarzowa zawsze wywoływała podczas swoich wizyt. Aleksandra sprawiała wrażenie osoby, która nie wie, co powiedzieć. Niezręczne milczenie przerwała ciocia.

— W imieniu pacjentów i personelu dziękuję Waszej Cesarskiej Mości i Jej Książęcym Wysokościom za zaszczyt nas wizytą — powiedziała i skłoniła lekko głowę.



— To wzorowo prowadzony szpital, księżno. Dziękujemy za poświęcony nam czas i miłe przyjęcie. — Aleksandra sztywno wyciągnęła dłoń. Ciocia nie ucałowała jej, jak tego wymagała rosyjska etykieta, ale tylko ujęła ją lekko, robiąc grzeczny ukłon. Za nią, choć nie tak wdzięcznie, dygnęły zebrane pielęgniarki, a lekarze się pokłonili. Poproszono mnie, bym towarzyszyła gościom na stację. Przejazd cesarskiego samochodu nie wywoływał radosnych okrzyków przechodniów. Wskazywano cesarzową palcami i wypowiedziano słowa, które ostatnio wszędzie jej towarzyszyły: *Niemka jediet, Niemka jediet*. Jedzie Niemka. Ludzie, okrutni w swej prostocie, znaleźli osobę odpowiedzialną za klęskę armii — Niemkę.

Cesarzowa Aleksandra pozostawiła po sobie niemiłe wrażenie. Nie tylko współczułam jej nieszczęsnym córkom Oldze i Tatianie Nikołajewnym, ale również zmartwiła mnie i zabolęła niespodziewana wrogość cesarzowej. Wiedziałam, że powodzenie sprawy autonomii Polski w dużym stopniu zależało od uczuć Aleksandry do ludzi najżywotniej tą kwestią zainteresowanych. Wywołałam niezadowolenie u cesarzowej tym, że skupiłam na sobie uwagę, która należała się wyłącznie jej rodzinie. Już wcześniej nie lubiła ojca. Jeśli poczuje również niechęć do Zasławskich, sprawę autonomii Polski można będzie uważać za straconą. Wyjazd Stefka do pracy papierkowej w kwatermistrzows-twie w Równem sprawił, że listopad był wyjątkowo ponurym miesiącem, pełnym niepokoju o naszą przyszłość. Czarne myśli przestały mnie nieco prześladować, gdy na tydzień przed katolickim Bożym Narodzeniem zostałam pilnie wezwana do Carskiego Sioła, by zaopiekować się carewiczem, u którego ponownie wystąpiły gwałtowne objawy hemofilii, był to najpoważniejszy atak choroby od czasów Spały.

Kiedy wczesnym popołudniem 19 grudnia 1915 roku, po całonocnej podróży wagonem sypialnym, dotarłam do Carskiego Sioła, kryzys już minął. Aleksy spał wsparty na poduszkach w pokoju dziecięcym Pałacu Aleksandrowskiego. Oddany Nagorny, opiekun, który podczas całej męczącej, dwudziestoczerogodzinnej podróży z Mohylewa, trzymał go na rękach, mógł wreszcie odpocząć. Pęknięte w wyniku zbyt silnego kichnięcia naczynko krwionośne, które wywołało fatalny krwotok, zostało poprzedniej nocy przypalone. Krwawienie ustało, ale pacjent musiał leżeć, bo obawiano się, że wszystko zacznie się od nowa.

Musiałam zadbać o dobre samopoczucie carewicza i sprawić, by nie dokazywał. Opiekujący się nim lekarze — było ich trzech — mieli mu zmieniać tampony w nosie z zachowaniem największej ostrożności. O wszystkim tym dowiedziałam się od doktora Botkina, kiedy weszłam do pokoju chorego. Sine cienie pod zamkniętymi oczami były jedynym kolorowym akcentem na bladej twarzy chłopca. Puls miał słaby i nieregularny. Był tak wyczerpany, że nie miał ochoty na żadne figle. Największe niebezpieczeństwo groziło carewiczowi wtedy, kiedy czuł się dobrze. Żywe usposobienie i naturalna w jego wieku buntowniczość przeciw wynikającym z choroby ograniczeniom sprawiały, że czasem trudno go było okiełznać.

— W tym stadium choroby nie spodziewam się specjalnych kłopotów — oświadczyłam po zapoznaniu się z kartą chorego.

Dla pani, Tatiano Pietrowno, z pani doświadczeniem nabytym w szpitalu polowym, na pewno nie będzie to nic

trudnego. — Doktor Botkin z nie ukrywanym podziwem spoglądał na mnie zza okularów w okrągłej, złotej oprawce. — Ale pani zawsze należała do osób zdecydowanych. Nigdy nie zapomnę sceny, którą pani urządziła, gdy próbowaliśmy pani obciąć włosy podczas tyfusu. Pamięta pani?

Zarumieniłam się na wspomnienie tamtego wydarzenia.

Doktor Botkin uśmiechnął się, gładząc swą brodę.

— Proszę teraz pójść zobaczyć się ze swoimi przyjaciółkami. Ich Książęce Wysokości z niecierpliwością pani oczekują. Zawołamy panią, jak tylko Aleksy Nikołajewicz się obudzi.

Cóż za dobry, poczciwy człowiek z tego Botkina, wcale nie przypomina lekarza nadwornego. Jest jakby żywcem przeniesiony ze sztuki Czechowa, myślałam krocząc do bawialni za pałacowym gońcem w liberii z czasów panowania cesarzowej Elżbiety.

W dobrze mi znanym pokoju z fryzem z zielono-żółtych pawi, z wysokimi oknami, wychodzącymi na park z zamarzniętymi jeziorami i ośnieżonymi wyspami, rozpalono w obydwu kominkach. Cztery wielkie księżniczki tworzyły malowniczą grupkę. Anastazja w marynarskim ubranku bawiła się na podłodze z buldogiem Tatiany — cocker-spaniel carewicza nie odchodził od drzwi jego pokoju. Wszystkie księżniczki na mój widok wstały i okrążyły mnie. Maria, która robiła się coraz ładniejsza, była wciąż nieśmiała i powolna. Anastazja zasypała mnie gradem pytań. Ale Olga Nikołajewna powiedziała.

— Pora, byś razem z Marią zabrała się za lekcje. Mateczka odpoczywa po całonocnym czuwaniu przy łóżku malca i teraz ja tu rządę.

*Allez-vous-en.* Idźcie! — uczyniła ręką władczy gest.

— *Vite!* — zawtórowała swej siostrze Tatiana Ni-kolajcwna.

— Takie jesteście? W takim razie nie będziemy się już podpisywały OTMA. — Siostry utworzyły anagram z pierwszych liter swoich imion.

— Od tej pory będziemy MA *tout*

*court* — odgryzła się Anastazja, złapała Marię za rękę i opuściły pokój. Uśmiechnęłyśmy się. Po chwili Olga spoważniała, a Tatiana się zamyśliła. Podeszłyśmy do stojącej obok komina kanapy.

Kiedy już wymieniliśmy ostatnie wrażenie, Olga Ni-kołajewna powiedziała:

— Cóż to za ulga mieć cię tu z nami, Taniu. Aleksy powinien od razu poczuć się lepiej. I może wtedy „on” nie będzie musiał tu przychodzić. Po raz pierwszy Olga Nikolajewna tak otwarcie wyraziła swą niechęć do przyjaciela matki, choć z jej sposobu zachowania domyśliłam się tego już wcześniej.

— Ojciec Grigorij jest w pałacu? — spytałam, nazywając Rasputina po imieniu.

— Przyjechał wczoraj, by modlić się razem z mateczką. Wierzy, że jego modlitwy uratowały życie malca!

— Tak czy inaczej, dzięki niemu mateczka odzyskała spokój ducha. — Nieświadomie naśladowując matkę, Tatiana Nikolajewna przybrała ton lekkiego zniecierpliwienia.

— Widujecie go? — spytałam Olgę Nikolajewną. Ten człowiek, o którym mówiła cała Rosja, był dla mnie postacią całkowicie tajemniczą. Interesowało mnie, czy moje przyjaciółki znały go lepiej.

— Spotkałyśmy go pod drzwiami, kiedy wychodził z buduaru mateczki. Pokłonił mi się do samej ziemi jak chłop. W stosunku do mateczki i tatki jest dosyć arogancki. Wobec mnie, ponieważ go unikam, jest obłudnie grzeczny. Ma bardzo niebieskie, głęboko osadzone oczy, którymi się w człowieka badawczo wpatruje. Chyba rzucił na mateczkę jakiś urok.

— Nie może być złym człowiekiem, skoro mateczka mu ufa. — Tatiana Nikolajewna zrobiła jeszcze bardziej wyniosłą minę.

— Uważam, że nie powinnaś krytykować przyjaciela mateczki.

— Och, jesteś jej tak ślepo oddana, że nie widzisz, jaką krzywdę wyrządza sobie i tatce. — Olga była nieugięta.

— Mateczka jest taka przemęczona! — W głosie Tatiany Nikołajewny przebijała głęboka czułość. — Teraz, gdy tatko jest w Stawce, mateczka mimo złego samopoczucia dzielnie próbuje kierować pracami rządu. Przecież to ponad ludzkie siły!

— Ależ to on kieruje pracami rządu — oświadczyła jej bezkompromisowa siostra. — To już doprawdy jest absolutnie nie do zniesienia. Nie rozumiem, czemu tatko nie położy temu kresu.

— Nikt tego nie rozumie — mruknęłam pod nosem. Popatrzyłyśmy na siebie w milczeniu.

— Ale cóż my możemy na to poradzić? Czy ktokolwiek może na to coś poradzić?! — wykrzyknęła Olga.

— Każdy powinien robić to, co do niego należy. I starać się być dobrym — stwierdziła Tatiana Nikołajewna.

— Przykładem dla nas jesteś ty. — Olga uśmiechnęła się z ujmującą szczerością. Rozmowa zesłała na lżejsze tematy.

Pomyślałam, że obie — Olga Nikołajewna ze swą zjadliwością i odwagą, Tatiana ze swym opanowaniem i taktem — byłyby lepszymi następczyniami tronu niż ich chorowity i rozpieszczony brat. To głupie, dyskryminujące prawo wprowadzone na początku dziewiętnastego wieku, które wykluczało kobiety z dziedziczenia korony, stanowiło źródło fenomenu Rasputina i przyczynę dekadencji naszego dworu.

W buduarze Aleksandry razem z carem, dziećmi i nieodłączną Anuszką — Anną Wyrubową, która nieznośnie mi się przymilała — wypiliśmy herbatę, a potem wezwano mnie do pokoju chorego.

Aleksy był wciąż bardzo osłabiony, ale rozpoznał mnie i uczepił się mojej ręki. Komuś tak aktywnemu jak ja niełatwo było przez całe godziny siedzieć bez ruchu. Pomogła mi modlitwa. Po długotrwałej koncentracji osiągnęłam dzięki niej spokój. Spałam głęboko i obudziłam się wypoczęta.

Na drugi dzień Aleksy był gotów coś zjeść, jeśli ja go nakarmię. Nie tylko chciał trzymać mnie za rękę, ale jeszcze musiałam mu opowiadać bajki. Korzystałam z książek Juliusza Verne'a i H. G. Wellsa, dodając własne, nieszablonowe wątki.

Następnego dnia Aleksy mógł mówić. Po zmierzeniu temperatury i poprawieniu poduszek spytałam go, jak mu się podoba pobyt z ojcem w Stawce.

— Jest tam nawet dość przyjemnie — odpowiedział.

— Żubrówka — tak nazywała się jego kotka — jest bardzo zabawna. Ale nie podobało mi się w punkcie pomocy medycznej. Brzydko tam pachniało, a ranni tak okropnie jęczeli, że później przez całą noc męczyły mnie koszmary.

Uważałam ze strony cara za błąd narażanie nerwowego i bardzo wrażliwego jedenastolatka na taki wstrząs, szczególnie w wypadku dziecka tak mocno izolowanego od rzeczywi- ' stości jak Aleksy Nikołajewicz.

— Tato mówi, że muszę być silny — ciągnął Aleksy.

— Chcę być tak silny jak Piotr Wielki. Wszyscy jednak traktują mnie jak małe dziecko, nawet tato. Jestem ich „malcem” i „małym skarbem”. Strasznie tego nie lubię! Nawet moje siostry tak się do mnie zwracają. Tylko ty jedna, Taniu, zachowujesz się inaczej.

— Nie należę do rodziny. Poza tym jestem wykwalifikowaną pielęgniarką. A z chorymi nie wolno tak postępować.

— Ty jesteś inna. — Aleksy bawił się moją dłonią.

— Ogromnie cię lubię, Taniu. Kiedy byłem bardzo chory, wzywałem cię. Nie pozwolę, by cię znów odesłali.

— Kto chciałby mnie odesłać? — spytałam, choć nietrudno było się domyślić, komu mogłoby na tym zależeć.

— No wiesz... ojciec Grigorij. Nie chcę, by do mnie przychodził. Jest niechlujny. To zwyczajny, brudny *mużik*

— dodał po rosyjsku.

— Być *mużikiem* to nic złego. — Przypomniałam sobie, jak w wieku Aleksego łączyłam brud z ludźmi niskiego stanu.

Jeśli chłopcy nic zawsze są czysti, to dlatego że nic mają

warunków, by się myć. A skoro czujesz się lepiej, ojciec Grigorij nie będzie musiał więcej do ciebie przychodzić.

— Mam nadzieję! Lecz czemu *mużiki* zachowują się tak uniżenie? —

Przyjaciel matki niedługo zaprzętał żywy umysł Aleksego. — Kiedy przychodzą do ojca z delegacją, padają przed nim na kolana. Czemu tatko im na to pozwala? Okropnie mnie to peszy.

— Jestem pewna, że Jego Wysokości wcale nie zależy na tego typu hołdach. Ale to bardzo stary zwyczaj, z którym trudno zerwać.

— Już ja się szybko z tym rozprawię — powiedział Aleksy po angielsku.

— I nie będzie żadnych „Ich Cesarskich Wysokości”. Zwyczajnie „pan” i „pani” jak u wuja Jerzego i królowej Marii. — Chłopiec nazywał „wujem” kuzyna ojca.

Pomyślałam, że ojciec ucieszyłby się, gdyby się dowiedział, że carewicz chce brać przykład z angielskiej pary królewskiej.

— Stworzysz nowoczesną monarchię — powiedziałam.

— Nowoczesna monarchia. Podoba mi się to. Powtórz jeszcze raz.

— Nowoczesna monarchia — powiedziałam i zrobiłam zabawną minę. Aleksy się roześmiał.

Do moich głównych obowiązków, poza dbaniem o dobre samopoczucie Aleksego i powstrzymaniem go od dokazywania w łóżku, należało rozweselanie carewicza. Pod koniec tygodnia, kiedy Nagorny przyniósł chłopca do buduaru matki na podwieczorek, Olga Nikołajewna odważyła się stwierdzić:

— Dzięki temu, że Tania go rozwesela, malec czuje się coraz lepiej.

Zaraz następnego dnia Aleksandra podziękowała mi oschle za pomoc i wyraziła zgodę, bym wróciła do „bardziej pilnych obowiązków”.

Poszłam pożegnać się z Aleksym.

Kiedy zesłam na dół, spotkałam gońca pałacowego, który powiedział, że car czeka na mnie w swym gabinecie.

Zdziwiłam się — dzieci nigdy tam nie zapraszano — ale nieśmiało podążyłam za nim. Car zawsze traktował mnie wyjątkowo, niemal jak własną córkę.

Na samym końcu korytarza znajdował się pokój dyżurnego adiutanta; stojący na straży przed gabinetem cara etiopski lokaj otworzył mi drzwi. Weszłam do pomieszczenia średniej wielkości, umeblowanego ciemnymi meblami i skórzanymi fotelami; na biurku panował pedantyczny porządek, na niskiej etażerze stały popiersia i podobizny członków cesarskiej rodziny. Car wskazał mi fotel stojący po drugiej stronie niskiego stolika. Po zamienieniu kilku słów na temat carewicza, poprosił mnie, bym szczegółowo opisała mu swoje wrażenia z pracy w szpitalu polowym.

Opowiedziałam mu wszystko tak szczerze, jakbym rozmawiała z własnym ojcem. Może trochę przesadziłam, wspominając o ranie odniesionej przez mego kuzyna. Skorzystałam również z okazji, by podkreślić brawurową akcję ułanów zaślawnickich.

— To wspaniali żołnierze — zgodził się car. — Mów dalej. Kiedy skończyłam, powiedział: — To straszne, straszne! — W jego łagodnym głosie słyhać było prawdziwe współczucie. Po chwili milczenia dodał: — Musimy zwalczyć Niemców bez względu na koszty.

Pomyślałam, że zamiast kazać armiom walczyć do ostatniej kropli krwi, rządy wojujących państw powinny spotkać się i omówić warunki przywrócenia pokoju. Jeśli żołnierze na froncie w przerwach między bitwami mogą się bratać, czemu dowódcy, siedzący w bezpiecznych kwaterach, wysyłający ludzi na śmierć, nie mogą zarządzić zawieszenia broni.

Car w zadumie wyglądał przez okno.

— Och, Taniu, gdybyś wiedziała, jak bardzo zazdroszczę twemu ojcu — zwrócił się do mnie po rosyjsku. — Być dowódcą własnych, lojalnych oddziałów, stać twarzą w twarz z wrogiem. Ja... ja mogę policzyć na palcach jednej ręki poddanych, którym mogę zaufać. A moi niewidzialni wrogowie są wszędzie. Ale wszystko jest w rękach Boga.



— Wyjął z cygarnicy papierosa, przeciągnął dłonią po bokobrodach i mruknął: — O, mój Ojczy, jeśli muszę wypić ten kielich goryczy, niech się stanie Twoja wola.

Ogarnęło mnie współczucie pomieszane ze strachem: współczucie dla tego wrażliwego, łagodnego człowieka mimo woli odpowiedzialnego za cierpienia milionów i strach o mych bliskich oraz kraj rządzony w tak trudnym okresie przez zupełnie nieodpowiednią osobę.

— No cóż, Taniu — car opanował się i wstał — musimy wracać do swych obowiązków. Chętnie zabrałbym cię do Stawki moim pociągiem, ale wiem, że chciałaby się z tobą zobaczyć Anna Władimirowna. Dziękuję ci za wszystko. Jesteś wspaniałą dziewczyną — powiedział i objął mnie. Myślałam, że zostałam odprawiona z pałacu, ale kiedy byłam już spakowana i gotowa do drogi, ponownie wezwano mnie do cesarskich apartamentów. Tam, w obecności córek, Aleksandra zawiesiła mi na szyi wysadzany kamieniami medalion z portretem carewicza, po czym mnie ucałowała.

Anastazja klasnęła w dłonie. Maria oblała się paśowym rumieńcem. Olga Nikołajewna przytuliła mnie. Ale kiedy spojrzałam w piękne oczy Tatiany, wiedziałam, że nikt nie był bardziej zadowolony niż ona. Car miał rację. Nie mogłam wrócić do Mińska, nie odwiedzwszy Grandmaman.

Podczas krótkiego pobytu w Piotrogradzie poszłam na galowe przedstawienie „Borysa Godunowa” z Szalapinem w roli tytułowej. Grandmaman nie pozwoliła mi iść w uniformie pielęgniarce. Niania stwierdziła, że moje włosy wyglądają jak „żółte strąki” i bezlitośnie je szczotkowała. Kiedy pomagano mi się ubierać w wytworne fatalaszki, poczułam się jak aktorka przebierająca się do roli księżniczki.

Na parterze Teatru Maryjskiego wypatrzyłam profesora Holwca w sztywnym gorsecie i fraku. Przyszedł dla Szalapina, pomyślałam i uśmiechnęłam się. Nienawidził oficjalnych strojów, chociaż we fraku wyglądał niezwykle dystyngowa-

nie. O, też mnie zauważył. Uradowana skinęłam mu głową i uśmiechnęłam się.

Grandmaman spostrzegła to i skierowała swą lornetkę na uczonego.

Odwrócił głowę w stronę sceny i nie spojrział już na mnie.

Byłam zbyt pochłonięta operą — moją ulubioną — by myśleć o profesorze. Ale Stefek by się ucieszył, gdyby mógł posłuchać Szalapina, myślałam. I jaka szkoda, że nie może zostać gwiazdą operową, podobnie jak ojciec nie mógł zostać malarzem, a ja chirurgiem. Ale te osobiste rozczarowania były niczym w porównaniu z szaleństwem dziejącym się na scenie.

Opera kończyła się lamentem Simpletona „Płacz, ludu Rosji, płacz!”. Po takim finale trudno mi było zachowywać się poprawnie podczas wychodzenia z teatru, gdy przyjaciele i znajomi otoczyli Grandmaman i Zinajdę Michajłownę. Na szczęście Wiery Kiryłowny nie było z nami. Nie mogła znieść żelaznych rygorów wprowadzonych przez Grandmaman na czas wojny i uciekła z Bobikiem do naszego domu na Krymie —, oboje cierpieli na reumatyzm i nie znosili chłódów.

Ciekawscy przedstawiciele socjety przyglądali mi się, rozplývając się w pochwałach nad moją „bohaterską pracą na froncie”. W pewnym momencie ujrzałam z daleka profesora Holwega.

— Muszę zniknąć na chwilę — szepnęłam Zinajdzie Michajłownie i posłałam Fiodora, by zatrzymał naukowca.

Spotkaliśmy się w foyer na parterze. Ucałował moją dłoń.

— Tatiano Pietrowno, znów panią ujrzeć, i to akurat tego wyjątkowego wieczoru... Jestem pod ogromnym wrażeniem!

— Rzeczywiście, jest przejmująca! — Sądziłam, że ma na myśli wyłącznie operę. — I nigdy jeszcze nie wydała mi się tak prawdziwa, tak bliska.

Zrozumiał.

— To prawda. Od naszego ostatniego spotkania świat cofnął się do szesnastego wieku, który uważaliśmy za bar-

barzyński. Obawiam się, że może się jeszcze bardziej do niego upodobnić. Tylko że te nasze dwudziestowieczne niepokoje zaćmia poprzednie.

— Teraz panu wierzę. Właśnie spędziłam tydzień w Carskim Siole, w Pałacu Aleksandrowskim. — Nie musiałam nic więcej dodawać. Mieliśmy sobie jeszcze tyle do powiedzenia, ale Fiodor dał znak, że zbliża się Grandmaman.

— Tatiano Pietrowno — powiedział pośpiesznie profesor — zna pani mój adres. W razie potrzeby proszę się nie krępować i zwrócić się do mnie o pomoc. Mam przyjaciół na obu krańcach politycznego spektrum.

— Dziękuję. Niech Bóg pana błogosławi — powiedziałam i oddaliłam się pośpiesznie.

Podczas jazdy do domu delauneyem Grandmaman milczałam, obserwując mgłę opatulającą żółtym tumanem uliczne latarnie. Rozmyślałam nad słowami profesora oraz nad czasami niepokojów, które nastąpiły po rządach Borysa Godunowa. Myślałam o młodym synu i dziedzicu cara Borysa oraz o jego córce, których zgładził jego następca. Czyż w Carskim Siole nie rozgrywała się równie tragiczna opera — niezdecydowany, lecz uparty car, polegający na swej niezwrótnoważonej, lecz stanowczej żonie, która z kolei opiera się na chytrym chłopie o cudownych zdolnościach? A może cała trójka wykorzystywana była przez klikę skorumpowanych oportunistów? Czyżby nie była to *opera grandę*, ale jedynie płaczliwy melodramat? Tak czy inaczej, powstała na górze próżnię mogli wypełnić ludzie okrutni i pozbawieni skrupułów. Grandmaman miała rację. Niemożliwe, by w Rosji zapanował rozsądek i umiarkowanie.

W czasie kilku dni spędzonych w Piotrogradzie udałam się również z Grandmaman do Pałacu Marmurowego z wizytą kondolencyjną do wdowy po wielkim księciu Konstantym. Wstrząśnięty śmiercią Olega, swego ukochanego syna, wielki książę umarł niespełna rok później. W holu z różowego marmuru, z wysokimi amforami, w których chowaliśmy

się w dzieciństwie, panowała jakaś złowroga atmosfera, jakby ten pałac również nosił na sobie piętno greckiej tragedii.

Bardziej radosna była nieoficjalna wizyta w naszym *osobniaku* oddanej przyjaciółki rodziny, wielkiej księżny Marii Pawłowny. Ona również pragnęła posłuchać o mych przeżyciach na froncie. Byłam wobec niej bardziej powściągliwa niż wobec cara. Nie była żołnierzem i nie rozumiałaby wszystkiego.

— Jesteś zbyt skromna, moje drogie dziecko — powiedziała Maria Pawłowna. — Dzielność w połączeniu ze skromnością to niebezpieczna mieszanka. Odstraszysz wszystkich konkurentów, zgadza się pani ze mną, Anno Władimirownno?

— To nie byłyby takie najgorsze. — Grandmaman spojrzała na mnie groźnie. Zrozumiałam, że lepiej nie mieć żadnego konkurenta niż Stefana Zasławskiego w tej roli.

Nie zaspokoiliłam również ciekawości Jej Cesarskiej Wysokości, jeśli chodzi o mój pobyt w Carskim Siole.

— No cóż, Ich Cesarskie Moście mają na dworze przynajmniej jednego lojalnego poddanego, który nie jest ani głupcem, ani oszustem — skomentowała Maria Pawłowna. U każdego członka rodu panującego wyczuwałam spowodowany bezsilnością gniew na cesarską parę, która utraciła zacofanie ludu.

\*

Feeria świateł, zbytek i wystawność stołecznego życia wydały mi się dziwne po szarzyźnie terenów objętych wojną. Sposób rozumowania osób cywilnych był dziwnie obcy i niezrozumiały. Kontrast pomiędzy naszą wspaniałą siedzibą Admiralicji a nędznymi osiedlami uchodźców pod Warszawą i dworcami Warszawskim i Nikołajewskim był tak szokujący, że z radością opuszczałam Petersburg. Towarzyszyła mi Grandmaman wraz z nieodłączną Zinajdą Michajłowną. Niania też pojechała z nami, oświadczywszy, że

mogę być wspaniała, jeśli chodzi o troszczenie się o innych, ale zupełnie nie potrafię zadbać o siebie.

Przeżyliśmy bardzo miłą niespodziankę. Na stacji w Mińsku powitał nas ojciec, wuj Stach, Stefek i Kazik; przyjechali z frontu południowo-zachodniego na urlop bożonarodzeniowy.

Kiedy Grandmaman umieszczono w apartamencie cioci Zofii na tyłach szpitala i odpakowano prezenty, cała rodzina zgromadziła się w skromnie umeblowanym salonie cioci Zofii. Zinajda Michajlowna wyjechała do Mohylewa, by odwiedzić syna Koleńkę. Dzięki matczynym zabiegom awansowano go na adiutanta szefa sztabu generała Aleksiejewa.

Znalazłszy się wreszcie wśród swoich — Kazik właściwie należał do rodziny — mogłam ze szczegółami opisać swój pobyt w Carskim Siole. Moja relacja wywarła silne wrażenie.

— Wokół krąży tyle plotek — powiedziała ciotka Zofia.

— Ale teraz dowiedzieliśmy się wszystkiego od osoby godnej zaufania.

Widać, że władcy Rosji są na skraju nerwowego załamania.

— To powoduje, że coraz czarniej widzę naszą sprawę.

— Wuj nie musiał dodawać, że chodzi o sprawę autonomii Polski. —

Wielopolski, Potocki, Zamoyski — z ust wuja padały nazwiska polskich arystokratów, silnie wpisane w historię kraju — wszyscy nasi przyjaciele poważnie wątpią w to, że car dotrzyma swej obietnicy.

— Czy nie można wyrzucić presji na Jego Cesarską Mość? — spytała ciocia. — Czy też pod wpływem nacisku car jeszcze bardziej zacina się w uporze?

— Mikołaj zawsze ustępuje — odparł ojciec. — Cały problem polega na tym, że ustępuje osobie, która wywiera największy nacisk — swej żonie. A cesarzowa jest zdecydowaną przeciwniczką jakichkolwiek zmian obecnego stanu rzeczy. Cóż, przynajmniej ona jest konsekwentna.

--- Powinno się ją zamknąć w klasztorze — oświadczyła Grandmaman.

— Do końca życia.

— Mikołaj Mikołajewicz głośno wyrażał taką opinię.

— Ojciec uśmiechnął się lekko na wspomnienie swego prostolinijnego byłego szefa sztabu.

— Wszyscy Romanowowie mają jej dosyć — ciągnęła Grandmaman. — Nawet jej rodzona siostra nie zbliży się do Aleksandry, póki cesarzowa będzie ślepo wierzyła temu fałszywemu prorokowi.

Siostra Aleksandry, wielka księżna Elżbieta, złożyła śluby zakonne w 1905 roku, po tragicznej śmierci swego męża, wielkiego księcia Sergiusza. Kiedy byłam dzieckiem, uważałam tę piękną, pobożną kobietę za ideał godny naśladowania.

— Czy nie należałoby się rozprawić z Rasputinem?

— spytał Stefek. — Byłby to wysoce patriotyczny czyn. Kazik spojrzał na niego z podziwem, ja — ze zgrozą.

— Kto wie, czy do tego nie dojdzie. — Wuj Stach pozostał niewzruszony.

— Może to przynieść więcej szkody niż pożytku — powiedział ojciec. —

Griszka-męczennik stałby się jeszcze potężniejszy niż

Griszka-jasnowidz. Poza tym to tylko narzędzie.

Rasputin narzędziem? Mnie też to przemknęło przez myśl po „Borysie Godunowie”.

— Czyim narzędziem, tatusiu? — spytałam.

— Biurokratów i reakcjonistów, którzy raczej wolą, by Rosja zginęła, niż uczyniła krok do przodu. Jeden z nich to Bielecki, były szef tajnej policji.

Drugi to Monsignor Pitrim, metropolita Piotrogradu. Należy również do

nich były minister sprawiedliwości Szczegłowitow, bezwzględny antysemita i godny następcą zmarłego już wpływowego arystokraty, którego nazwiska nie mogę wymieniść, nie rumieniać się.

— Księcia Mieszczerskiego — powiedział wuj — wydawcę reakcyjnego szmatławca „Grażdanin”.

— Którego zagorzałym czytelnikiem jest Mikołaj. Ta klika sprytnie wykorzystuje skryte marzenia i dążenia Mikołaja i Aleksandry, używając Griszki, by je jeszcze wzmocnić. Jak więc widzicie — ojciec machnął ręką — to całkowicie beznadziejna sprawa.

— Nonsens! — Grandmaman stuknęła laską w podłogę. — To tylko rosyjski defetyzm czyni tę sprawę beznadziejną. Pierre, jak można mówić takie rzeczy w obecności młodych. Mamy w Dumie energicznych przywódców. Pod kierownictwem dobrego księcia Lwowa Związek Ziemstw dokonywał cudów, by pomagać walczącym żołnierzom. — Grandmaman, jak większość postępowych obszarników, była gorącą zwolenniczką Ziemstw, wybieralnych rad lokalnych posiadających pewną niezależność. — Dzięki nim i Poliwanowowi — zdolnemu i uczciwemu ministrowi wojny — ciągnęła — prawie zlikwidowaliśmy braki w zaopatrzeniu. Mamy świetnych generałów i odważnych żołnierzy. Musimy tylko wytrwać do zwycięskiego końca. Nasz władca jest patriotą. Musi się wreszcie opamiętać!

— *Bravo, Maman!* — Uśmiechnął się ojciec.

Wuj powiedział, że skontaktuje się z ambasadorem Francji i Anglii.

— Niech ich rządy wywrą nacisk na Mikołaja. Mocno popierają naszą sprawę. — I na tym dyskusja się zakończyła.

Aktywna, stanowcza część mojego „ja” zgadzała się z Grandmaman.

Pielęgniarka nie może być defetystką. Ale ta druga, wrażliwa, religijna Tania, uważała, że rację ma ojciec i że sytuacja jest beznadziejna.

Każdy, czy to na górze, czy na dole, był narzędziem w czyichś rękach. A zatem nikt — żaden człowiek ani grupa ludzi, ani naród nie ponosił winy za wybuch wojny. Nikt też nie chce podjąć decyzji, żeby ją zakończyć. Przypominało to ogromną maszynę z niezliczoną ilością zazębających się trybów, która raz puszczona w ruch — nie wiadomo przez kogo — musiała się kręcić. Jeśli tak było naprawdę, to życie nie miało sensu, a wojna była jakimś przerażającym żartem.

Moja chrześcijańska dusza nie mogła się z tym pogodzić. Jeśli nikt nie był odpowiedzialny, w takim razie odpowiadali wszyscy. Cała ludzkość ponosiła zbiorową odpowiedzialność za wojnę. Nie miało sensu obwinianie władcy, prezydenta, kraju czy — jak czynili to komuniści — jednej klasy społecznej. Źródła zła i przemocy tkwiły w każdym z nas.

I możliwa była tylko jedna z dwóch postaw: albo powszechne obrzydzenie albo powszechna litość.

W saloniku cioci Zofii jeszcze nieraz dyskutowano o polityce. Ale podczas uroczystego obiadu wydanego z okazji nowego, 1916 roku zapomniano o polityce. Długi stół w jadalni personelu zastawiono talerzami, kryształami i srebrami z pałacu Zasławskich. Nałożyłam dopasowaną sukienkę z czerwonego aksamitu, obszytą gronostajami, i rozpuściłam włosy, tak jak to lubił mój kuzyn.

Stefek siedział naprzeciwko mnie; nie był już chudy i schorowany, ale jak zwykle silny i gładki. Siedzący obok niego Kazik wyglądał równie chwacko. Cała nasza trójka stała się towarzyszami walki. Kazik wydał mi się o wiele bardziej interesujący, kiedy Stefek opowiedział mi o jego „reputacji”, na którą według słów mego kuzyna bardziej sobie zasłużył niż on sam. Stefek przypuszczał, że ma to jakiś związek z matką Kazika, która uciekła kiedyś z kochankiem.

Siedzący obok mnie ojciec obserwował moją gorącą miłość do Stefana z czułością i dumą. Wuj Stach na swój sposób rozkoszował się promienną obecnością cioci Zofii. Nawet Grandmaman spoglądała na wszystkich łaskawiej. Brakowało jedynie wujecznej babki Katarzyny. Wuj podzielił się wiadomościami przyniesionymi z Polski przez żydowskiego kuriera. Zasławice uniknęły zniszczenia. W pałacu urządzono kwaterę główną niemieckiego księcia i jego sztabu. Księżę prześcigał się w uprzejmościach wobec swej wiekowej gospodyni, ale ona nie odpłacała mu tym samym. Księżna Katarzyna komunikowała się z najeźdźcą tylko przez pośredników i opuszczała swój pokój jedynie, by zanieść kwiaty na grób męża; mogiła księcia stała się celem pielgrzymek okolicznej ludności. Wszystkim było ciężko, ale znacznie lżej niż tym, którzy uciekli albo których zmuszono do ucieczki. Pałac stał nietknięty, podobnie jak



wielkie lipy, które rosły od ośmiu wieków, będąc świadkami czterech inwazji.

„Zachowuję Zasławice nietknięte dla mego syna i wnuka oraz dla dzieci mego wnuka” — kazała nam przekazać wujeczna babka. Wuj powtórzył jej słowa głosem spokojnym, mimo wyraźnego wzruszenia, i spojrzał na swego syna.

Stefek spojrzał na mnie i wiedziałam, że on też odczytał zachowanie wiekowej siedziby Zasławskich w stanie nietkniętym jako dobry omen, oznaczający triumf miłości i życia nad wojną i śmiercią oraz zapowiedź utrzymania ciągłości rodu.

Rankiem po przyjęciu noworocznym każdy wyruszył w swoją stronę. Grandmaman oraz Zinajda Michajłowna, wciąż rozpromieniona po spotkaniu z Koleńką, wróciły pociągiem do Piotrogradu. Razem z nianią odprowadziłam, ojca, wuja Stacha, Stefka i Kazika na dworzec, skąd udali się na południe. Przydzielono mnie do szpitala polowego, oddalonego mniej niż godzinę jazdy, w pobliżu Równego — starego, malowniczego miasteczka położonego wśród ogrodów. Niania dołączyła do ojca, by móc się mną właściwie zająć podczas moich wizyt u niego. Ojca przeniesiono z dowództwa kawalerii, która stała się zbędna w wojnie pozycyjnej, do korpusu piechoty składającego się z trzech dywizji. Towarzystwałam mu podczas pierwszej inspekcji nowych oddziałów. Wolno jechaliśmy odkrytym samochodem wzdłuż szeregów żołnierzy stojących na śniegu. Świeciło słońce tak jak kiedyś dla cara. Wyczyszczona i wypolerowana broń lśniła w jego promieniach. Powiewały flagi i pułkowe proporce. Grzmiały werble. Dźwięk trąbki rozlegał się wzdłuż całej trasy przejazdu. Dostrzegłam wzbudzające grozę piękno wojny i wpływ, jaki mogła wywierać na ludzkie umysły. Z sześćdziesięciu tysięcy gardeł wyrwało się gromkie „hura” na cześć nowego dowódcy. Pomyślałam, że ojciec w białej papasze jest żywym wcieleniem wareskiego księcia Ruryka, naszego przodka. Nigdy nie byłam bardziej dumna z tego, że jestem jego córką. Stałam prosto, jakbym na głowie trzymała książkę, i starałam się spojrzeć każdemu żołnierzowi w oczy, tak jak czynił to ojciec. Byłam teraz

dumna ze swego medalu, który przypięłam do uniformu siostry miłosierdzia. Dzięki niemu wszyscy wiedzieli, że jestem jedną z nich. Do tej pory marna była ze mnie patriotka. Ale kiedy patrzyłam w zwrócone ku nam okrągłe, otwarte rosyjskie twarze, pomyślałam: „Nie ma lepszych, życzliwszych, bardziej wielkodusznych i serdecznych ludzi na całej ziemi” i poczułam do nich gorącą miłość.

Parę dni później towarzyszyłam Stefkowi i cioci Zofii podczas wizyty w bazie pułku wuja Stacha. Rozlokowany był dalej na południe, w pobliżu rzeki Styr. Ułani zasławscy wyczyścili swoje szable i wypolerowali koniom kopyta tak, jak nie zrobiliby tego nawet dla cesarza. Byli tacy wspaniali, że pokochałam ich równie gorąco co rosyjską piechotę. Po przeglądzie wojsk otoczyli Stefka ludzie z jego plutonu. Rozpoznałam kilku chłopców z jego wioskowej kompanii, a oni zaczęli się do mnie zwracać „Panienko Taniusiu”, jak robili to dawniej. Czyli wszyscy kontynuowaliśmy nasze dziecięce zabawy: ja bawiłam się w pielęgniarkę, chłopcy — w wojsko, a ich pan pułkownik — w wojnę.

Ostatnie popołudnie urlopu spędziłam ze Stefanem. Podczas spaceru Stefek obejmował mnie ramieniem, a kiedy usiedliśmy — trzymaliśmy się za ręce. Obopólnie narzucone sobie śluby czystości powodowały napięcie i często brakowało nam słów. Ale znajdowaliśmy w tym dziwną przyjemność. Nie byliśmy zwykłymi kochankami. Byliśmy odlani na miarę legendy. A spełnienie naszej miłości będzie tym słodsze i pełniejsze, im dłużej przyjdzie nam na nie czekać.

Później widywaliśmy się tylko podczas przepustek. Stefek został przydzielony do jednostki wywiadu, do rozszyfrowywania depe sz wroga. Ja pracowałam na sali operacyjnej dobrze wyposażonego szpitala na bocznic y kolejowej za linią frontu. Konne ambulanse i trudne warunki pracy należały do przeszłości, nawet amunicji nie brakowało już tak bardzo jak kiedyś. Teraz nie tyle brakowało karabinów, ile ludzi do ich noszenia. Żołnierze stali się bardziej niecierpliwi i skorzy do niezadowolenia niż podczas tego okropnego odwrotu.

Chcieli wracać do domów, do mamusinych pierogów z kapustą, do swych żon i ukochanych, do ciepłego pieca, suchej izby. Zaczynali się zastanawiać, jak długo jeszcze i w imię czego muszą być z dala od domu. Dobrze ich rozumiałam. Obserwując sanitariuszy kładących na stole operacyjnym rannych żołnierzy, z których ciał dopiero co zmyto krew wroga, sama zadawałam sobie pytanie: jak długo jeszcze będzie trwała ta okropna masakra i rzeź? Pod Verdun zginęło pół miliona ludzi. Brytyjskie i francuskie korpusy ekspedycyjne po poniesieniu dotkliwych strat w końcu opuściły półwysep Gallipoli — wiadomo już było, że Rosja nie zdobędzie Konstantynopola. Poza tym czy w ogóle realne było to marzenie cara i garstki arcy patriotów? Serbia? Armia serbska została rozgromiona. Państwo, z którego powodu rozpętano tę wojnę, przestało istnieć. W takim razie, o co toczy się teraz walka? Nikt prawdopodobnie nie odniesie z niej korzyści. Czyżby była to próba, na którą wystawił nas Bóg, aby ludzie zbliżyli się do Niego? Tymczasem ludzie, żeby się nie załamać i wytrwać, staną się twardzi i nieczuli. Naszych dobroduszych rosyjskich chłopców ogarnia zniechęcenie, ale wrogów nie upatrują wśród Niemców i Austriaków, którzy cierpią podobnie jak oni, lecz wśród tych, których uważają za odpowiedzialnych za ich los, wśród oficerów. Potrzebna jest więc coraz ostrzejsza dyscyplina i karność. Tymczasem wokół widziałam jej coraz mniej. Mimo to latem 1916 roku wojsko było jeszcze na tyle zdyscyplinowane, że generał Brusilow mógł rozpocząć w czerwcu wielką ofensywę. Czerwiec, lipiec i sierpień 1916 roku były miesiącami najbardziej krwawych bitew tej wojny. Ofensywa armii na blisko pięćsetkilometrowym odcinku frontu udowodniła, że Rosja wciąż jeszcze jest potęgą, z którą należy się liczyć. Opóźniło to niemiecki atak na Włochy, zmusiło w końcu Rumunię do wypowiedzenia wojny państwom centralnym, a Niemców — do przerzucenia piętnastu dywizji z frontu zachodniego na wschód. Jednak wszystko to oka-

zało się Pyrrusowym zwycięstwem. Rosyjska armia poniosła milionowe straty w ludziach, zanim w październiku car powstrzymał dalszą ofensywę. Rezerwy były wyczerpane, morale żołnierzy poważnie nadszarpięte.

Korpus ojca, który brał udział w ofensywie na Galicję, poniósł ciężkie straty, podobnie ułani zasławscy. Poległ ojciec Kazika, były zarządca Zasławic, i kilku chłopców z dawnej dziecięcej drużyny Stefka. On sam wymusił na ojcu zgodę na udział w bezpośrednich walkach z wrogiem. Pod koniec sierpnia impet ofensywy się wyczerpał. Ku mej olbrzymiej uldze ułanów wycofano z frontu i powierzono im obowiązki na zapleczu. Podczas gdy ziemia drżała od artyleryjskiej kanonady, a Stefek ponownie prowadził swój pluton w bój, dokonując brawurowych czynów, na tyłach toczyły się wypadki polityczne, które miały zaważyć na naszej przyszłości.

W lipcu oczekiwano definitywnego ogłoszenia autonomii Polski przez stacjonującego w Mohylewie cara. Minister spraw zagranicznych Sazonow, energicznie ponaglany przez ambasadorów państw Ententy — Buchanana i Paleologue'a, naciskał na cara w sprawie Polski. Car — tak jak to przewidział ojciec — ustąpił i był nawet szczególnie łaskawy wobec Sazonowa, co według ojca było złym znakiem. Car zawsze okazywał szczególną łaskawość wobec tych ministrów, których zamierzał odwołać.

Polityczna intuicja ojca sprawdziła się. Tuż przed ogłoszeniem deklaracji do akcji wkroczyły „ciężkie działa”, jak nazywano w Stawce listy Aleksandry. Wkrótce też cesarzowa osobiście pojawiła się w Mohylewie. Manifestu nie ogłoszono. Natomiast jeszcze przed końcem miesiąca pozwolono Sazonowowi zrezygnować z pełnionej funkcji ze względu na zły stan zdrowia. Sturmer, głupi i niepopularny premier — który zastąpił starego Goremykina, mając jako jedyną rekomendację lojalność wobec Rasputina — został mianowany również ministrem spraw zagranicznych. Jeszcze raz niezłomna matczyna determinacja Aleksandry, by przekazać

synowi nietknięte imperium, przeważyła nad instynktem politycznym cara.

Wraz z Sazonowem z Rady Ministrów odszedł ostatni liberał. Generał Poliwanow — minister wojny, który naprawił całe zło wyrządzone przez zgubne i karygodne decyzje swego poprzednika Suchomlinowa — został zdymisjonowany już na początku kwietnia za wzorową współpracę z Dumą i ziemstwami. Grandmaman wściekała się, a ojciec był bardzo przygnębiony. Zmiana poglądów cara w kwestii Polski, odłożenie sprawy jej autonomii na czas nieokreślony, ostatecznie przeważyła szalę.

Potwierdzała również nieograniczone wpływy Aleksandry, które wkrótce miały okazać się fatalne w skutkach. Dla mnie konsekwencje jej decyzji były natychmiastowe.

W połowie sierpnia ojciec przysłał samochód sztabowy, który zabrał mnie do kwatery korpusu. Mieściła się ona w polskim dworku z gankiem ozdobionym kolumienkami, z dachem z cynkowanej blachy. Wokół rosły dęby i lipy. Choć ten graniczny powiat na Wołyniu nie znajdował się w obrębie byłego Królestwa Polskiego, obecnie okupowanego przez wroga, należał przed rozbiorami do Polski i wciąż zamieszkiwany był przez wielu polskich chłopów i ziemian. W dworku zastałam ciocię, wuja i Stefka. Nieobecność Kazika odebrałam jako znak, że odbędzie się ważna narada rodzinna.

Po wczesnym obiedzie z ojca podwładnymi, rodzina przeszła na werandę. Siemion podał nam mrożoną herbatę i wyszedł. Ciocia i ja siedziałyśmy w bujanych fotelach, wuj Stach stał obok żony. Wyglądała bardzo elegancko w sukni z drukowanego szyfonu. Mnie było gorąco i źle się czułam w swym grubym uniformie. Ojciec siedział naprzeciwko mnie i stukał nerwowo palcami w poręcz krzesła. Stefek chmurnie patrzył przez szybki werandy, w których odbijało się szaro-zielone światło z zewnątrz.

Ogarnął mnie przejmujący smutek, który zawsze wywoływała bliskość mego kuzyna. Przysłuchując się pobrzękiwaniu lodu w wysokich szklankach i głośniejszemu niż zwykle bzyczeniu komarów oraz os, uświadomiłam sobie panującą ciszę i ciężką atmosferę. Zaniepokojona spojrzałam na wuja. Najwidoczniej miał nam do zakomunikowania coś ważnego.

— Pierre, jak ci już powiedziałem w drodze do Mohylewa, nie wiązałem zbyt dużych nadziei z audiencją u cara — zaczął w końcu wuj. — Krótko mówiąc, Jego Cesarska Mość oświadczył, że choć w zasadzie zgadza się na pewną formę autonomii dla Królestwa Polskiego, nie jest w stanie podjąć ostatecznej decyzji, póki nie nadejdzie dzień zwycięstwa nad państwami centralnymi.

Na jego słowa odpowiedziało milczenie.

Wuj Stach kontynuował, wyraźnie poirytowany.

— Przypomniałem Jego Wysokości, że wielu Polaków, nie wyłączając moich ułanów, wstąpiło do armii rosyjskiej, wierząc w obietnicę zawartą w manifeście wielkiego księcia Mikołaja. Jego Wysokość odpowiedział, że główną troską zarówno Polaków, jak i Rosjan powinno być w tej chwili dążenie do szybkiego i zwycięskiego zakończenia wojny i że rozważy prośby tych, którzy lojalnie się do tego przyczynią. Wyobraź sobie tylko, Pierre, łaskawie weźmie pod uwagę nasze żądania, podczas gdy to nasz kraj stał się główną areną tej wojny, wojny, za którą nie ponosimy odpowiedzialności i którą nie jesteśmy zainteresowani.

Nie ukrywałem niezadowolenia słysząc te protekcyjne słowa. Widząc to, Jego Wysokość pośpiesznie zaczął wychwalać dokonania mego pułku i zapewniać, że o nich nie zapomni. Przypomniałem następnie Jego Wysokości, że wysiłki tej części polskiej arystokracji, która zaufała carowi rosyjskiemu w sprawie przywrócenia naszej konstytucji i autonomii, w dużym stopniu zapobiegły wybuchowi powstania podczas niespokojnego 1905 roku. Oświadczyłem, że jeśli nie otrzymamy gwarancji autonomii, nie mogę zaręczyć, że nie

dojdzie do rozruchów, kiedy Polska centralna zostanie wyswobodzona spod wrogiej okupacji.

Na wspomnienie 1905 roku Jego Wysokość wyraźnie poczuł się zakłopotany. Dał się zaskoczyć i przez chwilę nie mógł znaleźć słów, by odpowiedzieć. W końcu rzekł: „Dziękuję panu za lojalność, książę. Podziwiam pana i żywię dla pana sympatię. Lecz obecnie mogę jedynie powtórzyć, że dobro narodu polskiego leży mi na sercu. Musicie być cierpliwi”.

Zrozumiałem, że niczego więcej nie mogę oczekiwać po Mikołaju. Już wcześniej przeprowadziłem rozmowy z francuskim attaché w Stawce i z generałem Aleksiejewem. Wiesz, że Rosja na prośbę Francji zgodziła się wysłać na zachód pięć brygad liczących dziesięć tysięcy ludzi. Attaché zapewnił mnie, że Francja z radością powita u siebie ułanów zasławs-kich, a Aleksiejew zostawił decyzję w tej sprawie Jego Wysokości.

Postanowiłem skorzystać z okazji. „Sire — powiedziałem — na dowód wdzięczności, o której Wasza Wysokość wspomniał, proszę mi pozwolić dołączyć mój pułk do brygady kierowanej do Francji. W przeciwnym razie nie będę mógł dłużej ręczyć za jego morale”.

„Kiedy dotrzecie do Francji, będziecie walczyli pod flagą polską czy rosyjską?” — spytał car.

„Sire, moim głównym zadaniem, podobnie jak Waszej Wysokości, jest zwycięstwo nad państwami centralnymi. Moi ludzie mogą się do tego najlepiej przyczynić, walcząc u boku naszych francuskich sojuszników. Będą to czynili jako żołnierze armii Waszej Wysokości”.

„A po zwycięstwie?” — nie ustępował car.

„Sire — odparłem — skoro Wasza Wysokość nie chce podjąć do dnia zwycięstwa żadnych zobowiązań w sprawie statusu mego kraju, proszę mi pozwolić, że ja też nie wypowiem się teraz w tej kwestii”.

— Świetnie to rozegrałeś, ojczu! — wykrzyknął Stefek, a ciotka dodała cicho:



— Dobrze powiedziane, Stachu.

— Na czym więc stanęło? — Ojciec okazał pewne zniecierpliwienie na widok tak demonstracyjnie okazywanej polskiej dumy. — Czy Jego Wysokość wyraził zgodę?

— Moje oddziały otrzymały pozwolenie na wyjazd do Francji.

Z piersi wydobył mi się okrzyk rozpaczy, Stefek zaś krzyknął uradowany:

— Kiedy wyruszamy, ojcze?

— Dostałem zgodę od Jego Wysokości na uzupełnienie składu osobowego naszego pułku polskimi żołnierzami walczącymi w innych oddziałach kawalerii, oczywiście tymi, którzy zechcą się do nas przyłączyć. Następnie wyruszymy do Murmańska, gdzie dołączymy do drugiej rosyjskiej brygady szykującej się do wyjazdu do Francji. Mamy się zaokrętować w połowie września.

— Cieszę się, Stachu. — Ojciec opanował chwilowe rozdrażnienie. — Bóg jeden wie, co się będzie tutaj działo!

Wuj powrócił do przerwane go wywodu.

— Uważam, że dynastia Romanowów skazana jest na ustąpienie. W Piotrogradzie bunt wisi w powietrzu. O cesarzowej i Rasputinie krążą fantastyczne pogłoski. Dwór utracił cały prestiż, a ministrowie utracili zaufanie Dumy. Opozycja szykuje się do ataku. Brakuje żywności, szerzy się tyfus i cholera, nastroje wśród robotników są złe. Chłopsztwo się wykrwawiło i nie rozumie, czemu każe mu się walczyć. Rosja nie przetrwa kolejnego roku wojny, a mocarstwa centralne jeszcze się mocno trzymają.

Gdyby car był lojalny w stosunku do nas, gdyby przywrócił naszą konstytucję i swobody obywatelskie, jak to obiecywał w manifeście wielkiego księcia, byłbym mu do końca wierny. Polacy pozostają zawsze wierni przegranej sprawie — dodał ironicznie wuj i zakończył swą wypowiedź słowami: — Służyłem Imperium Rosyjskiemu dobrze i z oddaniem, przez co mój ojciec nazywał mnie niegodnym naszych piastowskich przodków. Jeszcze na łożu śmierci

przestrzegał mnie, bym nie wierzył słowu Mikołaja II więcej niż słowu Mikołaja I. Miał rację. Nie czuję się związany z Imperium Rosyjskim żadnymi innymi przysięgami oprócz tej, którą złożyłem jako żołnierz jego armii. Po zakończeniu wojny wszelkimi możliwymi metodami będę dążył do zjednoczenia mej ojczyzny i odzyskania niepodległości. Stefek podbiegł do ojca i uściskał mu dłoń.

— Masz rację, ojcze! Nie chcemy autonomii pod cesarskimi orłami! Domagamy się niezależności! Matko — zawołał

— wyruszamy do Francji! Znów pomaszerują legiony!

— Rozejrzał się wyzywająco wokół. Kiedy nasze oczy się spotkały, podbiegł do mnie i ujął moje zimne dłonie.

— Moja najdroższa, nie myśl, że o tobie zapomniałem. Pobierzemy się, jak tylko przejdiesz na naszą wiarę. Miesiąc miodowy spędzimy na wybrzeżu baskijskim...

— Zanim udasz się w podróż poślubną na wybrzeże baskijskie, czy nie powinieneś porozmawiać z księciem Siłomirskim? Nie jesteś jeszcze żonaty ani nawet formalnie zaręczony — przypomniał mu chłodno wuj Stach.

— Wuju Piotrze, pozwolisz Tani jechać z nami i wziąć ślub we Francji?

— zawołał Stefek, wciąż trzymając moją dłoń.

Ojciec skinął głową.

— Oczywiście, oczywiście.

Ton jego głosu rozdzierał mi serce.

— Tato, jak mogę cię opuścić? — spytałam żałośnie.

— Musisz. Wuj Stach ma rację. Romanowowie skazani są na upadek.

Zasławscy nie muszą być im lojalni. Co innego Siłomirscy. Zginę razem z moim władcą i to samo stanie się z tobą, moja droga, tak blisko związaną z ich rodziną. Nie po to cię wychowywałem, by patrzeć, jak giniesz.

Wiem, jak mi jesteś oddana. Ale jeśli naprawdę chcesz uczynić mnie szczęśliwym, ułóż sobie życie po swojemu i daj mi wnuków.

Te wynikające ze szlachetnych pobudek słowa wypowiedziane przez ojca dźwięcznym głosem doprowadziły mnie do łez. Odwróciłam się do cioci Zofii, rozdarta i nieszczęśliwa.

— Biedactwo — powiedziała moja mądra ciotka. — Cóż za okrutny wybór! Ale twój ojciec ma rację, Taniusza. Młodzi nie muszą się poświęcać dla starszych. Przyszłość ma pierwszeństwo przed przeszłością. Musisz jechać z nami.

— Cioteczko, jak mogę to zrobić? O, Boże, cóż mam począć? — wykrzyknęłam.

Stefek puścił moją zimną dłoń, cofnął się o krok i spojrzał na mnie smutno. Wstałam, uniosłam ręce do czoła i popatrzyłam po zebranych, czekających na moją decyzję dotyczącą przyszłości. Czułam, że jeszcze chwila, a nie będę mogła zapanować nad swą rozterką i desperacją.

— Ciociu, wuju, tatusiu, wybaczcie! Muszę zostać na chwilę sama, by zebrać myśli — wymamrotałam i wybiegłam na dwór.

Park był przygnębiająco cichy. Kanonada artyleryjska ustała — jak zwykle pod koniec każdego dnia — przed wznowieniem nocnego ognia zaporowego. W dali przetoczył się grzmot. Mimo że było nieznośnie gorąco, trzęsłam się z zimna. Biegłam, aż zabrakło mi tchu. Oparłam się o szeroki pień dębu; całym ciałem wparłam się w niego, paznokcie wbiłam w korę. I kiedy tak stałam, wyobraziłam sobie, że ten mocny pień to szeroka pierś mego ojca, który sam był niczym dostojny dąb, wywodzący się ze starego, znakomitego rodu.

Ojciec mówi, że zginie, i ma rację. Miał to wypisane na twarzy. To samo spotka naszego władcę i jego syna, mojego ślicznego Aleksego, i jego córkę, moją najbliższą przyjaciółkę. Czy mam uciec, by nie zginąć razem z nimi? Mam być szczęśliwa i żyć w pięknych Zaslavicach, podczas gdy oni legną pod ruinami Rosji? Ale czy będę mogła być szczęśliwa, jeśli oni umrą? Czy będę mogła spojrzeć sobie w oczy, wiedząc, że uciekłam? Jednak jeśli pozwolę Stefkowi wyjechać do Francji, już nigdy mogę go nie zobaczyć. Mogę go stracić na zawsze. Czyli tak czy inaczej nie będę szczęśliwa, a więc szczęście nie jest tu najważniejsze — nie ma nawet żadnego związku z tą sprawą, jakby powiedział profesor

Holweg. Najistotniejsze jest teraz, kto mnie bardziej potrzebuje, tatuś czy Stefek?

Stefek ma dwadzieścia jeden lat i tylu bliskich, którzy go kochają. Ma ojca, który go będzie chronił, matkę, która się nim zaopiekuje, gdy będzie chory. Jeśli zaś tatuś zachoruje lub zostanie ranny, to kto się nim zajmie? Grandmaman ma przeszło siedemdziesiąt lat. Ojciec jest sam jak palec. Nawet nasz władca, który kiedyś go kochał, odsunął się od niego przez tego wstrętnego Rasputina. Tatuś przez całe życie chronił mnie i rozpieszczał. Teraz, gdy znalazł się w niebezpieczeństwie, gdy wszyscy inni go opuścili, czy nie nadeszła pora, bym z nim została? Przecież to przeze mnie nie ożenił się z Dianą. Nie ma nikogo, prócz mnie, kto by się o niego troszczył na stare lata. Jeśli zostanę z nim, może nic mu się nie stanie. A jeśli nawet zginie, czyż nie jest moim obowiązkiem podzielić jego los? Czy Tania porzuciłaby swego ojca-cara? Albo jej siostry czy brat? Nie, nie zrobiliby tego.

Ale czemu masz się skazywać na pewną śmierć, odezwał się we mnie jakiś inny głos. Jesteś taka młoda i do tego zakochana. Ojciec żył i kochał, ty jeszcze nie. Młodzi nie mogą się poświęcać dla starych, powiedziała ciocia, i ojciec mnie wcale o to nie prosi. Sam poślubił Polkę. Ale wychodząc za niego, matka stała się Rosjanką. Jeśli wyjdę za Stefka, stanę się Polką. Czyż wuj Stach nie powiedział, że po zakończeniu wojny wszelkimi możliwymi sposobami będzie szukał wolności dla swej ojczyzny? Romanowowie mogą upaść, ale nie Rosja. Jeśli Rosja i Polska nie będą zjednoczone pod jednym berłem, zaczną ze sobą walczyć. Stefek jest takim gorącym patriotą. Jeśli zostanę jego żoną, ja — potomkini Ruryków — może będę musiała stanąć przeciwko własnemu ojcu, przeciwko każdemu żołnierzowi, którego pielęgnowałam. Czyż nie odłożono naszych zaręczyn, by nie przeszkodzić sprawie autonomii Polski? Czy nasze małżeństwo nie jest uwarunkowane jej przyznaniem? Teraz, kiedy sprawa jest przegrana, jak może dojść do naszego ślubu? Nie, to niemożliwe, niania miała rację, nie mogę urodzić Polakowi syna, by walczył z Rosjanami.

A przecież kiedy Stefek trzyma mnie za rękę, kiedy przemawia do mnie swym niskim, pięknym głosem, jestem gotowa uczynić wszystko, zapomnieć o wszystkich. Z nim będę szczęśliwa. Nie, nie szczęśliwa, ale przynajmniej będę mogła się zapomnieć. Jeśli zostanę, będę nieszczęśliwa, ale spełnię swój obowiązek. Jak długo zachowam błogi spokój, wiedząc, że stchórzyłam? Podczas odwrotu nie uciekłam ze swego szpitala polowego. No tak, teraz już wszystko jasne. Podobnie jak Stefek należy do swego plutonu, tak ja należę do swej jednostki wraz z rosyjskimi towarzyszami broni. Dopóki trwa wojna, moje miejsce jest tam, przy boku mego ojca. A więc postanowione.

Uspokoiliam się i odsunęłam od drzewa. Podjęta przeze mnie decyzja oznaczała zgodę na śmierć, tymczasem ja nie byłam jeszcze na nią gotowa. Ogarnęła mnie żalność. Znów wsparłam się o pień i zagryzłam usta, by nie wybuchnąć płaczem. Usłyszałam czyjeś kroki i domyśliłam się, że obok mnie stoi Stefek. Odwróciłam się nieco, by na niego spojrzeć. Na ramiona zarzucił mi płaszcz przeciwdeszczowy, twarz miał chmurną. — Co postanowiłaś? — spytał chrapliwym głosem. — Rosja czy Polska? Twój ojciec czy ja? Czemu w ogóle pytam? — ciągnął gorzko, gdy milczałam. — Już wcześniej to wiedziałem. Zawsze ojca kochałaś więcej niż mnie, i tak już zostanie. Pytałem cię w Mińsku, kto będzie dla ciebie ważniejszy, ojciec czy ja? Przysięgałaś na kolanach, że ja, lecz twoje słowa są tyle samo warte co obietnice twego ojca chrzestnego czy każdego innego Rosjanina.

Wbił mi nóż prosto w serce, wiedząc, że jego oskarżenie jest prawdziwe. Dawno temu przysięgałam, że pójdę za nim wszędzie, w czas wojny i pokoju. Ale składałam również przysięgę wierności swemu władcy. I nie mogłam dotrzymać jednocześnie obu.

— Jeśli zamierzasz mnie zranić, możesz mówić, co chcesz. Nie wpłynie to jednak na moją decyzję, choć jest ona straszna — powiedziałam. I objęłam pień dębu, by łatwiej mi było znieść zarzuty rozgoryczonego Stefka.

— Wcale nie jestem taki pewien, że nie zmienisz swojej decyzji. —  
Przygwoździł mnie do drzewa. — Nie zawahałaś się, by sprawić mi ból,  
pozwalając samemu wyjechać ze szpitala polowego. Czemu nie miałbym  
teraz postąpić tak samo?

Spojrzałam na niego bez słowa; łzy spływały mi po policzkach. Widząc  
go takiego silnego i męskiego tuż przy sobie, poczułam, że moje mocne  
postanowienie słabnie.

Och, pocałuj mnie, gdy nie wiem, co się ze mną dzieje, i zabierz mnie  
stąd, błagała druga Tania. Nie daj się zwieść mej dzielnej minie. Później  
mogę cię za to nienawidzić. Mogę znienawidzić siebie. Ale jestem  
gotowa zbuntować się przeciw memu bardziej szlachetnemu „ja”. Pomóż  
mi to uczynić! Nie zwracaj uwagi na moje rzeczowe i przekonujące  
argumenty! Pozwól mi zostać twoją, nic więcej!

Moje zapłakane oczy próbowały powiedzieć to, czego nie mogły  
wypowiedzieć usta. Ale nie zrozumiał ich mowy.

Okrutny gniew ustąpił zawstydzeniu.

— Moja najśłodsza, moja jedyna, czy to przeze mnie płaczesz? Czy  
jestem aż takim potworem? — Czule otarł mi łzy chusteczką. — Nie  
jestem godny twych łez.

— Jesteś, jesteś!

— Naprawdę? I będziesz płakała, kiedy wyjadę, czy też zapomnisz o  
mnie, gdy tylko zniknę ci z oczu?

— Nigdy cię nie zapomnę! Ale ty zapomnisz o mnie. Miałaś dziewczyny  
przede mną, będziesz miała i po mnie. Znajdziesz sobie ładniejszą ode  
mnie i... i ją poślubisz. — Na tę myśl opuściło mnie całe moje  
opanowanie. Odwróciłam twarz w stronę drzewa i zaczęłam łkać.

— Jeśli już musisz się o coś oprzeć, oprzyj się o mnie — powiedział  
Stefek.

Wziął mnie delikatnie w ramiona. Nie mogłam powstrzymać szlochu. Ale  
kiedy przytuliłam się do jego piersi, oiarnęło mnie uczucie  
bezpieczeństwa, triumfu i błogości tak dobrze znane mi z dzieciństwa,  
kiedy przytulałam się do ojca. Położyłam mu dłonie płasko na piersi, by  
lepiej czuć

bijącą z niej siłę i męskość; przestałam płakać. Zamknęłam oczy i wyobraziłam sobie, tak jak to robiłam w dzieciństwie, że usnę wsparta na piersi Stefka i już zawsze będę bezpieczna.

— Posłuchaj mnie, Taniu — powiedział Stefek, gdy się już uspokoiłam.

— To prawda, że jak każdy normalny mężczyzna miałem dziewczyny i nie mogę ci przysiąc, że nie będę ich miał, ale one nigdy się nie liczyły i nie będą się liczyły. Póki będziesz na mnie czekała, ja też będę czekał na ciebie — rok, dwa, nawet dziesięć lat — i tylko ciebie zawiozę do Zaslawic jako pannę młodą. Daję ci słowo, słowo Zaslawskiego. Jeśli w Rosji wybuchnie rewolucja — przyjadę po ciebie. Czekaj na mnie i nigdy nie trać wiary. — Ujął mnie pod brodę, a potem pochylił się, by mnie pocałować.

Ledwo dotknął mych ust, chmury rozstały się i lunął gwałtowny deszcz. Stefek naciągnął mi na głowę swój płaszcz przeciwdeszczowy i dalej mnie całował. Wreszcie, gdy zabrakło nam tchu, oderwaliśmy się od siebie i pobiegliśmy w stronę dworku, trzymając płaszcz nad głowami. Deszcz szumiał w koronach drzew, z rozgrzanej, parującej ziemi zaczął się unosić zapach grzybów i wilgotnego listowia.

Patrząc na krople spływające po twarzy Stefka, przypominałam sobie, jak jechał w deszczu obok ambulansu. Przypominałam sobie wieczór dożynkowy, naszą przysięgę w pałacowym lochu, wspólne wylegiwanie się w prze-poconej pościeli, gdy zachorował na odrę, panienkę z powagą bawiącą się w pielęgniarce w cuchnącym wozie szpitala polowego.

Przypomniały mi się wszystkie wspólne słodkie i wzruszające chwile, gdy biegłam z nim przez park, trzymając go za rękę. A kiedy wróciliśmy na werandę, gdzie czekali na nas ojciec oraz Zaslawscy, i powiedzieliśmy im, że postanowiliśmy na razie się rozstać, oboje wiedzieliśmy, że ani czas, ani odległość, ani rewolucja nie zniszczy istniejącej między nami więzi, że może ją zerwać jedynie śmierć.

\*

W pierwszym tygodniu września 1916 roku na płaskiej równinie na tyłach frontu południowo-zachodniego stał w pobliżu niskiego magazynu długi pociąg. Do wagonów wsiadały ostatnie trzy szwadrony ułanów zasławskich, a wraz z nimi ich pułkownik, ksiązę Stanisław z żoną i synem oraz przyjacielem syna, porucznikiem Kazimierzem Pasz-kiem. Odprowadzała ich grupka okolicznych polskich ziemian, kilku francuskich oficerów przydzielonych do sztabu oraz paru korespondentów wojennych.

Po pożegnaniu się z nimi ciocia i wuj podeszli do ojca i do mnie. Kazik bardzo poważnie, po żołniersku, uściśnął nam dłonie i wsiadł do pociągu. Stefek wyprężył się na baczność i zameldował ojcu, że ludzie są gotowi do odjazdu.

— A więc na nas czas — powiedziała ciocia Zofia. Ubrana była w elegancki szary kostium podróżny oraz słomkowy kapelusz z woalką.

— Stefku, pocałuj Tanię na do widzenia. Staliśmy przed sobą sztywno. Och nie, pomyślałam, przecież to niemożliwe! Nie mogę zostać na peronie, skoro Stefek odjeżdża. Trzeba coś zrobić, by do tego nie dopuścić. Ale nic nie mogłam uczynić.

Twarz Stefka wyrażała taką samą bezradną desperację. Nie powiedzieliśmy ani słowa. Pochylił się i pocałował mnie w czoło. Położyłam mu dłonie na piersi i spojrzałam na jego zawziętą, wcale teraz nie zabawną twarz, na śmieszne, odstające uszy i tak mi drogie, brązowe oczy.

— Cześć, Stefku — wykrztusiłam i oderwałam się od niego z największym wysiłkiem.

Podczas gdy ojciec obejmował mego kuzyna, wuj Stach wziął mnie za ramiona.

— Pamiętaj nasze motto: *Nunquam dimitto* — nigdy się nic poddaję. Nigdy się nie poddawaj, Taniusiu, nigdy nic trać nadziei! Bądź wierna naszemu synowi, tak jak on jest wierny tobie. Będziemy na ciebie czekali, córko. —Na jego szlachet-



nej twarzy malował się smutek. Gdy mnie całował, jego obwisłe wąsy połaskotały mnie w policzek.

W końcu odwróciłam się w stronę ciotki. Miałam okropne przeczucie, że już jej nie zobaczę. Oto opuszcza mnie moja matka, pomyślałam, i już nigdy nikt mi jej nie zastąpi.

Było to niemal równie okropne jak rozstanie z ukochanym. Rzuciłam się w ramiona cioci Zofii. I nagle prysło moje opanowanie, którego uczono mnie od dzieciństwa.

— Cioteczko, nie mogę! Nie mam dość sił! — jęczałam jak dziecko.

— Podążasz, Taniu. A im więcej będziesz potrzebowała sił, tym więcej ich w sobie znajdziesz. Niech Bóg cię ma w swej opiece i sprawi, byś wkrótce przyjechała do nas. Bądź dzielna, moje dziecko.

Ale nie potrafiłam być dzielna. Stałam jakby bez zmysłów, z głową na ramieniu cioci, i nie mogłam zrobić najmniejszego ruchu.

— Pierre, weź ją — powiedziała ciotka.

Ojciec wziął mnie za ramiona i wsunął swoje silne ramię pod moją rękę. Ujrzałam przed sobą jakiś ruch i usłyszałam dźwięki, które nie miały ze sobą nic wspólnego. Głowa kobiety podobnej do ciotki Zofii z gracją wychylała się z okna wagonu. Młody, bardzo wysoki, przypominający kamienny posąg oficer stojący na peronie obok drzwi pociągu zniknął. Jakiś żołnierz dał znak do odjazdu, a potem przesunął trąbkę na plecy i wskoczył do otwartego wagonu. Pociąg ruszył wolno. Mijały mnie konie, rżące z przerażenia, z czerwonymi, rozszerzonym chrapami. Stojący na peronie panowie machali kapeluszami, a panie chusteczkami. Oficerowie i żołnierze wymachiwali czapkami. Pod zamglonym niebem nie było nic prócz tej płaskiej równiny między niskimi szopami i lasami, przeciętej przez nasyp kolejowy. I właśnie tu odbywała się okrutna egzekucja. Moja dusza została rozdarta, nic mogąc wybrać między ukochanym i jego matką z jednej strony a ojcem i własnym krajem z drugiej.

Ojciec poprowadził mnie wzdłuż peronu do czekającego samochodu i pomógł doń wsiąść. Przez całą drogę siedziałam odrętwiała. Po godzinie dotarliśmy do dworku z kolumnienkami. Jak sobie niejasno przypominałam, mieściła się tu kwatera ojca. Ojciec zaprowadził mnie do jakiegoś pokoju z oknami wychodzącymi na wielki buk i przekazał w ręce niani.

Piastunka pomogła mi zdjąć uniform. Posadziła mnie przed toaletką, by wyszczotkować włosy. Patrząca na mnie ze zwierciadła blada twarz z ogromnymi oczami przypominała twarz oszalałej kobiety. Ukryłam twarz na chudej piersi niani. I właśnie w jej ramionach, miejscu mych pierwszych spowiedzi i wyznań, ból — ciężący mi niczym olbrzymi głaz — wylał się w strumieniu łez.

— No, no — uspokajała mnie niania — przecież twój umiłowany nie umarł, tylko wyjechał na jakiś czas! Wkrótce znów będziecie razem. Bóg jest miłosierny. Wszystko będzie dobrze.

Kiedy już leżałam w łóżku, do pokoju wszedł ojciec.

— Moja najdroższa, biedna córeczka! — Usiadł na brzegu łóżka i wziął mnie w ramiona. — Jutro wyślemy cię za twym Stefanem. Jeszcze zdążysz go dogonić.

— Nie, nie, już wszystko dobrze. — Objęłam go za szyję.

— Zostanę z tobą, tatusiu, zostanę z tobą.

— Moja dzielna dziewczynka! — Pogładził mnie po wilgotnych od łez włosach. — Zobaczysz, nie będzie tak źle. Wojna wkrótce się skończy i wtedy razem pojedziemy do Francji, by spotkać się z twym ukochanym. Popłyniemy z Krymu na pokładzie naszego jachtu. A kiedy dostanę urlop, pojedziemy do Ałupki. Będziemy tak jak kiedyś pływali i jeździli konno wzdłuż brzegu Morza Czarnego. I będziemy razem czytali Puszkina. No, jak ci się to podoba?

Dotknęłam dłonią jego twarzy i pomyślałam: „Rzeczywiście, nie będzie tak źle. Mam przecież tatusia. Znów będzie tak jak w czasach najwcześniejszego dzieciństwa, kiedy nic kochałam dwóch mężczyzn, ale tylko jednego.

**Część trzecia**

**REWOLUCJA**  
1916—1918

## 19

Po wyjeździe Zasławskich przepowiednie wuja Stacha zaczęły się spełniać tak szybko i gwałtownie, że zdumiało to nawet tych, którzy prorokowali upadek imperium.

W Stawce car zajmował się błahostkami — odznaczeniami, inspekcjami, drobnymi sprawami wyposażenia. Coraz bardziej obniżało to jego prestiż w oczach generałów. A w tym czasie prawdziwe rządy sprawował dziwny triumwirat przebywający w Carskim Siole: cesarzowa, jej premier Sturmer i Rasputin.

Mając nadzieję, że uda mu się wyrwać władcę z apatii, w październiku ojciec pojechał wraz ze mną do Mohylewa.

Jego Cesarska Wysokość ucieszył się na mój widok, najwyraźniej bowiem unikał przebywania sam na sam z ojcem. Byłam wstrząśnięta jego stanem. Jedynie gdy mówił o dzieciach, twarz mu się ożywiła jak niegdyś. Jego wypowiedzi były początkowo niekonsekwentne. Już podczas drugiego dnia naszej wizyty, kiedy po śniadaniu spacerowaliśmy *a trois*, wyznał:

— To dla mnie wielka pociecha, Pierre, mieć tutaj ciebie i Tanię. Wizyty członków rodziny przypominają rozprawy sądowe. Ostatnio wszyscy mnie besztają: albo za to, że jestem taki słaby, albo że jestem zbyt uparty, dlatego nie przerwałem ofensywy Brusilowa wcześniej, albo dlaczego nie prowadzę wojny bardziej energicznie. Matka, nawet moja droga Alix, traktują mnie jak dziecko. A przecież wciąż jestem carem! — Jego głos stał się bardziej stanowczy. I ponoszę za wszystko odpowiedzialność!

— Całkowicie się z tym zgadzam, Sire — oświadczył ojciec. — Wasza Wysokość musi jedynie wszystkim dać to jasno do zrozumienia. — Każdemu, nie wyłączając własnej żony, wścibskiej Alix.

— To samo powtarza mi Alix. — Car albo nie zrozumiał, albo udawał, że nie rozumie wypowiedzi ojca. Szybko zmienił temat. — Ależ dziewczynki za tobą tęsknią, Taniu! Czy nie chciałabyś pojechać na Boże Narodzenie do Carskiego Sioła, jeśli oczywiście twój ojciec nie będzie miał nic przeciwko temu?

— Och, papo! — Spojrzałam błagalnie na ojca. Widziałam, że nie był zachwycony propozycją cara, ale naturalnie powiedział, że to wielki zaszczyt i honor.

— Natychmiast napiszę o tym do Alix — powiedział car. Podczas obiadu z generałami sztabu nie mogłam nie zauważyć pozornego szacunku okazywanego przez wysokich rangą wojskowych i źle ukrywanego lekceważenia, z jakim wielu z nich traktowało cara, swego wodza naczelnego. Po posiłku ubłagałam, by pozwolono mi odwiedzić rannych. Jego Wysokość nie mógł odmówić takiej prośbie, a ojciec miał wreszcie możliwość wystarania się o prywatną audiencję.

— Wszystko na nic — zauważył ojciec podczas drogi powrotnej do Równego. — Jego Cesarska Mość nie chce przyjąć do wiadomości prawdziwego obrazu rzeczywistości ani nie zdaje sobie sprawy z powagi sytuacji. Nie słucha nikogo poza' swą ukochaną Alix. A sama wiesz, jakich rad udziela mu ta biedaczka! Uwierzyła naiwnie w sentymentalny obraz Rosji jako kraju pobożnych chłopów, ubóstwiających swego ojczulka cara — *batuszkę* cara. Byłoby to nawet zabawne, gdyby nie było aż tak tragiczne!

— Jego Wysokość sprawia wrażenie osoby u kresu wytrzymałości nerwowej — powiedziałam. — Błądzi gdzieś myślami, ma trudności ze skupieniem uwagi.

— Tak, ma również kłopoty z pamięcią, niegdyś tak wyśmienitą. Nic dziwnego, że krążą plotki, iż dają mu narkotyki.

- Może trochę dojdzie do siebie podczas świąt, gdy wyjedzie do swych bliskich.

Wyraźnie poprawił mi się nastrój na myśl o rychłym spotkaniu z moją imienniczką. Od czasu wyjazdu Stefka w tych najsmutniejszych i najwolniej upływających miesiącach mego życia podtrzymywały mnie na duchu jej listy.

"Jesteś taka dzielna i lojalna" - napisała, gdy poinformowałam ją o swej decyzji. "Nie wiem, czy starczyłoby mi sił, by postąpić tak samo. Ale jestem pewna, że było to właściwe posunięcie z twojej strony".

"Cóż w tym takiego właściwego?" - odpisałam jej. "Sama już nie wiem. Wiem jedynie, że jeszcze nigdy od śmierci matki i wyjazdu ojca na Daleki Wschód nie czułam się tak opuszczona i samotna".

"Nie jesteś samotna, Taniu" - natychmiast mi odpisała. "Masz nas! Masz ojca i swą pracę".

Praca, tak, całkowicie się jej oddałam. Ale kiedy nie miałam dyżuru, ogarniał mnie smutek. To prawda, że na razie Stefkowi nic nie groziło. Dzięki płynnej znajomości kilku języków zostali razem z Kazikiem mianowani oficerami łącznikowymi między dowództwami aliantów. Ale w każdej chwili mogli być przeniesieni gdzie indziej. Stefek mógł polec w bitwie tak jak lord Beresford, nasz kuzyn z Kentu, i tylu innych.

"Czy musi zginąć całe pokolenie" - pisałam do swej imienniczki - "nim skończy się ta rzeź?"

Poza tym zarówno dla mnie, jak i dla walczących żołnierzy skończyła się wojna jako przygoda. Nic się nie działo, nie było żadnej ofensywy ani odwrotu, jedynie mordercze zmagania o kilkaset metrów ziemi, znaczonej lejami po wybuchach bomb i zasłanej rozkładającymi się ciałami poległych. Nastąpił etap wojny pozycyjnej i łatania okaleczonych ciał. W miarę jak broń stawała się coraz bardziej wymyślna, odpowiednio ulepszano metody chirurgii i technikę protetyczną.

"Umysł funkcjonuje jak automat. Nie ma miejsca na współczucie". - pisałam. "Och, Taniu, czuję się, jakbym już umarła".

Jednak nie dane mi było osobiście zwierzyć się ze swych smutków Tatianie Nikołajewnie i Oldze. W liście, w którym car dziękował ojcu i mnie za wizytę w kwaterze głównej i przekazywał gorące pozdrowienia od cesarzowej i dzieci, nie było żadnej wzmianki o moim przyjeździe na święta do Carskiego Sioła.

Przyjęłam to jako kolejne odtrącenie przez zmienną Aleksandrę; gdy się ostatnio rozstawałyśmy, była bardzo miła, teraz nadeszła pora na policzek. Poczułam przyływ wściekłości, ale ojciec powiedział:

— Jestem pewny, że maczał w tym palce Griszka. Nie chce, by na skutek obecności córki Siłomirskiego wielkie księżniczki i carewicz wymknęli mu się spod kontroli.

— Jakiej znów kontroli, tatusiu? Jeśli tolerują Rasputina, robią to wyłącznie przez wzgląd na matkę. Olga nie robi nawet tego. Chciałabym, by Tania była równie niezależna — dodałam.

— A ja chciałabym, byś nie była taka przywiązana do Jej Cesarskich Wysokości. Od tej chwili twoja bliska zażyłość z nimi może ci tylko zaszkodzić. Niezmiernie się cieszę, że nie jedziesz — ku memu zaskoczeniu oświadczył ojciec.

Nie okazałam rozczarowania.

Ból podwójnej rozłąki, ze Stefkiem i przyjaciółką, pogłębiła jeszcze pożegnalna wizyta, którą złożył nam Ł-M. Wyjeżdżał do Murmańska z ostatnią rosyjską brygadą kierowaną do Francji.

— Jeśli spotkasz przypadkiem księcia Zasławskiego, mego kuzyna, i jego przyjaciela, pana Kazimierza Paszka, pozdrów ich ode mnie — poprosiłam.

— Prawdopodobnie również przydzielą mnie do łączności. Byłam pewna, że Ł-M potraktuje ten nowy rozdział swego wojennego doświadczenia tak samo, jak potraktował odwrót, to znaczy przyglądając się bezsensownym wypadkom jakby z boku i notując wrażenia, by kiedyś wszystko opisać w jakiejś rozprawie historycznej.

— Postanowiłem wysiać Tanię do Francji — niespodziewanie oświadczył ojciec. Nic wiedziałam: cieszyć się, czy

martwić. — Po Nowym Roku wezmę miesiąc zaległego urlopu. Pojedziemy do Piotrogradu i załatwimy wasz wyjazd, twój i mojej matki. — W takim razie wkrótce znów możemy się zobaczyć. — Ł-M nie zadawał pytań oficerowi wyższemu rangą, a do tego starszemu od siebie. Zaprotestowałam niezbyt stanowczo.

Po wyjeździe mego krewnego tragikomedia władania imperium trwała nadal, a do obsady włączono błazna: niezrównoważonego Protopopowa jako ministra spraw wewnętrznych. Jego nominacja wywołała drwiny i oburzenie. Milukow, przywódca liberalnej partii kadeckiej, zaatakował rząd i spytał podczas posiedzenia Dumy: "Czy to głupota, czy też zdrada?"

Wkrótce otrzymałam pełen irytacji list od swej imienniczki, w którym narzekała na niewdzięczność okazywaną jej matce. "Nikt nie rozumie mateczki" — pisała Tatiana Nikołajewna. "Próbuje jedynie pomóc tatce, być mu podporą dla dobra malca i Rosji, a wszyscy jedynie złorzeczą jej i jej przyjacielowi". Czy ta aluzja do Rasputina podpowiedziana została przez cesarzową? "Odbiera tę zmasowaną krytykę swego przyjaciela jako zakamuflowany atak na jej osobę" — kontynuowała moja imienniczka. "Wiesz, że za nim nie przepadam, a Olga go wprost nie znosi, ale on jest taką podporą dla mateczki, jedyną osobą poza Aniuszką, na której może polegać".

Och, Taniu — pomyślałam — ale jesteś ślepa! Jak możesz tak bezkrytycznie brać stronę matki? Ale z drugiej strony jak możesz postąpić inaczej, ty, która zawsze, przez całe swoje życie, stałaś przy jej boku? Nie znała innej perspektywy, z której mogłaby ją osądzać.

Ogarnęło mnie ogromne współczucie i czułość. Ale zaczęłam rozumieć, że jeśli nie chcę zginąć razem z nią w nadciągającym huraganie, nasze ścieżki muszą się rozejść.

Na początku grudnia, za namową Aleksandry, Protopopow nie zezwolił na zorganizowanie w Moskwie zjazdu



popularnego Związku Ziemstw — najbardziej demokratycznej instytucji rosyjskiej, której przewodniczący, książę Lwów, był starym, dobrym przyjacielem Grandmaman. Odbywający się w tym samym miesiącu w Piotrogradzie zjazd Zjednoczonego Kongresu Szlachty w sposób nie mający precedensu skrytykował poczynania cara.

W swym cotygodniowym liście z Piotrogradu Grandmaman ostro ganiła atak rządu na ziemstwa. "Zaczynam tracić wiarę w cudowne zdolności Rosji do odrodzenia" — zakończyła swój wywód. "Jeśli Aleksandra nie zostanie powstrzymana, doprowadzi Rosję do takiego chaosu i takich okropności, jakie mogą się narodzić tylko w naszym kraju".

— Matka w końcu też zrozumiała, co się dzieje. — Ojciec opuścił na kolana przeczytany na głos list i zasłonił oczy dłonią. — Ach, co za wizja! — Potem wstał i powtórzył swą decyzję o wysłaniu nas do Francji. Niestety, zabójstwo Rasputina 17 grudnia 1916 roku zmusiło go do odłożenia wyjazdu.

Grandmaman przysłała list z Piotrogradu:

„Radzę ci nie pokazywać się tu przez jakiś czas. Aleksandra jest przekonana, że maczałeś palce w zorganizowaniu zabójstwa jej przyjaciela i z największą przyjemnością wysłałaby cię jeśli nie na tamten świat, to przynajmniej w najdalszy zakątek Rosji. Maria Pawłowna zebrała wszystkich Romanowów i wspólnie wystosowali petycję do cara, by odwołał wyrok skazujący Dymitra na wygnanie".

Okazało się, że Rasputina zamordowali dwudziestopięcioletni wielki książę Dymitr, młody książę Jusupow i prawicowy przywódca Dumy, Puryszkiewicz.

„Petycja wróciła od Jego Cesarskiej Mości nie przeczytana. Jediną odpowiedzią cara było stwierdzenie: »Nikommu nic wolno popełniać morderstw«. Romanowowie wściekają się na ten afront. Rozważa się możliwość dokonania przewrotu pałacowego, by usunąć cara i osadzić na tronie carewicza, a regentem mianować Mikołaja Mikołajewicza, naszego byłego wodza naczelnego. Zupełnie się zgadzam

z Marią Pawłówną i pozostałymi członkami cesarskiej rodziny, że jeśli Aleksandra nie ograniczy się do pokoi dziecinnych, gdzie jest jej miejsce, to pozostanie jej w końcu klasztorna cela. Jednak obawiam się, że to wszystko jedynie czcza gadanina. Czuję, że stary porządek nie zostanie zmieniony odgórnie, lecz oddolnie.

Bolszewicy zasypują dzielnice robotnicze ulotkami. Garnizon pietrogradzki, który jest o wiele za duży i nie ma nic do roboty, stał się obiektem ostrej akcji propagandowej. Jak pamiętasz, parę miesięcy temu pułk odmówił strzelania do zbuntowanych strajkujących i by przywrócić porządek, musiano wezwać Kozaków. Nadal brakuje żywności, po wyjątkowo ostrej zimie, która zdezorganizowała transport oraz przez zwykłą niekompetencję naszej administracji.

Ale powrócę jeszcze do sprawy Rasputina. Odkąd tajna policja w kilka dni po śmierci »starca« wyłowiła z zamarzniętej Newy jego zwłoki, które następnie przewieziono do Carskiego Sioła, Ich Wysokości odizolowali się od wszystkich i zamknęli w Pałacu Aleksandrowskim. Jego Cesarska Mość odłożył powrót do Stawki, by pomóc Aleksandrze przeboleć tę stratę.

Nie chcą się z nikim widywać poza Anią Wyrubową, która jest równie niepokieszona jak jej władczyni. Car gra w bilard i w domino, spaceruje z córkami i buduje dla syna zamki ze śniegu. Wszystko to jest bardzo wzruszające, ale przywodzi mi na myśl rzymskiego cezara grającego na skrzypcach podczas pożaru Rzymu".

— Właśnie tego się obawiałem — zauważył ojciec. — Śmierć Rasputina jeszcze bardziej zbliżyła Mikołaja i Aleksandrę. Zerwali ostatnie więzy ze światem. Ach, ci narwańcy! — pokiwał głową. — Gdybym jednak był w wieku Dymitra i Jusupowa, to kto wie, czy nie zrobiłbym tego samego co oni!

Zgodnie z przewidywaniami odpowiedź Tatiany Nikołajewny odzwierciedlała żalobę i wstrząs, jakiego doznała jej matka. "Modlimy się za przyjaciela mateczki i codziennie

z Anuszką odwiedzamy jego grób. Ten cios jeszcze bardziej połączył naszą rodzinę. Odnosimy wrażenie, że poza nami nikt nie przejął się jego śmiercią. Jakim cudem z takiego okrutnego czynu może wynikać coś dobrego?"

Kończyła swój list słowami: "Zaczynam się obawiać, że ojciec Grigorij miał rację. Przepowiedział, że jego śmierć będzie oznaczała nasz upadek. Och, Taniu, moja najdroższa przyjaciółko! Książę Siłomirski ma rację, że chce cię wysłać do Francji. Jedź, jedź do swego Stefana, zanim zginiesz przywalona ruinami!"

Jej postawa tylko zwiększyła moje oddanie i na nowo rozpałała wewnętrzne rozdarcie. Czy wolno mi w chwili niebezpieczeństwa opuścić swoją imienniczkę? Czy mogę zostawić ojca?

Gdy powrócił do sprawy mego wyjazdu do Francji, próbowałam mu się sprzeciwić. Odpowiedział ostro, zdradzając tym swą irytację na władców Rosji i własną bezsilność.

— Jesteś nieletnia i musisz się mnie słuchać. Zrobisz tak, jak ci każę. Odłożywszy za radą Grandmaman nasz wyjazd o dwa tygodnie, w połowie stycznia ojciec zaczął przygotowywać sztab na czas swej miesięcznej nieobecności. Gdy już przekazał dowództwo zastępcy, niespodziewanie zachorował ciężko na żółtaczkę szerzącą się w owym czasie wśród żołnierzy.

Wstąpiło we mnie nowe życie. Kazałam usunąć telefon z pokoju ojca, zabroniłam przynosić gazety i komunikaty wojenne, które mogłyby go zdenerwować. Niania i Siemion, pomagający mi pielęgnować ojca, ochoczo wykonywali moje polecenia. Przestałam się nad sobą użalać. Skoro ojciec mnie potrzebował, moje poświęcenie było usprawiedliwione.

Wiść o wybuchu rewolucji, którą telegraficznie przekazała nam Grandmaman, niezbyt mnie przerażała. Zdałam sobie sprawę, że spodziewałam się jej nie tylko przez ostatnie miesiące, ale od lat. Znacznie bardziej wstrząsnął mną

telefon od generała Brusilowa, który odebrałam zamiast ojca. Dowódca armii południowej chciał uzyskać aprobatę ojca na podjętą jednomyślnie przez sztab decyzję o konieczności abdykacji cara.

Nie pokazałam ojcu telegramu od Grandmaman. W tym wypadku względy natury medycznej przeważały nad politycznymi. Generałowi Brusilowowi powiedziałam, że ojciec ma wysoką gorączkę i że tak poważna sprawa jak abdykacja cara może spowodować fatalny w skutkach wstrząs. Ale uprosiłam generała, by o wszystkim informował mnie na bieżąco, co też uczynił.

Abdykacja cara wprawiła mnie w odrętwienie. Mój władca i ojciec chrzestny był równie ważną osobą w moim życiu co ojciec i Grandmaman. Nie potrafiłam sobie wyobrazić, jaki kurs obierze Rosja w przyszłości i jaki los mi sądzony. Wiedziałam tylko jedno: będzie to coś przerażającego. Serce mi się ścisnęło na myśl o mej imienniczce, jej siostrach i bracie, a nawet o dumnej Aleksandrze, która została w końcu pokonana przez słabość własnego męża.

Natychmiast usiadłam, by napisać do Tatiany Nikołajewny.

Jeśli abdykacja wywołała u mnie taki wstrząs, jakie wrażenie musiała wyrzucić na niej, żyjącej wyłącznie w małym, magicznym kręgu władzy ojca? O świecie zewnętrznym nie wiedziała nic. Była nieprzygotowana, by stawić mu czoło. Co czekało ją w przyszłości? A jeśli nie ma dla niej żadnej przyszłości? W takim razie przede mną też nie ma żadnych perspektyw. Mając oczy pełne łez, przelałam na papier całą moją miłość i niezłomną lojalność.

List, w którym Tatiana Nikołajewna opisywała swój stan ducha na wieść o tym doniosłym wydarzeniu, był zwięzły i utrzymany w spokojnym tonie.

„Cała nasza piątka choruje na odrę. To śmieszne, w wieku Olgi i moim. Mateczka opiekuje się nami na tyle, na ile pozwala na to jej biedne serce. Jak bardzo nam brak naszej Tani! Aleksy i młodsze dziewczynki domagają się twojego przyjazdu, aleja z Olgą nic chcemy nawet o tym słyszeć. Bóg

jeden wie, jak długo pozostaniemy na wolności. Nastroje w Piotrogradzie są bardzo kiepskie; opuścili nas wszyscy — pułki gwardii, nawet nasi Kozacy!"

Ci rozpieszczani Kozacy cesarskiej eskorty! To dopiero wstyd, pomyślałam.

„Wszyscy pognali, by ślubować lojalność nowym panom! Wierna pozostała tylko policja. Wiele osób zostało zabitych, niektórzy wręcz bestialsko. Tak bardzo przekracza to nasze możliwości percepcji, że nie wiemy, jak na to reagować! W porównaniu z tym nasza choroba wydaje się błahostką. W obecności mateczki staramy się zachować pogodę ducha, podobnie zresztą jak i ona. Czekamy na powrót tatki. Mając go koło siebie, wszystkiemu jesteśmy w stanie stawić czoło. Twoja wierna przyjaciółka i siostra Tatiana Romanowa".

Podpis — Tatiana Romanowa — był najbardziej wymowny. Jak łatwo i bez grymasów moja imienniczka zrzekła się tytułu wielkiej księżniczki Rosji! Szczerze mówiąc, tytuł ten zawsze niewiele dla niej znaczył. Przyczynił się jedynie do jej uwięzienia. Teraz zaś może się przyczynić do jej skazania.

W pierwszych dniach marca według starego kalendarza rosyjskiego, kiedy akurat siedziałam przy łóżku ojca, mniej więcej o północy weszła pielęgniarka, która miała mnie zmienić, i szepnęła:

— Właśnie wrócił z Piotrogradu generał Majski i chciał złożyć meldunek Jego Ekscelencji.

Przeszłam do znajdującego się obok saloniku, gdzie zastałam generała. Stał wyprostowany jak świeca, czarne łuki brwi ściągnął nad sokolim nosem. Borys Majski był czterdziestoletnim kawalerem, średniego wzrostu, bardzo szczupłym; jego jedyną rodziną byli Siłomirscy, a jedynym celem w życiu — służenie im.

Uklonił się po wojskowemu i spytał po francusku głosem niespodziewanie łagodnym i melodyjnym:

— Jak się czuje książę, pani ojciec, Tatiano Piotrowno?

— Tata wreszcie ma się nieco lepiej, Borysie Andriejewiczu. Może będzie się pan mógł z nim zobaczyć jutro rano. Czy ma pan jakieś wiadomości od Grandmaman?

Anna Władimirowa została aresztowana. Ale uwolniono ją, nie uczyniwszy nic złego.

— Aresztowana? Dobry Boże! — Słowo "rewolucja", z którym wydawało mi się, że jestem oswojona, nagle nabrało konkretnego znaczenia. — Proszę usiąść i opowiedzieć mi wszystko, Borysie Andriejewiczu.

Wciąż stojąc powiedział zwięźle:

— Anna Władimirowa została schwytała przez motłoch, który nocą 25 lutego splądrował *osobniak* Siłomirskich. Zabrano ją do Pałacu Taurydzkiego, gdzie obradowała Piotrogradzka Rada Delegatów Robotniczych i Żołnierskich. Nazajutrz ją wypuszczono. Obecnie znajduje się pod opieką księcia Lwowa, który — jak już pani prawdopodobnie wie, Tatiano Pietrowno — stoi na czele rządu tymczasowego. — Rząd tymczasowy? — Odwróciłam się na dźwięk głębokiego, melodyjnego głosu. - A Jego Cesarska Mość? Co się stało z naszym władcą?

W progu pokoju stał ojciec. Na szerokie ramiona narzucony miał żółty, jedwabny szlafrok podbity norkami. Siemion i dyżurna pielęgniarka stali za nim, czyniąc wymówki głosem pełnym szacunku.

Podbiegłam do niego.

— Papo, wracaj do łóżka!

Zignorował moje polecenie. Wspierając się na moim ramieniu podszedł wolno do swego szefa sztabu.

— Borys, mów szybko! — rozkazał. — Gdzie jest Jego Wysokość?

— Jego Cesarska Mość został po abdykacji przewieziony z powrotem do Mohylewa, gdzie pozostanie do czasu, gdy droga do Piotrogradu będzie znów przejezdna.

— A więc Mikołaj abdykował! - Ojciec opuścił siwą głowę na piersi.

Razem z Siemionem pomogliśmy mu usiąść w fotelu. Nie uniósł głowy, jakby składał hołd zdetronizowanemu monarsze.

— Mój nieszczęsny władca — powiedział w końcu w języku ojczystym, którego używał w chwilach szczególnego wzruszenia. — Mój biedny przyjaciel! Czyżby nie było innego wyjścia?

— Jego Wysokość najwidoczniej nie zdawał sobie sprawy z powagi kryzysu rewolucyjnego... — odpowiedział generał Majski.

— Kryzys rewolucyjny! — mruknął ojciec. — Nic nie rozumiem.

Borys Majski spojrzał na mnie. Skinęłam lekko głową i generał zwięźle opowiedział ojcu o wszystkim.

— Zaczęło się od marszów głodowych w Piotrogradzie i napaści na policjantów. Oddziały wezwane do stłumienia rozruchów zaczęły bratać się z tłumami. Wkrótce cały Piotrogród udekorowano czerwonymi flagami. Policjantów łapano i mordowano. Podobny los spotykał oficerów, którzy odmawiali przypięcia do mundurów czerwonej rozetki. W Moskwie panowała identyczna sytuacja.

Gdy przewodniczący Dumy Rodzianko zadepeszował, że dynastię może uratować tylko natychmiastowe utworzenie gabinetu ludowego i przekazanie pełni władzy ustawodawczej Dumie, Jej Cesarska Wysokość nakazał rozwiązać Dumę. Duma zlekceważyła to polecenie. Kiedy Jego Wysokość zdecydował się pójść na pewne ustępstwa, było już za późno. Generał Aleksiejew po konsultacji z dowódcami armii poradził Jego Wysokości, by zrzekł się tronu.

— Jak Aleksiejew śmiał coś takiego zrobić? — Ojciec uderzył dłonią w poręcz fotela. — Czy nie zdaje sobie sprawy, że teraz nastąpi całkowity rozkład armii? Czemu nie skonsultowano się ze mną?

— Generał Brusilow próbował, papo, ale powiedziałam mu, że jesteś zbyt chory, by cię niepokoić.

Ojciec zrobił niezadowoloną minę i powiedział do swego adiutanta:

— Mów dalej, Borysie.

— Jego Wysokość wyruszył do Piotrogradu, ale okazało się, że za Pskowem linia jest kontrolowana przez rewolucjonistów. Guczkow i Szulgin, przedstawiciele Dumy, przyjęli akt abdykacji cesarza w pociągu, w nocy 2 marca 1917 roku. Opanowanie Jego Wysokości było godne podziwu. Nie widać było po nim żadnych emocji.

— Tak, to dla niego charakterystyczne — zauważył ojciec. — Mikołaj zawsze tak postępował: do samego końca nie zgadzał się na żadne ustępstwa, by ostatecznie zrezygnować ze wszystkiego, powołując się na wolę boską. Cóż, może tak będzie lepiej. Przy mądrym regencie do czasu osiągnięcia przez Aleksego pełnoletności można będzie jeszcze uratować Rosję.

— Jego Wysokość, nie chcąc, by go rozdzielono z chorym synem, abdykował na rzecz swego brata, wielkiego księcia Michała — oświadczył generał Majski. Ojciec spojrział na niego w osłupieniu. Majski kontynuował relację. — Pod naciskiem Kiereńskiego, nowego ministra sprawiedliwości i deputowanego Rady piotrogrodzkiej, która faktycznie sprawuje władzę, Jego Cesarska Wysokość odmówił przyjęcia korony do czasu wyboru Zgromadzenia Konstytucyjnego.

Ojciec znów uderzył dłonią w poręcz fotela.

— To cały Michał Aleksandrowicz! Natknąwszy się na opozycję, oczywiście z miejsca nie przyjął korony. Jest jeszcze słabszy od swego brata. Ale Mikołaj nie miał prawa abdykować na rzecz swego brata. Cały akt abdykacji jest nieważny! Pomaszerujemy na Piotrogród i ogłosimy regentem Mikołaja Mikołajewicza. Armia na froncie jest wciąż lojalna. Sam ją poprowadzę, jeśli nie zechce tego zrobić ktoś inny. Czy mam spokojnie siedzieć, ja, potomek Ruryka i Włodzimierza, kiedy Rosja zmierza ku samozagładzie? Córko, pomóż mi, muszę szybko wyzdrowieć. — Wstał, ale zaraz opadł na fotel.



Położyłam mu dłoń na ramieniu, uspokajając:

— Niedługo wyzdrowiejesz, *papoczka*. Chodź, teraz pomożemy ci wrócić do łóżka.

W łóżku ojciec rzucał się nawet po podaniu środków uspokajających. Ściągał prześcieradła i powtarzał:

— Czy to możliwe, by wszystko poszło na marne? Czy moja ukochana ojczyzna ma zginąć od ognia i miecza za przewinienia i głupstwa czynione przez jej władców? Czy nikt nie przyjdzie nam na ratunek?

Zwiększyłam dawkę środka uspokajającego i gdy ojciec zapadł w niespokojny sen, wróciłam do Borysa Majskiego. Poprosiłam, by wysłał z kwatery generała Brusilowa jedną depeszę do Grandmaman, a drugą do cesarzowej opiekującej się w Carskim Siole chorymi dziećmi.

Przekazałam w niej najszczerze życzenia szybkiego powrotu do zdrowia. Nie śmiałam napisać nic więcej.

Ojciec przeżył nawrót choroby i przez kilka dni miał wysoką gorączkę. Nie wiedział nic o aresztowaniu cara *en route* do Carskiego Sioła i burzliwym rozwoju wypadków, w skrócie zrelacjonowanych przez Borysa Majskiego.

Cesarzowa i dzieci zostały również aresztowane i były trzymane w Pałacu Aleksandrowskim pod strażą żołnierzy rewolucyjnej rady Piotrogradu. Stary marszałek, hrabia Friedrichs oraz Anna Wyrubowa dołączyli do byłego ministra wojny Suchomlinowa i innych dawnych kolegów zamkniętych w twierdzy Pietropawłowskiej. Suchomlinow i Protopopow ledwo uniknęli samosądu. Wielki książę Mikołaj Mikołajewicz, którego car w chwili abdykacji ponownie mianował naczelnym wodzem, przybył do kwatery głównej w Mohylewie po triumfalnej podróży z Kaukazu po to jedynie, by się dowiedzieć od rządu tymczasowego, że nie jest już im potrzebny.

Gdy tylko wielki książę powrócił na Kaukaz, ojca również pozbawiono dowództwa. Wraz z tym rozkazem kurier ze Stawki dostarczył zalakowany list od Grandmaman. Od Tani nic było ani słowa. Jak trapiłam się jej milczeniem!

Oto, jak Grandmaman opisywała swe przeżycia w ogarniętym rewolucyjnym wrzemi Piotrogradzie:

„25 lutego było u mnie na obiedzie kilku przyjaciół. Wiedzieliśmy, że sytuacja jest poważna. Nasz czcigodny, lecz głupi premier, poczciwy książę Golicyn — czyż nie można było znaleźć lepszego następcy Stürmera, Trepowa *et aP.* — zwołał w Pałacu Maryjskim nadzwyczajne posiedzenie gabinetu. Nasz władca był oczywiście nieobecny. Jego Cesarska Mość nie mógł sobie wybrać gorszego momentu na powrót do Stawki. Tłumy szalały, pułki gwardyjskie się zbuntowały.

W trakcie spożywania puddingu Messelrode — Anatol przeszedł sam siebie — usłyszeliśmy strzały na Quai Anglais, a następnie wrzaski na dziedzińcu. Majordomus wbiegł z krzykiem: »Wasza Wysokość, tłumy wyważają drzwi!« Poprosiłam gości, by zachowali spokój, i poleciłam wyprowadzić ich przez piwnice na boczną uliczkę. Błagali mnie, bym poszła z nimi, ale ja ruszyłam na spotkanie z motłochem.

Kiedy pojawiłam się w galerii portretowej, buntownicy stanęli jak wryci. W ciszy, jaka zapanowała, oświadczyłam, że dom ten służy obecnie za szpital i poprosiłam, by wyszli po cichutku, tak by nie przeszkadzać rannym. Zaczęli się wycofywać, gdy wtem wystąpił jakiś zawadiaka wyglądający na podchmielonego i zapytał gdzie jest mój syn, zdrajca i wróg ludu. »Mój syn jest na froncie, gdzie powinieneś również być ty « — odpowiedziałam, na co odezwały się okrzyki: »Precz z wojną!

Zamknij się, ty stara babo! Precz z carem!« Wtedy ten zuch oświadczył, że skoro nie mogą dostać w swe ręce syna, mnie aresztują zamiast niego. Wyciągnięto mnie z domu i wsadzono do samochodu, gdzie paru innych chwatów niemal przywaliło mnie swoimi ciałami. Zapewne w obawie przed niebezpieczną, siedemdziesięcioletnią kobietą. Udaliśmy się do Pałacu Taurydzkiego. Spędziłam noc na krześle, opierając się o kolumnę, wokół której jeździł na rowerze żołnierz. Pozostali rozwalili

się na sofach lub na podłodze zasłanej strzępami ulotek i niedopałkami papierosów. Bohaterki rewolucji z papierosami w kącikach ust wystukiwały coś na maszynach do pisania i biegały z najświeższymi wiadomościami. W Rosji nawet podczas rewolucji większość pracy wykonują kobiety. Przez całą noc przyprowadzano więźniów podobnych do mnie, choć niektórzy byli znacznie bardziej poturbowani. Nikt z nas nie miał najmniejszego pojęcia, czemu nas tu przyprowadzono ani co z nami zamierzają zrobić.

Rankiem zostałam zaciągnięta przed Piotrogradzką Radę Delegatów Robotniczych i Żołnierskich, która obradowała przez całą noc.

Powiedziano mi, że znana jestem ze swych chłodnych stosunków z byłą carycą, z woli ludu usuniętą z tronu; jeśli teraz przedstawię swą opinię o tej tyrance, puszcza mnie do domu i zostawią w spokoju.

Odpowiedziałam, że jako potomkini wielkiego księcia ruskiego miałam prawo krytykować cesarzową, jeśli taka była moja wola, i że mam również prawo nie składać żadnych oświadczeń przed takimi impertinentami jak oni. Wyprowadzono mnie z powrotem do foyer, gdzie powitano mnie okrzykami: »Do twierdzy z nią! Zastrzelić ją! Precz z wrogiem i wyzyskiwaczką ludu!« i temu podobnymi.

No cóż, Anno Władimirowno, pomyślałam, nadeszła twoja ostatnia godzina. Wtem jakiś robotnik wskoczył na krzesło i zaczął krzyczeć, że wcale nie jestem wrogiem ludu, że jestem jego przyjaciółką. Potem opowiedział, że przez rok pomagałam jego rodzinie, kiedy on miał w pracy wypadek. Inni robotnicy również zaczęli występować w mojej obronie i ostatecznie nagrodzono mnie owacją! Tłumy zaniósł mnie do domu, krocząc w triumfalnym pochodzie. I tak opuściwszy dom pod ostrą eskortą kilku żołnierzy, wracałam doń niesiona przez nich na rękach.

To tyle o tej przygodzie. Jeśli chodzi o resztę, dom został dosyć poważnie zniszczony, a wszystkie twoje cenne obrazy uszkodzone, Pierre, ale nie tak, by nie można ich było naprawić. Szpital przemienił się w prawdziwy dom wariatów.

Żołnierze próbowali mordować oficerów, więc zlikwidowaliśmy oddział dla oficerów i przewieźliśmy zagrożonych pacjentów do ambasad jako nieboszczyków. Zarówno personel, jak i chorzy utworzyli rady i ani nad jednymi, ani nad drugimi nie można było zapanować. Pacjenci nie słuchali zaleceń lekarzy. Wstawali, kiedy powinni leżeć, nie przyjmowali lekarstw, które im nie smakowały albo które według nich nie miały wystarczająco wstrętnego smaku. Sanitariusze nie chcieli zmieniać pościeli. Jedynymi osobami, które zapewniały poprzedni poziom opieki, były siostry-ochotniczki z dobrych domów. Nasza biedna administratorka została zwymyślana i zmuszona do przypatrywania się nieprzyzwoitym scenom.

Wezwałam wszystkich chorych, którzy mogli chodzić i oświadczyłam, że wypisujemy ich w ciągu dwudziestu czterech godzin i zamykamy szpital, gdy tylko znajdziemy miejsca dla chorych, którzy muszą leżeć w łóżku. Informacja została powitana podniesionymi pięściami i spluwaniem, ale się nie ugięłam. I pomyśleć tylko, że otaczaliśmy ich bezpłatną opieką, że każdemu dawaliśmy nowe ubranie i pieniądze na podróż, kiedy opuszczał szpital, że troszczyliśmy się o ich rodziny, wysyłaliśmy ich do naszej daczy na rekonwalescencję, zabieraliśmy na przedstawienia teatralne i baletowe. Bardzo dobrze wiem, że wdzięczność staje ludziom ością w gardle i nigdy jej nie oczekiwałam, ale trudno mi się pogodzić z taką niewdzięcznością. Wiem również, że naród rosyjski zdolny jest zarówno do wszelkiej podłości, jak i do czynów szlachetnych, wielkich. Ale, wyznaję, że to, czego jestem teraz świadkiem, przekracza moje możliwości pojmwania.

Nasze powozy i samochody zostały skonfiskowane, więc nie opuszczam domu, ale powiedziano mi, że ulice są zaśmiecone i brudne, ludzie zachowują się bezwstydnie, panuje całkowite rozpasanie i *lesser-aller*. W domu otoczona jestem dobrą opieką. Służba oczywiście utworzyła rady i za każdym razem, gdy dzwoniłam, zwoływała zebrania, by

zdecydować, kto ma odpowiedzieć na moje wezwanie, jeśli w ogóle należy na nie odpowiedzieć. Zebrałam wszystkich i poinformowałam, że w moim wieku nie zamierzam zmieniać przyzwyczajzeń i że ci, którym się to nie podoba, mogą odejść. Pozostało sześciu oddanych służących. Do twego powrotu jestem strzeżona przez kilku żołnierzy-ochotników, podlegających radzie piotrogrodzkiej — pamiętaj, że to ona sprawuje dziś faktyczną władzę. Żołnierze nie naprzykrzają mi się, ponieważ jednocześnie otacza mnie opieką mój dobry przyjaciel, książę Lwów, obecnie głowa naszego państwa, jeśli w ogóle można to nazwać państwem. Błagam cię, zaklinam i rozkazuję, byś nie wracał. Jedź do Ałupki. Dojadę tam do was, jak tylko nieco się uspokoi. Jeśli nie chcesz myśleć o sobie, pomyśl o swej córce. Niech Bóg nad wami czuwa w tych czasach próby. Maman."

Zarówno ojciec, jak i ja byliśmy poruszeni głęboko listem. Zgodziliśmy się, że nie możemy jechać na południe i zostawić Grandmaman w Piotrogradzie na pastwę tłuszczu o zmiennych nastrojach oraz żołnierzy-ochotników. W głębi duszy postanowiłam dotrzeć również do więźniów w Carskim Siole. Nie zniósłabym długiej rozłąki z mą imienniczką, i to akurat wtedy, gdy najbardziej mnie potrzebowała! Podczas następnych dni marca, mimo że w Piotrogradzie i w Moskwie pozornie zapanował spokój, rewolucja — której narodzinom przyklaskiwali zarówno liberałowie, jak i lewica — doprowadziła do takiego chaosu, że nikt już nie potrafił zapanować nad sytuacją w Rosji. Rozkaz nr 1, pierwszy dekret, wydany przez radę piotrogrodzką, dawał żołnierzom prawo tworzenia komitetów, wybierania sobie oficerów i kwestionowania rozkazów. Rezultatem tego pośpiesznie wydanego dekretu było powszechne degradowanie członków kadry, z których następnie część wymordowano. W owych czasach oficerowie nie wywodzili się już wyłącznie z arystokratów. Na ogół też nie traktowali źle prostych żołnierzy. Byli mordowani, ponieważ zmuszali

żołnierzy do siedzenia w okopach. A żołnierz nic chciał siedzieć w okopach - chciał wracać do domu, w czym przeszkadzali mu oficerowie. Rozkaz nr 1 dość szybko dotarł do byłej kwatery ojca.

Zabarykadowaliśmy się w dworku; wkrótce do oficerów sztabowych przyłączyli się oficerowie z korpusu, chcąc ratować własną skórę. Uciekinierzy donieśli o okrucieństwach, których dopuszczali się żołnierze wobec oficerów.

Tymczasem zarządca majątku należącego do moich dalekich krewnych ze strony matki lękał się, że wybuchnie chłopska rewolta. Chłopi w kozuchach i baranich czapach gromadzili się za dnia u bram do parku. Nocami widzieliśmy, jak płoną okoliczne dwory. "Czerwony kur" znów wkroczył do akcji.

Natomiast w Piotrogradzie — według dość rzadko, ale regularnie nadchodzących listów - sytuacja zaczynała się normować. Ofiarom rewolucji - było ich około dwieście - urządzono okazały pogrzeb bez udziału duchownych. Socjaliści z całego świata zjeżdżali do Piotrogradu, by być świadkami jutrzeńki nowej ery. Więźniowie polityczni triumfalnie wracali z Syberii. Powrócił również z wygnania przywódca bolszewików, Włodzimierz Lenin, głównie dzięki uprzejmości marszałka polnego von Hindenburga, który zagwarantował mu przejazd przez Niemcy zaplombowanym pociągiem.

"Z dworca Fińskiego, gdzie szalejący tłum powitał powracającego bohatera - pisała Grandmaman na początku kwietnia — monsieur Lenin udał się na dachu samochodu pancernego do kwatery bolszewików, mieszczącej się w willi Krzesińskiej, naszej *prima ballerina assoluta* i ulubienicy wielkich książąt. Nawiasem mówiąc, jej dom w dniach naszej "bezkrwawej" rewolucji został jeszcze bardziej splądrowany od naszego. Nazajutrz po przyjeździe Włodzimierza Lenina, Piotrog-rodzka Rada Delegatów Robotniczych i Żołnierskich musiała wysłuchać kilkugodzinnego przemówienia wodza, które zostało następnie bez żadnych skrótów opublikowane w bol-

szewickiej „Prawdzie”. Jak ci rewolucjoniści kochają przemawiać! Odnoszę wrażenie, że monsieur Lenin został przyjęty z mieszanymi uczuciami. Ale nie lekceważyłabym go tak, jak to czynią niektórzy nasi przyjaciele w nowym rządzie. Pragnie położyć kres burżuazyjno-kapitalistycznej wojnie i zlikwidować burżuazyjno-kapitalistyczny rząd tymczasowy, Dumę i reakcyjne instytucje własności prywatnej. W przeciwieństwie do naszych panów liberałów jest zdecydowany, bezwzględny i nie hołduje niemodnym już dziś pojęciom »obowiązku« i »honoru«. Jest wystarczająco bezczelny, by przyciągnąć demony, które doszły do głosu w rosyjskim ludzie”.

— Nie mamy chwili do stracenia, jeśli chcemy powstrzymać demoralizację w armii i zanim bolszewicy ukończą swoje dzieło — oświadczył ojciec w odpowiedzi na te nowiny. — Przystąpienie Ameryki do wojny gwarantuje zwycięstwo Ententy. Rosja ma obowiązek kontynuować walkę. Co ważniejsze, zagrożona jest jej pozycja jako mocarstwa.

W przeciwieństwie do ojca byłam raczej pacyfistką. Ogłoszone przez radę piotrogrodzką hasło "pokój bez aneksji i kontrybucji" wydawało mi się rozsądne i uczciwe. Jedynym sposobem zapobieżenia przyszłym wojnom było niedopuszczenie do powstania żądzy odwetu u pokonanych. Niemniej jednak dezercję z pola walki uważałam za coś odrażającego. Nie potrafiłam sobie również wyobrazić pokonanej Rosji, żebrzącej o pokój. Nagle odkryłam, że ja również kieruję się staroświeckimi zasadami obowiązku i honoru. Wszyscy się nimi kierowaliśmy — poza bolszewikami.

W połowie kwietnia ojciec poczuł się na tyle dobrze, by móc znieść trudy podróży do Piotrogradu. Postanowiliśmy jechać przez Mohylew, gdzie ojciec zamierzał się zatrzymać, by nakłonić Stawkę do podjęcia zdecydowanych kroków, mających na celu powstrzymanie rozkładu armii. Wyruszyliśmy dwiema ciężarówkami najeżonymi lufami karabinów. Towarzyszyli nam Borys Majski, kilkunastu najbardziej oddanych oficerów i wierny Siemion. Wszyscy, z wyjątkiem niani, byliśmy uzbrojeni.

**Po** kilku tygodniach, spędzonych wyłącznie w pokoju chorego, zupełnie nie byłam przygotowana na szalony spektakl, który nas oczekiwał na stacji kolejowej w Równem.

Na peronie tłoczyli się żołnierze z karabinami, bagnetami, w zielonych szynelach, z czerwonymi opaskami na rękawach, **a** pasami z nabojami skrzyżowanymi na piersiach, w futrzanych papachach ozdobionych czerwonymi rozetkami lub płaskich czapkach zsuniętych zawadiacko na tył głowy lub **na** jedno ucho. Gdy na stację wtaczał się pociąg przypominający gąsienicę oblepioną przez mrówki, ci, którzy siedzieli **na** dachach i stopniach wagonów, staczali bitwy z tymi, którzy chcieli się dostać do środka.

- Panie, zmiłuj się nad nami! - Niania obserwowała peron z pogardą. — *S urna soszłil* Powariowali!

Oślaniana przez ojca i jego oficerów obojętnie gapiłam się **na** tłumy, nie reagując nawet wtedy, gdy parę osób spadło z dachów i leżało nieruchomo obok torów. Dopiero gdy jakiś żołnierz, próbujący wskoczyć do ruszającego pociągu, nie trafił nogą na stopień i wpadł prosto pod koła, z moich ust wydobył się stłumiony okrzyk.

Ojciec objął mnie ramieniem.

- Nie patrz tam i nie ruszaj się stąd nigdzie. Podbiegł do nas zawiadowca stacji.

- Wasza Ekscelencjo, na miłość boską, proszę spróbować wytłumaczyć tym ludziom! Przecież dla wszystkich nie starczy miejsc! Chyba się zabiję, jeśli te diabły nie zabiją mnie wcześniej. A co się wtedy stanie z żoną i dziećmi?



— Zanim się zabijesz, przyjacielu, powiedz mi, kiedy będzie pociąg do Moskwy. A to masz dla żony i małych dzieci. — Ojciec wręczył kolejarzowi garść złotych rubli.

Po kilkugodzinnym czekaniu zawiadowca zawiadomił nas, że podstawiono pociąg do Moskwy. Przypuściliśmy atak na wagon i zdobyliśmy go, nie odniósłszy strat w ludziach, po czym na obu końcach ustawiliśmy karabiny maszynowe. Wagon był czwartej klasy, z drewnianymi ławkami i biegnącą pod sufitem półką na bagaże. Leżący na niej dezertery zostali rozbrojeni, ale pozwoliliśmy im jechać dalej. Pociąg włókł się, sterczał godzinami w szczerym polu albo niespodziewanie przyspieszając trzął się i podskakiwał. Ponieważ czasami zmuszano maszynistów do przekraczania bezpiecznej prędkości, dodatkowe opóźnienia w podróży powodowały wraki wykolejonych pociągów.

Na pierwszej stacji kazano nam z nianią ukryć się pod ławką. Podczas gdy mężczyźni bronili wagonu przed szturmem nowych pasażerów, trzymałam w ręku odbezpieczony rewolwer, gotowy do strzału.

Niania przeżegnała się i mruknęła:

— Mój Boże, takie przygody w moim wieku! A jak tu ciasno! Jak w trumnie.

Na następnej stacji obie stanowczo odmówiliśmy schowania się pod ławkę. Ubłagałam, by mnie też dano karabin i tak celowałam, by odstraszać napastników, nie robiąc im krzywdy. Nie straciłam dawnej wprawy, bo ćwiczyłam strzelanie najpierw w parku, a potem w piwnicy dworku służącego ojcu za kwaterę.

Mniej zabawne były inne niewygody: wszy, pchły, brak toalet i wody. Wodę pitną mieliśmy w manierkach. Mężczyźni przechodzili na sam koniec wagonu i załatwiali się przez okno. Niania i ja korzystałyśmy z bezcennej, gumowej miednicy z mego podręcznego bagażu.

Podtrzymywaliśmy się na duchu śpiewając, opowiadając historyjki i żartując. W końcu po dwóch dniach i jednej nocy jazdy — aż tyle czasu zajęło nam pokonanie 600 wiorst — dotarliśmy do węzła kolejowego w Mohylewie.

Ojciec spodziewał się, że powitają go tu przyjaciele ze Stawki. Tymczasem wyszedł mu na spotkanie oddział armii rewolucyjnej pod dowództwem niejakiego towarzysza Biedłowa, przedstawiciela rady piotrogrodzkiej.

— Piotr Aleksandrowicz Siłomirski? Mam zaszczyt poinformować Waszą Byłą Ekszelencję, że jesteście aresztowani

— powiedział Biedłow. — I wy również, eks-generale Borysie Andriejewiczu Majski.

Oficerowie ojca zaproponowali, że rozprawią się z radzieckim towarzyszem i jego ludźmi, ale ojciec przypomniał im, że w Piotrogradzie trzymana jest jako zakładniczka Anna Władimirowna. Oddał więc szpadę oraz pistolet i dziękując swoim oficerom za wierną służbę, spokojnie się z nimi rozstał. Borys Majski również oddał broń. Pośpiesznie wsunęłam swój rewolwer za bluzkę

— karabin zostawiłam w pociągu; na szczęście nie zrewidowano mnie. Siemion oświadczył, że jest gotów iść ze swym księciem nawet do więzienia. Całą naszą piątkę, licząc też nianię, odprowadzono do dworcowej poczekalni pierwszej klasy.

Od chwili otrzymania pierwszych informacji o abdykacji cara moje zaznajamianie się z rewolucją odbywało się w formie serii wstrząsów, na które nie potrafiłam właściwie zareagować. I dlatego teraz nie umiem opisać, co wtedy czułam. Niedowierzanie, przerażenie, niepokój, złość, dumę? Wszystko po trochu, a przede wszystkim jakieś wrażenie nierealności, potęgowane jeszcze przez brak snu. Chciało mi się pić.

Czułam swędzenie. To było realne. Cała reszta to jedynie urojenie.

W poczekalni Biedłow zamówił herbatę. Do szklanki włożył nieco dżemu truskawkowego i ssał bułkę maczaną w płynie.

— Wyborny dżem! — Przymknął oko z wyrazem zmysłowego zadowolenia. — Proszę się poczęstować, Wasza Była Ekszelencjo.

Proszę się nie krępować. No, dalej!

Ojciec popijał herbatę, milcząc pogardliwie. Obserwowałam naszego gadatliwego strażnika.

Biedłow miał niewiele ponad trzydzieści lat, był niski i krępy, miał gładko ogoloną twarz o azjatyckich rysach i czarne włosy ucięte równo nad karkiem jak u chłopów. Jego zielone jak z jadeitu oczy spoczywały na mnie ze zmysłowym pożądaniem, jakbym też była wyjątkowo smakowitym dżemem truskawkowym. Wzbudzał we mnie nie tylko wstręt, ale również zaintrygowanie. Było to moje pierwsze zetknięcie z *Homo sovieticus* — nową rasą zdobywającą władzę w Rosji, rasą, która wyrosła nie z ojczystej gleby, nie z rodzimej tradycji ani jakiegokolwiek źródła o rosyjskich korzeniach, lecz z obcej ideologii.

Po dwugodzinnym czekaniu, podczas którego do początkowego wstrętu dołączył się strach, podjęliśmy przerwana podróż, tym razem w wagonie pierwszej klasy z pluszowymi kanapami.

Jak odmienny był ten etap naszej podróży od poprzedniego!

Odbywaliśmy ją w bardziej komfortowych warunkach, ale za to czuliśmy większe przygnębienie. Do Mohylewa zręcznie lawirowaliśmy przez wiry rewolucji. Mogliśmy wyobrazić sobie, że jesteśmy panami naszego losu. Teraz razem z ojcem staliśmy się podobnie jak car i moja imienniczka jeńcami. Rada piotrogrodzka, parwieniuszowska władza o hipnotyzującym wpływie na masy, położyła na nas swą łapę. Nie mieliśmy pojęcia, czego od nas chcieli ani co z nami zrobią. Wszelkie niebezpieczeństwa i niedostatki można znieść, dopóki jest się wolnym. Być więźniem to okropnie upokarzające, a nawet upodlające uczucie. Po raz pierwszy w życiu opuściła mnie odwaga. Jak można, nie mając wolności, zachować poczucie swego "ja"? A jednak musi to być możliwe. Spoglądając na ojca i Borysa Majskiego, widziałam, że są tacy jak zwykle. Są żołnierzami, a niewola to jedno z niebezpieczeństw grożących podczas wojny. Jeniec wojenny nie

przekazuje wrogowi informacji. Jeniec wojenny próbuje uciec. Tak, myślą teraz o tym, jak zbiec. Czemu nie mielibyśmy spróbować? Najważniejsze to zachować spokój i zdecydowanie, nie dawać wrogowi chwili wytchnienia. Odwróciłam wzrok od niekończących się przestrzeni za oknem, by spojrzeć wyniośle na towarzysza Biedłowa.

Ojciec uśmiechnął się przelotnie, dając mi do zrozumienia, że dostrzegł mój przyływ otuchy i cieszy go to.

— Widzę, że córka Waszej Byłej Ekscelencji nie traci ducha — zauważył Biedłow. — W przeszłości też była wrażliwa na niesprawiedliwość starych porządków. Czemu nie przejdzie pani na naszą stronę, Tatiano Pietrowno, na stronę ludu? — próbował się przypochlebić. — W głębi serca jest pani jedną z nas.

To, że moje obrazoburcze poglądy znane są Biedłowowi i że uważa mnie za zdolną do zdrady mego rodu i klasy — wywołało rumieniec wstydu na mych policzkach.

— Nie mam z wami nic wspólnego — powiedziałam.

— *Żalkol* Szkoda! — Biedłow przechylił głowę. — Ale może jeszcze zmieni pani zdanie. W obecnych warunkach byłoby to... rozsądne.

Znów zaczęłam wyglądać przez okno, by uniknąć rozmowy z Biedłowem, który im bardziej stawał się poufały, tym większy wzbudzał we mnie lęk. Sposób, w jaki wciągał powietrze przez zęby, kiedy mówił, sprawiał nieprzyjemne wrażenie.

— Wystarczy! Zostaw ją w spokoju! — powiedział ojciec zdławionym głosem. — Nie ma jeszcze dwudziestu lat.

— Wedle życzenia — odpowiedział Biedłow z udawaną dobroduszością (*jego* dobry nastrój też mroził mi krew w żyłach) i zaczął cicho pogwizdywać „Marsylianę”.

Następnego dnia przed południem dotarliśmy do Piotrogradu. Przez całą noc Biedłow obserwował nas spod półprzymkniętych powiek.

Dworzec Nikolajcwski jak wszystkie dworce, które mijaliśmy, zappełniał tłum dezertów. Karny oddział armii rewo-

lucyjnej w wysokich futrzanych czapach ustawił się na peronie, by powitać towarzysza Biedłowa i jego niebezpiecznego więźnia. Jakiś czas później dowiedzieliśmy się z krążących plotek, że generał książę Siłomirski maszerował na stolicę, by obalić rząd tymczasowy i przywrócić władzę cara, ale został ujęty przez bohaterskiego towarzysza Biedłowa.

Kiedy dwaj eskortujący nas strażnicy otworzyli drzwi wagonu i zeszli na peron, trzymając broń gotową do strzału, kocujący dezertrzy zapominali na chwilę o całkowicie pochłaniającym ich zajęciu, to znaczy o próbie powrotu do domu.

Oczy wszystkich zwróciły się na nasz wagon. Kiedy w drzwiach pojawił się ojciec w białej, futrzanej papasze na siwych skroniach, zapanowała głucha cisza, zakłócana jedynie syczeniem pary wydobywającej się z lokomotywy. Ojciec stał dumnie wyprostowany, jakby odbierał defiladę; niemal spodziewałam się usłyszeć za chwilę potężne "hura", które zawsze rozbrzmiewało na jego widok, ale zamiast tego dobiegł mnie jedynie szydrczy głos, pytający poufale:

— To wy, książę?

— Tak, to ja, generał książę Siłomirski — odpowiedział ojciec i nie patrząc pod nogi, wolno zszedł po stopniach wagonu.

— Patrzcie, jaki dumny! Pogroź nam pięścią, towarzyszu! Przypnij sobie czerwoną kokardkę! Gardzi nami, prostymi żołnierzami! Chce nas znów poprowadzić na rzeź! Chce z powrotem osadzić na tronie swego towarzysza zabaw, Nikoleńkę! Chce zdusić naszą rewolucję! Nie damy się, szybciej my jego zdusimy! Tak, zniszczymy go! Plujcie na niego! Dobrze mu tak!

Szydrczym okrzykom towarzyszyło spluwanie, wygrażanie pięściami i gwizdy. Następnie w powietrzu zaczęły fruwać czapki, puste puszkę po konserwach, manierki. Strażnicy otoczyli ojca i zaczęli przeciskać się przez tłum.

Odwróciłam się do Biedłowa.

— Zamordują ojca, jeśli ich ktoś nie powstrzyma!

— To by było zupełnie nie po naszej myśli — wycedził Biedłow. -  
Towarzysze! - Wyciągnął pistolet i wystrzelił dwa razy w powietrze. -  
Towarzysze - krzyknął - łączę się z wami w nienawiści do tego ciemnego  
ludu i współnika Krwawego Mikołaja. Pozwólcie mi odstawić go do  
twierdzy, gdzie odpowie za swoje zbrodnie przed sądem!

— Hurra! Do twierdzy! Niech żyje rewolucja! Precz z generałami! Precz  
z książętami! Na szubienicę z nim! — Tłum napierał na wyjście,  
porywając za sobą więźniów i strażników.

Nikt nie zwracał uwagi na mnie i nianię.

Przed dworcem stały dwa kryte auta, na każdym błotniku stał żołnierz z  
karabinem maszynowym. Pierwszym samochodem pojechał ojciec ze  
strażnikami, generał Majski, Siemion i Biełow. Ruszyli z miejsca pełnym  
gazem.

Wepchnięto mnie na tylne siedzenie drugiego auta, między dwóch  
żołnierzy. Nianię posadzono z przodu, obok kierowcy i żołnierza;  
rozpychała się łokciami, póki nie zrobili jej dosyć miejsca. Ruszyliśmy  
Prospektem Newskim.

Wyglądałam przez okno oszołomiona sceną, której dopiero co byłam  
świadkiem, dręczona niepokojem o los ojca. Na chodnikach kłębiły się  
tłumy przechodniów z czerwonymi rozetkami, opaskami i kokardkami;  
witryny sklepów były potłuczone lub zabite deskami, wzdłuż rynsztoków  
leżał brudny śnieg; zamiast dawnego porządku, luksusu i elegancji widać  
było śmiecie, zaniedbanie i zniszczenia. Wszystko to stanowiło efekt  
niedawnych wydarzeń, tak mi obcych, że nie wiedziałam, jak na nie  
zareagować. Dopiero kiedy zaczęliśmy jechać Bulwarem Admiralicji i  
ciepły, wiosenny wietrzyk przyniósł słony zapach morza i cierpki  
dziegciu, te znajome i drogie mi zapachy poruszyły mnie do głębi serca.  
Do oczu napłynęły mi łzy i jedynie myśl o Grandmaman pomagała mi  
odzyskać panowanie nad sobą.

Wkrótce skręciliśmy na podjazd dla powozów przed naszym  
*osobniakiem*. Nad domem zamiast biało-czerwonej flagi miłosierdzia  
powiewał czerwony sztandar. Dziedziniec zasłany był papierzyskami i  
potłuczonymi butelkami. Herb

Siłomirskich nad podwójnymi, mahoniowymi drzwiami wejściowymi był uszkodzony. W holu nie czekał szwajcar z halabardą, nie wybiegł również na nasze spotkanie lokaj w liberii, by wziąć ode mnie pelerynę. Różowy chodnik w przedsionku i na schodach frontowych był brudny i podarty. Kolumny z różowego marmuru w foyer na pierwszym piętrze były zabłocone, z balustrady z kutego żelaza strącono rodowe tarcze herbowe, a na ich miejscu udrapowano czerwone chorągwie. Drzwi do dawnej wielkiej sali balowej, w której później mieścił się szpital, były zamknięte na kłódkę. Idąc pod eskortą żołnierzy amfiladą pokoi recepcyjnych, mogłam ocenić ogrom dokonanych zniszczeń. Draperie były podarte, atlasowa tapicerka pocięta, prace wielkich mistrzów pochłapane atramentem, żyrandole i lustra rozbite w drobny mak, porfirowe wazy poprzewracane i potłuczone, na freskach powypisywano brzydkie wyrazy, nimfom domalowano wąsy. Wszystko to sprawiało przykre wrażenie, ale było nieistotne wobec uwięzienia ojca. Jakie znaczenie miały przedmioty, gdy zagrożone było ludzkie życie? Strażnicy zostawili nas na drugim piętrze w przedpokoju do apartamentów Grandmaman, w skrzydle wychodzącym na Quai Anglais, którym przechadzało się sześciu uzbrojonych po zęby strażników. Wiedziałam, że nie wolno mi wejść do Grandmaman bez zapowiedzenia, więc zapukałam w podwójne drzwi prowadzące do wewnętrznych pomieszczeń.

— Kto tam? — rozległ się basowy głos.

— Fiodorze, to ja, Tatiana. Wpuść mnie. Usłyszałam szcęk przekręcanego klucza i drzwi otworzyły się na całą szerokość. Patrzący wprost przed siebie olbrzym w czystej liberii, stanął bokiem, by zrobić mi przejście. Wspięłam się na palce, by ucałować go w policzek.

— Fiodor, najdroższy, jak się cieszę, że cię widzę! Zaczerwienił się po korzonki siwopłowych włosów, choć jego dziecinna twarz pozostała nieruchoma. Następnie, zamknąwszy drzwi za nianią, zaprowadził mnie do saloniku

Grandmaman.— Jaśnie Oświecona Panienska Tatiana Pietrowna! — ogłosił w progu swym steterowym głosem.

Choć byłam zawszona, brudna, zmęczona i ledwo mogłam powstrzymać łzy, jednak wyprostowałam się i wkroczyłam dumnie do pokoju.

Piękny i majestyczny Piotrogród się zmienił, nasz piękny i majestatyczny dom się zmienił, cała Rosja się zmieniła, ale Grandmaman pozostała taka sama jak dawniej. Siedziała w swoim ulubionym różowo-srebrnym empirowym fotelu, otoczona zdjęciami ojca i moimi, zrobionymi w rozmaitych pozach i okolicznościach. Pulchna i nieśmiała Zinajda Mi-chajłowna siedziała obok niej. Brakowało tylko babcinego pudelka. Ubrana była w czarną suknię zapiętą wysoko pod szyją. Trzymała się prosto, siwe włosy miała starannie uczesane nawet bez pomocy francuskiej fryzjerki, która zniknęła razem z naszym polskim szefem kuchni, wielkim Anatolem, tej samej nocy, kiedy pojawili się grabieżcy. Spojrzenie jej było jak zwykle szczere i otwarte. W pięknych, brązowych oczach podobnie jak w żywych, ciemnych oczach niani — dostrzec można było zrozumienie dla nie ograniczonych umysłem możliwości czynienia przez ludzi zła.

— Dobrze się czujesz, moje dziecko? — spytała, gdy dygnęłam, całując jej dłoń. Ujęła mą twarz szerokimi, silnymi dłońmi, by mi się lepiej przyjrzeć. Następnie, najwidoczniej usatysfakcjonowana, odwróciła się do niani, podając jej do ucałowania obie ręce.

— No i jak ci się podobają wyczyny naszego ludu, nianiu?

— Faj, to diabły wcielone! Nie znajdziesz gorszych na całym świecie — odparła przedstawicielka ludu. — To wstyd i hańba! Kiedy dotarliśmy do Dworca Nikołajewskiego, niemal rozerwali mego księcia na strzępy. Ale Bóg jest miłosierny i go ocalił. — Niania szybko się przeżegnała.

— Tatę zabrali do Twierdzy Pietropawłowskiej — wyjaśniłam — razem z Borysem Andriejewiczem i Siemionem. Biedlow... ten członek rady piotrogrodzkiej, który nas aresztował... powiedział, że będą go sądzili i... i go rozstrzelają.



— Bzdura! To aresztowanie było tylko pro forma, by ugłaskać radę piotrogrodzką. Kiereński, minister sprawiedliwości, obiecał, że jeszcze przed zmrokiem odeśle mego syna do domu.

Tak mnie to uradowało, że ucałowałam Grandmaman w obie ręce.

— Grandmaman, muszę zobaczyć się z Tanią i jej rodziną — powiedziałam. Znowu opanował mnie obsesyjny lęk o moją uwięzioną imienniczkę. — Proszę, wystaraj się u pana Kiereńskiego o przepustkę dla mnie do Pałacu Aleksandrowskiego.

— Na wszystko przyjdzie czas, moja droga. Tatiana Nikołajewna może poczekać.

Ton Grandmaman był chłodny. Zrozumiałam, że podobnie jak ojciec wolałaby, bym zapomniała o zażyłej znajomości z carskimi córkami. Żeby ją ułagodzić, zapytałam o Tobika, jej pudła.

— Pozwoliłam Marii Pawłownie zabrać go na Kaukaz, do Kisłowodzka — musiała wyjechać na leczenie. Nie mam już nikogo, kto mógłby go wyprowadzać na spacer czy kąpać, a poza tym po ostatnich wydarzeniach stał się strasznie nerwowy. Maria Pawłowna szaleje za nim. Tobik będzie z nią równie szczęśliwy jak twój Bobik z Wierą Kiryłowną w Ałupce.

— A jak się czują Jej Cesarska Wysokość i Wiera Kiryłowna? — Nie śmiałam od razu zapytać o moje przyjaciółki z Carskiego Siola.

— Maria Pawłowna jest bardzo przygnębiona, niemal załamana fizycznie i duchowo. Wiera Kiryłowna czuje się dobrze — bez wątpienia pochłonięta sprawą przywrócenia monarchii. A ponieważ niedaleko, w Liwadii, przebywa Maria Fiodorowna, więc nasza krewna jest w siódmym niebie.

— Cóż za ulga dowiedzieć się, że Jej Cesarska Mość jest bezpieczna, poza zasięgiem władzy sowieckiej — powiedziała Zinajda Michajłowna, a ja nic mogłam powstrzymać uśmie-

chu na myśl o mojej byłej *educatrice* ponownie złączonej ze swą cesarską protektorką. — Jak ta biedaczka musi cierpieć z powodu syna! — Na wspomnienie matki uwięzionego cara obudziły się w Zinajdzie uczucia macierzyńskie.

— Czy Jego Wysokość i rodzina cesarska są bardzo źle traktowani w Carskim Siole? — zapytałam, czując niepokój w sercu.

— Nie. Ale myślę, że nie cieszą się lepszym samopoczuciem od nas. No, dosyć tego gadania. Fiodor! — Grandmaman stuknęła dwa razy laską o podłogę i w progu pojawił się Fiodor. — Zaprowadź Tatianę Pietrownę do jej pokoi. Nie odstępuj jej na krok. Taniu, umyj dokładnie włosy i spłucz je octem — podejrzewam, że masz wszy. Twoja Dunia została z nami. Obiad pošlemy ci na górę. Po posiłku prześpij się. Zobaczymy się na podwieczorku jak zwykle o piątej.

Umyta, najedzona i wypoczęta poczułam się znów jak człowiek. Wrócił mi również dobry nastrój. Zeszłam do saloniku Grandmaman, gdzie zapalono światła (To prawdziwy cud, że jest jeszcze prąd — zauważyła Grandmaman). Po chwili przyszli ojciec i Borys Majski.

— *Mamon cherie, vous etes formidable!* Jesteś wspaniała! — Ojciec ucałował Grandmaman w rękę i policzek.

— Kiereński dotrzymał obietnicy. Teraz idźcie się obaj przebrać, a potem zjemy kolację i porozmawiamy.

Godzinę później, kiedy zasiedliśmy wokół okrągłego stołu w saloniku babki, a Siemion podał nam wyśmienitą kolację, Grandmaman spytała:

— Powiedz nam, Pierre, czy w twierdzy bardzo źle cię traktowali? —

Powiedziała to tym samym tonem, którym niegdyś wypytywała go, czy posiedzenie Rady Państwa było bardzo nudne.

— Niespecjalnie — odpowiedział ojciec. — Chociaż słyszałem, że paru byłych ministrów przetrzymywanych w bastionie Trubcckim ma się dość kiepsko.

- Jeśli masz na myśli Suchomlinowa, Protopopowa i spółkę, uważam, że zasłużyli na to - oświadczyła Grandmaman.
- Bez wątpienia. Czemu jednak znęcają się nad Anią Wyrubową? Wiesz, że nie mogłem znieść tej głupiej gęsi, ulubienicy Aleksandry. Ale oskarżenie tej biednej, naiwnej kaleki o groźne intrygi i zdradę jest równie głupie co okrutne.
- Bardzo musi to martwić Jej Wysokość - powiedziałam. - Zważywszy niezwykle przywiązanie Aleksandry do Aniuszki.
- To zastanawiające, ale zdaje się, że Aleksandra wyparła się swej najdroższej przyjaciółki - stwierdziła Grandmaman.
- \_ - Typowy przykład królewskiego kaprysu! - zauważył ojciec. - Aleksandra potrzebowała kozła ofiarnego. Ania idealnie nadaje się do tej roli.
- Wydaje mi się, że Jej Wysokość sama jest winna swym nieszczęściom - nieśmiało odezwała się Zinajda.
- Wszyscy jesteśmy winni. - Grandmaman z szacunkiem odnosiła się do upadłego majestatu, mimo że uważała, iż zasłużył na swój los.
- Anno Władimirownno, jeśli nie będzie to niedyskrecją, czy może nam pani powiedzieć, w jaki sposób skłoniła pani Kiereńskiego, by wypuścić nas z twierdzy? - spytał Borys Majski.
- Tak, Maman, powiedz nam o swych konszachtach z tą bandą rewolucjonistów. Rozumiem, że książę Lwów je ci z ręki, jest jednym z nas, lecz Aleksander Kiereński?
- Młody pan Kiereński - każdy, kto miał mniej niż pięćdziesiąt lat, był dla Grandmaman młody - który jest równie zuchowaty co elokwentny, miał kiedyś romans z dziewczyną ze szlacheckiego rodu, którą wszyscy znacie. Jej brat zamierzał wyzwać Kiereńskiego na pojedynek. Zapowiadał się prawdziwy skandal. Udało mi się go zatuszować. Dziewczyna jest mi bardzo wdzięczna, a pan Kiereński, należy mu to sprawiedliwie oddać, wywiązał się ze swego długu wdzięczności.

— Śmiałem twierdzić, że tylko częściowo, ponieważ księżę i ja pozostajemy w areszcie domowym — powiedział Borys Majski.

— Kiereński nie może przeciwstawić się radzie piotrog-rodzkiej aż do tego stopnia, by was uwolniono. Potrzebuje jej wsparcia, by kontynuować wojnę. Lecz gdy tylko rząd tymczasowy okrzepnie, zostaniecie uwolnieni, proszę się nie obawiać, Borysie Andriejewiczu.

— Bardzo ambitny i zdolny polityk z tego młodego Kiereńskiego — zauważyła Zinajda Michajłowna. — To prawdziwy bohater dnia. Ciekawa jestem, czy mógłby znaleźć jakieś zajęcie dla Koleńki. — Myśli Zinajdy ciągle biegły tylko w jednym kierunku.

— Kiereński jest głupcem lub fantastą, jeśli myśli, że będzie mógł współpracować z kontrolowaną przez bolszewików radą — odparł ojciec.

— Jest trochę tym, trochę tym — stwierdziła Grandmaman. — Jednak — jak na razie — bolszewicy nie kontrolują jeszcze rady piotrogrodzkiej. A ich zwolennicy w kraju są nieliczni. Istnieje szansa, że kiedy zbierze się Zgromadzenie Konstytucyjne, zostaną pobici na głowę.

— *Chere Maman*, jak zwykle jest optymistką! — Ojciec uśmiechnął się smutno. — Obawiam się, że monsieur Kiereński nie docenia towarzysza Biedłowa oraz jemu podobnych, których osobiście mieliśmy okazję poznać. — I ojciec ze zwykłą sobie swadą opowiedział o naszej podróży i aresztowaniu. Na zakończenie oświadczył: — Dowiedziałem się dzisiaj w twierdzy od byłego kolegi Biedłowa, że był on informatorem Ochrony, podobnie jak prawa ręka monsieur Lenina, towarzysz Stalin. Takich ludzi nie zwiodą urok osobisty i zdolności oratorskie!

— Cóż, może lepiej, gdy oszuści i kryminaliści będą działać jawnie, niż kiedy pracowali dla tajnej policji. — Grandmaman trwała w swym optymizmie.

Okazał się on zaraźliwy i zakończyliśmy wieczór ożywioną rozmową, nie zwracając uwagi na wrzaski i śmiech naszych

strażników. O dziesiątej cała rodzina i służba została wezwana do pokoju muzycznego na wieczorny apel.

Kapral strażników najpierw wywołał służących. Na samym końcu zawołał: — Towarzyszu Siłomirski, jesteście obecni?

— Obecny — odpowiedział głośno ojciec. — A w przyszłości — zrobił krok w stronę kaprała — ty i twoi ludzie będą zdejmowali czapki w obecności pań i oficerów. — Ponieważ kapral się nie poruszył, ojciec zbliżył się do niego.

— Zdejmij czapkę — powtórzył i strącił mu ją z głowy. Wszyscy strażnicy błyskawicznie ściągnęli czapki.

— *Mon Dieu*, już myślałam, że nas rozniosą na strzepy

— mruknęła Zinajda Michajłowna, gdy odprowadzałyśmy Grandmaman do jej apartamentów.

— Mogą to zrobić w każdej chwili — odparła babka.

— Ale będzie to tym mniej prawdopodobne, im większy będą czuli respekt przed nami. O, gdyby Rosja miała wśród swych przywódców takich ludzi jak mój syn, nie doszłoby do tego! Nasze lwy okazały się owieczkami, które potulnie dają się prowadzić na śmierć. No, Tatiano, czas spać. Czy masz jeszcze ten rewolwer, który dostałaś od ojca?

— Tak.

— Na wszelki wypadek trzymaj go pod poduszką. — Podała mi dłoń do ucałowania i pieszczotliwie pogłaskała po włosach, co nie zdarzało się jej często.

Udałam się do pokoju, który kiedyś należał do mnie, a teraz dzieliłam go z nianią i Dunią. Fiodor miał spać w przedpokoju jak za czasów mego wczesnego dzieciństwa.

I tak oto zaczęło się moje życie w porewolucyjnym Piotrogradzie.

Wkrótce przyzwyczałam się do nowych warunków, podobnie jak przyzwyczałam się do pracy w szpitalu polowym. Ale ani nie potrafiłam pojąć doniosłości nowej epoki, której narodzin byłam świadkiem, ani dostrzec nadciągającego niebezpieczeństwa.

Ojciec i Borys Majski mogli przebywać tylko w prywatnych apartamentach na pierwszym piętrze, a świeżego powietrza zażywać wyłącznie podczas spacerów na wewnętrznym dziedzińcu. Grandmaman i mnie pozostawiono całkowitą swobodę poruszania się; musiałyśmy jedynie być obecne podczas wieczornego apelu. Błagałam Grandmaman, by wykorzystała wszelkie posiadane wpływy i uzyskała dla mnie u pana Kiereńskiego pozwolenie odwiedzenia "pułkownika Romanowa" i jego rodziny. Widząc, że nie zrezygnuję ze swego zamiaru wyjazdu do Carskiego Sioła, porozmawiała z ministrem sprawiedliwości. Na początku maja uzyskałam wymaganą przepustkę. Razem z Fiodorem udałam się pociągiem do Carskiego Sioła. Fiodor włożył buty do kolan, rosyjską rubaszkę i czapkę, a ja swój uniform pielęgniarki. Nasz wierny lokaj miał iść obok mnie i, broń Boże, nie tytułować mnie księżniczką.

Linia kolejowa, zarezerwowana niegdyś wyłącznie dla rodziny cesarskiej i członków dworu, którą nieraz jeździłam w towarzystwie Wiery Kiriłowny, służyła teraz tłumom ciekawskich, pragnących obejrzeć interesujący spektakl z członkami rodu cesarskiego jako wykonawcami głównych ról. Na stacji Aleksandrówskaja w Carskim Siole nie czekał cesarski samochód ani powóz z lokajem w szkarłatnej liberii, by zawieźć mnie do pałacu. Szybkim krokiem pokonaliśmy niespełna dwukilometrowy odcinek drogi biegnącej przez pełne zieleni miasto, nad którym górował "Stary Pałac" Katarzyny I. Kiedy zbliżyłam się do niskiej bramy z kutego żelaza, prowadzącej na tereny nowego Pałacu Aleksand-

rowskiego, ujrzałam coś niezwykłego i nieprawdopodobnego, przewyższającego wszystko, co widziałam od chwili wybuchu rewolucji. Cesarz i jego córki pracowali w ogrodzie warzywnym na oczach zgromadzonych przy bramie gapiów. Olga Nikołajewna kopała ziemię tuż obok ojca. Tatiana Nikołajewna, wyraźnie szczuplejsza, i Maria, która urosła od czasu, gdy ją ostatni raz widziałam, przeciągały walec wzdłuż świeżo zasianych grządek. Szesnastoletnia Anastazja w skupieniu pchała taczki. Wszystkie wielkie księżniczki ubrane były w gładkie, czarne spódnice, na głowach miały okrągłe, wełniane czapeczki. Aleksego nie było widać.

Car był jak zwykle w mundurze pułkownika. Bardzo się zmienił. Cera zrobiła mu się ziemista. Z sympatycznej twarzy zniknęły spokój i łagodność. Gdy tak patrzyłam na niego, poczułam wstyd i złość.

Aleksandra w kapeluszu ozdobionym kwiatami i z czarną opaską wokół szyi siedziała na fotelu na kółkach. Stan jej serca musiał się pogorszyć. Pomyślałam, że na pewno puchną jej nogi. Wyglądała starzej, poważniej, a zarazem nie tak wyniośle i odpychająco jak dawniej. Ręce, które nigdy, odkąd pamiętam, nie były beczynne, miała zajęte robótką. Od czasu do czasu spoglądała na męża, który uśmiechał się do niej znad szpadla. Cesarzowa i car nie zwracali uwagi na strażników przechadzających się z bronią przy nodze. Z bijącym sercem podeszłam do ogrodzenia.

— Popatrz na tę ciocię — odezwała się jakaś kobieta do trzymanej za rączkę dziewczynki. - Mówią, że dzieciom, które nie chciały się modlić za Rasputina, posyłała zatrute słodycze! A jej córki, niby takie skromne i niewinne, podobno takie rzeczy wyprawiały z Rasputinem że aż strach...

— Moja dobra kobieto, widzę, że uważasz swe rewelacje za odpowiednie dla małej dziewczynki — wtrąciłam się. — A wy zaćm obywatele — zwróciłam się do reszty zebranych - nie macie nic lepszego do roboty, tylko tak stać z rozdziawionymi gębami?

Jakiś chłopak natychmiast zamknął usta.

— A teraz dalej mi stąd! Fiodor, przypilnuj, by nikt się nie kręcił przy bramie, póki nie wrócę!

Drżącą ręką wyciągnęłam przepustkę i okazałam ją sierżantowi. Do piersi przypięty miał order św. Jerzego V klasy, więc go zagadnęłam:

— Cywile to nieroby. Dziwię się, jak możecie z nimi wytrzymać.

— A co mamy robić? Nie sposób się od nich opędzić — powiedział i otworzył bramę.

Wielkie księżniczki porzuciły pracę w ogrodzie i podbiegły do mnie.

Zgodnie z etykietą zatrzymałam się trzy kroki od cara, by złożyć mu głęboki ukłon. Cesarz szybko odłożył szpadel i zanim zdążyłam dygnąć, przytrzymał mnie za ramiona.

— Kochana Taniu, cieszę się, że cię widzę — powitał mnie po angielsku.

— Dziewczęta ciekawe były, kiedy do nas przyjedziesz.

— Czekałam na pozwolenie, Sir. Zaczęłam się o nie starać zaraz po powrocie do Piotrogradu.

— Ach, tak, rzeczywiście. — Nowy wyraz twarzy, którego nie potrafiłam określić, stał się wyraźniejszy. Car spojrzał w stronę ogrodu, za którym spacerował z kamienną twarzą Fiodor, odstraszać swą potężną postacią ciekawskich. — Czemu wywołałaś tę awanturę przy bramie? — spytał cicho.

Zaczerwieniłam się.

— Przepraszam, Sir. Po prostu ci ludzie...

— Nie zwracamy na nich uwagi. Ty też nie powinnaś się nimi przejmować.

Razem z księżniczkami, przekrzykującymi się jedna przez drugą, podeszłyśmy do Aleksandry.

— Mówiłam ci, słoneczko, że Tania przyjedzie, jak tylko będzie mogła

— zwrócił się car do żony.

— To bardzo ładnie z twojej strony, Taniu — powiedziała cesarzowa swym zwykłym, oziębłym i nieprzyjemnym tonem,



podczas gdy składałam jej ukłon. - Ostatnio nie mamy zbyt wielu gości. Przekazałam wyrazy uszanowania od Grandmaman i od ojca, który nie mógł zrobić tego osobiście.

- Tak, słyszeliśmy, że księżę Siłomirski przebywa w areszcie domowym - powiedziała Aleksandra. - Mam nadzieję, że ma się lepiej niż kochany, stary Friedrichsy. Biedaczysko, nawet w szpitalu traktują go okropnie. - Ani słowem nie wspomniała o swej byłej faworycie; a więc to prawda, że Ania Wyrubowa została odtrącona, przynajmniej na razie.

Obiecałam cesarzowej, że poproszę Grandmaman, by porozmawiała z księciem Lwowem o hrabi Friedrichsie, byłym marszałku dworu, niegdyś obiekcie dziecięcych psot wielkich księżniczek.

Aleksandra wypytała mnie jeszcze o kilku piotrogrodzkich znajomych. W końcu tonem ironicznego lekceważenia, którego używała kiedyś, gdy mówiła o sobie, zauważyła: - Ale chyba nie przyjechałaś tu, by siedzieć ze starą, schorowaną kobietą, Taniu.

Wywołało to oczywiście lawinę protestów. "Ależ, mateczko!" - rozległy się głosy córek, "Daj spokój, skarbie!"

- stwierdził mąż, a ja wykrzyknęłam "Wasza Wysokość!". - Przecież naprawdę jestem starą, schorowaną kobietą

- uśmiechając się powiedziała cesarzowa. — Wiem, że wolałabyś porozmawiać z Tatianą. I nie zapomnij przywitać się z naszym Słoneczkiem. Nie widzę go... Ale na pewno jest tu gdzieś w pobliżu. A *quelque chose malheur est bon* - nie ma tego złego, co by na dobre nie wyszło. Nasz syn ma teraz przynajmniej zapewniony właściwy nadzór - powiedziała rzucając szybkie spojrzenie na strażników, których wcześniej jakby w ogóle nie dostrzegła.

Niefrasobliwy ton Aleksandry nie mógł ukryć goryczy w jej głosie.

Podejrzewałam, że dumna cesarzowa najciężej z całej rodziny przeżywała obecne położenie. - Pospacerujcie sobie, panienki - powiedział car do Tatiany Nikolajewny i do mnie. - A ja potrzebuję dzielnych

pomocników do przekopania ostatniej grządki. — Spojrzał na dwie młodsze córki.

— Myślę, że ja jestem najsilniejsza, tatko — odparła Maria, nieśmiało się uśmiechając.

Olga Nikołajewna, wręczyła jej swoją łopatę i zaczęła wolno popychać wózek inwalidzki matki. Ona, niegdyś najbardziej zbuntowana z całej czwórki, sprawiała teraz wrażenie pogodzonej z matką i ze swym losem.

Anastazja ruszyła za Marią. Przez chwilę obserwowała, jak siostra zabiera się do kopania, a potem chwyciła za szpadel.

— Nie tak, ty niezdaro! — krzyknęła i zaczęła wywijać łopatą z niezwykłym zapalem.

Razem ze swą imienniczką skierowałam się w stronę jeziora (dwóch żołnierzy szło tuż za nami). Widziałam jeszcze, jak car czynił wymówki najmłodszej córce.

— Biedna Maria — odezwała się Tatiana Nikołajewna po angielsku, biorąc mnie pod rękę. — Wszyscy jej dokuczamy. To już taki rodzinny zwyczaj. Ale naprawdę była bardzo dzielna. Kiedy Olga i ja przechodziłyśmy najgorszy okres odry, to ona wychodziła z mateczką, by porozmawiać ze zbuntowanymi żołnierzami.

— W liście nic mi o tym nie wspominałaś — zauważyłam z wyrzutem.

— Ach, to nic specjalnego, po prostu kilku awanturników domagało się, byśmy się pokazali. Bali się, że Aleksy został porwany w czarodziejski sposób przez opętańczego ducha Rasputina. Gdy się dowiedzieli, że Aleksy jest cały i zdrowy, natychmiast się uspokoili. Nie chciałam, byś się martwiła takim drobnym incydentem.

To była cała moja droga Tania!

— Twój list był tak spokojny, że aż się zdumiałam. Dopiero później to zrozumiałam. — Człowiek nie wie, jak zareagować, gdy dosięga go tak nieprawdopodobny cios.

W jaki sposób dowiedzieliście się o abdykacji Jego Cesarskiej Wysokości?

— Poinformował nas wielki książę Paweł. Mateczka z początku nie chciała wierzyć. Próbowwała przekonać nas i siebie, że są to zapewne plotki. Nawet wówczas, gdy zamknięto nas w areszcie domowym, uparcie trwała przy swoim. Kiedy jednak do pałacu przywieziono pod strażą tatkę, wszystkie się załamałyśmy. Ale to już przeszłość, nie warto do tego wracać. Lepiej powiedz mi, co się z tobą działo.

Opisałam jej, w jaki sposób rewolucja wpłynęła na nasze życie. Staralam się, by moja opowieść o podróży z Równego do Piotrogradu była zabawna i wielka księżniczka serdecznie się uśmieła. Gdy doszłam do sceny powitania ojca na dworcu Nikołajewskim, wstrząsnął mną dreszcz na wspomnienie tej chwili.

— To straszne! — Tatiana Nikołajewna ścisnęła mnie za rękę. — Przecież książę Siłomirski był bardzo popularny wśród żołnierzy! Wiesz, tatce najtrudniej było się pogodzić z tym, co się stało z armią. Powiedział, że gdyby wiedział, iż sprawy przybiorą taki obrót, nigdy by nie abdykował. Zrobił to, by zapobiec swarom w kraju w czasie trwania działań wojennych, uważa bowiem, że najważniejszą rzeczą jest zwycięstwo nad państwami centralnymi. Teraz zaczął się obawiać, że rząd tymczasowy zgodzi się na zawarcie odrębnego pokoju. Wcale nie myśli o sobie, cały czas się zastanawia, czyjego abdykacja przyniosła korzyść ojczyźnie... a tymczasem mówią, że jest zdrajcą i wyzywają go od najgorszych.

— Nie mów tak. To zbyt niesprawiedliwe i podłe! Doszliśmy do granicy terenu parkowego, po którym mogła się swobodnie poruszać uwięziona cesarska rodzina. Usiadliśmy obok mostu na wyspę, którą nazywałyśmy kiedyś "dziecięcą".

— Wciąż jesteś zdenerwowana, Taniu? — Wielka księżniczka ujęła moją lodowatą dłoń.

— Już mi przechodzi. Wiesz, o czym teraz myślę? — Gdy byliśmy małe, bawiłyśmy się w odgadywanie swoich myśli.

Wielka księżniczka skupiła się z dziecięcą powagą.

— O grzybobraniu w Białowieży — powiedziała w końcu, zupełnie trafnie. — Pamiętasz, jak nazywałam oswojone sarny?

— Ślicznotki. — Uśmiechnęłyśmy się do siebie. — Och, Taniu, jak dobrze znów być razem! — wykrzyknęłam. — Gdybyśmy tylko mogli się z tatą przyłączyć do cesarskiej świty — powiedziałam, nie zastanawiając się, jak zareagowałiby na to Aleksandra i ojciec.

— Porozmawiam o tym z mateczką. Wszyscy wyjechalibyśmy do Anglii. Mogłabyś poślubić swego Stefana, a my zostałybyśmy twymi druhnami!

— Taniu! — Spojrzałam na jej ładną twarz, którą" w tej chwili zrobiła się prześliczna. — Taniu, najdroższa przyjaciółko — powiedziałam po rosyjsku.

Tatiana Nikołajewna uśmiechnęła się zadumana. Po chwili, wskazując ręką na swą okrągłą, wełnianą czapkę, spytała po angielsku:

— Jak ci się podoba ten elegancki *pot de chambre*, który mam na głowie?

— Bardzo ci w nim do twarzy. I wolę cię bez tej kręconej grzywki.

— Nie pozostało mi po niej nawet wspomnienie. Po odrze zostałyśmy ogolone do gołej skóry. Jesteśmy łyse jak kolano. Kiedy robiono nam zdjęcia, wszystkie jak na komendę ściągnęłyśmy nakrycia głowy.

Mateczka uważa to za zły znak. Ale wiesz, że ona zawsze we wszystkim widzi złe znaki! W końcu nie jest tak źle, prawda, Ortipo? — zwróciła się do potężnego buldoga, który podbiegł do nas i położył swój wielki, brązowy łeb na jej kolanach. — Póki jesteśmy razem, nic może być źle, a jak przyjeżdża Tania, to jest wprost kapitalnie! Malec też się ucieszy.

Ortipo, gdzie jest Malec? Gdzie Aleksy?

Buldog nie wiedział.

— Ale zabawnie wyglądasz! — wykrzyknęła jego pani, a ja powiedziałam:

— Taniu, nie wolno się wyśmiewać z psów. Są bardzo wrażliwe.

Spojrzała na mnie z udawaną skruchą, a potem powiedziała do psa:

— Przepraszam, Ortipo, jeśli cię uraziłam, strasznie cię przepraszam. A teraz pozwól mi wstać.

Podniosłam się i ja.

— Jeśli pozwolisz, Taniu, pójde przywitać się z twoim bratem.

— Dobrze, a ja przez ten czas porozmawiam z mateczką. Ale co się stanie z Anną Władimirowną, jeśli ty i książę Siłomirski przyłączycie się do nas?

Nie mogłam sobie wyobrazić Grandmaman opuszczającej Rosję.

— Albo pojedzie do Ałupki, gdzie naszym domem opiekuje się Wiera Kiryłowna, albo do Marii Pawłowny do Kis-łowodska. Jej Cesarska Wysokość bardzo namawia Grandmaman do przyjazdu.

— W takim razie nic nie stoi na przeszkodzie. — I wielka księżniczka przyłączyła się do mademoiselle Schneider, lek-torki cesarzowej, którą wysłano na poszukiwanie Tani.

Przeszłam przez park wzdłuż granic wyznaczonych co kilka kroków przez obecność strażników. Znalazłam Aleksego zalewającego się łzami. Żołnierze zabrali mu karabin-zabawkę.

Nagorny, jego opiekun, próbował go pocieszać.

— Nie jest warta twych łez, Aleksy Nikołajewiczu. Zrobię ci prawdziwy łuk i strzały o wiele ładniejsze niż ten karabin.

Na mój widok chłopczyk się zaczerwienił.

— Cześć, Taniu — powiedział, unikając mego wzroku. Aleksy, już trzynastolatek, bardzo wyrósł. Wciąż nosił

bluzę wypuszczaną na spodnie i płaską czapkę szeregowca tak jak na początku wojny. Miał jasną karnację i był ładniejszy od swych sióstr, kiedy były w jego wieku. W jego ciemnych oczach dostrzec można było złość; sprawiło mi to ból, trudniejszy do zrozumienia i zaakceptowania niż cierpienie fizyczne.

— Nagorny ma rację. Nie warto tak się awanturować o zabawkę — powiedziała po angielsku, kiedy Aleksy oparł czoło o skałę. — Nie uczono cię, że książę nie rozpacza z byle powodu?

— Nie jestem już księciem.

— Urodziłeś się księciem i pozostaniesz nim bez względu na to, co kto mówi. I zawsze musisz się zachowywać jak książę, tak jak twój ojciec. Aleksy przestał pociągać nosem. Rzucił gniewne spojrzenie strażnikom, którzy aż wykrzywili twarze, próbując zrozumieć, o czym rozmawiamy.

— Tatko jest taki uprzejmy — powiedział Aleksy — a oni są tacy niegrzeczni! Podczas Wielkanocy ucałował wszystkich strażników. Co wieczór na apelu ściska dłoń oficerowi. Przedwczoraj jeden z nich nie chciał mu podać ręki... Jak... jak tatko może zachowywać się tak uniżenie?

A więc to był prawdziwy powód wstydu chłopca: zwątpienie w ojca, którego dotychczas uważał za wszechmocnego.

— Co zrobił Jego Wysokość, gdy oficer odmówił podania mu ręki?

— Powiedział: "O, przepraszam" i spojrzał na niego tak dziwnie.

— Jakby mu było go żal?

— Może... — odparł chłopiec z zastanowieniem.

— To nie twój ojciec został poniżony tą zniewagą, ale człowiek, który się jej dopuścił. Nie uraża to godności Jego Cesarskiej Mości. I nie ma nic wspólnego z brakiem dumy.

— Ja też mam swoją dumę! Nie dbam o ten stary karabin! Nic dbam o to, co mi kto zrobi! Nie dbam o nich! — Aleksy pokazał język.

Żołnierze zaczęli coś między sobą szeptać.

— Taniu, zrób jedną z tych swoich naprawdę okropnych min.

Zobaczymy, jak zareagują. — A kiedy się zawahałam, powiedział: — Rozkazuję ci.

Słyszając cesarskie polecenie, zrobiłam, o co mnie proszono. Aleksy roześmiał się na całe gardło.

- Aleksy Nikołajewiczu, wracajmy, na miłość boską! — błagał Nagorny.

- *Poszli* - powiedział chłopiec po rosyjsku i podał mi ramię. - Taniu - spojrzał na mnie z zachwytem - ale by było dobrze, gdybyś z nami została.

- Kto wie, może zostanę.

Przyłączyliśmy się do reszty rodziny. Olga i Anastazja kłóciły się, która z nich ma pchać wózek matki. Z wyrazu twarzy mojej imienniczki zrozumiałam, że jej prośba nie została zaakceptowana.

Aleksandra zwróciła się do Anastazji, by pokazała Aleksemu żuczka, którego znalazła w parku. Kiedy dwójka najmłodszych dzieci się oddaliła, powiedziała:

- Tatiana zwróciła się do mnie o wyrażenie zgody na twoje zamieszkanie z nami. Jesteś jej ulubioną damą dworu. Uradowałoby to niezmiernie wszystkie dzieci, lecz nie mogę pozwolić, byś podzieliła nasz los. Trzy wielkie księżniczki i ja spojrzałyśmy na cesarzową poważnie.

- Ależ mateczko - powiedziała moja imienniczka - przecież wkrótce wszyscy wyjedziemy do Anglii.

- Możemy już nigdy nie opuścić Rosji. Zapanowała głęboka cisza. Tatiana Nikołajewna przerwała ją pierwsza.

- Och, mateczko, wszystko widzisz w ciemnych barwach! Tatko mówi, że wuj Jerzy na pewno nas stąd wyciągnie.

- Twój ojciec nie zna świata. - Aleksandra popatrzyła na swoje trzy najstarsze córki. - Moje najdroższe, nie mówię tego, by was straszyć. Jesteście już duże, nawet ty, moja dzielna Mario, i nie wolno mi przed wami niczego ukrywać. Wiem, że pomożecie mi utrzymać to w tajemnicy przed waszym młodszym rodzeństwem.

- Póki jesteśmy razem, niczego się nie boimy - powiedziała Olga.

- Tak, to najistotniejsze - zgodziła się Tatiana Nikołajewna. — Oczywiście, byłoby cudownie, gdyby Tania

mogła z nami zostać, ale jeśli istnieje choć cień niebezpieczeństwa, że możemy się stąd nie wydostać, to lepiej nic. We Francji czeka na nią ktoś bardzo dla niej ważny.

Ma na myśli Stefana, pomyślałam. Jednakże jakie w tej chwili mogło mieć znaczenie moje szczęście?

— Wasza Wysokość — oświadczyłam — bez względu na niebezpieczeństwa, których obawia się Wasza Wysokość, będzie zaszczytem zarówno dla mnie, jak i dla mego ojca dzielić los z Waszymi Wysokościami.

Wciąż jeszcze ładna twarz Aleksandry przybrała nieprzyjemny wyraz. Powiedziała swym dawnym, mentorskim tonem:

— Ciągle jeszcze kochasz się w dramatycznych efektach, Taniu? Zastanawiałam się czasem, czy twoim prawdziwym powołaniem nie jest przypadkiem scena, a nie medycyna. No, dziewczynki, pchajcie wózek. Pora wracać.

Opuściłam głowę i odsunęłam się na bok, by przepuścić Aleksandrę. Olga i Maria rzuciły mi pocieszające spojrzenia. „Nie zwracaj uwagi na mateczkę, już taka jest. Ale kocha cię tak jak my”, mówił ich wzrok. Na półokrągłym podjeździe przed pałacem szef strażników sprawdził obecność więźniów. Pozwolono mi towarzyszyć byłym władcom do skrzydła oddanego im do dyspozycji. Tam się z nimi pożegnałam. Kiedy tak stałam w wiktoriańskim buduarze cesarzowej, nagle krew uderzyła mi do głowy, serce zaczęło walić jak szalone, a ręce zrobiły się lodowate. Aleksandra siedziała w fotelu na kółkach, na kolanach trzymała kapelusz, skroń wsparła na dłoni. Nad nią wisiał dobrze mi znany portret Marii Antoniny i delfina. Obok niej stali mąż i syn.

Cztery wielkie księżniczki obstały mnie.

Przyjechałam, by dodać im otuchy, a tymczasem to one próbowały podnieść mnie na duchu. Nawet Anastazja energicznie potrząsała moimi dłońmi i z przejęciem kiwała głową. Pełne łez oczy Marii wydawały się bardziej niebieskie i jeszcze piękniejsze niż zwykle. Twarz Olgi przepełniała żywa



inteligencja, podczas gdy oblicze obejmującej mnie Tatiany Nikołajewny wyrażało siłę charakteru, wykształconą dzięki niedawnym przeżyciom. Aleksy odważnie zrobił krok do przodu, potrząsnął moją dłoń, a potem uwiesił mi się na szyi.

— Kocham cię, Taniu — szepnął.

— Ja ciebie też kocham. Bądź dzielny, opiekuj się swymi siostrami i matką.

Sztywna postawa Aleksandry pomogła mi powstrzymać łzy.

— Odprowadzę cię do drzwi, Taniu — powiedział car. Tym razem nie zdążył mnie powstrzymać przed niskim ukłonem.

— Och, Taniu, to niepotrzebne. Wiesz, że nigdy nie przywiązywałam wagi do tych rzeczy, a już szczególnie teraz nie ma to znaczenia. — Jego Wysokość ucałował mnie. — Uściskaj ode mnie swego ojca. Powiedz mu, że codziennie modlimy się za jego uwolnienie. Niech Bóg cię ma w swej opiece, moje dziecko — dokończył po rosyjsku i pobłogosławił mnie wolnowładczym gestem.

Rozległo się głośne pukanie do drzwi i wszedł dyżurny oficer, by odprowadzić pułkownika Romanowa do jego pokoju. Cesarzowi wolno się było widywać z rodziną tylko podczas posiłków i kiedy pracował w ogrodzie.

— Już idę — powiedział. — Proszę mi tylko pozwolić pożegnać się z żoną.

Rzuciłam dyżurnemu oficerowi pogardliwe spojrzenie i szybko ruszyłam korytarzem. Nie było mistrza ceremonii ze złotymi galonami, który towarzyszyłby mi przez znaną amfiladę sal recepcyjnych. Nie minął mnie żaden goniec w stroju z czasów cesarzowej Elżbiety, niosący wiadomość od Ich Cesarskich Mości do jakiegoś wysokiego urzędnika dworskiego. Przemineły czasy złotych galonów, przepychu i dworskiego ceremoniału, okazałych tiar i sztywnych brokatów. Tłum, który zaledwie trzy lata temu klęczał przed swymi władcami na Placu Pałacowym, teraz stał przed bramą i wyśmiewał się z nich.

Jak to możliwe, by w ciągu trzech krótkich lat zaszła aż taka zmiana? Czy wystawność i dworski ceremoniał utraciły czarowną moc w tym nieludzkim wieku, którego narodzin w bólach nowoczesnej wojny byłam świadkiem? Czy rosyjski lud wyrósł z wiary w monarchię, jak dzieci wyrastają z bajek, jak to kiedyś powiedział profesor Holweg? Czy też władcy Rosji sami doprowadzili do swojej zguby?

Bez względu na to, co spowodowało upadek Mikołaja i Aleksandry i ile było ich winy, teraz, nieszczęśliwi i poniżani osiągnęli swą wielkość. I za to w przyszłości będzie czczył ich świat, tak jak odmawiał im uznania wtedy, kiedy byli władcami.

Kiedy wyszłam, Fiodor wciąż trzymał ciekawskich z dala od bramy. Nie oglądając się na ciżbę znów zbierającą się przed ogrodzeniem, ruszyłam szybkim krokiem w stronę stacji. Chłodne, przedwieczne powietrze studziło mi rozpalone policzki.

Widocznie zameldowano komu trzeba o moim zachowaniu w Carskim Siole, bo po tej wizycie u cesarskiej rodziny nigdy już nie dano mi zgody na wstęp do Pałacu Aleksandrowskiego. Listy wysyłane do mej imienniczki pozostawały bez odpowiedzi. Rada piotrogrodzka odmówiła carowi i jego rodzinie zgody na wyjazd do Anglii. Rząd brytyjski był szczerze zmartwiony, lecz nie interweniował w tej sprawie.

Po wizycie w Pałacu Aleksandrowskim strasznie zaczął mnie irytować prowadzony przez nas "więzienny" tryb życia, do którego starsi członkowie rodziny Siłomirskich przystosowali się ze zdumiewającą łatwością.

Do czasu przesłuchania przez Nadzwyczajną Komisję Śledczą, badającą działalność ministrów i ważniejszych osobistości byłego rządu carskiego, ojciec pozostawał w areszcie domowym.

Grandmaman nie opuszczała domu. Zarekwirowano nam wszystkie samochody i powozy, a babka oświadczyła, że w jej wieku nie zamierza chodzić piechotą. Wkrótce przekonałam się, że znacznie lepiej potrafiła dotrzymywać ojcu towarzystwa niż ja. Nie umiałam śmiać się z ich dowcipnych anegdotek i historyjek na temat minionej epoki. Wciąż czekałam na spełnienie mojej pierwszej miłości i nie rozumiałam, że dla ojca i Grandmaman smak życia tkwił nie w jego pasjach, lecz w subtelnościach. Po raz pierwszy miałam wrażenie, że się oddalam od ojca. Zważyłam także w sens rozłąki ze Stefanem.

Spragniona towarzystwa, przypomniałam sobie o profesorze Holwegu. Ojciec poparł mój zamiar odnowienia kontaktów z byłym nauczycielem. Przekazałam mu wiadomość przez Fiodora i już następnego dnia spotkaliśmy się w Ogrodzie Sołowiewskim na Wyspie Wasiliewskiej, w pobliżu jego mieszkania.

Ubrany był starannie i elegancko. Wręczył mi bukiet wiosennych kwiatów.

— W dawnych czasach, kiedy *osobniak* Siłomirskich tonął w kwiatach, nawet by ich pani nie zauważyła — powiedział po francusku. — Pomyślałem jednak, że w obecnych warunkach mogą pani sprawić przyjemność.

— Bardzo panu dziękuję! — Powąchałam pachnący bukiet i kiedy już usiedliśmy na ławce nad wodą, z wdzięcznością spojrzałam na profesora. Jego czarna bródka była staranniejszą niż zwykle przystrzyżona, a mankiety u koszuli śnieżnobiałe. Zachowywał się z taką wyszukaną galanterią, że bardziej przypominał polskiego niż rosyjskiego uczonego. Stanowił miły kontrast z panującym wokół zaniedbaniem.

— Co słyhać u pańskiej matki, profesorze? Wciąż mieszka w Warszawie?

Matka miała się nieźle w Warszawie, jemu wiodło się zupełnie znośnie na uniwersytecie.

— A pani ojciec? Jak książkę znosi areszt domowy?

— Mówiąc szczerze, nadzwyczaj dobrze. Pisze wspomnienia. Maluje. Spodziewa się wkrótce uwolnienia.

— Również mam taką nadzieję! A teraz proszę mi powiedzieć o sobie — poprosił profesor. — Co się wydarzyło w pani życiu od naszego spotkania w operze — cóż to był za niezapomniany wieczór! Wybierała się pani z powrotem do Mińska. Czy właśnie tam zaskoczyła panią rewolucja?

— Nie, byliśmy w kwaterze ojca, w Równem. — Opowiedziałam mu wszystko ze szczegółami... no, prawie wszystko, ponieważ nie wspomniałam ani słowem o Stefanie. Nagle zrozumiałam bowiem, że Aleksander Holweg mnie kocha, że kochał mnie już wtedy, gdy byłam jego uczennicą. Nie zamierzałam w nim wzbudzać złudnej nadziei, ale bałam się go zniechęcić i stracić na zawsze. Bez względu na to, co dla mnie znaczył, z chwilą gdy go znów ujrzałam, zrozumiałam, że jest dla mnie kimś ważnym i droгим.

— Właściwie nic teraz nie robię — zakończyłam swą opowieść. Granic na pianinie i pozowanie ojcu do portretów nie wypełnia mi całego wolnego czasu. A jednak nie mogłabym się podjąć pracy pielęgniarstwa, nawet gdyby ktoś odważył się mnie zatrudnić.

— Czy kontynuuje pani studia medyczne na własną rękę?

— Nie. Zbyt niepewna wydaje mi się przyszłość.

— Wprost przeciwnie, właśnie teraz świat stoi przed panią otworem. Nie ma żadnych przeszkód, by nie mogła pani zostać lekarzem. Ta bierność, Tatiano Pietrowno, zupełnie do pani nie pasuje. Czy potrzebne są pani podręczniki?

— Biblioteka medyczna naszego byłego szpitala pozostała nietknięta. — Poczulałam przypływ energii życiowej.

— Wspaniale! Może pani zacząć od czytania pozycji z zakresu fizjologii i farmakologii. A ja jestem do pani dyspozycji zawsze, gdy będzie pani miała ochotę iść do teatru, na koncert czy po prostu na spacer. W dzisiejszych czasach ulice są miejscem, gdzie rozgrywają się pouczające widowiska.

— Mogę zająć bardzo dużo pańskiego czasu. — ostrzegłam go.

— Nigdy nie zajmie mi pani zbyt dużo czasu, Tatiano Pietrowno.

— Mój kochany profesor Holweg! — powiedziałam, choć jego ostatnie słowa wcale nie zostały wypowiedziane profesorskim tonem.

— Proszę nie nazywać mnie profesorem. Czuję się wtedy starszy od pani nie o czternaście, ale o czterdzieści lat.

— W takim razie, jeśli można, będę się zwracała do pana po imieniu. Aleksy Aleksiejewicz brzmi zbyt nieporęcznie. — I zbyt rosyjsko, pomyślałam. Aleksander Holweg nie był Rosjaninem ani Polakiem, ani Żydem czy Niemcem. Był obywatelem świata, obywatelem nowego świata, o którym kiedyś marzyłam, a który w rzeczywistości okazał się zupełnie inny!

— Nie tylko niczym się nie zajmuję, ale jeszcze jestem zupełnie zdezorientowana — powiedziałam. — Aprobuję większość postulatów, głoszonych przez radę piotrogrodzką: pokój bez aneksji i odszkodowań, prawa narodów do samostanowienia, zniesienie ustaw antyżydowskich, przyznanie chłopom ziemi, równouprawnienie kobiet. Wszystko to wy-

daje się sprawiedliwe i potrzebne. W takim razie czemu rezultaty są takie straszne?

— Nie są jeszcze takie straszne. Mogą być znacznie gorsze. Załamanie się władzy w kraju wielkości Rosji musi pociągnąć za sobą zamęt. I jeśli ten zamęt zostanie wykorzystany przez grupkę fanatycznych ideologów, to nie będzie nadziei na stworzenie wolnego społeczeństwa.

— Coraz więcej się słyszy o Leninie i bolszewikach. Czy myśli pan, Aleksandrze, że mogą dojść do władzy?

— Głoszą proste i nośne hasła polityczne: "Ziemia, pokój i chleb". Odpowiadają one podstawowym pragnieniom mas. Mają prosty, skuteczny, przemawiający do ludu plan działania — akcję bezpośrednią. Mają zdolnego i skutecznego przywódcę, jakiego brakuje rządowi tymczasowemu. W rządzie zasiadają wspaniali liberałowie, ale dopóki będą kontynuowali niepopularną wojnę, dopóty ich pozycja będzie słaba.

— A co myśli pan, Aleksandrze, o Kiereńskim? Czy nie jest skuteczny?

— spytałam nieco ironicznie. Kiereński był nadgorliwym pomocnikiem rady piotrogrodzkiej w prześladowaniu cara.

— Bardzo dobrze potrafi stwarzać wrażenie takiej osoby. Nie wątpię, że wierzy w swoje możliwości uratowania kraju "z honorem". Ale bolszewicy są większymi realistami.

— Tak. — "Trzeba być realistą" to był ulubiony zwrot towarzysza Biedłowa. Na wspomnienie tego człowieka wstrząsnął mną dreszcz.

— Zimno pani, Tatiano Pietrowno. Odprowadzę panią do domu. Podczas drogi rozprawialiśmy o tym nowym, wolnym społeczeństwie, o którym oboje marzyliśmy.

— Przede wszystkim niezbędne jest powszechne nauczanie, by wyeliminować przesady i uprzedzenia, by ludzie kierowali się w życiu wiedzą i doświadczeniem, a nie tradycją i dogmatami, by w każdym dziecku rozbudzić ducha sceptycyzmu i naukową dociekliwość.

Uśmiechnęłam się, słysząc te naukowe wywody. Dotarliśmy do Quai Anglais, gdzie na nabrzeżu, obok zacumowanych łodzi, grupka marynarzy prowadziła dyskusję na tematy polityczne.

— No cóż, rzeczywiście nadeszły czasy powszechnej dociekliwości — stwierdziłam.

Aleksander Holweg uważał to za pozytywny objaw.

— To również wspaniały pretekst do próżnowania. — Zorientowałam się, że powtarzam słowa Grandmaman. — Moja babka zawsze uważała, że lud rosyjski jest najbardziej leniwy i niezdyscyplinowany. Mówi również, że jest zdolny do wyjątkowego okrucieństwa. Kiedyś sądziłam, podobnie jak Tołstoj, że wszyscy ludzie są dobrzy i bogobojni. Teraz już sama nie wiem, co myśleć.

— Nie na darmo nazywa się go ciemnym ludem — powiedział Holweg.

— Czy to rozmyślnie, czy też przez niedbalstwo lud rosyjski utrzymywany był w ciemnocie. Dziś oglądamy tego rezultaty.

— Tak. — Spojrzałam na ozdobioną kolumnami fasadę mego domu. — I ci, którzy utrzymywali go w ciemnocie czy to rozmyślnie, czy też przez niedbalstwo, za wszystko teraz odpowiedzą.

— To uproszczenie, Tatiano Pietrowno. Wczorajsza klasa rządząca nie była bardziej jednorodna niż dzisiejszy proletariat. Pani jako jednostka nie odpowiada za stan Rosji.— Ujął moją dłoń; jego czarne oczy błyszczały zza okularów.

— Dziękuję panu, Aleksandrze. — Jak dobrze mnie znał! Lepiej niż tata, o wiele lepiej niż Stefek! Sprawilo mi to ulgę. I było źródłem jakiejś nowej emocji.

Umówiliśmy się na następny dzień.

Zarówno ojciec, jak i Grandmaman cieszyli się, że odnowiłam znajomość z profesorem Holwegiem. Grandmaman ze śmiechem wspomniała historię ze szkieletem.

— Jakimi drobiazgami się kiedyś człowiek przejmował! — zauważyła. Ojciec zachęcał mnie do czytania książek lekarskich. Byłam zdumiona i wzruszona, że zaakceptował moje mło-

dzieńcze ambicje. Nie zdawałam sobie sprawy, że Grandmaman, zbyt mądra, by otwarcie wystąpić przeciw polskiemu kuzynowi-katolikowi, z powodzeniem wykorzystwała przesadne obawy ojca o moje przyszłe macierzyństwo i nie uświadamianą przez niego zazdrość o mnie. Uważał, że ponowne rozbudzenie mych zainteresowań karierą medyczną będzie najlepszym antidotum na zauroczenie Stefanem.

Nazajutrz, podobnie jak w ciągu kolejnych dni, doświadczałam niezwykłych dla siebie doznań związanych z chodzeniem po mieście na piechotę. W towarzystwie Fiodora i Aleksandra Holwega spacerowałam nie tylko wzdłuż bulwarów, ale również zapuszczałam się w zatłoczone ulice. Atmosfera na bulwarach była raczej gorąca niż odświeżona. Natykaliśmy się na nie kończące się pochody robotników, studentek, weteranów i inwalidów wojennych, przedstawiciele mniejszości narodowych i partii politycznych rozmaitych odcieni. Na transparentach powtarzał się slogan: "Cała władza w ręce Rad". Jeszcze częściej przewijało się hasło: "Precz z wojną". Na każdym rogu ulicy spotkać można było mówcę stojącego na ławce lub skrzyni, wokół którego gromadzili się uważni słuchacze — młodzi rekruci, marynarze, robotnicy, urzędniczki i sprzedawcy. Większość mówców odznaczała się wrodzonym talentem krasomówczym i skupiała na sobie uwagę zebranych. Spostrzegłam, że zebrani z jednakowym zainteresowaniem słuchali mówców reprezentujących krańcowo odmienne poglądy. Trudno było zgadnąć, co myślą, o ile w ogóle cokolwiek myśleli.

Pewnego popołudnia na Gorochowej moją uwagę zwrócił zjadliwy mówca w czarnej, skórzanej kurtce. Przystanąłam z Aleksandrem, by go posłuchać.

— Czy rząd tymczasowy da wam ziemię? — wykrzykiwał mówca, sądząc po wyglądzie i akcencie, Gruzin. — Nie, bo rząd tymczasowy to rząd ziemian i burżuazyjnych kapitalistów. Czy rząd tymczasowy położy kres imperialistycznej wojnie? Nie, bo dzięki wojnom fabrykanci się bogacą. Rząd tymczasowy nie zawrze pokoju. Rząd tymczasowy nie da



wam ziemi. Tylko Rady dadzą wam ziemię i pokój. Lenin da wam ziemię i pokój. Cała władza w ręce Rad! Niech żyje Lenin!

Zauważyłam, że reakcja słuchających była umiarkowanie entuzjastyczna.

Słowa "ziemia i pokój" rozumiał każdy, ale cóż znaczyło to całe gadanie na temat "kapitalistów, imperialistów i burżuazji" i kim był ów Lenin?

Mówca widocznie zorientował się, że zgromadzeni mają jakieś wątpliwości, bo rozpoczął długą tyradę skierowaną przeciwko wojnie.

Potem, wskazując na mnie, krzyknął:

— Tam stoi siostra miłosierdzia. Może wam opowiedzieć o wojnie. Czy byłaś na froncie, siostrzyczko?

— Tak, byłam na froncie — przyznałam i dodałam bez zastanowienia: — A wy?

Wywołało to konsternację u mówcy i zainteresowanie wśród słuchaczy.

— Tak, gdzie wy byliście przez te wszystkie lata? — zapytał jakiś żołnierz o kulach.

— Działiałem w szeregach prześladowanych rewolucjonistów, przygotowujących przyszłe zwycięstwo proletariatu — rzucił mówca, śmiesznie poruszając czarnymi bokobrodami.

Jego słowa i bokobrody wywołały drwiny w tłumie.

— Posłuchajcie tylko, jak się przechwala! Spójrzcie na te jego baczki!

Pewno je sobie farbuję. — A kiedy mówca podniósł głos, rozległo się: —

Wystarczy, bracie, nie nudź już dłużej! Zejdź. Daj siostrze miłosierdzia szansę powiedzenia tego, co chciałaby powiedzieć.

Mówcę ściągnięto ze skrzyni, a na jego miejsce postawiono mnie.

Ujrzałam wokół siebie otwarte, przyjazne twarze

i powiedziałam prostym językiem:

— Przyjaciele, jestem zwykłą rosyjską dziewczyną, która nic zna takich mądrych słów, jakich nauczył się od Niemców dżentelmen z czarnymi bakami. — Rozległ się śmiech. — Powiem więc krótko. Nic znam pana

Lenina i nic mogę wam powiedzieć, jakim jest człowiekiem. Ale

słyszałam, że

przyjechał do nas w zaplombowanym pociągu, który Niemcy przepuścili przez swoje terytorium, bo było im na rękę, by pan Lenin dotarł do Piotrogradu. A według mnie to, co jest dobre dla Niemców, nigdy nie może być dobre dla Rosjan. To wszystko, co mam do powiedzenia. Już chciałam zeskoczyć, gdy nagle Gruzin, który przez czas rozprawiał o czymś ze swym towarzyszem, stanął przede mną, rozkładając szeroko ręce, i krzyknął:

— Ładni z was wolni obywatele, jeśli krytykujecie jednego ze swych towarzyszy-rewolucjonistów i zamiast niego słuchacie najbliższej przyjaciółki córek byłego cara, Krwawego Mikołaja!

— Tak, to ona, Jaśnie Wielmożna księżniczka Siłomirska. Widziałem jej zdjęcie. Rozpoznaję ją teraz. Jej ojca aresztowano — rozległy się głosy. Zwrócone do mnie twarze nie były już przyjazne, lecz wrogie. Przypomniałam sobie scenę na dworcu Nikołajewskim w dniu naszego przyjazdu i zakręciło mi się w głowie.

Aleksander dawał mi znaki, bym nic nie mówiła. Ale opanowałam strach i powiedziałam tym samym, pewnym siebie głosem:

— Jeśli to jest zebranie wolnych obywateli, to sądzę, że ja też mam prawo powiedzieć, co myślę. Z przyjemnością jednak ustąpię miejsca obywatelowi z czarnymi bakami, jeśli ktokolwiek chce go jeszcze słuchać. — I rozejrzałam się za skrawkiem wolnego miejsca, by zeskoczyć.

Moje odważne słowa wywołały rozłam wśród słuchaczy. Część zgromadzonych dalej wznosiła groźne okrzyki, podczas gdy inni mówili:

— Och, dajcie jej spokój. Jest jedną z nas. Mówi tak, jak my.

Pielęgnowała naszych żołnierzy na froncie. Nie zrobiła nam nic złego. W tym momencie przed Gruzinem, który zagradzał mi drogę, wyrósł Fiodor, chwycił go za klapy skórzanej kurtki i odepchnął. Następnie oświadczył:

— Jeśli ktokolwiek tknie księżniczkę choć palcem, rozkwaszę mu gębę.

Groźba odniosła natychmiastowy skutek. Jednocześnie Aleksander wymachując laską, utorował sobie drogę przez tłum, rozstępujący się na widok jego furii.

— Zostawcie tę dziewczynę w spokoju! Jestem profesorem, wykładam na Uniwersytecie Piotrogrodzkim, jestem członkiem Akademii Nauk. Nie pozwolę, by dokuczano moim studentom! — Podał mi rękę i zeskoczyłam na ziemię. Potem zatrzymał konną dorożkę, do której wszyscy pospiesznie wsiedliśmy.

Siedziałam bez sił, z zamkniętymi oczami, z wdzięcznością poddając się kołysaniu dorożki na kocich łbach i lekkiemu, majowemu wietrzykowi na mej twarzy. Jak dobrze jest żyć! — pomyślałam i uśmiechnęłam się do swego towarzysza. Jak dzielnie się spisał!

— Dziękuję panu, Aleksandrze, za interwencję! Nastąpiła w samą porę.

— Nie musi mi pani dziękować, Tatiano Pietrowno. Ale ufam, że w przyszłości okaże się pani bardziej rozsądna. Chcąc przetrwać w obecnych trudnych czasach, trzeba umieć zachować anonimowość.

— Dla nikogo z nas nie będzie to łatwe — powiedziałam. Uśmiechnął się, po czym stwierdził:

— Uważam, że lepiej będzie, jeśli przez jakiś czas będziemy unikali śródmieścia. Od tej pory będę panią odwoził dorożką.

— To zbędny wydatek. Jeśli nie obawia się pan narazić na jakieś nieprzyjemności ze strony nowych władz, czemu nie zacznie nas pan odwiedzać w domu? Ojciec i Grandmaman z największą radością znów się z panem zobaczą.

— Nie obawiam się... (Nie obawiam się niczego, jeśli w grę wchodzi pani osoba, powiedziały jego oczy) — ale jeśli mam się pani na coś przydać, gdyby sprawy przybrały zły obrót, lepiej będzie, by nikt mnie nie kojarzył z pani rodziną. Już i tak w pewnych kręgach uchodzę za podejrzanego, bo byłem nauczycielem członków cesarskiej rodziny. Chciałbym zachować pozycję niezależnego naukowca, choć mówiąc szczerze, wydaje się to mało prawdopodobne...

— Uważam, że to rozsądne z pana strony. — Udawałam, że nie dostrzegam jego zmieszania. Rozbawiło mnie ono i rozczuliło. Połechtало również moją próżność. Odczuwałam pewnego rodzaju lęk przed jego naukowym geniuszem.

Aleksander Holweg, pionier w dziedzinie radioaktywności, był moim człowiekiem, pomyślałam, gdy mnie wysadził przed domem. Jako kobieta i arystokratka nie odczuwałam skrupułów, że go wykorzystuję. Ale jako chrześcijanka, modląc się tego wieczoru i spowiadając następnego ranka, poprosiłam Boga o wybaczenie mej dwulicowości. Podobnie jak ukrywałam przed profesorem Holwegiem charakter stosunków, łączących mnie ze Stefką, tak samo w liście do mego kuzyna zamaskowałam ironicznym tonem moje rosnące przywiązanie do Aleksandra. W dwa tygodnie po naszym pierwszym spotkaniu pisałam do Francji:

„Każdego popołudnia przechadzam się z profesorem Holwegiem i z wiernym Fiodorem. Po przykrej przygodzie z gruzińskim mówcą na Gorochowej ograniczamy się do Quai Anglais. Wczoraj wieczorem przeżyłam kolejną przygodę z obywatelami-żołnierzami, elitą epoki republiki. Profesor zaprosił mnie na balet. Papa uważał, że będzie to przyjemna odmiana. Najdroższy tatuś, zawsze myśli, jakby mnie rozerwać, bym nie była taka przygnębiona, a ja ze swej strony staram się, jak mogę, nie okazywać, jak ciężko przeżywam rozłąkę z tobą — sam nawet nie wiesz jak ciężko!

Byłam w wyjątkowo lekkomyślnym nastroju i postanowiłam z okazji wyprawy do teatru wystroić się jak za dawnych czasów. Pomagały mi niania i Dunia. Byłyśmy rozochocone niby wiejskie dziewczuchy. Włożyłam suknię z czarnej tafty, z bufiastą spódnicą, naszyjnik ze szmaragdów i kolczyki stanowiące niegdyś własność matki, najmniejsze pantofelki z czarnego atłasu, w które zdołałam wcisnąć swe ogromne stopy, długie, białe rękawiczki i czarny, aksamitny płaszcz, podbity gronostajami. Wyobraziłam sobie, że udaję się z tobą do Opery Paryskiej i widziałam wszystko w najdrobniejszych szczegółach.

Z głową wypełnioną tymi fantazjami minęłam naszych gamoniowatych strażników, za mną kroczył Fiodor w fioletowym płaszczu, przepasany białą, jedwabną szarfą, w czapce z astrachanu. Zeszłam po zabłoconych paradnych schodach do przedsionka, gdzie czekał już na mnie profesor. Sprawiał wrażenie kompletnie zaskoczonego moim wyglądem.

Przeprosił, że włożył tylko ciemny garnitur.

— Wizyta w teatrze to już nie to co dawniej — powiedział. — Lepiej będzie, jeśli się pani przebierze.

Powiedziałam, że szkoda zachodu i dodałam złośliwie:

— Jeśli boi się pan iść ze mną, to możemy zostać w domu.

— Zbyt dużo czasu i pieniędzy kosztowało mnie załatwienie taksówki — odrzekł. (Rady żołnierskie zarekwirowały niemal wszystkie samochody).

— Chodźmy.

Profesor miał rację! Teatr Maryjski zmienił się nie do poznania. Fiodor został obok taksówki, by bronić jej przed innymi amatorami — kochany profesor wynajął ją na cały wieczór. Szatniarz w zniszczonej, szarej marynarce, wskazał nam nasze miejsca na parterze. Podłoga zasłana była niedopałkami papierosów i papierami. Orły znad łóż cesarskich zostały usunięte. W łóżach siedzieli rozwaleni marynarze i żołnierze, jak zwykle w czapkach na bakier, żując pestki słonecznika i paląc tanie papierosy. Nie wyobrażasz sobie, jaki przeżyłam wstrząs. Wciąż jeszcze pamiętam, jak wyglądał Teatr Maryjski w 1913 roku podczas obchodów trzechsetlecia: niebieskie aksamitne draperie, żółte tarcze herbowe, cały parter pełen dworskich urzędników w szkarłatnych surdutach i białych spodniach ze skóry łosia. Pamiętam także gwardzistów w galowych mundurach, którzy jak na komendę powstali w momencie ukazania się naszych władców! Przypomniałam sobie — a serce mi się ścisnęło na to wspomnienie, bo nie mam żadnego kontaktu z Tatianą Nikołajewną — moją przechadzkę ze swą imienniczką między szpalerem kawalerów gwardii. Uważałam wtedy całą tę galę i ceremoniał za głupi i niepotrzebny, ale teraz, z perspektywy czasu, widzę, jakie to wszystko było wspaniale i majestatyczne!

Balet był cudowny, pięknie wykonany. Pomyślałam, że od tej pory piękno i elegancja będą istniały w Rosji tylko na scenie, w świecie wyimaginowanym, podczas gdy życie codzienne staje się coraz bardziej szare i ponure. Moja elegancja wyraźnie nie pasowała do tego miejsca. Ścigały mnie spojrzenia pełne oburzenia i pod koniec pierwszego aktu „Jeziora łabędziego” poprosiłam profesora, by odwiózł mnie do domu. W foyer drogę zagrodziło nam kilku żołnierzy uzbrojonych w karabiny, z którymi się nigdy nie rozstają jak chłopcy, bawiący się w piratów. Zaczęli obrzucać mnie obelgami i znieważać „moją wstrętną cesarską przyjaciółkę” — Tatianę Nikołajewnę. Profesor gwałtownie zaprotestował, ale na nic się to nie zdało. Jak myślisz, kto mnie wybawił z tej opresji? Sześciu polskich oficerów. Polskie oddziały utworzone po rewolucji należą do nielicznych, w których jeszcze panuje dyscyplina. Moi wybawcy zrzucili żołnierzy ze schodów i odeskortowali mnie do samej taksówki. Podziękowałam im w imieniu rodziny Zasławskich, a oni ucałowali moją dłoń tak, jak tylko Polacy potrafią to robić. Z chęcią wszystkich ich bym uściskała. Podczas drogi do domu profesor Holweg znów przypomniał mi o potrzebie zachowania anonimowości w nowej Rosji.

Nie dziwię się, że zdenerwowała go moja lekkomyślność i ekstrawagancja. Nasz *soire manque* kosztował go majątek! Jest taki kochany, absolutnie oddany, a jednak nie mogę się powstrzymać, by sobie z niego trochę nie pożartować. Jednakże ogromnie szanuję jego inteligencję i osiągnięcia naukowe. Poza tym jest prawdziwym wybawieniem w tych nudnych i posepnych dniach, kiedy nie ma ciebie, mój najdroższy.

Papa i Grandmaman zdziwili się, widząc mnie tak wcześnie z powrotem w domu. Opowiedziałam im, jak wybawili mnie Polacy i zrobiłam uwagę na temat różnicy charakterów Polaków i Rosjan.

— Czemu Polacy w momentach zagrożenia potrafią zdobyć się na wszystko co najlepsze, podczas gdy Rosjanie w takich chwilach się załamują? - spytałam.

Bałam się, że Grandmaman źle to przyjmie — wiesz, jaka z mej patriotka — ale zgodziła się ze mną.

— Tak, to rysa na rosyjskim charakterze. Można ją dostrzec u przedstawicieli wszystkich warstw społecznych. To jakaś dziwna słabość, brak charakteru, lojalności. Ludzie są podejrzliwi, brakuje im wiary, czują pokorę, a nie respekt dla władzy, a nade wszystko rządzi nimi chciwość. Staje się to widoczne szczególnie wtedy, gdy brak jest silnego przywódcy.

Profesor Holweg mówi, że bolszewicy doskonale wykorzystują tę powszechną chciwość. Obawia się, że mogą zwyciężyć. Nigdy jeszcze się nie mylił, ale perspektywa ta jest zbyt okropna, by się z nią pogodzić. Wszystko jest takie niezgłębione, tak pogmatwane, że nie potrafię tego ogarnąć umysłem! Podobnie jak tata i jego przyjaciele żyją z dnia na dzień, myśląc jedynie o codziennych obowiązkach i w każdej minucie, w każdej sekundzie pamiętając o tobie, mój kochany Stefku, o mym bracie i panu".

Po fiasku naszego wspólnego wieczoru w teatrze byłam niemal pewna, że Aleksander odrzuci mój kolejny pomysł wyjazdu w jego towarzystwie do Carskiego Sioła, bez uzyskania oficjalnej zgody, i prośbę przerwania przez pałacową bramę listu do mych przyjaciół. Wyrażona przez niego zgoda była kolejnym dowodem — jeśli były jeszcze jakieś potrzebne — jego niewolniczego przywiązania do mnie.

Tym razem było mniej ciekawskich gapiów niż poprzednio, ale poza tym nic się nie zmieniło: car i dwie młodsze córki pracowali w ogrodzie, Aleksandra w fotelu na kółkach robiła na drutach, Olgi i Tatiany Nikołajewny oraz Aleksego nie było widać. Znów poczułam, że serce mi wali jak młotem, a twarz płonie. Maria i Anastazja gracały i grały grządki odwrócone do mnie tyłem. Kiedy czekałam na okazję, by zwrócić na siebie ich uwagę, car się wyprostował, wspierając się na łopacie, i zauważył mnie. Zmarszczył brwi i szybko pokręcił głową. "Taniu, nie próbuj się z nami

komunikować" — mówiły wyraźnie jego gesty. Był to rozkaz, więc odwróciłam się, ściskając w spoczonej dłoni kłębuszek wełny, w którą owinęłam swój list. Czemu wszystkie moje próby kończą się niepowodzeniem? Moja nieustraszona natura buntowała się przeciw takiej pasywności. Ja również stałam się ofiarą rewolucji.

— Mam nadzieję, że to ostatnia pani eskapada — powiedział poważnie Aleksander, kiedy wsiedliśmy do podmiejskiego pociągu zmierzającego w stronę Piotrogradu. Z trudem powstrzymywałam łzy. Kiedy dotarliśmy do domu, nieco zmiękł.

— Cóż, przynajmniej wiedzą, że pani próbowała. Ale teraz musi pani przeciąć ostatnie więzy łączące ją z wielką księżniczką, pani imienniczką. Może od tego zależeć nie tylko pani życie, Tatiano Pietrowno, ale również życie pani ojca.

Jak mogłam przeciąć wszystkie więzy z moim drugim ja? Jednak wiedziałam, że ze względu na ojca muszę to uczynić. Mój były władca sam mi rozkazał tak postąpić.

Podczas gdy nasza rodzina oczekiwała na wezwania ojca przed trybunał, który powinien go uwolnić, reszta narodu poddała się rewolucyjnej fali. Rząd tymczasowy próbował utrzymać honorowy kurs. Przywrócono karę śmierci za dezercję z pola bitwy. Aleksander Kiereński, obecnie minister wojny i sprawiedliwości, jeździł wzdłuż frontu, by rozniecić nowy zapal wśród żołnierzy, ale jego płomienne przemówienia, które elektryzowały słuchaczy w Piotrogradzie, nie docierały do żołnierzy-chłopów.

Chcąc wskrzesić wśród żołnierzy patriotycznego ducha, utworzono bataliony śmierci i batalion kawalerów krzyża św. Jerzego, a żeby ich zawstydzić, powołano batalion żeński. Niestety, ludzie ani nie otrząsnęli się z odrętwienia, ani nie czuli wstydu.

Ofensywa, którą zarządził Kiereński na froncie południowo-zachodnim, skończyła się w lipcu odwrotem. Milukow i inni ministrowie kadeccy podali się do dymisji,



a bolszewicy wykorzystali kryzys gabinetowy do przeprowadzenia zamachu stanu. Znow na ulicach doszło do strzelaniny. Ale Kozacy, którzy nie chcieli stanąć w obronie swego cesarza, zaatakowali powstańców i uratowali rząd tymczasowy. Jednak ku rozczarowaniu Kozaków, przywódcy zamachu — messieurs Lenin, Trocki i reszta — nie zostali osadzeni w twierdzy, tylko dzięki wspaniałomyślności pana Kiereńskiego pozwolono im uciec.

Na znak protestu książę Lwów wraz z całym gabinetem podał się do dymisji. Kiedy się żegnał z Grandmaman, był człowiekiem znacznie szczuplejszym, starszym, zawiedzionym i przygnębionym. Ten wyjątkowo mądry i zdolny administrator, który dokonał cudów jako przewodniczący Związku Ziemstw — demokratycznego ciała, w którego skład wchodziłi ludzie dobrej woli — okazał się bezsilny w obliczu powszechnej hysterii.

Aleksander Kiereński został premierem rządu tymczasowego.

Nowy przewodniczący rządu, równie bezsilny co ideowy, bardzo poważnie traktował swoją rolę zbawcy ojczyzny i próbował dzielnie zadowolić wszystkich: honorować rosyjski sojusz z aliantami, tłumić powstania, unikając rozlewu krwi, być bohaterem dla chłopów i robotników, a zarazem rzecznikiem interesów przemysłowców i ziemian. Tymczasem Rosja się rozpadała. Ukraińcy, Gruzini, Kozacy kubańscy i dońscy, ludy syberyjskie i mongolskie — wszyscy domagali się autonomii. Front się załamał, przemysł się załamał, administracja przestała istnieć. Zalew papierowych rubli, popularnie zwanych kierenkami, potęgował inflację. Rząd, który okazał się tak bezsilny wobec postępującej anarchii, tym bardziej skwapliwie sądził swych poprzedników.

Pod koniec lipca wezwano ojca, by złożył zeznania przed Nadzwyczajną Komisją Śledczą mieszczącą się w Pałacu Zimowym. Byłego ministra wojny Suchomlinowa skazano na śmierć. Jeśli chodzi o Anię Wyrubową, stwierdzono, że

jest zbyt głupia, by mogła być zdolna do jakichś intryg i wypuszczono ją na wolność. Gotowość świadków do zrzucania całej winy na nieszczęsnego cara wywołała obrzydzenie u ojca. Jego niechęć do odpowiadania na bardzo osobiste lub podchwytliwe pytania, dotyczące towarzysza zabaw z lat dzieciństwa, przyjaciela i władcy, Mikołaja II, nie pomagała ojca obrońcom.

Rada pietrogradzka znów zażądała, by osadzono go w twierdzy. Przez wzgląd na Grandmaman i dzięki wstawiennictwu ambasady francuskiej, naciskanej przez wpływowych Zasławskich we Francji, Kiereński utrzymał areszt domowy i pod opieką swej gwardii przybocznej odesłał ojca do domu.

Według informacji przekazanych przez krewnych członków cesarskiej świty trzymanej w Carskim Siole car wraz z rodziną miał być przewieziony gdzieś w głąb kraju. Znów zaczęłam błagać Grandmaman. — Czy możesz dowiedzieć się od pana Kiereńskiego, czemu chcą ich odesłać i dokąd? — prosiłam. — Zwariuję, jeśli nie będę tego wiedziała! — Byli władcy ze względu na ich bezpieczeństwo przewiezieni zostaną do Tobolska — zameldowała krótko Grandmaman kilka dni później. — Dzieciom pozwolono wyjechać do babki do Liwadii. Odmówiły. Odmówiły! Odrzuciły szansę ratunku — może ostatnią — żeby być razem z rodzicami. Przypomniałam sobie słowa mej imienniczki. "Póki możemy być razem, nie może być źle!" Nie mogły postąpić inaczej. Tobolsk! To gdzieś za Uralem, w zachodniej Syberii. Nikt tam do nich nie dotrze, nic mają szans na żadną pomoc!

— Borysie Andriejewiczu, jest pan taki mądry i pomysłowy — wzięłam generała na stronę. — Czy mógłby pan obmyślić plan oswobodzenia Ich Cesarskich Mości? Może na przykład zorganizować zasadzkę na pociąg? Z pewnością zna pan kilku oficerów, którzy podjęliby się takiego zadania. Porozmawiałabym z nimi.

— Tatiano Pietrowno — odparł Borys Majska — znam kilkadziesiąt ludzi, którzy bez wahania zaryzykowałiby własne życie, by uratować pani ojca. Być może będziemy potrzebowali ich pomocy. Ale nawet pani ojciec nie zdołałby ich namówić, by ryzykowali dla Mikołaja i Aleksandry, którzy — proszę mi wybaczyć, że mówię bez ogródek — sami wykopali sobie grób.

Zmiana rządu wywołała w nas głęboki wstrząs. Ukryliśmy złote monety i biżuterię, które do tej pory trzymane były na wierzchu. Niania wszyła trochę kosztowności w stanik i *sar cifem*. Na rewolwer zrobiłam sobie woreczek na ramiączkach, by móc w nim bezpiecznie ukryć broń na piersi, a na naboje miękki pasek. Nie rozstawałam się teraz z rewolwerem ani na chwilę. Grandmaman przekazała dużą kwotę pieniędzy na ręce Wiery Kiryłowny na Krym, gdzie mieliśmy nadzieję wkrótce wyruszyć. Jako wstęp do wyjazdu na południe opracowaliśmy plan ucieczki Borysa Majskiego.

Chcąc zgromadzić wystarczającą ilość pieniędzy, uprosiliśmy ojca, by zgodził się rozstać ze swoją kolekcją dzieł sztuki. Pod pozorem konieczności naprawy uszkodzonych płócien, wezwaliśmy pośrednika, który wywiózł całą furmankę rozmaitych prac. Pośrednikiem tym był pewien Żyd z Odessy, dla którego ojciec uzyskał pozwolenie zamieszkania wraz z liczną rodziną w stolicy. Chętnie się zgodził przechować pieniądze uzyskane z szybkiej, potajemnej sprzedaży prac za granicą i wypłacić je generałowi Majskiemu lub jego wysłannikom po wypowiedzeniu tajnego hasła, które osobiście wymyślił generał, wykazując przy tym wyjątkową pomysłowość.

Borys Andriejewicz Majski, na pozór surowy i powściągliwy, odznaczał się bardzo lotnym i subtelnym umysłem. Wyśmienity naśladowca, z ogromną łatwością potrafił przeistaczać się w różne postaci. Kiedy już znalazłby się na wolności, trudno by go było ponownie ująć. Ale jak mu umożliwić bezpieczną ucieczkę?

Zrządzeniem losu syn Zinajdy, Koleńka, adiutant, któremu udało się uniknąć frontu, ale nie długów karcianych, był akurat w Piotrogradzie i gorączkowo poszukiwał funduszy. Na wszelki wypadek przypiął sobie czerwoną rozetkę, a na ramieniu umieścił opaskę i tak wystrojony odwiedził swą zaślepioną miłością macierzyńską rodzicielkę. Za określoną sumę pieniędzy, jak również dla zabawy, zgodził się zamienić na mundury z Borysem Majskim.

Borys Majski, stawiając stopy na zewnątrz, z rękami w kieszeniach, pewnie opuścił dom i jeszcze przy wejściu odebrał pistolety Koleńki. Na wieczornym apelu, kiedy wywołano Majskiego, Koleńka, kryjąc twarz, powiedział zduszonym głosem "obecny". Następnie Fiodor i Siemion przenieśli go w drewnianej skrzyni do piwnicy, skąd poprowadziłam go podziemnym przejściem do bocznych drzwi, z których sama korzystałam, gdy dziesięć lat temu uciekałam z domu. Podczas gdy ja gawędziłam sobie ze stojącym przy wejściu strażnikiem, Koleńka wymknął się na zewnątrz.

Rano, jeszcze przed apelem, udałam się do strażników, by im zameldować o ucieczce generała Majskiego.

— Znajdziemy się wszyscy w tarapatach, jeśli nie wymyślimy jakiegoś przekonywającego wytłumaczenia.

— Muszę o tym zameldować — powiedział kapral. — Nie ma innego wyjścia.

— Na pewno cię zdegradują — zauważył jeden z żołnierzy.

— A nas skierują do mycia latryn.

— Powiedźcie, że go zastrzeliliście podczas próby ucieczki — zaproponowałam.

— A co z ciałem? - zapytał kapral. - "Gdzie w takim razie jest jego ciało, towarzysze?" — zapytają.

— Powiecie, że uciekał w stronę rzeki. Kiedy zaczęliście strzelać, wpadł do wody i Newa uniosła jego zwłoki do morza.

— To dobry pomysł. Ale czy nam uwierzą?

— A czemu mieliby nie uwierzyć?

Wymyślona przez nas relacja z wydarzeń została zaakceptowana, dokładnie wyuczona, przekazana przełożonym i najwidoczniej przez nich przyjęta.

Jednak wkrótce potem nasi nieuważni i przyjaźnie do nas nastawieni strażnicy zostali zastąpieni przez mniej sentymentalnych, bardziej zbolszewiczowanych. Ograniczyli spacery ojca na świeżym powietrzu i zabronili mu malować. Przez okrągłą dobę w jego pokoju pełnił wartę strażnik. Pilnowali go nawet wtedy, gdy szedł do toalety, wywołując u tego wrażliwego człowieka zażenowanie. Zabroniono mu jeść z nami posiłki i pozwolono nam się z nim widywać tylko podczas wieczornych apeli.

Czułość nowych strażników rozciągała się również na Grandmaman i na mnie. Przeszukiwali nasze pokoje o najdziwniejszych porach dnia i nocy, więc zaczęliśmy sypiać w ubraniu. Zabronili nam opuszczać dom. Służących przeszukiwali za każdym razem, kiedy wychodzili na miasto po zakupy i kiedy wracali. Sprawdzali, czy przypadkiem nie przenoszą ukrytych gdzieś wiadomości.

Udało mi się wysłać liścik do Aleksandra przez kuriera z ambasady francuskiej, który przyszedł chroniony immunitetem dyplomatycznym, by przynieść mi list od Stefana i zabrać korespondencję przeznaczoną dla niego. Profesorowi Holwegowi zabroniono nas odwiedzać.

Zarządca rodzinnych majątków został również powitany bagnetami, ale nie ustąpił. Jeśli strażnicy chcą jeść na koszt swych więźniów, to niech pozwolą mu przekazywać niezbędne na utrzymanie domu środki!

Zarządca przyniósł alarmujące wieści. Dyrektorzy fabryk w obliczu absurdalnych żądań robotników rezygnowali jeden po drugim. Nadzorcy majątków meldowali o grabieżach i zaborach ziemi przez chłopów.

- Daj im ziemię - powiedziała Grandmaman. - Niech się nią cieszą, póki jeszcze mogą, zanim znów im ją odbiorą. Picrrc, zgadzasz się ze mną?

Ojcu pozwolono uczestniczyć w naradzie rodzinnej, ale strażnik na moment nie spuszczał go z oka. Uzyskawszy zgodę ojca oraz moją, Grandmaman poleciła, by wszystkie

nasze ziemie z wyjątkiem Ałupki na Krymie i naszej podmiejskiej daczy zostały rozdane. Poleciała, by zamknąć fabryki. Zakłady mechaniczne w Piotrogradzie pracowały jako tako, realizując zamówienia wojskowe. Ale, dosłownie, poprzedniego dnia ich dyrektor uniknął linczu tylko dzięki temu, że zamienił się miejscami z kierowcą. Zwracał się z prośbą o wypłacenie mu odprawy, ponieważ chciał zabrać rodzinę do Stanów Zjednoczonych. Grandmaman wyraziła zgodę. Ojciec podniósł głowę i oświadczył:

— Wszystko to tylko czcza gadanina. Nasz majątek podobnie jak nasza wolność wymknęły nam się z rąk. Teraz najważniejsze, byście niezwłocznie z Tatianą opuściły Rosję. Wasylu Zacharowiczu — zwrócił się do zarządcy — proszę zebrać niezbędne fundusze i zdeponować je w ambasadzie francuskiej...

— Tatiana może wyjechać za granicę w każdej chwili — przerwała mu Grandmaman. — Ale oświadczam ci, Pierre, że ja nie mam najmniejszego zamiaru zostawić cię samego w Piotrogradzie, by natychmiast po mym wyjeździe przeniesiono cię do twierdzy. *N'en parlons plus*. Proszę się jeszcze napić herbaty przed wyjazdem, Wasylu Zacharowiczu.

Zakomunikowałam, że ja również nigdzie nie wyjadę. Nie skorzystałam już z wyjazdu do Anglii razem z moją ciotką z domu Zasławską, jej rosyjskim mężem-dyplomata i ich dziećmi. Umocniłam się jeszcze w mym poprzednim przekonaniu, biorąc przykład z dzieci cara. Jeśli Tania i jej siostry oraz brat woleli razem z rodzicami udać się na zesłanie na Syberię, niż uciec do babki na Krym, nie mogę się okazać gorsza od nich! Wizyta zarządcy bardzo wstrząsnęła Grandmaman.

— Kto zajmie się szpitalami i szkołami? Kto przypilnuje, by stosowany był płodozmian i by gleba nie była zanadto wyjaławiana? — pytała. — Kto obroni chłopów przed spekulantami i oszustami? Okazałam zdumienie, że wciąż jeszcze się tym przejmuję.

— Jeśli dziecko zostaje kryminalistą, czy matka przestaje je kochać? Kiedy moi ludzie zachowują się jak lunatycy i przestępcy, czy nie cierpię, zadając sobie pytanie, w którym momencie popełniłam błąd? Tak - powtórzyła - to my jesteśmy winni - władcy, wielcy diukowie, księżęta, księża. Nie dawaliśmy swym ludziom przykładu. Nie daliśmy wzorów do naśladowania. Nie przygotowaliśmy ich do wojny. Sami jesteśmy odpowiedzialni za upadek naszego kraju.

Nie byłam tego taka pewna. Wojna, jaką znałam, lepiej niż cokolwiek innego tłumaczyła dzisiejszy obłęd.

— Ciężko za to odpokutujemy - westchnęła Grandmaman. - Modłę się tylko, by Bóg dał mi dość czasu - "by odpokutować za me grzechy", domyśliłam się.

Wraz z utratą ducha pogorszył się również stan zdrowia Grandmaman.

Ciśnienie krwi wzrosło niepokojąco. Lekarz, którego pozwolono mi wezwać, nakazał leżenie w łóżku. Razem z nianią i Zinajdą udawało nam się jakoś zmusić pacjentkę do zastosowania się do tego zalecenia.

Od początku września 1917 roku Grandmaman nie wstawała już z łóżka. Niemcy właśnie zdobyli Rygę i Piotrogród bał się niemieckiej ofensywy. W tym krytycznym momencie plotka, jakoby generał Kornilow, naczelny wódz, maszerował na stolicę, by zdobyć władzę i przywrócić porządek, nasiliła walkę z kontrrewolucją. I znów z waśni w rządzie skorzystali bolszewicy. Po raz pierwszy zdobyli większość w radzie piotrogrodzkiej. W *osobniaku* Siłomirskich na miejscu tych towarzyszy, którzy pozwalali ojcu odwiedzać chorą matkę, pojawili się nowi strażnicy.

Kapral wybrany przez nowych strażników był niskim, chudym młodzieńcem, chodzącym dumnie niczym kogucik. Miał grzywę czarnych włosów, które pracowicie czesał i po-madował, i był równie wymagający - jeśli chodzi o dyscyplinę - wobec swych ludzi jak wobec swojego wyglądu



zewnątrznego. Organizował im pogadanki polityczne, zabronił pić i nie zezwalał na żadne pobłażanie wobec więźniów. Ojcu znów kazano cały dzień przebywać wyłącznie w swoim pokoju. Siemionowi zabroniono do niego chodzić, natomiast kazano mu usługiwać strażnikom. Księdzu pod groźbą śmierci zabroniono się u nas pokazywać.

Grandmaman bardzo brakowało rozmów z ojcem. W ostatnią niedzielę września oświadczyła, że idzie do kaplicy, by zapalić świeczkę naszemu patronowi św. Włodzimierzowi. Nie zdołałam jej odwieść od tego zamiaru. Znajda Mi-chajłowna była zbyt przerażona obudzeniem się w swej pani autokratycznych cech, by się jej sprzeciwić. Pomogłyśmy się Grandmaman ubrać. Strażnicy pozwolili nam przejść, zatrzymując tylko Fiodora. Ruszyłyśmy w milczeniu przez wielki, zaniedbany dom do kaplicy znajdującej się obok holu wejściowego. Początkowo strażnik nie chciał nas wpuścić do środka. W końcu jednak, spojrzawszy nerwowo w górę wielkich schodów, zgodził się, ale tylko na minutkę.

Ledwie Grandmaman zdążyła zapalić świeczkę swemu patronowi, kiedy do kaplicy wkroczył butny kapral, trzymając dłonie na rękojeściach pistoletów. Po obu jego bokach stali młodzi strażnicy z bagnetami zatkniętymi na lufy karabinów. Na ich łagodnych twarzach malowało się zażenowanie.

— Jeśli przyszlście się pomodlić, z radością witamy — powiedziała Grandmaman. — Muszę jednak was poprosić o zdjęcie czapek i zostawienie broni na zewnątrz.

Kapral postąpił do przodu, a za nim — z coraz większym ociąganiem — ruszyli jego ludzie.

— Dajemy wam jeść, zapewniamy dach nad głową, a wy w zamian prześladowacie nas i odmawiacie nawet pociechy w modlitwie. Miejcie przynajmniej tyle przyzwoitości, by nie bezcześcić domu Bożego — powiedziała Grandmaman, wciąż zachowując panowanie nad sobą.

— O czym ty mówisz, starucho? Co nas obchodzi twój Hoży dom? To dom taki jak inne. Jeśli zechcę, mogę tu

przynosić swoje pistolety, a nawet tu napluć. - Kapral splunął garścią nasion słonecznika prosto w twarz św. Włodzimierza.

Zinajda Michajłowna przeżegnała się.

^ - *Allons-nous en*, Grandmaman. Chodźmy. - Położyłam jej dłoń na ramieniu.

Babka stała wyprostowana na tle złoto-brązowych apostołów wiszących w absydzie.

- Uważajcie, co czynicie nie nam, ale swoim duszom

- powiedziała szczególnie głębokim i dźwięcznym głosem.

- Nie przestraszysz mnie swoim gadaniem, starucho, ani ty, panienko, swymi wielkimi oczami - odezwał się mały kapral. - Nie wy tu rozkazujecie, tylko ja. I postanowiłem, że więcej już tu nie przyjdziecie, a to wszystko

— wskazał na kaplicę - zostanie zniszczone. No, chłopcy, bierzcie się do roboty!

- Stać! - krzyknęła Grandmaman, gdy żołnierze niepewnie unieśli broń.

Na ich młodych twarzach malowało się zakłopotanie. Opuścili karabiny.

- Jak to, boicie się tej staruchy? Proszę, spójrzcie, jak się to robi -

wrzasnął mały kapral i wystrzelił cały magazynek w ikonę św.

Włodzimierza, na którą uprzednio splunął.

Żołnierze poszli za jego przykładem.

Zinajda Michajłowna ukryła twarz w dłoniach. Grandmaman stała wyprostowana, pewnie trzymając świeczkę w wyciągniętej ręce. Nie zważała na moje prośby, by wyjść z kaplicy. Twarz jej pociemniała, cała postać zastygła w uporze. Kiedy strażnicy kolbami i buciarami zaczęli walić w główne drzwi ikonostasu, świeca wypadła jej z dłoni. Z jękiem osunęła się ciężko na posadzkę, tuż u mych stóp. Zinajda Michajłowna, krzycząc przeraźliwie, rzuciła się na kolana obok swej pani'

Kapral zamachnął się na mnie pistoletem, ale odwróciłam się i z całej siły przytrzymałam jego rękę.

- Dość! Zabiliście już księżnę, moją babkę. Jeszcze wam mało?

Byłam od niego przeszło o głowę wyższa. Musiał poczuć się nieswojo, bo zakręcił się na pięcie i wymaszerował, a za nim wyszli żołnierze z opuszczonymi głowami.

Powiedziałam Zinajdzie Michajłownie, by wstrzymała oddech, co spowodowało, że przestała krzyczeć, i poprosiłam, by sprowadziła Fiodora. Lokaj, zaniepokojony odgłosami strzelaniny, biegł już w naszą stronę, pokonawszy strażników, którzy próbowali go zatrzymać. Z łatwością wziął mą potężną babkę na ręce i zaniósł do pokoju, gdzie położył ją wciąż nieprzytomną na mosiężnym łóżku.

Wreszcie Grandmaman się ocknęła i wówczas się okazało, że prawa strona ciała jest sparaliżowana. Połowa twarzy była nieruchoma. Tylko lewe oko zachowało swą dawną żywość i wyrażało to, czego nie mógł wypowiedzieć język. Przyniosłam łóżko polowe do jej pokoju. Bez przerwy wodziła za mną zdrowym okiem. Na wszystkich, którzy się do niej zbliżali, patrzyła z irytacją, jedynie na mnie spoglądała początkowo z nadzieją i błagalnie, a gdy odpowiedziałam na jej niemą prośbę zapewnieniem, że jestem przy niej i że jej nie opuszczę — spokojnie i z wdzięcznością.

Minęły trzy tygodnie; w stanie zdrowia Grandmaman nie zaszły większe zmiany.

Pewnego wieczoru w drugiej połowie października stan Grandmaman nagle uległ poprawie. Twarz odzyskała dawną ruchliwość, babka nawet zaczęła mówić, choć sprawiało jej to wyraźną trudność.

— Wybacz mi, że złościłam się na ciebie za to, że chciałaś studiować medycynę — powiedziała. — Masz wyjątkowy dar... Aleksandra miała rację, to dar niebios. W przyszłości nic już nie będzie znaczył tytuł książęcy. Natomiast dyplom lekarza... to dopiero będzie prawdziwy zaszczyt.

Pomyślałam, że może jednak tytuł „księżna Zasławska” będzie coś wart.

— Obawiam się, że jako żona Stefana nie będę mogła poświęcić się medycynie — usłyszałam wypowiedziane przez siebie słowa, które zabrzmiały zupełnie nierealnie. Żadne z moich dawnych marzeń nie wydawało się możliwe do spełnienia.

Grandmaman zmarszczyła brwi.

— Polacy zyskają na nieszczęściu naszego kraju. Nienawidzą nas i zawsze będą nienawidzili. Nie powinnaś wychodzić za Polaka...

— Czemu Polacy mają nas nienawidzić, Grandmaman, jeśli pozwolimy im odzyskać wolność? To zwykłe uprzedzenie i wąski nacjonalizm, a poza tym to niechrześcijańskie.

— Masz rację... zła ze mnie chrześcijanka... dumna... o ciasnym umyśle... pełna uprzedzeń. Żyłam... zgodnie z zasadami swojego świata... a nie boskimi. Teraz ten świat... się skończył. Za późno już dla mnie... bym się zmieniła...

— Nie jest wcale za późno, Grandmaman. Twoje grzechy zostaną ci wybaczone. - Mówiłam cicho, ale przekonywająco, póki jej twarz znów nie odzyskała spokoju i nadziei.

Tej samej nocy Grandmaman miała kolejny wylew. Była nieprzytomna, ale choć od czasu do czasu jęczała głośno, nie czuła bólu. Lekarz wątpił, czy przyjdzie do siebie. Poprosiłam strażników, by pozwolili mi posłać po księdza.

Po zbezczeszczeniu kaplicy żołnierze przeprowadzili nowe głosowanie i zdegradowali butnego kaprała. Wściekły opuścił dom, grożąc, że zamelduje radzie pietrogradzkiej, iż są kontrrewolucjonistami. Z obawy, że zostanie oskarżony o kontrrewolucyjne skłonności, nowo wybrany kaprał prześcigał swego poprzednika w czujności. Wyraził jednak zgodę na sprowadzenie księdza. Pozwolił również ojcu zobaczyć się z umierającą matką.

W pokoju Grandmaman zebrali się Zinajda Michajłowna, niania, Siemion i tych kilku służących, którzy z nami pozostali. Zazwyczaj hałaśliwie zachowujący się strażnicy, uciszyli się.

Grandmaman po przyjęciu ostatnich sakramentów otworzyła oczy i utkwiała wzrok w stojącym obok strażnika ojcu.

— Pictia, wybacz mi — powiedziała zupełnie wyraźnie po rosyjsku.

— Wybaczyć? Co? Szanuję cię i dziękuję ci za wszystko. - Przykląkł na jedno kolano, i czołem dotknął jej ręki.

- Pietia, wysłuchaj mnie. Kiedy nadejdzie twój czas, być może już niedługo, nie lękaj się. Wiem teraz, że wszystkie zgryzoty, wszystkie męczarnie mają swój kres. Bóg jest miłosierny.

Były to jej ostatnie słowa. Znowu straciła przytomność, ale twarz zachowała wyraz pogody, którą kilka godzin później przypieczętowała śmierć.

Ciało Grandmaman wystawiono w holu - kaplica była zniszczona - i *osobniak* Siłomirskich został ^ specjalnym rozporządzeniem władz otwarty dla wszystkich. Żałobnicy ze wszystkich warstw społecznych przez cały dzień gromadzili się wokół katafalku. Arystokraci przyszli złożyć hołd umierającej klasie, którą reprezentowała Anna Władimirowna i której przewodziła w latach świetności. Biedacy przyszli, by złożyć hołd tej, która - przypominali sobie nagle - zawsze była ich prawdziwym przyjacielem.

Ojciec w mundurze polowym, z twarzą poraną nowymi zmarszczkami, stał obok trumny na bacność między dwoma strażnikami zmieniającymi się co godzinę niby warta honorowa, jako że żołnierze rewolucji nie lubili długo stać.

W czarnej sukni z welonem do samej ziemi przyjmowałam kondolencje od urzędników rządowych, członków korpusu dyplomatycznego, kilku przedstawicieli dynastii Romanowów, którzy wciąż przebywali w stolicy oraz przyjaciół i znajomych, którzy nie opuścili jeszcze Piotrogradu. Wśród tych ostatnich najdłużej trzymał moją dłoń Aleksander Holweg, bacnie przyglądając mi się swymi czarnymi oczami. Pełne błógiego szczęścia i spokoju oblicze Grandmaman zdawało się mówić: "Wszystkie zgryzoty, wszystkie męczarnie mają swój kres. Pan Bóg jest miłosierny". Podczas krótkiej wymiany zdań z przybyłymi na uroczystości Romanowymi dowiedziałam się, że (według potajemnie przekazywanych wiadomości) moja przyjaciółka i jej rodzina wiodą zwyczajne, proste życie w rezydencji gubernatora w Tobolsku. Aleksy czuł się dobrze i wyrósł na wysokiego

chłopca. Car zorganizował dla dzieci naukę oraz zajęcia na świeżym powietrzu. Trzymano ich w odosobnieniu, ale traktowano dobrze. Wstąpiła we mnie nowa nadzieja.

Grandmaman została pochowana 23 października według kalendarza rosyjskiego w krypcie rodzinnej w kościele Zwiastowania przy klasztorze św. Aleksandra Newskiego. Wiał przejmujący, zimny wiatr, padał gęsty śnieg, ale Newa nie była jeszcze skuta lodem.

Razem z nianią i Fiodorem po raz pierwszy od trzech miesięcy opuściłam dom, by wziąć udział w pogrzebie. Ojcu nie pozwolono iść. Tym razem było znacznie mniej osób, ale Aleksander Holweg znów przyszedł. Udało mu się wcisnąć mi w dłoń wiadomość dla ojca od Borysa Majskiego.

Poprosił, bym przekazała ją ojcu przez Fiodora.

— Tatiano Pietrowno, proszę nie wracać do domu! To może być pani ostatnia szansa ucieczki. Pani ojciec również by tego pragnął. Proszę jechać na Krym, póki jeszcze czas

— błagał mnie.

— Dziękuję panu za troskę, Aleksandrze, i za wiadomość

— powiedziałam. — Ale chcę osobiście dostarczyć ją ojcu. Bezpośrednio po pogrzebie pogrążona w żałobie Zinajda

Michajłowna wyjechała z Koleńką do Ałupki.

Roztrwoniwszy pieniądze zarobione przy pomaganiu Borysowi Majskiemu w ucieczce, Koleńka znów zwrócił się o nie do matki.

Jednocześnie będąc sprytnym oportunistą, postanowił spróbować szczęścia gdzie indziej, zorientowawszy się uprzednio, że dni pana Kiereńskiego jako premiera są policzone.

Poleciłam zarządcy wypłacić Zinajdzie oprócz zapisu, pozostawionego jej przez zmarłą panią, także pieniądze na podróż. Na próżno prosiłam, by trzymała je z dala od Koleńki. Dałam jej również list do mej imienniczki z krótką notatką dla Marii Fiodorowny, w której błagałam Jej Cesarską Wysokość, by przekazała Ust więźniom do Tobolska, jeśli nic będzie to zbyt ryzykowne.

Następnie zarządca odwiózł mnie z nianią i Fiodorem do domu, teraz bardziej niż kiedykolwiek pustego, brudnego

i ponurego. Strażnicy pilnujący ojca nie spodziewali się mego powrotu. Byli tak zdumieni na mój widok, że pozwolili mi pójść do pokoju ojca. Pozostałam z nim do drugiej nad ranem. Sprawujący nocą wartę żołnierz litościwie nie pokazywał się, choć drzwi pozostały otwarte. Wręczyłam ojcu wiadomość od Borysa Majskiego; generał obiecywał szybkie uwolnienie. Długo płakałam wsparta na szerokim ramieniu ojca, a on swoją piękną dłonią gładził moje włosy, szepcząc wyrazy pocieszenia i zapewniając o swojej miłości, a na koniec kazał mi wydmuchać nos w jego batystową chusteczkę z monogramem. Wyznałam całą moją tęsknotę za innym szerokim ramieniem — mego kuzyna i ukochanego. Ojciec zaś wyjawiał swe nieuzasadnione obawy związane z moim przyszłym macierzyństwem oraz godną potępienia zazdrość o mnie. Jak mógł pozwolić, bym pozostała w Rosji ze względu na niego? — Jestem taki słaby — powiedział — taki słaby! Ale na Borysie Majskim można polegać i wkrótce będziemy w drodze do Francji. Pragnęłam mu wierzyć. Mimo żalu po śmierci Grandmaman radowała mnie nasza odrodzona bliskość. I kiedy całując ojca na dobranoc powiedziałam, że cieszę się, iż z nim zostałam, naprawdę odczuwałam zadowolenie z tego powodu.

Piotrogród składał mojej babce ostatni hołd, w gmachu mej dawnej szkoły, w Instytucie Smolnym, Komitet Wojskowo-Rewolucyjny pod przewodnictwem Włodzimierza Lenina szykował się do ostatecznej rozprawy z rozpadającym się imperium, które pan Kiereński tak rozpaczliwie i nieudolnie starał się ratować. Podjęte przez Kiereńskiego środki, mające uniemożliwić zamach stanu, okazały się niewystarczające i spóźnione. Bolszewicy kontrolowali garnizon. Kozacy byli niezdecydowani. Jedynie junkrzy i bataliony żeńskie gotowi byli walczyć za rząd tymczasowy.

24 października ujrzałam przez okno pokoju ojca bolszewicki krążownik „Aurora” zmierzający w górę rzeki; zacumował naprzeciwko Pałacu Zimowego. Położyliśmy się spać późno, owinięci w podbite sobolami pelisy, by bronić się przed zimnem panującym w nie ogrzewanych pomieszczeniach. Nocą czerwonogwardziści zajęli wszystkie dworce kolejowe, mosty, elektrownie, urzędy pocztowe i kiedy 25 października rano obudziliśmy się, cały Piotrogród był kontrolowany przez bolszewików.

Marynarze kronsztadzcy otoczyli Pałac Maryjski i przerwali obrady zgromadzonego tam Przedparlamentu. Pan Kiereński wyjechał z miasta amerykańskim samochodem na poszukiwanie godnych zaufania oddziałów. Ministrowie schronili się w Pałacu Zimowym bronionym przez junkrów i batalion żeński.

O piątej po południu bolszewicy rozpoczęli szturm. O zmroku ujrzelśmy z ojcem błyski z dział „Aurory”. Kiedy



o trzeciej nad ranem kładliśmy się spać, junkrzy i batalion żeński zostali pokonani. Zwycięscy bolszewicy splądrowali Pałac Zimowy, zawlekli ministrów do twierdzy, a nie znalazłszy Kiereńskiego, zlinczowali wiceministra wojny, księcia Tumanowa. Poćwiartowane zwłoki Tumanowa wrzucono do Newy niedaleko miejsca, gdzie niespełna rok temu znaleziono ciało Rasputina.

Jeszcze przed ustaniem walk w mieście Włodzimierz Lenin, otwierając obrady II Wszechrosyjskiego Zjazdu Rad, ogłosił jutrzenkę rewolucji światowej. Zniesiono własność prywatną, ziemię upaństwowiono. Rozpoczęła się dyktatura proletariatu.

O świcie oddziały bolszewików paradowały po wielkim Placu Pałacowym, gdzie carowie przeprowadzali przeglądy pułków gwardii i gdzie siedem miesięcy wcześniej te same pułki przysięgały wierność rewolucji republikańskiej, która teraz osiągnęła swój kres tak ostatecznie i nieodwołalnie jak samowładne cesarstwo, które zniszczyła.

Rankiem 26 października obudził mnie głośny tupot i jakieś krzyki. Wciągnęłam pospiesznie czarną sukienkę na bieliznę i halkę, w których teraz sypiałam, i pobiegłam do pokoju ojca. Czterech nieznanymi żołnierzami w futrzanych czapkach przeszukiwało jego pokój. Na szczęście pamiętniki ukryłam w tajnej skrytce w ścianie pokoju Grandmaman.

W garderobie ojca natknęłam się na butnego kaprała, którego tak dobrze pamiętałam. Wysoka futrzana czapka miała zrekompensować jego niewielki wzrost. Był jeszcze bardziej wojowniczo nastawiony niż kiedyś. Siemion, bardzo czerwony na twarzy, drżącymi rękami pomagał ojcu nałożyć mundur.

Podczas gdy ojciec spokojnie zapinał guziki, mały kaprał, wymachując pistoletami, krzyknął:

— Pospiesz się! Nie musisz się tak stroić, jakbyś wybierał się na defiladę!

— Dokąd zabieracie mego ojca? — spytałam.

- Tam, gdzie już dawno powinien być - odpowiedział żołnierz.  
Ojciec dał mi znak, bym nic nie mówiła. Siemion podał mi białą, futrzaną papachę, ale mały kapral nie pozwolił jej ojcu nałożyć. Zamiast niej ojciec wziął płaską czapkę z daszkiem. Siemion pomógł mi włożyć płaszcz.

Ojciec zsunął z palca ostatni ze swych pierścieni rodowych  
- pozostałe zostały ukryte razem z pamiątkami - i wręczył go Siemionowi.

- Masz, to na pamiątkę. Dziękuję ci, dziękuję ci za wszystko, Siemionie.  
*Poka. Żegnaj.*

Ordynans przyklęknął na jedno kolano i zaczął całować dłoń ojca, błagając, by go zabrał ze sobą.

- Tam, gdzie idzie, nie będzie mu potrzebny lokaj!

- zauważył kapral. — Fuj, co za pies.

- Sam jesteś pies! — Siemion zapewne rzuciłby się na kaprala, ale ten wycelował w niego pistolety.

Bałam się, że z zimną krwią wystrzeli mi prosto w brzuch, tak jak strzelał w ikonę św. Włodzimierza.

- Uspokój się! - krzyknął ojciec i odciągnął Siemiona na bok.

Kapral dał znak pistoletami, by ojciec wyszedł. W przedpokoju zgromadziła się służba, by pożegnać się ze swym panem.

Żołnierze odepchnęli ich na bok, ale mała staruszka w niebieskim czepeczku i pikowanej fufajce przecisnęła się przez ich szeregi.

- Mój wychowanek, mój Pietia, mój księżę - objęła ojca

- którego wykarmiłam własną piersią, gdy umarło moje własne dzieciątko... czy po to cię niańczyłam? Czy po to cię wychowywałam? — Niania odwróciła się do czerwonogwardzistów. - Fuj, wy wstrętne świnię, jeszcze was Bóg pokarze, jeśli wcześniej nie uczynią tego ludzie.

- Nianiu, uspokój się. Dziękuję ci za wszystko, opiekuj się Tatianą. Nie rozpaczaj tak. - Ojciec objął swą starą piastunkę.

Znów służący próbowali się przedrzeć do ojca, ale odepchnięto ich od drzwi. Ojciec poprosił, by pozwolono mu się pożegnać ze mną na osobności.

— Nie. Już i tak dosyć czasu przez ciebie zmitrężyliśmy — odparł kapral. Ojciec ujął mnie za ramiona i powiedział po angielsku:

— Wszystko, co nam pozostało, przepisane jest na ciebie. Możesz podjąć z banku tyle, ile będziesz potrzebowała. Wasyl Zacharowicz ci pomoże. Jak tylko na ulicach się nieco uspokoi, idź do ambasady francuskiej. Wuj Stach załatwi ci wyjazd. Nie zwlekaj! Jedyne, co możesz teraz dla mnie zrobić, to uciec w bezpieczne miejsce. Obiecuj mi, że to zrobisz!

— Nic mi się nie stanie, ojczu, nie martw się. — Z całych sił starałam się zachować spokój.

— Starczy tego gadania. Idziemy! — ponaglał kapral.

— A więc, *doczeńka*, nadszedł czas — powiedział ojciec po rosyjsku. — Bądź silna. — Miał na myśli bądź dzielna, nie trać nadziei i pamiętaj, że nigdy nie jest tak źle, jak się wydaje. Następnie przytulił mnie do piersi. Kiedy przycisnęłam się do ojca poczułam, że jest silny i krzepki jak dąb, który może paść, ale nigdy się nie ugnie. Rosłam pod jego opiekuńczymi skrzydłami. Kto teraz będzie mnie chronił?

— Tatusiu, trzymaj mnie, trzymaj mnie mocno — wyszeptałam jak za dziecięcych lat.

Ojciec przytulił mnie mocno, potem pocałował w czubek głowy i rozluźnił uścisk.

— Niech Bóg cię ma w swej opiece — pobłogosławił mnie.

— I ciebie również — powiedziałam poważnie. Tylko on nam pozostał. A na jakie jeszcze próby chciał wystawić ojca?

— Wystarczy, albo zabierzemy też dziewczynę — krzyknął kapral. Ojciec pospiesznie odsunął się ode mnie. Otoczyli go żołnierze i za chwilę wszyscy wyszli.

Kiedy zostałam sama, podeszłam do okna i wsparłam głowę o zimną futrynę. Dwie wojskowe ciężarówki skręciły

z podjazdu w bulwar i skierowały się ku twierdzy, zostawiając na przyprószonej śniegiem jezdni ślady opon. Na ulicy nic było prawie żadnego ruchu. Nie ciągnęły pochody z transparentami, by uczcić zwycięstwo bolszewików, marynarze nie siedzieli na nabrzeżach obok zacumowanych statków i nie dyskutowali nad jutrzeńką rewolucji światowej. Przemknęło tylko parę samochodów; na stopniach ciężarówek stali żołnierze z karabinami gotowymi do strzału. Długie, cienkie kry płynęły rzeką niczym upiorne kadłuby statków. Szare niebo wisiało nisko nad ziemią. Patrzyłam na tę ponurą scenerię pogrążona w beznadziejnej rozpacz. Nie mogłam płakać. Nie potrafiłam nawet się modlić. Ocknęłam się słysząc stłumione pochlipywanie i ciche szepty. Do pokoju wślizgnęli się służący i stali w oczekiwaniu na rozkazy ich nowej pani. Podniosłam głowę.

— Przyjaciele, dziękuję, że zostaliście z nami tak długo. Nie wiem, co nas czeka w przyszłości, ale na razie jednak będziemy żyć tak jak do tej pory. Przez kilka najbliższych dni na ulicach może być niebezpiecznie. Czy mamy wystarczające zapasy jedzenia?

Kucharka Agafia zapewniła, że mamy.

— Czy żołnierze odeszli?

— Tak, Wasza Wysokość, dzięki Bogu.

— Cóż, przynajmniej nie będziemy musieli dłużej się troszczyć o ich wyżywienie — zażartowałam.

Roześmiali się głośno, głęboko przekonani, że jakoś to będzie, i otrzymawszy ode mnie polecenia, wyszli.

Po śniadaniu poinformowano mnie, że w dawnym saloniku Grandmaman czeka na mnie jakiś łobuziak w kozuszkach i baranej czapce. Miał ważną wiadomość, którą chciał mi przekazać na osobności.

— Mam panience powiedzieć: "Cierpliwości!" — odezwał się, kiedy zostaliśmy sami.

— Cierpliwości... rozumiem. Od kogo dostałeś tę wiadomość?

Opisał robotnika z takim a takim nosem i takimi oto brwiami — istny portret Borysa Andriejewicza Majskego.

— Gdzie jest teraz ten robotnik?

— A skąd mogę to wiedzieć? Zaczepił mnie na Galernej, dał mi to — chłopak pokazał złotego rubla — i zniknął. Jak ptak. I wyglądem przypomina też ptaka.

To był na pewno generał Majski. Dałam chłopcu garść miękkich karmelków, ulubionych cukierków Zinajdy Mi-chajłowny.

— Dostaniesz więcej, jeśli przekażesz moją wiadomość i wrócisz z odpowiedzią — powiedziałam i napisałam po niemiecku na papierku od cukierka: "Tata aresztowany, proszę się dowiedzieć, gdzie jest".

Zawinęłam karmelek z powrotem w papier i powiedziałam chłopakowi, by natychmiast udał się do mieszkania profesora Holwega na Wyspę Wasiliewską.

— Zapamiętasz adres?

— Mowa!

Przez okno obserwowałam, jak prześlizgnął się przez pikietę czerwonogwardzistów na moście Nikołajewskim.

Przez następne trzy dni siedziałam w domu, na próżno czekając na odpowiedź. Bulwar był pusty. W przeciwieństwie do Moskwy i stolic innych guberni, gdzie walki trwały cały tydzień, w tak niegdyś buntowniczym Piotrogradzie panował spokój.

W nocy 29 października znów obudziły mnie strzały. Wybuchło powstanie junkrów w szkole Pawłowskiej, Władi-mirowskiej i Inżynieryjnej. Powstańcy spodziewali się nadejścia posiłków Kiereńskiego z Gatczyny, ale posiłki nie dotarły i powstanie zostało okrutnie stłumione. Przywódców zrzucano z dachów szkół, a ich głowy zatknięto na bagnietach. Pozostałych uczestników buntu aresztowano. Niektórym udało się uciec i wczesnym rankiem trzech rannych junkrów dotarło do *osobniaka* Siłomirskich. Z pomocą Siemiona

opatrzyłam im rany. Niani udało się pozbyć czerwonogwardzistów, myszkujących w poszukiwaniu zbiegów.

Nie niepokojono nas więcej i w tydzień po bolszewickim zamachu stanu doszłam do wniosku, że jest na tyle bezpiecznie, iż można wysłać kucharkę na targ.

Agafia wysłuchiwała mnie z uszanowaniem, ale nie ruszyła się z miejsca.

— O co chodzi, Agafio? — spytałam.

— Wasza Wysokość, moja gołąbeczko, proszę mi wybaczyć, ale teraz nie jest już tak jak dawniej, kiedy wystarczyło podać nazwę naszego domu, a rachunki regulowano w biurze raz w miesiącu. Bez pieniędzy, moja droga księżniczko, nie sprzedadzą teraz nawet jednego zgniłego liścia kapusty, nawet woreczka gryki.

Po raz pierwszy w życiu stanęłam twarzą w twarz z tym tajemniczym towarem — pieniądzem.

— Jak myślisz, ile będziesz potrzebowała? — spytałam, starając się przybrać mądrą minę.

— Mój Boże, taka teraz drożyzna!

Zrobiwszy jeszcze kilka porównań między starymi i nowymi czasami, kucharka wymieniła jakąś nic mi nie mówiącą kwotę, którą i tak nie dysponowałam. Dałam jej tyle, ile miałam, poprosiłam, by jakoś tym rozporządziła i oświadczyłam, że pójdę do banku po więcej.

Zostawiłam rannych kadetów pod opieką Siemiona — podobnie jak ja nie posiadał się z radości, że znów ma kogoś, kogo może doglądać — i wyruszyłam z Fiodorem na miasto.

Bank był na Quai Anglais. Nie przeszłam jeszcze połowy drogi, gdy zostałam zatrzymana przez pikietę czerwonogwardzistów ubranych po cywilnemu, ale uzbrojonych w karabiny maszynowe. Stali, grzejąc się przy rozpalonym na rogu ulicy ognisku.

Ponieważ nie miałam przepustki, wepchnięto mnie razem z Fiod orcm do zarekwirowanego wraz z szoferem samochodu. Pilnowani przez uzbrojonych czerwonogwardzistów stojących na błotnikach ruszyliśmy bulwarem wzdłuż rzeki

do Instytutu Smolnego, tą samą trasą, którą jeździłam, kiedy byłam uczennicą.

Między szerokimi kolumnami neoklasycznego portyku postawiono karabiny maszynowe i działa. Znajome korytarze nie były już białe i nieskazitelne, ale zabłocone, zaśmiecone ulotkami i niedopałkami papierosów; co kilka kroków widać było żołnierski ekwipunek i ustawioną w kozły broń.

Zaprowadzono nas do dawnej klasy, w której było już pełno ludzi zatrzymanych podobnie jak my na rogach ulic. Spotkałam kilku znajomych arystokratów, opisujących sobie nawzajem po angielsku lub francusku okoliczności, w jakich tu trafili, nie pomijając zabawnych szczegółów. Zostałam przez nich gorąco powitana. Kiedy wyjaśniłam, że wybrałam się do banku, usłyszałam delikatne chrząknięcie. Księżna Palicyn ujęła mnie za rękę, posadziła obok siebie na ławce i oględnie zapoznała z niektórymi aspektami życia pod władzą bolszewików.

— Może przeniesiesz się do nas, moja droga — zaproponowała. — Siergiej — (chodziło o jej byłego męża, najtajniejszego radcę stanu) — wpadł na wyśmienity pomysł. Zamierza wysłać do władz naszego majordomusa jako delegata rady naszych służących, by uzyskać dla służby podwyżkę. W ten sposób jakoś wszyscy przetrwamy do czasu zwołania Zgromadzenia Konstytucyjnego. Ci bolszewicy to zwykli awanturnicy. Nie utrzymają się długo.

Wszyscy podzielali tę opinię.

Byłam zbyt młoda i prostolinijna, by przybrać ten lekki ton, uważany za właściwy w obecnych okolicznościach, bez względu na to, jak były poważne. Podziękowałam księżnej za jej propozycję gościny, ale odparłam, że muszę zostać w domu, przynajmniej póki się nie dowiem, gdzie uwięziono ojca. Nie uważałam za właściwe wspomnieć o rannych junkrach, których ukrywałam. Wiadomość o aresztowaniu ojca przyjęto dość poważnie — paru pesymistów zaczęło się zastanawiać, czy to przypadkiem nic jest początek terroru czer-

wonych — i ze wszystkich stron posypały się wyrazy sympatii i współczucia.

Księżna Palicyn spojrzała na mnie swymi pięknymi, jasnoniebieskimi oczami.

— Pamiętaj, moja droga, że nie zostałam sama — powiedziała. —

Wszyscy jesteśmy potencjalnymi ofiarami kata — *gibier de potence*. Jeśli będziesz czegoś potrzebowała, zwróć się do nas, dobrze?

Dzięki jej miłym słowom — mimo dość specyficznego poczucia humoru księżnej — poczułam się mniej opuszczona i bezradna.

Po godzinie razem z Fiodorem wezwano nas do innej sali, w której za stołem siedzieli bolszewicki urzędnik i stenograf-ka o męskiej urodzie.

— Taki dzielny zuch jak ty przydałby się w Gwardii Czerwonej — odezwał się urzędnik do Fiodora.

— Jest głuchoniemy, nie mielibyście z niego specjalnej pociechy — wtrąciłam pośpiesznie.

— Jak się nazywasz? — wrzasnął mężczyzna.

Twarz Fiodora pozostała obojętna. Urzędnik wystrzelił z pistoletu tuż przy uchu Fiodora, ale ten nawet nie drgnął. Wystawiono mu przepustkę. Potem zaczęto mnie przesłuchiwać. Czy miałam jakieś informacje od byłego generała Majskiego?

O ile wiem, został zastrzelony podczas próby ucieczki, odparłam.

Czy otrzymywałam jakieś listy od byłej wielkiej księżniczki Tatiany? Nie.

Co mnie łączy z profesorem Aleksandrem Holwegiem?

Był moim nauczycielem i przyjacielem rodziny.

Kiedy po raz ostatni go widziałam lub miałam od niego jakieś wiadomości?

Spotkaliśmy się na pogrzebie mojej babki.

Czy wiem, że posiadanie broni jest nielegalne i czy mam do zgłoszenia jakąś broń?



Byłam pielęgniarką. Nie mam żadnej broni, skłamałam.

W końcu po zdjęciu odcisków palców wystawiono mi tymczasową przepustkę, której ważność należało co tydzień przedłużać, i powiedziano, że jestem wolna.

Kiedy znalazłam się na korytarzu, oblał mnie zimny pot. Co by się stało, gdyby mnie przeszukano i znaleziono rewolwer? Co będzie z Aleksandrem? Czy grozi mu przeze mnie jakieś niebezpieczeństwo? Czy powinnam zerwać naszą znajomość? On i Borys Majski byli jedynymi osobami, które mogły uratować ojca. Aleksander znaczył dla mnie nawet coś więcej. Był ostatnim ogniwem z moim dawnym "ja", z osobą myślącą, dążącą do czegoś, wątpiącą — to znacznie więcej niż potencjalna ofiara kata. Potrzebowałam go jak nigdy dotąd.

Kiedy tak stałam w holu, którym niegdyś kroczyłam ze szkolnymi koleżankami za naszą damą klasową, przyszedł mi do głowy szalony pomysł. Weszłam po zabłoconych stopniach na pierwsze piętro, gdzie znajdowały się biura przewodniczącego Rady Komisarzy Ludowych i głowy państwa radzieckiego. Ruszyłam niepewnie korytarzem. Widząc uchylone drzwi, weszłam do dużego pokoju, gdzie kilka sekretarek, spowitych chmurą błękitnego dymu papierosowego, wystukiwało coś na maszynach i biegało z najświeższymi wiadomościami.

— Czego chcecie? Jak się tu dostałyście? — zapytała mnie poważna matrona, która wyglądała na szefową pracujących kobiet.

— Chciałabym porozmawiać z... z panem Leninem — powiedziałam.

Kierowniczka sekretarek spojrzała na mnie tak, jak kiedyś wielka dama cesarskiego dworu mogłaby spojrzeć na biedną wiejską dziewczynę domagającą się widzenia z carem.

— Towarzysz Lenin jest zajęty. Jaką macie do niego sprawę?

— Nie... nie mam do niego żadnej sprawy. Chciałam go jedynie prosić o zgodę na widzenie się z ojcem. Tydzień temu go aresztowano. Poza nim nie mam nikogo... — Jestem zupełnie samotna i zagubiona, mówiła moja twarz.

- Jeśli wasz ojciec został aresztowany, to sprawa ta jest w gestii Ludowego Komisarza Sprawiedliwości - powiedziała sekretarka już nie tak ostrym tonem. Wzięła do ręki notatnik i ołówek. - Skieruję was do niego. Jak wasze nazwisko?

- Nazywam się Tatiana... Siłomirska.

Szefowa sekretarek wolno odłożyła notatnik, po czym odwróciła się do pozostałych kobiet, które przestały pisać, i powiedziała:

- Towarzyszki, moje gołąbeczki, spójrzcie tylko, któż zechciał przyjść z wizytą do towarzysza Lenina... Jej Wysokość księżniczka Tatiana Siłomirska we własnej osobie. Cóż za zaszczyt!

Wszystkie obecne wybuchnęły śmiechem.

Szybko wyszłam z pokoju. Postawiwszy kołnierz z norek, by mnie nie rozpoznano, opuściłam gmach Instytutu. Cieszyłam się, że lodowaty wiatr chłodził moje płonące policzki, a igielki drobnego śniegu kłują oczy pełne łez. Poprzedzana przez Fiodora, który swą potężną sylwetką osłaniał mnie przed podmuchami wiatru, przebyłam całą drogę do domu na piechotę. Szliśmy wzdłuż zamarzającej już rzeki, okazując przepustki kolejnym posterunkom czerwonogwardzistów, przytupujących przy ogniskach. Było popołudnie i zapadł już zmrok. Na pustych ulicach od czasu do czasu rozbrzmiewały odgłosy strzelaniny i pijackie śpiewy. Kiedy podeszłam do majestatycznej fasady mego domu spostrzegłam robotnika przylepiającego do muru jakąś kartkę. Było na niej napisane, że zgodnie z decyzją Rady Komisarzy Ludowych do Spraw Wewnętrznych budynek ten stał się własnością państwa radzieckiego. Zrozumiałam, że nie mam już domu.

- Gdzie mam mieszkać? - spytałam robotnika, który gapił się na mnie, nie kryjąc zaciekawienia.

- A co mnie do tego? - odparł przytomnie. A potem, robiąc perskie oko, dodał: - A kto to w ogóle wie?

Sama otworzyłam sobie drzwi kluczem i weszłam do obszernej sieni. W domu było zimno i cicho niczym w grobowcu.

W swoim pokoju znalazłam portmonetkę ze złotymi rublami i liścik od Wasyla Zacharowicza, zarządcy rodzinnych majątków. Pisał, że zgromadzone w banku fundusze zostały przez rząd radziecki zamrożone, i radził, bym poszukała schronienia w ambasadzie francuskiej.

Informował, że wraz z rodziną opuszcza kraj i nic więcej nie będzie już mógł dla mnie zrobić.

Podczas mej nieobecności pojawił się również bolszewicki urzędnik z poleceniem, by wszyscy opuścili gmach, należący już do państwa radzieckiego; Agafii nie udało się kupić na targu nic na kredyt, dozorca nie zdołał zamówić węgla, telefony nie działały, odcięto prąd i wodę. Zebrałam więc całą służbę i oświadczyłam, że nie stać mnie już dłużej na korzystanie z ich usług.

— Nie mogę was nawet karmić ani zapewnić dachu nad głową — powiedziałam, gdy oświadczyli, że nie chcą żadnej zapłaty. — Najlepiej wróćcie do swych rodzinnych wiosek. Może tam będzie wam łatwiej przeżyć.

Rozdzieliłam między nich złote ruble, a oni okryli moje ręce pocałunkami. Tylko niania, Fiodor i Siemion mieli zostać ze mną. Następnego ranka, gdy służący z tobołkami na plecach wyruszyli w drogę, przeprowadziłam się do stajni, zajmując pomieszczenie po koniuszym. Przenieśliśmy również rannych junkrów oraz zapasy płótna, instrumentów medycznych i lekarstw z magazynów byłego szpitala, a także biżuterię, złoto i rękopis pamiętników ojca — wszystko to, co miałam najcenniejszego. Znieśliśmy pledy, koce i podbite futrem pelisy, rozpaliliśmy ogień w małym piecyku. Na poddaszu, w pokoiku, który miałam dzielić z nianią, umieściliśmy w jednym rogu ikony i zapaliliśmy knot w *lampadzie* przed moją ulubioną średniowieczną ikoną Zbawiciela na Krzyżu. Na prostych, sosnowych meblach poustawiałam zdjęcia rodziny, Stefana i carskich dzieci. Na półce umieściłam „Zapiski myśliwego” i kilkanaście innych ulubionych książek w różnych językach. Byłam gotowa rozpocząć życie pod nowym reżimem.

Kiedy już urządziłam się jakoś w pomieszczeniach stajennych, najważniejszą sprawą stało się odnalezienie ojca. W ambasadzie francuskiej, gdzie zaniósłam listy do Stefka, otrzymałam przekaz pieniężny od Zasławskich z zaleceniem, bym oszczędnie gospodarowała finansami. Obcięto fundusze ambasady i jej pracownicy szykowali się do wyjazdu, spodziewając się podpisania przez nowy rząd, zgodnie z zapowiedziami, odrębnego układu pokojowego.

Pierwszy sekretarz ambasady był uprzedzająco grzeczny i bardzo miły. Ale nie chciał się podjąć wywiedzenia się, gdzie przebywa ojciec, a tym bardziej interweniować w jego sprawie. Jeśli chodzi o rodzinę byłego cara, nowe władze mają teraz inne zmartwienia na głowie — *d'autres chats a fouetter*, oświadczył *Monsieur le secretaire*. Nie, nie przypuszczał, by zaczęto ich teraz gorzej traktować. Jeśli chodzi o przyszłość, któż to może wiedzieć? — spytał wzruszając ramionami.

Od czasu mego przesłuchania w Smolnym bałam się wysłać do profesora Holwega kolejny liścik. Ku memu zdumieniu i ogromnej radości po powrocie z ambasady francuskiej znalazłam wiadomość od niego. Zapraszał mnie do siebie na uniwersytet w celu omówienia kwestii moich dalszych studiów.

Oznaczonego dnia wzięłam podręcznik farmakologii oraz notatnik i udałam się na uniwersytet. Sekretarka Holwega, matrona w starym stylu z pincenez, zaprowadziła mnie do jego gabinetu z całym szacunkiem należnym dziekanowi wydziału chemii i jednemu z największych uczonych Europy.

— O, Tatiana Pietrowna, bardzo się cieszę, że was widzę — powitał mnie Aleksander jak studentkę i uścisnął mi rękę. Zamknąwszy drzwi ucałował moją dłoń i trzymał ją, patrząc na mnie chciwie i dziwnie onieśmielony.

— Bardzo się o panią niepokoiłem — wyznał po francusku. — Ale wszystko w porządku?

— Tak. Czy ma pan, Aleksandrze, jakieś informacje o ojcu?

— Jest w bastionie Trubeckim w twierdzy Pietropawłowskiej.

— W bastionie Trubeckim! — Na samą tę nazwę wstrząsnął mną dreszcz.

— Czy... czy traktują go dobrze?

— Tak. Nie wolno mu tylko z nikim się kontaktować. Ale chyba uda mi się załatwić pani widzenie z ojcem. Proszę usiąść, Tatiano Pietrowno. — Podeszliśmy do stojącego przed biurkiem krzesła. — Ma pani takie zimne dłonie! Proszę spróbować się uspokoić. Może napije się pani herbaty?

— Nie, dziękuję. Proszę mi tylko o wszystkim opowiedzieć, Aleksandrze. Nie boi się pan spotykać ze mną tak otwarcie? Zaczęłam się już czuć jak parias.

— Rząd radziecki przywiązuje znacznie większą wagę do nauki i jej roli we współczesnym świecie niż jego cesarski poprzednik — powiedział profesor siadając za biurkiem. — Jest gotów przymknąć oko na moje dawne powiązania z carem. Co więcej, nowy komisarz oświaty, Łunaczarski, człowiek niezwykle kulturalny, jest moim przyjacielem. Przeprowadziłem z nim długą rozmowę o pani i muszę powiedzieć, że bardzo życzliwie jest do pani nastawiony. Zrobi wszystko, co w jego mocy, by księcia traktowano jak najlepiej, postara się również o zezwolenie dla pani na widzenie z ojcem. Czy ma pani jeszcze jakieś specjalne życzenia, z którymi chciałaby się do niego zwrócić w imieniu ojca?

— Gdyby pozwolono mu malować... nie, to by było niepraktyczne. Ojciec zaczął pisać wspomnienia. Bardzo pragnął je dokończyć. Gdyby mu umożliwiono...

— Wspomnę mu o tym. A teraz, skoro tamto mamy już załatwione, proszę mi powiedzieć, co słyhać u pani.

Powiedziałam Aleksandrowi wszystko, co mnie spotkało od dnia pogrzebu Grandmaman, nie wspominałam jednak o ukrywaniu rannych junkrów. I tak dużo dla mnie ryzykował! Snując swą opowieść, rozglądałam się po gabinecie: biurko z porządnie poukładanymi dokumentami, bez żadnych zbędnych bibelotów, popiersie Mendelejewa, wielkiego chemika, litografie Bacha i Beethovena na ścianach, globus układu słonecznego, książki od podłogi aż po sam sufit

— był to gabinet profesora uniwersyteckiego i miłośnika muzyki, człowieka wrażliwego i posiadającego dobry gust. Cóż taka osoba może mieć wspólnego z jakimś Biedłowem, Stalinem czy Leninem?

— Aleksandrze, czy naprawdę zamierza pan współpracować z nowymi władzami? — spytałam.

— To będzie zależało od kilku rzeczy. Jeśli uszanują Zgromadzenie Konstytucyjne, które się w końcu kiedyś zbierze, jeśli będą respektowały swobody obywatelskie, myślę, że stworzą olbrzymie możliwości dla rozwoju nauki

— możliwości nie istniejące nigdzie indziej z wyjątkiem, być może, Ameryki Północnej.

— Ale czy komunizm nie jest panu obcy?

— Jakby to powiedzieć... Wszystkie formy rządów, wszystkie społeczeństwa są mi obce, Tatiano Pietrowno, tak jak odnoszę wrażenie, że obce są pani...

— Zgadza się. — Spojrzałam z wdzięcznością na Aleksandra. Znał mnie.

— Z tym że niektóre są mi bardziej obce od innych. Nie wyobrażam sobie, by potrafił pan w większym stopniu niż na przykład ja przystosować się do życia w społeczeństwie radzieckim.

— Być może ma pani rację. Na razie jednak będę udawał, że potrafię się zaadaptować, bym mógł pani jakoś pomóc. I, Tatiano Pietrowno, jeśli zechciałaby pani posłuchać rady swego starego profesora, dobrze by było, gdyby pani również udawała, że potrafi się przystosować do nowych warunków.

— Ja? — Wyprostowałam się. — Cóż mi pan sugeruje?

— Tatiano Pietrowno, nie czas teraz obnosić się ze swą dumą. Książę, pani ojciec, też nie potrafi się ugiąć i może się to przyczynić do jego zguby. Ale przed panią jest całe życie, powołanie, kariera. Jeśli bolszewicy uwierzą, że da się pani nawrócić, jeśli uwierzą, że ja mogę pomóc w tym nawróceniu, będziemy się mogli swobodnie spotykać. — A kiedy wciąż siedziałam sztywna i nieufna, dodał: — To do niczego pani nie zobowiązuje ani nie zmusza do żadnych kompromisów. W państwie totalitarnym trzeba się nauczyć nie tylko zachowywać anonimowość, ale również udawać. Uczę się tego przez wzgląd na panią. Wierzę, że pani też jest zdolna się tego nauczyć. — Rzucił mi gorące, przenikliwe spojrzenie. Tak, potrafiłam udawać! Potrafiłam ukryć przed nim fakt opiekowania się junkrami, potrafiłam zataić przed nim moje prawdziwe uczucie do Stefana. Zniknęła moja młodzieńcza bezkompromisowość, moje twarde obstawanie przy tym, co uważałam za słuszne. Również stałam się konformistką.

— Myślę, że tak — powiedziałam.

Odpowiedział mi uśmiechem zdumiewająco szczerym i sympatycznym, co spowodowało, że odmłodniał, a nawet wyprzystojniał.

— Aleksandrze, bardzo się martwię o Tatianę Nikołajew-nę i jej bliskich — odważyłam się poruszyć zakazany temat.

— Co bolszewicy zamierzają z nimi zrobić?

— Bolszewicy są teraz zajęci utrwalaniem swej władzy. W tej chwili Romanowowie są dla nich najmniej ważni

— odpowiedział niemal identycznie jak pierwszy sekretarz ambasady francuskiej. — Romanowami nikt się już teraz nie przejmuje poza panią, Tatiano Pietrowno. Należą już do historii. — Wstał i odprowadził mnie do drzwi. — Sądzę, że przedłużanie tej rozmowy byłoby nieostrożnością.

— Aleksandrze, mam do pana jeszcze jedną prośbę, zupełnie drobną.

Przyjaźnił się pan kiedyś z doktorem Botkinem, byłym lekarzem nadwornym. Jest razem z monar-

chami... z więźniami w Tobolsku. Ma córkę, która niegdyś mieszkała w Piotrogradzie. Może utrzymują ze sobą kontakt, ale boję się z nią spotkać. Odpowiedział pytaniem:

— Tatiano Pietrowno, o co jeszcze chciałaby mnie pani prosić? Czy ma pani dosyć pieniędzy na życie?

Próbowałam zrobić mądrą minę, mimo że zagadnienia związane z finansami były dla mnie czarną magią.

— Och, tak! Najbardziej brakuje mi pianina! Nie mam odwagi chodzić do naszego domu, poza tym i tak jest tam za zimno, by grać. Bardzo mi szkoda, że ten wspaniały Bechstein się zmarnuje. Czy pan, Aleksandrze, nie mógłby o niego wystąpić?

— Mam Steinwaya. Ale być może przyda się na uniwersytecie. Przyszedł mi do głowy pewien pomysł. — Rzucił mi konspiracyjne spojrzenie; jaki był szczęśliwy, że stał się niezastąpiony. Otworzył szeroko drzwi. — Oczekuję waszej wizyty za tydzień o tej samej porze — powiedział po rosyjsku.

— Postaram się przygotować, panie profesorze — odrzekłam i przeszłam przez sekretariat, a potem korytarzem na dziedziniec, starając się nie zwracać na siebie uwagi.

Nie minął jeszcze tydzień, a otrzymałam zawiadomienie, by stawić się w twierdzy Pietropawłowskiej. Wzięłam ze sobą czystą bieliznę dla ojca, nieco prowiantu i przybory do pisania. W sali widzeń, wychodzącej na zewnętrzny dziedziniec w cieszącym się ponurą sławą bastionie Trubeckim, powiedziano mi, bym usiadła przy końcu długiego stołu. Ojciec pojawił się w towarzystwie dwóch strażników i usiadł naprzeciwko mnie. W mundurze polowym, bez dystynkcji, wyglądał trochę blado i smutno, ale niezbyt się zmienił. Tylko jego wzrok spoglądał w jakąś bezkresną dal, co sprawiało, że zdawał się znajdować znacznie dalej niż po drugiej stronie stołu.

— Dlaczego nie wyjechałaś z Piotrogradu? — spytał groźnie po angielsku.



— Nie mogę cię zostawić. — Było to niezależne od mojej woli.

— Musisz. Rozkazuję ci!

— Proszę mówić po rosyjsku — polecił strażnik.

— Przyniosłam ci przybory do pisania — powiedziałam po rosyjsku — żebyś mógł dalej spisywać swoje wspomnienia. Masz światło?

Ojciec skinął głową, a nawet lekko się uśmiechnął. Z ulgą zauważyłam, że nie stracił ducha. Jak Aleksander dla mnie tak ja dla ojca byłam ogniwem łączącym go z dawnym życiem.

Widzenie trwało pięć minut. Lecz mimo, że te kontakty były tak krótkie i sporadyczne, stanowiły dla mnie sens życia w ciągu następnych czterech miesięcy.

Zawsze już będzie mną wstrząsał dreszcz na wspomnienie tych okropnych czasów. Niania uprała przyniesioną bieliznę od ojca, a ja próbowałam ją uprasować. Niemal się rozplakałam, gdy wypaliłam dziurę w podkoszulku. Właśnie przy okazji takich drobiazgów skrywane głęboko uczucia wydobywały się na powierzchnię; prasowanie dokończył Siemion.

Niezmiernie się ucieszyłam, gdy pod koniec pierwszego miesiąca otrzymałam kolejny rozdział wspomnień ojca pisanych teraz po rosyjsku, a nie po angielsku. Zaczęłam przepisywać je na maszynie, którą udało mi się uratować, zanim przyszli bolszewicy i wynieśli wszystko, co miało jakąkolwiek wartość. Godziny spędzone na nauce pisania na maszynie sprawiły, że czas szybciej mi mijał. Dzięki Aleksandrowi mogłam również grać na swym własnym pianinie w sali muzycznej uniwersytetu. Bardzo szybko okazało się, że pieniądze przekazane przez Zasławskich nie wystarczą na wyżywienie domowników i rannych oraz sporządzanie paczek żywnościowych dla ojca. Nikt nie chciał zatrudnić byłej księżniczki Siłomirskiej. Zaczęłam chodzić na pchli targ z obrusami i srebrami.

Stałam za wynajętą ladą wśród innych wyprostowanych dam w kapelusikach i czapkach z norek. Kiedy sprzedałam

swe rzeczy żonom bolszewickich komisarzy, mogłam kupić na czarnym rynku śledzia lub ziemniaki, by wzbogacić moje racje żywnościowe, przysługujące mi według trzeciej, czyli najniższej kategorii kartek żywnościowych, do których byłam uprawniona jako przedstawicielka wzgardzanej klasy społecznej.

Stojąc na mrozie nabawiłam się odmrożeń na rękach i stopach. Z trudnością mogłam pisać swoje cotygodniowe listy do Stefana, któremu i tak miałam coraz mniej do przekazania. Do mej imienniczki przestałam pisywać już od dawna. Nie mogłam już pisać na maszynie ani grać na pianinie.

Pewnego razu Aleksander zażądał ode mnie pełnego wyliczenia się z wydatków. Przyznałam się do ukrywania junkrów.

— Tatiano Pietrowno, jest pani lekkomyślna, uparta, bezmyślna i nieodpowiedzialna! — wybuchnął. — Jest jeszcze trzeci warunek przetrwania w kraju totalitarnym: nie wolno niepotrzebnie ryzykować — dodał. Patrzyłam na niego potulnie, a on chodził szybkimi, nerwowymi krokami. W końcu powiedział: — Musi pani pozbyć się tych junkrów — zatrzymał się przede mną. — Niedaleko pchlego targu mieszkają Żydzi, którzy sprzedają fałszywe paszporty. Będą drogo kosztowały.

— Mogę sprzedać biżuterię.

— Proszę to zrobić. I nalegam, by od tej pory pozwoliła mi pani wysłać paczki żywnościowe dla pani ojca.

Nie mogłam mu tego odmówić. Ani odrzucić oferty przepisania pamiętników ojca na maszynie.

Aby uzyskać dokumenty dla swych junkrów sprzedałam szmaragdowy naszyjnik, który miałam owego nieszczęsnego wieczoru, gdy wybraliśmy się na balet. Przed świętami Bożego Narodzenia moi podopieczni czuli się na tyle dobrze, by móc wyruszyć na południe, nad Don, gdzie generał Aleksiejew, do którego przyłączyli się inni dowódcy wojskowi, tworzył Armię Ochotniczą. Składała się z Kozaków oraz zbiegłych oficerów i miała się stać załóżkiem przyszłej

armii Białych. Aleksander z ogromną ulgą przyjął wiadomość o wyjeździe junkrów.

Na szczęście dla mnie pewnej nocy do naszych drzwi zastukał młody polski oficer. Miał złamaną rękę, którą mu nastawiłam z pomocą Siemiona. Polskie oddziały utworzone po upadku cara oparły się bolszewizacji, a ich członkowie zaczęli się ukrywać. Oficer, zanim nas opuścił, ucałował moją dłoń, przyklęknąwszy na jedno kolano. Wkrótce pojawił się następny, przysłany przez pierwszego, i tak trwała ta procesja. W każdym z tych młodych Polaków widziałam Stefana albo Kazimierza i lekceważyłam ostrzeżenia mego opiekuna. Kiedy ochłonełam ze zdumienia wywołanego autokratycznym zachowaniem się Aleksandra, przestałam mu ustępować, przekonawszy się, że to ja mam nad nim całkowitą władzę.

Schówek na siano i pojemniki na ziarno, w których chowałam się jako dziecko, stanowiły świetne kryjówki podczas okresowego przeszukiwania mego lokum w stajni. Zresztą bolszewicy wydawali się usatysfakcjonowani faktem, że była księżniczka Siłomirska musiała się przeprowadzić do stajni swego *osobniaka*.

Podczas tego względnie spokojnego okresu, gdy bolszewicy konsolidowali swe siły w obliczu opozycji ze strony socjalistów i waśni we własnych szeregach, położenie ojca nie uległo zmianie. Ale kiedy na początku 1918 roku przekazałam ostatnią część jego wspomnień Aleksandrowi, przyjrzał się im uważniej i powiedział:

— Tym razem poprawki są bardziej przemyślane i konsekwentne.

Wydaje mi się, że jest tu ukryta jakaś wiadomość.

Gdy Aleksander wytarł gumką miejsca grubo zamazane ołówkiem, ukazał się napisany atramentem tekst w języku polskim, lecz rosyjskim alfabetem.

„Taniu, moja najdroższa córeczko! Może to już ostatnie kartki, które ode mnie otrzymasz. Obawiam się, że nie pozostanę tu zbyt długo, choć nie mam

pojęcia, dokąd mnie mogą przewieźć. Dano mi do zrozumienia, że nie będą mi już okazywali takich względów. Nie okazałem się, jak to mówił towarzysz Biedłow, wystarczającym realistą, tzn. odmówiłem współpracy i nie zgodziłem się oczerniać mego byłego władcy tak, jak sobie tego życzą. Próbowano na wszelkie sposoby mnie skaptować. Wyświetlano mi filmy o pogromach, klęskach głodu, obozach pracy i innych podobnie godnych ubolewania wydarzeniach z czasów panowania starych porządków. Pokazywano mi dowody obciążające Suchomlinowa i przypominano

— jakby to było potrzebne — o naszych ogromnych stratach poniesionych ze względu na niedostateczne zaopatrzenie frontu. Starano się wzbudzić we mnie poczucie winy i wstydu

— jakbym nie czuł go wcześniej — za ciemne strony carskiej Rosji. Proponowano mi uwolnienie za złożenie samokrytyki! Obiecano mi wolność i rehabilitację.

Co gorsza, powiedziano mi, że ty, moja najdroższa córeczko, robisz postępy w przechodzeniu na ich wiarę! Pokładają w tobie duże nadzieje, że będziesz współpracowała z ich przyszłym społeczeństwem! Nie muszę chyba dodawać, że nie wierzę w ani jedno słowo, podobnie jak ty nie uwierzysz w żadne kłamstwa, które mogą ci o mnie mówić. Staram się zachować resztę zdrowego rozsądku, modląc się, wspominając matkę i myśląc o tobie, moja dzielna Tatiano. Zachowałeś się niezwykle szlachetnie. Zrobiłaś już dla mnie wystarczająco dużo. Kiedy zostanie podpisany pokój — jakież to będzie poniżające dla Rosji — zostaną zamknięte ambasady państw sprzymierzonych. Musisz wyjechać teraz, zanim jeszcze nie jest za późno. Tak czy inaczej wkrótce wywiozą mnie stąd daleko. Gdy bolszewicy w końcu uświadomią sobie, że nie będą mnie mogli wykorzystać dla swoich celów, zastrzelą mnie. Jestem na to przygotowany. Moje życie się spełniło. Teraz liczy się tylko i wyłącznie twoje. Dziękuję ci i błogosławię cię.

Tata"

Uczyniłam znak krzyża i odruchowo wyszeptałam po rosyjsku "Boże, miej litość!". Ale nie było nadziei na żadną litość. Poczułam zimno i mdłości — objawy nie znanej mi do tej pory choroby — strachu.

— Tatiano Pietrowno, dobrze się pani czuje? — Aleksander, który pochylał się razem ze mną nad listem, położył mi lekko dłoń na ramieniu. Spojrzałam na niego wilgotnymi oczami.

— Co teraz zrobią z ojcem?

— Zastrzelą go, Tatiano Pietrowno, tak jak napisał. To najbardziej miłosierna ewentualność. Na miejscu pani ojca byłbym już zastraszonym ludzkim wrakiem. Ale jestem pewny, że księżę spokojnie stawi czoło swemu przeznaczeniu. Musi go pani posłuchać i wyjechać.

— Ale przecież w tym miesiącu zbierze się Zgromadzenie Konstytucyjne! Sam pan powiedział, Aleksandrze, że bolszewicy mogą zostać pokonani!

— Powiedziałem, że jest cień szansy. Nie ryzykowałbym swego życia, opierając się na tak niepewnej przesłance. Pani życie, Tatiano Pietrowno, jest dla mnie równie cenne jak życie pani ojca.

Prawa ręka, która leżała na biurku, spoczęła na mojej dłoni. Była miękka i biała, ręka inteligenta, człowieka, który wstydził się swej miłości, nienawykłego do okazywania takich uczuć. Jego nieporadność była wzruszająca, dotyk dłoni przynosił ukojenie. Przełknęłam łzy.

— Jeśli wyjadę, co pan zrobi, Aleksandrze?

— Wyruszę za panią — oświadczył. — Jeśli mi pani pozwoli — zmitygował się.

Teraz nadeszła odpowiednia pora, by powiedzieć mu o Stefanie, pomyślałam, kartkując rękopis, który z takim trudem rozszyfrowaliśmy. To mogą być ostatnie kartki zapisane ręką ojca, jakie kiedykolwiek dostanę. Wyobraziłam go sobie siedzącego przy prostym stoliku, przy świetle nagiej żarówki, w kamiennej celi bastionu Trubeckiego, przerywającego pisanie, by posłuchać dzwonów twierdzy,

jedynego dźwięku w panującej wokoło grobowej ciszy. W porównaniu z otaczającą mnie rzeczywistością, to, co znaczył dla mnie Stefan, wydało mi się nagle dziewczęcym snem. Moje wyznanie może jeszcze poczekać. List od ojca spowodował, że rozpaczliwie chciałam skontaktować się z Borysem Majskim. Ale jak spotkać się z tym ulicznikiem-pośłańcem? Zaryzykowałam i wysłałam Siemiona do pośrednika dziełami sztuki, który przechowywał pieniądze na nasz wyjazd. Sąsiad powiedział Siemionowi, że pośrednik po grudniowym upaństwowieniu banków uciekł do Odessy. Byłam teraz podwójnie zrozpaczona. Niespodziewanie w dniu moich imienin przyszły życzenia od generała i zaproszenie na przechadzkę wzdłuż prospektu Litiejnego.

W najbardziej ruchliwej części miasta, w godzinie największego szczytu Borys Majski pojawił się przede mną, by mi powiedzieć, że oficerowie ojca przygotowują się do odbicia go podczas przewożenia z twierdzy do nowego miejsca pobytu. I że pieniądze od handlarza obrazami jeszcze przed jego wyjazdem zostały umieszczone w godnych zaufania rękach. Z radością uświadomiłam sobie, że istnieje cała podziemna sieć łączności i wzajemnej pomocy. Był to jeszcze jeden sposób wytrwania w państwie totalitarnym, który bardziej mi odpowiadał od zachowywania anonimowości, pozornego akceptowania nowych warunków czy unikania zbędnego ryzyka.

— Zwołano również Zgromadzenie Ustawodawcze — powiedziałam Borysowi.

— No właśnie! — Zrobił do mnie perskie oko, wskoczył na stopień zatłoczonego tramwaju i tyle go widziałam.

Nie tylko ja, ale wszyscy mieszkańcy Piotrogradu wiązali duże nadzieje ze Zgromadzeniem Konstytucyjnym, pierwszą w historii Rosji reprezentacją narodu, wyłonioną podczas wyborów powszechnych.

Kiedy 18 stycznia 1918 roku delegaci spotkali się w Pałacu Taurydzkim, byłej siedzibie Dumy, bolszewicy posiadali

ledwie czwartą część głosów. Ale marynarze kronsztadzcy — gwardia pretoriańska nowego reżimu — wypełnili galerie, zagłuszyli antybolszewickie rezolucje gwizdami, a potem wtargnęli na salę obrad, by zarządzić zamknięcia pierwszego i jedyne go posiedzenia Konstytuanty.

Ludzie nie zaprotestowali w obliczu takiego pogwałcenia prawa. Byli zbyt odrętwiali, zbyt zmęczeni gadaniem, zbyt zdezorientowani. Ugięli się przed radziecką władzą.

Bolszewicy całą energię skierowali teraz na negocjacje pokojowe w Brześciu Litewskim. Trocki, komisarz spraw zagranicznych i przewodniczący delegacji na konferencji pokojowej, nie przyjął wygórowanych roszczeń terytorialnych Niemców, dotyczących również Ukrainy. Jednakże w obliczu nowej ofensywy niemieckiej ugiął się ostatecznie przed żądaniem Lenina zawarcia pokoju za wszelką cenę. Jeszcze przed podpisaniem traktatu, które nastąpiło 3 marca 1918 roku, personel ambasad państw sprzymierzonych opuścił stolicę Rosji.

Do ostatniej chwili trzymano dla mnie miejsce w pociągu dyplomatycznym. Korzystając z tej okazji, wysłałam przepisany na maszynie tekst wspomnień ojca i ich rękopis, moją korespondencję z Tatianą Nikołajewną oraz list do Stefana. Nie skorzystałam z ostatniej szansy legalnego opuszczenia Pi otro grodu.

W lutym ograniczono moje widzenia z ojcem do dwóch w miesiącu. Zabroniono mi przynosić paczki z żywnością i materiały piśmienne. Zaczęli karać ojca za odmowę współpracy, pomyślałam, i poczułam ukłucie w sercu.

W marcu o zwykłej porze weszłam na rozległy, otoczony murami teren, nad którym górowała złota iglica katedry Pietropawłowskiej — niegdyś tak podnoszący na duchu punkt orientacyjny. Kiedy po przejściu przez szereg wewnętrznych dziedzińców strzeżonych z wież strzelniczych znalazłam się w ostatnim z sześciu wielobocznych bastionów —

Trubeckim

— poczułam się jeszcze bardziej zgnębiona niż zwykle. Po raz

siódmy okazałam swoją przepustkę, by się dowiedzieć, że więźniowi cofnięto zgodę na widzenia.

Następnego ranka, gdy Fiodor nabierał wody ze studni na dziedzińcu, pod nogi spadła mu śnieżka. W gumowej piłeczce oblepionej śniegiem znajdowała się napisana po francusku ręką Borysa Majskiego wiadomość. "Księżę S. pod silną strażą przewieziony niespodziewanie nocą. *Czeka* coś podejrzewa. Proszę uważać na siebie! Opracowujemy nowy plan. Odwagi!"

Ostatni ukrywający się u mnie Polak został wysłany na południe z podrobionymi dokumentami w przewidywaniu mojej rychłej ucieczki. Ostrzegłam nianię, by miała się na baczności i udałam się do siedziby *Czeki* — wzbudzającej powszechny lęk nowej policji kontrrewolucyjnej — by uzyskać nową przepustkę na widzenia z ojcem. Odmówiono mi. Próbując odszukać ojca, poszłam do aresztu na Szpalerną i do więzienia Wyborskiego, ale wszędzie spotykała mnie jednakowo szorstka obojętność. Rząd przeniósł się do Moskwy i na nic zdałaby się nawet próba spotkania się z towarzyszem Leninem. Również Aleksander nie był w stanie zdobyć jakichkolwiek wiadomości.

W bezpodstawnej nadziei natknięcia się na Borysa Majskiego, krążyłam po Newskim i Litiejnym Prospekie. Wokół ulicznych mówców nie zbierali się już ciekawscy. Przechodnie w pośpiechu przemykali ulicami, obawiając się napadu z bronią w rękę, kontroli dokumentów przez funkcjonariuszy *Czeki* lub łapanek do robót przymusowych.

Wraz z innymi osobami o wyglądzie arystokratycznym, zwanymi potocznie burżujami, zostałam kiedyś ofiarą takiej łapanki i zapędzono mnie do zgarniania śniegu. W odmrożonych rękach ledwie mogłam unieść łopatę. Wybawił nas przechodzący oficer niemiecki z komisji do spraw odszkodowań wojennych. Po zawarciu pokoju niemieccy wojskowi widoczni byli nawet na terytoriach nie okupowanych. Szarmancko stuknął obcasami, a ja podziękowałam mu za interwencję, choć źle się czułam w roli osoby mającej



zobowiązania wobec zdobywców. Po tym incydencie unikałam śródmieścia.

Wraz z nadejściem odwilży odmrożenia się wyleczyły, ale czekała mnie nowa ciężka próba. Chcąc stłumić kontrrewolucję, tzn. rozwój ruchu oporu Białych, towarzysz Trocki utworzył Armię Czerwoną, w której nie tolerowano takich egalitarystycznych nonsensów jak komitety żołnierskie czy oficerowie z wyboru. Natomiast cała ludność cywilna zdolna do pracy została objęta obowiązkiem pracy.

Fiodor wciąż udawał głuchoniemego. Niania była za stara, a Siemion nie wychylał nosa za próg. Natomiast ja podczas jednej z moich cotygodniowych wizyt w biurze *Czeki* zostałam wcielona, tym razem, do oddziału kobiet sprzątających ulice. Przez tydzień pomagałam przy odśnieżaniu; na rękach porobiły mi się straszne bąble. Kobiety wiedziały, kim jestem, i choć nie szczędziły mi sarkastycznych uwag, jednak starały się ulżyć mi w pracy. Za dzień ciężkiej harówki otrzymywałam marne grosze.

Wieczorami niania masowała mi obolałe nogi i plecy.

— Mój Boże, jak nisko upadliśmy! — mruzczała pod nosem. Aleksander również przeżywał ciężkie chwile. Ponieważ zrobiło się cieplej, postanowiliśmy spotkać się w Ogrodzie Sołowiewskim. Pojawił się, tak jak zeszłej wiosny, z bukietem w dłoni. Kwiaty nie były już takie świeże, on zaś nie był tak elegancki, lecz uczucia były nadal gorące.

— Och, gdyby tylko pani zechciała! — wykrzyknął po wysłuchaniu smutnej relacji o mych przeżyciach. — Ale nie, to nie do pomyślenia.

— Gdybym tylko co zechciała, Aleksandrze?

— Gdyby tylko pani zechciała zostać moją żoną, mógłbym pani oszczędzić tych niepotrzebnych cierpień! Ale... jak mogłaby pani mnie pokochać?

Pokochałabym cię, Aleksandrze, pomyślałam, gdybym już nic kochała innego. Jednak — pomimo, że Kocham innego — darzę cię pewnym uczuciem, ale jest to zupełnie inny rodzaj miłości.

— Myślę, że mogłabym się w panu zakochać, Aleksandrze — powiedziałam — gdyby była inna sytuacja. Ale nie mogę żądać, by poświęcił pan swoją karierę, swoje życie i związał się z osobą skazaną na zagładę. Może pan dać z siebie światu jeszcze wiele, więc nie powinien się pan lekkomyślnie narażać na ryzyko — zakończyłam, przytaczając jego słowa.

— Tatiano Pietrowno, znaczy pani dla mnie więcej niż cały świat, ale być może ma pani rację. Abstrahując jednak od kwestii mojego życia i kariery, uważam, że za bardzo się pani martwi o ojca, by móc teraz podjąć przemyślaną decyzję dotyczącą tak poważnej sprawy.

Uśmiechnęłam się. Według Aleksandra Holwega miłość również musi się opierać na przemyślanych przesłankach. Ujął mnie za rękę.

— Napisałem do Łunaczarskiego. Rozmawiałem z Mak-symem Gorkim. Wykorzystuję wszystkie swoje wpływy, by dowiedzieć się czegoś o pani ojcu. Kiedy go odnajdziemy i uwolnimy — a musi się pani przygotować na to, Tatiano Pietrowno, że być może oswobodzi go śmierć — będzie pani mogła pomyśleć o sobie i o przyszłości.

Wtedy, pomyślałam, będę mogła znów zacząć marzyć o Stefanie!

Do niczego się nie zobowiązywałam wobec Aleksandra. On mnie również o nic nie prosił. Czas rozwiąże ten problem. Niebezpieczeństwa i trudy codziennego życia usprawiedliwiały moją dwulicowość, uwalniały mnie od poczucia winy.

Nadszedł maj, a Aleksander wciąż nic nie wiedział o ojcu. Pewnego razu zaskoczył mnie informacją, że córka doktora Botkina otrzymała życzenia wielkanocne z Tobolska podpisane przez Aleksandrę i dzieci.

— Muszę również pani powiedzieć — dodał — że Mikołaj i Aleksandra zostali przewiezieni dalej na wschód, do Jekaterynburga. Wkrótce mają do nich dołączyć dzieci. W Jekaterynburgu jest silna rada bolszewicka. Najprawdopodobniej będą tam traktowani znacznie gorzej.

— Mój Boże! — Już im nie wystarczało, że pozwolili się z nich naśmiewać tym samym tłumom, które kiedyś przed nimi klęczały; że ich wygnali i skazali na zapomnienie! Co jeszcze im szykowali?

Dręczona niepokojem i bliska załamania zameldowałam się jak co tydzień w siedzibie policji specjalnej na Gorochowej. Kiedy zwróciłam się z prośbą o jakieś wiadomości o ojcu, zaprowadzono mnie na drugie piętro, gdzie znajdował się gabinet towarzysza Urickiego, przewodniczącego piotrogrodzkiej *Czeki*. Wpuszczono mnie do dawnego pokoju stołowego. Tapety na ścianach odłaziły, firanki były podarte, wokół długiego, mahoniowego stołu stały krzesła ze zniszczoną tapicerką. Na jednej ścianie powieszono portret Lenina.

Początkowo chodziłam niespokojnie po pokoju, w końcu przystanąłam przed jednym z dużych okien wychodzących na obskurny dziedziniec. Wyprostowałam się, uniosłam wysoko głowę, dłonie splotłam luźno, przybierając pozę, której nauczyła mnie Wiera Kiryłowna, a która zawsze pomagała mi zachować zimną krew. I właśnie w takiej pozie zastał mnie człowiek, na którego widok ogarnęło mnie obrzydzenie i strach.

— Tatiano Pietrowno, bardzo się cieszę, że możemy odnowić naszą znajomość. — Towarzysz Biedłow wyciągnął rękę. Ponieważ stałam nieporuszona, oświadczył: — Towarzysz Uricki poprosił mnie, bym zobaczył, co mogę dla pani zrobić. Proszę usiąść. Nie? W takim razie proszę pozwolić, że ja usiądę.

Znalazł krzesło z całym siedzeniem i usadowił się, kładąc grubą rękę na stole.

— Gdzie jest mój ojciec? — spytałam. — Kiedy będę się mogła z nim zobaczyć?

— Tatiano Pietrowno — Biedłow podniósł gruby palec wskazujący — proszę być realistką. Czy używa się takiego tonu, kiedy przychodzi się prosić o przysługę? Bo to przysługa, prawda?

Spuściłam wzrok i powiedziałam cicho:

— Będę niezmiernie wdzięczna za jakieś wiadomości o ojcu.

— O, teraz lepiej. Były książę Siłomirski jest obecnie w więzieniu kronsztadzkim. Jeśli zaś chodzi o zezwolenie na widzenie się z nim, będzie to zależało od spełnienia paru warunków.

Stałam oszołomiona. Kronsztad! Przewożono tam więźniów z Piotrogradu, których zamierzano rozstrzelać! Kronsztad, siedziba tych okrutnych marynarzy!

— Powiedział pan, że ewentualna zgoda na widzenie się z ojcem będzie zależała od spełnienia paru warunków. Jakie to warunki?

— Na przykład, czy powie nam pani, gdzie możemy znaleźć byłego generała Majskiego, byłego szefa sztabu pani ojca, albo innych jego byłych oficerów, na skontaktowaniu z którymi bardzo nam zależy.

— Generał Majski został zeszłego lata zastrzelony podczas próby ucieczki.

— Bardzo zgrabna historyjka! Ale nie jestem taki naiwny, Tatiano Pietrowno, by w nią uwierzyć.

— W takim razie nie jest pan z pewnością również tak naiwny, by sądzić, że wiem, gdzie przebywa Borys Majski, jeśli udało mu się przeżyć. — Odzyskałam panowanie nad swym głosem, choć nie mogłam ukryć rumieńców, które wystąpiły mi na policzki.

— Bardzo dobrze, Tatiano Pietrowno. — Biedłowi zmrużył swoje zielone oczy i poczułam się jak myszka w szponach kocura.

— Ciekaw jestem — mruknął kocur — czy okaże się pani równie nieugięta jak były książę, pani ojciec. Myślę, że lepiej będzie, jeśli pani usiądzie, Tatiano Pietrowno — dodał takim tonem, że aż oblał mnie zimny pot. — Proszę usiąść, proszę się nie krepować.

Opadłam na krzesło, które mi podsunął.

— Duszno tu. Otworzę okno. — Otworzył szeroko okno, a potem wrócił na swoje miejsce.

Oparłam głowę o stół i nie ruszyłam się, póki nie przeszło mi uczucie słabości i strachu.

— Czy torturujecie ojca? — wydusiłam z siebie.

— Tortury? Tatiano Pietrowno, nie jesteśmy tacy prymitywni. Staramy się wpłynąć na niego metodami psychologicznymi.

— Do czego chcecie go zmusić?

— Władza radziecka zamierza pozwać byłego cara Mikołaja Romanowa przed trybunał rewolucyjny, by odpowiedział za swe zbrodnie.

Pragniemy jedynie, by pani ojciec jako pierwszy generał-adiutant i główny dowódca wojskowy wspomnianego Mikołaja Romanowa przyznał, że były car dążył do wojny w celu odwrócenia uwagi społeczeństwa od powszechnego niezadowolenia z jego rządów. Ta wojna, jak pani wie z własnego doświadczenia, Tatiano Pietrowno, zadała nieopisane cierpienia ludowi rosyjskiemu i ich bra-ciom-proletariuszom we wszystkich walczących państwach.

— To kłamstwo! — przerwałam mu tę pełną hipokryzji przemowę. — Nasz władca robił wszystko, co było w jego mocy, by umknąć wojny. Odwołał nawet mobilizację wbrew woli szefa sztabu. A nawet jeśli udałoby się wam "namówić" ojca do takich zeznań, żaden prawdziwy sąd w dwudziestym wieku nie przyjąłby zeznań uzyskanych takimi metodami.

— Przypomniałam sobie, że właśnie w tym budynku były ponoć cele tak przepelnione, że więźniowie nie mogli się położyć, a chcąc zaczerpnąć nieco powietrza, musieli przytykać usta do wąskiej szczeliny w drzwiach.

— Takie świadectwo rzeczywiście byłoby bezwartościowe, jeśli nie byłoby szczere — zgodził się Biedłow. — Wciąż mamy nadzieję, że uda nam się przekonać byłego księcia

— wykorzystując tajne protokoły, które mu pokazaliśmy, i przy zachęcie z pani strony, Tatiano Pietrowno — by z własnej, nieprzymuszonej woli zeznał przed rewolucyjnym sądem ludowym. Jeszcze raz w imieniu pani ojca apeluję, by podjęła pani z nami współpracę. To naprawdę niezwykle człowiek. Z największą przyjemnością polepszyłbym mu

samopoczucie, zezwalając na widzenia z córką, jak również przywracając mu pozostałe przywileje, którymi się cieszył.

— Przypuśćmy, że przekonałabym ojca, by zrobił to, o co go prosicie. Co by się potem z nim stało?

— To będzie zależało od wyroku sądu. Natomiast nie ulega wątpliwości, że pani, Tatiano Pietrowno, zostanie zrehabilitowana. Społeczeństwo radzieckie z radością powita panią w swoich szeregach. Jest pani tego typu kobietą, jakich mu potrzeba.

— Do zamiatania ulic?

— To godna pożałowania pomyłka, Tatiano Pietrowno. Będzie pani miała możliwość ukończenia studiów medycznych. Sam towarzysz Łunaczarski się panią interesuje.

— Bardzo ładnie z jego strony.

— Powinna pani z większym szacunkiem odnosić się do naszego komisarza oświaty. Podjął się zadania zlikwidowania analfabetyzmu wśród rosyjskich mas. Czy to nie szczytny cel?

— Tak — powiedziałam myśląc: nauczycie ludzi czytać, by ich karmić swoją propagandą.

— Widzi pani, tworzymy społeczeństwo, o jakim wszyscy marzą, pani też, Tatiano Pietrowno — rozpromienił się towarzysz Biedłow. — Od każdego według jego możliwości, każdemu według jego potrzeb, jak powiedział Karol Marks. Czy pani, siostra miłosierdzia, nie zgadza się z tymi hasłami?

— Tak. Teoretycznie zgadzam się z wieloma waszymi poglądami. Nie mogę sobie tylko ich pogodzić z *Czeką*. — Nie wspomniałam o rozwiązaniu Zgromadzenia Ustawodawczego.

— To tymczasowy środek kontrrewolucyjny. Kiedy Biali, popierani i wspomagani przez światowy kapitalizm i imperializm, zostaną pokonani, a cesarstwo Niemiec i Austrii upadnie pod rewolucyjną falą, która wkrótce ogarnie całą Europę, Rosja zasłynie na świecie jako kraj przodującej nauki i sztuki, wolności i dostatku! — Biedłow, perorując, aż wyprostował się na krześle.

Czy naprawdę wierzy w swoje bolszewickie credo, czy to tylko policyjny podstęp, by mnie pozyskać? — zastanawiałam się. Podejrzywałam, że jedno i drugie. Wyżsi urzędnicy carskiej Ochrony — skromnej poprzedniczki *Czeki*

— bez wątpienia wierzyli w swoje reakcyjne credo.

— Modłę się, by miał pan rację, jeśli chodzi o to ostatnie

— powiedziałam szczerze i wstałam. — Muszę się zastanowić nad pańską propozycją. Czy zanim rozważę tę propozycję, mogę wysłać ojcu list i paczkę żywnościową?

— Będzie pani mogła osobiście doręczyć paczkę, Tatiano Pietrowno, kiedy tylko zyskamy pewność, że popiera pani naszą sprawę. Ale z przyjemnością przekażę ojcu pani ustną wiadomość. Co mam mu powtórzyć?

— Proszę powiedzieć, że go kocham i mam nadzieję wkrótce go ujrzeć.

— Nie byłam w stanie dłużej znieść widoku Biedłowa. — Czy mogę odejść?

Wstał i znów wyciągnął dłoń. Tym razem ją uścisnęłam. Ojcze, wybacz mi, robię to dla ciebie, szepnęłam w duchu i szybko wyszłam z pokoju. Kiedy się znalazłam w domu, wyszorowałam ręce jak po operacji. Potem z płaczem wtuliłam się w ramiona niani. Płakałam ze złości i poniżenia, z bezradności i rozpacz.

— Nie mogę już tak dłużej, nianiu! Ktoś się musi zlitować, ktoś musi mi pomóc! Czy tatuś i ja jesteśmy już zupełnie zdani na łaskę tych potworów?

Tak, odpowiedziałam sobie sama, my i tysiące takich jak my. Nie jesteśmy już nikim wyjątkowym. Nadszedł czas próby naszych sił, naszej wartości. I nikogo poza Bogiem nie obchodzi — przegramy czy zwyciężymy.

Następne dwadzieścia cztery godziny po rozmowie z Biedłowem spędziłam w stanie jakiegoś amoku. Nie mogłam jeść ani spać.

Przypominałam sobie zasłyszane opowieści o metodach przesłuchań, stosowanych przez *Czekę* i o okrutnych czynach, których dopuszczali się kronsztadzcy marynarze. Wyobrażałam sobie swych przyjaciół zdanych na łaskę fanatycznej rady Jekaterynburga. Słyszałam słowa cesarzowej wypowiedziane o skarży cielskim tonem podczas mojej ostatniej wizyty w Carskim Siole: "Może już nigdy nie opuścimy Rosji".

Czy nigdy nie uda nam się wyrwać z Rosji, Tani, ojcu i mnie? Czy zanim nas zabiją, złamią nas, aż będziemy błagać o śmierć?

Aleksander był przerażony, kiedy ujrzał mnie następnego dnia. Tym razem umówiliśmy się w ogrodzie zoologicznym przylegającym do twierdzy Pietropawłowskiej. Początkowo nie potrafiłam nawet logicznie mówić. Ale kiedy ujął moją dłoń i zaczął przemawiać do mnie łagodnie, uspokoiłam się na tyle, by zrelacjonować spotkanie z Biedłowem.

— Tatiano Pietrowno, jestem pewien, że pani ojciec nie znajduje się w tak beznadziejnym położeniu, jak to pani próbowano wmówić — odezwał się, kiedy skończyłam. — To zwykły chwyt, by nakłonić panią do współpracy.

— Ale jak mogę się na to zgodzić? Ojciec by mną za to pogardzał! Co mam zrobić?

— Przede wszystkim musi pani jeść, spać i znów zacząć racjonalnie rozumować. Ma pani jakieś barbituraty w swojej apteczce, prawda? — Skinęłam głową. — Proszę je zacząć



zażywać. Zna pani dawkowanie. Po drugie, prześlemy pani ojcu wiadomość.

— Żeby wiedział, że nie zapomnieliśmy o nim i nie opuściliśmy go. Ale jak to zrobimy?

— Nowo mianowany inspektor więzienny na okrąg piotrogrodzki jest moim byłym studentem. Poproszę go, by zrobił wszystko, co w jego mocy.

— Niech Bóg pana błogosławi, Aleksandrze! — Do oczu napłynęły mi łzy. — Stał mi się pan tak drogi, tak bliski. Cóż bym bez pana poczęła? Spojrzał na mnie dziwnie, jakby starał się panować nad swymi emocjami. Jego wzrok mówił, że teraz jestem w takim stanie, że nie jestem zdolna do podejmowania rozsądnych decyzji.

— *Allons, calmez-vous*. Jest pani podekscytowana. — Poklepał moją dłoń. — Może się trochę przejdziemy?

Podał mi ramię; biło od niego miłe ciepło. Spacerowaliśmy przez zaniedbany ogród otoczony przez *cronwerk* — zewnętrzne fortyfikacje twierdzy, którą tak dobrze poznałam, a która teraz, z perspektywy czasu, wydawała mi się niemal azylem. W jej mrocznych celach przynajmniej ojca nie torturowali. Pomyślałam, jak stopniowo w ciągu ostatniego roku zmieniłam swoje zdanie, dochodząc w końcu do wniosku, że napawające mnie niegdyś grozą więzienie jest klasztornym ustroniem! Ile czasu będę potrzebowała, by zdać sobie sprawę z otaczającej mnie nieludzkiej rzeczywistości?

Tydzień później spotkałam się z Aleksandrem w innym miejscu ogrodu zoologicznego i od razu zorientowałam się, że ma dla mnie złe wieści.

— Przyniosłem pani list — powiedział, gdy usiadłam obok niego na ławce — ale zanim go pani przeczyta, Tatiano Pietrowno — położył rękę na mej lodowatej dłoni — proszę mi uwierzyć, że to, o czym pisze w nim pani ojciec, odnosi się do przeszłości. Inspektor, mój dawny student, kazał przenieść księcia do dużej celi z oknem na zatokę, a przesłuchania na polecenie lekarza przerwano.

— Przesłuchania! A więc torturowali ojca! — Zrobiło mi się słabo.

— Niezupełnie. Nie odważyliby się wyrządzić krzywdy tak ważnemu dla sądu świadkowi jak księżę. Według słów mego kolegi-lekarza powinien całkowicie przyjść do siebie. Czy mam pani przeczytać list, Tatiano Pietrowno?

— Nie, sama przeczytam. — Ujęłam list drżącą ręką. Odczytałam angielski tekst wypisany ołówkiem na formularzu lekarskim.

„Tatiano, moja najdroższa córko!

Kreślę tych kilka linijek, by cię prosić, byś nie starała się o widzenie ze mną bez względu na stosowane wobec ciebie podstępny, mające na celu skłonienie cię do współpracy. Nie podpisałem żadnych łgarstw. Nie złożyłem przed sądem żadnych fałszywych zeznań. Boję się jedynie, że może mi się coś wymknąć mimo woli, z wyczerpania. W swojej celi nie mogę ani stanąć prosto, ani wyciągnąć się na całą długość. Nie pozwalają mi spać. Dzień i noc pali się światło. Co pięć minut strażnik świeci mi przez judasza latarką prosto w twarz. Doprowadza mnie to do szaleństwa. Rozpocząłem głodówkę, ale zagrożono mi, że będą mnie karmić siłą. Przesłuchania stanowiły niemal ulgę. Przynajmniej wyostrzały moje zmysły. Nie mam nadziei na ucieczkę stąd, jedynym ratunkiem będzie śmierć. Ponownie cię błagam — uciekaj z Rosji. Masz przyjaciół, którzy ci pomogą. Potem powiedz światu, co ten przeklęty reżim uczynił mnie i naszemu nieszczęsnemu narodowi! Niech Bóg cię ma w swej opiece, moja najukochańsza.

Tata"

— Dobry Boże! — jęknęłam. — Aleksandrze, skąd możemy mieć pewność, że znów nie zaczną ojca torturować?

Mój przyjaciel niedwuznacznie dał im do zrozumienia, że księżę nie wytrzyma podobnego traktowania. I zarówno

Maksym Gorki, jak i Łunaczarski wstawili się za nim u samego Feliksa Dzierżyńskiego.

Polak Dzierżyński, założyciel i przewodniczący *Czeki*, jeszcze jeden ziemianin-renegat jak Lenin, równie okrutny co wyrafinowany!

— Może w takim razie wypuszczą ojca? — Chwyciłam się ostatniego promyka nadziei.

— Tatiano Pietrowno — Aleksander spojrzał na mnie smutno — czemu nie chce pani posłuchać ojca i nie pozwala mi zorganizować ucieczki? Załatwię dokumenty dla pani jako mojej żony, a dla niani jako pani matki.

— Czy gotów jest pan dla mnie opuścić Rosję?

— Nie tylko dla pani. Przekonałem się, że życie w państwie policyjnym jest nie do zniesienia.

— Cieszę się, że to słyszę. Ale nie straciłam jeszcze nadziei. Mamy przyjaciół, Aleksandrze, którzy przygotowują uwolnienie ojca. W każdej chwili spodziewam się od nich wiadomości.

— Moją główną troską jest ratowanie pani, i to bez względu na koszty — oświadczył górnolotnie Aleksander.

Z rozdrażnieniem machnął ręką, gdy zaczęłam mu dziękować. Rozstałam się z nim, pragnąc się w samotności pomodlić.

Dotarłam do stajni, służącej mi teraz za dom, i spędziłam wiele godzin na klęczkach przed mą ulubioną ikoną Zbawiciela.

Następnego ranka, jakby w odpowiedzi na me błagania, pojawił się uliczny urwis z zaszyfrowaną wiadomością od Borysa Majskiego.

"Infiltrujemy więzienie kronsztadzkie. Nadziei i cierpliwości!"

Poprosiłam chłopaka, by zaczekał, i napisałam na cienkiej bibułce, łatwej w razie czego do połknięcia: "Mój dzielny ojczy, mój słodki męczenniku, nadchodzi chwila oswobodzenia. Trzymaj się! T." Zawinęłam liścik w większy kawałek papieru, na którym napisałam: "W imię Boże, przekażcie to ojcu!". Wsunęłam zwitek pod podszewkę czapki chłopaka

i poleciłam mu, by dostarczył go osobiście profesorowi Holwegowi, zanim uczony uda się na wykłady.

Maj i czerwiec upłynęły mi — dręczonej na zmianę rozpaczą i łudzącej się nadzieją — stosunkowo szybko, a gwałtowna, północna, krótka wiosna i przygnębiający obraz opuszczonej, zaniedbanej stolicy czynił mój stan ducha jeszcze dotkliwszym.

W dniu mych dwudziestych pierwszych urodzin — moich i mej imienniczki, od której nie miałam żadnych wieści — niani zebrało się na wspomnienia o dniu narodzin obu Tatian. To podniosłe wydarzenie zdawało się nie mieć żadnego związku ze mną czy z Tanią. Dni jej ojca były policzone i ona również żyła w paraliżującym strachu przerywanym krótkimi chwilami szaleńczej nadziei. Ale czy istniała jakakolwiek nadzieja dla więźniów z Jekaterynburga?

Aleksander, gdy go przycisnęłam, przyznał, że Armia Ochotnicza działająca na Syberii, wspierana przez Czechów, posuwa się naprzód. Wcześniej opowiadał mi, jak to Legion Czechosłowacki w sile 300 000 ludzi, walczący u boku armii rosyjskiej, odmówił złożenia broni po zawarciu separatystycznego pokoju w Brześciu Litewskim. Zdecydowani wrócić do domu okrężną drogą przez Władywostok, opanowali kolej transsyberyjską. Zaatakowani przez bolszewików przyłączyli się do Armii Ochotniczej dowodzonej przez admirała Kołczaka. Czesi stanowili tylko jeden z wielu dziwacznych elementów, tworzących wciąż zmieniającą się mozaikę sił przed zbliżającą się wojną domową.

— Choć obawiam się — dodał Aleksander — że ofensywa Białych może jeszcze bardziej zagrozić życiu byłego cara i jego rodziny. Bolszewicy nie będą chcieli ryzykować, że ktoś ich uwolni.

— Chce pan powiedzieć, Aleksandrze, że będą woleli ich zabić? — Rozważyłam tę ewentualność, sparaliżowana ze strachu na samą tę myśl, podobnie jak rozważałam swój los i ojca. — Chyba że... — nie traciłam nadziei — chyba że Biali zdobędą miasto przez zaskoczenie.

Uchwyciłam się tej myśli, czekając na informację od generała Majskiego. W drugiej połowie czerwca nadeszła wreszcie wiadomość, bym była w pogotowiu. Nie rozstawałam się z rewolwerem i nabojami, biżuterię wszyłam w spódnicę, poleciłam Fiodorowi i Siemionowi, by uzbroili się w noże i byli gotowi. Na początku lipca otrzymałam adres na Wyspie Wasiliewskiej, pod który mieliśmy się udać pojedynczo, by nie wzbudzać podejrzeń, w nocy 10 lipca 1918 roku.

Poprzedniego dnia po południu poszłam do Parku Soło-wiewskiego, by po raz ostatni spotkać się z Aleksandrem. Otrzymał od swego byłego studenta kolejny, przekazany inspektorowi więziennemu podczas comiesięcznej wizytacji, zalakowany list od ojca. W kopercie był arkusik papieru zapisany bez pośpiechu, tym razem po rosyjsku.

„Doczeńka\

Dziękuję ci za twe słodkie słowa pocieszenia. Dzięki wielkodusznemu wstawiennictwu doktora przeniesiono mnie z poprzedniej celi i zaprzestano dalszych przesłuchań. Mój dobroczyńca dopilnuje również, by dotarł do ciebie mój ostatni list. Zostawiono mnie w spokoju i nawet okazują nieco względów, co sprawia mi niewysłowioną ulgę. Mam czystą i cichą celę. Zapomniałem już, jak mnie traktowano, i nie chowam do nikogo urazy. Moja najdroższa, nie oceniaj zbyt przesadnie moich przeżyć w więzieniu. O wiele więcej cierpiałem po śmierci twej matki. Swymi przesłuchaniami w końcu odpokutowałem winę za jej przedwczesną śmierć, po której miałem zawsze wyrzuty sumienia, wywołujące głęboką melancholię.

W tych ostatnich dniach mego życia odczuwam spokój. Wiara, która niewiele dla mnie dotychczas znaczyła, ukazała mi teraz całe swoje piękno i siłę, tak jak tobie ukazała to już dawno temu, gdy byłaś jeszcze dzieckiem. Pamiętasz słowa mej matki wypowiedziane na krótko przed śmiercią: "Pictia, kiedy nadejdzie twój czas, być może już niedługo, nie bój się.

Wszystkie cierpienia, wszystkie troski mają swój kres. Pan jest miłosierny". Moje cierpienia i troski też już osiągnęły swój kres. Żal mi jedynie mej nieszczęsnej ojczyzny, która znalazła się w rękach takich okrutnych ludzi jak Biedłow, i wszystkich przyjaciół, a wśród nich mego biednego władcy, którzy teraz są zdani na ich łaskę. Moim jedynym pragnieniem jest dowiedzieć się, że jesteś w drodze do swego ukochanego, przy którym szybko zapomnisz o tych strasznych upokorzeniach, które tak dzielnie dla mnie znosiłaś. Czuję w głębi serca, że to wkrótce nastąpi i przestanie mnie wreszcie dręczyć lęk o twoje bezpieczeństwo, który teraz nie daje mi spokoju. Proszę cię, byś również wyrzuciła z serca wszelkie obawy o mnie. Nie wolno ci się też obwiniać, jeśli nie stanie się tak, jak mnie ostatnio zapewniałaś. Niech ci wystarczy świadomość, że moja śmierć będzie honorowa i nie przyniesie hańby naszemu staremu, ruskiemu rodowi.

Całuję cię, moja najdroższa córeczko, i przyciskam długo i czule do swej piersi. Ze wszystkich zaszczytów, którymi mnie obsypano, ze wszystkich lojalnych przyjaciół, których miałem, ze wszystkich miłosnych uczuć, którymi mnie obdarzano, nie doczekawszy się mej wzajemności, ze wszystkich rzeczy, których ludzie tak gorąco pragną, a które ja miałem, wcale o nie nie zabiegając, największą nagrodą w moim życiu była miłość córki. To jedno mi zostało, kiedy wszystko inne przeminęło, i to jedno zabiorę ze sobą do grobu. Pisząc widzę blask twych cudownych oczu, padający na tę stroniczkę i odczuwam ogromne szczęście. Niech Bóg cię ma w swej opiece, moja Tatiano. Żegnaj.

Twój tata"

Siedziałam wpatrując się w list, nic nie widząc przez łzy, które napłynęły mi do oczu. Nie pokazałam go Aleksandrowi — nic potrafiłabym mu teraz wyjaśnić wzmianki dotyczącej mego ukochanego - tylko złożyłam go i wsunęłam w stanik, tuż obok rewolweru.

— Ojciec jest spokojny — powiedziałam. — Oczekuje śmierci. Czy zamierzają go stracić?

— Tak. A panią razem z nim, Tatiano Pietrowno, jeśli natychmiast pani nie ucieknie. Mam przygotowane fałszywe dokumenty — sięgnął do wewnętrznej kieszeni płaszcza.

— Aleksandrze, jak pan mógł! Przecież to musiało kosztować majątek!

— To nie ma teraz żadnego znaczenia.

— Ale moja ucieczka została już przygotowana, jednocześnie z uwolnieniem ojca. Przyszłam, by się pożegnać.

Biedny Aleksander zachwiał się.

— Bardzo... bardzo jestem rad. — Jaką miał żalowaną minę! — Będę się modlił, by wszystko poszło dobrze... i byśmy spotkali się kiedyś w bardziej radosnych okolicznościach...

— Jestem pewna, że się jeszcze spotkamy. - Czy nasze losy nie były dziwnie splątane? - Ale jak, gdzie, kiedy, któż to może wiedzieć? Czy pan też zamierza wyjechać natychmiast?

— Nie muszę się aż tak spieszyć. Poczekać, aż z Polski wycofają się niemieckie wojska okupacyjne. Wojna nie potrwa już długo. Można mnie będzie odszukać poprzez Uniwersytet Warszawski, jeśli ja nie odnajdę pani pierwszy.

— Życzę panu bezpiecznej podróży, szczęścia, sławy, wszystkiego, na co pan zasługuje, drogi Aleksandrze. I dziękuję panu, dziękuję za wszystko, co pan dla mnie zrobił, za wszystko, co pan dla mnie znaczył. - Teraz, w chwili rozstania, zdałam sobie sprawę, jak dużo dla mnie znaczył!

Spojrzałam w jego żywe oczy, tak błyszczące za okrągłymi okularami, a potem pochyliłam się i zgodnie z rosyjskim zwyczajem ucałowałam Aleksandra w oba policzki.

Koniuszek koziej bródki zadrżał ze wzruszenia.

— Tatiano Pietrowno... - zerwał się na równe nogi, kiedy wstałam. Ale odwróciłam się i szybko opuściłam park.

Fiodor przyłączył się do mnie w bramie parku i obydwójce skierowaliśmy się ku mostowi Nikolajewskiemu. Ledwo do

niego dotarliśmy, gdy zbliżył się do nas jakiś ulicznik. Miał szeroki, zadarty nos i okrągłą, zabawną twarz. Kiedy się z nim zrównałam, wyciągnął rękę i powiedział:

— Daj kopiejkę, panienko, to opowiem ci historyjkę. Tylko chodźmy w przeciwną stronę.

Wsunęłam mu w rękę parę monet i odwróciłam się tyłem do Wyspy Wasiliewskiej.

— A więc cóż to za historyjka?

— Do *osobniaka* Siłomirskich przyszło kilku marynarzy — zaczął mówić. — Poszli prosto do stajni, gdzie natknęli się na Siemiona i małą staruszkę. "Gdzie wasza pani, była księżniczka Siłomirska?" — zapytali. "A czego od niej chcecie?" — spytała kobieta. Jeden z marynarzy się roześmiał. "Jutro o świcie zostanie rozstrzelana razem ze swym tatuńciem. A teraz mów, gdzie jest, albo cię upieczemy na wolnym ogniu" — powiedział i chwycił starowinkę. "Nie ma jej tutaj i nie wiem, gdzie jest, a zresztą to nie moja sprawa. Zabieraj swoje brudne łapy!" — odrzekła kobiecina. Marynarze przeszukali cały dom, niszcząc wszystko, co im wpadło w ręce. W końcu odjechali, zabierając ze sobą Siemiona. A staruszka powiedziała mi: "Biegnij i zaczekaj na księżniczkę w pobliżu mostu Nikołajewskiego. Powiedz jej, by tu nie wracała. Dom jest pod obserwacją".

— Bardzo ciekawa historyjka — stwierdziłam. — Czy potrafisz odszukać mężczyznę podobnego do ptaka?

— Myślę, że tak.

— W takim razie idź i powtórz mu tę historyjkę, słowo w słowo. Powiedz mu też, że będę "tam, gdzie dziwy są". Zapamiętasz?

— Tam, gdzie dziwy są — powtórzył i zuchwale nadstawił policzek. Pocałowałam go, a on pobiegł, pogwizdując. Tymczasem ja poszłam dalej na północ przez wyspę.

— Fiodorze — powiedziałam — zawróć ostrożnie i o zmroku przyprowadź nianię do tego domku na Małym Prospekcie. — Dałam mu adres, który dostałam od Borysa



Majskiego. — Będą się was tam spodziewali. Przewiożą łodzią do daczy Siłomirskich. Będę czekała w lasku brzozowym, w małej zatoczce, w której ukrywałam się, kiedy byłam małą dziewczynką. Pamiętasz?

— Pamiętam, Tatiano Pietrowno.

— Dobrze. Jeśli cię zatrzymają, udawaj głuchoniemego. Niech niania mówi. A teraz idź już. — Na twarzy olbrzyma, który tak wspaniale potrafił udawać absolutną tępotę, malował się teraz upór.

— Idź! — powtórzyłam, i posłuchał mnie.

Poszłam pod podany mi przez generała Majskiego adres. Na skraju pola, niedaleko cmentarza smoleńskiego, na końcu ogrodu otoczonego drewnianym płotem stał mały, biały domek.

Niepewna przyjęcia przed wyznaczonym czasem ruszyłam ostrożnie do tylnych drzwi. Jednak gospodyni w średnim wieku, o macierzyńskim wyglądzie, która wpuściła mnie do środka, zachowywała się tak, jakby oczekiwano na mnie z podwieczorkiem. Jej mąż, były kwatermistrz w korpusie kawalerii ojca, pracował teraz w ludowym komisariacie zaopatrzenia. Podano mi prawdziwą herbatę i chleb razowy z dżemem. Potem gospodyni pomogła mi się przebrać w wiejską sukienkę z grubej, drukowanej bawełny, wypchała mi stanik, przyczerniła zęby i zawiązała nisko nad czołem chustę, ukrywając pod nią włosy.

Po zachodzie słońca przyszedł rybak, by przeprowadzić mnie przez pusty las i pola ku zachodniemu krańcowi wyspy. Przy samotnym drewnianym pomoście przycumowany był kuter rybacki. Weszłam na pokład i ukryłam się w malutkiej kabinie.

Nie płynęliśmy dłużej niż kwadrans, kiedy silnik przełączono na wolne obroty i łódź zakołysała się na fali, wywołanej przez jakiś większy stateczek. Usłyszałam powitanie, a potem bardzo wyraźne słowa:

"Towarzyszu rybaku, szukamy dziewczyny, ma dwadzieścia jeden lat, jest wysoka, szczupła, jasnowłosa. To była księżniczka Siłomirska, wróg Republiki

Rad. Wszyscy pomagający jej w ucieczce zostaną rozstrzelani.

- I bardzo słusznie - dobiegła mnie dźwięczna odpowiedź. - Będę miał oczy otwarte, towarzysze.

Po kolejnych pięciu kwadransach łódź znów się zatrzymała i otwarto luk. Wyszłam z kabiny, wręczyłam rybakowi w nagrodę swój zegarek, powiedziałam mu, że będzie go tej nocy czekało jeszcze trochę pracy, i zdjawszy buty, weszłam do wody. Szybko przeszłam w bród w stronę zatoczki należącej już do posiadłości Siłomirskich nad brzegiem Zatoki Fińskiej, jedną wiorstę na północ od naszej willi na wzgórzu.

Wspięłam się na brzeg i ukryłam w bagnistych zaroślach; rozpostarłam zamoczoną trochę spódnicę i oddychając ciężko wdychałam głęboko czyste, morskie powietrze. Zatoczka cicha i tajemnicza tonęła w białej poświacie przesilenia letniego. Liście olbrzymiego dębu rosnącego na samym brzegu zwisały nieruchomo nad cicho pluskającą wodą. Był to dąb z baśni mego dzieciństwa. Nagle usłyszałam piękny głos ojca recytującego pierwsze linijki puszkinowskiego "Ru-słana i Ludmiły":  
***Jest nad zatoką dąb zielony, Na dębie złoty łańcuch łśni; I całe noce, całe dni Wędruje po nim kot uczony; Zwróci się w prawo - śpiewa pieśni, A w lewo - bajki opowiada. Tam dziwy są... \****

"Tam, gdzie dziwy są" - tak nazwałam w dzieciństwie to miejsce z ukrytymi ścieżkami i ze śladami pozostawionymi przez nigdy nie widziane bestie. Wyobrażałam sobie, jak trzydziestu młodych i pięknych rycerzy wyłania się z głębi lasu, a może będą to marynarze, którzy przyjdą o świcie, by zastrzelić mnie i ojca? Czy będzie to ostatnia moja noc na tym świecie? Czy już nigdy nie poczuję na swych wargach

aksamitnie miękkich ust Stefka? Za ledwie trzy lata temu byłam pewna, że spełni się moja baśniowa wizja miłości i szczęścia. Krążyłam nad światem niczym rajski ptak. A teraz byłam ściganym zwierzęciem z błyszczącymi oczami, mocno bijącym sercem, ukrywającym się na bagnach przed czerwonymi psami gończymi.

Och, tatusiu, pomyślałam, czy oswobodzą cię na czas? Czy zabierzemy cię na wybrzeże baskijskie, gdzie nabierzesz sił i zapomnisz o przeżytych cierpieniach, obserwując swych wnuków bawiących się na plaży? Czy też ten list, który schowałam na piersi, jest twoim pożegnaniem ze mną? A jaki jest piękny!

Wyjęłam list i przeczytałam jeszcze raz w świetle północnej białej nocy, póki nie nauczyłam się go na pamięć. Jak pragnęłam, by przeczytała go również Tania! Gdzie teraz może być? Czy też udało im się uciec? Czy uwolniono ją w porę? Zamknęłam oczy i prawie poczułam jej spokojną, silną obecność.

Słodka i dominująca żalność zastępowała strach w miarę, jak przed oczami mej duszy rozwijały się dziewczęce wspomnienia. Stały mi jak żywe przed oczami wszystkie wspólne, radosne chwile spędzone z ojcem od początku wojny do wigilii jego aresztowania. Na brzegu panowała cisza. Wiedziałam, że szeroko rozlane wody Newy nie odbijały kolorowych światełek statków wycieczkowych. Z radzieckich łodzi patrolowych, które nocami omiatały zatokę kronsztadzką swymi reflektorami, nie dobiegł mnie dźwięk akordeonu ani odgłosy śmiechu. Wygladziłam list ojca, przyciągnęłam go obydwoma dłońmi do piersi, wsparłam głowę o pień wiązu i zapadłam w drzemkę.

Obudził mnie odgłos warkotu silnika na wolnych obrotach. Z ulgą rozpoznałam kuter rybacki, którym przyplłynęłam. Kiedy łódź się oddaliła, w zatoczce ukazał się Fiodor niosący w ramionach niczym małe dziecko moją starą nianię.

— Mój dobry Boże, takie rzeczy, takie przygody na stare lata - sapnęła niania, gdy Fiodor postawił ją na ziemi. - Dzięki Bogu, że jesteś bezpieczna, moja gołąbeczko.

— Masz biżuterię? — spytałam.

Niania poklepała stanik i spódnicę *sarafanu*.

— Jest tutaj. Ale przyniosłam jeszcze coś lepszego. Żwawa starowinka wyciągnęła chleb i kielbasę, które"

zjadłam z apetytem. Potem ukryłyśmy się w zaroślach, przykucnąwszy na bagnistym terenie, oczekując naszych wybawców.

O świcie usłyszałam z lewej strony, tam, gdzie znajdowała się twierdza kronsztadzka, odgłos dział, i serce zabiło mi gwałtownie. Nie minęło dużo czasu, a do zatoczki wpłynęła motorówka i zatrzymała się pod zwieszającymi się gałęziami. Wyskoczyło z niej kilku marynarzy.

Zamarłam z przerażenia. Wtem rozpoznałam sokoli nos i krzaczaste brwi Borysa Andriejewicza Majskego. Wstałam i utorowałam sobie drogę przez zarośla. Ale kiedy spojrzałam w jego twarz, moja radość i ulga zniknęły. Brwi generała stykały się nad jego haczykowatym nosem w pełnym furii grymasie. Wychudzone policzki drżały.

— Przybyliście za późno? - Domyśliłam się.

— Tak. Zdołaliśmy oswobodzić Siemiona... i przywieźć księcia pani ojca... by mogła go pani pogrzebać.

Przez płytkie wody zatoki szło czterech ludzi przebranych za marynarzy, niosąc coś długiego i ciężkiego, zawiniętego w płótno. Za nimi kroczył płaczący Siemion. Generał Majski wskazał im małą, porośniętą trawą polankę, niewidoczną od strony morza. Tutaj złożyli swój ciężar i rozchylili płótno.

Zbliżyłam się wolno i spojrzałam na martwego ojca. Ten niegdyś postawny mężczyzna był wychudzony, twarz miał postarzałą, siwe włosy białe jak kreda. Leżał wyprostowany. Wokół rany na szyi, w miejscu, któredy wyszła kula, pochodząca ze śmiertcionośnego strzału w tył głowy, zakrzepła krew. Na mundurze widniały małe, brązowe plamki tam, gdzie dosięgły go inne kule. Wiatr poruszył wielką, białą

brodą na wychudzonej piersi. Na widok ojca przypomniałam sobie ostatnie słowa mej babki skierowane do niego: "Wszelkie troski, wszelkie cierpienia mają swój kres. Pan jest miłosierny".

Wolno i poważnie uczyniłam znak krzyża i padłam na kolana, wpatrując się w jego twarz. Siemion, zawodząc rozziewając, uklęknął u stóp ojca, a niania rzuciła się na ciało swego wychowanka, obsypując je pocałunkami. Borys Majski wydał oschłym tonem rozkaz, by ukryć łódź i jak najszybciej wykopać grób. Fiodor dołączył do kopiących. Zostałam sama ze starą nianią i ordynansem ojca.

- Powiedz mi, Siemionie, jak to się stało - poprosiłam cicho. - Czy widziałeś ojca, zanim go rozstrzelali?

- Spędziłem z nim noc, Wasza Wysokość - zaczął Siemion, połykając łzy.

- Z początku umieścili mnie w innej celi, ale tak długo ich błagałem, aż w końcu zaprowadzili mnie do niego. Był bardzo słaby, leżał na sienniku. Znacznie wychudł od czasu, gdy go ostatni raz widziałem. Znów dokuczała mu wątroba.

"Siemion, ty też tu!" - krzyknął na mój widok. "A księżniczka Tatiana, moja córka?" Opowiedziałem mu, co zaszło.

"Dzięki Bogu!" - powiedział. "Niania ją ostrzeże. Będzie bezpieczna".

Potem uspokoił się i zaczął mnie pocieszać. Opowiadał o Waszej Wysokości, kiedy była pani jeszcze małą dziewczynką, i trochę o naszym władcy, a potem o bitwach, w których razem braliśmy udział, ale wciąż powracał do wspomnień o pani. Nie spał, ale był spokojny i nie bał się. O świcie do celi weszło kilku marynarzy-bolszewików. Oficer odczytał, że mojego księcia orzeczono winnym zbrodniom przeciw ludziom radzieckim i że został skazany przez... przez Ogólnorosyjską Nadzwyczajną Komisję do Walki z Kontrewolucją i Sabotażem, jednym słowem, przez *Czekę*, na rozstrzelanie. Ci bolszewicy kochają się w długich nazwach!

"To wy jesteście zbrodniarzami!" — powiedziałem. Zamachnęli się na mnie, ale mój książę ich powstrzymał.

Książę był zbyt słaby, by wstać. Pomogli mu, popędzając brutalnie.

Włożyłem mu mundur na gołe ciało i buty. Powiedzieli, że na dole i tak będą go musieli rozebrać. Oficer pozwolił mi przypiąć księciu krzyże św. Jerzego i św. Andrzeja i poczesać jego brodę — stała się biała jak u starca. Potem dwóch silnych marynarzy ujęło go pod ramiona. Choć tak wychudł, był wciąż potężnym mężczyzną i jeden z nich mruknął, że lepiej byłoby go zabić tu, na miejscu. Ale ich oficer oświadczył, że towarzyszy Biedłowi, jak wszystko wykonuje się zgodnie z regulaminem. Zawlekli księcia do piwnicy, gdzie wykonują swój zbrodniczy proceder. Poszedłem za nimi z rękami związanymi na plecach. Piwnica cuchnęła krwią. Pod jedną ścianą stał szereg skazańców. W świetle żarówek ich twarze były... straszne! Zacząłem się trząść, ale twarz księcia była spokojna.

"No Siemionie, bądź dzielny" — powiedział. "Za chwilę znów się zobaczymy".

Popchnęli mnie za nim i ustawili pod ścianą wraz z innymi. Byliśmy ostatnimi skazańcami, których przyprowadzono. Przyglądałem się, jak posadzili mego księcia na krześle zwróconym w stronę miejsca egzekucji. Wszedł oddział czekistów. Zaczęli po kolei wywoływać mężczyzn. Zabijali ich strzałem w tył głowy. Zacisnąłem powieki. Kiedy usłyszałem łoskot przewracającego się krzesła, na którym siedział mój książę, poczułem się tak, jakby mnie też zabito; było mi już zupełnie obojętne, co się teraz ze mną stanie, zupełnie obojętne. Ale wtedy zapanowało jakieś zamieszanie, rozległy się strzały, jakieś krzyki i po chwili Jego Ekscelencja generał Majski przecinał mi więzy.

Podniosłem ciało księcia, przerzuciłem je sobie przez ramię — poczułem się tak silny jak Fiodor — i wyniosłem z twierdzy. Wszędzie słychać było strzelaninę. Z wieloosobowych cel uwolniono więźniów i na ich miejsce zamknięto strażników; komendanta twierdzy zatrzymano jako

zakładnika. Wyły syreny. Zapanował taki harmider, że Czerwoni nie wiedzieli, co najpierw robić! Przedostaliśmy się do łodzi. Strzelano do nas z dział, ale mnie było już wszystko jedno, wszystko jedno... — dokończył głosem rozdzierającym serce i znów zaczął łkać.

Niania, obejmując ojca za nogi, przyłączyła się do płaczu Siemiona. Nie płakałam. Wypełniał mnie dziwny spokój i cisza, w której każdy dźwięk odbierałam ze zdwojoną ostrożnością: zgrzyt łopat o kamienie, uwijanie się wiewiórek po lesie, ćwierkanie ptaków w gałęziach, uderzanie fal o brzeg, zawodzenie mew.

— Nianiu, czemu płaczesz? — spytałam. — Tatusiowi jest dobrze, tatuś jest z Naszym Panem. Uspokój się.

— Jak nie płakać, kiedy mi serce krwawi — odparła. — Ale jeśli ci przeszkadzamy, zostawimy cię samą. Chodź, Siemionie, zostawmy księżniczkę.

— Zostańcie. — Zawstydyłam się. — Wy go też kochaliście. Wspólnie się za mego pomódlmy.

Zaczęłam się cicho modlić. Niania i Siemion wtórowali mi swymi głębokimi głosami, póki nie wrócił generał Majski i nie oznajmił, że grób jest gotów.

Jeszcze raz spojrzałam w twarz ojca. Potem pochyliłam się i pocałowałam go w czoło.

— Spij spokojnie, *papoczka* — szepnęłam. Nagle poczułam przemożną chęć położenia się obok i pozostania z nim na zawsze. Lecz zanim padłam na ziemię, generał Majski ujął mnie pod ramię i odprowadził na bok, bym nie widziała, jak będą składali do grobu owinięte w płótno ciało ojca.

Kiedy usypano mogiłę, kilkunastu oficerów przebranych za marynarzy ustawiło się w dwuszeregu. Przy grobie wykopanym tam, gdzie w cieniu dębu rosła brzoza, klęczeli Siemion, Fiodor i niania. Zbliżyłam się do mogiły i poprosiłam Borysa Majskiego, by powiedział kilka słów.

Zdjął czapkę i przyciskając ją do piersi, zaczął mówić miękkim, melodyjnym głosem, który całkiem nie pasował do jego szorstkich manier.

— Powierzamy Ci, Panie, duszę generała księcia Siłomir-skiego, który poległ za swego władcę i za swoją ojczyznę. Kiedy przyjdzie pora na nas, chcielibyśmy polec tak, by nie przynieść wstydu naszemu księciu i dowódcy. Amen.

Nie chcąc zwracać uwagi poszukujących nas bolszewików, nie wystrzelono salutu. Oficerowie zaprezentowali broń. Potem po kolei podchodzili do mnie. Poważnie, nie płacząc, ścisnęłam im ręce, dziękując za lojalność wobec ojca. Postaliśmy jeszcze przez chwilę w milczeniu, oddając ostatni hołd zmarłemu, a potem zajęliśmy się sprawami tych, którzy pozostali przy życiu.

Dowództwo objął generał Majski. Sprawdził swój rewolwer i zaprowadził mnie w gęste krzaki jeżynowe. Tu miałam się ukrywać do zmroku, kiedy to mieliśmy się udać w stronę Finlandii, gdzie popłynęła już jedna łódź z oficerami ojca. Siemion miał pełnić straż koło mnie, podczas gdy Fiodor miał się zaopiekować nianią. Następnie Borys Andriejewicz opuścił nas, by porozstawiać swych ludzi na warcie. W wypadku ataku mieli użyć broni palnej tylko w ostateczności. Wszyscy uzbrojeni byli w noże.

Przykucnęłam w krzakach, trzymając w dłoni rewolwer. Kiedy słońce wzeszło wysoko na niebie, zrobiło mi się gorąco i niewygodnie. Jadłam jeżyny i oganiałam się przed muszkami i mrówkami. Ogarnęła mnie senność. Obawy, nadzieje, zgryzoty ostatnich miesięcy zlały się w jedno przemożne życzenie. Zwinęłam się na ziemi, jedną rękę podłożyłam pod głowę, drugą ścisnęłam rewolwer i usnęłam.

Spałam jak pogrążona w letargu. Skwar dnia słabł; od zatoki zaczęła wiać chłodna bryza. A ja wciąż spałam i nie poruszyłam się nawet, gdy usłyszałam jak przez mgłę ostrzegawcze gwizdnięcie, odgłos walki wręcz i cichy warkot motorówki. Wzdrygnąwszy się otworzyłam oczy i ujrzałam najprawdziwszego marynarza wznoszącego nade mną bagnet. Rękę z rewolwerem miałam poniżej piersi. Wycelowałam w jego błyszczącą, czerwoną twarz z długimi bakami i obnażonymi zębami, przypominającymi kły foki, i wystrze-



liłam. Karabin wypadł mu z ręki, osunął się na mnie, obryzgując mnie krwią. Odepchnęłam jego ciało i zerwałam się z ziemi. Ale w tym samym momencie poczułam gwałtowny ból od ciosu w tył głowy. Chwyciły mnie mdłości, zakręciło mi się w głowie i ogarnęło mnie ogromne znużenie, w którym pogrążyłam się z zadowoleniem. Oto umieram i wkrótce złożą mnie u boku ojca, bym już na wieki mogła spać spokojnie w jego grobie.

Moim pierwszym uczuciem po odzyskaniu przytomności był żal. Jaka szkoda, że nie umarłam, pomyślałam. Jak kiedyś, podczas choroby, gdy miałam dziesięć lat, próbowałam znów usnąć w nadziei, że może jeszcze umrę. Ale dokuczał mi ból głowy i nudności, więc otworzyłam oczy. Leżałam w piwnicy. Z wąskiej szczeliny wysoko w ścianie przenikało mleczne światło. Nade mną pochylała się twarz z krzaczastymi brwiami i sokolim nosem.

— Tatiano Pietrowno, jak się pani czuje? — spytał sokół. Przypomniałam sobie obrzydliwe uczucie, które mnie

ogarnęło, gdy zważyło się na mnie olbrzymie cielsko. Uniosłam się na łokciach, przeszył mnie gwałtowny ból i dostałam torsji.

Niania podsunęła miskę, a potem otarła mi twarz. Do generała, który zmienił mi zakrwawiony opatrunek, powiedziała:

— Proszę jej o nic nie pytać, Wasza Ekscelencjo. Jej stan się od tego pogarsza.

— Nianiu... — wyszeptałam.

— Widzi Wasza Ekscelencja, poznała mnie. Tak, moja duszko, o co chodzi?

— Chcę do swego łóżka. Chcę do taty.

— Dobrze, dobrze, spróbuj usnąć — powiedziała niania, ale Borys Majski, przerwał jej:

— Nie wolno jej teraz spać. Musi odzyskać pamięć. Tatiano Pietrowno, poznaje mnie pani?

— Tak, Borysie Andriejewiczu Majski. Czy spadłam z konia?

— Nie, nie spadła pani z konia, Tatiano Pietrowno. Uderzono panią kolbą karabinu w tył głowy. Siemion zabił czerwonogwardzistę, który panią zaatakował. Otoczono naszą motorówkę i nie mogliśmy do pani dopłynąć. Reszta naszych ludzi uciekła. Fiodor przyniósł panią do piwnicy pani willi. On i Siemion są razem z nami. Będziemy się tu póty ukrywali, póki nie będziemy mogli stąd uciec. Czy rozumie pani, co do niej mówię, Tatiano Pietrowno?

— Nigdzie się stąd nie ruszę. Będę czekała na tatusia.

— Tatiano Pietrowno — Borys Andriejewicz położył mi dłoń na ramieniu — pani ojciec nie żyje, został rozstrzelany przez bolszewików. Pochowaliśmy go w pani obecności. Nie jest pani małą dziewczynką, ma pani dwadzieścia jeden lat. Przeżyła pani wielki wstrząs, otrzymała pani cios w głowę, ale teraz musi pani wrócić do świata rzeczywistego.

— Jeśli Pan Bóg w swym miłosierdziu chce oszczędzić naszej księżniczce świadomości o śmierci jej ojca — odezwała się niania — może nie powinniśmy Mu w tym przeszkadzać, Wasza Ekscelencjo? Kiedy uzna za stosowne, przywróci jej pamięć, tak jak ją teraz jej pozbawił.

Siemion ochoczo zabrał się do służenia swemu nowemu panu.

Przyniesiono z góry prześcieradła i pościel, w spiżarni odkryto zapasy przetworów i puszek, w cysternie — deszczówkę. Przez środek pomieszczenia zrobiono przepierzenie z koców, oddzielając mój kąć od części zajmowanej przez mężczyzn. Przerobiono drzwi do piwnicy tak, by można je było otwierać tylko od środka i zamaskowano je skrzynkami oraz beczkami. Siemion i Fiodor na zmianę pełnili wartę na wieżycze willi, skąd obserwować można było wszystkich, którzy próbowaliby się dostać na teren majątku, zarówno od strony lądu, jak i od strony morza. Dzień minął spokojnie, ale o zmierzchu Fiodor zameldował, że od strony Kronsztadu płynie w kierunku naszego mola motorówka. Zatrzaśnięto za nim drzwi, a generał Majski usiadł tuż koło mnie, by w razie czego stłumić moje jęki.

Niania powiedziała, że willę zaatakowali piraci i że musimy zachować ciszę.

Kiedy tupot nóg i odgłosy głosów tuż za ścianą umilkły, generał Majski oświadczył:

— Tatiano Pietrowno, to nie zabawa. Ci piraci to szukający nas czerwonogwardziści. Zabili pani ojca i zabiją również nas, jeśli nie będziemy ostrożni.

— To nieprawda. Tatuś niedługo wróci do domu!

— O, Boże! - jęknął Majski. - Nie możemy, niestety, sprowadzić doktora! Na froncie zetknąłem się z kilkoma takimi przypadkami amnezji, wywołanymi szokiem. Księżniczce potrzebny jest jedynie spokój. Przeszło miesiąc leżałam chora na podłodze piwnicy. Kiedy ból i mdłości zelżały, generał Majski zdecydował, że szybciej powrócę do zdrowia, jeśli będę zażywała świeżego powietrza. Podczas gdy Siemion obserwował okolicę z wieżyczki, a generał Majski pełnił straż, Fiodor wynosił mnie do zapuszczonego ogrodu, gdzie ukrywał mnie dziki gąszcz jeżyn i traw. Zaakceptował mój stan, tak jak zaakceptowali go niania i Siemion. Jedynie wykształcony generał Majski nalegał, by starać się przywrócić mi pamięć. Ale po każdej takiej próbie krzyczałam w nocy przez sen.

W nocnych koszmarach ścigał mnie człowiek o mongolskich rysach Biedłowa, ale z wąsami i kłami foki. Biegłam przez miasto, które było jednocześnie Warszawą i Piotrogradem. W pewnej chwili dostrzegłam przed sobą dżentelmena o wyglądzie belfra, śpieszącego dokądś szybkimi, drobnymi kroczkami. "Aleksandrze - wołałam - to ja, Tania!" Odwracał się i wtedy okazywało się, że to wcale nie Aleksander, ale Biedłow-Foka. Uciekałam przed nim do wielkiego holu, w którym po jednej stronie stały damy w wysadzanych drogimi kamieniami *kokosznikach*, a po drugiej - urzędnicy dworscy w białych spodniach i szkarłatnych surdutach. Otwierały się drzwi i pojawiał się w nich mój

władca w płaszczu z żółtego atlasu, podbitym gronostajami. W rękę trzymał berło i jabłko. Ogarniała mnie szalona radość. W końcu byłam bezpieczna. Jednakże kiedy skłoniwszy się nisko, unosiłam wzrok ku twarzy mego cara, zamiast łagodnych i przystojnych rysów mego ojca chrzestnego widziałam złośliwe, zielone oczy i żółte kły Biedłowa-Foki. Pod koniec sierpnia Borys Majski postanowił dostać się do Piotrogradu, by zorganizować ucieczkę. Wszystkie motorówki zostały skonfiskowane. Znalazł tylko przeciekającą łódź wiosłową, którą przy pomocy Siemiona zreperował. Generał zapuścił wąsy i brodę; zarost zupełnie zmienił jego twarz. W szopie na łodzie wyszperał zakurzony, nieprzemakalny strój rybacki.

Podaliśmy Borysowi Andriejewiczowi dłoń do pocałowania jak mała, grzeczna dziewczynka, a on pochylił nad nią głowę.

- Jeśli stanie się nam coś złego, niech Bóg ma panią w swej opiece, Tatiano Pietrowno.

Borys Majski i Siemion nie wrócili. Upłynęły dwa tygodnie i niania przestała ich wyglądać.

Minął wrzesień. Październik przyniósł pierwsze przymrozki. Zużyliśmy wszystkie zapasy żywności. Fiodor zbierał jagody i orzechy, łowił ryby i polował. Chcąc zaoszczędzić naboje na obronę przed wrogiem i unikać hałasu, zrobił sobie łuk i strzały. Upolowane przez niego kaczki piekliśmy na kamieniach, rozpędzając dym, by nie zdradzić swej obecności. Fiodor rąbał drewno na nadchodzącą zimę. Niania szyła z koców i pikowanych narzut zimową odzież, mnie powierzając lekkie prace domowe.

Opadały mnie niewyraźne wspomnienia czegoś odrażającego i przygnębiającego, jak przypomnienie przytłaczającego mnie martwego ciała czerwonogwardzisty. Staralam się rozproszyc tę mgielkę przerażona na myśl, że nic zdaję sobie w pełni sprawy z tego, kim jestem, i popadałam w odrętwienie.

— O, Panie Boże — modliła się niania — wiem, że chciałeś oszczędzić mej księżniczce większego cierpienia, niż byłaby

w stanie znieść, i będę zgodnie z Twoją wolą się nią opiekowała. Ale mam już siedemdziesiąt lat i wkrótce sama zdziecinnieję. Kto wtedy będzie się o nią troszczył, mój Panie?

Później, gdy ze szczegółami opisywała mi te "stracone" miesiące, wyznała mi, że była pewna, iż Bóg w odpowiednim czasie uczyni to, co należy. Ale zaczynała go prosić, by się pospieszył.

W połowie października Fiodor jak zwykle przed zmrokiem zrobił obchód okolicy. Wrócił z jakimś nieznanym i postawił go przed nianią, w której mądrość głęboko wierzył.

— Zabiłbym go, ale twierdzi, że należy do Białych, i że Jej Wysokość go rozpozna — oświadczył spokojnie.

— Nawet jeśli go znała, może go nie pamiętać — powiedziała niania. — Kim jesteś? — spytała nieznanego.

— Porucznik marynarki baron Niessen, były chorąży na cesarskim jachcie „Standard”. Służę teraz w Armii Ochotniczej. Przynoszę Tatianie Pietrownie list od śp. wielkiej księżniczki Tatiany Nikołajewny.

— Jak to? Czy wielka księżniczka nie żyje?

— Tak. Została zamordowana przez bolszewików. Razem z naszym władcą i całą jego rodziną.

— Dobry Boże, to straszne! — Niania się przeżegnała. — Kiedy księżniczka o tym usłyszy, może stracić tę resztkę zdrowego rozsądku, który jej jeszcze pozostał. Ale jeśli taka jest wola boska... Witamy Waszą Wysokość. Fiodor, podaj Jaśnie Panu coś do jedzenia i do picia, a ja przyprowadzę księżniczkę.

Weszła za przepierzenie z koców, gdzie drzemałam.

— Moja duszko, przyszedł do nas oficer Białych z wiadomością od wielkiej księżniczki Tatiany Nikołajewny.

— Od Tatiany Nikołajewny? — Wzdrygnęłam się. Pamiętałam lekcje tańca w Pałacu Zimowym, jakby to

było zaledwie wczoraj. Spojrzałam na swą prostą, bawek-nianą sukienkę, wypłowiałą od wielokrotnego prania w deszczówce. Jak to się stało, że mam na sobie taki strój?

— Podaj mi trzewiki — poprosiłam.

Niania pobiegła po moją jedyną parę pantofli. Przyglądałam splecione w warkocze włosy i odsunęłam koc na bok.

Od stołu podniósł się zarośnięty, młody człowiek w postrzępionej żeglarskiej bluzie. Głowę owiniętą miał zakrwawionym bandażem.

Pochylił się nad moją dłońią.

— Proszę usiąść — powiedziałam do niego po angielsku i zajęłam miejsce przy stole, ręce składając na piersi, a gołe łokcie przyciskając do ciała, tak jak mnie niegdyś uczono.

— Miałem nadzieję, że mnie pani pamięta — powiedział i przedstawił się. — Byłem na pani balu maturalnym w 1914 roku.

W baronie Niessenie nie było nic godnego zapamiętania. Pochodził ze starej, bałtyckiej rodziny, od pokoleń służącej w cesarskiej marynarce.

Wybrano go do służby na „Standardzie” ze względu na dobre maniere i znajomość angielskiego.

— Może nie poznaje mnie pani przez ten bandaż — ciągnął. — Obawiam się, że opatrunek nie jest zbyt fachowo wykonany. Ale nie mogłem znaleźć żadnego lekarza.

Uważnie przyjrzałam się bandażowi.

— W jaki sposób odniósł pan ranę?

— Skryłem się pod wodą przed patrolem bolszewickim i uderzył mnie koniec łopatki śruby napędowej. Ale to drobiazg, księżniczko. Przynoszę pani list od...

— Nie teraz — przerwałam mu. Spoglądałam na opatrunek. —

Potrzebuję nożyczek, spirytusu, gazy jałowej...

Niania popatrzyła na mnie, potem się przeżegnała, mrucząc pod nosem słowa dziękczynnej modlitwy.

— A skąd mam je wziąć, moja księżniczko? — spytała. Rozejrzałam się wokół.

— Proszę się nie ruszać. — Położyłam dłoń na ramieniu żołnierza. — W takim razie daj wodę i czyste płótno.

Namoczyłam zakrwawiony bandaż póki nie rozmiękł na tyle, by można go było odwinąć. Powiedziałam Fiodorowi,

by przytrzymał świecę i skierowałam głowę rannego w stronę światła.

— Rana jest głęboka. Należy ją dezynfekować i zszyć. Nianiu, gdzie my jesteśmy?

— W piwnicy daczy Siłomirskich, moja duszko. Ukrywamy się tu przed bolszewikami...

— Zaraz, zaraz, pozwól mi zebrać myśli. Willa. Był tu ośrodek dla żołnierzy-rekonwalescentów. Jest tu apteka. Muszą być jakieś środki medyczne. Pójdziemy i poszukamy.

Nie zważając na protesty niani, ruszyłam w górę, a Fiodor oświetlał mi drogę. Wędrówka przez nie zamieszkane, budzące grozę pomieszczenia zajęła nam nieco czasu. Niektóre pokoje były dziwnie znajome, jakbym widziała je w swoim poprzednim życiu. Tutaj jako dziecko sypiałam z misiem w ramionach. Tu, jako siedemnastoletnia, zakochana panienska, nasłuchiwałam odgłosów falujących wód zatoki. Zakochana w kim? Jak dawno temu?

Znów zaczęła mnie boleć głowa. Szybko odszukałam mieszczącą się na parterze aptekę.

Wróciłam do piwnicy, z emaliowanym pojemnikiem, w którym było wszystko, czego potrzebowałam. Fiodor trzymał świecę, a ja oczyściłam ranę i założyłam szwy rękami, które nie straciły nic ze swej wprawy. Potem, wyczerpana długim natężeniem uwagi, oświadczyłam baronowi Niessenowi, że wysłucham jego relacji następnego dnia, i poszłam do łóżka.

Przez całą noc rzucałam się, próbując zedrzeć zasłonę niepamięci, wciąż przesłaniającą mi świadomość. O świcie wreszcie usnęłam, a gdy się obudziłam, pamiętałam wszystko ze szczegółami, nie wyłączając ostatniego spotkania z Aleksandrem, ostrzeżenia ulicznego urwisa, łodzi wpływającej do małej zatoczki. Ale choć potrząsałam głową i starałam się skupić, wciąż nie wiedziałam, co zaszło na brzegu i czemu znalazłam się w tej piwnicy.

Wyszłam na dwór, by się umyć, rozbiłam cienką warstewkę lodu, która pokrywała wodę w cysternie, i z przyjem-



nością wdychałam rześkie, poranne powietrze. Nisko nad ziemią przeleciał klucz dzikich kaczek, kierując się na południe. Spojrzałam na swe odbicie w wodzie.

— Stefek powiedziałby, że wyglądasz jak tyczka, Taniuszko-chudeuszko — zwróciłam się do siebie. Nie byłam piękna, ale to byłam ja.

Starannie splotłam włosy w warkocze, włożyłam pantofle, choć mnie uwierały, i wyszłam na spotkanie z oficerem. Śniadanie składało się z wody, jagód i resztek dzikiego królika, którego podano na różowej, ozdobionej złotym szlaczkiem porcelanowej zastawie z daczy.

Baron Niessen ogolił się i starannie przystrzygł wąsiki. Nie czuł się już skrepowany swym wyglądem zewnętrznym, ale był podenerwowany i wciąż przygryzał usta. Spytałam go, jakie przynosi wiadomości.

Z wewnętrznej kieszeni bluzy wyciągnął złożoną kartkę i bez słowa położył ją przede mną.

Podeszłam do zakratowanego okienka, przez które wpadało nieco światła. Z początku litery tańczyły mi przed oczami odzwyczajonymi od czytania, ale w końcu wróciły na swoje miejsce. Rozpoznałam kanciaste pismo mej imienniczki.

Zaczęłam odczytywać angielski tekst.

"Najdroższa Taniu!

Moja siostrzyczko, moja jedyna przyjaciółko, gdziekolwiek jesteś, modłę się, by ten Ust dotarł do ciebie wraz z najczulszymi życzeniami od nas wszystkich, byś była szczęśliwa i bezpieczna. Dziękujemy za twój list ze smutną wiadomością o śmierci Anny Władimirowny".

A więc Maria Fiodorowna przekazała mój list — niech Bóg ma w opiece Jej Cesarską Wysokość!

„Dotarł do nas tuż przed naszym wyjazdem z Tobolska dzięki naszym kontaktom, rzadkim, lecz niezwykle cennym, z Anmamą. Tu, do Jekaterynburga, nie dociera już żadna korespondencja. Jestem pewna, że dużo do mnie pisałaś

podobnie jak ja do ciebie. Tatko powiedział nam, że próbowałaś nawet ponownie się z nami zobaczyć w Carskim Siole. Domyślił się, że chcesz nam podrzucić wiadomość, i ostrzegł cię, byś tego nie robiła. Nie obawiał się represji wobec nas, lecz w stosunku do ciebie i księcia Siłomirskiego. Podczas twojej ostatniej wizyty u nas mateczka także przez wzgląd na twoje dobro sprawiała wrażenie oschłej i niezyczliwej. Wielokrotnie próbowałam cię o tym powiadomić, byś nie wspominała jej z niechęcią, kiedy już opuści ten świat. Jeśli nawet mateczka była dla ciebie czasami niesprawiedliwa, w głębi serca zawsze cię kochała. Dowiodła tego owego dnia w Carskim Siole, gdy tak nieuprzejmie odrzuciła twą propozycję przyłączenia się do nas. Początkowo czułam się tym dotknięta, ale teraz jestem jej za to niezmiernie wdzięczna.

W domu gubernatora w Tobolsku nie było tak źle. Nikt się na nas nie gapił przez wysoki, drewniany płot - na Syberii wszystko się robi z drewna. W ogóle nikt się tam nami specjalnie nie interesował. Żyliśmy sobie wygodnie i spokojnie. Dużo z Olgą czytałyśmy. Młodsze dziewczynki z Aleksym pobierały lekcje u wiernego Gilliarda. Czy to nie dziwne, że pozostał nam lojalny Szwajcar, podczas gdy tylu Rosjan się nas wyparło? Tatko piłował drewno na opał i, oczywiście, grał w domino. Na Boże Narodzenie mateczka zrobiła prześliczne kartki świąteczne. Choć może to dziwnie zabrzmieć, ale byliśmy szczęśliwi. Nigdy ani przez chwilę nie żałowaliśmy naszej decyzji pozostania z rodzicami bez względu na to, co się może zdarzyć. Ale odkąd dołączyliśmy do tatki i mateczki, przetrzymywanych w domu kupca Ipatjewa w Jekaterynburgu, życie staje się z każdym dniem mniej przyjemne.

Zezwalają nam jeszcze trochę przesiadywać na tarasie i właśnie stamtąd pewnego razu dostrzegliśmy na ulicy barona Niessena w przebraniu. Aleksy rzucił mu ten list ukryty w kłębku włóczki. Obecność Niessena sprawiła, że tatko nabrał nadziei, że ktoś opracowuje plan naszego uwolnienia. Botkin podsłuchał, że nadciąga Armia Ochot-

nicza. Z całej służby pozostał nam tylko on. Tatko wymyśla historyjki, w jaki sposób nas oswobodzą, które ogromnie podniecają Malca - biedny Aleksy znów się czuje gorzej. Bardzo tęskni za Nagornym. Jak wiesz, jego drugi pielęgniarz, Derewienko, przeszedł na stronę Czerwonych! A tak go rozpieszczaliśmy! Ale mniejsza z tym! Wszyscy, jak możemy, staramy się rozweselić Aleksego. Mateczka jest cudowna. Sprawia wrażenie, jakby z każdym dniem przybywało jej sił. Jednak wydaje mi się, że miała rację co do naszej przyszłości. Pozbyliśmy się już wszelkich złudzeń.

Kochana Taniu, przepraszam, że cię tak zanudzam, ale nie umiem wymyślić nic pocieszającego na zakończenie mego listu. Żałuję, że nie będę druhną na twym ślubie, ale jestem pewna, że będziesz szczęśliwa ze Stefanem. Codziennie modlimy się za twego ojca i za wszystkich, którzy cierpią, ponieważ pozostali nam wierni. Tatko bardzo ciężko przeżył podpisanie traktatu w Brześciu Litewskim. Wciąż jednak wierzy w rosyjski lud. Przecież to całe zło, które teraz wydaje nam się takie bezsensowne, musi w rezultacie przynieść jakieś pozytywne efekty. Całuję cię, moja najdroższa przyjaciółko, i proszę, byś zawsze pamiętała o swej Tani.

Tatiana Romanowa"

Przeczytałam Ust dwa razy. Potem zwróciłam się do przygryzającego usta oficera, stojącego obok stołu.

- Gdzie jest teraz Tatiana Nikołajewna?

— Jej Cesarska Wysokość nie żyje.

- Tatiana Nikołajewna nie żyje? - Czyż nie spodziewałam się tego? Czy nie czułam jej obecności w ową noc, kiedy uciekłam na daczę, wiedząc, że oto nadeszła ta chwila? — Kiedy to się stało?

- Nocą 16 Upca w piwnicy domu Ipatjewa w Jekaterynburgu.

— A co z innymi?

— Wszyscy zostali zamordowani.

— Ale chyba nie najmłodszy... Anastazja i Aleksy? — Na to nie byłam przygotowana.

— Wszyscy. Zastrzeleni, zakłuci bagnietami, potem poćwiartowani i spaleni.

— Nie, to niemożliwe, co pan wygaduje? — krzyknęłam.

— Wiem, że przez jakiś czas cierpiałam na zaćmienie umysłu, ale wydawało mi się, że już wszystko ze mną w porządku. Tymczasem to, co pan mówi, to przecież czyste szaleństwo!

Opadłam na krzesło i ukryłam twarz w dłoniach. Niania objęła mnie za ramiona.

— Niestety, to prawda — powiedział baron Niessen, tym razem po rosyjsku. — Wiem, że brzmi to niewiarygodnie. Kiedy armia Białych pod dowództwem Kołczaka zdobyła Jekaterynburg, na własne oczy widziałem piwnicę w domu Ipatjewa: krew, kule, ślady bagnietów. Słyszałem relację jednego z członków plutonu egzekucyjnego z przebiegu wydarzenia. Wszystkich stłoczono w piwnicy; naszego władcę z carewiczem na rękę, Jej Wysokość i wielkie księżniczki, doktora Botkina, trzech służących, a potem zaczęto do nich strzelać bez uprzedzenia. Pozostałych członków świty

— księcia Dołgorukowa, hrabinę Hendrikow, mademoiselle Schneider, nawet Nagornego, prostego marynarza — zabito w więzieniu. Warunki w domu Ipatjewa były okropne. Wyjęto drzwi do pokoju wielkich księżniczek. Strażnicy zachowywali się sprośnie i bezczelnie. Nagornego rozdzielono z carewiczem. Nie szcędzono im żadnych ponizeń. A jednak do samego końca zachowali dumę i stoicki spokój.

A więc Tania również dosięgła dna upadku!

— Nianiu, słyszałaś? — Podniosłam wzrok. — Zamordowali Tatianę Nikołajewnę i Aleksego, chorego, niespełna czternastoletniego chłopca, i wesołą Anastazję-Schwibzika, i mądrą Olgę, i dobrą Marię, i naszego władcę, mego ojca chrzestnego, i Aleksandrę Fiodorownę, i doktora Botkina, który opiekował się mną, gdy byłam chora... Najpierw ponizali ich i obrażali, a potem zastrzelili, zadźgali bagnietami, poćwiartowali i spalili... Och, nie! — Rozejrzałam się

dzikim wzrokiem po piwnicy. — To jeszcze jeden senny koszmar. Zaraz się obudzę i Borys Andriejewicz opowie mi, co zaszło od chwili, gdy uciekłam na daczę. — Objęłam ją ramionami. — Nianiu, gdzie jest Borys Andriejewicz?

— Wyjechał z Siemionem dwa miesiące temu i do tej pory nie wrócił.

— A tatuś? Czy tatuś nie żyje? Niania pogładziła mnie po włosach.

— Tak, moja duszko. Bolszewicy rozstrzelali go w więzieniu kronsztadzkim 10 lipca o świcie.

10 lipca, zaledwie sześć dni przed zamordowaniem jego władcy i przyjaciela z lat chłopięcych! Opadła ostatnia zasłona niepamięci.

— Pochowaliśmy tatusia pod pobHskim dębem przed nadejściem Czerwonych...

Niania przytrzymała mnie, gdy wstrząsnął mną dreszcz.

— Tak właśnie było.

Tak właśnie było i nic się już nie da zmienić. Torturowani i okaleczeni nie odzyskają zdrowia. Zmarli nie zmartwychwstaną. Ci, którzy przeżyli, muszą nieść to okrutne brzemie wspomnień, trzeba znieść niewyobrażalne, trzeba spojrzeć prawdzie w oczy. Trzeba znieść wszystkie próby, które niesie nam życie, tak jak znieśli je Tania i tatuś. Przez długą chwilę milczałam, próbując dojść do siebie. W końcu powiedziałam swojemu gościowi:

— Dziękuję, baronie, za dostarczenie listu od Tatiany Nikołajewny. Czy przebył pan cały ten szmat drogi z Jekaterynburga aż tu specjalnie, by mi go doręczyć?

— Jestem kurierem admirała Kołczaka, naczelnika państwa rosyjskiego<sup>^</sup> którego władza rozciąga się na całą Syberię, i generała Denikina, który obecnie posuwa się z Armią Ochotników na południe. Przekazuję wiadomości od nich do Archangielska, gdzie Brytyjczycy i Amerykanie skierowali kilkutysięczne oddziały desantowe, by wesprzeć antybolszewicki rząd na północy. Generał Denikin dowiedział się od oficerów pani ojca internowanych w Szwecji, że wciąż może

się pani ukrywać na daczce. Nie musiałem zbytnio zbaczać z trasy, by tu dotrzeć.

- To znaczy, że toczona jest wojna domowa na pełną skalę?

- Tak. Generał Denikin oczekuje jedynie na posiłki aliantów i dostawy sprzętu, by przystąpić do ofensywy.

- Czy jest nadzieja na pokonanie bolszewików? — Nabrałam odrobinę otuchy.

- Jest nadzieja, księżniczko. Uczepiliśmy się tej nadziei. Kolejna wojna, pomyślałam, jeszcze więcej nienawiści, jeszcze więcej okrucieństwa. I co z tego wyniknie? Jedynie stokroć więcej okrucieństwa i nienawiści. Ale duch w narodzie nie upada. Komuniści nie docenili jego siły.

- Musimy mieć nadzieję! - powtórzyłam jak echo. - Nie mamy wyboru. A propos, czy nie słyszał pan przypadkiem o generale Majskim, szefie sztabu mego ojca?

- Przykro mi, księżniczko, ale nic o nim nie wiem.

- A wojna światowa? Czy już się skończyła?

- O ile się orientuję, jeszcze nie. Ale państwa centralne są bliskie klęski. To kwestia kilku miesięcy, może tygodni.

Zgodził się zostać na daczce do czasu, kiedy będzie mu można zdjąć szwy. Podczas pobytu barona Niessena Fiodor wybrał się łodzią oficera armii Białych na tajemną nocną eskapadę, z której powrócił z karabinami, nabojami, puszkami mięsa, herbatnikami, a także kilkoma mundurami żołnierzy Armii Czerwonej oraz płaszczami i butami. Jak zwykle oszczędny w słowach nie zdradził, w jaki sposób zdobył te łupy, ale widać było, że nie dręczą go żadne wyrzuty sumienia. Dla Fiodora Czerwoni stanowili taką samą zwierzynę jak króliki czy tchórze.

Podczas nieobecności Fiodora wartę pełnił baron Niessen. Pomógł nam przenieść się z nie ogrzewanej piwnicy naszej daczki do opuszczonej chatki gajowego, stojącej w pobliskim lesie, chatki, w której rozpoczął się romans ojca z Dianą

Obecność barona Niessena miała jeszcze jedno, pierwszorzędne znaczenie. Pomogła mi odzyskać pełną równowagę ducha i obudzić na nowo wolę życia. W dalszym ciągu nie mogłam rozmawiać o ojcu, ale ulgę sprawiała mi rozmowa o mej imienniczce, i to z kimś, kto znał ją stosunkowo dobrze. Z melancholią wysłuchiwałam niewinnych anegdot Niessena o dawnym życiu na „Standardzie” — o tańcach i zabawach na jego pokładzie, o piknikach w cieniu sosen, o wizytach mężów stanu. Pomyślałam, że tym, którzy przeżyją wojnę światową, dawne życie pełne królewskiej pompy, przywilejów i dworskiej etykiety, tak naturalnych w epoce króla Edwarda, będzie przywodziło na myśl przedstawienie kukielkowe. Podobnie zareagowałabym i ja, gdybym nie znała tak dobrze prawdziwych bohaterów, z krwi i kości, tej tragifarsy.

— Jeśli wspomnienia są dla pana zbyt bolesne — powiedziałam do swego gościa podczas chwili wytchnienia przy przenoszeniu pakunków — nie musi pan o tym mówić, baronie.

— Wprost przeciwnie, mówienie sprawia mi ulgę. Prześladuje mnie widok zakrwawionej piwnicy w Jekaterynbur-gu. Wolę wspominać dziewczęta w białych kapeluszach i sukienkach, wirujące w tańcu na pokładzie jachtu, roześmiane, z rozwianymi, długimi włosami.

— Tatiana Nikołajewna była niezrównaną tancerką. — Z trudem powstrzymywałam łzy.

— Tak, a Maria najgorszą. Na moje szczęście Tatiana Nikołaj ewna prawie zawsze wybierała mnie za partnera.

— Czy... czy przypadkiem trochę się pan w niej nie podkochiwał? - zaryzykowałam pytanie. Chciałam wzbogacić wspomnienie o niej o jedno skrywane uczucie.

— Ja? Ależ skąd. Mimo całej swej bezpośredniości wielkie księżniczki były nieprzystępne. Stanowiły cenny symbol, nic więcej. I tylko jako symbol można było kochać i szanować naszego władcę i jego dzieci. Natomiast w życiu codziennym byli to mili i sympatyczni ludzie, ale zupełnie przeciętni.

Natomiast pani, Tatiano Pietrowno, ulepiona jest z innej gliny. Na całym świecie nie ma drugiej takiej osoby jak pani.

— Przystanął, by popatrzeć na mnie.

Egzaltacja w jego oczach przydała nowego wyrazu bladej, konwencjonalnie ładnej twarzy owiniętej bandażem. Czyżby Niessen się we mnie zakochał? Czy było to po prostu normalne zauroczenie wywołane bliskością młodej kobiety na takim pustkowiu?

— Miło mi to słyszeć, baronie. — Postanowiłam, że nie będę go onieśmiala. — Widzę, że wciąż żyją ludzie, dla których nasz władca i jego dzieci przedstawiają jakąś wartość. W Piotrogradzie, od czasu wybuchu rewolucji, stykałam się wyłącznie z goryczą i oburzeniem na Ich Wysokości.

— To zrozumiałe. Ale teraz, kiedy zostali zamordowani, wszystko się zmieni. A im bardziej bolszewicy będą pokazywać swą prawdziwą naturę, tym lepiej w porównaniu z nimi wypadną rządy cara.

— Czy bolszewicy mogą być jeszcze gorsi?

— Tatiano Pietrowno, terror Czerwonych rozpoczął się na dobre dopiero po pani ucieczce z Piotrogradu. Po zabójstwie Urickiego, przewodniczącego piotrogradzkiej *Czeki*, i zranieniu samego Lenina podczas próby zamachu na jego życie, która miała miejsce latem tego roku, nasiliły się egzekucje.

— Lenin został ranny? Czy w wyniku akcji Białych?

— Nie, zamachu dokonała młoda socjalistka. Dyktatura komunistów jest nie do przyjęcia dla znacznego odłamu lewicy. Bolszewicy są osaczeni ze wszystkich stron.

— Tym lepiej dla nas!

— Zgadza się. Ale my też musimy się uporać ze swymi własnymi problemami, rozdźwiękami, bałaganem. Niezmiernie raduje mnie fakt, że zamęt panujący wśród bolszewików umożliwił pani ukrywać się tyle czasu w odległości zaledwie trzydziestu wiorst od Piotrogradu.

— Widocznie sądzą, że uciekłam razem z oficerami ojca.

— Unikałam badawczego spojrzenia mego gościa. — A poza tym kto by pomyślał, że ukryłam się we własnej daczce?



Niessen roześmiał się krótko.

— Przyznaję, że wymaga to tupetu — zauważył. — Pociągi podmiejskie nie kursują, fabryki na północy zamknięto, wioski i letnie domki opustoszały. Ale, Tatiano Pietrowno, proszę zachować maksymalną ostrożność. Bolszewicy, jeśli zwyciężą, urządzą prawdziwe polowanie na wszystkich swoich wrogów. — Złożył niesione pudło na podłodze chatki. — Nie mogą pani znaleźć, Tatiano Pietrowno. Pani... pani musi przeżyć. — Mam taki zamiar.

Zaproponował, że zorganizuje moją ucieczkę, ale odmówiłam.

— Proszę tylko przekazać wiadomość memu kuzynowi, Stefanowi Zasławskiemu, który jest mi bliski jak brat. Jego rodzina ma ogromne wpływy zarówno w Wielkiej Brytani, jak i we Francji. Łatwiej mu będzie mnie stąd wydostać niż panu.

— Zrobię wszystko, o co mnie pani poprosi. Obietnicę tę powtórzył, gdy po dziesięciu dniach pobytu na dacy opuścił nas i ruszył w swoją drogę.

Po wyjeździe naszego gościa razem ze starą nianią i lokajem czekałam na opustoszałym brzegu na wiadomość od Stefana. Bliskość grobu ojca, na którym codziennie się modliłam, przynosiła mi ulgę i dziwnie przywiązywała do tego miejsca. Uważałam, że powinien być pochowany właśnie tu, gdzie umarła tak przez niego ubóstwiana matka. Czułam się bardzo blisko z nimi związana i teraz, gdy już oboje nie żyli, kochałam ich jak nigdy przedtem miłością pozbawioną egoizmu i zazdrości.

Lasy stały ciche i urodziwe pod śnieżną pokrywą. W płaszczu czerwonoarmisty, baraniej czapce i ciepłych walonkach nakładanych na kilka par wełnianych skarpet, z karabinem przewieszonym przez ramię wędrowałam niczym jakiś partyzant po okolicach, sprawdzając zastawione przez Fiodora sidła; zwierzyna leśna stanowiła podstawę naszego wyżywienia.

Pewnego razu Fiodor wrócił z jednej ze swych tajemniczych nocnych eskapad z workiem źle wymłóconej gryki. Placki przyrządzone po jej zmieleniu w skonstruowanych własnym przemysłem żarnach smakowały wybornie, choć szczypały w język i drapały w gardło. Mieliśmy wystarczająco dużo drewna, więc przez cały dzień paliliśmy w kaflowym piecu w głównej izbie chatki gajowego. W nocy spaliśmy na ławach w ubraniach, a ja na zmianę z Fiodorem pełniłam wartę.

W miarę zbliżania się zimy znów zaczęły mi dokuczać odmrożenia na rękach i stopach. Zrobiłam się odrętwiała zarówno fizycznie, jak i umysłowo, ale stan ten wcale nie był

mu przykry. Zadręczanie się myślami o cierpieniach ojca w Kronsztadzie, wstrząs wywołany wiadomością o wymordowaniu carskiej rodziny ustąpiły miejsca uczuciu zbliżonemu do melancholii — smutnemu i dręczącemu, ale możliwemu do zniesienia.

Od chwili wybuchu rewolucji moje życie przesłonił jakby welon, który sprawił, że wszystko obserwowałam z pewnej perspektywy i beznamiętnie. Moja znajomość z Aleksandrem, ongiś tak bliska i tak mi niezbędna, stała się równie nieistotna jak cała reszta. Odrzuciłam sugestie niani, by zwrócić się do niego o pomoc.

— Nie mamy prawa narażać na niebezpieczeństwo zupełnie obcego nam człowieka — oświadczyłam.

Spojrzała na mnie dziwnie i więcej nie wspominała już Aleksandra. Zamiast zastanowić się, jakie przedsięwziąć dalsze kroki, pogрузyłam się w romantycznych marzeniach, przeżywając jeszcze raz mą nieszczęsną miłość, wyobrażając sobie gorące uściski i namiętne pieszczoty.

Najczęściej widziałam taką scenę: oto leżę bez sił na ławie wycieńczona z głodu i chłodu, gdy wtem rozlega się głęboki i dźwięczny głos, a po chwili pochyla się nade mną Stefek. Policzki ma różowe, śmieszne, odstające uszy zaczerwienione od mrozu, a w jego brązowych oczach maluje się miłość i oddanie jak u mego setera. Potem bierze mnie na rękę, owija w sobolowe futro i wyruszamy szybką trojką ku bezpiecznym krainom.

Wkrótce tak głęboko uwierzyłam w spełnienie się mojego marzenia, że kiedy w listopadzie zatoka zamarzła i można ją było przebyć pieszo, powiedziałam sobie: "Czemu mam szukać pomocy w Piotrogradzie? Przecież wkrótce nadejdzie *on* i nas uratuje. Przecież ślubowaliśmy sobie to w dzieciństwie, przecież obiecał mi to przed rozstaniem. Jeśli się nie pojawi, znaczy, że nie żyje. A jeśli Stefek poległ, to nie ma sensu gdziekolwiek się stąd ruszać, cokolwiek przedsiębrać".

Nie zdradzałam się ze swymi myślami przed nianią z obawy, że mnie okropnie zbeszta. Ale mądra staruszka, widząc

moją apatię, zaczęła uskarżać się na ból zęba. Zrobiłam jej gorący okład, dałam aspirynę i w końcu oświadczyłam:

— To musi być ropień. Trzeba cię zaprowadzić do dentysty.

— Czemu martwisz się mym zębem — odparła niania — skoro gotowa jesteś skazać nas wszystkich na zagładę w tej mroźnej dziczy? Wkrótce i tak moje cierpienia ukróci śmierć.

— Nie mów tak, kochana nianiu! Znajdziemy jakiegoś dentystę.

Zdobędziemy fałszywe dokumenty i uciekniemy.

Sądziłam, że zdobędę papiery od mych dawnych żydowskich pośredników. Niania uważała, że powinnam udać się do Piotrogradu z Fiodorem. Chciałam iść sama, lecz Fiodor nie godził się zostać. Niania odbyła z nim poufną naradę i ostatecznie postanowiliśmy wyprawić się we trójkę.

Zgodnie z postanowieniem nazajutrz jeszcze przed świtem wyruszyliśmy najkrótszą i najbezpieczniejszą trasą — przez zamrzniętą zatokę.

Panowały kompletne ciemności i padał śnieg. Niania miała na sobie palto uszyte z kołdry, a głowę i ramiona opatulila wełnianym kocem. Ja nałożyłam płaszcz czerwonoarmisty, szal w szkocką kratę i rękawice z kołdry. W razie zatrzymania miałam udawać córkę niani, Tamare Jegorownę. Ułożyłyśmy bajeczkę, że pochodzimy z guberni pskowskiej i że uciekając przed niemiecką okupacją, przybyłyśmy do Piotrogradu, by odszukać ojca, maszynistę z dawnych zakładów putiłowskich. Fiodor miał się trzymać w pewnej odległości od nas i udawać głuchoniemego.

Za pomocą znalezionego w szopie kompasu skierowaliśmy się na południowy-wschód, ku wyspie Wasiliewskiej, gdzie zamierzałam odszukać dobrych ludzi, którzy pomogli nam podczas ucieczki na daczę. Nasz marsz opóźniały ciemności i śnieg. Stary szlak na północny brzeg był zaniedbany i zasypany śniegiem utrudniały posuwanie się naprzód. Niania raz po raz zatrzymywała się, by odpocząć. W końcu Fiodor wziął ją na ręce. Niósł nianię przez około pięć godzin, póki nie dotarliśmy do zalesionego, nie zamieszkanego, zachodniego krańca

wyspy. Tutaj natknęliśmy się na drwali z saniami i też zaczęliśmy udawać, że zbieramy drewno na opał. Nasze dziwne stroje nie zwracały niczyjej uwagi. W nowym, komunistycznym świecie równouprawnienia płci kobiety często nosiły męskie ubrania i wszyscy nakładali to, co udało im się wyszperać.

W domku z ogródkiem na Małym Prospekcie drewniany płot i ganek zostały rozebrane na opał. W środku nie zastaliśmy nikogo. Kiedy zapukałam do sąsiadów, by dowiedzieć się czegoś o swych dawnych znajomych, jakaś staruszka pospiesznie powiedziała: "Nie wiem, nic nie wiem" i zatrzasnęła pospiesznie mi drzwi przed nosem.

Niania zaproponowała, byśmy odszukali profesora Holwega. Kiedy ponownie się sprzeciwiłam, nie chcąc go narażać na niebezpieczeństwo, skinęła na Fiodora, który czekał po drugiej stronie ulicy, by ruszał dalej. Już wcześniej ustaliliśmy, że jeśli nasza pierwsza próba okaże się bezowocna, to każdy z nas sam podąży w stronę pchlego targu. Tam Fiodor miał na nas zaczekać, podczas gdy ja miałam spróbować odszukać mieszkających w pobliżu pośredników.

Razem z nianią poszliśmy na południe jedną z licznych alei przecinających szerokie ulice. Tętniąca niegdyś życiem dzielnica akademicka i handlowa była pusta i wymarła. Latarnie się nie paliły — przez większość dnia ze względu na brak węgla nie było prądu. Nie oczyszczone ze śniegu chodniki zasłane były śmieciami. Od czasu do czasu przejeżdżała wojskowa ciężarówka albo samochód służbowy.

Owinięte szalami kobiety szperały w stojących pod arkadami budynków koszach na śmieci. Przechodząc obok kolejki do piekarni, zatrzymałam się gwałtownie na widok leżącej twarzą do ziemi kobiety. Okazało się, że nie żyje.

— Jak tak można... czemu nikt nie uprzątnie zwłok? — odezwałam się do kobiety stojącej obojętnie tuż obok trupa.

— Przecież to zdarza się co dzień, nie ma się czym przejmować. Skąd przyjechałaś, dziewczyno, że tak to tobą wstrząsnęło?

— Z wioski w guberni pskowskiej — odparłam i szybko minęłam szereg gapiących się na mnie kolejkowiczów.

— Sądząc po waszych minach, można by pomyśleć, że to wy przyjechaliście prosto ze wsi — rzuciła niania ciekawskim gapiom. Kiedy odeszłyśmy parę kroków dalej, powiedziała:

— Moja duszko, lepiej się do nikogo nie odzywaj. I tak z tą swoją gładką buzią mało przypominasz wieśniaczkę, a kiedy zaczynasz mówić, nie zwiódłabyś nawet największego głupca.

Owinęłam szalem dolną część twarzy i spuściłam wzrok, widząc jedynie fragment zaśnieżonego chodnika.

Kiedy skierowałyśmy się w stronę mostu Nikołaj ewskiego, niania wykrzyknęła:

— Spójrz, spójrz, moja duszko, przecież to on, to profesor! Bogu niech będą dzięki!

Drobny mężczyzna w pelisie i czapce z astrachanu zwolnił nieco kroku i się obejrzał. Potem się zatrzymał i zaczekał, póki nie zbliżyłam się do niego na swych obolałych nogach. Wyciągnęłam dłoń.

— Daj kopiejkę Tamarze Jegorownie z guberni pskowskiej, łaskawy panie!

Czarne oczy błysnęły zza okularów w drucianej oprawce, krótka bródka zdrzała tak mocno, że opadły z niej płatki śniegu.

— Tatia... Tamara... Nie chciałem wierzyć, kiedy usłyszałem opowieść lokaja, ale to naprawdę pani!

— Był u pana Fiodor? — Spojrzałam z naganą na nianię.

— To nie ja go do pana wysłałam, Aleksandrze. Ale bardzo się cieszę, że pana widzę! — Dawne uczucie poufałości i czułości, radości i podziwu, które zawsze ogarniało mnie na jego widok, powróciło z całą intensywnością. Jednakże wspomnienia, które wywołała jego osoba, były bolesne i chętnie pozwoliłabym, by przesłoniła je zasłona dystansu i obojętności.

— Ja również się cieszę, że panią widzę, Tatia... Tamaro, mimo że spotykamy się w tak smutnych okolicznościach. Czy mogę spytać, co pani porabia w Piotrogradzie?

— Idę właśnie po dokumenty do znajomych Żydów mieszkających obok Bramy Moskiewskiej. Ukrywaliśmy się w naszej letniej daczynie... to tak daleko... niania jest taka zmęczona... Nie wiem, jak sobie poradzimy. — Spojrzałam na uczonego nieco skonsternowana.

— Bez względu na to, co postanowimy, nie możemy tu stać. — Ujął mnie pod ramię.

Zatrzymałam się przed kaplicą św. Mikołaja, patrona mostu. Po lewej stronie widać było niskie mury Twierdzy Pietropawłowskiej i szybującego na tle posepnego nieba anioła na złotej iglicy. Na prawo ciągnęły się wzdłuż granitowych nabrzeży cesarskie pałace i rezydencje arystokratów.

Na widok majestatycznej kolumnady mego rodzinnego domu oraz stojących na gzymsie greckich posągów w śniegowych czapach poczułam nieutulony żal. Popatrzyłam w okna mego pokoju na drugim piętrze.

— Czy ktoś tam teraz mieszka?

— Nie, to siedziba komisji mieszkaniowej, Tatia... Musimy stąd iść. W pobliżu mego domu jest nielegalna herbaciarnia, gdzie można zjeść bez kartek żywnościowych. Talerz gorącej zupy dobrze wam zrobi.

Nie ruszając się patrzyłam w kierunku Pałacu Zimowego, gdzie co sobota zaprowadzano mnie na lekcje tańca.

— Aleksandrze, czy to prawda, co zaszło w Jekaterynburgu?

— Obawiam się, że tak, Tatia... Tamaro.

— Czemu musieli zabić Anastazję i Aleksego? Przecież miał dopiero niespełna czternaście lat.

— Był prawowitym dziedzicem tronu.

— Car wyznaczył na swego następcę swego brata Michała Aleksandrowicza.

— Wielki książę Michał został również rozstrzelany, jeszcze wcześniej, w Permie, na Uralu. Razem z nim zabito jego angielskiego sekretarza.

— A pańscy uczniowie, Kostia i Igor Konstantynowiczowie? —  
Chciałam usłyszeć wszystko.

— Księżna Joanna, Igor i Konstanty oraz siostra cara, wielka księżna Elżbieta, wielki książę Sergiusz Michajłowicz i syn wielkiego księcia Pawła, Włodzimierz Palej, zostali zabici przez bolszewików w Ałapajewsku, niedaleko Jekaterynburga, wkrótce po zabójstwie cara i jego rodziny, choć w jeszcze bardziej bestialski sposób. Wrzucono ich do szybu kopalni i ukamienowano, a potem pozostawiono, by umarli z głodu i z poniesionych obrażeń.

Śliczna Elżbieta Fiodorowna, podziwiana przeze mnie mniszka, dzielny i wesoły Igor Konstantynowicz, towarzyszy mych dziecięcych zabaw i niedoszły narzeczony — wszyscy ci ludzie, których życie było ściśle powiązane z moim, odeszli, doświadczony uprzednio poniżenia i tortur. Jak to się stało, że mnie ominął ich los?

— Nie mam prawa żyć — wyraziłam na głos swoją refleksję po tym, co usłyszałam.

— To słowa niegodne osoby inteligentnej, Tatia... — odezwał się ze złością uczony. — Chodźmy już!

Pociągnął mnie za ramię, ale się nie ruszyłam, wciąż wpatrzona w fasadę mego domu. Wtem spostrzegłam trzech oficerów zmierzających w naszą stronę. Dwóch z nich miało spiczaste — przypominające średniowieczne kaptury — czapki z czerwoną gwiazdą, emblematem Armii Czerwonej. Czapka mężczyzny idącego w środku była wyjątkowo wysoka. Kiedy nas mijali, jeden z oficerów odezwał się z szacunkiem do profesora:

— Czy ta kobieta was zaczepiła, towarzyszu komisarzu?

— Nie, nie. Podoba mi się rozumiecie? — odpowiedział mu Aleksander.

— Rozumiemy. — Oficer Armii Czerwonej mrugnął porozumiewawczo i wszyscy poszliby dalej, gdyby ich niski towarzysz w wysokiej, futrzanej czapie nagle nie wykrzyknął:

— Znam tę dziewczynę! To była księżniczka Tatiana Siłomirska!

— Dobry Boże, czego też ludzie nie wymyślą, moja Tamara księżniczką! Przecież dopiero przyjechałyśmy z gu-



berni pskowskiej. — Niania pospiesznie opowiedziała ułożoną wcześniej historyjkę. — Ten łaskawy pan zlitował się nad nami. Kiedyś matka nie pozwoliłaby córce rozmawiać na ulicy z nieznanym, ale takie teraz czasy nadeszły...

— To nie żadna Tamara z Pskowa, a wy nie jesteście jej matką — drwiącym tonem oświadczył niski oficer. — Dobrze wiem, kim jesteście. Nie oszukasz mnie, starucho.

Ja również poznałam byłego kaprała naszych strażników. Zrobiło mi słabo ze strachu. Nasunęłam szal na twarz.

Mój prześladowca zwrócił się w stronę swych towarzyszy, ale oni unikali jego wzroku.

— A cóż nas to obchodzi, co to za jedna! Nie jesteśmy czekistami! Niech ją diabli! — powiedzieli i pociągnęli za sobą swego kompana.

Obserwowaliśmy, jak przez chwilę dyskutowali ze sobą, a potem się rozdzielili. Oficer, który mnie rozpoznał, zawrócił na most, w kierunku siedziby *Czeki*. W tym samym czasie po drugiej stronie ulicy pojawił się Fiodor. Na dany przez nianię znak podszedł do nas.

Wskazała na niskiego mężczyznę.

— Zamierza wydać naszą księżniczkę. Zaczekamy na ciebie w pobliżu pustego domku na Małym Prospekcie, tam, gdzie byliśmy rano.

Fiodor ruszył za niskim mężczyzną niby olbrzym za Tomciem Paluchem. Aleksander zaprowadził nas do pobliskiego domu, gdzie żona jednego z wykładowców prowadziła nielegalną herbaciarnię dla studentów i profesorów. Przedstawił nas jako swych krewnych ze wsi i zaprowadził po drewnianych schodach do zimnej sali, pełnej nędznie odzianych studentów. Wszyscy siedzieli w płaszczach i kapeluszach. Skierowano nas do stolika pod ścianą i podano słabą, gorzką herbatę, śledzia i pajdę czerstwego razowca. Niania żarłocznie rzuciła się na jedzenie — maczała chleb w herbacie i ssała go z apetytem. Na widok Aleksandra ból zęba minął, jak

ręką odjął. O mało nie złamała zęba na twardej skórce chleba, więc odłożyłam kromkę, czując się jak dziecko, któremu zabroniono sięgnąć po łakocie.

Aleksander pokruszył chleb, położył kawałek na łyżeczce, zanurzył ją w płynie, a potem mi ją wręczył.

— Biorąc pod uwagę okoliczności, to dopuszczalne, Tatiano Pietrowno.

— Uśmiechnął się swym młodzieńczym, sympatycznym, wcale nie groźnym uśmiechem.

Fala strachu, obrzydzenia i rozpacz, która opanowała mnie na moście Nikołajewskim, minęła. Czułam się fizycznie i psychicznie wyczerpana, więc byłam zadowolona, że ktoś się mną zaopiekował. Zsunęłam szal z twarzy i z uśmiechem pochyliłam głowę nad gorącą herbatą.

— Och, nawet pan nie wie, jak to cudownie móc znów swobodnie rozmawiać, Aleksandrze. Proszę mi powiedzieć, co pan porabiał od naszego ostatniego spotkania.

— Później. Najpierw niech pani opowie o sobie. Tu jesteśmy bezpieczni

— dodał, gdy rozejrzałam się wkoło. A kiedy milczałam, powiedział: — „Prawda” doniosła o rozstrzelaniu pani ojca. Bunt w Kronsztadzie i ucieczkę więźniów tego samego dnia zatuszowano, choć w Piotrogradzie wszyscy o tym wiedzieli. Przez wiele dni ścigano zbiegów, ale byłem przekonany, że udało się wam uciec za granicę. Czemu tego nie zrobiliście?

— Po pochowaniu ojca musieliśmy się ukrywać na dacy — powiedziałam niechętnie. Poczułam pulsowanie w skroniach.

— I byliście tam przez cały czas? To nie do wiary! Czemu nie próbowała się pani ze mną skontaktować? Wciąż jeszcze mam fałszywe dokumenty, które zdobyłem dla pani i niani. Wyjechałybyście jako moja żona i teściowa.

— Wydawało mi się to niepotrzebne. Było mi dobrze na dacy, w pobliżu ojca.

— Tatiano Pietrowno, pani przywiązanie do ojca, gdy jeszcze żył, było wzruszające i godne podziwu, ale teraz, kiedy nic żyje! To nienormalne!

Spojrzałam na Aleksandra. Nie wydawał mi się już taki bliski jak niegdyś. Zastanowiłam się, co ja właściwie robię w tym dziwnym miejscu. Chciałam znów być na dacz, przemierzać białe lasy, snuć me romantyczne fantazje.

— Tatiano Pietrowno — spojrzał na mnie uważnie — chorowała pani?  
— Przeżyłam wstrząs po uderzeniu w głowę kolbą karabinu. Przez blisko trzy miesiące cierpiałam na amnezję. Teraz już wszystko w porządku — powiedziałam.

Bo czyż nie było normalne odczuwać obojętność wobec wszystkiego prócz bodźców fizycznych, szukać pocieszenia w marzeniach? Czyż nie tak właśnie żyje większość ludzi, jakby w jakimś półśnie? Czyż Aleksander ze swą wyjątkową inteligencją, swą nieposkromioną dociekliwością nie należał do wyjątków?

— Nie, Tatiano Pietrowno — potrząsnął głową. — Zupełnie pani nie poznaję. Zresztą, nie ma się co dziwić! — Niepewnie sięgnął po mą dłoń, a gdy jej nie cofnęłam, ujął ją mocno. — Kiedy pomyślę, co pani przeszła w ciągu ostatnich dwunastu miesięcy! Ale odzyska pani równowagę. Rozpocznie pani życie od nowa, z dala od tej kostnicy, którą stała się Rosja. Wracając do sprawy naszej ucieczki...

— Aleksandrze, proszę zaczekać. — Wciąż nie mogłam się zdobyć, by powiedzieć mu o Stefanie. — Najpierw chcę usłyszeć, jak pan sobie radził.

— To niewiarygodne, jak nisko upadliśmy. Zimno, głód, tyfus i *Czeka*, oto co zajmuje obecnie najcięższe rosyjskie umysły. Na okrągło chodzę w palcie. W mieszkaniu nie ma prądu. Znalazłem trochę nafty i jakimś cudem udaje nam się kontynuować prace naukowe, mnie i studentom. Odkąd Polska odzyskała niepodległość, czekam tylko na koniec semestru, by wyjechać, legalnie lub potajemnie. Na wszelki wypadek mam już fałszywy paszport.

— Polska jest już wolna! A więc wojna się wreszcie skończyła? — Stefek był bezpieczny, Stefek był w drodze do mnie!

— Tak, 11 listopada 1918 roku, ponad sześć tygodni temu, podpisano zawieszenie broni. Tatiano Pietrowno... — ujął moją dłoń w swoje ręce — ... proszę nie lekceważyć grożącego pani niebezpieczeństwa. Jestem gotów wyjechać w każdej chwili. Potrzebuję kilku dni, by załatwić ostatnie formalności.

— To bardzo ładnie z pana strony, Aleksandrze, ale nie ma potrzeby, by pan tak ryzykował. Jesteśmy na daczynie zupełnie bezpieczni. Zaczekamy.

— Na co, Tatiano Pietrowno?

— Na mego kuzyna, księcia Zasławskiego. Widzi pan

— ciągnęłam, podczas gdy Aleksander patrzył na mnie ze zdumieniem — wychowaliśmy się razem i jako dzieci ślubowaliśmy sobie, że w razie potrzeby jedno drugiemu przyjdzie z pomocą. Wiem, że Stefan dotrzyma danego słowa. — Nie byłam w stanie nic więcej powiedzieć.

— Tatiano Pietrowno, jest pani jeszcze bardziej naiwna, niż myślałem! Nie ma pani pojęcia, na jakim świecie pani żyje. To cud, że udało się wam tak długo wytrwać! Jak dotrze do pani ten kuzyn, przecież z Francji jest szmat drogi!

— Baron Niessen dojechał aż z Syberii, by dostarczyć mi ostatni list od Tatiany Nikołajewny. Istnieje cała podziemna sieć. Siły antybolszewickie działają na północy i południu.

— Również w Estonii istnieje silny ruch antybolszewicki. Biali walczą u boku Estończyków o niepodległość tego kraju. Ale bez pieniędzy i kontaktów nikt nie przedostanie się przez ich linie. Przypuśćmy, że kuzyn panią odnajdzie, ale w jaki sposób panią stąd wywiezie?

— Przez granicę z Finlandią.

— Wiosną, po zakończeniu wojny domowej, Finowie zamknęli granicę dla uchodźców. Nie chcą mieć nic do czynienia z Rosjanami — ani z Czerwonymi, ani z Białymi.

— W takim razie przedrzemy się do Estonii. Nie zna pan Stefka... mego kuzyna Stefana. Dla niego nie ma rzeczy niemożliwych.

— Tatiano Pietrowno, obawiam się, że jest pani w błędzie

— odezwał się ponuro Aleksander. — Mam nadzieję, że to,

co teraz powiem, nie wywoła u pani szoku. Jednak dla pani dobra muszę wyjawić prawdę: Stefan Zaslowski nie żyje.

— Stefan nie żyje? Nie wierzę!

— Pisano o tym w gazetach tuż przed zakończeniem wojny. Zginął pod koniec września podczas ofensywy w Argonnach.

— Zginął! — powtórzyłam jak echo.

Lord Beresford zginął, miliony wspaniałych, młodych mężczyzn zginęło, czemu nie miałyby to spotkać Stefana? Przecież podobnie jak ojciec czy car nie był nieśmiertelny. To, że ja przeżyłem, to był cud, jak powiedział Aleksander. Nie, to nie cud, tylko pomyłka.

Znów poczułam wstręt i odrazę do wszystkiego, co widziałam i słyszałam, a przede wszystkim do siebie. Zrobiło mi się najpierw gorąco, potem zimno. Ogarnęła mnie apatia.

Kiedy się ocknęłam, nie siedziałam przy stole, ale leżałam na łóżku w zupełnie innym pomieszczeniu. Właścicielka herbaciarni podtykała mi pod nos sole trzeźwiące. Zrozumiałam, że zemdlałam, co w owym czasie nie było niczym niezwykłym.

Aleksander pochylił się nade mną. Uniósł moją głowę i zbliżył do mych ust kieliszek wódki. Jego twarz nie była już droga i bliska. Jeszcze trochę, a przemienił się w Bied-łowa-Fokę.

Zacisnęłam zęby i odepchnęłam jego rękę.

— Aleksandrze, zaopiekuj się nianią i Fiodorem. Niech Czerwoni mnie tu znajdą. Ratuj siebie.

— Tatiano Pietrowno, wiesz, że nie znoszę słowiańskiego upodobania do męczeństwa. Musi się pani zdobyć na wysiłek! Proszę się napić odrobiny wódki.

— Niech mnie pan zostawi — powiedziałam zirytowana. Aleksander odskoczył od łóżka i chodząc po pokoju, mrucał coś pod nosem i szarpał swą bródkę.

— Cóż za głupia sytuacja! Jak to możliwe, by na pozór mądry człowiek dał się doprowadzić do takiego stanu!

Teraz z kolei niania zaczęła mnie besztać, ale na próżno.

W końcu właścicielka powiedziała, że jeśli komuniści znajdą u niej w mieszkaniu kogoś bez dokumentów, będzie po niej.

Natychmiast poderwałam się i przeprosiłam za kłopot. Aleksander wyprowadził nas na ulicę.

— Nie mam was gdzie ukryć. Czekaście na mnie na daczycy — powiedział do niani. — Przyjadę najszybciej, jak tylko będę mógł. Opiekuj się swoją panią.

— Bóg wysłuchał mych modlitw i zesłał nam szanownego pana.

Będziemy czekać. — Niania pobłogosławiła go.

Fiodor czekał na nas w umówionym miejscu.

— Ten mały czerwony diabełek... nie będzie już więcej niepokoił panienki — stwierdził lakonicznie.

Ruszyliśmy z powrotem tą samą drogą, którą przebyliśmy rankiem, ale kiedy pokonaliśmy połowę trasy, zatrzymałam się i powiedziałam do Fiodora:

— Zanieś nianię na daczycę. Czekaście na profesora. Zostaw mnie tu.

Słyszałeś? Idźcie już.

Moja stara niania zaczęła głośno pomstować. Usiadłam w śnieżnej zaspie.

Pragnęłam, by zostawiono mnie samą, zupełnie samą.

Fiodor wziął mnie na rękę.

— Kiedy Wasza Wysokość była małą dziewczynką i nie chciała przyjść, gdy ją wołano, wtedy przynosił ją Fiodor.

— Fiodor, jak śmiesz! Natychmiast mnie puść! Fiodor, proszę, pójdę o własnych siłach. Lepiej ponieś nianię. Fiodor! — Na próżno waliłam pięściami w jego potężną pierś.

Niósł mnie bez trudu, zatrzymując się od czasu do czasu, by zaczekać na nianię. W końcu przestałam z nim walczyć, położyłam głowę na jego piersi i zamknęłam oczy. Drzemiąc wyobrażałam sobie, że tulę się do piersi Stefka, który przyjechał po mnie, a teraz niósł mnie do swych szybkich snów. Ocknęłam się, gdy Fiodor wdrapywał się na brzeg.

Kiedy poczułam zmierzwioną, pokrytą szronem brodę mego lokaja, łaskoczącą mnie w czoło, pomyślałam: "Nie, Stefek po mnie nie przyjechał, Stefek nie mógł przyjechać, ponieważ nie żyje. Zabili go, zabili mego brata, zabili mego Stefka z odstającymi uszami, mego księcia z bajki, mego pana. Tatuś nie żyje, Tania nie żyje, carewicz Aleksy nie żyje, księżę Igor nie żyje, wszyscy nie żyją, wszyscy. Mogłam żyć bez nich, ale nie bez Stefka. Bez Stefka nie chcę żyć. Ten świat jest zbyt nudny i odpychający. Nie mogę dłużej na to patrzeć".

Wreszcie dotarliśmy do chaty gajowego; było w niej ciemno i przeraźliwie zimno. Fiodor rozpałił w piecu. Niania położyła mnie na ławie i okryła kocami oraz narzutami, ponieważ miałam takie dreszcze, że aż szczeptałam zębami. Nie udało się jej wmusić we mnie żadnego picia ani jedzenia. Byłam głucha na prośby i groźby.

Odwróciłam się twarzą do ściany, oczekując śmierci.

Na dworze wyły wilki, na brzegu zamarznętej zatoki szalała zamieć. Chata gajowego, gdzie kiedyś Cyganie zabawiali zagranicznych gości mego ojca, sprawiała wrażenie opuszczonej. Niania, wyczerpana całodzienną wyprawą, chrapała z otwartymi ustami. Fiodor, który kilka godzin temu wcześniej udusił człowieka, spał spokojnie pod drzwiami z karabinem pod głową. Tylko ja nie mogłam usnąć. Leżałam odrętwiała, a kiedy zsunęła się kołdra, nie poruszyłam się, by ponownie się nakryć. Z ulgą przyjąłam objęcia chłodu.

Nad ranem poczułam kłujący ból w piersi i gwałtowne dreszcze. Niania obudziła się później niż zwykle. Kiedy ujrzała, jak dygocę pod jednym kocem, wydała okrzyk przerażenia i dorzuciła drew do pieca. Wieczorem majaczyłam w gorączce i łapczywie ssałam lodowe sople, które przytykała do mych spękanych ust.

Niania spędziła noc, czuwając przy mnie, w piecu się paliło, mimo że groziło to wykryciem naszej kryjówki. O świcie wysłała Fiodora na poszukiwanie profesora Holwega. Wrócił o zmroku razem z Aleksandrem i zaprzęgniętymi w konie saniami.

Aleksander pomógł mani ubrać mnie w przyniesioną przez siebie wełnianą odzież, zmusił mnie do wypicia leku nasennego i aspiryny, rozpuszczonych w gorącej herbacie. Wzięłam go za doktora Botkina, zamordowanego lekarza nadwornego, i potulnie zgadzałam się na wszystkie zalecenia. Potem Fiodor zaniósł mnie przez las do długich, niskich sań z wysoko wygiętym jarzmem, stojących na podjeździe przed ozdobionymi kolumnkami gankiem naszej daczy. Z kudłatego brzucha i pęcin konia zwisały sople. Brwi i wąsy woźnicy pokrywał szron. Fiodor położył mnie na wymoszczonych słomą saniach, a niania wyciągnęła się obok i okryła nas niedźwiedzim futrem.

Nie zdawałam sobie sprawy z tego, co nastąpiło później, inaczej bowiem nigdy bym do tego nie dopuściła.

Aleksander wręczył Fiodorowi plik rubli i kopertę.

— To list polecający do mego przyjaciela. — Podał mu nazwisko i adres.

— Znajdzie ci pracę i załatwi dokumenty tożsamości. Będiesz u niego bezpieczny. Do widzenia.

Fiodor, nic nie rozumiejąc, obracał w dłoniach pieniądze i kopertę.

— Schowaj, żebyś nie zgubił — powiedział ze złością Aleksander i przytrzymując palto, szykował się, by wsiąść do sań.

— Jaśnie Panie — w końcu Fiodor zrozumiał to, czego ja nie pojmowałam — zabierzcie mnie ze sobą. Będę nosił Jej Wysokość.

Potrafię powozić końmi i prowadzić samochód. Umiem polować. Jestem silny. Przydam się wam. Pozwólcie mi, na miłość boską, jechać z Tatianą Pietrowną!

— Nie mam dla ciebie dokumentów. Za bardzo rzucasz się w oczy, zbyt dobrze jesteś znany. Przez ciebie rozpoznają księżniczkę. Przykro mi, bardzo mi przykro, ale nie możemy cię zabrać.

Twarz olbrzyma, która potrafiła tak wspaniale udawać obojętność, wyrażała teraz ostateczną desperację.

— Może ty, Pelagio, przemówisz do Jaśnie Pana — zwrócił się do niani, która przyglądała mu się swymi mądrymi, ciemnymi oczami.



— Czy naprawdę nie możemy go wziąć? — spytała nieśmiało.

— To wykluczone, absolutnie wykluczone — krótko oświadczył Aleksander.

Fiodor podszedł do mnie.

— Tatiano Pietrowno, miej litość! Nosilem cię na rękach, gdy byłaś małą dziewczynką. Grałem ci na bałałajce, gdy płakałaś. Przecież nie zostawisz swego Fiodora, prawda? Na miłość boską, proszę to powiedzieć Jaśnie Panu!

Nie, nie zostawiłabym Fiodora, za nic w świecie bym tego nie zrobiła. Ale nie wiedziałam, że zamierzają mnie z nim rozdzielić.

— Chce mi się pić, zimno mi, nie mogę oddychać! — jęknęłam, starając się zrzucić z piersi przytłaczający ciężar. A w pocziwej twarzy z oszronionymi bakami i brodą ujrzałam nie Fiodora, lecz Biedłowa-Fokę. Z przerażeniem odwróciłam wzrok, a niania, uspokajając mnie, opatulila mnie po samą brodę. Potem spojrzała na Fiodora wzrokiem tak bardzo rosyjskim, wzrokiem osoby, która potrafi zrozumieć i zaakceptować każdą niesprawiedliwość, podłość i cierpienie.

— Pan Bóg się ulituje i zaopiekuje tobą, mój nieszczęsny przyjacielu — powiedziała szybko, czyniąc nad nim znak krzyża. Potem wsunęła się pod niedźwiedzie futro obok mnie.

Aleksander usadowił się już w saniach.

— W takim razie możemy ruszać — zakrzyknął do woźnicy z wąskiej ławeczki, na której siedział niczym wściekła, futrzana kula, twarz osłoniwszy włóczkowym szalikiem, podbitą futrem czapkę nasunawszy nisko na czoło.

Woźnica odwrócił się do swego pasażera i wypuszczając z ust chmurę białej pary, powiedział:

— Lepiej będzie, gdy Jaśnie Pan też się położy. Wiatr bardzo zacina.

— Nie martw się o mnie. Ruszaj!

Woźnica ujął za lejce i cmoknął na swego konika. Włochaty kuc ruszył kłusem, a płozy zaskrzypiały na świeżym

śniegu. Sanie zsunęły się z pochyłości wzgórza, na którym stała dacza i skierowały się ku Zatoce Kronsztadzkiej, zmierzając na przeciwległy brzeg.

Ilekcroć wspominam tę noc ucieczki z Piotrogradu, kiedy zostawiłam za sobą nie tylko grób ojca i mój dom rodzinny, ale również oddanego mi człowieka, widzę twarz Fiodora.

Wciąż widzę tę scenę. Jest ciemno, zimno, pada śnieg. Na zalesionym brzegu zamarznętej zatoki, gdzie kiedyś rozbrzmiewały cygańskie piosenki, dźwięki bałajki i akordeonu, słychać teraz jedynie zawodzenie głodnych wilków. Przed białą willą z kolumnkami i wysoką wieżyczką, na środku pustego podjazdu, stoi brodaty olbrzym. Z jednej ręki wypadła mu koperta, z drugiej rozsypały się papierowe ruble, wirując w powietrzu niby płatki wolno opadającego śniegu.

Po chwili rozlega się przeraźliwe wycie, które słyszę wyraźnie do dziś. Nie było to jednak wycie głodnego wilka, lecz istoty ludzkiej. Jeszcze jednego zdradzonego i porzuconego człowieka.

**Część czwarta**

**DROGA BEZ POWROTU**

**1919—1922**

Z trzymiesięcznej podróży z północy na południowe wybrzeże zachodniej Rosji zachowałam wspomnienie cierpienia oraz obraz zmieniających się sufitów i nieba.

Czy nocą, czy za dnia, we śnie czy na jawie, rzeczywistość i fantazja mieszały się ze sobą. Wiedziałam, że majaczę w gorączce. Ale odnosiłam wrażenie, że gorączka ta jeszcze wyostreza moje siły duchowe i wzmaga odczucia zmysłowe. I choć nie wiedziałam dokładnie, gdzie jestem, całym swym jestestwem odbierałam chaotyczność i szatańską naturę kolejnych wydarzeń i zmieniających się miejsc.

W końcu uświadomiłam sobie, że nadszedł kres wędrówki, że nad głową mam ślicznie odmalowany sufit, a przez otwarte okna wpada zapach jaśminów i bzów.

Moja podróż się skończyła, pomyślałam. Przebyłam najbardziej niebezpieczne okolice, przeszłam przez ogień, lód, cierpienia i w końcu doznałam ulgi. Przybyłam z północnych pustkowi do Krainy Wiecznej Wiosny, gdzie wszyscy znów są dziećmi.

Czekała tu na mnie Tania ze swymi siostrami w białych sukienkach z marynarskimi kołnierzami, w słomkowych kapeluszach na głowie.

Aleksy przeskakiwał z kamienia na kamień. Igor Konstantynowicz wraz z braćmi kroczył za swym dowódcą, panem porucznikiem Stefkiem z odstającymi uszami. „Chodź, Taniu, do nas!” — wołał radośnie. Ale nie mogłam znaleźć furtki do zaczarowanej krainy. Otworzyłam oczy i ujrzałam pielęgniarkę w białym czepeczku.

— Księżniczka się obudziła — zameldowała doktorowi.

— Tatiano Pietrowno, ma pani gościa — powiedział lekarz, a potem zwrócił się po francusku do ubranej na

czarno drobnej, szczupłej, starszej pani, która stała dumnie wyprostowana obok mego łóżka: — Tylko chwilkę, madame.

— Taniu, poznajesz mnie? — zapytała pani po angielsku, kładąc mi dłoń na policzku.

— Wasza Cesarska Wysokość. — Ucałowałam drobną dłoń.

Przyjęła ten dowód hołdu, po czym znowu położyła rękę na moim policzku.

— Ale się zmieniłaś! — powiedziała wolno Maria Fiodorowna. — Najdroższa Taniu, wiem, że jesteś zmęczona po długiej podróży i że muszę ci pozwolić wypocząć, ale powiedz mi... czy miałaś jakieś wiadomości od Tatiany?

— Tak, dostałam list od Tatiany Nikołajewny, Wasza Wysokość.

— Naprawdę? Gdzie ona teraz jest?

— W cudownej krainie, Wasza Wysokość...

— W cudownej krainie! — powtórzyła szybko. — W jakiej znów cudownej krainie?

Chciałam jej opisać zaczarowany ogród, ale nie mogłam znaleźć właściwych słów. Po policzkach zaczęły mi płynąć łzy, aż kobieta z przestraszeniem cofnęła swą drobną dłoń.

— Księżniczka majaczy, madame — wyjaśnił doktor.

— Tak, widzę. — Cesarzowa-wdowa pogładziła mnie po twarzy i włosach. — Moja wnuczka korespondowała z nią. Miałam nadzieję, że może dostała od niej list.

— Mam list, Wasza Wysokość. — Sięgnęłam dłonią za stanik. — Gdzie on jest? Kto mi go zabrał? Chcę, by mi go oddano!

Pielęgniarka natychmiast wręczyła mi skórzany woreczek, zawierający ostatnie listy od ojca, od Stefana i mej imienniczki.

— Czy mogę zobaczyć ten Ust? — Maria Fiodorowna wyciągnęła drobną dłoń.

— Przeznaczony jest wyłącznie dla mnie, Wasza Cesarska Mość. -----  
Przycisnęłam woreczek do piersi. Tania nigdy

by mi nie wybaczyła, gdybym dała jej babce do przeczytania taki list. — Nigdy nie pokazywałyśmy nikomu naszej korespondencji. Drobną kobietą nie mogła ukryć zniecierpliwienia, ale po chwili się opanowała.

— Tak, oczywiście, masz rację. A więc dostałaś list! Czyli Tatiana żyje. Nigdy nie wierzyłam w te... w te plotki. Życzę ci, najdroższa Taniu, byś szybko wyzdrowiała. Przyjdę cię jeszcze odwiedzić, gdy poczujesz się lepiej. — Pieszczotliwie pogładziła mój policzek i zniknęła.

Próbowałam znaleźć drogę do zaczarowanej krainy, ale była tak daleko, tak wysoko, a mnie brakowało tchu...

Z mgiełki wyłaniają się twarze doktora, pielęgniarzki, niani, Aleksandra, gładzącego swą bródkę.

— Po tym wszystkim, co przeżyła Tatiana Pietrowna, po tych prymitywnych warunkach, niebezpieczeństwach!

— W jego głosie dźwięczała złość. — Jakże może teraz umrzeć?

— Często spotykamy się z przypadkami, gdy pacjenci z zapaleniem płuc, którzy przeżyli zimę, na wiosnę umierają

— odparł doktor. — Tatiana Pietrowna ma żelazną kondycję, jak wszyscy Siłomirscy, ale w tym wypadku w grę wchodzi czynnik psychiczny...

Pacjentce brakuje woli przeżycia.

Potem z wonią bzu i jaśminu zmieszał się zapach kadzidła i usłyszałam księdza modlącego się niskim, monotonnym głosem do Pana, by ulitował się nad grzesznicą Tatianą Siłomirską, Jaśnie Oświeconą księżniczką, umiłowaną przez całą Ruś, by ją uratował i ulitował się nad jej duszą.

To znaczy, że umarłam, pomyślałam, i wyobraziłam sobie, że leżę na katafalku ubrana w białą suknię niczym panna młoda, z kwiatami lili w dłoniach, a wkoło płoną gromnice. Nie czułam żalu, a jedynie chęć jak najszybszego dotarcia do zaczarowanego ogrodu. Nie mogłam jednak doń trafić i wciąż się unosiłam w nie kończącej się, szarej mgle.

— Przemów do mnie, Panie! — krzyknęłam. — Wskaż mi drogę!  
Nie otrzymałam odpowiedzi.

— Czy na zawsze jestem już na to skazana? Lepiej iść przez ogień, lód i niebezpieczeństwa, niż być skazanym na tę pustkę!

Leżałam w łóżku. Ksiądz odszedł. Pozostał jedynie zapach kadzidła.

Zamiast zawodzących śpiewów usłyszałam skamlenie psa. Nie otwierając oczu, przesunęłam ręką wzdłuż jedwabnej kołdry. W pewnej chwili ręką dotknęłam czegoś równie jedwabistego, lecz żywego. Biło od tego ciepło i miłość. Skamlenie przemieniło się w radosne popiskiwanie. Coś obwąchało moją dłoń, a potem ją polizało. Bobik, pomyślałam. I tak jak przed chwilą pragnęłam umrzeć, teraz gwałtownie zapragnęłam żyć. Pragnęłam z całych sił. Walczyłam o każdy oddech. W końcu, wyczerpana walką, zapadłam w głęboki sen, pozbawiony sennych marzeń.

Obudziłam się złana potem. Poczułam błogie rozleniwienie.

— Nianiu — powiedziałam — podaj mi czekoladę do łóżka.

Zamiast złać mnie za takie zachcianki, niania się rozpromieniła.

— Jedną chwileczkę, moja duszko, jedną chwileczkę. — Wydała polecenie dyżurnej pielęgniarki, a potem zaczęła całować moją twarz, ramiona i dłonie. — Dzięki Ci, Panie! Zwróciłeś nam ją! Ostatniej nocy pożegnaliśmy się już z tobą, moja duszko. Ksiądz udzielił ci ostatniego namaszczenia, a we wszystkich kościołach w Jałcie odprawiono za ciebie msze. Ale Pan wysłuchał naszych modlitw! — Żarliwie się przeżegnała. Wkrótce leżałam w czystym szlafrocisku na świeżo posłanym łóżku i piłam łyżeczką wyborną, gorącą czekoladę. Spojrzałam na wpadające przez wysokie balkonowe okno światło słoneczne.

— Nianiu, czuję, że jestem w Ałupce nad Morzem Czarnym — powiedziałam.

— Tak, moja duszko, zgadza się.

— Czy to naprawdę Bobik był w moim pokoju?

— Nie można go było powstrzymać, mimo że jest już stary i słaby. Doktor powiedział, że i tak nie ma to już żadnego znaczenia, bo nie przeżyjesz nocy.

— Przyrowadź mi Bobika.

— Jest cały we wrzodach. Linieje i brzydko pachnie...

— Ale żyje. Bije od niego ciepło i miłość. Wpuść go! — Znow byłam księżniczką Siłomirską i panią we własnym domu.

Niania spełniła moje życzenie, a potem znow usiadła na brzegu łóżka.

— Poszli już do pokoju Wiery Kiryłowny po Bobika. Jaśnie Pani śpi, bo do późnej nocy modliła się za panienkę.

— Ach prawda, Wiera Kiryłowna! — Imię to wywołało we mnie wspomnienie przedrewolucyjnych czasów, a także ich gwałtowne zakończenie. — Nie zagrażają nam bolszewicy?

— Nie, Bogu niech będą dzięki! — Niania nie dodała, jak długo to jeszcze potrwa.

Zauważyłam, że nie mam już warkoczy do pasa.

— Obcięliśmy ci włosy, moja duszko, bo trudno było o nie dbać, a poza tym odbierały ci siły — wyjaśniła niania. Był to głęboko zakorzeniony przesąd.

— Ale Stefan lubi długie... — urwałam, bo przypomniałam sobie, że Stefana nie ma już wśród nas.

Niania spojrzała na mnie swymi ciemnymi, mądrymi oczami, które tyle widziały i które godziły się ze wszystkimi przeciwnościami losu.

Cudowne rozmarzenie, które opanowało mnie na progu nowego życia, zniknęło. Powróciłam do nudnego, szarego, ponurego i odpychającego świata, pomyślałam, ale lepsze to niż nicość.

— Cieszę się, że obcięliście mi włosy — powiedziałam. Zawsze już będę nosiła krótkie włosy przez pamięć



na niego. A przez pamięć na wielką księżniczkę Tatianę Nikołajewnę ślubuję już nigdy nie nosić biżuterii.

— Mając takie oczy, nie potrzebujesz żadnej biżuterii

— powiedziała niania i zrobiła miejsce dla doktora, który oświadczył, że wszelkie niebezpieczeństwo minęło. Zapewnił mnie, że za kilka tygodni, jeśli będę miała właściwą opiekę i wyżywienie, powinnam całkowicie wrócić do zdrowia.

W końcu przyniesiono mi Bobika. Mój niegdyś zwinny seter przyczłapał do łóżka i położył jedną łapę na kołdrze. Mimo że był już na wpół ślepym i schorowanym starym psiskiem, wciąż był mi o wiele droższy i piękniejszy niż złudna uroda niedostępnego Rajskiego Ogrodu!

— *Chere, chere enfant*, zwrócono nam ciebie. To prawdziwy cud! —

Wiera Kiryłowna zbliżyła swój różowy policzek do mej twarzy i usadowiła się obok łóżka, pachnąca, zadbana i świeża. — Jej Cesarska Mość tak się martwiła. Natychmiast przyjechała z Liwadii. Ale jeszcze majaczyłaś.

— Przypominam sobie. Maria Fiodorowna prosiła, bym pokazała jej list, który otrzymałam... z Jekaterynburga.

Wiera Kiryłowna przybrała minę jednocześnie pełną żalu i uszanowania.

— Jej Cesarska Mość nie chce uwierzyć w tę masakrę. Pozostaje nieugięta. Pod władzą bolszewików, kiedy przebywała w areszcie domowym, była dla nas wszystkich przykładem. Wstyd się przyznać, ale po czterech miesiącach terroru Czerwonych powitaliśmy Niemców jak zbawców! Choć trzeba powiedzieć, że zachowywali się przyzwoicie.

— Miałaś jakieś wiadomości od Marii Pawłowny?

— Ciekawa byłam, czy moja chrzestna, najwybitniejsza postać z całej rodziny, przeżyła.

— Jej Cesarska Wysokość razem z synami Borysem i Andriejem Władimirowiczami podobno ukrywa się gdzieś na Kaukazie. W samą porę umknęli przed bolszewikami. Okolice Kisłowodzka były sceną takich okrucieństw, że

chyba tylko czyny, których dopuszczali się marynarze floty czarnomorskiej tu, w portach Krymu, przewyższały je pod tym względem. Oszczędzę ci szczegółów... — Szkolony przez lata głos Wiero Kiryłowny zadrżał.

— Dobrze. — Na wzmiankę o marynarzach przypomniałam sobie ojca w Kronsztadzie. Starając się opanować, powiedziałam: — Mam nadzieję, że Marii Pawłownie nic nie grozi. Chociaż żał mi Tobika. — Trudno było przypuszczać, by pudełek Grandmaman przeżył. — Przynajmniej Bobik żył sobie wygodnie. — Poglaskałam starego setera, który na dźwięk swego imienia podniósł łeb. — Dzięki tobie, Wiero Kiryłowno.

— Moje drogie dziecko, opiekować się nim, to była prawdziwa przyjemność. — Wyraz jej twarzy mówił, że żadna przysługa świadczona ostatniej z Siłomirskich nie jest zbyt uciążliwa.

Przyjęłam ten nie wypowiedziany hołd z leddm rozbawieniem.

Rozkoszowałam się zapomnianym luksusem królewskiego traktowania, choć nie brałam go poważnie. Wiedziałam, że nie potrwa długo.

— Jak radziłyście sobie z Zinajdą Michajłowną pod rządami bolszewików? — spytałam.

— Mówiąc szczerze, dzięki Koleńce zupełnie nieźle. Wyznaczył siebie na mego strażnika i zapewniał bolszewików, że traktuje mnie odpowiednio surowo. Zorganizował naszych służących w radę, a oni karmili nas i opiekowali się nami. Na szczęście to muzułmanie, więc są odporni na bolszewicką propagandę. Niezły spryciarz z tego Koleńki.

— Muszę mu podziękować. Czy w dalszym ciągu funkcjonuje nasz szpitalik? Czy udziela pomocy ofiarom wojny?

— Tak. W zamian za żywność musieliśmy przyjmować rannych Niemców. Biedacy! Dla niektórych lepiej by było, gdyby od razu zginęli!

— Wiera Kiryłowna położyła swą pulchną dłoń na mej wychudzonej ręce i zamilkła ze współczuciem.

Domyśliłam się, że współczucie to związane jest ze śmiercią Stefana.

— Może dla niego też jest lepiej, że zginął — powiedziałam. — Bardzo się bał, że zostanie kaleką.

— To straszne, straszne. Książę był tak młody, miał zaledwie dwadzieścia cztery lata, a był już majorem i bohaterem, a przy tym takim przystojnym, interesującym mężczyzną! I pomyśleć, że był tu, w tym domu, zaledwie trzy miesiące temu! Los jest okrutny!

— Trzy miesiące temu? — Chwyciłam hrabinę za rękę. — Wiero Kiryłowno, o czym ty mówisz?

— Przyjechał tu. Szukał ciebie. Sama go widziałam.

— Czyli, że żyje, że wiadomość o jego śmierci była nieprawdziwa! Gdzie jest teraz?

— Moje biedactwo, nie chciałam wzbudzać w tobie płonnych nadziei. Profesor Holweg prosił, bym na razie o tym nie wspominała; wiadomość o rzekomej śmierci twego kuzyna ogromnie tobą wstrząsnęła. Będzie na mnie wściekły. Obawiam się, że niezbyt mnie lubi...

— Wiero Kiryłowna, nie dręcz mnie! — Ledwo pogodziłam się z tym, co było nie do przyjęcia, ledwo przywykłam do najstraszniejszej myśli, że Stefek nie żyje, a znów zaczęto mnie dręczyć. — Powiedz mi wszystko, co wiesz!

— Drogie dziecko, błagam, uspokój się, takie wzruszenia są dla ciebie niewskazane. Skoro już zaczęłam, powiem wszystko. Pierwsza informacja o śmierci twego kuzyna okazała się nieprawdziwa. To książę Stanisław, ojciec Stefana, został zabity w Argonnach, ale kilka gazet podało błędną informację. Książę Stefan wylądował w Odessie 18 grudnia 1918 roku z polskimi legionistami, stanowiącymi część korpusu ekspedycyjnego państw Ententy. Poprosił o urlop, by wyruszyć na poszukiwanie ciebie. Najpierw przyjechał tu, mając nadzieję, że cię u nas zastanie. Powiedziałam mu, iż prawdopodobieństwo, że przeżyłaś, jest znikome. Nie chciał w to uwierzyć i oświadczył, że pojedzie do Piotrogradu, do twojej daczy, gdzie cię po raz ostatni widziano żywą. Kolcńka zaopatrzył go w fałszywy paszport — zawsze ma kilka pod ręką.

Książę Stefan wyruszył na północ pierwszego dnia Nowego Roku. Minał tydzień od jego wyjazdu z Odessy, gdy polskie oddziały natknęły się na jego zwłoki. Pochowano go z wojskowymi honorami, a w jego ojczyźnie ogłoszono dzień żałoby.

— Znalaziono jego zwłoki — powtórzyłam, gdy Wiera Kiryłowna zamilkła. Jeśli Stefan nie uwierzył w moją śmierć, pomyślałam, czemu ja mam uwierzyć w jego zgon? Głośno zaś spytałam: — Skąd wiadomo, że to był na pewno on?

— Przywieźli go jego ludzie, moje dziecko. Zwłoki zostały zidentyfikowane ponad wszelką wątpliwość.

— W jaki sposób zginął?

— Od strzału w głowę — powiedziała Wiera Kiryłowna szybko, zbyt szybko. — Nie cierpiał tak jak wielu innych, którzy wpadli w ręce bandziorów Grigorjewa.

Ukrywa coś przede mną, pomyślałam. Wiera Kiryłowna wyprostowała się.

— Możesz spytać profesora Holwega, jeśli mi nie wierzysz. Dowiedział się wszystkiego od Polaków, którzy przywieźli cię do Odessy.

Czy to możliwe? — pomyślałam. Nie zginął na polu bitwy, tylko został zabity przez jakichś bandziorów, dał się niepotrzebnie, głupio zabić, chcąc mnie ratować!

— Przeżyłam prawdziwy szok — usłyszałam głos Wierę Kiryłowny, dobiegający jakby gdzieś z oddali. — Zaledwie dwa tygodnie wcześniej widziałam go tak pełnego życia, silnego i pewnego siebie. I pomyśleć, że minęliście się zaledwie o trzy miesiące... Cóż za ironia losu! Drogie dziecko, księżniczko, słyszysz mnie?

Wolno uniosłam powieki. Tak, słyszałam. Nie zemdleję już drugi raz, nie będę pragnęła śmierci ani nie stracę pamięci, nie mogąc znieść tego, co zgotował mi los.

— Biedna ciocia Zofia — powiedziałam, kiedy napiłam się łyk wody z podanej mi przez Wierę Kiryłownę szklanki. — W odstępie kilku miesięcy straciła męża i syna. Poniosła większą stratę ode mnie.

— Los oszczędził księżnej Zasławskiej tego ciosu, drogie dziecko. Przeżyła swego męża zaledwie o kilka tygodni. Umarła na szalejącą w Europie gripę hiszpankę.

— A więc ciocia Zofia też! — Kiedy Zasławscy wyjeżdżali do Francji, przeczuwałam, że już nigdy ich nie zobaczę.

Ujrzałam łagodne, pełne macierzyńskiej miłości oblicze ciotki, tak jak widziałam je po raz ostatni w pociągu zmierzającym z południowo-zachodniego frontu, w owej straszliwej chwili, gdy czułam się wewnętrznie rozdarta. A więc ona również odeszła, taka mądra i pełna gracji kobieta, którą nazywałam najpiękniejszym słowem znanym dziecku; odeszła, zanim nauczyła mnie roli matki i żony, którą sama tak dobrze odegrała; odeszła jak wszyscy, których kochałam, jak wszyscy przedwcześnie! Tylko przede mną jeszcze tyle lat życia, tyle lat opłakiwania moich najbliższych.

— Drogie dziecko — w głosie hrabiny Liline wyczułam głębokie wzruszenie — wiem, że bardzo kochałaś księżnę, twoją ciotkę i rozumiem, że czujesz się teraz opuszczona. Wciąż masz jednak wielu przyjaciół i wielbicieli, którzy gotowi są dla ciebie poświęcić życie. I jeśli to nie zarozumiałstwo z mojej strony, chciałabym, byś mnie uważała za swą matkę.

— Dziękuję ci, droga Wiero Kiryłowno! — odpowiedziałam zupełnie szczerze.

Po lekcjach, których udzielił mi los w ciągu dwóch ostatnich lat, nie chciałam zbyt surowo osądzać tej typowej damy dworu. Ostatnie miesiące nauczyły mnie, jak słuszne były przestrogi ojca przed zbyt pochopnym ocenianiem ludzi, bo sama w pełni doświadczyłam na sobie marksistowskiej sprawiedliwości.

— Wiero Kiryłowna — odezwała się, kiedy ucałowawszy mnie w policzek, wstała — jesteś jedyną osobą poza nianią i Borysem Majskim, która wie, ile znaczył dla mnie Stefan. Chciałabym, by to zostało między nami. Mam

nadzieję, że nie rozmawiałaś na ten temat z profesorem Holwegiem?

— Nie ukrywałam przed nim, że kochałaś księcia jak brata — oświadczyła Wiera Kiryłowna, dumnie wypinając pierś, jak przystało na byłą damę dworu, która potrafi być dyskretna i umie się taktownie zachować. — A skoro o tym mówimy, muszę cię przestrzec przed profesorem Holwegiem. Jest bardzo zaborczy, zbyt opiekuńczy w stosunku do ciebie, jakby — wiem, że to zabrzmie śmiesznie — jakby uważał się za twojego męża. Musisz być stanowcza, drogie dziecko. Musisz trzymać go na dystans.

— Na dystans? Mówisz tak, jakby był gorszy od nas!

— Och, wiem, że jest niezwykle inteligentny i kulturalny, ale nie jest z naszej sfery.

Nie jest z naszej sfery, sfery rządzącej, która oddała Rosję bolszewikom!

— No i dzięki Bogu za to! — powiedziałam. — Proszę posłać po profesora Holwega. Chcę się z nim zobaczyć.

— Drogie dziecko, jesteś zdenerwowana. Powinnaś nieco odpocząć. — Hrabina Liline wstała niezwykle wzburzona.

— To ty, Wiero Kiryłowno, jesteś zaborcza i nadopiekuńcza — zauważyłam grzecznie. — Chcę się z nim natychmiast zobaczyć.

— Jak sobie życzysz — zgodziła się.

Kiedy pielęgniarka zmierzyła mi temperaturę i poprawiła poduszki, wszedł Aleksander. Usiadł obok mojego łóżka. Był niezwykle spięty i aż drżał ze wzruszenia.

— Nie potrafię wypowiedzieć, jak bardzo jestem szczęśliwy, widząc, że nie grozi pani już żadne niebezpieczeństwo, Tatiano Pietrowno.

— Aleksandrze — spojrzałam na niego czule. Podniszczony garnitur źle na nim leżał, ale bródkę miał starannie podstrzyżoną, a na twarzy malowała się mina naukowca, który nic nie zostawia ślepemu trafowi. Znów był mi bliski, cieszyłam się z jego obecności, obecności, którą wyczuwałam obok siebie przez wszystkie długie miesiące choroby.

Krążył

nade mną jak dobry czarodziej, odganiając niebezpieczeństwa. — Drogi Aleksandrze, jak mam panu dziękować?

— Proszę nawet o tym nie wspominać. Było, minęło...

— Bardzo mgliście pamiętam naszą podróż. Myślałam, że jedziemy do Polski.

— Na granicy litewskiej rozgorzały tak zacięte walki, że postanowiłem skierować się na południe, na Ukrainę. Próbowaliśmy przedrzeć się na Podole, gdzie w razie czego moglibyśmy się ukryć w żydowskich osadach, ale to nam się też nie udało. I tak klucząc i przeżywając najbardziej nieprawdopodobne przygody, dotarliśmy w końcu na Krym.

— Chcę, żeby mi pan wszystko opowiedział. Ale najpierw proszę mi powiedzieć, czego się pan dowiedział o śmierci mego kuzyna Stefana — poprosiłam, a kiedy Aleksander zaczął się kręcić na krześle, dodałam: — Wiera Kiryłowna powiedziała, że może pan potwierdzić jej relację.

— No oczywiście, Wiera Kiryłowna! — Aleksander sprawiał wrażenie, że jest zadowolony, iż może dać upust swemu niezadowoleniu. — Jakby nie mogła poczekać, aż nabierze pani więcej sił.

— Starczy mi sił. Co pan wie, Aleksandrze?

— Bandyci schwytali i obrabowali pani kuzyna, a potem go zastrzelili wraz z pozostałymi pojmanymi. Jeszcze jedna idiotyczna i niepotrzebna śmierć w tej idiotycznej i niepotrzebnej wojnie domowej. Bardzo mi przykro, Tatiano Pietrowno. Wiem, że wcześniej pogodziła się już pani ze śmiercią księcia Stefana, więc może ją pani znów zaakceptować. Pani głównym obowiązkiem jest teraz żyć! — W oczach zapalił mu się dawny płomień.

— Wiem, Aleksandrze. Nie można wymigać się od życia, chociaż wydaje mi się ono takie nudne, takie... bezcelowe. — Słyszając swoje słowa, uświadomiłam sobie, że nie tylko użalam się nad sobą, ale zachowuję się okrutnie. Czy Aleksander nie miał podstaw sądzić, że może nadać memu życiu nowy sens? Czy cicho go nie utwierdzałam w tej wierze?

— Jak pani może mówić takie rzeczy, Tatiano Pietrowno! Przecież istnieje nauka, istnieje wspaniała muzyka, pięk-

no w przyrodzie, w sztuce. — Taktownie nie wymienił żadnych osobistych powodów, dla których warto żyć.

Spojrzałam w okno. Przez długie, muślinowe firanki, przez kamienną balustradę balkonu zobaczyłam błękitne morze i niebo. Tak, w Ałupce było prześlicznie, lecz czy uroda świata nie jest jedynie naigrywaniem się z nas?

— Dopóki człowiek korzysta ze swego rozumu, dopóty życie nie może być nudne i bezcelowe — ciągnął Aleksander.

Aleja bardziej kierowałam się sercem niż rozumem! Moje serce bez Stefka żyło tylko w połowie.

— Czy chce pani, bym sobie poszedł, Tatiano Pietrowno? — spytał Aleksander.

— Nie. — Potrzebna mi była jego obecność. Teraz pozostał mi tylko on!

— Proszę mi opowiedzieć o naszej odysei. Wydaje mi się, że jakiś czas spędziłam w szpitalu.

— Tak. — Aleksander skwapliwie rozpoczął swą relację. — Po opuszczeniu Piotrogradu przez ponad sześć tygodni przebywaliśmy w Pskowie, w szpitalu, którym kierował mój były student. Potrzebowała pani tlenu i nie była zdolna do podróży. Zanim pani wyzdrowiała, zainteresował się panią komisarz do spraw zdrowia. Umieściliśmy panią w pociągu, który zmierzał na front bałtycki, lecz na granicy wysadzono nas i skierowano do Smoleńska. Stamtąd udaliśmy się do Kijowa. Jechaliśmy pociągiem w skonfiskowanej salonce — może kiedyś należała do pani, Tatiano Pietrowno — zaproszeni przez żonę generała Armii Czerwonej, który był niegdyś moim kolegą uniwersyteckim. W Kijowie, dzięki jej wstawiennictwu, załatwiłem bezpieczny przejazd do granicy Galicji i zgodę na wyjazd z kraju. Myślałem, że już nic nam nie grozi, ale okolice okazały się niespokojne.

Aleksander zmienił ułożenie nóg i z przyzwyczajenia wygładził nie istniejące załamania na wielkich, zdeformowanych nogawkach spodni.

— Bolszewicy — ciągnął — dopiero co pokonali separatystyczny rząd, tzw. Radę, utworzoną przy pomocy Niemców. Ale partyzanci ukraińscy wciąż byli aktywni. Wysadzili most na Bugu. Kiedy nasz pociąg zatrzymał się nad rzeką, zaatakowali go i zdobyli.



Miałem fałszywy paszport wystawiony na nazwisko Józefa Goldsteina, żydowskiego komisarza zdrowia. Mało brakowało, a wykastrowano by mnie i powieszono na najbliższym drzewie.

Dopiero wtedy zacząłem w duchu dziękować swej przezornej matce, że mnie ochrzciła! Kiedy partyzanci przekonali się, że nie jestem obrzezany, uwierzyli, że mój paszport jest fałszywy i puścili nas wolno, choć okradli mnie uprzednio ze wszystkiego, co miałem.

— Ale chyba nie zabrali panu skrzypiec — przerwałam

— chyba nie ukradli pańskiego bezcennego stradivariusa?

— Dzięki Bogu nie! Nasi partyzanci nie zdawali sobie sprawy z wartości skrzypiec. Ale zabrali mi wszystkie ubrania, nawet przybory toaletowe.

Wiera Kiryłowna łaskawie zaopatrzyła mnie w to, co mogła wyszperać.

— Ponurym gestem wskazał na garnitur.

— Widzę, że spisała się świetnie — uśmiechnęłam się.

— Co się stało potem?

— Jacyś chłopcy zabrali nas do swojej wsi, gdzie wynająłem tarantas. Po jednym dniu podróży w tym pudle bez resorów błagała pani, bym pozwolił jej umrzeć na skraju drogi. Na środku stepu nasz koń się ochwacił. Na szczęście natknął się na nas oddział Kozaków dońskich.

Umieścili panią między dwoma końmi, a mnie posadzili na siodło.

Pierwszy raz w życiu jechałem konno i, mam nadzieję, ostatni.

Nie mogłam się powstrzymać od uśmiechu na myśl, że Aleksander wyszedł cało z zawieruchy wojny domowej. Aleksander zachichotał, a potem mówił dalej:

— Ich ataman służył kiedyś w korpusie pani ojca, a więc traktowali nas po królewsku. Oddał nam swój namiot i wyznaczył eskortę do samej Odessy. Jednak zanim dotarliśmy do miasta, zaatakował nas oddział bandy Grigorjewa, blokujący dojazd do miasta. Nasi Kozacy zniknęli, a bandyci szykowali się do rozprawy z nami. Wstrząsa mną dreszcz na myśl, co mogliby z panią zrobić, gdyby nie pani choroba.

Na szczęście ich przywódca mówił z mocnym akcentem niemieckim, więc zaryzykowałem i przemówiłem do niego w tym języku. Okazało się, że był dezerterskim z armii niemieckiej. Pochodził z wielkiego księstwa Allensee. Znowu byłem wdzięczny memu szacownemu pochodzeniu. Wyjawiłem, że jestem synem ostatniego księcia. Otrzymaliśmy eskortę, która przeprowadziła nas przez linię walk i zostawiła na ziemi niczyjej. Razem z nią nieśliśmy panią na noszach, dzierżąc wysoko w górze białą flagę, póki nie wezwali nas do zatrzymania się polscy wartownicy z korpusu ekspedycyjnego Ententy. Tym razem przedstawiłem się jako Aleksander Holweg z Warszawy, eskortujący krewną Zasławskich. Polacy zabrali panią na posterunek, a stamtąd ambulans przewiózł nas z wszelkimi szykanami do Odessy.

— Biedny Aleksander! — Nie mogłam się nadziwić jego odwadze. — Więcej pan wycierpiał ode mnie! Czy to już był koniec naszych kłopotów?

— Niezupełnie. Generał d'Anselme, dowódca sił francuskich, rozkazał, by ewakuowano mieszkańców. Zrobił się straszny bałagan. Francuzi byli zainteresowani wyłącznie ratowaniem własnej skóry. Tych uciekinierów, których zabrali ze sobą, traktowali nikiemnie. Brytyjczycy, w przeciwieństwie do Francuzów, zachowywali się poprawnie, a nawet uprzejmie. Ale przysłane przez nich statki nie mogły zabrać wszystkich chętnych. I znowu z pomocą przyszli nam Polacy. Ich komendant przydzielił nam kilku krzepkich legionistów, którzy grożąc użyciem broni, umieścili nas na pokładzie jakiegoś kutra rybackiego. Nie wyobraża sobie pani, jakie sceny rozgrywały się w porcie: uciekinierzy walczyli między sobą o miejsca na statkach, wskakiwali do morza. Tysiące ich zostało na brzegu, siedzących na swych tobołkach! Był to żałosny widok.

Nasz kuter skierował się ku Jałcie, skąd zatelefonowałem do Ałupki. Cóż za miła niespodzianka znaleźć działające telefony! Nie miałem już rubli ani żadnej innej waluty,

jedynie parę sztuk pani drogocennej biżuterii. Niania, zapewniam panią, przez całą drogę oszczędnie nią gospodarowała. Hrabina Liline wysłała po panią ambulans, a po mnie samochód z szoferem. Pomyślałem, że wróciły dawne, dobre czasy. Zgotowano pani entuzjastyczne powitanie, ale była pani zbyt chora, by zwracać uwagę na takie rzeczy. Wszystkich nas okropnie pani wystraszyła, Tatiano Pietrowno. Na szczęście to też już należy do przeszłości... Już wychodzę, siostró. — Wstał na widok pielęgniarki, dającej znak, by kończył wizytę.

Zatrzymałam go.

— Aleksandrze, proszę poczekać jeszcze chwilkę, chcę pana zapytać jeszcze o jedno. Nie wspomniał pan nic o Fiodorze. Gdzie on teraz jest? Aleksander nerwowo dotknął swej bródki.

— Tatiano Pietrowno, ogromnie żałuję, że nie mogliśmy go zabrać.

— Nie mogliśmy go zabrać? Czyżby... zostawił pan Fiodora samego na daczce?

— Nie mogłem załatwić dla niego fałszywych papierów. Już i tak miałem kłopoty, by w tak krótkim czasie przedłużyć ważność dokumentów dla pani i niani. Poza tym Fiodor był zbyt dobrze znany jako pani lokaj, nie mówiąc już o jego charakterystycznej, potężnej postaci. W Peterhofie zatrzymała nas milicjantka — gdyby Fiodor był z nami, natychmiast wszystko by się wydało. Zostawiłem mu nieco pieniędzy i adres przyjaciela z mojego wydziału, który ma dobre stosunki z bolszewikami. Obiecał mi, że się nim zaopiekuje. To wszystko, co mogłem zrobić, Tatiano Pietrowno.

Spojrzałam na swego wybawcę z niedowierzaniem, przerażeniem, a nawet z niechęcią.

— Aleksandrze, jak pan mógł! To było okrutne, nieludzkie!

— Ale... ale nie było innego sposobu, by panią uratować, Tatiano Pietrowno!

— Nie prosiłam, by mnie pan ratował! Prosiłam tylko, by się pan zaopiekował nianią i Fiodorem. Jakie miał pan prawo decydować, by ratować mnie, a nie jego?

Pielęgniarka znów poprosiła gościa, by kończył swą wizytę.

Aleksander stał, spoglądając na mnie smutno.

— Zrobiłem to, co uważałem za najlepsze dla pani, Tatiano Pietrowno.

Proszę mi wybaczyć, jeśli śmiałem uważać się za pani przyjaciela, może nawet za kogoś więcej niż przyjaciela... a przynajmniej za jedyną osobę, która mogła pani pomóc. — Zawahał się i po chwili dokończył z godnością: — Po wywiezieniu pani poza granice Rosji w bezpieczne miejsce i po wywiązaniu się ze swego świętego obowiązku wycofam się z pani życia, tak jak teraz wycofuję się z tego pokoju. Za pozwoleniem. — Ukłonił się i sztywno skierował ku drzwiom.

Moja złość przemieniła się w zawstydzenie. Aleksander nie jest winny, że nie rozumie, ile znaczył dla mnie Fiodor, pomyślałam. To nie jego w dzieciństwie Fiodor nosił na rękach. To moja wina, że zostawiliśmy Fiodora, tylko i wyłącznie moja wina. Byłam tchórzem. Pragnęłam na zawsze uciec od smutków i cierpień. Nie chciałam jeść, nie nakryłam się, gdy nocą zsunęła mi się kołdra, a w gorączce nie mogłam powiedzieć: „Jeśli nie możemy zabrać ze sobą Fiodora, w takim razie zostaję; nie można ratować mojego życia za cenę jego życia”.

— Siostró — powiedziałam — proszę wezwać na chwilę profesora Holwega. — Było mi nie tylko wstyd, ale także bałam się, że zraziłam do siebie Aleksandra swą niewdzięcznością i to właśnie teraz, gdy go najbardziej potrzebowałam!

— Aleksandrze — powiedziałam, gdy zjawił się w pokoju — nie jestem warta pańskiego oddania. Ale dziękuję panu za to, co zrobił pan dla mnie i dla mego ojca. Przez całe życie pozostanę pana dłużniczką. Czy może mi pan wybaczyć moje niesprawiedliwe słowa?

Wyciągnęłam rękę, a on ujął ją w obie dłonie.

— Nie musi mi pani dziękować ani mnie przepraszać. Największą nagrodą dla mnie będzie pani powrót do zdrowia. I mam nadzieję, że już nigdy nie podda się pani tym chorobliwym, fatalistycznym skłonnościom, które panią niemal zabiły.

— Wstyd mi za siebie, Aleksandrze.

— W tych okolicznościach były one zrozumiałe, Tatiano Pietrowno. Nic ma pani jeszcze dwudziestu dwóch lat, jest pani inteligentna i zdolna. Nic nie stoi teraz na przeszkodzie, by zaczęła pani studiować medycynę. Z radością pani pomogę, oczywiście, jeśli mi pani pozwoli...

Z wdzięcznością przyjąłem propozycję pomocy. Uśmiechnęłam się.

Aleksander zmieszany ucałował mą dłoń i szybko wyszedł z pokoju.

Następnego dnia zobaczyłam się z Zinajdą Michajłówną — podobnie jak Wiera Kiryłowna okazywała ogromny szacunek spadkobierczyni Grandmaman, choć byłam bez grosza. Podziękowałam również Koleńce za uratowanie Ałupki przed zniszczeniami, których mogliby dokonać bolszewicy. Usłyszawszy, że wstąpił do Armii Ochotniczej, poprosiłam go, by spróbował dowiedzieć się czegoś o Borysie Majskim.

Zasalutował.

— Tak jest, Tatiano Pietrowno. — A do swej matki, która błagała, by się nie zaciągał do wojska, powiedział beztróska: — Znam języki obce, mogę być użyteczny naszej sprawie.

Byłam pewna, że Zinajda Michajłówną niepotrzebnie się martwi.

Koleńka umiał zadbać o własną skórę.

To byli moi ostatni goście w A łupce. Cesarzowa-wdowa nie odwiedziła mnie ponownie. Był drugi tydzień kwietnia i bolszewicy opanowali Półwysep Krymski. Wszyscy myśleli tylko o jednym — o ucieczce przed nimi.

Brytyjczycy ponownie stanęli na wysokości zadania. Okręt floty królewskiej „Marlborough” przyplłynął po ro-

syjską cesarzową-wdowę, siostrę angielskiej królowej-matki, Aleksandry. Maria Fiodorowna odmówiła wejścia na pokład, póki wszyscy uciekinierzy nie zostaną ewakuowani w bezpieczne miejsce. Brytyjczycy skierowali do Jałty więcej statków, by pomieścić wszystkich chętnych.

Do Ałupki wysłano motorówkę po mnie i po moją małą świtę. Teraz z kolei ja odmówiłam wyjazdu, dopóki nie zostaną ewakuowani wszyscy ci, którzy znaleźli schronienie w moim domu. Należeli do nich uciekinierzy z naszych różnych majątków, ranni żołnierze, a także wszyscy domownicy i służący, którzy chcieli opuścić Rosję. Los oszczędził mi bolesnego rozstania z Bobikiem, który zapewne nie przetrzymałby brytyjskiej kwarantanny. Pewnej nocy zdechł przy moim łóżku podczas snu.

Wszystkich chętnych zabrano na pokład brytyjskiego transportowca zacumowanego w malowniczej zatoce, w której niegdyś kołysał się na falach nasz jacht „Helena” z błękitno-złotą flagą Siłomirskich. Do ostatniej motorówki wsiedli razem ze mną Aleksander, Wiera Kiryłowna, Zinajda Michajłowna i niania. Niania nie tylko zawięła w koce i prześcieradła lżejszy dobytek, ale również wypchała swój tobiół puchowymi poduszkami i tyloma sztukami naszego złotego, ozdobionego monogramem serwisu, ile zdołała udźwignąć. Aleksander miał jedną małą torbę i skrzypce. Zinajda — dwie okazałe walizy, a Wiera Kiryłowna — dwa potężne kufry.

Kiedy wnoszono mnie na noszach na statek, po raz ostatni rzuciłam okiem na wysokie cyprysy, którymi wysadzona była parkowa aleja, wijąca się wzdłuż morskiego brzegu. To tu Borys Majski uczył mnie jazdy konnej. Również stąd zawożono mnie do cesarskiego pałacu w Liwadii, bym się mogła pobawić z Tatianą Nikołajewną i z Olgą. Jabłonie w sadzie obsypane były kwieciami. Morska bryza przyniosła zapachy i odgłosy z lat mego dzieciństwa.

Na pokładzie statku powitał mnie osobiście kapitan. Przez otwarty iluminator kabiny usłyszałam grany przez orkiestrę na „Marlborough” nasz hymn: „Boże, chroń cara”. Było to stosowne requiem dla carskiej Rosji i dla moich najbliższych, którzy na zawsze pozostali w ojczystym kraju.

Przez następne pięć tygodni dochodziłam do pełni sił w brytyjskim szpitalu wojskowym w Konstantynopolu. Aleksander, profesor uniwersytecki, grał na skrzypcach w nocnym lokalu, w którym do stołów podawały rosyjskie księżniczki. Niania prowadziła mu gospodarstwo — kiepsko — i toczyła wojnę z Turkami, Żydami i Grekami mieszkającymi w robotniczej dzielnicy Galata. Hrabina Liline dawała lekcje francuskiego tureckim panienkom z dobrych domów, mieszkającym na wzgórzach Pera. Zinajda Michajłowna pracowała w cukierni.

Po wyjściu ze szpitala zatrudniłam się w nim jako pielęgniarzka w zamian za pokój, wyżywienie i ubranie. W dniu moich dwudziestych drugich urodzin, 28 maja 1919 roku, personel szpitalny urządził mi skromne przyjęcie, na które przyszła czwórka najbliższych mi osób. Zinajda Michajłowna przyniosła własnoręcznie upieczone ciasto, Wiera Kiriłowna — bizantyjską ikonę wygrzebaną z przepastnego kufra, Aleksander — kwiaty i oprawiony w skórę egzemplarz „Zapisków myśliwego”. Po zakończeniu uroczystości, kiedy wyszli już wszyscy goście, a zostali jedynie Aleksander oraz niania, profesor próbował omówić ze mną plany na przyszłość. Poinformował mnie, że wystosował pisma do ważniejszych europejskich uniwersytetów z prośbą o przyznanie mu katedry. Napisał również do Instytutu Radowego w Paryżu, gdzie najchętniej podjąłby pracę.

Jak tylko otrzymam ofertę pracy — a nie wątpię, że tak się wkrótce stanie — złożę podanie o wizę. Na szczęście mogę wystąpić o polski paszport. Pani oraz niania, przynaj-



mniej na razie, będziecie musiały ubiegać się o paszporty dla bezpieczeństwa. — Widząc moją minę, wyjaśnił: — Otrzymują je emigranci.

— Rozumiem. Aleksandrze, proszę mi wybaczyć, ale nie potrafię jeszcze myśleć o takich przyziemnych sprawach.

— Proszę jednak pamiętać, że będzie pani potrzebny paszport, żeby mogła pani wystąpić o wizę francuską. Trzeba na nią czekać sześć tygodni, a poza tym sporo kosztuje.

— Najpierw proszę mi pozwolić, Aleksandrze, znów przyzwyczaić się do pracy — wykręcałam się. W rzeczywistości nie byłam jeszcze gotowa do rozstania się na dobre z Rosją.

— Nie ma pośpiechu — uspokoił mnie Aleksander. — Czy chciałaby pani zamieszkać w Paryżu?

— Och, wszystko mi jedno, gdzie będę mieszkała — powiedziałam, ale widząc wyraz jego twarzy, dodałam: — Bylebym pana miała blisko siebie, Aleksandrze. — Wyglądało na to, że dokądkolwiek się udawał, niania i ja musiałyśmy iść za nim; dyrygował naszym życiem.

Rzucił mi nieprawdopodobnie młodzieńczy uśmiech, zaczął coś mówić, ale urwał zmieszany.

Odłożyłam na bok myśli o przyszłości, do której Aleksander tak niecierpliwie się rwał, a która dla mnie nie miała żadnego znaczenia. Poświęcałam się pracy, choć nie wykorzystywałam w niej wszystkich swych umiejętności. Nie miałam listów polecających ani nie mogłam się pochwalić międzynarodowymi publikacjami jak Aleksander Holweg, więc powierzano mi najprostsze zadania. Ale i tak było to lepsze, niż sprzątanie ulic. Poza tym miałam okazję uczenia się przez obserwowanie pracy innych. Przebywanie wśród chorych sprawiało, że zapominałam choć na chwilę o pustce wewnętrznej i uczuciu przejmującego zagubienia. Najważniejsze, że dobrze się czułam w szpitalu. Tak jak Aleksander w laboratorium.

Poprosiłam, by przydzielono mnie do pracy na oddziale dla najciężej poparzonych i okaleczonych. Opatrywałam

ropiejące rany, których sam widok powodował drzenie rąk nawet u bardziej doświadczonych ode mnie pielęgniarek, i bez zmrúżenia oka patrzyłam na wzbudzające litość kaleki. Tylko niosąc ulgę innym, mogłam odpokutować za to, że żyję, podczas gdy Stefek zginął przez moją bezmyślność, a Fiodora pozostawiono samemu sobie, bez pomocy. Aleksander wysłał przez ambasadę szwedzką list do swego przyjaciela w Leningradzie, który obiecał pomóc Fiodorowi. Pocieszałam się myślą, że Fiodor ma protektora. Zaczęłam z przyjemnością wyglądać cotygodniowych wypadów na miasto z Aleksandrem. W piękne, letnie dni Bosfor miał odcień głębokiego błękitu, kontrastującego z delikatną zielenią okolicznych pagórków. Strzeliste niebiesko-białe minarety wznosiły się ku niebu, uliczki były tak wąskie, że wydawało się, iż można przeskoczyć z jednego balkonu na drugi. Skupiska starych, szarych domów przypominały grupki plotkujących kobiet. Aleksander zwracał moją uwagę na śliczne detale w arabeskach, okalających małe okienka, zakończone ostrymi łukami, surowych, a zarazem delikatnych niczym muzyczne ozdobniki w kompozycjach Bacha. Bardziej od architektury fascynowali mnie ludzie: grupki żołnierzy w mundurach rozmaitych armii mieszały się z tłumami Turków paradyjących w czerwonych fezach oraz zakwefionymi kobietami o cudownych, wyrazistych oczach. Zwiedziliśmy Błękitny Meczet, cały wyłożony niebieskimi kafelkami i przepysznyimi kobiercami, ogromną bazylikę Hagia Sophia, w której koronowano moich bizantyjskich przodków, oraz pałac zdetronizowanego sułtana Abdulhami-da II. Podczas gdy Aleksander, czerpiąc ze swych niewyczerpanych zasobów wiedzy, snuł opowieści o cesarstwie bizantyjskim i ottomańskim, ja przypominałam sobie z lat dzieciństwa baśnie z tysiąca i jednej nocy. Opowiedziałam Aleksandrowi, jak to jako mała dziewczynka bawiłam się w mahometańską księżniczkę. Wolałam wspominać wczesne dzieciństwo niż czasy, kiedy w moje

życie wkroczyła śmierć. Aleksander dla odmiany był powściągliwy, jeśli chodzi o pierwsze lata swego życia spędzone w Warszawie, kiedy to jego piękna, młoda, ubóstwiana przez niego matka zarabiała na ich utrzymanie praniem bielizny bogatych i wielkich tego świata. Pełna urażonej dumy nauczyła go, by nie ufał emocjom i kierował się wyłącznie rozumem.

— Aż do niedawna — oświadczył — wszystko wskazywało na to, że matka miała rację.

— Wcale bym się nie zdziwiła, gdyby rzeczywiście tak było. —

Zadumałam się. Czyż na własnej skórze nie przekonałam się, jak zmienne były moje uczucia? — Ale kierowanie się rozumem też niewiele mi pomogło.

— Bo nie nauczyła się pani jeszcze z niego korzystać ani w życiu, ani w uczuciach, Tatiano Pietrowno.

— Czy istnieje coś takiego jak racjonalne uczucie?

— Lubię sobie wyobrażać, że tak, Tatiano Pietrowno, i że doznaję go, spacerując z panią. — Aleksander położył dłoń na mojej ręce.

Ten gest, delikatny, ale pełen pewności, zdradzał, że Aleksander miał większe doświadczenie z kobietami, niż się do tego przyznawał.

— Czy był pan kiedyś zakochany, Aleksandrze? — spytałam. — W młodości? — dodałam, gdy spojrzał na mnie ze zdumieniem i wyrzutem.

— Kiedy byłem w pani wieku — uśmiechnął się nieco ironicznie na myśl, że uważam go za „starego” — zakochałem się do szaleństwa w siostrze kolegi ze studiów. Przez jakiś rok widywaliśmy się dosyć często w jego domu. Pewnego dnia dowiedziałem się, że zaręczyła się z innym studentem. Czuję się tak, jakbym dosłownie dostał obuchem w głowę. Czterdzieści osiem godzin spędziłem w jakimś odrętwieniu, a kiedy się ocknąłem z tego stanu — byłem całkowicie wyleczony z miłości. Przy okazji nauczyłem się dwóch rzeczy: po pierwsze, że miłość to rzeczywiście opętanie, jak mawiają poeci, a po drugie, to luksus.

— A teraz? Czy w dalszym ciągu tak pan myśli?

— Tak i nie. Wciąż uważam, że miłość to luksus. Ale przekonałem się, że życie pozbawione odrobiny luksusu to jedynie prymitywna egzystencja. Bardzo ładnie to powiedział. Aleksander zawsze umiał interesująco mówić.

— Dla mnie miłość nie jest luksusem, tylko podstawą bytu — oświadczyłam. Choć musiałam przyznać, że istnieją różne rodzaje miłości i że wcale nie jest to takie proste zagadnienie. — Czy później kochał się pan jeszcze w kimś platonicznie?

— Tak jak pierwszy raz, już nigdy. Przeżywałem od czasu do czasu jakieś miłostki. Z perspektywy lat wydaje mi się, że była to zawsze strata czasu i pieniędzy. Nigdy nie wyobrażałem sobie, że kiedyś będę chciał się ożenić, że może się to stać najważniejszym celem mego życia. — Przycisnął dłoń mocniej do mego ramienia.

Sprawiło mi to przyjemność. Podobały mi się te pełne niedomówień zaloty, które do niczego mnie nie zobowiązywały. I tak, wędrując między stłoczonymi domami i smukłymi minaretami, otoczona wielojęzycznym gwarem, przeciskając się przez tłumy wojskowych i uciekinierów, w ciągu następnych trzech miesięcy poznałam Konstantynopol tak dobrze jak proste, szczere serce, którym kierował wielki i złożony umysł mego przewodnika. Potrafił czytać w mych myślach jak w otwartej księdze. Ale nie umiał rozszyfrować zawilości mych uczuć.

Mniej pociągający był Konstantynopol nocą. Słyszało się czasami strzelaninę, a w porannych gazetach czytało o zabójstwach. Gdy pewnego razu wybrałam się w towarzystwie dwóch angielskich pielęgniarek do nocnego klubu, by posłuchać gry Aleksandra, wstrząsnął mną widok licznych Kosjanek-prostytutek. Dziewczyny wyglądały najwyżej na dwanaście—trzydzieści lat! Na widok policjanta rozpierzchały się, a potem znów nadlatywały, niczym ptaki.

Aleksander grał rewelacyjnie. Zamiast pedantycznego i eleganckiego polskiego dżentelmena-naukowca widziałam brata tych szalonych żydowskich grajków, których słyszałam w dożynkowy wieczór w Zasławicach. W tej cygańskiej muzyce uzewnętrzniała się cała pasja, którą czasem można było dostrzec w błysku jego czarnych oczu. Byłam urzeczona. Po raz pierwszy w pełni zrozumiałam głębię i żar jego miłości. Sprawilo mi to przyjemność, a jednocześnie wywołało jakiś lęk. Uciekłam z nocnego klubu, by nie wybuchnąć szlochem. Kiedy znalazłam się w swym szpitalnym pokoiku, rozpłakałam się po raz pierwszy od ponad roku. Płakałam nad wszystkimi poległymi w wojnie i nad tym jednym jedynym, z którym pochowana została moja miłość. Znowu poprosiłam Aleksandra, by powtórzył mi szczegóły śmierci Stefana, o których dowiedział się od Polaków w Odessie. Powiedział, że mój kuzyn razem z dwoma innymi ujętymi został zabity strzałem w głowę. U jednego z członków bandy znaleziono pierścień rodowy Zasławskich z piastowskim orłem. Człowiek ten opisał Stefana w sposób nie pozostawiający wątpliwości.

— Zabity strzałem w głowę? — spytałam. — Czy zidentyfikowano zwłoki? — nie ustępowałam.

— Został zabity, czy to pani nie wystarczy? — odparł Aleksander. Odniosłam wrażenie, że podobnie jak Wiera Kiryłowna coś przede mną ukrywa. Postanowiłam sama dowiedzieć się wszystkiego o śmierci Stefka. Okazja nadarzyła się jeszcze przed końcem lata.

Wojna domowa w Rosji, tocząca się ze zmiennym szczęściem, przyjęła bardziej korzystny obrót dla działającej na południu armii Białych w tym samym czasie, gdy na Syberii opuszczony przez Czechów admirał Kolczak zmuszony zo siał do odwrotu. W połowie czerwca Krym został oswobodzony. Oddziały generała Denikina posuwały się na północ.

na Ukrainę, i w lipcu zdobyły Charków. Rosyjscy uchodźcy egzystujący w obozach lub pracujący w Konstantynopolu zaczęli marzyć o powrocie do domów.

Szczególnie paliła się do wyjazdu stęskniona za swym synem Zmajda Michajłowna. W sierpniu Koleńka, służący jako adiutant z dala od bitewnego zgiełku, zaprosił matkę do siebie do Taganrogu nad Morzem Azowskim, dokąd generał Demkin przeniósł swój sztab.

„Proszę poinformować Jej Wysokość Tatianę Pietrownę - dodał Koleńka w postscriptum - że w Taganrogu jest generał Majski. Leży w szpitalu zakaźnym, chory na tyfus. Przekaz również księżniczce wyrazy uszanowania od porucznika marynarki barona Niessena i od jej krewnego, kapitana księcia Łomatowa-Moskowskiego. Jesteśmy do jej usług'

Baron Niessen i Ł-M w Taganrogu! Borys Andriejewicz Majski żyje! Całej trójce udało się wyjść bez szwanku z opresji! Odżyła we mnie głęboko skrywana nadzieja, że Metan, choć od dawna uważany za martwego, też mógł ocaleć i przebywa w zupełnie niespodziewanym zakątku świata. Tak czy inaczej, musiałam się zobaczyć z Borysem Andriejewiczem, a przy okazji w sztabie generalnym w Taganrogu może poznam prawdę o rzekomej śmierci Stefka Znow miałam jakiś cel w życiu i nie musiałam się kurczowo trzymać Aleksandra. Co więcej, moje uzależnienie od niego zaczęło mnie irytować.

Zinajda Michajłowna spieniężyła swój spadek i pierwszą możliwą okazją popłynęła do Taganrogu, obiecując znaleźć dla nas wszystkich lokum. Zamierzałam udać się za nią Wiera Kiryłowna oświadczyła, że chce mi towarzyszyć Miała już serdecznie dosyć nauczania francuskiego tureckich pań. Natomiast niania i Aleksander sprzeciwili się mojemu projektowi.

- Kiedy przestanie pani czynić szlachetne gesty Tatiano I ictrownno? — spytał. - Czy pomoże pani Borysowi Majskicmu, składając mu wizytę w szpitalu? Przecież nie mozc go pani stamtąd zabrać. Natomiast kiedy generał

wyzdrowieje i opuści Rosję, wtedy będziemy mu mogli pomóc osiedlić się za granicą. W tej sytuacji wyprawa do Taganrogu to tylko niepotrzebne ryzyko i strata pieniędzy. — A kiedy upierałam się przy swoim, nagle rozzłoszczona jego opiekuńczością i zaborczością, spytał: — Pomyślała pani, skąd weźmie środki na sfinansowanie tej wycieczki? Zakładałam, że niania rozstanie się z częścią mojej biżuterii, którą wciąż ukrywała w swym *sarafanie*. Ale nie chciała sprzedać nawet jednej złotej łyżeczki uratowanej z Ałupki! Nie miałam się co łudzić, że wydobędę od niej to, czego nie udało się zdobyć ani bolszewikom, ani grasującym bandom, chociaż zgodnie z prawem stanowiło moją własność. Na szczęście Wiera Kiryłowną była gotowa rozstać się z częścią drogocennej zawartości swych kufrów.

Kiedy Aleksander przekonał się, że nic mnie nie powstrzyma, oświadczył:

— Skoro zdecydowała się pani postawić na swoim, *vous en ferez a votre guise* — proszę przynajmniej poddać się szczepieniom.

Razem z Wierą Kiryłowną zaszczepiliśmy się przeciwko tyfusowi, cholercie i ospie. Jako dodatkowy środek ostrożności, przed wszami, zabrałam specjalny, ściśle przylegający, jednoczęściowy komplet wydawany od niedawna przez Brytyjczyków pielęgniarcom na oddziałach dla chorych na tyfus. Wystąpiłam o miesiąc urlopu i razem z Wierą Kiryłowną zarezerwowałyśmy miejsca na brytyjskim statku, wypływającym w trzecim tygodniu sierpnia.

W tym czasie Aleksander otrzymał oczekiwane zaproszenie z paryskiego Instytutu Radowego i wystąpił o wizę. Zamierzał wyjechać pierwszy i znaleźć dla mnie mieszkanie oraz pracę.

Odprawdzając mnie i Wierę Kiryłownę na statek, powiedział mi o swych planach, dodając na zakończenie:

— Niezależność finansowa jest teraz dla pani najważniejsza.

Zrozumiałam, że ma na myśli zdobycie przeze mnie całkowitej swobody i byłam mu wdzięczna. Ale czyż właśnie

ta swoboda, którą mi gwarantował, najsilniej mnie z nim nie wiązała?  
— Jest pan jak zawsze wspaniały, Aleksandrze. — Zawstydziłam się swej buntowniczości. — Proszę być wyrozumiałym dla niani.

Na moją i jego prośbę niania zgodziła się zostać w Konstantynopolu. Bałam się o jej bezpieczeństwo w samym centrum wojny domowej, a Aleksander (podejrzewałam) chciał ją zatrzymać jako zakładniczkę.  
— Świetnie się nawzajem rozumiemy — zapewnił mnie. To prawda, pomyślałam. Stała się jego głównym sprzymierzeńcem!

— Niech Bóg ma was w swojej opiece do mego powrotu. — Podałam Aleksandrowi rękę.

Uścisnął ją mocno i powiedział:

— Będę czekał na panią miesiąc. Jeśli nie wróci pani pod koniec września, wyjadę do Paryża zgodnie z wcześniejszymi planami i będzie pani musiała sama zająć się formalnościami wizowymi.

Zrozumiałam, że mogę postępować zgodnie ze swym kaprysem, ale Aleksander nie będzie mniej już dłużej chronił przed konsekwencjami mych czynów, tak jak to robił dotychczas. Będę musiała sama sobie radzić w obcym świecie, pełnym formalności. Była to skuteczna groźba.  
— Wrócę na czas — obiecałam i dodałam zupełnie szczerze: — Będzie mi pana brakowało, Aleksandrze.

\*

Na statku pełno było ochotników przebywających dotychczas w obozach dla rosyjskich uchodźców: wśród nich znalazło się też kilka młodych kobiet, które zamierzały walczyć lub pracować w szpitalach polowych Białych. Kiedy dowiedziały się od Wiery Kiryłowny, że administrowałam szpitalem polowym, zasypały mnie gradem pytań. Po raz pierwszy zaznałam nowego i przyjemnego uczucia: byłam traktowana jak ktoś starszy i bardziej doświadczony.



— Mam nadzieję, że przydzielą mnie do pani — wykrzyknęła jedna z moich wielbicielek.

Odparłam, nieco zawstydzona, że jadę do Taganrogu w sprawach osobistych. Dziewczęta sprawiały wrażenie rozczarowanych.

Ja również poczułam się nieswojo. Zazdrościłam im ich entuzjazmu.

Może były naiwne, ale miały przed sobą jakiś cel. Chciały służyć wielkiej sprawie. Tak jak niegdyś ja. Czemu nie miałabym znów spróbować?

Dręczona niepokojem, z niecierpliwością wyglądałam razem z innymi pasażerami swej ojczyzny. Wreszcie ukazały się majestatyczne, błękitne szczyty Kaukazu. Jeszcze bardziej wzruszający, choć nie tak groźny, był widok Krymu wynurzającego się po lewej stronie. W końcu minęliśmy przesmyk i wpłynęliśmy na spokojniejsze wody Morza Azowskiego. Na jego najdalej wysuniętym na północny zachód krańcu leżał Taganrog.

Zinajda Michajłowna i Koleńka wyszli na powitanie pasażerów naszego statku. Oprócz nich na nabrzeżu byli też Ł-M i baron Niessen w

podniszczonym mundurze z olbrzymim bukietem kwiatów w ręce. Na jego widok przypomniałam sobie obdartego, rannego marynarza, dzięki któremu otrząsnęłam się z szoku. Obecność Ł-M również wywołała we mnie mieszane uczucia: bolesne wspomnienia — jak żywe stanęły mi przed oczami dni odwrotu w 1915 roku; radość, że wita mnie członek rodziny i przyjaciel. W porównaniu z żądnym przygód i lekkomyślnym tłumem młodych pasażerów statku obaj mężczyźni sprawiali wrażenie doświadczonych, starych weteranów. I cóż za kontrast z Aleksandrem! Czy naprawdę mogłam traktować tego małego profesorka jak swego zbawcę i podporę? Czy naprawdę obiecałam mu, że wrócę w ciągu miesiąca?

Wiera Kiryłowna rzuciła się na Ł-M — jednego z nas, człowieka, w którego żyłach płynęła nasza krew!

— Odkąd opuściłem daczę, nie przestaję o pani myśleć - wyznał Niessen.

— Zgodnie z pani prośbą przekazałem wiadomość pani kuzynowi, Zaslawskiemu.

— Bardzo jestem panu zobowiązana — odparłam smutno. Ta wiadomość przyczyniła się do śmierci Stefka! — Jak pan wie, został zabity po dotarciu do Odessy.

— Wiem. Ł-M przybył tu razem z korpusem ekspedycyjnym Ententy. Bardzo mi przykro w związku ze śmiercią pani kuzyna. W 1917 roku Ł-M walczył razem z księciem Stefanem nad Sommą. Odwróciłam się do swego krewniaka.

— Czy dobrze znałeś Stefana Zasławskiego?

— Nie tak dobrze, jak bym tego pragnął. Nigdy nie zapomnę jego głosu. Często zabawiał nas swym śpiewem. Ale widzę, że to dla ciebie bolesny temat — bizantyjskie oczy Ł-M spoczęły na mnie ze zrozumieniem.

— Tak. Ale mimo to, jak się tylko rozlokujemy, chcę o nim jeszcze porozmawiać.

— W takim razie jest w Taganrogu ktoś, kto zna go lepiej niż ja, mianowicie jego angielski kuzyn...

— Czyżby lord Andrzej?

— Zgadza się. Jego starszy brat, lord Beresford, poległ we Francji. Młody Andrzej służy w brytyjskiej misji wojskowej. Czy mam go przyprowadzić dziś wieczorem?

Nagle zdjął mnie strach przed spotkaniem z tak bliskim krewnym Stefka.

— Pozwól mi najpierw zorientować się w sytuacji. Może będę musiała zostać w szpitalu zakaźnym, by zaopiekować się generałem Majskim.

— Niech Bóg broni! — wykrzyknął Niessen. — To straszne miejsce!

— To prawda, Tatiano Pietrowno, to prawda — nieśmiało wtrąciła Zinajda Michajłowna.

— Tym bardziej powinnam zrobić, co w mojej mocy. — Nie mogłam poradzić sobie jednocześnie z uprzejmością Ł-M i gorliwością Niessena. Tyle uwagi, okazywanej mi zewsząd, było męczące.

— Tatiano Pietrowno, może jednak zdecyduje się pani do nas przyłączyć

— zawołała jedna z moich wielbicielek ze

statku, gdy pielęgniarki-ochotniczki mijały nas, rzucając zalotne spojrzenia Ł-M i Niessenowi.

— Może — odpowiedziałam. — Podczas rejsu pomyślałam, że powinnam się zgłosić na ochotniczkę — wyjaśniłam swym towarzyszom, gdy wolno ruszyliśmy za dziewczętami.

— Wspaniały pomysł! — powiedział Niessen. — Tego się właśnie po pani spodziewałem.

— Trzeba działać rozważnie — stwierdził Ł-M. — Może na mapie nasza ofensywa wygląda imponująco, ale zwycięstwo wcale nie jest takie pewne.

— Czasami zastanawiam się, Ł-M, czy w ogóle uważasz je za pożądane — z irytacją zauważył Niessen.

— Książę, jeśli będzie pan wypowiadał takie nieostrożne opinie — przestrzegał go Koleńka — to jeszcze dobierze się panu do skóry kontrwywiad.

— Kontrwywiad? — Spojrzałam na nich zdziwiona.

— Podstawa naszych zwycięstw. Muszę cię ostrzec, Taniu — powiedział mój krewny — że arystokraci są podejrzani *ipso facto*.

Jak zwykle nie wiedziałam, na ile poważnie traktować słowa Ł-M.

— Chyba pan żartuje. *Vous faites de l'espñt, cher prince* — próbowała się przymilić Wiera Kiryłowna.

— Ani trochę, hrabino. Och, w Taganrogu przebywa towarzystwo z wyższych sfer, które powita was fanfarami, ale sama armia Białych jest niezmiernie demokratyczna.

— Tym lepiej! — powiedziałam.

Dotarliśmy do niskich szop przy końcu nabrzeża. Małe, portowe miasto na skraju stepu, otoczone z jednej strony przez niskie wzgórza, miejsce urodzenia naszego ukochanego Czechowa, nie sprawiało zbyt pociągającego wrażenia po konstantyno-polskim Złotym Rogu. Ł-M i Niessen odjechali. Koleńka przeprowadził nas przez kontrolę celną i medyczną, a potem ulokował w samochodzie sztabowym „dopiero co odwzonym”.

Miałyśmy zamieszkać w domu kupca zbożowego, gdzie kwaterował Koleńka i jeszcze jeden adiutant. Kupiec, który

oddał Zinajdzie Michajłownie pokój swej dorosłej córki, teraz udostępnił pokój syna i przylegającą do niego sypialnię Wierze Kiryłownie i mnie. Dowiedziałyśmy się tego od Koleńki podczas jazdy szeroką, prostą, główną ulicą, jedną z niewielu w mieście, która miała bruk. Wszędzie widać było, podobnie jak w Konstantynopolu, pełno mężczyzn w mundurach armii sprzymierzonych. Ze zdumieniem dostrzegłam na głowach dwóch wyższych oficerów polskie rogatywki; przy nich ochotnicy z armii Białych prezentowali się rzeczywiście niespecjalnie. — Niepotrzebnie sprawiłeś naszym gospodarzom taki kłopot — zganiłam Koleńkę. — Mogę się przespać gdziekolwiek. — Ja też mogę spać choćby na strychu, byleby było czysto. — Wiera Kiryłowna nie chciała być gorsza ode mnie. — Proszę się nie denerwować, moje szanowne panie. Nasz kupiec tak się boi bolszewików, że z radością poświęciłby wszystko dla naszej sprawy. Para dystyngowanych kupców powitała nas niskim ukłonem na szerokim ganku białego, drewnianego domu. Małżonkowie prześcigali się w okazywaniu nam uszanowania, aż zaczęłam podejrzewać Koleńkę, że zapowiedział mnie jako członka rodu cesarskiego. Moja obszerna sypialnia z kominkiem i domowym ołtarzykiem wychodziła na ogródek warzywny i duży sad. Usługiwała mi młoda wieśniaczka. Skromny posiłek, jaki nam podano, był według miejscowych standardów prawdziwą ucztą. Co najważniejsze, w bawialni stało pianino, nawet niezbyt rozstrojone. — Wasza Wysokość będzie również mogła jeździć konno — powiedział Koleńka. — Przekona się pani, że dla dowództwa Białych nie ma rzeczy niemożliwych do załatwienia, gdy chodzi o osobę córki generała księcia Siłomirskiego. Przypomniałam Koleńce, że nie przyjechałam tu na wakacje, ale by zobaczyć się z generałem Majskim.

— Wszystko już załatwione, Tatiano Pietrowno. Musi pani jedynie przedstawić w szpitalu świadectwo szczepienia. Jednak, jeśli mi wolno coś radzić, na pani miejscu wcale bym tam nie chodził. Taganrog to takie wesołe miasto: kina, teatr, cotygodniowe koncerty symfoniczne, domowe bankiety, dni „przyjęć”, kosmopolityczne towarzystwo. Od dnia wyzwolenia Kijowa wszystkich ogarnęła euforia. Po co chodzić do takiego przygnębiającego miejsca jak szpital?

Wiera Kiryłowna przyznała mu rację.

— Koleńka radzi bardzo rozsądnie — powiedziała, rzucając mi spojrzenie, z którego mogłam odczytać: Ale wiem, że nigdy nie słuchasz dobrych rad.

— Tak, posłuchaj się Koleńki, najdroższa Tatiano Pietrowno — przyłączyła się do nich Zinajda Michajłowna.

— Dość już tego gadania — uciszyłam moich doradców. — Koleńko, chciałabym spotkać się z generałem Denikinem. Czy mógłbyś mi to załatwić?

— Oczywiście, Wasza Wysokość. — Koleńka szarmancko stuknął obcasami, zsalutował, wyjął z dłoni matki cukierka i włożył go sobie do ust, pogroził jej palcem, po czym opuścił nas.

Nazajutrz z samego rana przedstawiłam swe świadectwa szczepienia, pokazałam komplet antytyfusowy i otrzymałam przepustkę do położonego na przedmieściach szpitala zakaźnego. Jak się wkrótce przekonałam, w Taganrogu wszędzie wymagane były przepustki. Nie wystarczyły nawet znajomości i łapówki, żeby przebić się przez biurokratyczne zarządzenia. Do tego trzeba było być co najmniej takim hultajem jak Koleńka.

Szpital był przepełniony. Chorzy leżeli na siennikach na korytarzach. W salach było ledwo tyle miejsce, by móc się precyzyjnie między pryczami. Na szczęście na oddziale dla oficerów, gdzie leżał Borys Majski, były łóżka.

Generał nie poznał mnie.

Położyłam mu dłoń na ramieniu i powiedziałam:

— Drogi Borysie Andriejewiczu, to ja, Tatiana. Spojrzał na mnie uważnie, ściągnął brwi nad sokolim nosem.

— Tatiano Pietrowno, to naprawdę pani? Nie mającę w gorączce? Słyszałem, że udało się pani uciec do Konstantynopola. A teraz znów pani jest tutaj?

— Przyjechałam, by się z panem zobaczyć, Borysie Andriejewiczu, podziękować i zaopiekować się panem, żeby wrócił pan do zdrowia. — Poprawiłam mu poduszkę, wygładziłam koc.

— Jaki ma pani delikatny dotyk! Tak się cieszę, że dożyłem chwili, w której jeszcze raz panią ujrzałem! — Przycisnął moją dłoń do ust. — A teraz proszę usiąść i opowiedzieć mi o swej odysei.

Opowiedziałam mu wszystko, co pamiętałam, spokojnie, obiektywnie. To byłam dawna ja, pomyślałam z ulgą, która już nie istnieje.

— Och, jakże ciężko została pani doświadczona przez los! — powiedział Borys Andriejewicz, gdy skończyłam mówić. — Ale najważniejsze, że dobrze się pani czuje, że jest pani bezpieczna. Bardzo się o panią niepokoiłem. W Piotrogradzie zdobyłem dokumenty i pieniądze. — Teraz z kolei on pragnął mi opowiedzieć swoje przeżycia.

— Mamy czas, Borysie Andriejewiczu, niech się pan nie przemęcza. — Był blady, spocony, w jego melodyjnym głosie słychać było napięcie.

— Nie, muszę to pani powiedzieć. Z Piotrogradu ruszyłem w górę Newy, by skontaktować się z ludźmi w głębi kraju, by zdobyć żywność i motorówkę — ciągnął szeptem. — W drodze powrotnej zaatakowali mnie i Siemiona rzeczni piraci, okradli i zostawili nagich na brzegu.

Czerwoni skierowali nas do kopania rowów na froncie archangielskim.

Uratowali nas Amerykanie. Natknęliśmy się u nich na barona Niessena.

Dowiedziałem się od niego, że jest pani na daczce i że wypytuje o mnie.

Podczas kopania rowów nabawiłem się odmrożeń, straciłem trzy palce u nogi, całą

zimę spędziłem w szpitalu w Archangielsku. Na wiosnę wsiedliśmy na brytyjski statek i po opłynięciu całej Europy dotarliśmy do Noworosyjska. Powitano mnie jako „bohatera Kronsztadu”. Próbę odbicia księcia Siłomirskiego uznano za jedną z największych akcji ruchu antybolszewickiego. — Przerwał, bo zabrakło mu tchu, a potem dokończył w telegraficznym skrócie: — Walczyłem o oswobodzenie Krymu. Zaraziłem się tyfusem plamistym. Umieszczono mnie w szpitalu. Zapomniano o mnie. Nieważne. Teraz mogę umrzeć spokojnie.

— Nie umrze pan, Borysie Andriejewiczu! Wyciągnę pana stąd, zaopiekuję się panem...

— Nikt nie opuszcza tego miejsca, chyba że nogami do przodu, Tatiano Pietrowno. To jeszcze nie najgorsze wyjście. Istnieją gorsze, znacznie gorsze...

Zrozumiałam, że jeśli tak trudno było uzyskać zgodę na odwiedzenie pacjenta, wypisanie go ze szpitala będzie rzeczywiście niemożliwością.

— Borysie Andriejewiczu, obiecuję przynajmniej, że nie pogrzebią pana w mogile zbiorowej. Zostanie pan pochowany z honorami wojskowymi, które także należały się mojemu ojcu.

Borys Andriejewicz uśmiechnął się blado.

— A tymczasem — ciągnęłam — będę przynosiła jedzenie i pomagała pana pielęgnować. Pacjenci, jeśli mają odpowiednią opiekę, wychodzą również z tyfusu.

— Pod warunkiem że są młodzi, Tatiano Pietrowno. Proszę się nie narażać i nie przychodzić tu więcej. Bardzo mało jem i mam najlepszą z możliwych opiekę. Proszę spojrzeć, oto nadchodzi mój anioł stróż. — Wskazał na sanitariusza w białym fartuchu, który rozpromienił się na mój widok.

— Siemion! — wykrzyknęłam.

Siemion pochylił się i obsypał mi ręce pocałunkami.

— Dzięki Ci, Panie Boże! A to się Jego Ekscelencja ucieszył!

— Siemion, kochany Siemion, niech cię Bóg błogosławi za twe dobre serce! — Spojrzałam wzruszona na tego prostego, krzepkiego anioła opiekującego się zapomnianymi bohaterami, którzy leżeli na cuchnącym oddziale, i pomyślałam: Aniołowie nie pochodzą z nieba, ale prosto z piekła.

Spędziłam w szpitalu cały dzień. Kiedy Borys Andriejewicz zmęczył się i zasnął, rozmawiałam z Siemionem o ojcu, wskrzeszając go w myślach. Wieczorem Borys Majski zaczął się rzucać na łóżku. Całą salę wypełniło skrzypienie sprężyn i jęki chorych. Nocą przychodzi przesilenie, zmieniające nawet najspokojniejszych pacjentów w miotających się szaleńców. Dopiero o świcie, skrajnie wyczerpani, z ledwo wyczuwalnym pulsem, zapadają w sen.

Kiedy zaczęłam się zbierać do wyjścia, obiecując, że rano wrócę, zwrócił moją uwagę oficer na sąsiednim łóżku.

— Pani żyje! — wymamrotał. — A więc nie zabiłem pani. Cóż za ulga.

— Jego Ekscelencja zabił podczas bitwy sanitariuszkę Armii Czerwonej, Panie, świeć nad jej duszą! — wyjaśnił Siemion. — Kiedy wzrasta gorączka, wyrzuty sumienia nie dają mu spokoju.

— Jakie z pani młode, jasnowłose, drobne dziewczątko — ciągnął oficer.

— Biegłaś brzegiem rzeki, załamując ręce. Miałem cię na muszce.

Pociągnąłem za spust... jakie to było proste! Czemu to zrobiłem? Nie zdawałem sobie sprawy co czynię. Ale żyjesz! Dzięki Bogu! — Łzy zaczęły mu płynąć po mizernych policzkach.

— Bóg okazał się litościwy i teraz Wasza Ekscelencja może odpocząć — powiedział Siemion, ocierając oficerowi twarz.

Wstrząśnięta szybko opuściłam salę.

Ordynator, mężczyzna w średnim wieku z głową ostrzyżoną jak u niemieckiego oficera, powiedział mi, że nie ma mowy, bym zabrała pacjenta z oddziału zakaźnego, nawet gdybym uzyskała zgodę samego Najwyższego Wodza (w



obozie generała Denikina często w taki sarkastyczny sposób mówiono o admirale Kołczaku).

— Ponieważ jednak ma pani ten specjalny kombinezon, może pani znów odwiedzić pacjenta. Niestety, nie stać nas na takie luksusy.

— Brytyjczycy z pewnością mogliby wam dostarczyć takich kombinezonów!

— Brytyjczycy nie dostarczają nam nawet nowoczesnej broni, więc co tu mówić o sprzęcie medycznym! Czy ma pani jeszcze jakieś pytania?

— Tak, jeszcze jedno. Jaka jest śmiertelność w tym szpitalu?

— Dziewięćdziesiąt dziewięć procent. To szpital zakaźny, księżniczko.

Nie muszę chyba pani przypominać, by przed wyjściem wzięła pani prysznic i wyszorowała się szarym mydłem. Do widzenia pani.

Po opuszczeniu szpitala myślałam o oficerze armii Białych, który został zabójcą, o Borysie Andriejewiczu, zapomnianym bohaterze, o Siemionie, szczęśliwym, że może pełnić skromną, ale jakże świętą służbę. Myślałam o swym kraju, zapadającym w mroczne wieki, o ludzkim okrucieństwie spowodowanym głodem i chorobami, stanowiącym dodatkowe zdziczenie w i tak już barbarzyńskich czasach. Odkryłam, że gorączkowa krzątanina w tej prowincjonalnej oazie przypomina iluzoryczny rumieniec zdrowia na obliczu gruźlika.

W tym szalonym pędzie ku przyjemnościom i zyskom domyślałam się nikczemności oraz moralnego zepsucia wśród naczelnego dowództwa Białych. Lecz mimo to, gdy zbliżyłam się do rozświetlonego centrum pełnego aut i powozów, oficerów na koniach i pieszo, kobiet w kolorowych letnich sukniach i kapeluszach o szerokich rondach, pomyślałam, że to zwariowane miasto może i wygląda na chore, ale na pewno nie na konające jak za rządów Czerwonych. Zewsząd dobiegał śmiech. Można było dostać gazety prezentujące rozmaite orientacje polityczne. Książ

chodził swobodnie w sutannie. Natomiast za Czerwonych wszystko było tam szare, straszne i opuszczone.

Wstąpiłam do kościoła pełnego kobiet modlących się za swych mężczyzn walczących na froncie. Zapaliłam świeczkę pod wizerunkiem św.

Włodzimierza, patrona naszej rodziny, a kiedy uklękłam, by się pomodlić, idea, która zrodziła się we mnie na pokładzie statku pod wpływem entuzjazmu pielęgniarek-ochotniczek, stała się postanowieniem: muszę wstąpić w szeregi Białych jako pielęgniarka.

Umiałam tamować krwotoki. Potrafiłam oczyścić i zaszyć ranę.

Wiedziałam, jak nastawić proste złamanie, a jeśli byłoby trzeba, poradziłabym sobie i ze skomplikowanym. Potrafiłam złagodzić ból bez żadnych środków przeciwbólowych. Nie wiem, w jaki sposób tego dokonywałam, widocznie posiadałam jakiś wrodzony dar. Jestem pielęgniarką, której umiejętności się marnują. Czy nie jest moim obowiązkiem wspomóc ochotników walczących — jakże ograniczonymi środkami — o wyzwolenie mojej ojczyzny z rąk Czerwonych? Czy nie będę bliżej Stefana, nieważne żywego czy martwego, jeśli pozostanę w Rosji? A jeśli Czerwoni mnie zabiją, tak jak ten oficer Białych zabił sanitariuszkę Armii Czerwonej, czy nie będzie to słuszna danina złożona temu, który dla mnie poległ?

A co będzie z Aleksandrem? — odezwał się jakiś inny głos. Czeka na twój powrót. Jest z nim niania. Co się z nią stanie? Aleksander się zaopiekuje nianią, odpowiedział pierwszy głos. Przyzwyczaj się do mojej nieobecności. W końcu jestem dla niego tylko luksusem. I beze mnie będzie wielki oraz sławny.

Zastanów się, powiedział drugi głos, nim odrzucisz opiekę, czułość, towarzystwo, które ci oferuje. Czy zrezygnujesz ze spokojnego życia, z możliwości spełnienia swych ambicji zawodowych, z macierzyństwa — wiesz, że pragniesz mieć dziecko? Czy zamienisz to wszystko na szpital polowy, ryzyko śmierci, może coś gorszego?

Nic potrafię sobie wyobrazić życia, którego wizję przede mną roztaczasz, odparł pierwszy głos. Pokój, przyszłość,

wygody, normalne życie — te słowa już nic dla mnie nie znaczą. Czy zasługuję na takie życie? Czy go pragnę? Wojna, poświęcenie, ubóstwo — to wszystko, co znam. W takich warunkach może nauczę się służyć ludziom, tak jak służy Siemion, nie spodziewając się nagrody na tym świecie. A kiedy umrę, być może odnajdę w końcu drogę do Rajskiego Ogrodu.

Następnego ranka byłam znów w szpitalu zakaźnym, by podzielić się z Borysem Majskim swoją decyzją o wstąpieniu do Armii Ochotniczej Białych.

— Proszę tego nie robić, Tatiano Pietrowno, zaklinam panią! Niech mi pani uwierzy, że sytuacja jest gorsza niż w 1915 roku. Jeśli Czerwoni natrafią na szpital polowy, nie mają żadnej litości ani dla rannych, ani dla personelu. Ci, którzy szybko umrą, mogą się uważać za szczęśliwców. Niech Bóg broni, by miała się pani dostać w ręce bolszewików! Jeśli nie chce pani tego zrobić dla mnie, proszę zrobić to ze względu na ojca!

— Gdyby ojciec żył, czyż nie walczyłby w szeregach Białych, a ja nie byłabym u jego boku?

— Chroniłby panią. Teraz nie ma nikogo, kto by się panią zaopiekował. Może myśli pani, że my, Biali, wciąż przywiązujemy wagę do honoru, lojalności, *noblesse oblige*. Tylko nieliczni z nas hołdują jeszcze tym zasadom. Powszechnie panuje wśród nas nienawiść i desperacja, a po stronie Czerwonych — nienawiść i strach.

— Desperacja! Czemu nie nadzieja?

— Nadzieja jest powierzchowna, efemeryczna, desperacja — głęboko zakorzeniona i wiecznie obecna.

Potrafiłam to zrozumieć.

— A strach, czemu wśród Czerwonych panuje strach?

— Jest to strach przed batalionami śmierci. Bardzo skutecznymi. Po żadnej stronie nie znajdzie pani ludzkich uczuć. Uciekaj z Rosji, Tatiano Pietrowno, i rozpocznij nowe życie!

Jego słowa wywarły na mnie głębokie wrażenie, ale nie zmieniłam postanowienia.

— Mam coś dla pani — powiedział, gdy milczałam. — Siemion! — zawołał. — Moje pistolety.

Siemion wyciągnął spod łóżka kufer i wy dostał parę pięknych pistoletów, naoliwionych i błyszczących.

— Miałem je zostawić Siemionowi — powiedział Borys Majski — ale teraz rozdzielę je między was. Nie ma pani już swego rewolweru, Tatiano Pietrowno?

— Został skonfiskowany w szpitalu w Pskowie.

— W takim razie potrzebna jest pani broń. Ten pistolet jest znacznie cięższy od tego, którym posługiwała się pani dawniej. Proszę mi pokazać, jak go pani będzie trzymała.

Odwróciłam się bokiem, położyłam lewą dłoń na prawym ramieniu i oparłam rękę z pistoletem na uniesionym łokciu i przedramieniu, by nie drgnęła podczas wystrzału.

— Bardzo dobrze. Proszę się ćwiczyć w strzelaniu z niego. Tylko musi się pani od razu postarać o zezwolenie, inaczej zostanie pani aresztowana jako szpieg.

— Szpieg? Przecież nie jesteśmy na terenach kontrolowanych przez bolszewików.

— Podejrzliwość, kontrwywiad panoszą się również po stronie Białych. To podczas wojny nieuniknione.

Przypomniałam sobie ostrzeżenie Ł-M.

— Natychmiast zwrócę się o pozwolenie. Bardzo panu dziękuję za wspaniały dar, Borysie Andriejewiczu.

Skinał głową i wyczerpany zamknął oczy.

Pomogłam Siemionowi umyć jego pana i posłać mu łóżko. Borys Majski był bardzo słaby i bałam się, że nie przeżyje kolejnej nocy. Jego sąsiad ze szpitalnej sali umarł po otrzymaniu ostatnich sakramentów.

— Umarł w pokoju — rozpromienił się Siemion. — Jego Ekscelencja odszedł w pokoju, otrzymawszy rozgrzeszenie.

Kiedy wstałam, by wyjść, Borys Majski ocknął się z odrętwienia. -- Czy pamięta pani, co mawiałem, kiedy uczyłem panią jazdy konnej, Tatiano Pietrowno?

— Lekka ręka, mocne osadzenie w siodle, pięty do dołu, głowa do góry. Nigdy tego nie zapomnę. Bóg z panem, Borysie Andriejewiczu. — Pochyliłam się, by pocałować go na pożegnanie w czoło.

— Siemionie — powiedziałam, gdy wyszedł ze mną, niosąc pod pachą pistolet w skórzanym futerale i pudełko z nabojami — czy wyjedziesz ze mną po śmierci Borysa Andriejewicza?

— Dziękuję, Tatiano Pietrowno, za troskę, ale jestem tutaj potrzebny. Obiecałem moim podopiecznym, że gdyby przyszli Czerwoni, nie zostawię ich na ich łasce. — Poklepał futerał z pistoletem. Zakreśliło mi się w głowie.

— Ale co się stanie z tobą, Siemionie?

— Jestem prostym człowiekiem. Czego mogą ode mnie chcieć Czerwoni? Jeśli Bog zechce, uratuje mnie.

— W sztabie generała służy mój krewny. — Dałam mu nazwisko Ł-M. — On ci pomoże. Do widzenia, Siemionie. Bóg cię wynagrodzi. Wręczył mi pudło z pistoletem, a ja skierowałam się prosto do pokoju lekarskiego.

— Wydaje mi się, że generał Majski jest umierający — powiedziałam. — Czy poczyniono jakieś przygotowania do jego pogrzebu?

— To sprawa władz wojskowych. — Doktor sprawiał wrażenie bardziej poirytowanego niż zwykle. — Meldujemy im o zgonach. Jeśli w ciągu dwudziestu czterech godzin nikt się nie zgłosi po ciało, zabieramy je razem z pozostałymi.

— Dokąd?

— Do mogiły zbiorowej.

Gruboskórność lekarza i jego podgolona głowa działały na mnie odpychająco. Zresztą wcale nie ukrywał, że nienawidzi arystokratów.

— Jeśli chodzi o oficerów, to dotychczas nie było jeszcze takiego wypadku — dodał niespodziewanie, trudno mi powiedzieć: z sympatii czy też ze strachu, że mogę przysporzyć mu kłopotów.

Poprosiłam go o zadbanie, by na pewno poinformowano kogo trzeba o śmierci generała Majskiego.

— Jestem pewna, doktorze, że tak jak wszyscy, którzy służą naszej sprawie, pan również chciałby, żeby generałowi Majskiemu oddano wojskowe honory.

Opuściłam szpital tylnym wyjściem akurat wtedy, gdy na ciężarówkę ładowano długie, owinięte w szare płótno zawiniątka.

Ze szpitala do mogiły zbiorowej, jak w czasach średniowiecza, pomyślałam wstrząśnięta tym widokiem.

Zatrzaśnięto drzwi ciężarówki.

— Czego? — spytał grubiańsko kierowca. Potrząsnęłam głową i odeszłam.

Powtórzyłam w duchu obietnicę złożoną generałowi Majskiemu, ściskając jego bezcenny dar.

— Nie pozwolę wrzucić cię na ciężarówkę, by cię pochowano w zbiorowej mogile, Borysie Andriejewiczu.

\*

Tego wieczoru, gdy Koleńka zagadnął mnie o Borysa Majskiego, powiedziałam, że generał jest konający.

— Wierzę — dodałam — że otrzyma należne mu ostatnie honory. Ja i moi przyjaciele poczytalibyśmy sobie za ostatnią zniewagę, gdyby tak się nie stało. — Wiedziałam, że ta uwaga dotrze do właściwych uszu.

Poprosiłam również swego totumfackiego, by zarejestrował mój pistolet i uzyskał zezwolenie na broń. Pistolet był zbyt duży, by wsunąć go do kieszeni lub schować na piersi, ale pomyślałam, że będzie można sporządzić woreczek na pasku do zawieszenia przez ramię.

— To będzie kosztowało, Tatiano Pietrowno. — Po raz pierwszy Koleńka poruszył kwestię pieniędzy.

— Zadepeszuję do Konstantynopola. — Czułam się nieswojo, zmuszona do korzystania z gościnności naszych gospodarzy. Postanowiłam, że napiszę w taki sposób, by Aleksander i niania nie mogli mi odmówić.

— Koleńka, jak ci nie wstyd! — Zinajda Michajłowna odpięła wiszący na jej obfitym biuście złoty zegarek. — Zastaw go i postaraj się o zezwolenie dla Jej Wysokości.

— Gdzie mam to zastawić, kiedy wszyscy Żydzi uciekli, zanim wkroczyliśmy do miasta? — Koleńka okiem znawcy popatrzył na cacko.

— Nie ma tego złego, co by na dobre nie wyszło — zauważyła Wiera Kiryłowna.

— Odnoszę wrażenie — powiedziałam — że w tym mieście ludzie i bez nich świetnie dają sobie radę.

— To prawda, Tatiano Pietrowno, to prawda. — Koleńka znów był beztroski jak zwykle. — Ludzie zniosą wszystko tak długo, aż będą widzieli w tym jakiś interes. Gdyby tylko Czerwoni to zrozumieli, zaraz by nas mieli w garści! Ale u nich interesy można robić tylko na czarnym rynku. W rezultacie życie tam jest jeszcze droższe — jeśli w ogóle można to nazwać życiem.

— Ale paplesz, Koleńko! — Wiera Kiryłowna rzuciła mu rozkazujące spojrzenie. — Zrób, co trzeba, by uzyskać zezwolenie *sans chichis* — dodała po francusku.

— Według rozkazu, Łaskawa Pani. — Zanim cokolwiek powiedziałam, oddał matce zegarek i pocałował ją. — Generał Denikin, nasz nadzwyczajny dowódca, jest straszliwym wyzyskiwaczem. Proszę mi wybaczyć, muszę panie teraz opuścić. Wezmę od razu pistolet, Tatiano Pietrowno, by rano pani nie budzić.

— Kochany Koleńka! — Zinajda popatrzyła za nim z uwielbieniem.

Kiedy następnego ranka przyszedłam do szpitala, Borys Majski już nie żył. Dwa dni później leżał wśród kwiatów w otwartej trumnie, w mundurze, ze wszystkimi odznaczeniami, otoczony gwardią honorową. Dowództwo naczelne i wszystkie misje wojskowe, a także obecne w Taganrogu damy z towarzystwa przyszły nie tylko, by oddać hołd „bohaterowi Kronsztadu”,

ale również, by uczcić pamięć człowieka, którego Majski próbował uwolnić.

Ceremonia była tak wzruszająca, jak tylko może być wzruszający rosyjski pogrzeb wojskowy i z ulgą stwierdziłam, że moje obawy były zbyteczne.

Chcąc uczcić swych wysokiej rangi poległych (a było ich coraz więcej), Biali wydźwignęli się — chociaż na krótko — z grzędawiska, w którym tonęli nawet wtedy, gdy próbowali zwyciężyć. Prowadziły ich śmierć i rozpacz. W kościele i podczas procesji na cmentarz, przy wtórze werbli i cichego szurania wielu stóp, ich sztandary powiewały majestatycznie, nie skalane okrucieństwami.



**WYRAZY WSPÓŁCZUCIA W ZWIĄZKU ZE ŚMIERCIĄ GENERAŁA  
MAJSKIEGO STOP CO ZATRZYMUJE PANIĄ W TAGANROGU?**

**ALEKSANDER**

**CZEKAM NA SPOTKANIE Z GENERAŁEM DENI-KINEM STOP PROSZĘ  
PRZYSŁAĆ PIENIĄDZE**

**TATIANA**

**PRZYJEŹDŹAM WKRÓTCE Z NIANIĄ**

**ALEKSANDER**

— Co mam robić, Wiero Kiryłowno? — zapytałam po otrzymaniu tej dziwnej depezy. — Niania może dzielić pokój ze mną, ale gdzie ulokujemy Aleksandra?

— Jeśli profesor Holweg postanowił tu przyjechać, niech sam się o to martwi — oświadczyła Wiera Kiryłowna. — Mam nadzieję, że nie zamierzasz okazać mu zadowolenia w związku z jego przyjazdem. Ależ ten człowiek ma tupet!

— Aleksander uratował mi życie. I jego obecność nigdy nie będzie dla mnie przykra — zwróciłam uwagę swej krewniaczce.

Byłam jednocześnie wzruszona i zirytowana nadgorliwością mego wybawcy. Niewątpliwie zażąda wyjaśnień. Mogę mu powiedzieć, że chcę poprosić generała Denikina o przedstawienie okoliczności śmierci Stefana. Ale jak mam mu wyjawić swoje postanowienie zaciągnięcia się do armii Białych w charakterze pielęgniarki? Była to bowiem decyzja, która przynajmniej na jakiś czas wykreślała Aleksandra

z mego życia. Dowiedziałam się w biurze rekrutacyjnym, że zgodę na moje wstąpienie do armii musi wyrazić sam generał Denikin. Był to więc dodatkowy powód do spotkania z naczelnym dowódcą. Zresztą, czekając na rozmowę z nim wcale się nie nudziłam.

Natychmiast po pogrzebie Ł-M przyprowadził do domu lorda Andrzeja. Wystarczyło jedno spojrzenie na jego pełną entuzjazmu, młodzieńczą twarz z kasztanowym wąsikiem

— identycznego koloru jak Stefka — by odgadnąć, że brat Beresforda nie wie jeszcze, co to wojna.

— Taniu, rety, co za spotkanie po tylu latach. I do tego w tej zapomnianej przez Boga i ludzi dziurze gdzieś w głębi Rosji — wykrzyknął lord Andrzej. — Jako dziewczyna byłaś nieznośną nudziarą, ale teraz, kiedy przeżyłaś tyle przygód... mam nadzieję, że nam wszystko opowiesz.

— Tania chciała porozmawiać o waszym kuzynie, Za-sławskim — wtrącił Ł-M.

Lord Andrzej ochoczo zaczął wspominać bliskiego przyjaciela Beresforda, i do tego bohatera.

— Zupełnie nie mogę uwierzyć w jego śmierć. — Ze swoimi bliskimi mogłam swobodnie podzielić się nurtującymi mnie wątpliwościami.

— Nie dziwię ci się — zgodził się lord Andrzej. — Stefek nie należy do osób, które dają się złapać jakimś bandziorem w pułapkę.

— Właśnie, mój drogi Andrzeju — przyłączył się Ł-M.

— Wiem, że oficjalnie Stefan został uznany za zmarłego. Lecz jeśli ktoś chciałby przejechać Rosję *incognito*, najłatwiej by tego dokonał, pozorując swoją śmierć.

Serce zabiło mi mocniej.

Tych kilka dni do przyjazdu Aleksandra minęło mi bardzo szybko.

Grałam na fortepianie. Razem z Niessenem, Ł-M i lordem Andrzejem jeździłam konno brzegiem morza lub przez step. Moi przyjaciele utrzymywali, że samotne przejażdżki mogą być niebezpieczne, a poza tym, według Wiery Kiryłowny, nie należały do dobrego tonu. Koleśka przy okazji przekazywania poleceń nauczył mnie na zakurzonych uliczkach prowadzić samochód.

Od mych towarzyszy dowiedziałam się dość dużo na temat Zaczarowanego Świata Białych, jak go nazywał lord Andrzej.

— Najważniejsza sprawa, gdy się jest w obozie Białych

— pouczał mnie Ł-M, kiedy wyruszyliśmy na konną przejażdżkę bez Niessena, co zdarzało się bardzo rzadko — to „właściwa orientacja”.

Jesteś liberalnym kadetem czy socjaldemokratą? Zwolennikiem generała Denikina — tego prostego, rosyjskiego żołnierza, jak go nazywają panie

— czy też jego rywala, dowódcy armii kaukaskiej, generała barona

Wrangla? A może — Boże broń! — jesteś poplecznikiem caratu?

— A jaka jest twoja orientacja? — spytałam.

— Jestem studentem historii i nie mam żadnej orientacji

— odpowiedział Ł-M. — Niestety, jest to jeszcze bardziej podejrzane, niż mieć niewłaściwą orientację.

Roześmiałam się.

— W takim razie ja też będę podejrzana.

— Na swoje szczęście jesteś sprytny, Ł-M. Gdybyś jednak popadł w tarapaty, udzielimy ci azylu — wesoło zapewnił swego przyjaciela lord Andrzej.

— To bardzo miło z twojej strony, Andrzeju — odpowiedział Ł-M. — Francuzi od razu przekazaliby mnie bolszewikom.

— Obawiam się, że tak. — Przypomniałam sobie opowieści o zachowaniu Francuzów podczas ewakuacji Odessy.

— Mam nadzieję, Andrzeju, że przynajmniej w brytyjskiej misji istnieje jedność poglądów.

— Niestety, mylisz się. Generał Thompson, nasz szef, jest zwolennikiem całkowitego rozgromienia bolszewików. Winston Churchill popiera go w stu procentach. Ale poplecznicy Lloyd'a George'a uważają, że powinniśmy grać na zwłokę i pozwolić, by Czerwoni i Biali wytłukli się nawzajem. Tym samym upadłaby wielka Rosja i nie musielibyśmy z nią konkurować. Mam rację, Ł-M?

- Całkowitą — przyznał Ł-M. — Osłabienie Rosji leży w interesie jej sprzymierzeńców. No bo spójrz tylko, co się

dzieje. Brytyjczycy zaanektowali Batumi. Rumunia ma Besarabię. Polacy zagarnęli nie tylko Galicję, zamieszkaną przez ludność polskojęzyczną, ale również Wołyń, który w przeważającej mierze jest rosyjski. I jeśli Ukraińcy ich nie powstrzymają, zagraną również Ukrainę.

— Znów konflikt rosyjsko-polski! Jakże to przygnębiające! — powiedziałam.

— Przypomina mi to zatargi między Anglikami i Irlandczykami — oświadczył lord Andrzej. — Jest jednak cień nadziei. Wkrótce do Taganrogu ma przyjechać delegacja polska. Mam być do niej przydzielony jako tłumacz. Widzę, że się dziwisz? — Zauważył moje spojrzenie. — Dzięki matce opanowałem polski w wystarczającym stopniu, by zupełnie przyzwoicie porozumiewać się w tym języku.

— Lord Andrzej jest pełen niespodzianek — powiedział Ł-M.

Ten wyraźny wpływ na lorda Andrzeja jego matki z domu Zasławskiej spowodował, że stał mi się jeszcze bliższy. Miał włosy Stefka, identyczny, prosty nos. Zaczęłam dostrzegać w tym młodym Angliku wiele cech Stefka. I tym bardziej umocniłam się w przekonaniu, że mój kuzyn żyje.

Następnego dnia towarzyszył nam podczas przejażdżki baron Niessen. Zaczęłam podejrzewać, że jego narastająca irytacja na mego rosyjskiego krewnego nie miała wyłącznie podłoża politycznego.

— Niessen uważa nasze towarzystwo za zbędne — potwierdził moje przypuszczenia Ł-M. — Czy mamy mu zostawić wolne pole? — spytał, gdy wysforowaliśmy się nieco do przodu.

— Nie, proszę. Nie jestem jeszcze gotowa na jego zaloty.

— Bardzo dobrze. Podziwiam Niessena. Jeśli sobie z niego trochę pokpiwam, to tylko dlatego, że mu zazdroścę.

— Zazdrościsz mu?

— Tak, tego, że jest zdolny do pasji i nienawiści.

— Czy to takie godne zazdrości? Pomaga człowiekowi żyć pełnią życia.

Bardzo dobrze go rozumiałam.

Tymczasem Wiera Kiryłowna, szybko zauważywszy brak zaangażowania uczuciowego ze strony Ł-M, zaczęła zachęcać do zalotów barona Niessena, widząc w nim przeciwwagę dla Aleksandra. Mój zamiar wstąpienia do armii w charakterze pielęgniarce nazwała romantycznym gestem i utrzymywała, że bardziej się mogę przydać Białym w inny sposób. W tym celu zaczęła wydawać podwieczorki i przyjęcia, podczas których wyrażała ubolewanie nad rozbiciem Białych, prowadzących świętą wojnę z bolszewikami. Tylko monarchia może zjednoczyć Białych przeciwko wspólnemu wrogowi. A czyż nie byłam niemal siostrą śp. córek naszego ukochanego cara? Składając mi cześć, składają hołd cesarskim męczennikom, stwarzając podstawy do restauracji dynastii. Kiedy próbowałam unikać tych towarzyskich uroczystości, Wiera Kiryłowna mawiała:

— Och, musisz się spotkać z generałem K. Był tak oddany księciu, twemu ojcu. — Albo: — Drogie dziecko, wiesz jak baronowa W. podziwiała Annę Władimirownę. Nie możesz jej odmówić. Musisz zamienić z nią choć parę słów.

Na te okazje Wiera Kiryłowna pożyczala dla mnie kilka sukien od córki naszych gospodarzy. Zinajda — jedyna wśród nas, która znała się nieco na szyciu — zwęziła je w biuście i w pasie i odpruła prowincjonalne ozdóbki. Początkowo nie chciałam się zgodzić na przyjęcie tych strojów, ale nasza pulchna i ładna gospodyni wcisnęła mi je ze łzami w oczach.

Nie chciała również przyjąć pieniędzy za wynajmowane pokoje.

— *Nie nado, nie nado.* Nie trzeba, nie trzeba, Wasza Wysokość — mówiła zakłopotana, oblewając się rumieńcem. — Gdy przyjdą bolszewicy, zabiorą nam wszystko. Jeśli Bóg pozwoli i uciekniemy, co nam przyjdzie z pieniędzy? Proszę korzystać z tego, czym dysponujemy, póki mamy się jeszcze czym dzielić.

Podziękowałam jej i objęłam za ramiona. Pachniała lawendą i bzem. Była czysta i schludna, podobnie jak cały jej

dom. Zarówno ona, jak i jej mąż-kupiec byli bogobojni, uczciwi i pracowici. Tak oto wyglądają, pomyślałam, wypasieni burżuazyjni wyzyskiwacze ludu i wrogowie klasowi, jak ich nazywała komunistyczna propaganda.

Aleksander natychmiast po przyjeździe do Taganrogu zorientował się w sytuacji. Zamieszkał w hotelu „Europa” jako gość ministra wojny. Niepotrzebnie martwiłam się, jak ów niepozorny uczony poradzi sobie w tym zmilitaryzowanym mieście. Wiedząc o jego współpracy z rządem carskim w okresie wojny, zatrudniono go jako konsultanta do spraw materiałów wybuchowych. Sam zapłacił za podróż swoją i niani. Zaproponował mi nawet pewną kwotę pieniędzy, ale nie przyjął. Nie mogłam jednak odmówić rozmowy z nim w cztery oczy.

— Widzę, że jestem już pani niepotrzebny — powiedział Aleksander pod koniec naszego pierwszego spotkania, gdy zostaliśmy sami. (Niania wyszła, tłumacząc się zmęczeniem i podeszłym wiekiem). — Otaczają panią kawalerowie. Traktowana jest pani jak księżniczka krwi. Robi pani to, na co ma ochotę. I nagle pojawia się stary profesor, który chce zepsuć całą zabawę.

— Jaką zabawę, Aleksandrze? — Miętosiałam serwetkę, podczas gdy on chodził drobnymi kroczkami wokół stołu, przy którym przed chwilą siedzieliśmy i rozmawialiśmy przy herbacie razem z moimi gospodarzami i „świętą”, jak to określił Aleksander. Jego słowa dotknęły mnie. Lubiłam towarzystwo swych kawalerów, upajałam się poczuciem wolności i przygody, czego brakowało mi przy Aleksandrze. Jeśli zaś chodzi o moje zobowiązania towarzyskie... — Wcale mnie nie bawi rola, do której grania zmusza mnie Wiera Kiryłowna. Jest nie tylko nudna, ale sprawia mi ból.

— To prawda, że trudno z tą kobietą wytrzymać! Co innego pani kuzyn o podwójnym historycznym nazwisku

- jest niezwykle inteligentny, wrażliwy, rozsądny. A ten bajroniczny baron z północy ani na moment nie spuszcza

z pani oka. Mogę spytać, Tatiano Pietrowno — myślę, że mam do tego prawo — czy odwzajemnia pani jego uczucia?

Biedny Aleksander dręczony zazdrością, takim niskim uczuciem!

— Nie, Aleksandrze, ani trochę. Niessen jest moim łącznikiem z Tatianą Nikołajewną. Cenię jego prawdziwe oddanie dla rodziny naszego ostatniego władcy, oddanie, które nieudolnie próbują udawać tłumy sprowadzane przez Wierę Kiry łowną.

— Wszystko to snobi i oportuniści. W tym waszym Taganrogu jest ich jak psów — trafnie zauważył Aleksander.

— Czy może mi pani wyjawić prawdziwy powód swego tutaj pobytu?

— Chcę poprosić generała Denikina o udostępnienie mi raportu dotyczącego okoliczności śmierci Stefana.

— Może go pani otrzymać pocztą. Czuję, że chodzi pani po głowie coś innego.

Nie mogłam już dłużej ukrywać prawdy.

— Potrzebuję zgody generała Denikina na zaciągnięcie się do armii w charakterze pielęgniarki.

Słyszając wypowiedane przez siebie słowa, zdałam sobie sprawę z ogromu swego wyzwania.

Zbyt szybko wykreśliłam Aleksandra ze swego życia. Wystarczyło jednak, by się znów pojawił, a natychmiast odzyskał dominację nade mną. Ale czyż w przeszłości nie rzucałam wyzwania Stefanowi? Albo ojcu? Czyż nie byłam teraz starsza, silniejsza, by móc się oprzeć Aleksandrowi? Śmiało uniosłam głowę.

— Tatiano Pietrowno, chyba postradała pani rozum!

— wybuchnął, jak się tego spodziewałam. — Ruch Białych jest reakcyjny, wsteczny, antysemicki, wąsko militarystyczny. Posiada wszystkie wady starego reżimu i żadnej z jego zalet. Nie przewiozłem pani przez całą Rosję, narażając życie i nie szcędząc pieniędzy, by teraz spokojnie przyglądać się, jak poświęca się pani straconej i niesłusznej sprawie!

Wstałam i też zaczęłam przemierzać pokój.

— Doceniam to, co pan dla mnie zrobił, Aleksandrze, i z największą przyjemnością zwrócę panu wszelkie poniesione koszty, gdy tylko będę dysponowała odpowiednimi środkami. Lecz nie daje to panu prawa do dyrygowania moim życiem, zmuszania mnie do postępowania niezgodnie z moim sumieniem... proszenia, bym zaniechała wykonywania swych obowiązków...

— Nie ma pani żadnych zobowiązań wobec Białych. To jedynie romantyczna fantazja, nic więcej. A jeśli chodzi o to, co pani nazywa sumieniem, gdyby się pani nad tym nieco zastanowiła, przekonałaby się, że to efekt wychowania. Czas, by uwolniła się pani od przeszłości, Tatiano Pietrowno. Mówię to nie tylko ze względu na swoją osobę, ale również ze względu na pani dobro. — Zatrzymał się obok mnie. Pochyliłam się nad fortepianem, by uniknąć jego spojrzenia. Uniósł niepewnie dłoń do mego ramienia, ale cofnął ją szybko. — Mogę zrozumieć, że zakochała się pani w tym baronie czy w jakimś innym odpowiednim dla pani młodzieńcu, lecz nie wolno pani poświęcać własnego życia!

— Drogi Aleksandrze! — Głęboko mnie wzruszył. — Nie znam żadnego młodzieńca bardziej zasługującego na miłość niż pan. — Jeśli przeżyję, a Stefan się nie odnajdzie, kto lepiej niż Aleksander poprowadzi mnie w przyszłość, której nie potrafiłam sobie nawet wyobrazić?

Aleksander gorąco ucałował moją dłoń.

— Pójdę już. Jedyne, o co panią proszę, to, by pomyślała pani, zanim cokolwiek zrobi, by przemyślała pani wszystkie aspekty i podjęła rozważną decyzję, a nie kierowała się emocjami.

Aleksander był bardzo zajęty i ponownie spotkałam go dopiero na koncercie symfonicznym.

Drugi koncert fortepianowy Rachmaninowa wykonał słynny rosyjski pianista Gienadij Rosłow, przed laty stypendysta Grandmaman.

Pamiętam, że dawno temu byłam w jego domu w Piotrogradzie. Teraz zaprosiłam go po koncercie na małe



przyjęcie, uzyskawszy uprzednio zgodę mych gospodarzy. Gospodyni przyszykowała *zakuski*, a Zinajda Michajłowna zrobiła kisiel — deser owocowy z zerwanych w ogrodzie malin. Na koncercie były tłumy entuzjastycznej i wyjątkowo eleganckiej publiczności, która nie zwracała uwagi na niebezpieczeństwo zarażenia się tyfusem. Po koncercie Aleksander i moi kawalerowie pojawili się w domu razem z Gienadijem Rosłowem. Koleńka, który osobiście wolał towarzystwo młodych mężczyzn, przyprowadził dla swoich przyjaciół kilka młodych dam.

— Pamiętam pani wizytę w Piotrogradzie siedem lat temu — powiedział Gienadij Rosłow, kiedy już powitałam zarówno mych młodych gości, jak i „oddanych rodzinie”, których wkręciła Wiera Kiryłowna. — Matka kazała nam wyszorować twarze i nałożyć najlepsze ubrania, jakbyśmy szli do kościoła. Czuję się taki onieśmielony! Ale zauważyłem, że pani też jest nieśmiała i zrobiło mi się rażniej.

Byłam onieśmielona, bo był biedny i wprawiało mnie to w zakłopotanie, pomyślałam.

— Pokazał mi pan, jak zagrać trudny pasaż w sonacie c-dur Mozarta.

— W adagio! — Zanucił ją. — Szatański Mozart! Czy wciąż jeszcze grywa pani na pianinie, Tatiano Pietrowno?

— To moje ulubione zajęcie. Obawiam się jednak, że kiedy się zgłoszę na ochotniczkę, będę musiała zrezygnować z gry.

— Czy musi się pani zaciągnąć do armii? — Sprawiał wrażenie szczerze zmartwionego.

— To szaleństwo — powiedział Aleksander. — Może panu, maestro, uda się odwieść Tatianę Pietrowną od tego zamiaru. Ja się już poddałem.

— Dla córki generała księcia Siłomirskiego to jedyne honorowe wyjście w tej sytuacji — wtrącił Niessen.

Aleksander podjął wyzwanie.

— Tatiana Pietrowna jest nie tylko córką generała księcia Siłomirskiego, nie tylko przyjaciółką wielkiej księżniczki Tatiany. Jest także zdolną kobietą, posiadającą własne aspiracje.

Wkroczyłam między dyskutujących.

— Profesor Holweg nawiązuje do mego dawnego marzenia o studiach medycznych. Zaciągając się jako pielęgniarka, jedynie nieco opóźnię realizację tego zamysłu. — Odprowadziłam Aleksandra i mego gościa honorowego na drugi kraniec pokoju, jak najdalej od Niessena.

Natychmiast pograżyli się w rozmowie niczym starzy przyjaciele.

— Rozmawialiśmy głównie o pani — wyznał mi pianista, gdy Aleksandra dorwał jakiś wysokiej rangi oficer z obozu monarchistycznego.

— Naprawdę? Myślałam, że macie wiele wspólnych zainteresowań.

— To prawda, i wielu wspólnych przyjaciół. Moja starsza siostra była studentką profesora Holwega na Uniwersytecie Piotrogrodzkim. O ile sobie dobrze przypominam, podkochiwała się w nim tak jak zresztą większość studentek.

— Nie dziwię się. — Aleksander nigdy mi nie wspominał, że cieszył się taką popularnością. Sprawiał wrażenie osoby, która raczej odpycha, niż zyskuje sympatię otoczenia, jednak sama mogłam zaświadczyć, że posiada jakąś dziwną siłę przyciągania.

— Na jego wykładach były tłumy. — Mój sławny gość rozplęwał się nad słynnym profesorem. — I pomyśleć, że był pani korepetytorem!

— No właśnie. Obawiam się, że w tamtych czasach nie zdawałam sobie sprawy, jak wielki to był zaszczyt.

— W dawnych czasach tyle rzeczy przyjmowało się za całkowicie naturalne. Najbardziej pożyteczny wniosek, jaki wyciągnęliśmy z rewolucji, to chyba uzmysłowienie sobie, że nic nigdy nie jest oczywiste i nam należne — dokończył Gienadij Rosłow z ujmującą skromnością.

„Nie bierz miłości Aleksandra Holwega za coś zrozumiałego samo przez się” — wyczytałam w tym stwierdzeniu.

Sprawa mojego zaciągnięcia się do armii wypłynęła ponownie pod sam koniec wieczoru, gdy Koleńka zabrał już swe młode damy do domów i kiedy odjechali również „liczący się ludzie” Wiery Kiryłowny.

O zachodzie słońca para starych służących położyła się spać — służących było teraz niewiele i okazywano im szczególne względy. Odprawiłam młodą pokojówkę i zmęczoną córkę gospodarzy, które pomagały obsługiwać honorowych gości. Wynieśliśmy mrożoną herbatę i napoje na dużą werandę z widokiem na ogród i ustawiliśmy je na stole obok naftowej lampy. Bezksiężycowe niebo było usłane gwiazdami, w powietrzu unosił się zapach mięty i skoszonego siana, dochodzący gdzieś z daleka. Po miesiącach skwaru i wszędobylskiego kurzu zapanowała balsamiczna świeżość.

Usiadłam w bujanym fotelu naprzeciwko Gienadija Rosłowa w białej marynarce i czarnym krawacie. Na ramiona narzuconą miałam pożyczoną od Wierzy Kiriłowny jedwabną, hiszpańską chustę. Rosłowa pochylał się lekko do przodu, jakby siedział przy pianinie, a nie przy szklance herbaty. Aleksander w eleganckim garniturze z tropiku, kupionym za pieniądze zarobione w nocnym klubie, spacerował wzdłuż werandy, jakby kłębiące się w głowie myśli oraz doznawane emocje nie pozwalały mu spocząć. Odprasowany mundur lorda Andrzeja sprawiał wrażenie śnieżnobiałego przy czystych, lecz znoszonych uniformach Ł-M i Niessena. Gdy tylko Wiera Kiriłowna nas opuściła, natychmiast obaj rozpięli kołnierzyki nonszalanckim ruchem starych wiarusów. Wykorzystując rolę, którą Wiera Kiriłowna mi narzuciła, wspaniałomyślnie zwolniłam ją z obowiązku towarzyszenia nam.

— Cóż za wspaniałe eksponaty muzealne z tej hrabiny — wykrzyknął lord Andrzej. — Powinno się ją trzymać za szkłem! Czy mogę, Taniu? — Zapalił papierosa, choć wszyscy pozostali obecni odmówili.

— Nie stać mnie na to — powiedział Ł-M.

— I tak już jestem zbyt zdenerwowany — oświadczył baron Niessen. Ja -podobnie jak Gienadij Rosłowa nie chciałam sobie brudzić rąk tytoniem. Aleksander ani nie palił, ani nie pił.

— My, rosyjscy arystokraci, wszyscy jesteśmy eksponatami muzealnymi, mój drogi Andrzeju - zauważył Ł-M. Tylko że nie umieszczą nas w gablocie. Wyrzuceni zostaniemy na śmietnik historii, że powtórzę słowa towarzysza Trockiego.

— Pragnę tylko umrzeć z honorem — powiedział Niessen. — Dla oficera armii Białych to jedyne możliwe do przyjęcia wyjście, jeśli nie uda nam się zwyciężyć.

— Czy zawsze musisz być taki ponury, Niessen? Ostatecznie to przyjęcie na cześć pana Rosłowa — przypomniał koledze-oficerowi marynarki lord Andrzej. Starał się wypuszczać dym w stronę ogrodu, żeby nam nie przeszkadzał.

— Och, nie szkodzi — odezwał się nieśmiało Gienadij Rosłow. W obecności przedstawicieli arystokracji nawet sławni Rosjanie dawnej daty odczuwali skrępowanie. Podczas wojny władze carskie wysłały go do Anglii i Francji, by grał żołnierzom, więc zupełnie nieźle opanował zarówno angielski, jak i francuski. — Odkąd się dowiedziałem, że Tatiana Pietrowna chce zostać pielęgniarką w armii Białych, i tak straciłem humor.

— Tak, to dosyć przygnębiająca myśl — zgodził się lord Andrzej. — Wydawało mi się, że dosyć już miałaś niebezpieczeństw i ciężkich przeżyć, Taniu.

— Któż to może wiedzieć — Ł-M, opierając się o białą barierkę werandy, przyglądał się z udawaną obojętnością, jak bujam się w fotelu. — Może właśnie tego Tani brak.

— Otóż to — zjadliwie zauważył Aleksander. — To ten słowiański duch samopoświęcenia...

— Czyż to nie szlachetne uczucie? — spytał Niessen.

— Jednak jeśli zaciąga się kierowana wyłącznie pobudkami idealistycznymi i patriotycznymi — ciągnął Ł-M — radziłbym, by się jeszcze zastanowiła.

— Co chcesz przez to powiedzieć? — natarł teraz Niessen na Ł-M.

— Zaraz ci wyjaśnię. Rozpatrzmy całą kwestię na zimno — jesteśmy przecież wśród zaufanych przyjaciół, prawda? Wszystko zostało wywrócone do góry nogami. Nas, Białych, zmuszono do zaakceptowania interwencji sił sprzymierzonych za cenę podziału Rosji. Bolszewicy, którzy są ponoć

internacjonalistami, w rzeczywistości walczą o utrzymanie Rosji w dawnych granicach. Oni, a nie my, odbudują jej wielkość.

— Jaką znów wielkość? — spytał Niessen. — Stworzą tyranie, pozornie kontrolowaną przez masy. Czy tego życzysz Rosji ty, książę z rodu Ruryka?

Ujęłam się za swym krewniakiem.

— Jestem pewna, że nie.

— Mój drogi chłopcze, czuję się dotknięty pomówieniem, że pomagamy wam, kierując się wyłącznie motywami imperialistycznymi — żartobliwie powiedział lord Andrzej.

Aleksander również przyszedł Ł-M z pomocą.

— Zgadzam się z księciem Łomatowem-Moskowskim. W razie zwycięstwa Białych w Rosji, tak jak to się stało w Chinach, również mogliby dojść do władzy dygnitarze wojskowi.

— Woli pan, by Rosją rządziła *Czeka*, profesorze?

— Głos Niessena był tak napięty, że wydawało się, iż jeszcze chwila, a się załamie.

— Brzydzą się *Czeką*, baronie, jak każdym aparatem ucisku — powiedział Aleksander płynnie po francusku, a potem znów powrócił do książkowej angielszczyzny.

— Po prostu chciałbym, by Tatiana Pietrowna zrozumiała, że rosyjska wojna domowa to nie żaden ruch masowy, że nie cieszy się popularnością ani wśród Czerwonych, ani wśród Białych, że jest to jedynie zmaganie się armii dowodzonych przez Czerwonych lub Białych generałów.

— Proszę nie zapominać o zielonych — wtrącił Ł-M.

— O zielonych? — krzyknął lord Andrzej. — Znów zaczynacie sobie stroić żarty!

— Wcale nie żartuję. Zieloni to chłopscy partyzanci tego zbója Machno, który skupił wokół siebie ponoć jakieś dwadzieścia tysięcy ludzi. Są zupełnie blisko, mój drogi Andrzeju.

— Wierzę — roześmiał się lord Andrzej.

Aleksander złapał się za bródkę, jakby dając ostrzegawczy znak. Gienadij dotknął brwi i zmarszczywszy czoło, spojrział w stronę ciemnego, zarośniętego ogrodu, jakby bandyci już się czaili za niewyraźnie majaczącymi drzewami wiśni, grusz i jabłoni.

Próbowałam nie zwracać uwagi na owady i sprawiałam wrażenie całkowicie opanowanej.

Aleksander, uderzwszy komara chusteczką, obrzucił mnie gniewnym spojrzeniem.

— Czerwoni, Biali, Zieloni, że nie wspomnę już o Kozakach, Czechach i Bóg wie o kim jeszcze! Cóż oni wszyscy mają ludziom do zaproponowania? Rekwizycje wojskowe, pobór do armii, grabież, okrucieństwo. I gdzież pański „szlachetny duch”, baronie? Co ma z tym wspólnego taka młoda idealistka jak Tatiana Pietrowna? Czy potrafi sobie pan to wyobrazić, maestro?

— Ma pan dużo racji, Aleksy Aleksiejewiczu, ale pana argumenty są również abstrakcyjne — odrzekł rozważnie Gienadij Rosłow, starając się nikogo nie urazić. — Trzeba znaleźć jakiś bardziej konkretny argument, by zniechęcić Tatianę Pietrownę.

— Cóż, należałoby ją uprzedzić — Ł-M przestąpił z nogi na nogę i znów oparł się o balustradę — że może być narażona na znoszenie zachowań, mówiąc oględnie, niegodnych oficera i dżentelmena.

— Generał Majski już mnie przed tym ostrzegał — powiedziałam. — Niemal jego ostatnimi słowami były: „Brak człowieczeństwa po obu stronach”.

— A jakiego człowieczeństwa można się spodziewać? — Niessen odpędził komara ręką. — Pani rodzina, podobnie jak cara, została brutalnie wymordowana. Wyzwalamy miasto i znajdujemy pobojuwisko: okaleczone zwłoki w piwnicach miejscowej *Czeki*, setki pogrzebanych, niektórzy jeszcze za życia, w mogiłach zbiorowych. Ludzie pałają nienawiścią. Są głodni i obszarpani. Jedyłą przyjemnością, jedyną ulgę może im przynieść zemsta. Chcąc w takich warunkach

utrzymać dyscyplinę, potrzebne są bataliony śmierci podobne do tych, które składają się wyłącznie z oficerów. Jest pani generalską córką, Tatiano Pietrowno. Potrafi pani to zrozumieć — powiedział Niessen. Pragnął mej aprobaty, z kolei Aleksander oczekiwał, że opierając się na racjonalnych przesłankach, zgodzę się z nim. Aleksander nigdy w życiu nie trzymał w ręku karabinu. Nikogo nie zastrzelił, w przeciwieństwie do mnie.

— Tak, potrafię zrozumieć, że człowiek może się kierować wyłącznie zemstą — przyznałam rację Niessenowi.

Baron sprawiał wrażenie, jakby nieco się uspokoił, podczas gdy Aleksander popatrzył na mnie i znów zaczął chodzić wzdłuż werandy.

— Na tym polega różnica między waszą wojną domową i naszą wojną światową. — Teraz dla odmiany lord Andrzej przybrał poważny ton. — Żołnierze na froncie zachodnim zabijali wroga bez żadnych emocji, jak automaty. Zamienili się w maszynki do zabijania. Nie jestem pewien, co jest lepsze.

— Na pewno nie to, o czym mówisz — powiedziałam.

— Wojna zawsze jest straszna.

— Zawsze tak uważałem — powiedział wolno po angielsku Gienadij Rosłow, kończąc w zamyśleniu pić herbatę.

— Zupełnie nie potrafiłem zrozumieć powszechnego entuzjazmu, który zapanował w 1914 roku, na samym początku wojny. Oczywiście głównie bałem się o swe dłonie na wypadek, gdybym został zmobilizowany.

— Na szczęście dla nas nie doszło do tego! — powiedział w imieniu nas wszystkich lord Andrzej.

Najwyraźniej ten młody pianista, tak niezwykle łagodny i wrażliwy, nie wzbudzał wśród oficerów ani lekceważenia, ani pogardy. Rosłow, choć fenomenalnie utalentowany, był bardzo skromny. Podobnie jak Aleksandra charakteryzowały go obiektywizm i trzeźwe spojrzenie na świat dzięki znajomości uniwersalnego języka, w jego przypadku - muzyki, tak jak w przypadku Aleksandra — nauki. To, co

powiedział Gienadij było spontaniczne, oryginalne i słuszne. Ogromnie mi się podobał.

— Muszę wam wyznać — oświadczył, odstawiając pustą szklanekę — że przestałem już rozumieć ten świat. Wiem tylko jedno: żyję. Mam te ręce — uniósł je w górę — i nic poza tym. Potrafię nimi zapracować na życie i dać swym słuchaczom kilka godzin szczęścia i zapomnienia. Uważam, że to dość dużo jak na takiego zwykłego człowieka jak ja.

— To wspaniały cel w życiu — zauważyłam i pomyślałam: ja również mam ręce, dzięki którym mogę zdobyć niezależność i przynieść choć na krótko ulgę moim cierpiącym rodakom. A na głos powiedziałam: — Ja też mam zręczne ręce i po prostu chcę wykorzystać je tam, gdzie są najbardziej potrzebne.

Mówiąc to uświadomiłam sobie, że lewą ręką wiązę z długich frędzli chusty Wiery Kiryłowny chirurgiczne węzły.

— Najlepiej je pani wykorzysta, zostając chirurgiem — odezwał się Aleksander i przystanął na chwilę. — Marzyła pani o tym, Tatiano Pietrowno, póki coś lub ktoś nie odwiódł pani od tego zamiaru.

Bałam się, że Niessen zareaguje na tę aluzję. Ale Ł-M ponownie zręcznie skierował rozmowę na tematy nie dotyczące spraw osobistych.

— Wracając do pańskich argumentów, baronie — powiedział — nie sądzę, by wolno nam było usprawiedliwiać własne okrucieństwo jedynie chęcią zemsty. I tak już dużo tracimy przez to, że nie potrafiliśmy stworzyć wizji przyszłości. Komuniści mają nad nami przewagę, ponieważ taką wizję, choć błędną, przedstawili. Dlatego my powinniśmy reprezentować wysoki poziom moralny. Nie możemy sobie pozwolić na grabieże, pogromy, znęcanie się nad jeńcami wojennymi i inne podobne czyny.

— Naczelne dowództwo robi co tylko w jego mocy, by ukrócić takie okrucieństwa. Na nasze usprawiedliwienie można powiedzieć, że akcje odwetowe Białych są wprawdzie barbarzyńskie, ale nie mają nic wspólnego z polityką terroru prowadzoną przez bolszewików — szybko odparował Niessen.



— Czy to polityka terroru, czy jedynie demonstracja siły? — Ł-M delikatnie strzepnął z rękawa komara.

— Zachowujesz się prowokująco! — Niessen pobladł jeszcze bardziej.

— Chyba nas nie opuszczasz? — Lord Andrzej sprawiał wrażenie zmartwionego.

— Przyniosę sobie coś do picia, za pozwoleniem, Tatiano Pietrowno. Czy ktoś jeszcze ma ochotę czegoś się napić?

— Sam sobie wezmę. — Lord Andrzej ruszył za Niessenem.

Napięcie wyraźnie opadło. Wsłuchałam się w skrzywienie fotela, drobne kroczyki Aleksandra, szum skrzydeł ciem wirujących wokół lampy, przerywane ujadanie psów oraz nieustającą grę koników polnych — były to kojące odgłosy.

— Jaki spokój! — Ł-M wypowiedział głośno to, o czym właśnie pomyślałam. — Jeszcze się nie przyzwyczyłam do ciszy po dwóch latach słuchania kanonad na zachodnim froncie. Ogień artyleryjski rzadko kiedy tam ustawał.

— Chyba pan ogłuchł. — Pianista uniósł ręce do uszu.

— Wielu ogłuchło. *Odnako*, a jednak — zadumał się Ł-M — nie ma jak wieczór na wsi na południu Rosji, co, profesorze?

— To prawda. — W głosie Aleksandra nie było irytacji.

— Kocha pan Rosję, Aleksandrze? — spytałam, gdy podszedł bliżej.

Podczas nieobecności Niessena miałam odwagę zwracać się do niego w ten sposób. Aleksander dorastał przecież w Warszawie, doktorat robił w Gottingen, a pierwsze badania naukowe przeprowadzał w Paryżu. — Więcej niż połowę życia spędził pan poza granicami Rosji.

— Mieszkałem tutaj jednak wystarczająco długo. Któż nie pokochałby Rosji? Jest taka rozległa, taka bogata, tak pięknie opisywana przez pisarzy i poetów! Ma niezrównany potencjał ludzki. I pytam was, co z tego przyszło?

— Ojciec kiedyś powiedział podobnie — mruknęłam. Aleksander widocznie nie dosłyszał mej uwagi.

— Czy wie pan — zwrócił się do Ł-M — że żydowscy oficerowie, którzy zgłosili się do Armii Ochotniczej, zostali poproszeni o zrezygnowanie ze służby?

— Generał Denikin zrobił to dla ich dobra. To rzeczywiście przynębiające — skomentował Ł-M jak zwykle w sposób pełen niedomówień.

Nie mogłam znieść wzroku Aleksandra, więc zajęłam się rozplątywaniem węzłów, które zrobiłam z frędzli chusty Wiery Kiryłowny. Ucieszyłam się widząc Koleńkę wracającego z lordem Andrzejem i Niessenem. Wszyscy trzymali w rękach kieliszki. Może teraz rozmowa zejdzie na lżejsze tematy. Gienadij Rosłow jednak chciał kontynuować naszą dyskusję polityczną.

— Książę — zwrócił się do Ł-M — pańska poprzednia uwaga o terrorze Czerwonych jest bardzo interesująca. Strach i podejrzliwość bolszewików przechodzą wszelkie granice. Czym pan to tłumaczy?

— Wydaje mi się, że bolszewicy mają powód, by się bać — odparł Ł-M.

— Mała klika zdobyła władzę w ogromnym kraju i zachowuje ją dzięki propagandzie i brutalnej sile. Jak łatwo można było przewidzieć, skończyło się to wojną domową. Wkrótce do konfliktu przystąpiły obce mocarstwa i parweniuszowski rząd Czerwonych jest teraz zagrożony przez wrogów zewnętrznych oraz wewnętrznych. W tej sytuacji zupełnie zrozumiałe, że ich paranoiczny strach nie zna granic.

— A według ciebie co powinniśmy zrobić wraz z naszymi sprzymierzeńcami? — spytał Niessen. — Złożyć broń? Obawiam się, że nie rozumiesz prawdziwej natury marksizmu--leninizmu.

— Sądzę, że bolszewicy też tego nie rozumieją. Chcę jedynie powiedzieć — odezwał się Ł-M po krótkiej przerwie, widząc nasze zdziwienie — że powołanie do życia owego mitycznego Czerwonego diabła wcale nie ułatwi zrozumienia jego prawdziwej natury. Jeśli rzeczywiście zaistnieje, cały świat może sobie z nim nie poradzić.

— Bardzo dobrze powiedziane, książę. Świetnie powiedziane — wydobył się z mroku głos Aleksandra.

— Masz rację. — Do mnie również przemówiły słowa Ł-M. — Trzeba położyć kres, ale nie ruchowi oporu — za wszelką cenę należy bronić godności ludzkiej — tylko nienawiści i przemocy.

— Słyszę jakieś wywrotowe hasła — odezwał się Ko-leńka. — Mam nadzieję, że nie ukrywa się tu gdzieś agent kontrwywiadu. — Zajrzał pod stół i za róg domu, a potem z ulgą przyjął papierosa, którym poczęstował go lord Andrzej.

— Chciałem jeszcze wrócić do pańskiej uwagi o oddziaływaniu na psychikę, książę... Zetknąłem się z tym kiedyś. — Głos Gienadija Rosłowa zdradzał wzrastające podniecenie. Zapomnieliśmy o komarach. Nie chcieliśmy uronić ani słówka z jego wypowiedzi. — Kiedy w 1917 roku wybuchła rewolucja, byłem akurat w Moskwie. Na własne oczy widziałem niespełna dwunastoletniego chłopca prowadzącego do więzienia oddział policjantów, około czterdziestu wielkich, silnych mężczyzn. Pomyślałem wtedy, że jednego dnia wierzymy, iż policjanci mają nad nami władzę, a następnego już nie. Policjanci również przestali wierzyć w swoją siłę i pozwolili się jakiemuś wyrostkowi zaprowadzić do więzienia. Zrozumiałem wtedy, że rewolucja odbywa się w umysłach.

— Rewolucja odbywa się w umysłach... To też bardzo trafne sformułowanie. — Aleksander wyłonił się z mroku.

— Mogło do tego dojść tylko w takim niezależnym społeczeństwie, jakie istniało w Rosji przed 1917 rokiem — zakpił Niessen. — Jednakże zmiana sposobu myślenia nawet wszystkich ludzi świata nie zdoła pokonać rządów bolszewików.

— Byłoby to możliwe — upierał się Aleksander — gdyby pozwolono bolszewikom postępować według własnego uznania. Kontrewolucja i interwencja obcych mocarstw jedynie wzmocni Czerwonych.

— Profesorze, proszę uważać! — krzyknął Koleńka.

— Jeśli pana dobrze zrozumiałem, twierdzi pan, profesorze, że jeśli zrezygnujemy ze stawiania oporu, nie grozi nam klęska? — dopytywał się Niessen.

— To dziwna logika, ale częściowo zgadzam się z profesorem Holwegiem — odezwał się Ł-M.

— Obaj mówicie przekonująco. — Gienadij Rosłow spojrział zagadkowo na obu antagonistów, a potem dodał:

— Przyszło mi do głowy coś zupełnie nie związanego z naszą rozmową.

— Proszę nam powiedzieć, maestro, co to takiego

— zwróciłam się do niego w obawie, że rozmowa znów przybierze niebezpieczny obrót.

— Oto siedzimy sobie późnym latem na werandzie prowincjonalnego, rosyjskiego domu, rozprawiając niczym bohaterowie sztuki Czechowa. I podobnie jak oni — jakby to powiedzieć — stwarzamy sobie jakieś wydumane problemy — zawiedzioną miłość, nie spełnione ambicje. Zrozumiałem nagle, że w przeszłości cierpiałem głównie przez takie wyimaginowane doznania. — Gienadij spoglądał nieśmiało na mnie, Aleksandra i czterech oficerów.

— No i proszę, do jakich doszliśmy wniosków, rozprawiając o wojnie i komunizmie: że z pewnej perspektywy

— Ł-M spojrział w niebo — wszystko to nie ma najmniejszego znaczenia.

— Ani nie jest takie pilne — rozległ się dźwięczny, młodzieńczy głos lorda Andrzeja. — Logicznie rozumując, to jedno i to samo. Niezależnie od tego, co kto mówi, panie Rosłow, dla mnie liczę się tylko ja.

— Zgadzam się z Jego Lordowską Mością. — Koleńka pragnął się popisać swą płynną znajomością angielskiego.

— Bez względu na to, czy jestem pionkiem w jakiejś wielkiej grze, czy też pionkiem w małej grze — zawsze najważniejsze dla mnie jest tylko moje własne dobro. Myślę, że sprawdza się to zarówno w przypadku wyjątkowych ludzi, takich jak profesor Holweg i maestro Rosłow, jak i zupełnie prze-

ciężnych, takich jak ja. Bolszewicy nie chcą przyjąć tego faktu do wiadomości. I dlatego — dokończył Koleńka — muszą zabijać tylu ludzi.

— Przestańmy już mówić o zabijaniu — wtrąciłam się, spoglądając z sympatią na Koleńkę. W tej taganroskiej atmosferze sekciarstwa jego egoistyczny pragmatyzm sprawił mi prawdziwą ulgę.

Zapanowała cisza. O czym myśleli Aleksander i Niessen? Czy to nie dziwne, że obaj, mimo że jeden był zupełnym przeciwieństwem drugiego, zakochali się we mnie? A ja nie mogłam pokochać żadnego z nich.

Podobnie jak Ł-M nie byłam zdolna do miłości. Obserwowałam spadające gwiazdy, przysłuchiwałam się bzyczącym owadom — świerszcze polne cykały równie radośnie dziś, w środku wojny domowej, jak w Zasławicach podczas odwrotu w 1915 roku. Poczulałam ostre ukłucie w sercu.

***Och gdzie, och gdzie odnaleźć mogę Beztroskie dni młodości mej?***

Wzdrygnęłam się na dźwięk znajomych strof Puszkina zaśpiewanych gdzieś za mną *sotto voce*. Jak trafnie wyrażały moje myśli! Jak ten miękki baryton przypominał inny, aksamitny, niezapomniany męski głos!

— *Cóż dla mnie jutro szykuje los?* — Baron Niessen dalej śpiewał arię Leńskiego z „Eugeniusza Oniegina” Czajkowskiego.

— Właśnie, coż szykuje dla nas los! — powtórzył jak echo Ł-M.

Wstałam, by zakończyć to wieczorne spotkanie.

— Jakie ma pan plany na przyszłość? — spytałam Gienadija Rosłowa, odprowadzając go do drzwi frontowych.

— Czy opuści pan Rosję?

— Mogę być do tego zmuszony. Teraz jadę z koncertem do Batumi, a potem do Tyflisu na zaproszenie przyjaciół.

Wymienił nazwisko znanej gruzińskiej rodziny książęcej. Ale kto wie, jak długo Gruzja pozostanie niepodległą republiką?

— Odnoszę wrażenie, że Ł-M znacznie lepiej rozumie się z profesorem Holwegiem niż ja — zauważył pod nosem Niessen, podczas gdy Aleksander i mój kuzyn wymieniali serdeczne słowa pożegnania. — Nie podoba mi się jego poufałość w stosunku do pani, Tatiano Pietrowno.

— Och, to stary przyjaciel domu i tyle mu zawdzięczam. Poza tym wobec wybitnych naukowców nie można stosować konwencjonalnej miary.

— Wybitni naukowcy nie wywołują na mnie wrażenia

— powiedział Niessen, a po chwili dodał: — Proszę mi wybaczyć moje rozdrażnienie, Tatiano Pietrowno. — Zniżył głos. — Kiedyś bardziej przypominałem lorda Andrzeja, nie tragizowałem tak. Obawiam się, że teraz nie pozostało mi nic innego.

— Rozumiem pana. Czuję to samo. Dlatego muszę zacząć działać.

— Tak, działanie to nasze jedyne wyjście. Chyba że...

— jego niespokojny wzrok spoczął na mnie. — Ach, może innym razem.

— Ucałował szybko moją dłoń i zrobił miejsce Ł-M, który podszedł, by się ze mną pożegnać.

— Jutro rano wracam do Konstantynopola — oświadczył Aleksander, gdy Koleńka odprowadzał mego gościa honorowego do samochodu. — Przyjadę po nianię. Mam również bilet dla pani, jeśli zdecydowałyby się pani z nami popłynąć.

Nie wiedziałam, co powiedzieć. Aleksander uklonił się sztywno, po czym odwrócił się i wyszedł.

Niania była już w łóżku, ale gdy się rozebrałam, wstała, by wyszczotkować mi włosy.

— No i jak się udało twoje przyjęcie, moja gołąbeczko?

— spytała.

— Zupełnie dobrze. Gienadij Rosłow i Aleksander bardzo sobie przypadli do gustu... — Powtórzyłam jej wszystko, co mówił Gienadij.

— Och, Aleksy Aleksiejewicz to niewątpliwie wielki uczonec, ale nic przywiązywałabym takiej wagi do jego

geniuszu gdybym nie wiedziała, jak bardzo cię kocha

— oświadczyła niania.

— A cóż w tym takiego niezwykłego? — spytałam z fałszywą bez troską, daleka bowiem byłam od przyjmowania jakichkolwiek hołdów należnych mi jako księżniczce

— Baron Niessen też mnie kocha.

- I co z tego? Spotkla mloda księżniczkę, ukrywającą się na odludziu. Ona opatrywała jego ranę. Czy w tych okolicznościach nie zakochałby się każdy młody człowiek? Ale Aleksy Aleksiejewicz to prawdziwy mężczyzna dojrzały. Jak też on się o ciebie troszczył, gdy byłaś chora! Jaki był delikatny i nigdy nie wykorzystał twej bezbronności! Jak stawiał czoło wszelkim niebezpieczeństwom, wszelkim wyzwaniom losu, zawsze myśląc przede wszystkim o tobie laka mi osc należy cenić, a nie gardzić nią. Taka miłość spotyka kobietę tylko raz w życiu.

— Nie gardzę nią, nianiu. To ona trzymała mnie przy życiu. Lecz czy nie rozumiesz, że nie wierzę w śmierć Stefana? Czuję, że jest wśród nas, że żyje gdzieś w Rosji Czuję to od chwili, gdy przyjechałam do Taganrogu i nie wyjadę stąd, póki go nie znajdę - żywego czy umarłego

— Zniszczysz sama siebie... No cóż, widzę, że nic cię nie powstrzyma. - Niania spojrzała chmurnie na moje odbicie w lustrze - Tylko nie sądz, że zostanę, by się temu przyglądać.

— Nie wolno ci zostać, nianiu. Bóg wie, gdzie mnie przydziela. Jesh nie chcesz wyjechać z Aleksandrem, zaopiekuje się tobą Wiera Kiryłowna.

— Dziękuję najmocniej, ale wolę jechać z Aleksym Aleksiejewiczem.

Będziemy się nawzajem pocieszać, wspominając twoje zimne serce.

Nie o to mi chodziło! Położyłam się w okropnym nastroju. Kiedy rano, po bezsennej nocy, zesłam na dół ujrzałam wytwor nego i sztywnego

Aleksandra w letnim garniturze i słomkowym kapeluszu. Za mną szła niania ze swym tobołkiem.

– Wciąż obstaje Pani przy swoim szalonym pomysle? – spytał.  
Znow duma odebrała mi głos, a niepokój sparaliżował ruchy. Nie mogłam patrzeć na jego odjazd, ale nie będę go prosiła o pozostanie.

- Bardzo dobrze. Oto pieniądze na pani potrzeby
- położył na stoliku plik kierenek. - Poza tą częścią Rosji me mają żadnej wartości. Zgodnie z wcześniejszymi planami zamierzam w ciągu trzech tygodni wyjechać do Paryża i podjąć pracę w Instytucie Radowym. Moja praca — zawahał się. — Przynajmniej ona mi pozostała — powiedział swym dawnym, zdecydowanym tonem
- Szczęściarz z pana, Aleksandrze! - Nie miałam tak jasno wytyczonego celu w życiu. Spojrzał na mnie przeciągle.
- Czyli wszystko na darmo, na darmo! - powiedział jakby sam do siebie, zawołał nianię i odjechali.



Bardzo przeżyłam wyjazd Aleksandra. Znów, jak w każdym punkcie zwrotnym swego życia, odebrałam tę rozłąkę jako zerwanie, opuszczenie, odepchnięcie. To nie ja odesłałam Aleksandra, tylko on mnie porzucił. Czułam się pokrzywdzona i niedoceniana, a jednocześnie zacięłam się i postanowiłam uczynić ofiarę, której nikt nie rozumiał. Nagle ujrzałam mieszkańców Taganrogu oczyma Aleksandra, z całą ich nieistotną hierarchią i udawaną beztroską — triumf błahostek w środku tragedii. Wiera Kiryłowna denerwowała mnie. Postanowiłam nie składać żadnych wizyt ani nie przyjmować gości.

Podczas gdy dąsałam się i dusiłam, oczekując na termin spotkania z generałem Denikinem, wzbudzający lęk Machno i jego zbójcka armia pojawili się niespodziewanie na wzgórzach na północ od miasta. Załadowałam swój pistolet. Wiera Kiryłowna wyjątkowo dużo czasu poświęcała na swą toaletę, starając się ukryć bladość pod grubą warstwą różu. Zinajda Michajłowna była zbyt przerażona, by się uskarżać. Nasi gospodarze na zmianę biegali i ukrywali wartościowe przedmioty po kątach lub pakowali dobytek, by ewakuować się na jednym ze statków państw ententy.

Moi kawalerowie pojawili się na kolacji razem z Koleńką.

— Taganrog jest, praktycznie rzecz biorąc, pozbawiony wojska — zauważył jak zwykle obojętnie Ł-M.

— Generał Thompson, szef naszej misji, ćwiczy drużynę cudzoziemską.

— Lord Andrzej był pełen chłopięcego podniecenia. — Niektórzy nasi marynarze nigdy nie siedzieli na koniu! Co za widok! — Roześmiał się, a Ł-M zachichotał.

— Też by mnie to śmieszyło, gdyby nie fakt, że kobietom grozi niebezpieczeństwo. — Baron Niessen spojrział na mnie.

— Machno jest pod tym względem jeszcze gorszy od bolszewików.

— Kto to jest ten Machno? — Miałam pistolet. Czułam się bezpieczna.

— Zbój-anarchista, rodzaj współczesnego Robin Hooda, postać równie barwna co okrutna — wyjaśnił Ł-M. — Jego hasłem jest „Wieszać Czerwonych, Żydów i panów”.

— W takim razie czego może chcieć od nas?

— My, moja droga Taniu, jesteśmy panami.

— Nie widzę, by którykolwiek z was, Białych, cokolwiek jeszcze posiadał — zauważył lord Andrzej.

— To prawda, lecz propaganda Czerwonych — stwierdził Ł-M — która jest znacznie skuteczniejsza od naszej, przypięła nam taką etykietkę.

— Jak to? — Natychmiast nastroszył się baron Niessen.

— Mój drogi przyjacielu, niestety, nasz znamienity i pedantyczny generał Denikin chciałby odłożyć kwestię reformy agrarnej do czasu, aż zwyciężymy i zbierze się zgromadzenie ustawodawcze. Tymczasem właścicielom ziemskim obiecano odszkodowania

— trzeba szanować zasady własności prywatnej, choćby ze względu na naszych sojuszników, którzy — nie zapominajmy

— są przedstawicielami państw kapitalistycznych. W ten sposób tracimy okazję zdobycia poparcia mas, którego tak potrzebujemy.

— Chyba nie myślisz — odparował baron Niessen — że nasi chłopci są aż tak naiwni, żeby jeszcze wierzyć w obietnice bolszewików dotyczące podziału między nich ziemi?

— Nasi chłopci na pewno nie są naiwni. Świadczy o tym fakt, że w równym stopniu nie ufają nam co Czerwonym. Szybciej już podążą za Machną.

— Ja wybrałbym bolszewików. — Koleńka nie był już taki beztroski jak zwykle. — Sprytem można z nimi coś zdziałać. Na Machnę nie ma sposobu.

— Rosja to prawdziwy dom wariatów — podsumował lord Andrzej. Opinia taka panowała powszechnie w zagranicznych misjach.

W nocy zbójcka armia się wycofała i w Taganrogu znów zapanował pozorny spokój.

Następnym niezwykłym wydarzeniem było przybycie 13 września polskiej delegacji pod auspicjami Międzynarodowego Czerwonego Krzyża. Na jej czele stał generał Karnicki. Prawdziwym celem wizyty, co wkrótce stało się powszechnie wiadome, było omówienie warunków współpracy między Armią Ochotniczą i wojskiem polskim.

Wiera Kiryłowna natychmiast zorganizowała przyjęcie na cześć generała Karnickiego. Tym razem nie sprzeciwiałam się jej. Pomyślałam, że będzie to dobra okazja, by porozmawiać o Stefanie. Ale zanim jeszcze doszło do tej wizyty, Koleńka zaprowadził mnie do biura generała Denikina.

Naczelny wódz był dość niskim, przeciętnie wyglądającym mężczyzną w średnim wieku. Na mój widok wstał i uścisnął mi dłoń, wyraził żal, że nie mógł uczestniczyć w pogrzebie generała Majskiego, potem usiadł za swym biurkiem i powiedział tonem zapracowanego urzędnika.

— Mam przed sobą pani podanie o przyjęcie w szeregi Ochotniczej Armii Białych w charakterze pielęgniarki. Choć doceniam pani poparcie dla naszej sprawy, muszę odmówić zgody na pani wstąpienie do armii.

Czy słyszał o monarchistycznych machinacjach Wiery Kiryłowny?. A może odczuwał niechęć, dość powszechną wśród oficerów sztabu generalnego, którzy uzyskali swoje pozycje tylko dzięki kolejnym awansom jak on sam i Aleksiejew, w stosunku do wysoko urodzonego generała księcia Siłomirskiego?

— Nikt tak blisko związany z rodziną nieżyjącego już cara Mikołaja II jak pani nie może być przyjęty w nasze szeregi — ciągnął generał Denikin.

— Odrzuciłem już podobne podania członków zdetronizowanej dynastii.

— Był więcej, niż szorstki. Był obcesowy.

Moją pierwszą myślą było: Aleksander wygrał. Drugą: Rosja już mnie nie potrzebuje. Trzecią: Nic na to nie poradzę.

— Bardzo mi przykro, że nie chce pan skorzystać z mojej pomocy — powiedziałam. — Miałam nadzieję, że będę miała swój drobny wkład w walkę, która stanowi jedyną nadzieję uratowania naszego nieszczęsnego kraju.

Ton generała Denikina się zmienił.

— Wierzę pani, Tatiano Pietrowno.

Kiedy spojrzał mi prosto w oczy, w jego miłej, brodatej twarzy dostrzegłam otwartość i uczciwość. Poczulałam do niego sympatię.

Przypominał mi cara, choć nie posiadał jego ogłady i majestatyczności. Z pewnością był bratnią duszą Mikołaja II.

Po chwili namysłu generał wstał podszedł do ściennej mapy Rosji.

— Jednak jest coś, co może pani dla nas zrobić, a co będzie cenniejsze niż służba na froncie.

Szereg białych chorągiewek przecinających Ukrainę na północ od Kijowa znaczył ostatnie zdobycze armii Białych podczas ofensywy ku Moskwie.

Generał Denikin wskazał pałeczką fragment Podola od granicy rumuńskiej do Żytomierza.

— Ten odcinek obsadzony jest oddziałami polskimi, czterdziestoma tysiącami silnych i świetnie walczących żołnierzy, wyekwipowanych przez Francuzów. Ograniczają się do utrzymywania swych pozycji. Jeśli uda nam się nakłonić ich do ofensywy i skoordynowania naszych wspólnych działań, sukces mamy zapewniony. Pani ojciec miał dobre stosunki z Polakami. Czy porozmawia pani z generałem Karnickim?

— W domu, w którym się zatrzymałam, organizowane jest przyjęcie na cześć generała. Czy mogę zapytać, jak przebiegają rozmowy Waszej Ekscelencji z polską delegacją?

— Są serdeczne, ale jak dotąd nie przyniosły żadnych rezultatów. Polacy w zamian za przyłączenie się do ofensywy żądają gwarancji terytorialnych. Na razie mówią o wschodniej Galicji. Ostatecznie ich roszczenia będą dotyczyły również Wołynia i innych guberni granicznych, które przed

wiekami należały do Polski. „Od morza do morza” — zacytował po polsku — oto prawdziwy zasięg ambicji nowej Polski.

Pomyślałam, że nie różni się zbyt wiele od rosyjskiej. Większość jej wojen toczona była właśnie z tą myślą.

— A czy nie odniósł pan wrażenia, Ekscelencjo, że Polacy obawiają się, iż państwo rosyjskie po zwycięstwie Białych nie uzna ich wywalczonej niepodległości?

— Nie mają powodów, by się tego obawiać — oświadczył generał Denikin. — Nie jesteśmy nastawieni ekspansjonistycznie ani imperialistycznie. Naszym celem jest jedna, niepodzielna Rosja. W zasadzie uznajemy państwo polskie. Ale jego ostateczne granice mogą zostać ustalone dopiero po zebraniu się Zgromadzenia Ustawodawczego, bo jedynie ono może wypowiadać się w imieniu ludu rosyjskiego. Jak bardzo generał Denikin przypominał cara! Mikołaj II tak samo rozmawiał z wujem Stachem. Wiedziałam, że na nic zda się próba wytłumaczenia generałowi Denikinowi, że z punktu widzenia Polaków ani car, ani Zgromadzenie Ustawodawcze nie mają żadnego prawa decydować o sprawach Polski.

— Gdyby żył Stanisław Zasławski, mój wuj — powiedziałam — jestem pewna, że znalazłby pan w nim wiernego sprzymierzeńca. Jego jedyny syn, Stefan, który ponoć zginął na terenie Rosji...

— Poprosiłem o raport o wynikach dochodzenia przeprowadzonego przez Polaków i Francuzów — generał Denikin natychmiast zorientował się, o co mi chodzi. — Poinformowano mnie, że chciała pani uzyskać potwierdzenie tego tragicznego wydarzenia.

— Wasza Ekscelencjo, czy to możliwe, że nie został zamordowany Stefan, ale ktoś bardzo do niego podobny?

— Podczas wojny domowej wszystko jest możliwe, Tatiano Pietrowno. Dowodem na to jest ucieczka oficerów pani ojca z Kronsztadu. Był to równie nieprawdopodobny wyczyn jak rok wcześniej wydostanie generała Kornilowa

z więzienia w Piotrogradzie. — Zrobił przerwę, spojrzął na zegarek, wstał i zapytał: — Czy jest jeszcze coś, co mógłbym dla pani zrobić?

— Jeśli może mi pan poświęcić jeszcze chwilę pańskiego czasu... Skoro mam rozmawiać z polskimi dżentelmenami, czy może mi Wasza Ekscelencja udzielić ogólnych informacji na temat sił, którymi dysponują obie strony? — Z nie ukrywanym zainteresowaniem spojrzałam na ścienną mapę.

— Z przyjemnością. — Generał Denikin wskazał pałeczką granice obszaru okupowanego przez siły sowieckie na zachód od Uralu. Potem powiedział: — Nasze wojska oraz oddziały naszych sojuszników są rozproszone tu, na Dalekiej Północy — wskazał najpierw na gubernię archangielską, a potem na rozległe tereny poniżej Murmańska. — Nasi sojusznicy, szczególnie Amerykanie, są zdecydowani wycofać się z całego tego przedsięwzięcia. Natomiast tu, na północnym-zachodzie — pałeczka przesunęła się na zachód od Piotrogradu — działa armia generała Judenicza. Jeśli Estończycy go nie zdradzą, a Brytyjczycy nie wycofają swego poparcia, może zdobyć Piotrogród.

Tymczasem my forsownymi marszami nacieramy na Moskwę; nie chcemy, by zaskoczyła nas zima — nasze oddziały nie są przygotowane do walk w zimie. Musimy się również spieszyć, bo wspierający nas Kozacy nie przepadają za długimi kampaniami. Lubią wrócić do domu, do swej stancy, obładowani łupami, możliwie jak najszybciej. Musimy również pamiętać o rozbójnikach i anarchistach grasujących na tyłach.

— Jak na przykład Machno — powiedziałam. — Moi dobrzy gospodarze panicznie się go boją.

— Widzi więc pani, jak niepewna i niemożliwa do przewidzenia jest nasza sytuacja — stwierdził ponownie generał Denikin.

— A bolszewików? Wygląda na to, że są otoczeni.

— Otoczeni przez armie, które nie mogą nawiązać ze sobą łączności. — Koniec pałeczki przesunął się za Ural.

— Proszę sobie wyobrazić, że depesza od dowództwa naczelnego naszej armii syberyjskiej w Omsku dociera do nas przez Londyn lub Paryż! Teraz parę słów o siłach bolszewików. Posiadają wewnętrzne linie łączności i bazę przemysłową. Dyscyplinę wojskową narzucają bataliony śmierci. Dzięki doradcom z byłego sztabu generalnego Niemiec mają przewagę nad nami, jeśli chodzi o opracowywanie taktyki walki. Ale wśród bolszewików również szerzy się głód, choroby i demoralizacja. Oni również są skrajnie wyczerpani. W tych warunkach szalę może przeważyć byle drobiazg. Właśnie dlatego tak ważne jest stanowisko Polaków.

— Zrobię, co w mej mocy.

— Dziękuję pani w imieniu Ojczyzny. Ojczyzna — *Rodina*. Nie miałam już żadnej. Generał Denikin zdawał się mnie rozumieć.

— Jakie ma pani plany na przyszłość, Tatiano Pietrowno?

— Na razie żadnych, Wasza Ekscelencjo.

Zależały one od wyników mych rozmów z Polakami. Zależały od informacji na temat Stefana. Nie byłam jeszcze całkowicie gotowa związać swój los z Aleksandrem, choć wydawało mi się to teraz takie pociągające.

Generał Denikin uściskał mi dłoń.

— Z całego serca życzę panu powodzenia — powiedziałam i wyszłam jeszcze bardziej skonfundowana i nieszczęśliwa, niż przyszłam.

Na przyjęcie swych polskich gości ubrałam się wyjątkowo starannie.

Zgodnie z przysięgą złożoną dla uczczenia pamięci mej imienniczki odmówiłam włożenia sznura pereł, które dała mi Wiera Kiryłowna.

Zamiast nich włożyłam mały, złoty krzyżyk na łańcuszku, który kupiłam od jakiegoś uciekiniera w Taganrogu.

— Czy z tej okazji nie włożysz wstęgi św. Katarzyny, którą specjalnie odszukałam? — błagalnie spytała Wiera Kiryłowna. — Masz do tego prawo jako księżniczka.

Wyjątkowo się zgodziłam, by udrapowała mi na jednym ramieniu i piersi wstęgę. Na nogi nałożyłam jedyną parę sandałów na niskim obcasie. W modę wchodziły krótkie włosy i szczupłe, chłopięce figury. Nie czułam się już mało atrakcyjna.

— Wyglądasz zabójczo, Taniu — pochwalił mnie lord Andrzej, podczas gdy Wiera Kiryłowna witała generała i jego adiutantów. — Szkoda, że nie ma z nami barona Niessena.

Ł-M się uśmiechnął.

— Mówiąc szczerze, zabroniono mu przyjść. Niessen nie potrafi być dyplomata. — Ł-M reprezentował podczas mego przyjęcia sekcję stosunków zagranicznych i wiedział o mym zamiarze oczarowania generała Karnickiego.

Przewodniczący polskiej delegacji prezentował się znacznie lepiej niż generał Denikin. Również jego adiutanci przyćmiewali rosyjskich. Polska galanteria była wciąż niezrównana. Bawiło mnie to i zarazem smuciło. Po jakimś czasie wzięłam generała Karnickiego na bok. Wyszliśmy na werandę.

Złożył wyrazy współczucia w związku ze śmiercią mego ojca, „przyjaciela Polski, wyjątkowego Rosjanina”.

— Dziękuję. W tym samym roku poniosłam drugą bolesną stratę — zmarli wujostwo Zasławscy. Jacy by byli dumni i szczęśliwi, widząc swój ukochany kraj znów niepodległy!

— Będzie nam ich brak przy jego odbudowie, a jeszcze bardziej ich syna Stefana. Odrodzone państwo polskie potrzebuje takich wspaniałych, młodych ludzi.

Z trudem zapanowałam nad przejmującym bólem.

— Czy Wasza Ekscelencja nie wie przypadkiem czegoś o towarzyszu Stefana, panu Kazimierzu Paszku?

— Major Kazimierz Paszek! Któż nie słyszał o jego odwadze! Walczy teraz na froncie przeciw Armii Czerownej.

Znalazłam potrzebny mi pretekst do skierowania rozmowy na właściwe tory.



— Jestem pewna, że siły polskie stanowią potężną zaporę dla sowieckiej ekspansji. Ale czy nie byłoby korzystne dla Polski skoordynowanie jej poczynań z ofensywą południowej Armii Białych i raz na zawsze położenie kresu komunistycznemu zagrożeniu?

— W Polsce nie istnieje niebezpieczeństwo komunizmu

— stwierdził wprost generał, nie bawiąc się w uprzejmości.

— Polacy zbyt kochają wolność.

— Dobrze o tym wiem. Ale sowiet, w przeciwieństwie do tego, co mówią, niezbyt respektują prawa swych sąsiadów do niezawisłości. Próbowali zaanektować Finlandię. Tylko armia generała Judenicza i Estończycy powstrzymują ich przed zagarnięciem państw bałtyckich. Nie obawiacie się, że gdyby bolszewicy pobili Białych, w następnej kolejności zwróciliby się przeciwko Polsce?

— Jesteśmy przygotowani na taką ewentualność. A jakie mamy gwarancje, że rząd Białej Rosji z większym respektem będzie się odnosił do naszych granic niż Czerwoni?

— Panie generale, opierając się na własnym doświadczeniu śmiem twierdzić, że żaden rząd Białej Rosji nie będzie stanowił tak wielkiego zagrożenia dla Polski i całego niepodległego świata jak Republika Rad.

— Będziemy się wystrzegać ich obu — powiedział generał Karnicki. Wyobraża sobie Polskę jako wielkie mocarstwo, równe Rosji — pomyślałam z rosnącą irytacją. Nie dałam jednak nic po sobie poznać, tylko ciągnęłam spokojnie:

— W jaki sposób tymczasowy rząd Białych mógłby zapewnić Polskę o swej przyjaźni?

— Zwróciliśmy się o gwarancje dotyczące wschodniej Galicji. Odmówiono nam.

Jak nierozważnie postąpił generał Denikin, pomyślałam, nie próbując ugłaskać dumnych Polaków!

— Wódz naczelny nie jest politykiem. Nie czuje się kompetentny, by podejmować decyzje polityczne. W tych kwestiach zdaje się na Zgromadzenie Ustawodawcze, które

zostanie zwołane natychmiast po zwycięstwie. Odnoszę wrażenie, że jest nieposzlakowanie uczciwy, choć uparty. Bardziej polegałabym na jego słowie niż na słowie towarzysza Trockiego.

Generał obrzucił mnie szybkim spojrzeniem, a potem jeszcze bardziej się zamknął w sobie.

Podejrzewa, że znam jakiś sekret, przemknęło mi przez myśl. Czyżby Polacy planowali zawarcie przymierza z Czerwonymi?

— Bylibyśmy głupcami, gdybyśmy wierzyli bolszewikom na słowo — oświadczył generał.

— Szczególnie, że — ciągnęłam — towarzysz Trocki i jego kompani, w przeciwieństwie do generała Demkina, obiecują wszystko, ale bez skrupułów złamią dane słowo, jeśli będą to uważali za korzystne dla siebie. Marksisci mają takie powiedzenie: „Cel uświęca środki”.

Ludziom, którzy tak wysoko cenią lojalność i honor jak Polacy, trudno to zrozumieć.

— Już wcześniej mieliśmy do czynienia ze zradami — powiedział generał Karnicki.

Tak, i sami też się ich dopuszczacie, pomyślałam coraz bardziej przekonana, że rozważają zawarcie porozumienia z bolszewikami. A może już je zawarli.

— Jestem pewna, że nowi przywódcy Polski są mądrzy i dzielni — zakończyłam naszą bezowocną dyskusję i przyłączyliśmy się do reszty towarzystwa.

Przyjęcie zakończyło się uśmiechami i grzecznościami. Przysięgam sobie, że bez względu na to, co powie Wiera Kiryłowna, jest to moje ostatnie przyjęcie towarzyskie w Ta-ganrogu. Ł-M i lord Andrzej odprowadzili Jego Ekscelencję do samochodu, a potem wrócili jeszcze do nas. Wystarczyło im jedno spojrzenie, by zrozumieć, że nic nie wskórałam.

— Generał Thompson będzie wściekły — powiedział lord Andrzej. — Chce, by Polacy połączyli swe siły z Białymi i wspólnie rozgromili bolszewików. Ale ci zbyt sobie nie ufają. Raczej dadzą się pożreć Czerwonym jeden po drugim, niż zjednoczą się przeciw wspólnemu wrogowi.

— I dokładnie tak się stanie — zauważył Ł-M.

— Jeśli generał Denikin nie da się przekonać, by zgodził się na żądania Polaków, odnoszę wrażenie, że Polacy wycofają się i zawrą pokój z bolszewikami — powiedziałam.

Generał Karnicki to nie był Zaslowski. Wyrosło nowe pokolenie przywódców, pokolenie skrajnych nacjonalistów, którzy stanęli na czele zarówno młodych narodów, zrodzonych w wyniku traktatu wersalskiego, jak i tak wiekowych jak Włosi, Grecy czy Francuzi.

— Generał Denikin się nie ugnie — przerwał moje rozmyślenia Ł-M. — Jest zbyt gorącym patriotą.

Nagle poczułam, że mam powyżej dziurek w nosie patriotyzmu — i polskiego, i rosyjskiego.

— Niczego się nie nauczyliśmy. Nic się nie zmieniło od 1914 roku.

— Nic — zgodził się Ł-M — z wyjątkiem tego, że zamiast carów i kajzerów oraz ich szlachetnie urodzonych dyplomatów, którzy w mniejszym czy większym stopniu szanowali nakazy przyzwoitości i honorowali zawarte traktaty, nowi przywódcy Europy są zwykłymi demagogami. Od bolszewików nauczą się sztuki propagandy. Tak samo jak oni będą manipulowali masami. Ich hasłem stanie się w miejsce „Wolności ludu” — „Wielkość narodu”.

— To będzie oznaczało kolejne wojny. — Moje myśli pobiegły ku Aleksandrowi, niepozornemu naukowcowi, który stał ponad narodowymi i ideologicznymi podziałami. Tylko przy nim można będzie zachować rozsądek w tym zwariowanym świecie.

— Niechybnie. — Ł-M przyglądał się zarówno poprzedniej, jak i obecnej wojnie z chłodną ciekawością.

— Bzdury! — krzyknął lord Andrzej. — Lubisz denerwować ludzi, Ł-M. Taniu, czemu nie wyjedziesz do Anglii, do Lansdale? Rodzina powita cię z otwartymi ramionami.

— Dziękuję ci, Andrzej. — Byłam szczerze wzruszona. Ale pragnęłam rzucić się w ramiona niani, tęskniłam za Aleksandrem.

Poprosiłam Ł-M, by zadeszował do profesora Holwega, informując go, że armia Białych odrzuciła moje podanie. I czy mógłby się zwrócić do brytyjskiego szpitala wojskowego z prośbą, by nie zatrudniali nikogo na moje miejsce, bo prawdopodobnie wkrótce wrócę do Konstantynopola. Teraz zatrzymywało mnie w Taganrogu jedynie oczekiwanie na raport w sprawie rzekomej śmierci Stefana.

Trzy dni przed zaplanowanym wyjazdem do Konstantynopola, po powrocie z lordem Andrzejem i baronem Niessenem z porannej przejażdżki, zastałam Ł-M, czekającego na mnie z aktówką w ręku.

Wyciągnął z niej jakieś papiery i powiedział:

— Generał Denikin poprosił mnie, Taniu, bym przekazał ci to osobiście wraz ze słowami podziękowania za twoją rozmowę z polską delegacją.

Czy chcesz, żebyśmy zostali, gdy będziesz czytała raport? — dodał widząc, że stoję jak wryta i nie mam siły sięgnąć po papiery.

Spojrzałam na trzy zatroskane twarze. Nawet lord Andrzej był poważny i smutny, zapewne tak jak wówczas, gdy otrzymał depezę z wiadomością o śmierci swego brata Beresforda.

— Dziękuję wam — powiedziałam. — Wolę zostać sama. —

Zdecydowanym ruchem odebrałam raport, poszłam na górę do swego pokoju i zamknęłam drzwi na klucz.

Położyłam grubą kopertę z napisem „poufne” na biurku pod oknem, otworzyłam ją i wolno wyciągnęłam zapisane kartki oraz zdjęcia. Potem wstałam i zaczęłam chodzić po pokoju, oddychając głęboko, by uspokoić bicie serca. W końcu usiadłam za biurkiem. Odłożywszy na bok raport lekarski i zdjęcia — nie mogłam się zmusić by na nie spojrzeć — zaczęłam czytać zeznania naoczego świadka przetłumaczone z rosyjskiego na polski. Był nim dwudziestodwuletni ukraiński chłop, były kapral, dezertor z frontu galicyjskiego, który zbiegł z Armii Czerwonej i przyłączył się do bandy Grigorjewa.

12 stycznia 1919 roku nasi zwiadowcy wypatrzyli między Dniestrem i Bugiem konwój z aprowizacją i furazem, eskortowany przez oddział Białych; zmierzał z Odessy na północ. Dwustu naszych ludzi miało przygotować zasadzkę. Okrążyliśmy konwój, by odciąć go od wschodu, i ukryliśmy się za wzgórzami w pobliżu mostu na Bugu. Obserwowaliśmy, jak Biali wolno się zbliżali, nie zdając sobie sprawy z niebezpieczeństwa. Był z nimi młody dryblas, cywil. Siedział obok woźnicy w pierwszym wozie i śpiewał. Głos miał jak dzwon, dźwięczny i głęboki, o takim słodkim brzmieniu... Słuchając go zatęskniłam za swą wioską i innym życiem niż zbójckie. Gdybym był dowódcą, pozwoliłbym przejechać

konwojowi, ale nasz szef — a należał do najgorszych — dał rozkaz do ataku natychmiast, gdy tylko Biali przejechali most.

Było ich pięćdziesięciu przeciwko naszej dwusetki. Zaraz na początku zaciął się im karabin maszynowy, zdobyliśmy go w pierwszej kolejności. Mieliśmy kilku rannych. Uzbrojeni byliśmy w ukradzione Francuzom karabiny. Wzięliśmy Białych na muszki. Poddali się. Rozbroiliśmy ich i związaliśmy im ręce na plecach. Konie objuczyliśmy workami z ziarnem oraz kartoflami i skierowaliśmy się z powrotem do naszego obozu za Dniestrem, zabierając ze sobą jeńców. Cywila o pięknym głosie wsadziliśmy na konia pociągowego. Nie zawracaliśmy sobie głowy woźnicami. Otrzymali po kulce między oczy.

Kiedy zaczęliśmy wspinaczkę na wzgórza, okazało się, że obładowane konie nie dają rady iść po rozmięklej od deszczu ziemi. Nasz ataman zarządził postój tuż za rzeką, na małej polance otoczonej lasem, niewidocznej z mostu. Wyznaczył dwudziestu ludzi do zajęcia się jeńcami i załadowania łupów na ich konie. Pozostałym ludziom rozkazał kontynuować marsz. Nasz szef ustawił karabin maszynowy. Nie potrafię zabijać z zimną krwią — w bitwie to co innego, kiedy człowiek wpada w jakiś amok i zapomina o wszystkim. Powiedziałem więc: „Panie atamanie, dajmy im szansę. Może są wśród nich Ukraińcy, którzy chcieliby się do nas przyłączyć?” A w duchu zmówiłem modlitwę, by „mój” śpiewak potrafił mówić w naszym języku.

„Właściwie czemu nie? Zaoszczędzimy trochę amunicji” — odrzekł dowódca. „Idź, wypytaj ich. Ale jeśli któryś z nich ucieknie, odpowiesz własną głową”. Poszedłem do jeńców i pogadałem z nimi. Tak jak podejrzewałem, około piętnastu było z naszych stron, więc przyjeśliśmy ich do nas. „Weź i mnie, dobrze ci zapłacę” — szepnął mój śpiewak. Okazało się jednak, że mój dowódca miał względem niego i dwóch oficerów dowodzących konwojem zupełnie inne zamiary.

Odprowadził ich na bok, a pozostałych jeńców skosił karabinem maszynowym. Leżeli jeden na drugim jak zboże w polu. Ataman się rozochocił. Widok krwi zawsze tak na niego działa. Pociągnął z flaszki łyk wódki. Oczy mu zaczęły błyszczeć i mówi: „Zabawmy się nieco, chłopaki, z tymi trzema chwatami”. A do naszych nowych towarzyszy zwrócił się: „No udowodnijcie nam, że jesteście lojalni”, po czym rozkazał im wykopać trzy doły. — O, Boże, nie! — Objęłam głowę rękoma, wstałam i zaczęłam chodzić po pokoju jak szalona. Jednak trzeba było spojrzeć prawdzie w oczy bez względu na to, jak była straszna. Znow zaczęłam czytać. Podczas gdy tamci kopali doły — w mokrej, piaszczystej ziemi szło im to całkiem sprawnie — dwaj Biali oficerowie oświadczyli nagle, że są bolszewikami. Wstąpili do Armii Ochotniczej, gdy wpadli w ręce Kozaków. Okazało się, że jeden z nich wciąż przechowuje w małej kieszonce czerwonoarmijną odznakę i dokumenty wojskowe. Wynikało z nich, że jest ni mniej, ni więcej, tylko... majorem. Dał nam do zrozumienia, że jeśli puścimy wolno jego oraz jego towarzysza, postara się, by nie rozstrzelano naszej bandy, gdy te tereny zajmą bolszewicy. „Nasza armia jest już blisko” — powiedział. „Ty sukinsynu — wrzasnął na to mój dowódca — myślisz, że bolszewicy są mi drożsi niż Biali?” — i rozkazał, by ich rozebrano. Dwaj oficerowie opierali się i krzyczeli jak opętani, jedynie mój śpiewak zachowywał się spokojnie. Dowódca podał mi jego paszport, bym przeczytał na głos, co jest w nim napisane. Z dokumentu wynikało, że pochodzi z Saratowa i że jest dostawcą koni dla armii Białych. Sądząc po ubiorze, rzeczywiście mógł być kupcem. Kiedy jednak go rozebraliśmy i ujrzeliśmy jego bieliznę... była pierwszej jakości! Między koszulą a podkoszulkiem ukryte miał jeszcze inne dokumenty. Według nich był kupcem zbożowym z Orła, ze strefy kontrolowanej przez Czerwonych; miał też przepustkę wystawioną przez sowiecki komisariat do spraw zaopatrzenia. Oho, bratku, pomyślałem, jesteś szpiegiem! Nie chciałem wnikać — Czerwonych, Białych czy jednych i drugich. Powiedziałem dowódcy, że to wszystko zamówienia na konie. Przeszukaliśmy go dokładnie. W jednym bucie znaleźliśmy nóż, w drugim — mały rewolwer. Pod bluzą miał pas z materiału, w którym zaszyte były naboje i złote ruble, a także złoty pierścień z głową orła, niczym jakiś królewski sygnet!

„Ładny z ciebie handlarz końmi! — odezwał się do niego po rosyjsku dowódca. — Na pewno jesteś niezłym rzezimieszkiem! Okradłeś jakiegoś bogatego księcia, ot, co zrobiłeś”.

„Sam jestem księciem — odpowiedział śpiewak. — Dostaniesz dużo więcej złotych rubli, jeśli poinformujesz Francuzów, że mnie złapałeś. Daję ci słowo, że nic ci się nie stanie, jeśli puścisz wolno mnie i tych dwóch oficerów”. „A kim są dla ciebie ci Czerwoni, książę?” — spytał szef. „To moi ludzie” — odpowiedział książę takim tonem, że o mało nie zemdlałem. „*Czudak*” — zaśmiał się dowódca, próbując wsunąć pierścień na palce to jednej, to drugiej ręki. Mój dowódca lubi złoto. To trzecia rzecz, którą lubi, zaraz po bijatyce i wódce.

„Powiem ci, co zrobię — powiedział w końcu. — Zakopię ciebie i twoich Czerwonych ludzi po samą szyję, a potem wyślę informację do żabojadów. Jeśli będziesz jeszcze żywy, kiedy cię znajdą, będą mogli wziąć cię bez żadnego okupu!” — i wybuchnął śmiechem.

Tak też się stało — wepchnęli ich do dołów. Czerwoni wciąż się darli jak opętani, książę nie stawiał oporu. Mój dowódca jakby wpadł w trans na widok sygnetu i zagarniętych rubli. Jego ludzie zaczęli chmurnie spoglądać na niego i gniewnie mrużyć coś między sobą. W końcu najodważniejszy odezwał się w te słowa: „Jest dwadzieścia sztuk złota, akurat tyle, by rozdzielić je sprawiedliwie między nas. Zatrzymaj sobie pierścień, atamanie, a nam daj ruble.” „A, wy sukinsyny!” — wrzasnął nasz dowódca. Zaczęli się kłócić, a w tym czasie nasi świeżo zwerbowani rekruci cicho odwiązali swe konie i czmychnęli! „Za nimi!” — wrzasnął dowódca. Ruble schował do kieszeni. Rzuciliśmy się w pościg. „Panie atamanie — odezwałem się — czy dobrze zrobiliśmy, zostawiając tamtych trzech przy życiu? Co będzie, jeśli znajdą ich Kozacy? Na podstawie ich zeznań trafią na nasz trop i zgotują nam jeszcze okrutniejszą śmierć!” Mówiąc szczerze, nie wierzyłem, by ktokolwiek się na nich natknął poza wilkami i sępami, ale bardzo mi było żal śpiewającego księcia. Chciałem mu oszczędzić cierpień. „Nie głupisz — powiada dowódca. — Nie na darmo nauczono cię czytać. Jedźcie za zbiegami. My wkrótce do was dołączymy”. I zawrócił ze swym zastępcą. Usłyszałem odgłosy strzałów i wkrótce obaj przygalopowali z powrotem.



„No, nic nam już z ich strony nie grozi — oświadczył mój dowódca. Był bardzo zadowolony, ponieważ zatrzymał wszystkie ruble dla siebie. Szkoda tylko — dodał, — że kiedy żabojady znajdą swego księcia, już go nie poznają” i wybuchnął śmiechem, a za nim jego zastępca.

Cóż, okazało się, że tym razem to nie my śmialiśmy się ostatni. Zgubiliśmy ślad naszych uciekinierów i kiedy zapadł zmrok zatrzymaliśmy się, by rozbić obóz. Planowaliśmy wrócić rano i odzyskać łupy. Tymczasem w nocy zaskoczyli nas polscy legionści. Podczas walki mój dowódca i jego zastępca polegli. Razem z Polakami byli także uciekinierzy, którzy poprzedniej nocy natknęli się na Francuzów oraz Polaków i o wszystkim im opowiedzieli. Polacy kazali się zaprowadzić na miejsce masakry. Podchodząc do polany, przepłoszyliśmy stado sępów. Ciała zabitych wciąż tam leżały, tyle że nocą zostały rozebrane do naga albo przez chłopów, albo przez naszych ludzi. Worki ze zbożem i kartoflami zniknęły. Z ziemi wciąż wystawały trzy głowy, a właściwie to, co z nich zostało... Przerwałam lekturę i zaniósłam się szlochem. Usłyszałam ciche pukanie do drzwi.

— Tatiano Pietrowno, moja najdroższa, nie jadłaś jeszcze śniadania — rozległ się nieśmiały głos Zinajdy Michajłowny. — Czy można ci coś podać?

— Nic nie chcę. Zostawcie mnie w spokoju! — odpowiedziałam nie swoim głosem.

To niemożliwe! Znów zaczęłam krążyć po pokoju. Pocałowałam Stefka, gdy przywieziono go rannego i był pod działaniem narkozy. On całował mnie w szpitalu w Mińsku i w lesie, w strugach deszczu, zanim się rozstaliśmy. Miał takie pełne, aksamitne miękkie usta... A sępy pożywiały się nimi, wsadzały swe ohydne dzioby w jego usta, wydziobywały mu oczy... Nie, chyba oszaleję!

Minęło kilka godzin — zupełnie straciłam poczucie czasu — nim znów przystąpiłam do lektury tego straszliwego raportu! Zeznania kaprała-bandziora potwierdzili jego kom-pani-rozbójnicy i zbiegli jeńcy. Zamieniono mu karę śmierci na obóz pracy.

W meldunku lekarskim stwierdzono natychmiastowy zgon w wyniku strzału z pistoletu w głowę z bliskiej odległości. Klatka piersiowa i płuca ofiary były wyjątkowo dobrze rozwinięte jak u śpiewaka. Na lewym udzie miał bliznę. Zdjęcie ukazywało zakryte ciało. Nogi nieboszczyka wystawały poza nosze. Na innych zdjęciach utrwalono mo-

ment oddawania majorowi księciu Zasławskiemu honorów wojskowych przez oddziały francuskie, polskie i Białych. Na jednej fotografii była trumna, którą następnie odesłano pod strażą wojskową do Francji.

W Polsce ogłoszono dzień żałoby dla uczczenia pamięci Stefana, ale księżna-wdowa Katarzyna nie uwierzyła w śmierć swego wnuka i nie zgodziła się na umieszczenie zwłok w grobie rodzinnym Zasławskich. Ze względu na szacunek, jakim darzono starszą panią, oraz spełniając prośbę krewnych Zasławskich, mieszkających w Polsce, Francji i Anglii, informacje na temat śledztwa w sprawie śmierci Stefana trzymano w tajemnicy i do prasy nie dostały się żadne sensacyjne szczegóły na ten temat.

Do raportu dołączony był list od generała Denikina. „Mój przyjaciel, generał Ruszky, został żywcem pogrzebany przez bolszewików. W tych okrutnych czasach nawet najbardziej szlachetni ludzie kończą w sposób haniebny. Proszę być wdzięczną losowi, że młody książę Stefan nie cierpiał długo. Rozesłałem jego rysopis do wszystkich dowódców oddziałów, ale obawiam się, że niniejszy raport trzeba uznać za ostateczny. Pozostaję zawsze do usług, Antoni Denikin”.

„Obawiam się, że niniejszy raport trzeba uznać za ostateczny” — napisał generał Denikin. Wsunęłam kartki z powrotem do koperty i siedziałam, wpatrując się w nią. Ten raport jest ostateczny, muszę się z tym pogodzić. Ale jak to zrobić i zachować zdrowe zmysły.

Drżącą ręką napisałam do generała kilka słów podziękowania. Potem wstałam i odwróciłam się tyłem do leżącego na biurku raportu. Jednak ta okropna scena ciągle stała mi przed oczami. Gdziekolwiek spojrzałam, czaiła się, by wynurzyć się z całą wyrazistością.

Minął dzień, zapadła noc. Wiera Kiryłowna zapukała do drzwi, lecz została odprawiona. Jak w transie rozebrałam się, wykapałam, wzięłam środek uspokajający i położyłam się do łóżka. Przyśniło mi się, że idę wiejską drogą. W pewnej chwili ujrzałam furmankę wiozącą jakieś pudła.

„Co tam

macie?" — spytałam woźnicę. Otworzył pudło. W środku były zwłoki pozbawione głowy.

Obudziłam się zrana zimnym potem, a kiedy znów usnęłam, ujrzałam we śnie grupę chłopów dźwigających worki. W pierwszej chwili wzięłam je za worki ze zbożem i kartoflami, ale gdy mężczyźni złożyli je u mych stóp, domyśliłam się, że są w nich cierpiące w milczeniu ofiary, którym przecięto struny głosowe. Znów obudziłam się przerażona; włosy miałam wilgotne od potu. Kiedy zmęczenie wzięło górę i znów się zdrzemnęłam, przyśniło mi się, że schodzę do szpitalnego magazynu. Znajdowały się w nim zabandażowane, poparzone, okaleczone ludzkie ciała, jeszcze bardziej zdeformowane od tych, które widywałam na jawie.

Wyczuwałam ich milczące błaganie. Poczułam się bezradna, beużyteczna, winna.

Usiadłam na łóżku zupełnie rozbudzona. Nocne koszmary były jeszcze okropniejsze od jawy! Mój umysł potrafił stworzyć obrazy o wiele bardziej makabryczne niż rzeczywistość — prawdziwa wojna i rewolucja razem wzięte!

Dziewczęcą moją wizję świata jako dołu kloaczego pod kwietnym kobiercem zastąpił znacznie gorszy obraz: widziałam świat jako ocean krwi, w którym tonie cała ludzkość...

Wstałam z łóżka, umyłam twarz zimną wodą w porcelanowej miednicy stojącej na toaletce. Przy świetle księżycy ujrzałam w lustrze odbicie udreżonej twarzy. Czy to naprawdę ja? — pomyślałam i w tej chwili mój wzrok padł na pistolet.

Wzięłam go do ręki, odciągnęłam kurek i pogładziłam lufę. Jeśli nie potrafię odpędzić nocnych majaków, nie będę mogła tak dłużej żyć! Dobrze wiedziałam, że samobójstwo oznacza wieczne potępienie, lecz w tej sytuacji lepsze to niż postradanie zmysłów!

Oparłam się łokciami o toaletkę i wolno podnosząc pistolet do ust, przyglądałam się sobie w lustrze. To szybka, pewna śmierć. I taka łatwa! Roztrzaskać sobie mózg od dołu, tak jak Stefkowi roztrzaskali od góry... Stefkowi...

Odłożyłam broń. Jak pięknie umarł, pomyślałam. Ze stoickim spokojem, jak prawdziwy książę! A skoro Stefek potrafił umrzeć tak cicho, do ostatniej chwili myśląc tylko o swych ludziach, czemu ja nie potrafię równie cicho żyć i zacząć myśleć o innych, a nie tylko o sobie? Śmierć Stefka powinna nauczyć mnie pokory, bym mogła docenić jego bohaterską ofiarę, godną naśladowania.

Poczułam głęboki spokój, wewnętrzne uciszenie i kojenie jak wtedy, gdy składano do grobu ojca. Zapragnęłam znaleźć się na dworze, spojrzeć na siebie z perspektywy jednej z wielu gwiazd, przypatrujących się memu cierpieniu. Zarzuciłam na' ramiona pelerynę — noce były już chłodne — wzięłam pistolet i zeszłam na werandę.

Oparłam się o balustradę i zaczęłam głęboko wdychać czyste, chłodne powietrze. Wtem spostrzegłam poruszającą się w dole czyjaś sylwetkę. Uniosłam pistolet...

— Tatiano Pietrowno, proszę nie strzelać — rozległ się znajomy głos i na schodkach pojawił się baron Niessen ze strzelbą pod pachą.

Z ulgą opuściłam broń.

— Baronie, co pan tu robi po nocy z karabinem? Owijając się szczelnie w zarzuconą na nocną koszulę pelerynę, usiadłam na najwyższym schodku.

Baron Niessen zdjął czapkę i usiadł trochę niżej, a karabin położył u swych stóp.

— Pełniłem wartę. Wczoraj złapaliśmy przebranego za kobietę szpiega Czerwonych. Przyjechał do Taganrogu, by panią śledzić. Bałem się, że bolszewicy mogą nasłać agentów, by panią zamordować lub porwać. Oni nie lubią, gdy ktoś im się wymknie z łap. A już najbardziej boją się, że ktoś mógłby tchnąć nowego ducha w ruch Białych i ich zjednoczyć.

— I niby to ja miałabym ich zjednoczyć?

— Czemu nie? Jest pani wyjątkową kobietą, Tatiano Pietrowno, księżniczką-rycerzem, jak pani antenatka Olga, która przybiła tarczę Ruryka do bram Konstantynopola.

Może pani poprowadzić naszą armię ku zwycięstwu! Czy nigdy nie marzyła pani o tym, by wpłynąć na bieg historii? Bo ja tak. Było to wtedy, gdy przygotowywaliśmy spisek, chcąc oswobodzić rodzinę naszego władcy.

— Ja też, gdy miałam dziesięć lat, wyobrażałam sobie, że zostanę drugą Joanną d'Arc. Ale, niestety, na próżno czekałam na objawienie.

— Cóż, może to i lepiej. Nie mógłbym patrzeć, jak palą panią na stosie. Nie potrafię również pogodzić się z pani wyjazdem z Rosji. — W głosie Niessena dosłyszałam niemą prośbę.

— Nie mam tu już nic więcej do roboty. A muszę coś zrobić. Podobnie jak Gienadij Rosłow muszę mieć zajęcie dla swoich rąk.

— Takie wspaniałe ręce! Nigdy nie zapomnę ich dotyku. Czy mogę? — Chwycił je i przycisnął do ust. A potem powiedział: — Taniu, szaleję za parną od czasu naszego wspólnego pobytu na daczce. W obecnej sytuacji rozmowa o małżeństwie nie ma sensu, ale proszę mi pozwolić panią kochać. Może obydwójce znajdziemy w swych ramionach jeśli nie zbawienie, to przynajmniej zapomnienie i wytchnienie. — Objął mnie i przytulił swą głowę do mej piersi.

— Mój Niessenku! — użyłam zdrobnienia, które nadała mu cesarska rodzina na „Standardzie”.

Gładząc go po włosach, wyczułam pod palcami zgrubienie po ranie, którą mu zszylałam. Czułam do niego sympatię. Czułam dziwne podniecenie i zmieszanie. Przy Aleksandrze nigdy nie byłam tak poruszona. Tak, chciałabym zapomnieć o nocnych koszmarach w tych silnych, męskich ramionach! Ale co potem?

Albo to będzie przelotny romans, albo zwiąże się z człowiekiem skazanym na potępienie tak jak ja. Dopiero straciłam jednego mężczyznę podobnie szlachetnego, dzielnego, namiętnego i młodego. Powinnam teraz raczej wybrać jego przeciwieństwo, czyli człowieka spokojnego, o umyśle nie zatrutym nacjonalizmem.

Przy Aleksandrze mogę sobie stworzyć świat pozbawiony nienawiści do innych czy nawet do siebie, świat „miłości rozumnej”, pełen spokoju i czułości.

— Niessenku, jestem bardzo wzruszona i przyznaję, że pociąga mnie taka perspektywa — powiedziałam. — Muszę jednak wracać do Konstantynopola. Jestem to winna profesorowi Holwegowi.

— Chyba nie ma pani zamiaru go poślubić? — spytał Niessen.

— Czemu nie?

— Przecież nie może pani tego zrobić! Różnicie się wiekiem, temperamentem, pochodzeniem. Czy chce pani za niego wyjść z wdzięczności?

— Nie tylko z wdzięczności. Tyle razem przeżyliśmy. Zna mnie lepiej niż ktokolwiek inny. Ufam mu.

— Ale go pani nie kocha! — Niessen chwycił mnie za ramiona i przyciągnął do siebie. — Taniu, mogę sprawić, byś mnie pokochała. Daj mi szansę. Choć raz! — Zaczął całować mnie w szyję.

Szybko się zorientował, że moje chwilowe zafascynowanie minęło bezpowrotnie.

— Proszę mi wybaczyć. — Zwolnił uścisk. — Życzę wam szczęścia, pani i Aleksandrowi Holwegowi. — Głos mu się załamał.

— Och, Niessenku! — Ogarnął mnie przejmujący smutek. — Nie Uczę na szczęście. To byłoby zarozumiałstwo z mojej strony. Wystarczy mi, gdy znajdę cel w życiu i spokój umysłu.

— W takim razie i tak będzie miała pani więcej szczęścia ode mnie. — Zarzucił strzelbę na ramię.

Nadchodził świt. Nagle poczułam zmęczenie. Zostawiłam barona na warcie i wróciłam na górę.

Kiedy rano zeszłam na śniadanie i normalnie przywitałam się z domownikami, zauważyłam, że wszyscy odetchnęli z ulgą. Spokojnie wręczyłam tajny raport Ł-M, który przy-

szedł z lordem Andrzejem, by spytać o moje samopoczucie. Poprosiłam, by oddał kopertę generałowi Denikinowi.

Wiera Kiriłowna nabrała odwagi, by zaproponować mi wspólną wyprawę do Anapy. W tej rybackiej wiosce nad Morzem Czarnym postanowiła wypocząć wraz z synami po sześciomiesięcznej ucieczce przez Kaukaz wielka księżna Maria Pawłowna. Stamtąd mieli podążać za armią Białych nacierającą na Moskwę.

— Moje drogie dziecko — przypomniała mi Wiera Kiriłowna, gdy okazałam się nieczuła na jej prośby — Jej Cesarska Wysokość jest nie tylko twoją chrzestną, ale należała również do najbliższych przyjaciółek Anny Władimirowny. Chociażby z tego względu powinnaś ją odwiedzić.

— Przede wszystkim winna jestem profesorowi Holwegowi jak najszybszy powrót do Konstantynopola. Możesz jej wytłumaczyć, że mój urlop w szpitalu już się skończył i musiałam wracać!

Wierze Kiriłownie aż odjęło mowę. Do czego to podobne, żeby przedkładać profesora Holwega nad członków rodziny cesarskiej! Kiedy w końcu odzyskała głos, oświadczyła:

— Cóż, skoro musisz... Proszę cię jednak, nie podejmuj żadnych pochopnych decyzji. Zaczekaj na mój powrót. Będę w Konstantynopolu za dziesięć dni.

Jeśli moja matka chrzestna zachowała dawne poczucie humoru mimo ciężkich przeżyć, których ostatnio doświadczyła, niezłą będzie miała zabawę, widząc, że Wiera Kiriłowna nic się nie zmieniła. W innej sytuacji z przyjemnością pojechałabym do Anapy, ale teraz pilno mi było do nowych obowiązków i nie chciałam zwlekać.

Ł-M i lord Andrzej odprowadzili mnie na statek.

— Niessen biedaczysko jest prawie załamany — wyjaśnił mój krewny. Poprosiłam go, by pomógł Siemionowi, gdyby zaszła taka potrzeba.

— Zrobię wszystko, co będę mógł, jeśli ewakuacja znów nie zmieni się w ogólny *sauve-qui-peut*, paniczną ucieczkę, jak to było wiosną w Odessie.



Resztę pieniędzy otrzymanych od Aleksandra zostawiłam Wierze Kiryłownie. Uścisnęłam Zinajdę Michajłówną i zalewającą się łzami gospodynię, nakazując Koleńce, by się nimi opiekował.

— Będzie nam ciebie brakowało, Taniu — powiedział lord Andrzej, kiedy ściskaliśmy sobie ręce na pożegnanie.

Wcale nie jest taki głupi, jak mi się wydawało podczas naszego pierwszego spotkania — czyżby to naprawdę było niespełna miesiąc temu? Ale ja też się zmieniłam, jeszcze bardziej niż on.

Nie oglądaj się, powiedziałam do siebie, gdy szłam przez trap. Już nigdy nie oglądaj się za siebie.

Jeszcze nigdy widok idealnie przystrzyżonej bródki Aleksandra nie sprawił mi takiej radości jak w dniu mego powrotu do Konstantynopola! Aleksander przyszedł do portu z bukietem róż. Był szczęśliwy. Widać było także, że jest zadowolony z nieobecności Wiery Kiryłowny. Zostałam swój bagaż w szpitalu i po raz pierwszy pozwoliłam się zabrać profesorowi do jego mieszkania w Galacie, gdzie niania powitała mnie łzami i pocałunkami.

— Bałam się, że nie wrócisz — powiedziała. — Bałam się, że wynajdziesz sobie jakiś inny powód, by tam zostać.

Aleksander zamówił w pobliskiej restauracji prawdziwą wschodnią ucztę. Potem zademonstrował trudną sztukę parzenia kawy po turecku. Podziwiałam precyzję jego ruchów.

— Byłby pan pierwszorzędnym chirurgiem, Aleksandrze. Zaprzeczył, by kiedykolwiek miał takie ambicje.

— Brałem jedynie kiedyś pod uwagę jako główne zajęcie grę na skrzypcach. Choć nigdy nie myślałem, że pewnego dnia będę się utrzymywał z gry w nocnym klubie! — Po chwili powiedział: — Tatiano Pietrowno, przygotowałem dla pani niespodziankę. Proszę to zostawić, sam posprzątam. Jeśli zostałbym dłużej w Konstantynopolu, musiałbym się chyba też nauczyć siedzieć na sofie ze skrzyżowanymi

nogami. Pani robi to z taką gracją, Tatiano Pietrowno.

— Nie mógł się na mnie napatrzeć.

Sprawiło mi przyjemność, że mnie obsługuje. To był mój ostatni dzień urlopu. Aleksandrowi za pomocą kilimów i innych ludowych przedmiotów udało się zupełnie zmienić nastrój pokoju. Mieszkanie urządzone było ze smakiem, zdradzało prawdziwy zmysł estetyczny właściciela. Podziwiałam je, tym bardziej że sama byłam pozbawiona takiego zmysłu.

Aleksander wrócił z kuchni, zdjął okulary i ujął skrzypce, by zagrać niespodziankę: *Chanconne* d-dur Bacha, którą ćwiczył podczas mojej nieobecności.

Znów, tak jak w nocnym klubie, wzruszyłam się do łez. Tylko że teraz, pod wpływem wysublimowanej muzyki Bacha, Aleksander panował nad swymi uczuciami. Wyobraziłam sobie rozgwieżdżone niebo nad stepem; z perspektywy gwiazd nasze ziemskie troski stawały się zupełnie nieistotne. Wszystko przeminie, pomyślałam, ale ta muzyka dotrze do najdalszych zakątków wszechświata, do samego źródła życia.

— Aleksandrze — powiedziałam, gdy usiadł obok mnie i znów nałożył na nos okulary — potrafi mnie pan poruszyć do głębi. Czuję się tu tak dobrze, daleka od wszystkich okropności i tragedii, które się tam rozgrywają. — Nie chciałam powiedzieć „w Rosji”.

— I tak powinno właśnie być. I tak będzie, jeśli mi tylko pani pozwoli... Tatiano Pietrowno... — Wstał i dotknął swej bródki. — Chciałem z tym poczekać, aż znajdziemy się w Paryżu, aż zdobędzie pani pozycję i niezależność, ale ta decyzja może pani pomóc przy staraniu się o wizę...

— Urwał, okrążył pokoik i ponownie stanął przede mną.

— Przed rewolucją nawet bym się nie ośmielił... wiem, że nie jestem przystojny ani zbyt młody... nigdy nie będę bogaty... ale mam nazwisko i przyszłość w swej dziedzinie... chciałem powiedzieć, że...

— Wiem, co chce pan powiedzieć, Aleksandrze spojrzałam na niego czule - i zgadzam się.

Przed wyjazdem do Paryża, gdzie obiecał znaleźć dla mnie i niani mieszkanie, Aleksander zaprowadził mnie do konsulatu francuskiego. Jako księżniczka Siłomirska musiałabym zająć miejsce w długiej kolejce rosyjskich uciekinierów pod drzwiami konsula. Porządku pilnował senegalski żołnierz uzbrojony w knut — nigdy nie widziałam tej okrutnej broni w Rosji. Jednak jako narzeczoną słynnego polskiego uczonego Aleksandra Holwega przyjęto mnie z prawdziwie francuską kurtuazją. Było to moje pierwsze zetknięcie się z dwoma aspektami francuskiej biurokracji: z jej bezwzględnością i elegancją.

Gorzej wypadły Aleksandrowi próby odszukania Fiodora. Przyjaciel z Leningradu napisał mu, że żaden człowiek odpowiadający rysopisowi Fiodora nie skontaktował się z nim. Przyjaciel żałował, że nie może nam pomóc. Zrozumieliśmy, że jest obserwowany. W chwili obecnej nic więcej nie mogliśmy zrobić.

W połowie października razem z nianią odprowadziłam Aleksandra na Orient Express. Profesor zapłacił z góry za swoje mieszkanie, by niania mogła w nim zostać (ja mieszkałam w szpitalu brytyjskim).

— Niech cię Pan Bóg pobłogosławi za twą dobroć, Aleksy Aleksiejewiczu — powiedziała staruszka, gdy ucałował ją trzy razy w policzki. — Kamień spadł mi z serca, bo wiem, że moja księżniczka będzie miała dobrego męża, który będzie ją kochał i szanował.

Jak łatwo niania zaakceptowała Aleksandra w roli mojego przyszłego męża, pomyślałam, jakby to było już dawno postanowione!

— Tatiano Pietrowno — powiedział Aleksander, ujmując moją rękę — zostawiam pani całkowitą swobodę, co do zmiany decyzji w sprawie naszych zaręczyn. Nie ma pani wobec mnie żadnych zobowiązań. Wstyd mi, że panią ponaglałem...

— Nie ponaglał mnie pan, Aleksandrze. — Jaki był spostrzegawczy i jak taktowny! — Jestem zbyt dumna

z mego pierścionka — położyłam lewą dłoń na jego rękę  
— by go oddać.

Ucałował mi ręce — zachowywał się równie poprawnie i oficjalnie po  
naszych zaręczynach jak przedtem — jego ciemne oczy błysnęły zza  
okularów. Po chwili wszedł po stopniach do wagonu drugiej klasy.

Niemal resztę pieniędzy zarobionych grą na skrzypcach w nocnym klubie  
wydał na mój pierścionek zaręczynowy — małą perełkę w złotej oprawie  
w kształcie liścia — i nie stać go było na podróż pierwszą klasą.

Zabrałam nianię z powrotem do Galaty. Martwiłam się, jak sobie poradzi  
sama wśród „pogan” (tak nazywała muzułmanów, Greków i Żydów), ale  
wkrótce problem rozwiązał się sam, gdy Wiera Kiryłowna przyjechała z  
Anapy.

Moja krewna bardzo się ucieszyła, że znalazła za darmo lokum dla siebie  
oraz kufrów i nawet wielkodusznie zaproponowała, że może dzielić pokój  
z nianią. Jednak staruszka w zupełności zadowalała się spaniem w  
kuchni.

Ulokowawszy Wierę Kiryłowną i wysłuchawszy szczegółowego  
sprawozdania z jej wizyty u Marii Pawłowny — „Jej Cesarska Wysokość  
tak się zmieniła, tak postarzała!” — powiedziała swym poważnym i  
pełnym czci głosem zarezerwowanym wyłącznie dla członków  
zdetronizowanej dynastii

— spytałam, jakie ma plany na przyszłość teraz, gdy się zaręczyłam.

— Zaręczyłaś się? — Pochłonięta własną opowieścią Wiera Kiryłowna  
nawet nie zauważyła pierścionka. — Chyba nie zgodziłaś się poślubić  
profesora Holwega?

— Właśnie za niego chcę wyjść za mąż. Wiera Kiryłowna wymownie  
wypięła pierś.

— Rozumiem. Wykorzystał moją nieobecność, by ci się oświadczyć. Nie  
rozumiem, jak miał czelność zrobić coś takiego. Nie ma pozycji, nie ma  
pieniędzy. Jego matka była żydowską praczką. Rodzina jego ojca  
wydziedziczyła go...

— Wiero Kiryłowno, muszę cię prosić, byś nie wyrażała się w sposób  
lekceważący o moim przyszłym mężu. Podziwiam go. Uratował mi życie.

— W pełni doceniam to, co uczynił dla ciebie profesor Holweg, moje drogie dziecko — odrzekła z godnością.

— Ale inni zrobiliby to samo, więc nie daje mu to żadnych specjalnych praw. Co więcej, muszę ci powiedzieć, że twoje małżeństwo z człowiekiem jego pochodzenia zostanie bardzo źle przyjęte — *serait mai vu.*

— Źle przyjęte przez kogo, Wiero Kiryłowno?

— Przez tych wszystkich rosyjskich uchodźców, którzy są ci oddani, którzy widzą w tobie nie tylko potomkinię Ruryków, ale kogoś, kto cieszył się wyjątkowym przywilejem pozostawania w bliskich stosunkach z zamordowaną rodziną naszego władcy... kogoś, kto był niemal siostrą dla jego zamordowanych córek, razem z ich bratem-carewiczem, na rozkaz tego Żyda Jurowskiego i z polecenia innego Żyda Swierdłowa — ludzi tak blisko związanych z bolszewizmem, że przeklinają ich wszyscy, którzy kochali naszego cara i jego rodzinę. — Wiera Kiryłowna splotła swe pulchne, wypiełgnowane dłonie i wyprostowana dumnie stanęła obok jedyne go, małego, zakończonego ostrym łukiem okna.

Ja też złożyłam ręce w dworskiej pozie, której sama mnie nauczyła, i powiedziałam:

— Uważam, że o wiele dotkliwiej przeżyłam ten okropny czyn, którego dopuszczono się wobec naszego władcy i jego dzieci, Wiero Kiryłowno, niż ktokolwiek spośród tych, którzy teraz obnoszą się ze swoją miłością i oddaniem. Wiesz równie dobrze jak ja, że ci sami ludzie bezlitośnie krytykowali Mikołaja i Aleksandrę i po ich abdykacji nawet nie ruszyli palcem, by ich ratować. Ci nieliczni, którzy rzeczywiście byli oddani carowi, albo już zginęli, albo walczą na śmierć i życie.

— Pomyślałam o baronie Niessenie i jego postać również przybrała tragiczny wymiar. — Zawdzięczam życie Aleksandrze Fiodorownie, która nie pozwoliła mi dzielić losu, który przewidywała dla siebie i swej rodziny.

Jeśli zaś chodzi o obarczanie odpowiedzialnością za zbrodnie bolszewizmu Żydów, uważam to za arogancję, Wiero Kiryłowno. Jedynie Bóg ma prawo sądzić ludzi. Żydzi

na południu Rosji już cierpią za to, podobnie zresztą jak wszystkie mniejszości narodowe, które utożsamia się z bolszewikami tylko dlatego, że ich nieliczni przedstawiciele popierają złą sprawę. I tylko Najwyższy Sędzia może ich osądzić, o czym na każdym kroku zapominamy na swą zgubę.

Tak, pomyślałam, za zbrodnie zrodzone w umyśle człowieka — bez względu na to, kiedy zostały popełnione — musi ostatecznie odpowiedzieć cały rodzaj ludzki.

Zakończyłam swoje pełne pasji przemówienie. Widząc, że Wiera Kiryłowna nie zabiera głosu, odezwałam się już znacznie spokojniejszym tonem:

— Jeśli chodzi o rzekomą dezaprobatę ze strony naszych rodaków-wygnańców mego małżeństwa z profesorem Holwegiem ze względu na pochodzenie jego matki, to po prostu absurd! Aleksander Holweg jest naukowcem o międzynarodowej sławie. Darzyli go przyjaźnią i szacunkiem wielki książę Konstanty i inni członkowie cesarskiej rodziny. Car miał o nim bardzo wysokie mniemanie. I gdyby nasz władca był tu teraz, pierwszy wyśmiałby twoje wygórowane ambicje. Kiedy go widziałam po raz ostatni, był pułkownikiem Romanowem i przekopywał ogródek warzywny. Wszyscy lepiej byśmy zrobili, gdybyśmy za jego przykładem zaczęli uprawiać ogródki warzywne, a nie pielęgnowali wciąż tytuły i hierarchie, które straciły jakiegokolwiek znaczenie!

Wiera Kiryłowna skłoniła głowę, dając do zrozumienia, że przyjęła naganę do wiadomości.

— Jak zwykle sprawiasz, że czuję się przy tobie mała i nieważna, moje drogie dziecko. My, wygnańcy, popełniamy błędy... jesteśmy przecież tylko ludźmi. Może robimy źle, trzymając się kurczowo tytułów i hierarchii, które ty uważasz za pozbawione znaczenia, ale to wszystko, co nam pozostało. Nie mamy po dwadzieścia dwa lata jak ty. Rozumiem, że ty możesz pragnąć zapomnieć, że byłaś księżniczką Siłomirską, ale my nie potrafimy. Zdaję sobie sprawę, że obarcza cię to pewną odpowiedzialnością i obowiązkami, które twoja babka, twój ojciec i nasz władca, twój chrzestny, spodziewali się, że weźmiesz na siebie.

Teraz z kolei ja musiałam skłonić głowę.

— Nie zapomnę, kim jestem, Wiero Kiryłowno, ani nie uchylę się przed obowiązkami względem naszych rodaków na obczyźnie. Obiecuję, że moje małżeństwo z profesorem Holwegiem nie przeszkodzi mi się z nich wywiązywać. Wybacz mi, że ci robiłam wymówki.

Hrabina Liline uśmiechnęła się macierzyńsko i wyciągnęła ręce, które ujęłam w swoje dłonie.

— Zasłużyłam sobie na nie, drogie dziecko. Proszę jednak, zanim wyznaczysz datę ślubu, byś jeszcze raz wszystko przemyślała, byś poczekała jeszcze parę miesięcy, aż całkowicie wydobrzejesz po ciężkich przeżyciach. Profesor Holweg jest dla ciebie teraz podporą, ale poza tym cóż macie ze sobą wspólnego? Pamiętaj, że małżeństwo to poważny krok, najważniejszy, jaki uczynisz w życiu. Zaręczyny zawsze jeszcze można zerwać. Rozwód jest znacznie poważniejszą sprawą. Mówię to ze swego doświadczenia. Jesteś wciąż jeszcze taka młoda i niewinna. Chcę, byś była szczęśliwa.

Zauważyłam, że jest szczerze poruszona. Objęłam ją. Czułam się jednak wystarczająco mądra i dojrzała, by śmiało zrobić ten najważniejszy krok w moim życiu.

Wiera Kiryłowna była zbyt delikatna, by otwarcie krytykować przy mnie Aleksandra. Bez względu na to, co myślała o nim w głębi serca, była zadowolona, gdy narzeczona Aleksandra Holwega zaprowadziła ją do francuskiego konsulatu jako swą ciotkę, oszczędzając jej poniżającego czekania w ogonku razem z innymi uchodźcami. Wśród nich znajdowali się ci sami egzaltowani członkowie naszej małej społeczności, których dezaprobaty wobec mego przyszłego związku tak obawiała się Wiera Kiryłowna. Był to przykład ironii losu, który od czasu do czasu urozmaicał naszą niewesołą egzystencję na wygnaniu.

Kiedy Wiera Kiryłowna wystąpiła o wizę francuską i wszystkie (wyjeżdżała także niania) po okazaniu paszportów bezpieczeństwa zarezerwowałyśmy sobie miejsca

na statku wypływającym pierwszego grudnia do Marsylii, nie pozostało nam już nic innego, jak tylko czekać.

Oczekiwanie tego nie ułatwiały przygnębiające wieści docierające z Rosji. Polacy, po powrocie ich delegacji z Ta-ganrogu, podpisali rozejm z bolszewikami, umożliwiając tym samym dywizjom Czerwonym, rozlokowanym na Podolu, zaatakowanie południowej flanki armii Białych. Jednocześnie na tyłach powstał Machno, zmuszając Denikina do wycofania części sił z frontu moskiewskiego. I tak, po zdobyciu Orła, będąc zaledwie sto wiorst od stolicy, Armia Ochotnicza, mająca niemal zwycięstwo w dłoni, zaczęła się wycofywać.

Również w październiku północno-zachodnia armia generała Judenicza zajęła Gaczną i znalazła się trzydzieści pięć wiorst od Piotrogradu. Nie mogąc jednak zdobyć linii kolejowej, nie mając poparcia floty brytyjskiej ani Estończyków, którym zależało jedynie na wzmocnieniu własnych granic, została również pokonana.

Na Syberii punkt zwrotny nastąpił 14 listopada, kiedy to bolszewicy zdobyli Omsk. Admirał Kołczak zmuszony został do odwrotu.

Rozpoczęła się wędrówka armii syberyjskich na Zabajkale.

Czesi zawzięcie bronili kolei transsyberyjskiej, koniecznie chcąc dotrzeć ze swymi olbrzymimi łupami do Władywostoku, zdecydowani pozwolić zginąć wszystkim: zarówno wojskowym, jak i cywilom. Uciekające oddziały Białych, nękane ze wszystkich stron przez wroga, przebyły ponad 3000 kilometrów przez zaśnieżoną tajgę i tundrę.

Nie mniej dramatyczna była ucieczka Kozaków uralskich i orenburskich przez stepy nadkaspjskie do Persji. Uciekały nie tylko armie, ale również rodziny żołnierzy i cała ludność, woląc śmierć niż dostanie się w ręce bolszewików.

Nie był to jeszcze kres tragedii Rosji. Wierzyłam natomiast, że moja niedola dobiega końca. Pierwszego grudnia 1919 roku bez żalu opuściłam Konstantynopol, mając wreszcie jakiś cel w życiu i wiedząc, że ktoś na mnie czeka.



Upłynęły prawie trzy lata od rosyjskiej rewolucji lutowej 1917 roku. To, co początkowo przypominało strumyczek emigrantów, przemieniło się w rzekę uchodźców. Na wschodzie płynęła ona do Charbinu w Mandżurii i Szanghaju w Chinach. Docierała nawet poprzez Władywostok do Stanów Zjednoczonych i Kanady. Na zachodzie, wypływając z Turcji i Rumunii, rozdzielała się na poszczególne stolice europejskie. Większość tej zachodniej fali zatrzymywała się na paryskim bruku, gdzie choć nie przyjmowano emigrantów z otwartymi ramionami, umożliwiono im stworzenie własnej kolonii z kościołami, szkołami i warunkami do kultywowania narodowych obyczajów.

Nie sądziłam, że pojawienie się 10 grudnia 1919 roku w Paryżu jeszcze jednej arystokratki-rozbitki może wywołać większe zainteresowanie. Tym bardziej byłam więc zdziwiona, gdy na Dworcu Liońskim, gdzie dotarłam z Marsylii wraz z Wierą Kiryłówną i nianią, powitali mnie przedstawiciele prasy.

— Kiedy ostatni raz widziała się pani z rodziną cara? Czy wierzy pani, by ktokolwiek z niej ocalał? Czy otrzymała pani Ust z Jekaterynburga od wielkiej księżniczki Tatiany? Czy zamierza pani opublikować pamiętniki swego ojca? Gdzie ukrywała się pani przed bolszewikami po rozstrzelaniu księcia Siłomirskiego? Czy ojciec pani brał udział w zabójstwie Rasputina? Czy w chwili aresztowania przez Sowietów maszerował na Piotrogród, by rozpedzić Rząd Tymczasowy?

Grad pytań i błyski fleszów oszołomiły mnie. Wysiadłam z naszego przedziału drugiej klasy. Ciągle miałam na sobie

uniform brytyjskiej pielęgniarki, który otrzymałam w szpitalu w Konstantynopolu. Bezradnie zaczęłam się rozglądać za Aleksandrem. Czemu nie wyszedł nam na spotkanie?

— Gdyby byli panowie tak dobrzy i nie mówili wszyscy naraz, messieurs, może Jej Księżęca Mość będzie mogła złożyć krótkie oświadczenie — odezwała się Wiera Kiryłowna, ku mej uldze.

Zapanowała cisza.

— Dziękuję wam, panowie dziennikarze, za zainteresowanie, na które nie wiem, czy zasługuję — zaczęłam niepewnym głosem. — Chciałabym wyrazić swoją wdzięczność rządowi Francji i narodowi francuskiemu za udzielenie mi i wielu naszym uchodźcom azylu. Co do pytań dotyczących mego ojca i zamordowanej rodziny naszego władcy, to przykro mi bardzo, ale nie mogę na nie teraz odpowiedzieć. Są nie tylko przykre, lecz również bolesne...

Dziennikarze sprawiali wrażenie speszonych, ale nie zamierzali mnie tak łatwo wypuścić ze swoich rąk.

— Wasza Wysokość, nie chcielibyśmy być niedyskretni, jednak czy nie zechciałaby pani powiedzieć nam...

— To wszystko, panowie. Bądźcie tak dobrzy i pozwólcie przejść Jej Wysokości — zdecydowanie przerwała im Wiera Kiryłowna.

Dziennikarze rozstąpili się, robiąc mi miejsce. Wtem rozległ się czyjś prowokacyjny głos:

— Czy to prawda, że książe Siłomirski przyznał, iż car przyjął nieprzejednaną postawę wobec zdarzeń w Sarajewie, co doprowadziło do wybuchu wojny światowej?

To wyzwanie, bez wątpienia ze strony jakiejś lewicowej gazety, spowodowało, że uniosłam głowę i powiedziałam:

— Mój ojciec, mimo że był źle traktowany, odmówił złożenia nieprawdziwych zeznań. To oszczerstwo, jak wiele innych...

Bałam się, że zemdleję. Wtem ujrzałam niskiego dżentelmena w czarnym meloniku, wymachującego laseczką i gniewnie błyskającego zza okularów bardzo czarnymi oczami.

— Jak panom nie wstyd? Proszę przepuścić księżniczkę!

— Aleksander wziął mnie pod ramię i szybko przeprowadził obok dziennikarzy. — Proszę się rozejść, proszę się rozejść, proszę zostawić księżniczkę w spokoju. Żadnej delikatności, ani odrobiny taktu, piękna rzecz ta wolna prasa! — mrucał pod nosem.

— Spóźniłem się przez korek uliczny — usprawiedliwił się, prowadząc mnie do taksówki, która przypominała weterankę z bitwy pod Marną. Usadowiłam się z Wierą Kiryłówną w zmurszałym wnętrzu auta, Aleksander i niania zajęli miejsca na składanych krzeselkach, a kufry Wiery Kiryłowny umieszczono na dachu i z tyłu sędziwego wehikułu. Mój niewielki bagaż oraz rzeczy niani — wśród nich kilimy i tureckie firanki — położono na przednim siedzeniu, obok kierowcy. Ruszyliśmy wzdłuż lewego brzegu Sekwany w stronę Passy, gdzie Aleksander znalazł dla nas mieszkanie. Sam zatrzymał się w pobliskim tanim hoteliku.

— Drogi panie profesorze, proszę się nie obawiać, nie będę długo korzystała z pańskiej gościnności — pośpieszyła z zapewnieniami Wiera Kiryłowna. — Natychmiast zacznę szukać pracy. Może sama nie potrafię wiele zrobić, ale bardzo dobrze umiem kierować innymi. A jeśli zajdzie potrzeba, mam dosyć środków, by nawet przez dłuższy czas zamieszkać w skromnym pensjonacie.

— Odwiedzimy kuzynów Zasławskich, Wiero Kiryłowno

— powiedziałam. — Powinni nam pomóc.

— Oczywiście, że powinna pani odwiedzić swych krewnych — zgodził się Aleksander. — Ale będzie pani miała niewiele czasu, Tatiano Pietrowno, na życie towarzyskie.

— Uwaga ta wyraźnie skierowana została pod adresem Wiery Kiryłowny. — Zaraz po naszym ślubie musi pani zacząć przygotowywać się do egzaminów dojrzałości, które są w lipcu. Jest to warunek zakwalifikowania się na studia uniwersyteckie. Znalazłem również wakujący etat pielęgniarki w prywatnej klinice chirurgicznej, prowadzonej przez

polskiego lekarza, niedaleko naszego mieszkania. Uwierzył mi na słowo, że posiada pani odpowiednie kwalifikacje.

— *Mon Dieu*, profesorze, proszę dać Tatianie Pietrownie nieco ochłonać

— odparła Wiera Kiryłowna. — Praca, nauka, ślub, wszystko naraz!

Przecież musi pan jej dać nieco czasu na przygotowania do ślubu, na zapowiedzi...

Natomiast ja się ucieszyłam, że wszystko zostało już ustalone i zdecydowane za mnie,

— Nie chcemy wystawnego ślubu, prawda, Aleksandrze?

— spytałam, wiedząc, że profesor nie znosi wszelkiej pompy.

— Pobierzemy się najszybciej, jak to tylko będzie możliwe, i bez rozgłosu.

— Nic nie sprawi mi większej radości, Tatiano Pietrow-no — odrzekł mój narzeczony i przez resztę drogi siedział rozpromieniony.

Mieszkanie, które mieliśmy zajmować po ślubie, składało się z pokoju stołowego, kuchni, łazienki, sypialni i oddzielnego *cabinet de toilette* z hałaśliwą instalacją kanalizacyjną. Okna mieszkania wychodziły na podwórze z platanem.

— Zdecydowałem się ze względu na ten platan — powiedział zażenowany Aleksander. — Kiedy na wiosnę obsypie się liśćmi, będzie prześliczny. A w przyszłym roku, gdy uzyskam katedrę na *College de France*, którą mi prawie obiecano, będziemy się mogli przeprowadzić do większego mieszkania. W chwili obecnej, przy mojej pensji, to wszystko, na co mnie stać.

— Dokonał pan dobrego wyboru, Aleksandrze — pochwaliłam go.

— Niania może spać tutaj — wskazał otomanę w pokoju stołowym. — A pani już od jutra może zacząć grać — po-stukał stojącego naprzeciwko kanapy Pleyela — z tym — wskazał metronom — i tym — otworzył zeszyt z nutami.

— Etiudy Czernego, coś strasznego!

Poczułam się jak uczennica posłuszna swemu nauczycielowi. A więc tak będzie wyglądało życie żony Holwega,

pomyślałam, przynajmniej do czasu aż sama nie zacznę pracować zawodowo. Cóż, zawsze byłam prymuską. A życie uczennicy było znacznie łatwiejsze i bezpieczniejsze niż wzbudzająca strach egzystencja ludzi dorosłych.

W następnym tygodniu razem z Aleksandrem złożyłam papiery w urzędzie stanu cywilnego. Z obawy przed prasą przekupiliśmy urzędnika, by nie ogłosił zapowiedzi. Nasze małżeństwo miało zostać zawarte szybko i potajemnie.

Aleksander pomógł mi również uzyskać dowód tożsamości i pozwolenie na pracę. Potem odbyłam rozmowę z polskim chirurgiem, o którym wspomniał Aleksander, i od 1 stycznia zostałam zatrudniona w jego klinice na pół nocnej zmiany. Miałam się opiekować poważnymi przypadkami pooperacyjnymi.

Dzięki kilimom i zasłonom mieszkanie zrobiło się przytulniejsze. Jeśli chodzi o Wierę Kiryłownę, znalazła pracę jako dama do towarzystwa pani Williamson, bogatej amerykańskiej wdowy, która wynajmowała przez zimę, podczas nieobecności właścicieli, miejską rezydencję Zasławskich. Ucieszyło mnie, gdy wybrawszy się z Wierą Kiryłowną do *hotel particulier* Zasławskich we Fauborg St. Germain, okazało się, że moi krewni wyjechali do swego domu w Biarritz.

Wystarczająco silnym przeżyciem było znalezienie się na zaproszenie pani Williamson w znanych mi, luksusowo i ze smakiem urządzonej wnętrzach mego dzieciństwa. Nie zniósłabym, gdybym musiała jeszcze rozmawiać o śmierci wuja Stacha, ciotki Zofii i Stefana.

Strach przed przeszłością sprawił, że poprosiłam Wierę Kiryłownę, by udała się zamiast mnie na Quai d'Orsay do francuskiego Ministerstwa Spraw Zagranicznych z listem, w którym prosiłam o zwrot pamiątek ojca i listów Tatiany Nikołajewny, powierzonych urzędnikom ambasady francuskiej tuż przed ich wyjazdem z Petersburga. Kiedy dostarczono mi zalakowaną paczkę, bez otwierania oddałam ją Aleksandrowi do przechowania w laboratoryjnym sejfie.

W niespełna dwa tygodnie po moim przyjeździe do Paryża, 22 grudnia 1919 roku, w urzędzie stanu cywilnego w Passy odbył się nasz ślub cywilny. Za pieniądze uzyskane ze sprzedaży resztek mej biżuterii Wiera Kiryłowna kupiła mi krótką, elegancką sukienkę z białej krepy, żakiet obszyty lisami oraz atłasowe, z wąskimi noskami pantofelki, które mnie niemiłosiernie uwierały. Wiera Kiryłowna była też naszym świadkiem, drugim był kolega Aleksandra, naukowiec z Instytutu. Niania została w domu, by poczynić jakieś tajemnicze przygotowania. Ku rozczarowaniu pani Williamson, nie skorzystaliśmy z Aleksandrem z jej uprzejmej propozycji urządzenia nam przyjęcia. Ale przyjęliśmy jej zaproszenie na obiad do Maxima.

Aleksander przewyciężył swą nerwowość i zabawiał naszą podochoconą gospodynię zasłyszanyymi w Konstantynopolu opowiadaniem o ludowym bohaterze Bliskiego Wschodu, Hodży.

— Och, moja najdroższa księżniczko, pani mąż to najmądrzejszy, najbardziej dowcipny mężczyzna, jakiego kiedykolwiek spotkałam! — oświadczyła pani Williamson, a policzki trzęsły się jej od śmiechu. Ja również byłam pod jego wrażeniem. Aleksander krył w sobie tyle zupełnie niespodziewanych cech!

Szofer pani Williamson odstawił swą amerykańską panią i jej nową rosyjską damę do towarzystwa, Wierę Kiryłownę, do domu, po czym odwiózł nas do naszego mieszkania.

Teraz niania objęła dowództwo. Najpierw wysłała mego męża do łazienki, by się przygotował. Kiedy się pojawił, uczesany i pachnący, bez okularów, w piżamie i jedwabnym szlafroku kupionym za dodatkowe pieniądze, które zarobił grając na skrzypcach w rosyjskiej restauracji, poprosiła, by zaczekał w pokoju stołowym, póki go nie zawoła.

W sypialni unosił się zapach kadzidła; niania sprowadziła popa, by pobłogosławił pokój panny młodej. Łóżko wyglądało niezwykle okazale, zaślane ozdobionymi monogramem prześcieradłami i atłasową puchową kołdrą, którą

niania wiozła aż z Ałupki, oraz dwiema puchowymi poduszkami — dla nas, uchodźców, był to niesłychany luksus! Kiedy tak patrzyłam na to łoże, uświadomiłam sobie, jak poważny krok uczyniłam!

Oszołomiona, na polecenie niani, wykąpałam się i włożyłam białą, jedwabną koszulę nocną, którą osobiście wybrała Wiera Kiryłowna, tak jak i resztę mej wyprawy. Potem niania wyszczotkowała mi włosy.

— Nianiu... — chwyciłam ją za rękę. — Nianiu, co ja najlepszego zrobiłam? Aleksander jest mi bardzo drogi i bliski jako przyjaciel, nauczyciel, obrońca, ale ja go nie kocham. Jak mogę być jego żoną?

— Nie bój się, moja duszko. Twój mąż kocha cię za dwoje. Będzie wiedział, co zrobić, byś z czasem ty też go pokochała.

— Nianiu, nianiu — ciągnęłam, nie słuchając jej — miałam wziąć ślub w kaplicy pałacu Zasławskich, miała to być piękna i podniosła uroczystość, wszystkie dzwony w powiecie miały dzwonić, córki naszego władcy miały być mymi druhnami...

— Lepiej, że stało się tak, jak się stało, i że twoje prochy nie leżą gdzieś w syberyjskiej tajdze jak ich.

— Wcale nie lepiej, tylko gorzej, znacznie gorzej!

— To grzech tak myśleć — powiedziała moja stara niania. — Uklęknij i proś Boga o przebaczenie, inaczej pokarze cię bezpłodnością.

Uklękłam przed moją jedyną ikoną Matki z Dzieciątkiem, lekko oświetloną czerwonym blaskiem *lampady*. Ale nawet gdy mówiłam pacierz i pobożnie się zęgałam, pilnie obserwowana przez nianię, przed oczami widziałam straszną postać Stefana.

Przecież nie żyjesz, Stefku, mój panie, mój księciu-ryce-rzu, powiedziała do stojącej przede mną zjawy. Sępy wydziobały ci bursztynowe oczy. Ich wstrętne dzioby pożywiały się twymi aksamitnymi ustami, które całowałam. Czemu wstałeś z grobu, by mnie dziś dręczyć? Czy już przez

całe życie będziesz mnie prześladował? Czy to grzech, że zwróciłam się do człowieka, który mnie będzie kochał i ochraniał, skoro zabrakło ciebie?

A piękny głos mego kuzyna odpowiedział mi: Nie upłynął jeszcze rok od mojej śmierci, a już zapomniałaś o przysiędze. Jesteś gotowa leżeć w ramionach innego mężczyzny, dać mu to, co należy się mnie. Nie kochasz tego człowieka i oszukujesz go, tak jak oszukałaś mnie. Nie, nie zostawię cię w spokoju, póki nie znienawidzisz tego mężczyzny, którego nazywasz swym mężem, i dzieci, które mu urodzisz, sprzeniewierzywszy się naszej miłości.

Ukryłam twarz w dłoniach i skuliłam się obok łóżka.

— Nianiu — objęłam ją za nogi — miej litość, powiedz Aleksandrowi, że źle się czuję.

Niania nie chciała nawet o tym słyszeć. Położyła mnie do łóżka, wygładziła kołdrę, pobłogosławiła i otworzywszy na całą szerokość drzwi, oświadczyła Aleksandrowi uroczystym tonem, że jego oblubienica czeka.

Nie wszedł od razu, tylko zaczął nerwowo krążyć po pokoju. W pewnej chwili zapytał:

— Jak myślisz, nianiu, czy nie powinienem zgolić brody? Może Tatiana Pietrowna, moja żona, nie lubi brodatych mężczyzn?

— Jeśli się jej podobasz, to twoja broda nie ma żadnego znaczenia, a jeśli nie, to nawet jak ją zgolisz, to i tak nic to nie pomoże — odparła niania.

Zapanowała cisza. Potem mój mąż spytał:

— Nianiu, nie miałem czasu porozmawiać o tym z moją żoną. Jak myślisz, czy chce mieć dzieci?

— A czyż nie po to wzięłaś ją za żonę, by mieć z nią dzieci? Co, jeśli nie dziecko, przywróci uśmiech na jej twarz i radość w jej smutnych oczach? No, Aleksy Aleksiejewiczu, idź już do niej i niech Bóg pobłogosławi was dziś synem.

Po początkowej panice z łatwością zaakceptowałam obowiązki małżeńskie. Aleksander zdobył mnie swą czułością



i mądrością w tych sprawach, jak również porywcznością i romantyzmem, które poznałam już z jego cygańskiego sposobu gry na skrzypcach. Choć nie doznawałam szalonych uniesień, jak to sobie kiedyś wyobrażałam, snując marzenia o przyszłym życiu ze Stefanem, znajdowałam jednak słodkie pocieszenie w bliskości fizycznej, potwierdzenie miłości i troski żywego człowieka w przeciwieństwie do obojętności i chłodu umarłych. Dwa miesiące po ślubie oznajmiłam swemu mężowi, że koło pierwszego października 1920 roku spodziewam się dziecka. Aleksander był tym mocno poruszony. Natychmiast załatwił sobie trzecią posadę: zatrudnił się jako konsultant w firmie chemicznej, bym mogła porzucić nocne dyżury w klinice. Z przyjemnością to uczyniłam. Ale w czwartym miesiącu ciąży zaczęłam się tak dobrze czuć, że utrzymywanie porządku w naszym mieszkanku, przygotowywanie skromnych posiłków, granie na pianinie i przygotowywanie się do egzaminu dojrzałości nie pochłaniało całej mojej energii. Zaczęłam się rozglądać za jakimś zajęciem. Wiosną 1920 roku bolszewicy rozgromili południową armię Białych generała Denikina. Wszyscy, prócz resztek oddziałów walczących pod generałem Wranglem, uciekli do Rumunii. Jeszcze wcześniej, bo w lutym, admirał Kołczak, zdradzony przez swych dawniejszych sojuszników Czechów, został wydany bolszewikom i rozstrzelany. Generał Judenicz i jego północno-zachodnia armia schronili się w Estonii, gdzie zostali internowani przez Estończyków, byłych sprzymierzeńców. Rozproszone na północy Rosji niedobitki Białych wsiadły w marcu na statki korpusu ekspedycyjnego aliantów, rezygnując tym samym z nierealnego zamiaru okrążenia bolszewików. Interwencja zagraniczna od początku prowadzona bez entuzjazmu załamała się w wyniku zmęczenia wojną, braku zaufania do ruchu Białych i niedoceniania ekspansjonistycznych zapędów Sowietów. Osamotniony generał Wrangel wciąż otrzymywał francuskie wsparcie ze względu na sojusznika Francji, Polskę, która po

trzymiesięcznym zawieszeniu broni wznowiła zaczepne działania i obecnie toczyła ze swym wschodnim sąsiadem regularną wojnę. Odwrót Białych spowodował napływ kolejnej fali uciekinierów do Francji. Przyjechały między innymi wielka księżna Maria Pawłowna, która wkrótce zmarła. Wymizerowana i jeszcze bardziej nieśmiała Zinajda Michajłowna oraz niepoprawny Koleńka również znaleźli się na paryskim bruku podobnie jak mój krewniak Ł-M, który cudem uniknął internowania w Rumunii. Mniej szczęścia mieli moi gospodarze z Taganrogu. Ponaglani przez Koleńkę do wyjazdu ociągali się z decyzją, ponieważ czekali na realizację kontraktu na zboże. Koleńka przypuszczał, że ugrzęźli w Taganrogu wraz z tysiącami innych uciekinierów. Na każdego uciekiniera, który bezpiecznie dobił do jakiegś przystani, przypadała więcej niż jedna osoba pochłonięta przez falę Czerwonych.

Wśród tych, którzy pozostali, był również Siemion. Został on ordynansem barona Niessena. Baron, jak można się było spodziewać, przyłączył się do straceńców Wrangla.

— Jestem pewien, że Niessen i Siemion w kółko o tobie mówią — powiedział Ł-M, który przyniósł mi te nowiny. — Obaj znajdują w tym pociechę. — Spojrzał na mnie swymi ładnymi, bizantyjskimi oczami, w których dostrzec można było obiektywizm osoby obserwującej ludzką tragikomedie spoza ziemskiej perspektywy.

Nie można było uciec przed przeszłością. Dotrzymując słowa danego Wierze Kiryłownie, że nie zapomnę o swych obowiązkach wobec rosyjskiej kolonii, postanowiłam utworzyć centrum informacji i pomocy dla uchodźców. Wiera Kiryłowna entuzjastycznie poparła mój pomysł i już w połowie maja rozpoczął swoją działalność Ośrodek Uchodźców Rosyjskich. Mieścił się w rezydencji w Passy, udostępnionej nam przez rosyjską żonę francuskiego przemysłowca. Takie były skromne początki Fundacji Siłomirskich. Poza tym, co uczynili dla niej tacy jej zwolennicy jak pani Williamson i inni hojni Amerykanie, sukces swój w znacznym stopniu

zawdzięczała Wierze Kiryłownie. Mimo wielu wad mojej krewnej nikt nie mógł jej dorównać w „pociąganiu za właściwe sznurki”, gdy należało coś załatwić.

Przekonałam się również, że w paryskim *beau monde* madame Holweg wywoływała jedynie grzeczne zainteresowanie, podczas gdy przed księżną Siłomirską drzwi domów osób majątnych i wpływowych stały otworem. Zaczęłam podchodzić do tego bardzo cynicznie i im mniej znaczenia przywiązywałam do swojej poprzedniej pozycji, tym bardziej bezczelnie wykorzystywałam ją teraz, by pomóc naszej sprawie. Z tego względu kazałam umieścić swoje panięńskie nazwisko na papeterii, której używałam jako prezeska Ośrodka.

Wkrótce, mimo początkowych obiekcji mego męża, wszystkie popołudnia spędzałam w swym biurze. Dalej słuchałam się Aleksandra, gdy chodziło o sprawę dalszych moich studiów lub o brzdąkanie na pianinie, ale kiedy w grę wchodziło to, co Wiera Kiryłowna górnolotnie określała „naszym obowiązkiem wobec rodaków na wygnaniu”, moje przekonania moralne okazywały się silniejsze od jego autorytetu intelektualnego. Zrezygnowany pogodził się z istnieniem ośrodka i z wciąż powiększającym się kręgiem naszych przyjaciół, wśród których byli wiecznie głodni samotni emigranci w rodzaju Ł-M.

Aleksander zrezygnował również z prób nauczenia mnie „podstaw ekonomii”, które okazały się dla mnie trudniejsze od dwumianu Newtona. (Jak możesz mówić, Tatiano Piet-rowno, że rozwinięcie dwumianu to nudziarstwo? — nie potrafił ukryć oburzenia mój mąż. — Przecież ma on nieskończoną liczbę możliwości!). Wziął na siebie obowiązki zarabiania pieniędzy i robienia zakupów — oszczędzał, by sprowadzić z Polski swą matkę i dawał mi jedynie parę franków na popołudniową gazetę i taksówkę, gdybym miała ochotę z niej skorzystać. Wolałam jednak chodzić piechotą, a monety wędrowały do czapki beznogiego *grand blesse de guerre*, siedzącego na desce, do której przymocowano kółka.

Bez względu na to, ile miałam zajęć, zawsze pilnowałam, by mój mąż odpowiednio się odżywiał i wypoczywał. Po kolacji przynosiłam mu herbatę, starałam się zrozumieć, nad czym pracuje. Akompaniowałam mu na pianinie, gdy grał na skrzypcach. Z jednej strony traktowałam go jak wielkiego uczonego, z drugiej zaś jak ekscentrycznego, ukochanego wujaszka. Nie będąc namiętną kochanką, starałam się być przynajmniej czułą żoną w łóżku. Wywoływało to coraz częściej zdumiewająco młodzięczy uśmiech na twarzy Aleksandra.

— Myślałem, że ogień w moich żyłach już zgasł — mawiał. —

Tymczasem sprawiłaś, Tatiano Pietrowno, że znów poczułem się młodo. Mam pełno nowych, naukowych pomysłów. — I zaczynał mi tłumaczyć — chodząc wokół łóżka, podczas gdy ja piłam poranną czekoladę — zasady nowej teorii fizyki i chemii atomowej powstałej w związku z odkryciem radioaktywności.

Według tej teorii atom posiadał olbrzymią energię. Jądro i elektrony wokół niego obracały się niczym ziemia i galaktyki.

— Widzisz, Tatiano Pietrowno, wiemy teraz, że nie istnieje ciało stałe w pełnym tego słowa znaczeniu. Wszystko jest w ciągłym ruchu. Wszystko się rozprzestrzenia. Świat podlega ciągłym zmianom. Jest to koncepcja równie rewolucyjna jak kopernikowska teoria budowy wszechświata i będzie miała równie wielki wpływ na życie ludzi. Kto wie, może uzmysłowi człowiekowi, że jest jedyną myślącą istotą na świecie, niepowtarzalnym tworem w układzie słonecznym, a może i w całym wszechświecie, i że jego najważniejszym obowiązkiem jest zachowanie i pielęgnowanie gatunku oraz środowiska. — Wziął ode mnie pustą filiżankę, spojrzał z dumą i radością na mój wydatny brzuch. — Być może już nasze dziecko, Tatiano Pietrowno, dożyje tej chwili!

— Pragnę tego bardziej niż czegokolwiek! — Tylko, pomyślałam, jeśli do takiej zmiany ma dojść w wyniku rewolucji naukowej, potrzebne będzie również odpowiednie przekształcenie ludzkiego charakteru.

Aleksander z wyjątkiem chwil zapomnienia, w dalszym ciągu zwracał się do mnie per „Tatiano Pietrowno”, a ja używałam francuskiej formy *vous*. Zasady, według których zostałam wychowana, pozostawiły niezatarty ślad. Na szczęście Aleksander był zarazem i drobiazgowy, i powściągliwy.

Ja z kolei zawsze wcześniej od niego wstawałam i ubierałam się, nie pokazując mu nigdy w szlafroku i rannych pantoflach poza „apartamentami prywatnymi”, jak nazywał naszą sypialnię. Podczas gdy ja oczekiwałam od niego przestrzegania w naszym małym mieszkanku zasad dworskiej etykiety, on wymagał ode mnie przykładania się do nauki i regularnego ćwiczenia gry na pianinie. Wiedział, kiedy upierać się przy swoim, a kiedy może mi ustąpić. Uważałam się za osobę szczęśliwą. Tylko czasami, kiedy unosiłam wzrok znad podręczników i spoglądałam na pokryty liśćmi plantan, ogarniała mnie przemożna chęć pogalopowania obok Stefka przez lasy Zasławic, za ujadającą sforą psów... Pewnego pięknego dnia pod koniec maja, gdy platany i kasztany obsypane były kwieciami, wstąpiłam jak zwykle w drodze do domu z Ośrodka Uchodźców Rosyjskich do trafiki na rogu naszej ulicy po południową gazetę. Po spacerze poczułam wilczy głód. Zakręciło mi się w głowie, aż musiałam się oprzeć o ladę.

Siedząca w kasie właścicielka była tęgą kobietą z małymi kolczykami w uszach. Zawsze miała na sobie gruby, szary sweter i zazwyczaj robiła coś na drutach z szarej, grubej wełny. Ostatnio jednak zabrała się do dziergania czegoś z miękkiej, niebieskiej włóczki dla *la petite dame russe*, jak mnie nazywała.

Właścicielka zadała mi pytanie, dotyczące podmiotu jej dziergania.

— *Alors, la petite dame, U va bien, le petit?*

— Zdaje mi się, że jest głodny — odpowiedziałam. Czułam, jak dziecko kopie w moim brzuchu.

— W takim razie trzeba mu dać coś do jedzenia.

— Położyła na gazecie owinięte w cynfolię czekoladowe *bouchee*. —  
Proszę, to dla niego. A to pani gazeta. Zdaje się, że wojna przybrała zły  
obrót dla Polski.

Obaj z Aleksandrem pilnie śledziliśmy przebieg konfliktu  
polsko-radzieckiego. Zuchwałe zdobycie Kijowa przez Polaków na  
początku miesiąca ożywiło ducha w szeregach Armii Czerwonej, która z  
całą furją i impetem zaatakowała najeźdźców.

Spojrzałam na tytuł.

„POLACY SIĘ WYCOFUJĄ” — przeczytałam, a zaraz poniżej równie  
dużymi literami było napisane: „STEFAN ZASŁAWSKI ŻYJE”.

— *Ma petite dame*, co się stało, źle się pani czuje?

— usłyszałam głos właścicielki.

Kiedy się ocknęłam, leżałam na wysypanej trocinami kamiennej  
posadzce. Właścicielka trafiki klęczała obok mnie, klepiąc mnie po  
policzkach i tłumacząc klientom:

— Była głodna. To wszystko przez ten jest stan. Trzeba ją zabrać do  
domu. Jej mężem jest *Monsieur le professeur Auheg*, mieszkają *au numer  
o 27 bis*.

— *Ah oui, les russes* — odezwali się ze współczuciem gapie.

Taksówkarz z pobliskiego postoju zaoferował swe usługi.

Do samochodu wnieśli mnie dwaj robotnicy, którzy w kafejce obok pili  
aperitif. Towarzyszyła im właścicielka trafiki. Dotarliśmy do kamienicy,  
w której mieszkałam. Niestety, byłam zbyt słaba, by pokonać trzy  
kondygnacje stromych schodów. Taksówkarz i dozorczyńni zrobili  
siodełko z rąk i zanieśli mnie na górę, gdzie niania powitała ich potokiem  
rosyjskich przekleństw. Taksówkarz się ulotnił, nie chciał nawet  
pieniędzy za kurs. Właścicielka sklepiku została, by czuwać nade mną do  
powrotu Aleksandra, po którego zadzwoniła do laboratorium.

— To przez ten głód, to przez jej stan powtarzała w kółko.

— To przez to bezsensowne przepracowywanie się, któremu od początku byłem przeciwny — zaczął wykrzykiwać Aleksander, kiedy kobieta już wyszła. Chodził wzdłuż otomany w pokoju stołowym, na której leżałam.

— Domagam się, Tatiano Pietrowno, byś natychmiast przestała pracować w Ośrodku. Porozmawiam z twoim lekarzem. Nie znasz umiaru, w ogóle brak ci zdrowego rozsądku. Nie mogę cię ani na chwilę spuszczać z oczu. W tym stanie nie powinnaś wychodzić na miasto.

Cóż za śmieszny, mały złośnik z niego, pomyślałam, patrząc na Aleksandra. I czemu tak krzyczy? A głośno powiedziałam:

— Aleksandrze, proszę, ścisz głos. Okno otwarte. Usiadł na otomanie obok mnie i ujął mnie za rękę.

— Tatiano Pietrowno, moja najdroższa, wybacz mi moje szorstkie zachowanie, ale tak się o ciebie martwię. Lepiej się czujesz? A może wezwać lekarza?

— Nie, nie trzeba... Przyniosłeś gazetę?

— Zwykle ty ją kupujesz, Tatiano Pietrowno.

— Gdy wstąpiłam po nią, dostałam tego... tego ataku głodu. Ciekawa jestem, jakie są doniesienia z Polski.

— Zaraz zejdę i kupię gazetę. Nie, nie ruszaj się. Przygotuję kolację. Albo jeszcze lepiej zamówię w restauracji na wynos. Na co masz ochotę, Tatiano Pietrowno, na piezzonego kurczaka czy na befsztyk? — Odkąd byłam w ciąży, bardzo się interesowałam jedzeniem, teraz jednak odpowiedziałam z rozdrażnieniem:

— Wszystko jedno... proszę, idź już! Wrócił niezwykle podniecony.

— Tatiano Pietrowno, przynoszę wiadomość, od której od razu poczujesz się lepiej! Wyobraź sobie, że twój kuzyn Stefan Zasławski żyje, został odnaleziony przez polskie oddziały w chłopskiej chacie na Ukrainie. Cała Polska świętuje z tej okazji. Wjechał do Lublina na czele ułanów zasławskich! Tłumy niemal ściągnęły go z konia. O, tu są zdjęcia. Usiadł obok mnie i rozłożył gazetę.

Choć widziałam wszystko jak przez mgłę, rozpoznałam wysokiego kawalerzystę w polskiej rogatywce na czele kolumny ułanów na zatłoczonej ulicy udekorowanej flagami. Dziewczęta wznosiły ku niemu ręce. Na innym zdjęciu ten sam wysoki oficer przemawiał z trybuny ozdobionej polskim sztandarem, na kolejnym przyklęknął, by objąć dowództwo nad ułanami zasławskimi i przyjąć sztandar pułkowy z rąk marszałka Piłsudskiego, naczelnika państwa polskiego.

— Tatiano Pietrowno, nie cieszysz się? — spytał Aleksander, gdy milczałam.

— Oczywiście, że się cieszę. Ale to takie dziwne, że aż trudno mi uwierzyć. Byłam pewna, że zginął. Przeczytałam raport o jego śmierci. Widziałam zdjęcia jego zwłok. Wiesz, że byłam przekonana, iż nie żyje — powtarzałam.

— Wszyscy tak sądzili. Nie wyjawiał, co robił podczas tych szesnastu miesięcy, gdy się ukrywał. Może powie tobie, kiedy się spotkacie.

— Mnie? Czemu miałby powiedzieć akurat mnie? Czemu w ogóle pomyślałaś, że się spotkamy?

— A czemużby nie? Sama mi mówiłaś, że był ci bliski jak brat. Czemu zachowujesz się tak dziwnie, Tatiano Pietrowno? Sprawiasz wrażenie, jakbyś była zła, a nie zadowolona z tego, że twój kuzyn żyje.

Ostatnie zdanie powiedział po rosyjsku i niania, która podniosła gazetę i przyglądała się zdjęciom na pierwszej stronie, odezwała się:

— To wszystko przez jej stan, Aleksy Aleksiejewiczu. Kobieta w jej stanie ma prawo dziwnie się zachowywać. Nie martw się, jak coś zje, poczuje się lepiej.

— Zaraz przyniosą kolację. Nakryję do stołu — powiedział Aleksander. Zaproponowałam, że sama nakryję, wstałam z kanapy, ale wszystko robiłam źle. Mój mąż obserwował mnie z uśmiechem. Był najwyraźniej wzruszony, widząc mnie tak osłabioną, rozkapryszoną i niezdarnie się poruszającą.

Czemu patrzysz na mnie tak czule? — pomyślałam. Czemu nie jesteś okrutny i nieprzyjemny, bym miała powód cię znienawidzić?



Rozłożyłam sztucce do ryby. Objął mnie ramieniem i ujął dłoń, w której trzymałam nóż do ryb.

— Tatiano Pietrowno, przecież mówiłem, że zamówiłem befsztyk.

Odskokczyłam jak oparzona.

— Wiesz, że nie znoszę takiej poufałości, Aleksandrze — zwróciłam mu uwagę. — Nie jestem głodna — stwierdziłam i wybiegłam do sypialni. Po paru minutach zastukała niania i weszła do środka. Siedziałam przy toalecie, z nienawiścią wpatrując się w swoje odbicie w lustrze.

— Możesz mówić, co chcesz, możesz krzyczeć i robić mi wymówki, ale i tak go nienawidzę, nie mogę znieść dotyku jego rąk. Jego głos wyprowadza mnie z równowagi. Irytuje mnie wszystko, co robi. Nic na to nie poradzę, to silniejsze ode mnie. — Powitałam nianię tyradą. — A do tego wszystkiego człowiek, którego tak nienawidzę, jest moim mężem. Nie mogłam się wprost doczekać, kiedy za niego wyjdę. Nie chciałam słuchać Wiery Kiryłowny. A teraz jestem w ciąży i już jest za późno. Co się stało, to się nie odstanie. Będę miała dziecko z tym obcym mi człowiekiem, a jeśli to będzie chłopczyk, będzie to także obcy mi syn tego człowieka.

— Biedne dziecko — rzekła smutno niania — któremu matka odmawia już swej miłości, zanim się urodziło. Grzeszysz, moja księżniczko, zachowujesz się jak rozkapryszona dziewczynka, nieopanowana w swym gniewie. Wolałabyś, by twój biedny kuzyn poległ, niż został pozbawiony rozkoszy z tobą?

Nie spoglądałam już buntowniczo, tylko ze strachem w te ciemne, mądre oczy, które znały i rozumiały ludzką niegodziwość i kaprysy.

— Skrzywdziłabyś swego biednego męża, który życzy ci jedynie wszystkiego co najlepsze? — ciągnęła niania. — Ukarzesz swoje jeszcze nie narodzone dziecko? Trudno mu będzie przyjść na świat, jeśli będziesz do niego żywiła nienawiść i złość. Może nawet stracisz pokarm.

Zawstydziałam się, słysząc jej słowa.

— Masz rację nianiu, jestem niedobra. Skąd przyszły mi do głowy te okropne myśli skierowane przeciwko mężowi, przeciwko dziecku? — Położyłam ręce na swym wielkim brzuchu, do którego jeszcze przed chwilą czułam taki wstręt. — Znów kopie. Przekonaj się sama. — Położyłam jej pomarszczoną, szorstką dłoń na swym brzuchu. — Kocham je, nianiu, naprawdę je kocham i spróbuję pokochać też jego ojca, postaram się być dla niego dobra, obiecuję. I cieszę się, że mój Stefan jest cały i zdrowy. Cieszę się, że sępy nie wydziobały mu oczu. Cieszę się, że wrócił do swych ludzi. Cieszę się, że będzie miał z jakąś kobietą wspaniałych synów. Dziękuję Bogu, że go ocalił. Dziękuję mu na kolanach.

Uklękłam, objęłam nianię w pasie i spuściłam głowę. Niania pocałowała mnie i gładząc moje włosy, powiedziała:

— Tak, jesteś niedobra, moja duszko, ale nie tak zupełnie do końca. Wciąż jesteś taka młoda! Taka młoda, a już zaznałaś tylu cierpień i tak mało radości. Widzę, że dla ciebie czas próby się nie skończył, ale dopiero zaczął. Cóż, widocznie taka wola Pana. O, dzwonią do drzwi. Chodźmy jeść.

Weszłam potulnie do pokoju stołowego, przeprosiłam męża za swoje humory, po obiedzie przyniosłam mu herbatę, krzątałam się wokół niego, jakby to on, nie ja, spodziewał się za cztery miesiące rozwiązania. Moja chwilowa niechęć całkowicie minęła. Znów go lubiłam.

Aleksander, rozpromieniony, protestował i błagał, bym więcej na siebie uważała. Obiecałam, że nie będę się tak przepracowywała i pozwoliłam, by przychodził do Ośrodka i odprowadzał mnie do domu.

Tydzień później do mojego gabinetu w Ośrodku Uchodźców Rosyjskich wprowadzono francuskiego oficera ze sztabu generała Weyganda. Miał list od pułkownika księcia Zasławskiego.

— Książę słyszał o działalności pani Ośrodka, księżniczko, lecz nie zna pani prywatnego adresu - wyjaśnił. Pro-

sił mnie, bym się dowiedział, jak sobie pani radzi i bym poinformował panią, że w Guarantee Trust Bank otworzył konto na pani nazwisko. Przyjedzie do Paryża natychmiast po ustaniu działań wojennych. Wracam teraz do Polski i z największą przyjemnością przekażę wszelkie wiadomości i listy od pani do księcia zasławskiego. Poczekam obok, aż je pani napisze.

Poprosiłam go, by został. Otworzyłam Ust. Został pospiesznie nabazgrany, trochę po angielsku, trochę po polsku.

„Taniuszeko-chudeuszeko, Taniu, Tatiano, moja ukochana, moja siostrzyczko, moja najdroższa, moja żono, wkrótce przyjadę po ciebie, by zabrać cię do domu. Babka i wszyscy moi ludzie czekają na ciebie. Postaraj się jak najszybciej przejść na katolicyzm, byśmy mogli natychmiast się pobrać. Ostrzegam cię, że nie mogę już dłużej czekać. Chcę byś była moja. Skończyły się już koszmary, skończyły się ciężkie czasy. Postaram się, byś całkowicie o nich zapomniała. Będę cię kochał gwałtownie, czule, pokornie i gorąco, bardziej niż jakakolwiek kobieta na świecie była kiedykolwiek kochana. A na razie składam pocałunek na twych uroczych ustach i na obu dłoniach z największym uwielbieniem i uszanowaniem, twój Stefek o odstających uszach, twój Stefan-mąż.”  
Siedziałam przez dłuższą chwilę nad jego listem, a potem napisałam po polsku na papierze firmowym Ośrodka: „Dzięki niech będą Jezusowi Chrystusowi, naszemu Panu, że nic ci się nie stało. Wyszłam za mąż za profesora Aleksandra Holwega i za cztery miesiące spodziewam się jego dziecka. Nie pisz do mnie więcej ani nie próbuj się ze mną spotkać. Przebac mi, jeśli będziesz mógł. Będę zawsze opłakiwała śmierć twoich rodziców. Przekaż wyrazy szacunku i najczulszej miłości księżnej Katarzynie, pozdrów serdecznie Kazimierza. Każdego dnia modlę się za wasze zwycięstwo nad wrogiem. Dziękuję za rachunek bankowy, ale niczego mi nie brak. Niech nasz Zbawiciel i Matka Boska mają cię w swej opiece, mój bracie”.

Podpisałam list, zakleiłam kopertę i podałam ją francuskiemu oficerowi, który nie potrafił ukryć zdumienia, widząc mój odmienny stan.

— Proszę przekazać ten list pułkownikowi księciu Zasławskiemu, *Monsieur le commendant*, razem z najserdeczniejszymi pozdrowieniami ode mnie i od mego męża, profesora Holwega. Dziękuję panu za pański trud. Jakie wieści ma pan z frontu polsko-sowieckiego?

— Nie najlepsze, madame. Mam jednak nadzieję, że Francja nie pozwoli by jej sojusznik został ponownie pokonany. Powstrzymamy bolszewickie hordy.

— Czy jest jakaś nadzieja dla sił generała barona Wrangla, walczących na południu Rosji?

— Dostarczamy im sprzęt, madame. Obawiam się jednak, że to stracona sprawa.

Życie znów odzyskało swój dawny rytm. Z nowym zapałem zabrałam się do nauki i w lipcu, po trzech dniach egzaminów pisemnych na wydziale nauk ścisłych Sorbony i po egzaminie ustnym, który był tydzień później, uzyskałam świadectwo dojrzałości oraz zakwalifikowałam się na studia uniwersyteckie. Aleksander był chyba bardziej dumny ode mnie. Okazało się, że teraz moja kariera medyczna stała się dla niego ważniejsza niż dla mnie! Dla mnie najistotniejszą sprawą była teraz moja ciąża i zbliżające się rozwiązanie. W miarę jak stawałam się coraz grubsza i bardziej niezdarna, ogarniało mnie rozleniwienie i błogostan podobny do rozmarzenia pierwszej miłości. Zaczęłam sobie wyobrażać poród nie w bezosobowej, paryskiej klinice, ale jako radosne i pełne powagi wydarzenie w pałacu Zasławskich. W takich chwilach, czując ruchy dziecka, przerywałam nagle zajęcia i uśmiechałam się tajemniczo do siebie. Wtedy mania również odkładała cerowaną właśnie skarpetę i stawała się niezwykle poważna, jakbym miała wydać na świat co najmniej dziedzica cesarskiej korony.

W sierpniu 1920 roku Armia Czerwonych została rozbita w bitwie warszawskiej i bezładnie wycofała się w kierunku granicy. Ułani zasławscy przewodzący akcji, która doprowadziła do przerwania oblężenia stolicy, puścili się w pościg za wrogiem. Wiadomości z frontu, które chciwie czytałam, opisywały przerażenie, jakie wzbudzał wśród szeregów Armii Czerwonej młody pułkownik ułanów.

„Nie oszczędza ani siebie, ani swych ludzi — napisał jeden z korespondentów. — Sprawia wrażenie, jakby był wszędzie naraz. Nie bierze jeńców. Nie unika ryzyka. Nigdy się nie uśmiecha. Jedzie z zawziętą miną na swym kasztanku na czele ułanów i na widok tej strasznej postaci na potężnym wierzchowcu Czerwoni porzucają broń i uciekają”.

We wrześniu przyjechała z Warszawy moja teściowa. Zamieszkała w pobliskim skromnym hoteliku. Ku memu zdumieniu, Sara Holweg okazała się wysoką, postawną damą o prowokującym zachowaniu. Jej czarne oczy płonęły podobnie jak u syna, ale w przeciwieństwie do niego miała zdecydowanie semickie rysy.

Przyjechała nastawiona z góry do mnie niechętnie. Ja ze swej strony okazywałam jej szacunek wpajany mi od najwcześniejszego dzieciństwa wobec ludzi starszych bez względu na to, jacy są dziwni. Niania otrzymała surowe polecenie niewychodzenia z kuchni podczas wizyt mej teściowej. Puszczalam mimo uszu uwagi niani o tej dumnej, bezbożnej Żydówce podobnie jak jej wyrzekania na tych brudnych, nieuczciwych, bezbożnych Francuzów. W przeciwieństwie do mnie moja teściowa nie miała żadnych skrupułów i gdy tylko wyszłam z pokoju, bez ogródek wypowiedziała swoją opinię na mój temat.

— A więc — usłyszałam niechętnie — całe życie nienawidziłeś arystokratów, a teraz ożeniłeś się z księżniczką, w dodatku czternaście lat młodszą od siebie. To oczywiste, że nie wyszła za ciebie z miłości, w takim razie czemu cię poślubiła?

— Matko, zabraniam ci krytykować moją żonę — głos mego męża przybrał ostry ton.

— A więc zdążyła cię wrogo nastawić do własnej matki.

— Moja żona nie jest zdolna do czegoś takiego. Nigdy nie powiedziała o tobie jednego złego słowa. To ty jesteś uprzedzona, ty zachowujesz się nielogicznie, w sposób niegodny osoby inteligentnej.

— No tak, mój syn nazywa mnie głupią.

Kiedy wróciłam do pokoju, Aleksander w bezsilnej złości szarpał swą bródkę.

Wiedziałam, że matka wyprowadza go z równowagi. Powiedział, że drażni go jej hałaśliwe zachowanie. Wyznał, że boi się, co pomyślą sobie o niej moi wysoko urodzeni przyjaciele. Z jednej strony zabronił wypowiadania w swym laboratorium antysemickich uwag, a z drugiej — każdego ranka z obawą spoglądał w lustro sprawdzając czy z wiekiem jego nos nie staje się przypadkiem garbaty jak u matki. Sam zachowywał się nielogicznie, w sposób niegodny osoby wykształconej.

Jednak w końcu mój odmienny stan i okazywany pani Holweg przeze mnie szacunek złamały wrogie nastawienie teściowej. Zaczęła mnie darzyć uczuciami macierzyńskimi i nie pozwalała, bym jej usługiwała. Nalegała, bym leżała z nogami trochę uniesionymi do góry. Sama zajęła się gotowaniem, co doskonale poprawiło nasz sposób odżywiania. Sara Holweg często wspominała trudne dzieciństwo swego syna i determinację Aleksandra w pokonywaniu wszelkich przeszkód i pokazaniu księżęcej rodzinie ojca, na co go stać.

— Mój Sasza nie jest silny fizycznie — mówiła — ale odznacza się wybitnym umysłem. Zawsze osiąga cel, do którego dąży. Kiedy był jeszcze dzieckiem, Cyganka wy-wróżyła mu, że poślubi kobietę wysokiego rodu, niemal cesarską córkę, i że zostanie jednym z najsłynniejszych ludzi swych czasów. Przepowiedziała również — dodała — że w wieku pięćdziesięciu lat umrze śmiercią gwałtowną. Uśmiechnęłam się jedynie na te słowa, zdradzające zabo-bonność mej teściowej.

Jednak w sprawach religii, mimo różnic wyznań, całkowicie się ze sobą zgadzałyśmy. Bolała nad agnostycyzmem swego syna. Czy popełniła błąd, wychowując go w wierze luterańskiej, łudząc się, że pewnego dnia rodzina ojca uzna jego prawa?

— Kiedy zaczęłam go posyłać do szkółki niedzielnej, pastor poprosił, bym go zatrzymywała w domu, bo swymi pytaniami przeszkadza innym — powiedziała, nie mogąc powstrzymać uśmiechu. — Ale może zrozumie, że nie należy wychowywać dziecka w bezbożności.

Aleksander, gdy rozmawialiśmy na temat wychowania religijnego naszego dziecka, pozostawiał mi wolną rękę.

— Jeśli będzie mądre, samo zadecyduje, jak postępować

— powiedział — a jeśli głupie, to wtedy nieważne, co będzie myślało. —

Zrozumiałam, że Aleksander nie będzie poświęcał czasu głuptasowi.

Moja teściowa zastanawiała się, czy nie należałoby dziecka ochrzcić w zborze luterańskim, na wypadek, gdyby ród Allensee zdecydował się go uznać, choć odmówił uznania jego ojcu. Nie robił na mnie specjalnego wrażenia stary, pruski ród wielkoksiażący i zamierzałam ochrzcić mego syna w cerkwi prawosławnej. Być może dlatego, że miałam taki wielki brzuch, wszyscy przyjmowali za oczywiste, że będzie to chłopczyk. Miał otrzymać imiona Piotr — po swym dziadku ze strony matki — i Aleksander, po ojcu i dziadku ze strony ojca.

— Na pewno będzie bardzo mądry — mówiła niania

— mając za ojca człowieka tak uczonego i za matkę kobietę, która przez całą ciążę nabijała sobie głowę wszystkimi tymi wzorami matematycznymi.

Pod koniec września nie mogłam sobie znaleźć wygodnej pozycji do snu ani się schylać. Niecierpliwie czekałam na narodziny Piotra Aleksandra. Bóle porodowe rozpoczęły się wieczorem 30 września. O północy Aleksander wezwał taksówkę i wraz z nianią zawiózł nas do kliniki położniczej.

Po badaniu lekarskim pozwolono Aleksandrowi się ze mną zobaczyć.

Siedziałam na łóżku w szpitalnej koszuli, z czerwoną, błyszczącą, wykrzywioną twarzą kobiety rodzącej. Aleksander miał taką minę, jakby dręczyły go wyrzuty sumienia. Zrobiło mi się go żal i powiedziałam, by poszedł



do domu. Płód miał nieprawidłowe położenie i przewidywano, że poród będzie trwał długo. Do mojego pokoju wstawiono kozetkę dla niani. Stefek zostałby ze mną przez cały czas, pomyślałam, podobnie jak wuj Stach czuwał przy cioci Zofi.

Pod koniec drugiego dnia bólów niania szalała.

— Cóż to za idioci, ci Francuzi! Głupie konowały!

— mruzczała pod nosem. — Nie robią nic, by jej pomóc, a tylko ją więcej męczą. Moje biedactwo, jest taka dzielna i cierpliwa. A ten jej mąż-naukowiec też dobry sobie — nawet się nie pokaże.

Aleksander przyszedł raz czy dwa razy, ale nie chciałam się z nim widzieć.

— Jak się czuje moja żona, nianiu? Czy bardzo cierpi?

— usłyszałam jego szept.

— Cierpi, i to bardzo, lecz nie jest to najgorszy rodzaj cierpienia, jaki istnieje na świecie. Szybko o nim zapomni

— odpowiedziała moja mądra niania. — Idź do domu, Aleksy

Aleksiejewiczu, nic jej nie możesz pomóc. Wkrótce będzie po wszystkim.

Po odejściu Aleksandra niania wróciła do mnie. Wycierała mi twarz, dawała do ssania kawałek lodu, bo nie wolno mi było pić, i trzymała za rękę podczas skurczów. W miarę upływu godzin czułam, że zbliżam się do kresu wytrzymałości.

O, mój Boże, myślałam, ileż to trwa! Kiedy się skończy? Ciociu Zofio, mamó, pomóżcie mi! Stefku, bracie, mój panie, gdzie jesteś, czuję się taka samotna!

Przez moment wyobraziłam sobie, że jest przy mnie i mimo bólu przeżyłam chwilę uniesienia i triumfu. Potem znów odzyskałam przytomność umysłu. Zrozumiałam, że nie ma przy mnie tego, którego kochałabym i dla którego gotowa byłabym znieść nawet największy ból. Nie wytrzymam już dłużej, to się musi szybko skończyć! Zacisnęłam zęby, by nie krzyczeć. Potem zaczęłam się bać o dziecko. Lekarz wyśmiał moje obawy. Wydawał się bardzo

zadowolony z przebiegu porodu, a jeszcze bardziej z siebie. Zaczęłam marzyć o położnej, o porodzie we własnym domu. To sztuczne, antyseptyczne pomieszczenie, w którym dyrygowali mężczyźni, to jakieś nieporozumienie. Kobieta dająca życie powinna odczuwać radość, a nie poniżenie i od-człowieczenie.

Kiedy zostanę lekarzem i będę odbierała porody, zorganizuję to zupełnie inaczej, pomyślałam.

W końcu, późno w nocy, zabrano mnie na salę porodową. 3 października 1920 roku o siódmej rano urodził się mój syn. Podano mi jego wagę i długość, poinformowano, że nie ma żadnych śladów po kleszczach ani nie stwierdzono żadnych wad, o co pytałam w kółko, gdy już minęło lekkie znieczulenie. Nie pokazano mi go jednak. Odwieziono mnie do mojej sali.

O dziewiątej odwiedził mnie Aleksander z matką.

Aleksander usiadł na brzegu łóżka, drżąc z emocji.

— Tatiano Pietrowno, wybacz mi. — Ucałował kilkakrotnie moją dłoń.

— Byłem przerażony, że tak cierpisz. Dziękuję ci za wspaniałego chłopca.

— Och, nie było tak źle, prawda, nianiu?

Płacząc ze szczęścia, obsypała moją twarz, ramiona i ręce pocałunkami.

— Nie, nie, wcale nie było źle, tylko trochę przydługo. — Kiwnęła głową do Aleksandra, jakby mówiąc: No widzisz, mówiłam, że o wszystkim zapomni.

Następnie podeszła moja teściowa.

Spytałam ją, jak Aleksander zniósł tę ciężką próbę.

— Strasznie. — Uśmiechnęła się i można się było domyślić, że musiała być kiedyś piękną kobietą. — Bałam się, że wyrwie sobie całą brodę. Ale teraz jest najszcześniejszym, najdumniejszym ojcem na całym świecie!

Piotr Aleksander wygląda identycznie jak Sasza, kiedy się urodził, tylko Sasza nie był taki długi.

Słyszając to, zażądałam by pokazano mi dziecko. Pielęgniarka przyniosła je owinięte w bawełniany kocyk. Mój syn

spał twardo, z miną jednocześnie pogardliwą i poważną. Połaskotałam go, by się obudził. Otworzył niezwykle niebieskie oczy i rozejrzał się wokół w taki sam sposób, jak to robił Aleksander, gdy wchodził na katedrę. Czemu się tu wszyscy zebraliście? By mi przeszkadzać? — mówiło to spojrzenie. Nie wiecie, że mam coś bardziej interesującego i pilniejszego do roboty?

Ależ jest podobny do swego ojca, pomyślałam meco rozczarowana. Lecz kiedy pogłaskałam delikatny meszek na gorącej, małej główce i wsunęłam palec do drobniutkiej rączki, na którym natychmiast ją zacisnął w odruchu chwytnym, ogarnęła mnie błogość wywołana ciepłem bijącym od tej kruchej istotki. Nigdy nie widziałam czegoś równie rozkosznego.

Zbliżył się Aleksander, z zakłopotaniem trzymając się za brodę. Pokazałam mu rączkę Piotra z długimi paluszkami i różowymi, prześwitującymi paznokietkami.

— Rozkoszne — zdumiał się mój mąż. — Takie małe, a jak perfekcyjnie ukształtowane. Pomyśleć, że mam syna! Sprawia, że czuję się zarazem silny i... i nieporadny. To nieprawdopodobne, fantastyczne... — Najwyraźniej dostrzegał w nim nieskończoną liczbę możliwości, jak przy rozwinięciu dwumianu.

Piotr zrobił się nagle czerwony i zaczął głośno płakać, dając wszystkim do zrozumienia, że jest głodny.

— Ale głos! Ale głos! — zachwyciła się niania. — A jak się wygina! Mój Pietia jest silny, a do tego urodził się nóżkami do przodu. Na pewno zostanie niezwykłym człowiekiem. — Wyciągnęła rękę. — Weź go — powiedziałam.

Zanim pielęgniarzka zdołała się sprzeciwić, niania przytuliła Piotra do swej piersi, ręką podtrzymując mu główkę. Widocznie zrobiło mu się bardzo dobrze, bo natychmiast przestał płakać i znów zapadł w głęboki sen, opierając zadarty nosek o jej ramię. Triumfujące i władcze spojrzenie,

którym niania obrzuciła wszystkich, nie wyłączając mnie, jasno dawało do zrozumienia, że nikt inny, tylko ona będzie opiekowała się tym dzieckiem.

Przez cały dzień znoszono mi kwiaty, a późnym wieczorem otrzymałam telegram z Polski. Napisane w nim było: DOBRA ROBOTA. TWÓJ BRAT. Całe moje uniesienie zniknęło.

Następnego ranka Aleksander przeraził się, widząc mnie we łzach.

— Tatiano Pietrowno, co się stało? Czy to przeze mnie?

— Nie, nie, oczywiście, że nie. Tylko pomyślałam sobie o tatusiu... jaki byłby szczęśliwy, gdyby mógł zobaczyć Pietię. — Kiedy wypowiedziałam te słowa, rzeczywiście zaczęłam myśleć o ojcu i znów zaczęłam płakać.

Aleksander próbował mnie pocieszać, lecz na próżno. Wszyscy poza nianią mnie drażnili. Biedny Aleksander nie wiedział, jak się zachować w obliczu zjawiska znanego lekarzom jako depresja popołożowa. Trzeciego dnia Piotr otrzymał swój pierwszy posiłek.

Z chwilą gdy dostałam pokarm, przestałam lać łzy i całkowicie pochłonęło mnie obserwowanie nieprawdopodobnie szybkiego rozwoju i wzrostu mego syna, od karmienia do karmienia, z godziny na godzinę. Aleksander nie mógł zrozumieć, cóż może być takiego niezwykłego w istocie, której umysł nie zaczął jeszcze funkcjonować. Bardziej był przejęty otrzymaniem katedry na Sorbonie.

— Bardzo się cieszę, Aleksandrze — powiedziałam, gdy mi o tym zakomunikował.

Poczuł się urażony moim wyraźnym brakiem zainteresowania jego karierą naukową, podczas gdy mnie bolała jego, jak mi się wydawało, obojętność wobec naszego syna.

— Zawsze śpi i niczym się nie różni od innych niemowląt — tłumaczył się nieporadnie.

— Co takiego? Piotr Aleksander nie różni się od innych niemowląt? — zaatakowałyśmy go obie z jego matką.

Szóstego dnia po porodzie wyszłam na balkon, by popatrzeć na wewnętrzny ogród, ale słysząc dyskretne pukanie do drzwi, pospiesznie wskoczyłam do łóżka.

— *Entrez* — rzuciłam bez tchu. W progu ukazała się hrabina Liline, elegancka, zaróżowiona, pachnąca i niezwykle kobieca.

— Wstawiałaś — powiedziała z naganą w głosie.

— Przecież to głupota leżeć w łóżku, skoro czuję się zupełnie dobrze. Chcę wrócić do domu, ale mój lekarz nawet nie chce o tym słyszeć.

Bardzo się cieszę, że cię widzę, Wiero Kiryłowno! Tak się tu nudzę! Jak ci poszło z przełożoną pielęgniarok? To prawdziwy cerber. Wpuszcza tylko członków najbliższej rodziny. Nie wpuszcza dziennikarzy.

Z miny Wiery Kiryłowny wywnioskowałam, że żadna przełożona pielęgniarok nie może stanowić godnej przeciwniczki dla byłej damy dworu rosyjskiej cesarzowej-wdowy.

Moja krewna usadowiła się koło łóżka, rozpięła płaszcz z wielbłądziej wełny z kołnierzem z rysia i ściągnęła skórkowe rękawiczki.

— Ślicznie wyglądasz, moje drogie dziecko. Kobieta najładniej wygląda po pierwszym dziecku. Ale zarazem jest to okres, kiedy można zniszczyć swą urodę, jeśli się nie zadba. Lekarz ma całkowitą słuszność, nie zgadzając się na wypisanie cię ze szpitala. To wasze okropne mieszkanie, te schody, brak powietrza. To nie są warunki dla ciebie. Pani Williamson wyjechała na sześć tygodni do Stanów Zjednoczonych i pozwoliła mi swobodnie dysponować domem i służbą. — Od powrotu we wrześniu ciotki Stefana i jej rodziny, Wiera Kiryłowna i jej pracodawczyni przenieśli się do Neuilly, w pobliżu Lasku Bulońskiego. — Mamy ogród. Profesor Holweg może cię codziennie odwiedzać. Gospodarstwo może mu prowadzić matka. Niania oczywiście będzie z nami. Myślę, że w tej sytuacji lekarz pozwoliłby ci opuścić szpital.

— Och, Wiero Kiryłowno, to brzmi cudownie! Ale skąd wezmę pieniądze? Poza tym nie chcę ci sprawiać kłopotu.

— Jeśli chodzi o pieniądze, pani Williamson dała mi *carte blanche*. Powiedziała mi, że chce, by traktowano cię tak

jak przystoi księżniczce. A kłopoty? Dla kobiety, która nie ma własnej córki ani wnuka, to największa radość, jaka może ją w życiu spotkać!  
— Muszę porozmawiać z mężem... — Aleksander wciąż nie darzył mojej krewniaczki sympatią.

Wiera Kiryłowna nie spodziewała się żadnych obiekcji z jego strony. Potem zaczęła wypytywać o Piotra Aleksandra.

— Prawie spycha mnie z łóżka, gdy go karmię — powiedziałam z dumą.  
— A jaki ma głos! Kiedy zaczyna płakać, słyszę go aż tutaj. Ma głos jak dzwon. Zaczyna już widzieć. Ma takie uważne, mądre spojrzenie, jakby już wszystko rozumiał.

Wiera Kiryłowna uśmiechnęła się pobłażliwie, słysząc te matczyne zachwyty. Wkrótce pojawiła się budząca wśród wszystkich postrach przełożona pielęgniarek i moja krewna, ucałowawszy mnie, bez pośpiechu zabrała swój płaszcz oraz rękawiczki i wyszła.

Aleksander początkowo nie chciał się zgodzić na propozycję Wiery Kiryłowny.

— Tatiano Pietrowno, boję się, że będzie ci kazała wraz z dzieckiem uczestniczyć w całodziennych przyjęciach organizowanych dla delegacji licznych sympatyków. Nic a nic nie wypoczniesz. Chociaż to prawda, że nasze mieszkanie jest nieodpowiednie. Szukam czegoś znacznie większego. Będziesz też miała gosposię do pomocy, Tatiano Pietrowno. A ja nie będę już musiał grywać na skrzypcach w rosyjskiej restauracji, by na to wszystko zarobić. — Spojrzał na mnie, błagając choć o odrobinę uwagi, którą w całości obdarzałam jego syna.

— Świetnie to wszystko obmyśliłeś, Aleksandrze — powiedziałam zupełnie szczerze.

Natychmiast zgodził się na mój pobyt w domu pani Williamson.

Parę dni później zostałam wypisana wraz ze swym dziesięciodniowym synem z kliniki. Kiedy Aleksander po-

szedł zapłacić rachunek za mój pobyt w szpitalu, na co zresztą musiał pożyczyć pieniądze, licząc na szybką podwyżkę, poinformowano go, że wszystko zostało już uregulowane przez kogoś, kto chce zachować anonimowość. Pomyślał, że zrobił to jeden z bogatych mecenasów Ośrodka Uchodźców Rosyjskich, w czym utwierdziła go jeszcze hrabina Liline.

— Wiero Kiryłowno, jestem pewna, że wiesz, kto zapłacił rachunek — powiedziałam, gdy zostałyśmy same.

— Moje drogie dziecko — odpowiedziała mi — żyje wielu ludzi, którzy tylko czekają na taką okazję, by w ten sposób wyrazić swój podziw i uznanie dla ciebie.

Mój przestronny pokój w atrakcyjnej willi z okresu dyrektoriatu, należącej do pani Williamson, znajdował się od strony ogrodu. Umebrowany był biało-złotymi meblami z okresu Ludwika XV, w wysokich oknach wisiały stare, jedwabne zasłony, łóżko przykryte było jedwabną, atłasową narzutą. Kołyska Piotra ozdobiona została falbaną do samej ziemi z identycznego atłasu. Od mych przyjaciółek otrzymał wielką i niepraktyczną wyprawkę, a ja dostałam mnóstwo eleganckich sukien i podomek.

— Moje drogie dziecko — zapewniała mnie Wiera Kiryłowna — wiesz, że przyprowadzam klientów do ekskluzywnych sklepów. Mam z ich właścicielami układy. Mogę sobie pozwolić na nieco ekstrawagancji, by sprawić sobie przyjemność.

Oprócz lokaja, pokojówki i kucharki pani Williamson zatrudniono szwajcarską bonę do opieki nad moim synem. Niania natychmiast skreśliła połowę jej obowiązków. Nałożyła biały fartuszek i robiła wszystko, z wyjątkiem karmienia piersią niemowlęcia.

— Bardzo proszę, zniszczysz sobie jednak tę piękną sukienkę, moja księżniczko — mawiała, gdy chciałam pomóc w kąpaniu dziecka. Albo: — Myślisz, że nie potrafię zmienić pieluchy? — wykrzykiwała oburzona, gdy próbowałam przewinąć malca.

Powiedziałam, że nie powinna go tak ciasno zawijać. Niania zaczęła jeszcze ciaśniej go okręcać. Obchodziła się

z Piotrem energicznie i zdecydowanie, niemal jak z pakunkiem, ale widocznie mu to odpowiadało, bo gdy tylko zaczął odróżniać poszczególne osoby, z którymi miał kontakt, dał jasno do zrozumienia, że nad wszystkich przedkłada nianię. A akurat wtedy, gdy z codzienną wizytą pojawiał się jego ojciec, dostawał ataku kolki.

Uszy Aleksandra wystawiane były na poważną próbę.

— Czemu on ciągle płacze? — pytał. Nie chciał wierzyć, że dziecko zaczynało płakać z chwilą, gdy on przekraczał próg domu.

Mój synek nie płakał długo, bo niania wyjmowała go z kołyski, całego zgrzanego, i siadała z nim w bujanym fotelu, choć szwajcarska opiekunka twierdziła, że dziecku trzeba pozwolić się wypłakać. Niania przynosiła mi go również za każdym razem, gdy jego donośny płacz mówił jej, że jest głodny, bez względu na to, czy nadeszła już pora karmienia zalecona przez pediatrę, czy też nie. Szwajcarska pielęgniarka oświadczała, że madame powinna jeszcze pół godziny poczekać, ale płacz mojego dziecka uruchamiał jakąś dziwną fizjologiczną reakcję i ja również nie mogłam czekać ani chwili dłużej.

Pospiesznie kładłam się na łóżku. Po chwili Piotr przywierał do mej piersi i ssał ją z zamkniętymi oczami, zaciskając mocno piąstki, pięty wbijając mi w brzuch, podczas gdy jego kędzierzawa główka, ciepła i miękka, spoczywała na moim ramieniu. Ogarniała mnie wtedy dziwna błogość.

Razem z nim zapadałam w drzemkę.

— Jestem taka leniwa, powinnam się zmienić — mówiłam do swej starej niani, gdy budziłam się, by stwierdzić, że dziecko śpi już na brzuszku w kołysce.

— Nie, moja duszko, jest tak, jak powinno być — odpowiadała niania.

Wierzyłam jej. Po latach biedy, cierpień i zmartwień cieszyłam się, że nie muszę się o nic kłopotać. Przyjemność sprawiały mi delikatne tkaniny, które czułam na swej skórze, lubiłam zapadać w drzemkę podczas karmienia niemowlęcia



i życie na zwolnionych obrotach. I w tym stanie ducha zaczęłam coraz częściej powracać myślami do mego, kochanka i męża z moich snów, teraz również wymarzonego ojca mego syna. .

12 października 1920 roku Polska podpisała rozejm ze Związkiem Radzieckim i moja teściowa oświadczyła, że wraca do Warszawy. Obawiałam się, że biedaczka srodze się rozczarowała obrotem spraw w Paryżu. Lokaj, który otworzył jej drzwi, dał wyraźnie do zrozumienia, że powinna wejść drzwiami kuchennymi. Wiera Kiryłowna zachowywała się wobec mej niezwykle poprawnie i nawet, na moją prośbę, pokazała jej miasto i sklepy. Ale nigdy żaden z wysoko urodzonych znajomych mej krewnej nie był obecny podczas jej wizyt Profesor Holweg, wybitny naukowiec i akademik, nauczyciel zamordowanych synów naszego ukochanego świętej pamięci wielkiego księcia Konstantego — to jedno, mawiała Wiera Kiryłowna, ale madame Holweg *mere, nee Goldstein*, z semickim nosem i akcentem, to zupełnie co innego.

Moja teściowa bardzo dobrze to wyczuwała. Nie miałam wątpliwości, że byłaby równie świetną damą dworu królowej Judei jak Wiera Kiryłowna cesarzowej Rosji. Tak jak ona chodziła z dumnie wypiętą piersią. Z jej czarnych oczu biło wyzwanie. Okazywałam jej taki sam szacunek jak dawniej. Ale różnice pochodzenia, które nie rzucały się tak w oczy w małym, dwupokojowym mieszkanku bez służby, stały się wyraźnie widoczne w nowych, eleganckich pomieszczeniach, które chwilowo zajmowałam.

Kiedy na wiadomość o jej wyjeździe powiedziałam, jak tego wymagało dobre wychowanie, że miałam nadzieję, iż na stałe zamieszka w Paryżu, odparła, że jej syn i bez mej będzie miał dosyć kłopotów w małżeństwie. Miała w Stanach Zjednoczonych brata, Natana Goldsteina, któremu dobrze się powodziło; postanowiła pojechać do niego. Podejrzewam, że Aleksander z jeszcze większą ulgą niż ja przyjął to oświadczenie. W pierwszych dniach listopada odprowadził

matkę na dworzec. Wyemigrowała do Stanów Zjednoczonych na początku 1921 roku.

Wraz z odjazdem Sary Holweg Wiera Kiriłowna postanowiła, tak jak przewidywał mój mąż, otworzyć dom dla delegacji sympatyków.

Przyjmowałam je po południu. Rano dyktowałam listy swej sekretarce z ośrodka. Nasze nowe mieszkanie miało być gotowe w połowie listopada. Gosposia została już zatrudniona. W miarę jednak jak zbliżał się koniec mego sześciotygodniowego leniuchowania, zaczęły mnie ogarniać sprzeczne uczucia. Z jednej strony dręczyło mnie poczucie winy za swoją beczynność i luksusy, które mnie otaczały. Z drugiej — wcale nie miałam ochoty wracać do obowiązków małżeńskich.

Rosnące w ogrodzie lipy zaczęły tracić suche liście i kiedy budziłam się w jedwabnej pościeli w pokoju przypominającym sypialnię cioci Zofii, wyobrażałam sobie, że jestem w Zasławicach, że wkrótce pojawi się on, zaróżowiony, gładko ogolony, silny i urodziwy jak rycerz z dawnych czasów...

Pewnego dnia, pod koniec mego pobytu w domu pani Williamson, do pokoju weszła Wiera Kiriłowna i z tajemniczą miną oświadczyła, że moja sekretarka się przeziębiła i nie mogła przyjść.

Postanowiłam więc iść z dzieckiem na spacer do lasku, ale Wiera Kiriłowna powiedziała, że pogoda jest niepewna.

— W każdej chwili może zacząć padać. W domu jest tak zimno — dodała — że powinnaś nałożyć aksamitną suknię.

Widząc jej dziwny upór, ubrałam się w najbardziej elegancką ze swych *robes dinterieur*, z purpurowego aksamitu, obszytą pod szyją, przy mankietach i na dole gronostajami.

— Wyglądasz ślicznie — stwierdziła Wiera Kiriłowna. — Nabrałaś pełniejszych kształtów, jesteś bardziej kobieca. Masz kwitnącą cerę. Potrzeba tylko nieco pudru na nos i jeszcze trochę szminki, by wydobyć blask oczu — no, teraz idealnie.

— Czemu o dziesiątej rano mam się pudrować i malować usta, skoro nie spodziewamy się żadnych gości, Wiero Kiryłowno? — spytałam, coraz bardziej rozbawiona.

Spojrzała na mnie z tajemniczą miną. Kiedy zadzwonił dzwonek u drzwi, przeprosiła mnie i wyszła.

Mój pokój znajdował się na tyłach domu, naprzeciwko holu wejściowego. Nie słyszałam słów, lecz znajomy dźwięk męskiego głosu wywołał przyśpieszone bicie mego serca. Podeszłam do okna i zacisnęłam dłoń na zimnym, mosiężnym uchwycie. Patrzyłam na szalony taniec liści wirujących nad trawnikiem. Nie odwróciłam się do Wiery Kiryłowny, gdy ponownie pojawiła się w pokoju.

— Moje drogie dziecko, masz gościa — oświadczyła uroczystym tonem.

— Gościa? O tej porze? Któż to taki?

— Ktoś... ktoś ważny.

— Nie mam zwyczaju przyjmować ludzi, których nazwisko i pozycja są mi nie znane, bez względu na to, jak bardzo są ważni. — Ponieważ Wiera Kiryłowna milczała, więc spytałam: — Czy to ksiązę Stefan? Nie chcę się z nim widzieć.

— Moje drogie dziecko, ksiązę, twój kuzyn, odbył bardzo długą podróż. Nie wierzę, by dał się tak łatwo odprawić.

— Wiero Kiryłowno, jak mogłaś! — wykrzyknęłam. Chodząc po pokoju, załamywałam ręce. — Och, co mam teraz zrobić?

— Moje drogie dziecko — przemówiła macierzyńskim tonem — pragnę jedynie twego szczęścia. Czekamy na ciebie w bibliotece.

Kiedy zostałam sama, przyłożyłam do rozpalonych policzków zimne dłonie.

— Boże, nie mogę, nie mam dość sił. Oszczędź mnie, ratuj mnie! — jęknęłam. Ponieważ jednak pomoc nie nadchodziła, powiedziałam stanowczo: — Cóż, widzę, że nie ma innej rady. — Wyprostowałam się i na pozór spokojnie przeszłam do holu.

Przez otwarte drzwi do bawialni dostrzegłam polski mundur i aż wzdrygnęłam się. Był to jednak tylko adiutant Stefana. Lokaj powiedział, że *Madame la comtesse* czeka na mnie w bibliotece. Otworzył podwójne drzwi. Weszłam do środka.

Biblioteka zajmowała narożnik domu od strony ulicy. W wysokich oknach wisiały kotary z różowego adamszku. Dwie otomany z epoki regencji oraz fotel z wysokim oparciem tworzyły kącik wypoczynkowy. W marmurowym kominku płonął ogień. Dwie lampy stojące rzucały delikatne światło. W kominie śpiewał wiatr, ogień trzaskał, z innych pomieszczeń dobiegały przytłumione odgłosy domowej krzątanimy. Zegar na kominku wybił wpół do jedenastej.

Stefan stał przed kominkiem zwrócony twarzą w stronę drzwi, przez które weszłam. Był w mundurze kawalerzysty i w wysokich butach. Do marynarki w kolorze khaki przypięty miał francuski Krzyż Wojenny, a do ozdobionego złotymi galonami kołnierza — polski medal *Virtuti Militari*. Wydawał się jeszcze wyższy, bardziej barczysty i silniejszy. Sprawiał też wrażenie znacznie poważniejszego. Wielkie, odstające uszy nie wyglądały już chłopięco i śmiesznie, ponieważ głowa, kiedyś pokryta lokami, a potem czupryną kasztanowych włosów, teraz była zupełnie łysa. Goła czaszka nadawała nowy wygląd jego gładkiej jak u niemowlęcia twarzy z pełnymi, wydatnymi ustami i policzkami. Stałam w progu i lekko skinąwszy głową, powiedziałam cicho:

— *Mon cousin.*

Uklonił mi się i odpowiedział:

— *Ma cousine.* — Przypatrywał mi się z mściwym i okrutnym wyrazem oczu.

Hrabina Liline podeszła do drzwi oddzielających bibliotekę od bawialni.

— *Cher prince, chere enfant*, wybaczcie, ale muszę przypilnować kilku spraw dotyczących gospodarstwa. Zostawię was na chwilę samych.

— Wiero Kiryłowno, proszę zostać — powiedziałam.

— Nie chcemy pani zatrzymywać, hrabino — odezwał się mój kuzyn.

Moja gospodyni, wyraźnie rozczarowana i nadąsana, przeszła przez podwójne drzwi do pokoju stołowego. Zostaliśmy sami.

Zrobiłam kilka kroków w kierunku pokoju stołowego, potem w stronę holu, zatrzymałam się, w końcu z bijącym sercem i wzrokiem schwytanego ptaka odwróciłam się, by stanąć twarzą w twarz z moim kuzynem.

Stefan nie spuszczał ze mnie wzroku, obserwując każdy mój ruch.

— Czy rzeczywiście tak okropnie teraz wyglądam?

— spytał po angielsku, przesuwając dłoń z pierścieniem rodowym książąt Zasławskich po łysej czaszce.

— Och, nie... Tylko w pierwszej chwili trochę dziwnie

— wyjąkałam. Obydwoma rękami przytrzymałam się wysokiego oparcia fotela.

— To przez tyfus. Straciłem tyle włosów, że postanowiłem zgolić tę nędzną resztkę, która mi została.

— Ach, tak, słyszałam. Bardzo... bardzo mi przykro.

— Widzę.

— Śmierć twoich rodziców...

— Już w swym liściku przekazałaś odpowiednie słowa współczucia. Nie jechałem taki szmat drogi, by wymieniać z tobą grzecznościowe formułki.

— Czemu przyjechałeś? Prosiłam, byś nigdy się ze mną nie próbował spotykać.

— Chciałem to usłyszeć osobiście. Było mi trudno uwierzyć po przeczytaniu tych kilku linijek, że tak łatwo przyszło ci wyrzucić mnie ze swego życia.

Wcale nie było mi łatwo. — Pochylałam głowę, bawiąc się frędzlami. — Ale pomyślałam, że tak będzie łatwiej dla ciebie, dla nas obojga.

— Nie wątpię, że dla ciebie najlepiej by było, gdyby oddziały polskie nie natknęły się na mnie na Ukrainie. Oszczędziłoby ci to wyrzutów sumienia w związku ze zdradą, której się dopuściłaś.

— Zdradą! — Uniosłam płonąca twarz. — Myślałam, że nie żyjesz!

— Myślałaś, że nie żyję! Usłyszałaś, że nie żyję i od razu w to uwierzyłaś. Nie odczekałaś nawet roku i wzięłaś ślub. Musiało ci być bardzo śpieszno!

— To nieprawda! Z początku nie chciałam wierzyć w twoją śmierć.

Pojechałam do Taganrogu, by spotkać się z generałem Denikinem.

Udostępnił mi raport. Przeczytałam zeznania naocznego świadka.

Widziałam zdjęcia. Jeszcze teraz, gdy o tym myślę, przechodzi mnie dreszcz. — Rzeczywiście wstrząsnął mną dreszcz.

Kiedy patrzyłam na łysą czaszkę mego kuzyna, wydawało mi się, że powstał z grobu wraz z wizją okropności, które opisywał raport w sprawie morderstwa — wizją, która niemal doprowadziła mnie do samobójstwa.

Ukryłam twarz w dłoniach.

— Dla mnie również nie są to ulubione wspomnienia

— powiedział Stefan i zaczął chodzić wzdłuż kominka.

— Czy naprawdę sądziłaś, że dam się pogrzebać żywcem, ty, która tak dobrze mnie znałaś? Czy było w tobie tak mało wiary, tak mało miłości? Gdybyś już wcześniej o mnie nie zapomniała, nie uwierzyłabyś w żadne dowody, tak jak nie uwierzyli Kazimierz i babka, tak jak ja nie uwierzyłem, że zabili cię bolszewicy. Ja też słyszałem, że nie żyjesz, ale przemierzyłem całą Rosję, by osobiście to sprawdzić, by dotrzymać danego ci słowa... Tymczasem ty złamałaś daną mi obietnicę i uciekłaś z tym profesorkiem, którego następnie poślubiłaś...

— Nie, to nieprawda — przerwałam. — Z nikim nie uciekłam. Dostałam zapalenia płuc, byłam ciężko chora, majaczyłam w gorączce. Czekałam na dacy na ciebie, byłam pewna, że się pojawisz. Powiedziałam Aleksandrowi, że dla

ciebie nie ma rzeczy niemożliwych. A ty... czy przyjechałeś?

Spojrzałam na niego. Przypomniałam sobie, jak w gorączce widziałam go wiozącego mnie szybkimi saniami. Lecz teraz jego twarz nie była już pełna pokornego uwielbienia jak w moich słodkich majakach; była zawzięta i mściwa. Nie mogłam znieść jego spojrzenia, opadłam na fotel i zapatrzyłam się w ogień.

— Tak, przyjechałem — powiedział Stefan. — Byłem szalony, mając nadzieję. Niczego i nikogo się nie obawiałem. Przedzierałem się na północ w rozmaitych przebraniach. Do Leningradu dotarłem, powożąc saniami załadowanymi drewnem dla komisariatu do spraw zaopatrzenia. Powiedziałem Czerwonym, że przyjechałem po narzeczoną... Ach! Po cóż znów do tego wracać? Jakie to może mieć teraz znaczenie! — Potrącił czubkiem buta szczypcę, które z hałasem upadły na podłogę.

Wzdrygnęłam się.

— Powiedz mi, błagam cię. Muszę dowiedzieć się wszystkiego — poprosiłam go.

— Dotarłem do Piotrogradu w połowie lutego 1919 roku. Pustymi saniami przejechałem przez zamarzną zatokę i dotarłem do daczki. Poszedłem do chaty gajowego. Nikogo. Łaziłem po całym majątku, zaglądałem do każdej przybudówki i szopy. Potem przeszukałem willę, od piwnic aż po strych. Była zrujnowana; szyby w oknach powybijane, meble połamane, w pokojach śnieg. U szczytu schodów ujrzałem postać olbrzyma z długą brodą. Rozpoznałem twego lokaja Fiodora. Gdy go spytałem o ciebie, powiedział: „Jej Wysokość udała się na przejażdżkę” i poprosił o moją wizytówkę.

Przebiegłem przez cały dom, nawołując cię, a Fiodor szedł za mną, prosząc o kartę wizytową. Poszedłem do twojej sypialni — tej samej, z której próbowałem cię porwać w przeddzień wybuchu wojny — już wtedy wiedziałem, że to jedyny sposób, aby cię zdobyć. Och, cóż za głupiec był ze mnie, że cię wtedy nie porwałem!



— A co z Fiodorem? — Poczułam falę gorąca. — Czy zabrałeś go ze sobą?

— Nie. Kiedy próbowałem wsadzić go na sanie, złapał mnie za kark, powtarzając: „Prosiłem o pana wizytówkę”. Długo się szamotałem, nim udało mi się wyswobodzić z jego uścisku. Biedaczysko! Myślę, że wciąż tam jest.

— Nigdy nie wybaczę Aleksandrowi, że go zostawił. Nigdy nie wybaczę tego sobie! — Znów ukryłam twarz w dłoniach. Po chwili całym wysiłkiem woli uniosłam głowę i powiedziałam: — Wciąż nie rozumiem raportu na temat twojej śmierci. Był taki przekonujący. Świadek słyszał strzały. Znaleziono trzy ciała z przestrzelonymi głowami. Jedna z ofiar była wyjątkowo wysoka, miała potężną klatkę piersiową, szramę... Czyżby ten raport był nieprawdziwy?

— Był prawdziwy, tyle że niekompletny.

— Jak to? W jaki sposób uniknąłeś śmierci? A może to był cud? — Byłam gotowa w to uwierzyć.

— Można powiedzieć, że był to pewnego rodzaju cud. Czemu jednak chcesz znać tę historię? Jakie ona może mieć teraz dla ciebie znaczenie?

— Niemal oszalałam z bólu. — Jego niesprawiedliwość wyprowadziła mnie z równowagi. — Mało brakowało, a zastrzeliłabym się z rewolweru... — I skazałabym swą duszę na piekło, pomyślałam, i wieczne potępienie!

— Taniu! — Z jego twarzy zniknął wyraz okrucieństwa. Zrobił krok w moją stronę, zmarszczył brwi, znów zwrócił się w stronę kominka.

— Dobrze, powiem ci. — Nie patrzył na mnie, dłonie zacisnął w pięści.

— W chwili gdy szef bandy rozkazał, by wykopano doły, powiedziałem sobie: „Zachowaj spokój, Stefku, oszczędzaj siły. Nie pogrzebią cię żywcem”. Kiedy szef bandy wrócił ze swym zastępcą, a jego ludzie pognali za uciekającymi Białymi, zacząłem pogwizdywać ukraińską piosenkę, jedyną jaką znałem, wkładając w to całą duszę. Tamtych dwóch zastrzelił. Potem stanął nade mną z pistoletem w dłoni. „Posłuchaj tego ptasiego tre'u — powiedział

do zastępcy. — Może uda mu się wyfrunąć z klatki!" Odjechali. Po zapadnięciu zmroku pojawili się chłopci. Przyszli, by ograbić zwłoki. Zagwizdałem tę samą piosenkę. W pierwszej chwili czmychnęli przerażeni. Potem wrócili i odkopali mnie. Zabrali mnie do swej wioski, dali ciepłą odzież i nacierali tak długo, aż krew zaczęła znów normalnie krążyć w moich żyłach. Nie okazaliby większego serca nawet własnemu synowi. Czy to nie dziwne, spotkać się z taką dobrocią w środku wojny domowej? — Zrobił półobrót, by spojrzeć na mnie, a po chwili dodał: — Gdybym wiedział, jak to przyjmiesz, nie posunąłbym się aż do tego, by podać się za zmarłego. — Nie przemawiał już oskarżycielskim tonem. — Ale te zwłoki...

— To był mój pomysł. Bałem się, że kiedy bandyci wrócą i zobaczą jeden dół pusty, zaczną mnie szukać we wsi. Moi wybawcy powiedzieli mi na to, że niedawno do wioski przyjechał młody diakon. Był świadkiem, jak Czerwoni męczyli księży w katedrze w Smoleńsku i od tego pomieszało mu się w głowie. Postanowił dołączyć do swych braci w niebie. Przyjechał do matki, położył się w chacie twarzą do ściany i wyzionął ducha. Był dobrze zbudowanym mężczyzną, mniej więcej w moim wieku, z klatką piersiową śpiewaka. Miał nawet szramę na lewym biodrze po ranie, którą odniósł, gdy służył na froncie jako sanitariusz. Gdy ujrzałem tę bliznę pomyślałem (cóż za głupiec ze mnie!), że to znak niebios.

Wieśniacy pozwolili mi wziąć ciało zmarłego diakona. Załadowałem je na furę, wziąłem pistolet, znaleziony przy świeżo okradzionych zwłokach, zakopałem nieszczęsnego diakona i strzeliłem mu dwa razy w głowę. O świcie ubrałem się w jego rzeczy, które leżały na mnie jak ulał, węzełek przerzuciłem przez ramię i wyruszyłem w drogę. Szedłem, pogwizdując ukraińską piosenkę. Byłem pewny, że najgorsze mam już za sobą... — Stefan urwał i znów zacisnął dłonie w pięści. Co się stało, kiedy ochlechałś z daczy? spytałam.

— Czy to ważne? Nie przybyłem tu, by o tym rozmawiać.

— Proszę, powiedz mi!

— Ogarnęła mnie czarna rozpacz, że cię nie znalazłem. Przestałem być ostrożny i złapano mnie. Osadzono w więzieniu w Kronsztadzie. Nie powiem, przyjemne miejsce. Słyszałem, co spotkało tam twego ojca... Wiesz, jak podziwiałem wuja Piotra, niech spoczywa w pokoju. Czerwoni próbowali ze mną niektórych swoich sztuczek, bo podejrzewali, że jestem szpiegiem Białych. Kiedy jednak nic im z tego nie przyszło, pomyśleli, że szkoda zabijać takiego chwata. Pozwolono mi na ochotnika wstąpić do Armii Czerwonej. Krok w krok chodził za mną *politruk* z plutonu karnego. Wysłali mnie na Kaukaz.

Biali, dowodzeni przez generała Wrangla nazywanego ze względu na jego kozacki mundur Czarnym Baronem, posuwali się centymetr za centymetrem — tereny górskie są wyjątkowo trudne do zdobycia. Kozacy mianowali Wrangla honorowym atamanem i rzeczywiście zasługiwał na ten tytuł. Był ostatnim Rosjaninem, z którym chciałbym walczyć, więc przy pierwszej nadarzającej się okazji uciekłem z Armii Czerwonej. Nie ujawniłem swego nazwiska Białym. Byli wściekli na Polaków za zawarcie rozejmu z bolszewikami akurat w chwili, gdy Moskwa znalazła się w zasięgu rąk Białych.

— Wiem — wtrąciłam. — Prosiłam waszego generała Karnickiego, by walczył wspólnie z Białymi. Oczywiście generał Denikin odmówił Polakom jakichkolwiek gwarancji. Sprawa była beznadziejna.

— Po obu stronach dyletanci. — Stefan zrobił elegancki, lekceważący gest, który przypomniiał mi ojca.

— Cieszę się, słysząc, że to mówisz! Ale wracając do twojej historii... nie skończyłaś jej jeszcze.

— Ach, to! — Spostrzegłam, że waha się, czy kontynuować opowieść o swych przeżyciach. — Cóż, pod koniec 1919 roku, kiedy Polacy znów zaczęli walczyć z sowietami,

przedarłem się za Kijów, do żydowskiej osady w Palechu. Tam zachorowałem na tyfus. Tym razem życie uratowała mi rodzina żydowska. Ukryli mnie, gdy pojawili się bolszewicy po wyparciu południowej armii Białych ku Morzu Czarnemu. Opiekowali się mną jak synem.

Tamtego majowego dnia, gdy usłyszałem polską mowę, rozplakałem się ze szczęścia. Choć byłem chudy jak szkielet i niemal łysy, w ciągu miesiąca na tyle się poprawiłem, że mogłem dosiąść konia. Wjechałem do Zastawie na czele naszych ułanów... Boże, cóż to było za powitanie! Babka stała na stopniach pałacu... Przez moment łudziłem się nadzieją, że ujrzę tam ciebie, stojącą obok niej. Zacząłem szukać wiadomości o tobie. Pomyślałem, że pewnie wyjechałaś do Anglii, gdzie z radością powitaliby cię moi kuzyni z Lansdale. Wkrótce dowiedziałem się, że jesteś prezeską Ośrodka Uciekinierów Rosyjskich w Paryżu. Wysłałem do ciebie komendanta Dugarda. Potem otrzymałem ten list...

Taniu, nie wiesz, co czułem, słuchając relacji tego francuskiego oficera. Wrócić do życia, by... by spotkać się z czymś takim! Twój obraz nosiłem w sercu przez całą wojnę, podczas pobytu w więzieniu, kiedy majaczyłem w chorobie, gdy dotknęła mnie śmierć matki i ojca... Matka, umierając w mych ramionach, nazywała mnie swym Stachem. A było to zaledwie w parę tygodni po tym, jak na moich oczach wybuch bomby rozszarpał pułkownika na strzępy... Poczulem, że wali się cały mój świat.

Zrozumiałem, że zostałem zdradzony przez ciebie. Po rocznych poszukiwaniach... Przeżyłem najbardziej bolesny rok w moim życiu, rok, który zabrał mi młodość, zdrowie... zostałem wyrzucony z pamięci niespełna w dwanaście miesięcy od mej domniemanej śmierci... Tak, to był bolesny cios, bardziej bolesny od wszelkich tortur, które przeszedłem z rąk bandziorów czy Czerwonych!

Jeśli było to aż tak bolesne dla ciebie, czyż nic było jeszcze bardziej gorzkie dla mnie, zwłaszcza że własnymi lękami odepchnęłam swe szczęście! - wykrzyknęłam równie

zarliwie. I ogarnięta litością nad sobą oraz czując wyrzuty sumienia, wtuliłam głowę w oparcie fotela i zaczęłam łkać.

Słyszając mój płacz, Stefan zmienił się na twarzy. Podeszedł do mnie i zaczął głaskać po włosach.

— Płaczesz, moja najśłodsza, i to ja cię doprowadziłem do łez. Wybacz mi... Ale jeśli to, co mówisz, jest prawdą, wszystko jeszcze możemy naprawić.

Przestałam szlochać i uniosłam zalaną łzami twarz.

— Co ty mówisz!

— Ze nic nie jest ostateczne prócz śmierci, że nie musimy odrzucać naszego szczęścia.

— Przecież jestem zameżna! I mam dziecko!

— Wiem o tym, moja najdroższa. Jak ona wyrosła, moja Taniuszka-chudeuszka, została matką i za to kocham ją jeszcze więcej. Przestań zalewać łzami fotel pani Williamson, chodź, usiądź koło mnie.

— Usiedliśmy na jednej z kozetek.

— Nie boisz się mnie już, prawda? Pozwól, niech się przypatrzę twojej buzi. O, jest cała mokra, a także twoja chusteczka. — Wyjął czystą chusteczkę z kieszeni spodni i podał mi. — Ależ z ciebie jeszcze dziecko.

— Czule przypatrywał mi się, jak wycierałam nos. — A z tymi krótkimi włosami wyglądasz jak pensjonarka.

— Obcięto mi je podczas choroby. Kiedy się dowiedziałam o twej rzekomej śmierci, postanowiłam, że już nigdy ich nie zapuszczę...

— Naprawdę? Więc teraz możesz już im pozwolić rosnąć, bym mógł się nimi cieszyć. Pamiętasz, jak cię ciągnąłem za warkocze i przywiązywałem je do krzesła? — Poglaskał mnie po głowie swą wielką, kształtną dłonią.

— W jaki sposób go odzyskałeś? — spytałam, spoglądając na pierścień rodowy.

— Odesłano go babce, gdy odmówiła pochowania zwłok, nie wierząc, że to ja. Czemu siedzisz tak sztywno?

— Wciąż mnie głaskał po włosach.

— Proszę... przestań — powiedziałam, nie mając siły się odsunąć od niego.

— Dobrze. Będziemy jeszcze mieli dosyć czasu. — Ujął moją dłoń, splótł palce ze swoimi i lekko ucałował ich końce.

Spojrzałam na twarz, która jeszcze przed chwilą była pełna mściwości, a teraz stała się dobra i czuła. Łysina, która tak mnie początkowo przestraszyła, tylko dodawała mu uroku. Zachowywał się swobodnie i naturalnie. Nosił mundur z wrodzonym wdziękiem, a jednocześnie z pewną zawadiacką fantazją, charakterystyczną dla swoich rodaków. Położyłam dłoń na jego szerokiej piersi i spojrzałam na niego z dziecięcym zachwytem.

— Stefanie-pacanie, ośle kłapołuchy, ale jesteś elegancki!

— Czy nie wydaję ci się już odrażający bez włosów? Nie jestem już po (worem?)

— Nic a nic. Podobasz mi się teraz jeszcze bardziej niż dawniej.

— Taniuszeko-chudeuszeko, ty też podobasz mi się bardziej niż kiedykolwiek. I wcale już nie jesteś chuda. Jesteś w sam raz i masz niezwykle wytworną suknię. Miałaś podobną podczas obiadu noworocznego w Mińsku w 1916 roku, pamiętasz?

— Tak. Wuj Stach mówił nam wtedy o wujecznej babce Katarzynie. Jak się ona czuje?

— Tak samo jak zawsze. Jest tylko jeszcze bardziej filigranowa.

Pozostała w Zasławicach przez całą wojnę z bolszewikami. Nie udało mi się nakłonić jej do wyjazdu. Okoliczna ludność uważają za świętą. Och, moja najdroższa, nawet nie wiesz, co przeszli nasi ludzie przez te wszystkie lata! Zniszczenia, bieda! Tyle jest teraz do zrobienia, tyle do odbudowania, i już nie mogę się doczekać, kiedy wreszcie przystąpię do pracy! Nie mogę się doczekać, kiedy zabiorę cię do domu z twym dzieckiem, które usynowię i uczynię dziedzicem wszystkiego, co zostawię, na równi z braćmi i siostrami, których mu damy. Czy po tym, co przeszłaś przy pierwszym porodzie, wciąż chcesz mieć ośmioro dzieci, moja kochana?

— Nie było tak źle. — Siedziałam cicha i uległa, słuchając pięknego głosu i czując dotyk jego rąk — Gdybyś ty był przy mnie, to w ogóle nie byłoby o czym mówić.

— Będę przy tobie, obiecuję. Uważam jednak, że w zupełności wystarczy nam jeszcze jedno lub dwoje dzieci. Czasy się zmieniły. Nie mam już wielkiego majątku, który mógłbym im zostawić; rozdałem wszystko prócz Zasławic. Musisz się pogodzić z tym, że jestem biedakiem.

Postaram się jednak o pożyczkę w Anglii — wyjeżdżam tam jeszcze dziś — i wkrótce wszystko doprowadzimy do ładu. Podczas mojej nieobecności rozpocznij formalności rozwodowe. Mój adwokat będzie z tobą w kontakcie...

— Adwokat, rozwód! Stefku, zaczekaj... — Odsunęłam się, nie mogąc pojąć, o czym mówi.

Wstał gwałtownie, patrząc na mnie chmurnie.

— Nie wzięliście ślubu kościelnego. Postaram się, by nie było skandalu. Twój mąż na pewno wyrazi zgodę, gdy się dowie, że pierwszy miałem do ciebie prawo. Porozmawiam z nim.

— Nie! — Aleksander dowiedziałby się o mojej dwulicowości.

Straciłabym w jego oczach cały szacunek.

— Czemu? Czyżbyś go kochała?

— Tak. Nie. Nie kocham go tak, jak myślisz. — Nie mogłam znieść straszliwego wzroku Stefka. — Podziwiam Aleksandra. Szanuję go. Przyzwyczaiłam się do niego. — Był kimś dobrze znanym, dawał mi poczucie bezpieczeństwa w przeciwieństwie do tego atrakcyjnego, lecz budzącego strach nie znanego mi Stefana. Jego nie będę sobie mogła owinąć wokół palca. — Aleksander tyle dla mnie przeszedł

— ciągnęłam. — Zaznałam od niego tyle dobroci. Jak mogę go teraz skrzywdzić?

— Mówisz, że nie możesz go skrzywdzić. Ale mnie możesz, tak?

— Stefku, wybac mi! — poprosiłam. — Wiem, że wyrządziłam ci wielką krzywdę. Lecz czy naprawię ją, czyniąc jeszcze większą krzywdę memu mężowi? Podczas

rewolucji był mi jedyną podporą. Pomagał ojcu. Uratował mnie.

— Wcale mu nie chodziło o ratowanie ciebie, niepotrzebnie narażał cię na niebezpieczeństwo. Wykorzystał twoją młodość i naiwność.

Manipulował tobą, by zdobyć to, czego pragnął...

— Wcale tak nie było!

To ja wykorzystałam uczucie Aleksandra do mnie, to ja bawiłam się jego oddaniem, to ja nie powiedziałam mu prawdy o Stefanie. Pozwoliłam mu sądzić, że jestem szlachetna i czysta, za jaką wciąż uważał mnie Stefek.

Och, ci naiwni mężczyźni, zawsze chcą, by ich kobiety były bez skazy. A my tylko utwierdzamy ich w tym przekonaniu! Czemu nie potrafię wyznać Stefkowi prawdy? Czemu nie potrafiłam powiedzieć prawdy Aleksandrowi? Bo byłam zbyt dumna, zbyt próżna.

— Ależ z ciebie lojalna żonka — gorzko zauważył Stefan. — Równie lojalna jak byłaś lojalną córką. Szkoda tylko, że nie potrafisz być taka lojalna wobec swej miłości! Ale miłość zawsze stała u ciebie na drugim miejscu. — Znow usiadł i spojrzał na mnie oszołomiony. — Nie rozumiem cię, Taniu. — A czyja rozumiałam siebie? Czułam jedynie zamęt i wątpliwości.

— Aleksander jest ojcem mego dziecka — powiedziałam niepewnie. Bliskość Stefka osłabiała moją wolę.

— Ojcem twego dziecka! Dobrze o tym wiem. Ja też jestem gotów zostać jego ojcem i śmiem twierdzić, że będę lepszy od Aleksandra. Cóż ten twój profesorek może dla niego zrobić? Czy potrafi nauczyć go czegoś poza tym, co jest w książkach? Czy może mu być przyjacielem i wzorem, jak mój ojciec był dla mnie? Który z nas będzie lepszy, on czy ja? — Ujął mnie za rękę. — Odpowiedz mi.

Próbowałam mu się wyrwać, lecz przyciągnął mnie bliżej.

— Tatiano, spójrz na mnie.

Jego głos, rozkazujący, a zarazem łagodny, jeszcze zwiększa! moją rozterkę. Powinna zadać sobie pytanie: „Czy ciocia Zofia, gdyby żyła, kazałaby mi opuścić męża? Czy wuj Slach chciałby, by Stefan sprawdził do pałacu rozwódkę



i nazywał swoim synem dziecko innego mężczyzny?" Powinnam poprosić Stefka, by nie wykorzystywał mej słabości i nie namawiał mnie do sprzeniewierzenia się naczelnej zasadzie dobra i zła. Jednak nie mogłam wydusić z siebie ani słowa.

Czułam, że przytłacza mnie siła większa niż grawitacja. Przytuliłam policzek do ręki, która trzymała moje dłonie. Z zamkniętymi oczami pozwoliłam się przytulić do tej szerokiej piersi, przy której wciąż czułam się bezpieczna i spokojna. Ujął mnie pod brodę ręką delikatną, a zarazem silną i poczułam na swych ustach jego aksamitne wargi...

Moja wyobraźnia nie kłamała. W tych ustach tkwiła jakaś pierwotna siła podobna sile, z jaką mój syn chwycił się mej piersi, boska lub diabelska moc, która potrafiła uczynić potępienie słodkim! Gdyby dom nie był pełen ludzi, nie skończyłoby się na tym pocałunku i dopuściłabym się zdrady. Ale z konieczności musiało się skończyć tylko na nim.

W chwilę po tym nie mającym granic uniesieniu przyszła mi do głowy szalona myśl.

— Stefku — ucieknijmy stąd, jedźmy do Ameryki Południowej albo jeszcze lepiej do Afryki, do Kenii. Potrzebują tam białych osadników. Możemy kupić plantację. Będziemy się upajali przestrzenią, swobodą. Kupimy konie, będziemy organizować polowania. Krajowcy potrzebują opieki lekarskiej. — Pomyślałam, że będzie to wielka przygoda, wyzwanie rzucone losowi, a co najważniejsze, będzie to oznaczało wolność, ucieczkę przed światem. — Zmienimy nazwisko. Nikt nie będzie wiedział, kim jesteśmy. Nie będzie więcej żadnej Polski, żadnej Rosji. Nie będzie księcia Zasławskiego ani księżniczki Siłomirskiej. Tylko my, Piotr i niania.

— Naprawdę byś to zrobiła? — W oczach Stefka pojawiły się chłopięce iskielki.

— Tak! — To było jedyne wyjście. Uciec, nie stając twarzą w twarz z Aleksandrem, uciec przed sobą.

— Nie wiedziałem, że aż taka z ciebie romantyczka. — Stefan zaczął rozważać moją propozycję. Po chwili wstał z otomany, podszedł do okna i nieznacznie rozchylił zasłony.

— W samochodzie po drugiej stronie ulicy siedzą dwaj mężczyźni, bez wątpienia dziennikarze. Choć zachowałem wszelkie środki ostrożności, przyjechali za mną. Nigdy nie uda się nam uciec. — Znow usiadł koło mnie. — A poza tym, czemu mielibyśmy jechać aż do Afryki, by urządzać wielkie polowania, kiedy mamy nasze własne lasy w Polsce? Czy nie kochasz już Zasławic, Taniusiu? — dodał, gdy spuściłam głowę. Czemu, pomyślałam, życie zawsze musi stawiać miłości przeszkody? — Oczywiście, że kocham! Będzie to jednak oznaczało powrót, nie rozumiesz? — Miałam na myśli powrót do baśniowego świata ksiąząt i księżniczek, świata wystawnej parady i przywilejów, którego unicestwienia byłam świadkiem w Rosji i którego zniszczenie musi również nastąpić w Polsce.

— Wciąż wierzysz w nowy, wspaniały świat? — Śmiałe iskierki w jego oczach zniknęły. Na miejscu małego Stefka siedział dojrzały, odpowiedzialny Stefan, pracowity ksiązę, który jasno i prosto widział swoje obowiązki. — Bo ja nie. Uważam, że musimy starać się jak najbardziej ulepszyć istniejący. To prawda, że dziś w Polsce doszli do władzy ludzie, którzy szukają inspiracji w naszej dawnej wielkości, którzy nie doświadczyli na własnej skórze, jaki kształt ma przyszłość w wydaniu sowieckim. Nie należę do nich. Zamierzam nadażać za współczesnością, za wszelkim dobrem, które potencjalnie ze sobą niesie. Wiem, że jesteś idealną osobą, by mi w tym pomóc. Nigdy nie potrafiłem sobie wyobrazić nikogo poza tobą na miejscu matki. Czyżbym się mylił? Czy nadawałem się do tego, by zająć miejsce ciotki Zofii? Czy naprawdę kiedykolwiek tego pragnęłam? Wpatrując się w ogień, usłyszałam słowa Grandmaman, wypowiedziane przez nią na łożu śmierci: „Tytuł książęcy nie będzie już nic znaczył, natomiast dyplom lekarza będzie czymś niezwykle cenionym”.

— Czy się myliłem? — powtórzył Stefan, zwracając moją twarz w swoją stronę.

Znów stałam się bezwolna. Nie doszło jednak do kolejnego pocałunku, który zniszczyłby resztkę mojego zdrowego rozsądku, ponieważ niania otworzyła drzwi do holu wejściowego i z pokoju dziecinnego dobiegł przeraźliwy płacz mego syna.

— Ładne rzeczy, moja księżniczko! — zganiła mnie niania. — Twój syn niemal umiera z głodu, cały zsiniał od płaczu, a tymczasem co ty robisz, jeśli wolno spytać?

Podniosłam rękę do piersi, które na dźwięk płaczu dziecka natychmiast stały się nabrzmiące i bolesne. Zawahałam się.

— Stefku, muszę iść nakarmić Pietię. Spróbuję to wszystko jeszcze raz przemyśleć i dam ci odpowiedź. Jeśli możesz, zaczekaj chwilkę. Nianiu, porozmawiaj z księciem Stefanem. Powiedz mu wszystko.

Powiedz mu wszystko to, czego ja nie potrafiłam powiedzieć w swojej obronie, poprosiłam ją w duchu, i wybiegłam z pokoju.

Kiedy się położyłam, a szwajcarska bona podała mi Piotra, zaczęłam się zastanawiać nad swym dylematem.

Co było ostatnią rzeczą którą pomyślałam, nim wtargnęła do biblioteki niania? Ach tak, rozważałam, czy jestem właściwą osobą, by zająć miejsce ciotki Zofii. Księżna Zasławska musi umieć z gracją ustępować, rządzić tak, by nikt tego nie dostrzegął, zawsze stawiać siebie i swoje pragnienia na drugim miejscu, za aspiracjami swego męża i pana. Życie księżnej Zasławskiej ograniczone jest licznymi zakazami i uregulowane w najdrobniejszych szczegółach. Wolna może być jedynie... w łóżku ze swym mężem. Och, ale czy dla tej jednej wolności nie oddałabym wszystkiego?

Oddałabyś, Taniu, dobrze wiesz, że byś oddała. Zastanów się jednak, czy nie byłaby to raczej niewola niż wolność, czy nie byłoby to poddanie się władzy tej Tani

-Cyganki, którą przez wszystkie lata trzymałaś w szachu? Gdy pozwolisz jej dojść do głosu, Stefek szybko się zorientuje, że nie poślubił repliki swej matki, lecz zazdrosną, tyrańską harpię.

Daj spokój, Taniu, nie przesadzaj! Potrafisz nad sobą zapanować.

Przecież robiłaś to całe życie. Tak, ale przy Stefku staję się inna. Moja wola, mój umysł, moja dusza przestają się liczyć. To nie wina Stefka.

Byłby ostatnią osobą, która by sobie tego życzyła, lecz nic nie może na to poradzić' Tymczasem Aleksander podtrzymuje we mnie tę część mego , ja", które dąży, by być mądre, niezależne, wolne.

Och, ale cóż mi z tego przyjdzie? Czy to nie oszukiwanie siebie?

Tania-Cyganka przynajmniej jest szczerą. Nie obchodzi ją, co myśli świat. Czy nie lepiej być otwarcie niedobłą, niż udawać kogoś lepszego? Czy nie pogardzałam zawsze konwencjonalną moralnością? Czy już od dawna nie odkryłam, że służy jedynie ukrywaniu bagna, w jakim w rzeczywistości tkwi pozornie układne społeczeństwo? Jeśli tak, to czy nie powinnam posłuchać swego serca i pójść za Stefką?

Poczułam falę radości, chciałam wstać i natychmiast powiedzieć mu o tym. Musiałam jednak zaczekać, ponieważ Piotr wciąż łapczywie ssał. Spojrzałam na zegarek. Było to szwajcarskie, platynowe cacko, które otrzymałam od Aleksandra na dwudzieste trzecie urodziny. Polecił wygrawerować na nim po francusku: „Dla mej najukochańszej żony”. Zeby go kupić, pomyślałam, grywał w rosyjskiej restauracji. Przez cały ostatni rok pracował ciężko, żeby niczego mi nie brakowało. Wszystko, co osiągnął — wiedza i sława, szacunek i uwielbienie studentów, poważanie kolegów, dopuszczenie do kręgów wyższego towarzystwa — wymagało od niego od najwcześniejszego dzieciństwa odwagi i ogromnego wysiłku. Nic nie zostało mu dane dzięki urodzeniu, nic nie przyszło mu łatwo. A przecież jest równie kulturalnym i wytwornym dżentelmenem jak wielu arystokratów, może nawet ich przewyższa. Ja i Piotr Aleksander

jesteśmy jego nagrodą i dumą. Jak mogę tak po prostu mu to zabrać, by zadowolić swą miłość? Jakie mam prawo odebrać Piotra ojcu? Jeśli tak zrobię, czy mój syn nie będzie miał do mnie kiedyś pretensji?

Och, ale jak będę mogła całować Aleksandra po tym, jak całowałam się ze Stefanem? Jak będę mogła leżeć w jego chudych ramionach, gdy poznałam silny uścisk rąk Stefka? Tak czy inaczej, to niemożliwe! W tym momencie Piotr się zakrztusił i spojrział na mnie z wyrzutem, gotów zaraz zacząć płakać.

Dostanie kolki, jeśli się nie uspokoję, pomyślałam i zrobiłam kilka głębokich wdechów, by się opanować. Udało mi się wyrzucić Stefana i Aleksandra ze swych myśli, póki moje dziecko się nie najadło. Potem, wyczerpana, zapadłam w drzemkę.

— Mój aniołeczku, najadłeś się? Dobrze ci teraz, mój kochaneczku? — spytała niania, kiedy po godzinie wróciła z biblioteki i wzięła Piotra ode mnie, by mu się odbiło.

— Był taki rozzłoszczony, że o mało nie krzyknęłam z bólu, gdy mnie złapał za pierś. Ale po chwili oboje się uspokoiliśmy. Porozmawiałaś z księciem Stefanem? — spytałam, ubierając się.

— Właściwie był to monolog. Słuchał mnie w milczeniu. Gdy powiedziałam mu o twej chorobie i o tym, jak straciłaś pamięć o tym, jak ukrywaliśmy się w piwnicy, potrząsnął głową i powtórzył kilka razy: „Biedna Tania, moja biedna Tania”. Nie będzie się już na ciebie gniewał. Chciał zobaczyć Pietię.

— Sama go zaniosę. — Uczesałam się i przypudrowałam nos. A kiedy niania zmieniała dziecku pieluszkę, spytałam nagle: — Nianiu, powiedz mi, co powinnam zrobić?

— Sama najlepiej wiesz, co powinnaś zrobić, moja księżniczko — odpowiedziała, nie patrząc na mnie.

— O nie, nie wykręcisz się tak łatwo. — Wstałam od toaletki i podeszłam do niej. — To jest tak okropnie skomplikowane. Doradź mi.

— A cóż w tym takiego skomplikowanego? — Niania wyjęła z ust agrafkę i spięła ściśle zawiniętą pieluchę. — Jeśli

opuścisz swego męża, nie dadzą ci spokoju wyrzuty sumienia. Jeśli zostaniesz z nim, będą cię prześladowały nie zaspokojone żądze. Wybieraj.

Potrafiłam lepiej poradzić sobie z pożądaniem niż z wyrzutami sumienia. Z żądzami radziłam sobie już od dawna. Jeśli nie mogłam ufać własnym uczuciom, jeśli potrafiłam popadać w skrajne nastroje — od ubóstwienia po niechęć wobec tego samego człowieka — czy nie lepiej postąpić zgodnie z przykazaniami boskimi.

— Nianiu, tak mi strasznie żal Stefana. — Próbowałam jeszcze raz usprawiedliwić chęć zaspokojenia swych żądz.

— Tak, wiele dla ciebie wycierpiał. — Niania była bezlitosna. — Jest jednak młody, przystojny, znajdzie sobie śliczną, bogatą księżniczkę, na jaką zasłużył. Zapomni o smutkach. Znów pokocha cię czystą, braterską miłością, jaką darzył cię w dzieciństwie. Natomiast ty musisz po prostu nauczyć się żyć ze swymi uczuciami.

Każde słowo niani było jak cios nożem w samo serce. Pragnęłam szczęścia Stefka, jednak nie mogłam znieść myśli, że mógłby być szczęśliwy z kimś innym. Pragnęłam jego braterskiej miłości, choć wiedziałam, że będzie to dla mnie udręka.

Wzięłam od niani dziecko i już miałam iść do biblioteki, kiedy w drzwiach pojawiła się zżerana ciekawością Wiera Kiryłowna.

Zawiadomiła mnie, że za trzy kwadranse będzie obiad. Miała nadzieję, że książę Stefan zostanie na posiłku.

Nie odezwałam się ani słowem.

— Wiesz, że na bieżąco śledzę sytuację w Polsce — oświadczyła lekko.

— Polacy znów zaczęli skakać sobie do gardeł i przebąkuje się, że dla ocalenia jedności trzeba będzie restaurować monarchię z marszałkiem Piłsudskim jako premierem.

— Naprawdę? — zdziwiłam się.

— Książę Stefan cieszy się niezwykłą popularnością ciągnęła. — Jest bohaterem wojny polsko-sowieckiej, a poza tym to w prostej linii potomek Piastów.

Zrozumiałam, że Wiera Kiriłowna pragnęłaby spędzić resztę swego życia jako dama dworu królowej Polski. W roli tej oczywiście, widziałaby mnie.

Oddając sprawiedliwość mej krewniaczce, muszę stwierdzić, że szczerze życzyła mi szczęścia, tak jak większość matek życzy tego swym córkom, marząc dla nich o bogatym i wyjątkowym mężu. Więc kiedy niosłam syna do biblioteki, podejrzewałam, że moja była *educatrice* się zastanawia: „Czy to dobry znak, że bierze dziecko, czy też zły? Czy to możliwe, by odmówiła księciu z taką pozycją i majątkiem, tak młodemu i atrakcyjnemu? Nie, to absolutnie wykluczone... A może jednak?”

Kiedy weszłam do biblioteki, Stefan spojrział na mnie smutno, ale nie gniewnie. Zrozumiałam, że jeśli to konieczne, gotów jest zrezygnować ze mnie. Jednak w chwili gdy miałam ogłosić swoją decyzję, zabrakło mi słów.

Nie, nie mogę, nie mogę znów go stracić, pomyślałam. Patrzyłam na niego w milczeniu, a do oczu napłynęły mi łzy.

— Więc jednak nie? — spytał. Spuściłam głowę, połykając łzy.

— Teraz, kiedy niania powiedziała mi, ile zawdzięczasz profesorowi Holwegowi, potrafię to zrozumieć. — Przemawiał ze spokojem i dostojeństwem. — Jednak całkowicie z ciebie zrezygnować jeszcze teraz nie potrafię, to ponad moje siły. Może lepiej będzie, jeśli przez jakiś czas nie będziemy się spotykali, przynajmniej dopóki się nie ożenię i nie będę miał własnego dziecka, ale nie chcę zrywać z tobą wszelkich kontaktów. Pragnę być przyjacielem i doradcą twego syna. Może gdy będzie starszy, pozwolisz mu przyjeżdżać do Zasławic na wakacje. Nie zaproszę cię bez męża. Będę cię widywał tylko w jego obecności. Zapomnę o tym, co nas kiedyś łączyło. Będziemy tylko kuzynami, bratem i siostrą, nikiem więcej. Zgadzasz się?

— O, tak! — A więc nie wydał na mnie wyroku śmierci. Z radością ucałowałam kędzierzawą główkę Piotra.

— Nic nie jest nieodwołalne prócz śmierci — powiedział Stefek. — Kto wie, jakie jeszcze niespodzianki zgotuje nam los?

— Mogę? — Stefan wyciągnął ręce w stronę Piotra. Podałam mu dziecko.

— Uważaj na główkę. Stara się ją trzymać prosto, ale nie zawsze mu się to udaje.

W wielkich dłoniach mego kuzyna Piotr wyglądał jak lalka.

Stefan trzymał go zgrabnie, pochylając się, by spojrzeć na jego buzię.

— Ale maleństwo! Cóż, mój chłopcze, nie jesteś specjalnie urodziwy, sprawiasz jednak wrażenie niezwykle z siebie zadowolonego. No, obudź się, bym mógł zobaczyć twoje oczy.

Piotr wyciągnął nóżki, uwolnił rączki z niebieskiego kocyka, zmarszczył zadarty nosek i otworzył oczy. Wpatrywał się z uwagą w Stefana. Mój kuzyn nadał policzki. Piotr opuścił powieki, otworzył buzię i wydał dźwięk, coś pośredniego między piskiem a czkawką, niewątpliwie mający wyrażać zachwyt.

— Uśmiechnął się, uśmiechnął się! Nianiu! — krzyknęłam, a ona wbiegła do pokoju. — Pietia po raz pierwszy się uśmiechnął.

— Może to coś innego. — Wzięła niemowlę od Stefana. — Nie, masz sucho. Czy naprawdę się uśmiechnąłeś, mój aniołeczku? No, pokaż mi, jak to zrobiłeś.

Piotr zaczął gulgotać, ciągnąc jedną rączką za biały fartuszek niani.

Stefan pochylił się nad nim, nadał policzki i jeszcze raz Piotr wydał z siebie ten pośredni między piskiem a czknięciem dźwięk — był to na pewno śmiech.

Weszła Wiera Kiryłowna i widząc nas rozpromienionych, uśmiechnęła się znacząco. Lecz kiedy się dowiedziała, że przyczyną naszej radości jest pierwszy uśmiech dziecka, nie potrafiła powstrzymać się od lekceważącego wzruszenia ramionami. Gdy zdała sobie sprawę, że nigdy nie zostanie damą dworu przyszłej królowej Polski, udało się jej jakoś ukryć rozczarowanie i jedynie znacząco zapytała nianię, czy już nic pora położyć niemowlę spać. Najwidoczniej winiła Piotra Aleksandra o zniweczenie jej planów.



Kiedy niania wyniosła małego winowajcę z pokoju, Wiera Kiryłowna zwróciła się do mojego kuzyna z pytaniem:

— Czy zostanie pan na obiedzie, *cher princet*

— Dziękuję pani, hrabino, muszę już iść. Taniu, zanim wyjadę, powiedz, czy mógłbym ci w czymś pomóc?

— Rząd Polski wydaje się nie kwapić z przyznaniem mi paszportu.

— Cóż za nonsens! Natychmiast się tym zajmę. Czy coś jeszcze?

— Mam kuzyna, bardzo zdolnego historyka-amatora. Poznałeś go podczas wojny nad Sommą. Wrócił do Rosji w tym samym czasie co ty. Wiosną tego roku przedostał się na Zachód.

— Ł-M? Ogromnie go lubię. Co mogę dla niego zrobić?

— Ledwo wiąże koniec z końcem, pracując jako niezależny dziennikarz. Powinien się doktoryzować na Sorbonie, by móc wykładać. Problem w tym, że jest bardzo dumny i nie można mu, ot tak, dać pieniędzy.

— Trzeba ogłosić jakiś konkurs czy coś w tym rodzaju, w którym nagrodą będzie stypendium dla obcokrajowca przebywającego we Francji. Pomyślę nad tym. — Stefan zapisał sobie coś w notesie. — Czy to wszystko?

— Naszemu Ośrodkowi Uchodźców Rosyjskich potrzebny jest jakiś dom, najlepiej w pobliżu Paryża, w którym można by było zorganizować *maison de retraite* dla ludzi starszych — odważyłam się poprosić.

— No, no, widzę, że prawdziwa z ciebie filantropka! Grandmaman byłaby z ciebie dumna. Znajdę wam jakąś posiadłość, droga kuzynko, tylko błagam, nie umieszczaj mego nazwiska na żadnej tablicy pamiątkowej, bo obedną mnie w domu ze skóry. Wszelka pomoc, jaką udzielię w sprawie Rosji, musi pozostać całkowicie anonimowa.

— Bardzo wiele rzeczy robisz anonimowo, *mon cousin*. — Przypomniał mi się rachunek z kliniki położniczej.

Wiera Kiryłowna spojrzała na mnie z wyrzutem. Nie tylko była pod wrażeniem manier Zasławskiego, najwy-

rażniej czuła się bardzo rozczarowana tym, że jej plan się nie powiódł.

— Nie będziemy się chyba rozliczali *en familie*, prawda?

— odparł Stefek.

Poczułam się jak osoba małostkowa i niewdzięczna.

— Masz rację. Jest jeszcze jedno. Jeśli w jakikolwiek sposób można pomóc Fiodorowi...

— To będzie najtrudniejsze. Jeśli istnieje jakaś możliwość, na pewno mu pomogę.

Wierzyłam mu bez zastrzeżeń.

— Pozdrów ode mnie swoją rodzinę w Anglii, szczególnie lorda Andrzeja. Dziękuję ci... za wszystko.

— To niepotrzebne. Proszę przekazać wyrazy szacunku profesorowi Holwegowi. Wiero Kiryłowno, jeśli będę potrzebny, wie pani, jak się ze mną kontaktować. Taniu...

— odwrócił się do mnie. Podałam mu rękę.

— Ucałuj ode mnie księżnę Katarzynę. I pozdrów Kazimierza. Czy wciąż jeszcze służy w wojsku?

— Tak, ale nie potrwa to już długo. Gdy tylko opuści szeregi armii, zamierza zabrać się do przywracania świetności Zasławicom. — Stefek uniósł wysoko moją dłoń i głęboko patrząc mi w oczy, ucałował ją. Wiera Kiryłowna odprowadziła go do wyjścia.

Słyszałam jego donośny głos w holu, potem trzask zamykanych drzwi frontowych i warkot ruszającego samochodu. Ogień na kominku przygasł. Pokój stał się mniejszy, zimniejszy. Zegar na kominku z obojętną dokładnością wydzwonił za kwadrans pierwszą.

Patrzyłam na drzwi, za którymi zniknął Stefan. Stałam z rękami opuszczonymi wzdłuż ciała, w aksamitnej sukni, miękko opadającej do podłogi, jakbym uczestniczyła w jakiejś dworskiej uroczystości.

Przytłaczająca pustka wypełniła moją duszę i miejsce, gdzie nosiłam swego syna. Była większa niż mój ciężarny brzuch, podeszła mi aż do gardła. Nic nigdy nic wypełni tej pustki!

Poczułam, że w ciągu tych paru chwil postarzałam się o kilka lat. Do tej pory, pomimo wielu przejść, pozostawałam młodą, romantyczną kobietą. W chwili gdy Stefan wyszedł przez te drzwi, moje marzenia przeniosły się do królestwa fantazji.

Kiedy Wiera Kiryłowna wróciła i zobaczyła mnie w tej samej dworskiej pozie, z tym samym poważnym spojrzeniem, zrozumiała, że nie zostało już nic więcej do powiedzenia.

— Szkoda, że ksiązę twój kuzyn musiał wyjechać — zauważyła, odsłaniając kotary w oknach wychodzących na pustą, wietrzną ulicę. — Taki z niego wspaniałomyślny, taki szlachetny człowiek. Prawdziwy ksiązę. Ależ obrzydliwa pogoda! Obawiam się, że zima będzie ostra w tym roku.

W drzwiach ukazał się lokaj, informując, że podano do stołu.

Wiera westchnęła. Po chwili uniosła głowę i dała mi znak, bym ruszyła przed nią do pokoju stołowego.

## EPILOG

3 grudnia 1920 roku, w wieku dwóch miesięcy, Piotr Aleksander został ochrzczony w cerkwi prawosławnej przy Rue Daru. Rodzicami chrzestnymi byli hrabina Liline i książę Łomatow-Moskowski, czyli Ł-M.

Nie mogłam odmówić pani Williamson przyjemności wydania z okazji chrzcina Piotra Aleksandra wielkiego przyjęcia w jej domu w Neuilly i popisania się dworskimi ukłonami, które ćwiczyła pod okiem Wierzy Kuryłowny. Na przyjęciu obecni byli między innymi trzej synowie świętej pamięci wielkiej księżny Marii Pawłowny — Borys, Cyryl i Andrzej Władimirowiczowie, ten ostatni od niedawna żonaty był z byłą kochanką cara i ulubienicą publiczności, słynną primabaleriną Krzesińską.

Kolacja została przygotowana przez samego byłego szefa kuchni Siłomirskich, Polaka Anatola, który tak haniebnie czmychnął, gdy tłum rewolucjonistów wdarł się do naszego *osobniaka*. Teraz szarogęsił się w kuchniach Ritza, ale nie mógł odmówić Wierze Kuryłownie, gdy go poprosiła o zaprezentowanie swych kulinarnych talentów.

Swój wkład w przygotowanie deseru miała również Zinajda Michajłowna, która z Koleńką otworzyła rosyjską herbaciarnię w Passy. Mimo doborowej, międzynarodowej klienteli interes ledwie dawał utrzymanie swym właścicielom: Zinajda Michajłowna miała skrupuły, by brać pieniądze od gości, a Koleńka, choć nie miał podobnych oporów, nie potrafił długo utrzymać pieniędzy w kieszeni.

Po przyjęciu packard pani Williamson odwiózł Aleksandra, mnie oraz śpiącego na rękach u niani Piotra Aleksandra

do naszego nowego mieszkania wychodzącego na ogrody Trocadero. Było przestronne, z wysokimi sufitami, jak prosiłam, ładnie umeblowane empirowymi meblami, wynalezionymi przez niezmordowaną Wierę Kiryłownę. Między innymi znajdował się tu też Steinway zakupiony za pieniądze pochodzące ze sprzedaży resztek mojej biżuterii.

W tym nowym — i miałam nadzieję, że stałym — lokum powróciłam do swych małżeńskich obowiązków. Nasze życie bardzo przypominało pierwsze miesiące po ślubie, tyle że pozbawione było poprzedniej żarliwości. Aleksander pracował bez wytchnienia jako profesor na College de France i całkowicie był pochłonięty swymi rewolucyjnymi teoriami dotyczącymi budowy atomów. Ja miałam pełne ręce roboty przy dziecku i w Ośrodku Rosyjskim. Aleksander wciąż pomagał mi w mych studiach uniwersyteckich, a ja akompaniowałam mu, gdy grywał na skrzypcach, i występowałam podczas organizowanych raz w tygodniu wieczorów muzyki kameralnej. Aleksander z przyjemnością witał teraz przyjaciół, którym dawniej jego zazdrosna zaborczość zamykała do nas dostęp. Dla mnie byli to zesłańcy z niebios. Szczególnie fetowany był Ł-M, niezwykle złośliwie, choć obiektywnie oceniający utraconą przez nas wielkość, oraz Gie-nadij Rosłow.

Wielki pianista pojawił się w Paryżu po wymuszonej aneksji Gruzji przez Związek Radziecki w kwietniu 1921 roku. Przyjechał ze swą młodą żoną, czarującą gruzińską księżniczką, której rodzina gościła Rosłowa w Tyflisie. Gienadij i Aleksander serdecznie się zaprzyjaźnili i wkrótce małżeństwo Rosłowów dołączyło do grona naszych najbliższych znajomych.

Kolejnym człowiekiem, który zlekceważył bariery klasowe — był to jedyny pozytywny skutek rewolucji — był książę Gabriel, jedyny syn wielkiego księcia Konstantego, któremu udało się cało wyjść z rewolucyjnej zawieruchy. Książę Gabriel uniknął egzekucji dzięki swej żonie z ludu i jej wstawiennictwu u Maksyma Gorkiego. Oni również stali się

częstymi bywalcami w domu Holwegów. Gabriel Konstantynowicz wciąż z podziwem i odrobiną lęku odnosił się do byłego korepetytora swych braci i opowiadał mnóstwo historyjek z okresu pobytu Aleksandra w Pawłowsku.

Byłam dumna, widząc swego odnoszącego sukcesy męża, otoczonego podziwem i oddaniem. On był też dumny i sprawiało mu to przyjemność. Czułam, że wynagradza mi to moje pragnienie wielkiej miłości. On ze swej strony nie sprawiał wrażenia człowieka, który cierpi ze względu na jej brak. Razem z naszymi przyjaciółmi, którzy przeżyli burze wojny i rewolucji, byliśmy wdzięczni, że dobiliśmy do spokojnej przystani. Choć nie oferowano nam wspaniałych, romantycznych widoków na przyszłość, byliśmy wolni i przynajmniej na razie bezpieczni.

1 lutego 1921 roku Ośrodek Uchodźców Rosyjskich przemianowany na Fundację Siłomirskich uczcił pierwszą rocznicę swego istnienia balem dobroczynnym. Na balu ogłosiłam, że pani Dorothy Hadlow podarowała Fundacji podmiejski majątek z zamkiem i kilkoma pawilonami. Wkrótce prasa doniosła o zaręczynach Stefana Zasławskiego z lady Dorotą Hadlow, jedyną żyjącą córką szkockiego katolickiego para, siedemnastego diuka Scarsbury, oraz lady Maude, jedynaczki niezwykle bogatego przemysłowca z Glasgow.

Wieczorem, po przeczytaniu tej wiadomości, poczułam nieprzeparłą ochotę zrobienia awantury Aleksandrowi. Pod pretekstem, że Wiera Kiryłowna się pochorowała, wyszłam z domu i spędziłam u niej noc. Zamknęłam drzwi do swej sypialni i dałam upust żalowi oraz złości.

W uszach słyszałam prorocze słowa niani o Stefanie: „Jest młody, przystojny. Znajdzie sobie śliczną, bogatą księżniczkę, na jaką zasłużył. Zapomni o smutkach. Zapomni o swej miłości... Jeśli zaś chodzi o ciebie, musisz po prostu nauczyć się panować nad swymi uczuciami...”

Zapomniał! W ciągu kilku krótkich miesięcy już zapomniał! Z największą łatwością zastąpił mnie jakąś szkocką

szlachcianką, nie tylko ogromnie bogatą, ale również śliczną — zachłannie wpatrywałam się w jej zdjęcie w gazecie! Jeśli chodzi o niego, wszystko ułożyło się świetnie... A ja... ja muszę się nauczyć żyć ze swymi uczuciami... Było to nie do zniesienia!

Chwileczkę, Taniu, odezwał się głos rozsądku. Przecież to ty porzuciłaś Stefka, ty wyszłaś za innego. A kiedy przyszedł, by odzyskać to, co mu się należało, odrzuciłaś go. Jakie masz teraz prawo zgrzytać zębami i lamentować?

Daj mi spokój. Już wystarczająco długo cię słuchałam, odburknęłam. Zrezygnowałam ze Stefka, ponieważ myślałam, że zatrzymam jego miłość. Bez niej nie potrafię żyć.

Ciskałam się przez całą noc. Na śniadanie zeszałam z czerwonymi oczami i bolącym gardłem. Wiera Kiryłowna okazała się na tyle taktowna, że nie powiedziała ani słowa. Kiedy pod koniec dnia wróciłam z Fundacji Siłomirskich, miałam gorączkę.

Aleksander przypisywał moją chorobę przepracowaniu i opiekował się mną niczym ojciec. Ten powrót do naszych dawnych ról, gdy on był mym zbawcą, a ja na wpół oszalałą uciekinierką, obudził we mnie moją dawną wdzięczność i zaufanie. Tyle zawdzięczam Aleksandrowi! Dzięki niemu nie tylko przeżyłam, ale również miałam cel w życiu — naszego syna, moją karierę lekarską. Jeśli nie potrafię pokochać swego męża, jeśli nigdy nie będę mogła wyrwać Stefana z serca i duszy, muszę przynajmniej okazać swemu mężowi przywiązanie i oddanie, na które bezwzględnie zasługiwał.

Po dziesięciu dniach wyzdrowiałam i znów odzyskałam zwykłe opanowanie. Tymczasem jednak mój spokój zewnętrzny korespondował z wewnętrzną, słodko-gorzka harmonią.

18 marca 1921 roku podpisano traktat ryski; między Polską a Związkiem Radzieckim zapanował pokój.

Późną wiosną zmarła we śnie wujeczna babka Katarzyna. Została złożona na wieczny spoczynek obok jej „Aniołka”, księcia Leona, na cmentarzu w Zasławicach z widokiem na Wisłę, na wysokiej skarpie. Do końca nie chciała uwierzyć

w mój ślub z Aleksandrem ani w zaręczyny Stefana z lady Dorotą i wciąż czekała na mój przyjazd jako panny młodej jej wnuka.

W miesiąc po pogrzebie w kaplicy Zasławskich, gdzie Stefan i ja mieliśmy zostać mężem i żoną, odbył się z wielką pompą ślub mego kuzyna i Doroty. Zgodnie z postanowieniem Stefan zaczął przywracać Zasławicom dawny blask. Korzystając z kapitału żony, odbudował rodzinną fortunę. Ale ani jego wkład w odbudowanie gospodarki Polski, ani jego niemal legendarna popularność nie zapewniły mu godnego miejsca w burzliwym życiu politycznym młodego państwa. Według mnie więcej na tym straciła Polska. Z niepokojem myślałam o jej przyszłości. Nasz osiemnastowieczny zamek w pobliżu Fontainbleau stał się miejscem schronienia dla byłych członków rosyjskich sił zbrojnych oraz dla urzędników dworskich i ich krewnych, a także służby — łokai, pokojówek, piastunek, którzy podążyli za swym państwem na wygnanie. Ponieważ nie dla wszystkich starczyło osobnych pokoi, wkrótce zaczęło dochodzić do konfliktów na tle protokołu dworskiego. Ostatecznie szambe-lani i damy dworu woleli dzielić pokoje nie z osobami równymi sobie urodzeniem, ale ze swymi piastunkami i Fiodorami, którzy terroryzowali ich tak, jak niania terroryzowała mnie.

W holu wejściowym wisiał wielki portret Mikołaja II w mundurze admirała. Również w salonach zawieszono portrety rosyjskich carów i ich małżonek. Tutaj podstarzali arystokraci grali w brydża i bezika, wspominali dawne, dobre czasy i chciwie słuchali wiadomości radiowych, oczekując wieści na temat rychłego obalenia władzy bolszewików-uzurpatorów. W *grand salon* wisiał wielki portret Mikołaja II na białym koniu, w otoczeniu wojskowej świty — samych generałów *d la suite* — a wśród nich kilku zamordowanych wielkich książąt i mojego ojca o dumnych rysach.

Na moje życzenie nie zawieszono portretów dzieci naszego władcy. Poświęcona została im kaplica, na której



drzwiach umieszczono następujący napis po rosyjsku: „Pamięci Ich Cesarskich Wysokości, carewicza Aleksego Mikołajewicza oraz jego sióstr — Olgi, Tatiany, Marii i Anastazji — zamordowanych w Jekaterynburgu 16 lipca 1918 roku”.

Wojna domowa w Rosji zakończyła się u schyłku 1920 roku wraz z ewakuowaniem z Krymu zdziesiątkowanych sił generała barona Wrangla. Podczas ostatnich dni bohaterskich walk poległ baron Niessen. Zginął z honorem, tak jak tego pragnął. Jego ordynansa Siemiona internowano w Rumunii. Stoczyłam całą batalię, by go sprowadzić do Francji. Batalia ta dobrze obrazowała ciasny nacjonalizm ery powojennej. W końcu udało mi się i Siemion został dozorcą naszego zamku. Razem z emerytowanymi oficerami bez końca snuł historie z czasów wojny domowej, wspominając jej okrucieństwo i chwile triumfu.

Wszelkie próby odszukania Fiodora okazały się daremne. Dacza spłonęła. W lasach grasowały bandy sierot *biez-prizornych*. Krążyła plotka, powtórzona przez fińskiego dziennikarza, że przez północne knieje wędruje białobrody olbrzym. Chłopi nazywali go „Duchem Dawnych Czasów”.

Wojna domowa się skończyła, ale nie oznaczało to końca tragedii Rosji. W wyniku zniszczeń wojennych i bezlitosnej, przymusowej kolektywizacji w niegdyś bogatej Ukrainie, która karmiła całą Europę, z głodu zmarły dwa miliony ludzi. Zginęłoby wiele więcej, gdyby nie dostawy żywności do ZSRR realizowane przez utworzony przez Herberta Hoovera Kwakerski Komitet Pomocy. Jednak rząd radziecki wolał pamiętać o udziale Ameryki w niesławnej ekspedycji dla Archangielska, zorganizowanej podczas wojny domowej, niż o tym bezinteresownym geście.

Ale nawet rząd radziecki musiał złagodzić swój paranoiczny system ucisku, gdy zbuntowali się jego najwierniejsi obrońcy, marynarze kronsztadcy. Ogłoszona przez Lenina „Nowa Polityka Ekonomiczna” dała krajowi kilka lat wytchnienia i przyniosła późniejszy rozkwit kultury, który na

zachodzie został przedwcześnie okrzyknięty jako zapowiadany świt Nowej Ery.

Ci z nas — wśród nich mój mąż — którzy pragnęli wierzyć w możliwość pokojowej egzystencji, stopniowo wyzbywali się złudzeń. Ameryka zbojkotowała Ligę Narodów; we Włoszech Mussolini stworzył państwo totalitarne; Francja rujnowała Niemcy kontrybucjami wojennymi i przystąpiła do okupacji zagłębia Ruhry; załamała się wybitnie inflacyjna gospodarka Niemiec; Wielka Brytania, tak wierna na polu walki, w czasach pokoju stawała się słaba i sentymalna.

Obserwując sytuację w Europie i pamiętając niedawne wydarzenia, nie dzielaliśmy beztroskiej wesołości lat dwudziestych — *les annees folles*, jak nazywali je Francuzi. Nasze spokojne życie wystarczająco urozmaicał nam syn.

Kiedy Piotr skończył dwa lata, poprosiłam hrabinę Lilinę, by zastąpiła mnie na stanowisku prezeski Fundacji Siłomirskich. Po uzyskaniu dzięki ogromnemu wysiłkowi stopnia naukowego na Sorbonie zapisałam się na wydział lekarski.

Piotr, który był zarówno utalentowany do psot, jak i do języków, urządził ze swą młodą angielską boną wyścigi alejkami Ogrodu Trocadero i wzdłuż korytarza naszego mieszkania, dopingowany jeszcze przez swego psotnego cocker-spaniela. Dla ciekawskiego Piotra świat był zbyt mały, chyba nawet kosmos nie wystarczyłby dla jego energii. W tym jednym małym dziecku zaobserwować można było wszystkie stadia cywilizacji, całą historię ludzkości. Był absorbujący, nieznośny, męczący. Był cudowny. Rządził naszym życiem.

Kiedy mój synek coś spsocił lub był zmęczony albo nie w humorze, nie szedł do bony ani do mnie, lecz wdrapywał się na kolana niani i przytulał jasnowłosą główkę do jej suchej piersi, która wykarmiła jego dzielnego dziadka.

Przyglądając się im, wiedziałam, że ta drobna kobieta, stojąca nad grobem i mały chłopiec, który ma przed sobą

jeszcze całe życie, nie czują ani żalu do straszliwej przeszłości, ani obawy przed groźną przyszłością. Nie myślą o wojnie, rewolucji ani o śmierci, ponieważ łączy ich cudowne uczucie — tak silne, że potrafi zwyciężyć wszystkie inne, a którego mój syn nie potrafi jeszcze nazwać — uczucie miłości.